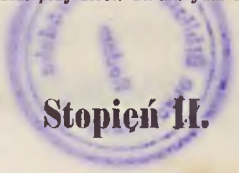
WZORY PROZY

ZEBRANE



Prof. Jana Rymarkiewicza,
Dra. Filozofii i Naucz. Wyższ. przy Król. Gimnazyum Św. Maryi Magd. w Poznaniu.



Stopień II.

WYDANIE DRUGIE.

POZNAŃ.
NAKŁADEM KSIĘGARNI JANA KONSTANTEGO ŻUPAŃSKIEGO.
1863.



Poprawa omyłków drukarskich.

Strona 76.,	wiersz 3.	od góry,	zamiast *Nauka*	czytaj:	*Natura.*
— 113.	— 3.	od dołu,	— *brzegi*	—	*brzęki.*

SPIS RZECZY.

PIERWSZY RODZAJ.

Proza Opisowa i Powieściarska czyli Historyczna.

A. Pogadanki czyli Gawędy i Pamiątki (Ricordanza).

Str.
Imieniny Niemcewicza, przez Bonawenturę z Kochanowa....3
Dolina Mickiewicza, przez Bonawenturę z Kochanowa....7
Przygoda podróżnika, przez Lucyana Siemieńskiego....14
Potęga muzyki, przez Karola Libelta....17
Potęga malarstwa, przez Józefa Kremera....19
Biesiada wyścigowców, przez Edmunda Chojeckiego....21
Obiad czwartkowy, przez Franciszka Karpińskiego....25
Memorabilia szkólne, przez Konstantego Gaszyńskiego....34
Niedźwiednik, przez Kazimierza Władysława Wojcickiego....36
Książe Radziwiłł Panie Kochanku, przez Henryka hr. Rzewuskiego....39
Jur z Borowiczek, przez Zygmunta Kaczkowskiego....50

B. Obrazy poetyczne i Powieści większe czyli Romanse.

Zawieja śnieżna na Podolu, przez Zygmunta Kaczkowskiego....69
Obraz puszczy, przez Kazimierza Władysława Wojcickiego....72
Widok z Wawelu, przez Józefa Kremera....76
Zorza północna, przez Ewę Felińską....79
Puszcze zwrotnikowe, przez Józefa Kremera....81
Strusie i Cygany, przez Dra. Teodora Tripplina....83
Pieniądze bez pracy, przez Józefa Korzeniowskiego....88
Kordecki, przez Józefa Ignacego Kraszewskiego....113

C. Opisy, Charakterystyki i Wizerunki obyczajowe.

Koń, przez Alojzego Felińskiego....149
Len....149
Śpiew skowronka....151
Śpiew słowika....152
Gbur, przez Henryka hr. Rzewuskiego....153
Pyszno-Skąpski, przez tegoż....158
Charakter Słowian, przez Alex. Wacława Maciejowskiego....166
Jan Karol Chodkiewicz, przez Adama Naruszewicza....170

D. Podróże.

Str.
Góry Tatry, przez Seweryna Goszczyńskiego....175
Morskie oko w Karpatach, przez tegoż....178
Pasterstwo w Tatrach, przez tegoż....181
Dzieci góralskie, przez tegoż....184
Źródlisko Czarnego Dunajca, przez tegoż....185
Kościelisko, przez tegoż....188
Mgła poranna w Karpatach, przez tegoż....192
Kraków, przez X. Karóla Antoniewicza....193
Poranek w Krakowie, przez tegoż....197
Kraków, przez Klementynę Tańską....200
Puławy, przez tęż samą....204
Warszawa w roku 1596., przez Kazimierza Władysława Wojcickiego...208
Statek parowy i okolica nad Renem, przez Stefana Witwickiego....209
Gołębie z Wenecyi, przez Michała Wiszniewskiego....212
Rzym, przez Konstantego Gaszyńskiego....213
Katakumby rzymskie, przez tegoż....214
Odkopalisko Pompei, przez tegoż....217
Żegluga na Czarném morzu, przez X. Ignacego Hołowińskiego....220
Święta Grota Narodzenia, przez tegoż....223
Sadzawki Salomona, przez tegoż....225
Jeruzalem, przez tegoż....228

E. Pamiętniki.

Wychowanie domowe, przez X. Alex. Jełowieckiego....235
Wyjazd do szkół, przez tegoż....238
Kontrakty kijowskie, przez tegoż....241
Pamiętniki Franciszka Karpińskiego....245
Panowanie Augusta III., przez X. Andrzeja Kitowicza....264
O głodzie pod panowaniem Augusta III., przez tegoż....275
O sejmach zrywanych, przez tegoż....276
O sejmie ordynaryjnym 1762., przez tegoż....4....278
O zwyczajach i śmierci Augusta III., przez tegoż....2...57....282
Rakoczego upadek, przez Jana Chryzostoma Paska....288
Wzięcie zamku Koldyngu, przez tegoż....289
Wzięcie wyspy Alsen, przez tegoż....299

DRUGI RODZAJ.

Proza Rozumująca i Naukowa czyli Dydaktyczna.

A. Charakterystyki rozumowe.

Burza, przez Gabryelę Żmichowską....305
Sen w Podhorcach, przez X. Stanisława Chołoniewskiego....308
Polacy, przez Michała Wiszniewskiego....319

Str.
Młodość i przesilenie rozumu, przez tegoż....321
Geniusz, przez tegoż....322
Charakterystyka oświaty teraźniejszéj, przez Maurycego Mochnackiego..327
Obraz umysłowéj sfery czasów, przez Zygmunta Krasińskiego....329

B. Dyssertacye czyli Rozprawy naukowe.

O Języku Polskim. Listy Brata i Siostry, przez Klementynę Tańską.
List pierwszy....335
List drugi....336
List trzeci....336
Odezwa do wzrastających dziewcząt za mową ojczystą przez tęż samą...337
List czwarty....339
List piąty....340
List ostatni....342
O Języku Polskim, przez Jana Śniadeckiego....343
O Tłomaczeniach, przez Stefana Witwickiego....346
O przyzwoitości zachowania się przy stole, przez Józefa Franciszka Królikowskiego....349
O prowadzeniu rozmowy w towarzystwie, przez tegoż....351
O stósownem użyciu mowy, przez tegoż....354
Religia innych nauk podstawą być winna, p. Klementynę Tańską....356
Obmowa, przez Ignacego Krasickiego....358
Szyderstwo, przez tegoż....360
O Przyjaźni, przez Klementynę Tańską....363
Przyjaźń, przez Ignacego Krasickiego....367
Zbyteczne o sobie rozumienie, przez tegoż....371
Zarozumiałość, przez Kazimierza Brodzińskiego....374
O Duchu poetyckim w narodzie polskim, przez Stefana Witwickiego...376
Na czém narodowość zależy, przez Kazimierza Brodzińskiego....381
O uduchownieniu żywota, przez Józefa Ignacego Kraszewskiego....383
O Piśmie, przez Ignacego Krasickiego....387
O romansie nowoczesnym, przez Augusta Cieszkowskiego....390
O sztuce dziejopisarskiéj, przez Michała Wiszniewskiego....393
O sposobie mówienia i pisania po polsku, przez Łukasza Górnickiego..399
O Sprawie rycerskiéj, przez Marcina Bielskiego....403

TRZECI RODZAJ.

Proza Powodująca czyli Oratorska.

A. Mowy obrzędowe (akademiczne i panegiryczne).

Mowa miana przy otwarciu Liceum Warszawskiego na dniu 2. Stycznia 1805. r., przez Stanisława hr. Potockiego, ministra oświecenia....411
Zagajenie sessyi publicznéj Uniwersytetu Wileńskiego, dnia 15. Września 1810. r., przez Jana Śniadeckiego....413

Str.

Mowa przy złożeniu w grobie Wilanowskim przewiezionych z Wiednia zwłok Ignacego hr. Potockiego, M. W. X. L. w roku 1810., przez Stanisława hr. Potockiego.....417
Przy pogrzebie brata rzecz, przez Jana Kochanowskiego.....422
Mowa na obchód pamiątki Ignacego Krasickiego, Arcybiskupa Gnieźnieńskiego, miana na posiedzeniu publiczném Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk, dnia 12. Grudnia 1801. r., przez Franciszka Dmochowskiego.....424
Mowa Jana Zamojskiego przy otwarciu założonéj przez niego akademii w Krakowie r. 1595.....433

B. Mowy sądowe.

Mowa Ludwika Osińskiego, miana na obronę Pułkownika Siemianowskiego, który nieszczęśliwym przypadkiem, dnia 3. Grudnia 1809. roku dowodząc z konia pułkowi swemu, w czasie parady na Krakowskiém przedmieściu w Warszawie, śmiertelnie ugodził szpadą żołnierza, Pawła Orczykowskiego.....439
Mowa Stanisława Czarnkowskiego, w sprawie księżny Ostrogskiéj Bicty z książęciem Dymitrem Sieńguszkiem, i Wasilem książęciem Ostrogskim o najechanie Ostroga i wzięcie księżny Ostrogskiéj, miana w sądach nadwornych JKMości w Knyszynie naówczas odprawujących się, przez Łukasza Górnickiego.....445

C. Mowy kościelne.

Przemowa kościelna na otworzenie roku szkólnego 1851. w gimnazyum poznańskiém, przez X. Wojciechowskiego.....459
Na gruzach Krakowa, przez X. Karóla Antoniewicza.....464
Mowa żałobna na nabożeństwie za duszę Zygmunta Krasińskiego, przez X. Alexego Prusinowskiego.....466
Mowa podczas nabożeństwa żałobnego za duszę ś. p. doktora Karóla Marcinkowskiego, miana w kościele Św. Maryi Magdaleny w Poznaniu, dnia 19. Listopada 1846. r., przez X. Jana Chryzostoma Janiszewskiego.....474
Mowa na podziękowanie za zwycięztwo Inflantskie. Przez X. Piotra Skargę.....479

I.

PROZA

Opisowa i Powieściarska

CZYLI

HISTORYCZNA.

STOPIEŃ II.

A.

Pogadanki,

czyli

Gawędy i Pamiątki.

(Recordatio, Ricordanza.)

Imieniny Niemcewicza.

„Święcone“ przez Bonawenturę z Kochanowa, (Leona hr. Potockiego.) Poznań 1854.

(Str. 201.)*)

Było to w roku 1828. Zbliżały się imieniny Niemcewicza. Pani wojewodzina Potocka, pragnąc je obchodzić, umyśliła sprawić staremu przyjacielowi niespodziankę, zgodną z jéj sercem, godną tego, którego wszyscy kochali i szanowali.

Nastał dzień 13. Lutego. Niemcewicz zaproszony na obiad do pani wojewodziny, właśnie przed samą ucztą, nie omieszkał przybyć. Przekonany, że znajdzie zwykle tam goszczące osoby, mocno się zdziwił, gdy wszedł do pustego salonu. Już od pół godziny wzdłuż i wszerz się przechadzał, a właściwa mu niecierpliwość, na humor wesoły, złe skutki wywierać zaczynała, gdy się otworzyły od bocznéj komnaty podwoje. Wysunęli się dworzanie a marszałek dworu na głos zawołał: „Król Jegomość!“ Wszedł Zygmunt August, a za nim Janicki, Jan Kochanowski, Rej z Nagłowic, Jan Tenczyński, Don Alonzo di Medina Czeli i reszta królewskiego dworu.

Zygmunt August był w hiszpańskim stroju. Miał suknią spodnią z lamy srebrnéj w passamany karmazynowe, pięknie perłami szytą; płaszczyk krótki, czarny, aksamitny z szerokim złotym haftem; na głowie kapelusz kastorowy czarny, z trzema strusiemi piórami, spięty pętlicą z dużych dyamentów; również drogiemi kamieniami ozdobiona, zawieszona na szyi, ozdoba złotego runa. Młody ten pan, liczący dopiero lat 29, hożéj był postaci ciała, i twarzy nadobnéj. Włos jego jasny, oczy błękitne; niewielka broda od połowy dzieliła się na dwie części kończate. W każdem słowie powaga i słodycz.

Skoro Zygmunt August stanął w pośrodku komnaty, przystąpił do niego marszałek dworu: w karmazynowym żupanie, w biało perłowym kontuszu, okolony złocistym perskim pasem, z karabelą u boku; a skłoniwszy się kró-

*) Oznacza zawsze stronicę wydania pierwszego.

lowi: „Najjaśniejszy Panie, rzekł głosem pełnym uszanowania, stósownie do woli Waszéj Królewskiéj Mości, mam zaszczyt przedstawić Wam Jegomość pana *Juliana Niemcewicza*. Kto tak, jak on cierpiał, kto tak cierpienia swoje na żałosnéj odśpiewał strunie, ten wart być policzonym w poczet wieszczów, będących ozdobą panowania Waszego, wart do zygmuntowskich należeć czasów.“ „Miło nam jest, odezwał się Zygmunt August z uprzejmością, powitać Waszmości; spodziewamy się, że pozostaniesz na naszym dworze, a będziemy się starali wszelkiemi siłami, cierpienia wasze osłodzić.“

Niemcewicz odurzony taką niespodzianką, gdy przyszedł do siebie, nie chcąc przerywać tak słodkiego marzenia: „Najjaśniejszy Panie, zawołał, jeżelim cierpiał, jeden tylko król z Jagiellonów rodu, jedna tylko nadzieja powrotu zygmuntowskich czasów potrafią przywrócić życie sercu obolałemu nieszczęściami kraju.“ „Bądź Wasze dobréj myśli, odparł monarcha, a ponieważ w dniu dzisiajszym miłą dla nas obchodzimy uroczystość, zapraszamy Waszą Miłość do naszego królewskiego stołu.“ Poczem zbliżył się Zygmunt do Alonza di Medina Czeli, świeżo z panem Tenczyńskim z dalekich zagranicznych krajów przybyłego. Obaj młodzieńcy zachwycali krasą lica, urodziwym wzrostem, rycerską postawą. Don Alonzo miał na sobie szatę hiszpańską, białą, jedwabną; płaszcz aksamitny z srebrnym haftem w palmy szerokie, z szeroką frezą z najpiękniejszych koronek brabanckich. Na czarnym zagiętym kapeluszu, wznosiły się pióra strusie, dyamentową pętlicą spięte. Obok niego stojący Jan Tenczyński, najpiękniejszéj postaci, był również w hiszpańskim bogatym i okazałym stroju; na piersiach jego spostrzegałeś medal z wizerunkiem cesarza Karóla V., zawieszony na łańcuchu złotym, darowany przez tego monarchę, z wysoko zalecającemi go listami królowi polskiemu.

W tém po drugiéj stronie komnaty, podniosła się z ciężkiego adamaszku zasłona, a marszałek królowej: „Najjaśniejsze Panie!“ oznajmił.

Ujrzano wchodzące panie dworskie: księżnę Radziwiłłową, wojewodzinę trocką, bratową królowéj; panią Szydłowiecką, wojewodzinę krakowską; panią Sieniawską, księżnę Maryannę Czartoryską; Górkową, Leszczyńską i inne. Za niemi postępowała poważnie królowa Bona, matka królewska, mająca po prawéj ręce panującą królowę Barbarę, po lewéj królowę Izabellę, siostrę królewską, wdowę po Janie z Zapola, królu Węgierskim. Ta trzymała za rękę kilkoletniego syna. Królowa Bona, miała na sobie suknię aksamitną czarną, z welonem od głowy do stóp, zwykły

ubiór wdowi. Na głowie czepek z najkosztowniejszych koronek, na szyi kanak z dużych na przemiany rubinów i pereł. Młody Andrzej Firlej, syn Piotra wojewody ruskiego, niósł długi od szaty ogon. Królowa Bona, acz zapędzona w lata, zachowała ślady dawnéj piękności. Rysy twarzy, świadczyły pomieszany ród hiszpański z włoskim. W słowach, w spojrzeniu dumna i rozkazująca, umiała, gdy potrzeba, przybrać ton przymilenia i słodyczy. Królowa Izabella, przywdziała na siebie strój węgierski i opiętą ciemnofioletową suknię, w srebrne palmy, dolman jasno-cytrynowy z potrzebami z pereł, sobolami podbity. Sznurek dużych pereł z wiszącymi kutasami na związanie służył. Na głowie niewielki sobolowy kołpak, z piórami i dyamentowym węzłem. Mały jéj syn, królewicz Zygmunt, ubrany był po węgiersku, z dyamentową kitą u kołpaka. Był to dar Solimana sułtana, dany w dniu, kiedy małe to książę oddane mu było w opiekę.

Wszystkich oczy wlepione były w panującą królowę Barbarę. Zapomniano bogactwa strojów, by patrzeć na zachwycającą piękność osoby. Królowa Barbara miała na sobie suknię białą jedwabną, całą nasianą srebrnemi półksiężycami. Podnosił się od ramion kołnierz z koronek. Trzy rzędy niezmiernych pereł na szyi; włosy splecione w warkocze, orzeł biały z potężnych dyamentów służył im za spięcie. Patrząc na ulubioną małżonkę Zygmunta Augusta, która w rok późniéj miała wstąpić do grobu, mimowolny smutek cisnął się do serca.

Król Zygmunt pospieszył na spotkanie królowej Bony; dawszy potém znak panu Niemcewiczowi, gdy się ten zbliżył, przedstawił go matce, żonie i siostrze, jako znakomitego poetę. „W jakim Wasz Mość języku rymy swoje składasz?“ zapytała królowa Bona. „W ojczystym“, odpowiedział Niemcewicz. „To wielka szkoda,“ odparła ta wielka pani, „podług mnie, w jednym tylko dawnych Rzymian języku można być wielkim poetą. Nie prawdaż panie Janicki?“ dodała. „Tak jest Najjaśniejsza pani,“ odezwał się Janicki, nisko kłaniając. „Polak po polsku pisać powinien,“ zawołał Niemcewicz, „śmiało z mojém występuję zdaniem, bo z niém się odzywam przed polską królową.“ „Miło nam słyszeć z ust Wasz Mości,“ odezwała się królowa Barbara, „słowa pochodzące z serca.“ „A mnie“, odpowiedział Niemcewicz, „miło widzieć w tobie królowę; bo któraż od ciebie godniejszą nad sercami Polaków panować?“

Przez ten czas król obchodził w koło i rozmawiał z przedniejszymi pany. Uprzejmy, wesoły, łaskawy, od wszystkich kochany.

Marszałek dworu oznajmił królowi, że dano do stołu. Przystąpiło dwóch dworskich. Jeden trzymał szczerozłotą miednicę i podobnąż nalewkę, rzadkiemi ozdobioną medalami; drugi, złotem haftowany ręcznik. Król zdjąwszy pierścienie, dał je dworzaninowi, a umywszy ręce, włożył napowrót na palce: poczém przystąpił do królowej matki. Prowadząc ją do stołu: „Basiu“, rzekł do żony, „podaj rękę naszemu gościowi.“ Królowa Barbara z miłym uśmiechem, wyciągnęła rękę, którą stary Niemcewicz, nie bacząc na etykietę dworską, szczerze wycałował. Za nimi dwór cały ruszył do jadalnéj sali.

Zygmunt August, długo się wesołéj rozmowie przysłuchiwał. „Każden z was,“ odezwał się łagodnie, „pracuje podług udzielonego od Boga talentu. I tak WMość panie z Nagłowic, ogromnym dzbanem czerpiesz w zdrojach Hypokreny; pan Kochanowski hymny Dawida i dzieje rycerzy naszych, nieznanym dotąd pięknością swą rymem wznosi do Boga, i kiedy Orzechowski gromi herezyą, Paprocki rodów szlacheckich splątane rozwija kłęby, ksiądz biskup Kromer, stylem Liviusza dzieje ojczyste roztacza. Kiedy już niemasz Rzymian, aby nam zazdrościli, że się Janicki Polakiem urodził, jest wieszcz, dodał, na Niemcewicza wskazując: ten panowanie nasze niezatartym rylcem skreśli, uwieczni cnoty i wdzięki mojéj Barbary i imiona wasze potomności poda.“

„Najjaśniejszy panie!“ zawołał Niemcewicz, podnosząc się z miejsca, „Szczęśliwy, komu Bóg dał żyć pod polskim Augustem, w czasach, kiedy po długim szczęku oręża słodkie pienia muz słyszeć się dały; szczęśliwy, kto po długiéj niewoli, tułactwie, i po tak srodze zawiedzionych nadziejach, znajduje się pomiędzy tymi, w których piersiach polskie biją serca! Nie wiem, dodał, jakby proroczym głosem, kędy mnie jeszcze losy zaniosą, gdzie stare położę kości, ale do ostatniéj godziny życia mojego, pamiętać będę z wdzięcznością, żeście mnie na chwilę, choć złudzeniem, przenieśli w owe czasy, kiedy Polska była wielką i potężną; żeście starca już bez nadziei, bez przyszłości, przynajmniéj *obrazem przeszłości* uradowali. Niech wam Bóg to nagrodzi!“ Chciał daléj mówić, ale mu łzy głos stłumiły. Usiadł, a siwą głowę oparłszy na rękach, twarz niemi zasłaniał, jakby się wstydził szlachetnego rozrzewnienia. Muzyka ukryta w oddaleniu, dumę o Żołkiewskim zagrała. Milczenie minut kilka panowało. Ale ta chwila była błogą, podobną do snu wygnańca, kiedy go na rodzinną przenosi ziemię, do piosnki, przypominającéj młodocianc lata, do tchu powietrza, przynoszącego nam woń ulubioną. Muzyka ustała. Król

Zygmunt wziąwszy w rękę puhar napełniony winem: „Zdrowie *Juliana Niemcewicza!*“ zawołał. „Bajek jego uczyliśmy się dziećmi będąc, śpiewy nuciliśmy w młodocianych latach, polskie jego dzieje dały nam poznać, czém byliśmy; on piórem, sercem i przykładem nauczał nas być Polakami! Niech żyje! Niech żyje w najpóźniejsze lata!“ zawołali wszyscy.

Niemcewicz drżącą ręką podniósł także puhar; a odwracając się do wojewodziny Radziwiłłowej, a raczéj Stanisławowej Potockiej: „Zdrowie, rzekł, żony i bratowej ś. p. Stanisława i Ignacego Potockich!“

„Mości Panie z Nagłowic! odezwał się król Zygmunt, kiedy się Rej na chwilę nie może oderwać od misy i kubka, niechże go Ludwik Osiński zastąpi, i dzień imienia Juliana Niemcewicza talentem swoim uświęci! Niech dowiedzie, że nietylko ojcowie umieli szanować tych, co się dobrze zasłużyli krajowi, ale i praprawnuki umieją im sprawiedliwość i winny hołd oddawać.

Rej z Nagłowic, czyli raczéj Ludwik Osiński, powstał z miejsca, pogładził wąsa, i ze znaną wymową do solenizanta przemówił. Szkoda, iż słów jego nikt z nas nie pamięta, że ich nikt nie przelał na papier, że podobno dla potomności zatraconemi zostały! Ulubiony nasz poeta przestał mówić, a muzyka odezwała się znowu i dumę o Stefanie Potockim zagrała.

Wstał August od stołu, podał rękę królowej Bonie, i tym samym porządkiem jak przyszli, powrócili do bawialnych komnat, rzęsisto oświeconych. Niemcewicz ciągle był rozczulony!

Dolina Mickiewicza.

Przez Bonawenturę z Kochanowa. 1853.

(Str. 205.)

Pierwsze promienie wschodzącego słońca błysnęły, kiedy z mocném biciem serca zbliżałem się do téj doliny, którą nasz wieszcz ze swojém nazwiskiem potomności przekazał. Ranek był pogodny, oddech wiosny czuć się dawał w powietrzu, brzęk muszek, śpiew ptasząt, lekki wiatru powiew witały wschód słońca tak, jak wstęp do wiosny życia witamy z myślą wesołą, z sercem przepełnionem nadzieją, a czasami z mimowolném westchnieniem. Długie pasmo zieloności, ścieśnione po obu stronach wzgórzami okrytemi wzniosłemi drzewami, podszytemi gęstą krzewiną, w oddaleniu ginęło. Kroplista rosa okrywała powierzchnią murawy,

jakby brylantową szatą! — Upojony czarującym widokiem, zatrzymałem się przez chwilę, i kiedym myślą w daleką odlatywał przeszłość, usta moje powtarzały razem z tym, którego duch nad doliną kowieńską się unosi:

Widziałem piękną dolinę przy Kownie,
Kędy Rusałek dłoń wiosną i latem
Ściele murawę, krasnym dzierżga kwiatem,
Jest to dolina najpiękniejsza w świecie!

Już słońce coraz wyżéj wznosić się zaczynało, gdy ujrzałem z daleka idącego ku mnie starca. W dryliszkowéj kapocie, w słomianym kapeluszu z szerokiemi brzegami; długie białe włosy na ramiona spływały, miał gruby kij w ręku, na nim się podpierał. Zbliżywszy się nawzajem, oddaliśmy sobie ukłon za ukłon.

„Pan pewnie nie tutejszy?“ zapytał mnie starzec.

„Jestem z Polski, z za Warszawy, odpowiedziałem; wczoraj wieczór po raz pierwszy przybyłem do Kowna, a dzisiaj równo ze świtem pospieszyłem odwiedzić dolinę naszego wielkiego poety.“

„A znałżeś go pan?“

„Znałem na wygnaniu; rzekłem, on na niem pozostał, ja powróciłem do kraju. Ale pan, dodałem, czyś od dawna już w Kownie?

„Od lat czterdziestu kilku tutaj mieszkam, odezwał się nieznajomy, i tutaj stare położę kości.“

„Więc znać także musiałeś *Adama?*“

„Jakto, czy znałem? Byliśmy tu razem kolegami; z tą jednak różnicą, że on był nauczycielem, ja zaś prefektem tutejszéj szkoły.“ Te ostatnie słowa wymówił pan prefekt z pewnym rodzajem zadowolonéj dumy.

Szczęśliwym trafem zawarta znajomość dała mi sposobność zaspokojenia ciekawości. Długośmy się ze starcem po całéj przechadzali dolinie; miejscami ścieśniona, rozszerza się potém i dzieli jakby na trzy części. Jakże tu cicho, spokojnie i błogo! Tu światowa wesołość przybiera smętniejszą barwę, czyli raczéj mniéj płochą; tu cierpiący znajduje ulżenie, nieszczęśliwy pociechę; tu piękna dusza wielkiego naszego poety pierwsze czerpała natchnienia.

Gdy przyszła chwila pożegnania acz z żalem poczciwego starca, — puścić mnie nie chciał. „Panie kawalerze,“ rzekł, tak bowiem nazywał każdego młodszego od siebie, „po podróży, jak miarkuję, nienajlepiéj téj nocy spać musiałeś: bo rozdrażniona wyobraźnia snu nie dodaje, więc musisz być zmęczony. Wyszedłeś równo ze dniem pewnie bez śniadania; jeżeli zatem łaska to proszę do siebie, to prawie po drodze wracającym do miasta; posilisz się nieco,

a mamy jeszcze o czém mówić, to się nie znudzisz. Mieszkam zawsze w moim dworku, niegdyś za miastem, a dziś w końcu miasta. Tak to się od lat dziesięciu Kowno rozciągnęło.“

Chętnie zaproszenie przyjąłem, a pan prefekt wziąwszy mnie pod rękę zaprowadził do siebie.

Zaledwośmy weszli, przyniesiono nam kawę, bułki, rzodkiewkę i świeżuteńkie żółte masło. Zasiedliśmy do śniadania; i zajmujące i nader ciekawe rozpoczęło się opowiadanie.

„Było to w 1820 roku, rzekł starzec, kiedy z nauczyciela literatury łacińskiéj i polskiej oraz historyi, postąpiłem na Prefekta tutejszéj szkoły. Miano przysłać mojego następcę. Już się kończyły wakacye, uroczysty obchód otwarcia szkólnego roku się odbył, odbywały się od dni kilku zapisy wracających uczniów od rodziców, a następcy mojego widać nie było.

Razu pewnego pod wieczór z całą rodziną, ot w tamtym obok dworku, siedziałem przy wieczerzy, gdy drzwi się otworzyły i wszedł młody człowiek, bardzo skromnie ubrany, ukłonił się grzecznie i o Prefekta szkół kowieńskich zapytał. „Ja nim jestem, odpowiedziałem wstając od stołu, a z kim mam zaszczyt mówić? dodałem. „*Z Adamem Mickiewiczem,*“ odezwał się cichym głosem młodzieniec; naznaczony jestem na nauczyciela do tutejszéj szkoły; poczem oddał mi list i plikę papierów od rektora uniwersytetu wileńskiego. Zaprosiłem go na wieczerzę, obok siebie posadziłem; darem bożym z nim się podzieliłem; i odtąd dzień ten, w którym pod tym dachem zasiadł po raz pierwszy do mojego stołu, zapisałem na zawsze w pamięci serca mojego.

Po wieczerzy, nowego kolegę poczęstowawszy fajeczką, przerzuciłem nadesłane papiery, poczém do późna rozmawialiśmy z sobą i rozpoczęła się znajomość z czasem zamieniona w przyjaźń, niczém nienaruszoną, trwałą aż do grobowéj deski.

Nazajutrz Pana *Adama* wprowadziłem do naszéj szkoły i zainstalowałem w nowym obowiązku. Przez czas niejaki, nie widywałem go tylko podczas godzin szkólnych, gdyż zaraz po lekcyi czemprędzéj wracał do siebie, zamykał się w swoim pokoju, lub stroniąc od ludzi, szukał samotności w najodludniejszych miejscach. Zapuszczał się w najgęstsze bory, krył po urwiskach górzystych brzegów Niemna. Od tego czasu ulubioną jego przechadzką, czy na wiosnę wśród majowych kwiatów, czy w lecie wśród burzy, błyskawic i grzmotu, czy wśród zimowéj zamieci, stała się owa dolina, sławą jego imienia uwieczniona!

Z początku koledzy brali go za dziwaka, ja zaś powie-

działem: albo zakochany, albo poeta! Niepokoił mnie jednak ubiór na nim zawsze ten sam, coraz bardziéj wytarty; niepokoiło, żem nie wiedział gdzie się stołuje, co je. A myśl, że może niedostatek znosi, boleśnie mnie trapić zaczynała, tém bardziéj, że nowy nasz kolega akuratnością w pełnieniu obowiązków, obejściem słodkiem i cierpliwém z uczniami, poszanowaniem i poważaniem starszych, wszystkich przyciągał do siebie.

Wnet się dowiedziałem, że *omnia mecum porto* znajdowało się na nim, a para koszul w szufladzie, płaszcz, którym się okrywał i przykrywał, oraz skórzana poduszka, całą jego garderobę i pościel stanowiły. Dowiedziałem się, że pieczone w piecu kartofle służyły mu za codzienne pożywienie, a całym jego zbytkiem była herbata i kawa. Do wygód życia nie przyzwyczajony, nie dbał o pokarm ciała, duszę karmił natchnieniem!

„Mój kawalerze! mówił dalej zagrzany opowiadaniem swojém pan prefekt, łatwiéj przyswoić dzikiego niedźwiadka, unosić jastrzębia, nauczyć kanarka po serynetce śpiewać, jak przyciągnąć do siebie, ugłaskać odludka, jak otworzyć zasznurowane usta, odemknąć zaryglowane serce.

Ponieważ mnie jednak coś mimowolnie do naszego ciągnęło młodzieńca, udobruchać go, do poufałości zbliżyć, do zaufania nakłonić przedsięwziąłem. Nie łatwa to była pensa; ale kto chce ten wiele może. Po dwumiesięcznych staraniach zbliżyliśmy się do siebie, niby niechcący, i do tego doszedłem, że często bywał u mnie na obiedzie, a w końcu stołować się zaczął. Żona moja kazała mu uszyć tuzin koszul, opatrzyła jego garderobę, a nie chcąc skromności obrazić, wydatek na kupione przedmioty wytrącała sobie miesięcznie z jego pensyi.

Razu pewnego przyszedłszy do pana Adama pod wieczór, zastałem rozebranego, z rozczochranemi włosami, z fajką w gębie; wszerz i wzdłuż po pokoju chodził. Usta stłumione i niewyraźne słowa zdawały się wymawiać; oczy pałały niezwykłym gorączkowym ogniem, lica zazwyczaj blade, siną przybierały barwę. Albo chory, albo rozkochany, pomyślałem w duchu. Skoro mnie ujrzał wchodzącego do pokoju, uspokoił się nieco, skłonił uprzejmie, na stołku posadził. Zaczęła się rozmowa, ale szła jakoś niezgłaźnie; on był smutny, mało mówiący, zdawało się, jakby co tylko się zbudził, co tylko powracał do rzeczywistości życia z krainy urojeń, snów i marzeń! Ja zaś więcéj z przywiązania niż z ciekawości chciałem go wybadać, wyrozumieć; wywiedzieć się o cierpieniu fizycznem lub moralném, abym mógł przyjść z pomocą albo i téż z pociechą!

„Panie Adamie, zapytałem, czy jesteś chory?“ „Być może, odpowiedział, głowa mnie boli.“ — „Może serce?“ dodałem. „Serce?“ powtórzył!

Serce bije gwałtownie, oddechem nie władnę.*)
Iskry czuję w źrenicach, a na twarzy bladnę;
Niejeden z obcych głośno pyta o me zdrowie,
Albo o mym rozumie, coś na ucho powie.
Tak cały dzień przemęczę; gdy na łoże padnę
W nadziei że snem chwilę cierpieniom ukradnę,
Serce ogniste mary zapala w méj głowie!

„To waćpan podobno *poetą*, zawołałem; mój młody kawalerze, słuchaj zdrowéj rady na doświadczeniu opartéj: porzuć poezyą; ta ciebie do niczego nie doprowadzi, wróć lepiéj do poczciwéj prozy. Proza umysł naucza, a poezya go przewraca. Poczya rozkołysze twoją wyobraźnią, rozdraźni uczucie, nauczysz się latać po powietrzu, a po ziemi, kiedy będzie potrzeba, nie potrafisz chodzić. Zmarnujesz młode lata, żal mi twojéj młodości.“

Młodości! ty nad poziomy**)
Wylatuj, a okiem słońca
Ludzkości całe ogromy
Przenikaj z końca do końca!

odrzekł, jakby w obłąkaniu. „Biada mi z tobą! zawołałem; zgubiony człowiek! Niema co z tobą robić.“ Po kilku chwilach milczenia, „panie Adamie, dodałem, masz dużo zdolności, ale jesteś jeszcze bardzo młody, nie masz doświadczenia. Zająłeś miejsce piastowane przezemnie przez lat kilkanaście; chcąc drugich nauczyć trzeba dużo umieć, a starszy wiekiem, naturalnie więcéj od młodszego posiada: bo miał więcéj czasu do nabycia. Z tego powodu chcąc ci dać dowód mojego przywiązania, ofiaruję spisane moje prelekcye, uwagi, spostrzeżenia; przydadzą ci się niezawodnie i pewny jestem, że z nich korzystać nie omieszkasz.“ To rzekłszy, oddałem mu seksterna własną ręką zapisane. Przyjął je z wdzięcznością, pocałował w ramię, i kiedym wychodził, podziękował i aż na schody odprowadził.

Szkoda mi go, pomyślałem wracając do domu. Dobry chłopiec, zdatny, potulny, usłuchany, ale ta nieszczęsna poezya głowę mu całkiem zawróci.

W kilka dni późniéj, po wieczerzy, rozmawiając z nim w tym samym przedmiocie, zbijając o ile mógłem wzrastający poetyczny nałóg, jak go wtedy zwałem: „Panie prefekcie, zawołał, powstajesz przeciw poezyi, a ręczę, że sam wiersze piszesz!“ Zarumieniłem się nieco: bo mnie jakby

*) Sonet III. A. Mickiewicza.
**) Oda do młodości Mickiewicza.

na uczynku złapał; przyznałem się do winy i dowieść chciałem, że poezya dla młodego jest niebezpiecznym szałem, dla starego przyjemną rozrywką. Czym go przekonał? wątpię; ale gdy mię naglić zaczął, abym mu co z utworów moich przeczytał, dopełniłem żądania. Słuchając mojéj ramoty, uśmiechał się czasami, a gdym o zdanie pytał, (bo któryż z piszących nie ma miłości własnéj?) chwalił, niektóre czynił uwagi; on młodszy mnie starego zachęcał, poprawiał, a ja go wtedy już jak mistrza słuchałem! Byłoż to przeczucie?

Minęła zima, nastąpiła wiosna, a nic się w trybie życia *Adama* nie zmieniło. Dopełniał obowiązków swoich z najsumienniejszą akuratnością, ale zawsze smutny, zamyślony, odludek; u mnie jednego bywał, zresztą nie uczęszczał do nikogo. Już niektóre ulotne jego wiersze przebiegały z rąk do rąk, już *Warcaby* do brata, *Odę do Lelewela* napisał; powiadano, że pracuje nad ważniejszym poematem; jednak, jak jego długie wycieczki za miasto były dla wielu zagadką, co pisał, było dla wszystkich tajemnicą.

Nastąpił roczny egzamin, a po nim wakacye; młodzież się rozjechała do rodzicielskich domów, prawie wszyscy nauczyciele opuścili miasto; ja z rodziną odpoczywałem po całorocznéj pracy pod tą wiejską strzechą, a Mickiewicz pozostał w mieście.

Dowiedziawszy się, że trzech uniwersyteckich kolegów przyszło z Wilna do Kowna piechotą, z odwiedzinami do naszego Adama, chęć mnie wzięła poznania się z nimi. W tym więc celu razu pewnego pod wieczór udałem się do miasta. Zapukawszy do drzwi: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!“ rzekłem do pokoju wchodząc. „Na wieki wieków Amen,“ odpowiedziano ze środka. Adam zerwał się z miejsca, przywitał ze mną, poczém obróciwszy się do towarzyszy swoich: „Przedstawiam panu prefektowi,“ rzekł do mnie, „moich przyjaciół i towarzyszy.“ Piękna to była młodzież, śliczni kawalerowie, przyzwoici, grzeczni, uprzejmi i skromni. Wnet się znajomość zawarła; zasiedliśmy w koło prostego stołu, podano herbatę i fajki.

Spoglądając na to nowe pokolenie, słuchając ich, podziwiając trafne spostrzeżenia, głęboką a tak przedwczesną naukę, i ten pogląd na rzeczy, tak postępowy, tak zgodny z ewangielicznem słowem, z czystą moralnością, z prawdziwym duchem narodowym, serce w piersiach moich rosło, błoga przyszłość dla kraju roztaczała się przed oczami. Pomyślałem w duchu: Szczęśliwa Matko, będziesz miała z takich dzieci pociechę!

Rozmowa coraz się ożywiała, blade lica krasiły się rumieńcem, ogień błyszczał w oczach, rozpromieniały się czoła myśleniem!

Wtém Mickiewicz powstał i z pamięci opowiadać nam zaczął pierwszą pieśń *Grażyny*. Słuchaliśmy z zachwyceniem. Kiedy pierwszy każde słowo pożerał, drugi czerwienił się i bladnął na przemiany, trzeci na skrzydłach zachwytu, razem z poetą przenosił się w daleką przeszłość: widział Grażynę, jaśniejącą młodością, wdziękiem, urodą — mnie po licach spływały łzy rozrzewnienia. Poeta skończył, nastąpiło milczenie i trwało przez chwil kilka; bo każden lękał się przerwać urok, pod którym tak mu dobrze było! „*Adamie*, odezwałem się nakoniec, rok temu, powitałem ciebie kolegą moim, potem radziłem porzucić poezyą, radziłem powrót do poziomej prozy, a teraz witam ciebie pierwszym polskim wieszczem! Krańce ziemi dla ciebie za ciasne, tyś jest orłem, tobie potrzeba przestrzeni z burzą, z błyskawicą, z piorunem; twa sława dla twego kraju puścizną, a dla ciebie nieśmiertelnością!“

Północ wybiła, pożegnałem towarzystwo, a wziąwszy Mickiewicza na stronę: „Mistrzu!“ rzekłem do niego, „oddaj mi moje seksterna, moją ramotę, na nic ci się nie przydadzą. Nie mnie dawać tobie nauki, ale uczyć się od ciebie, podziwiać, uwielbiać twój gieniusz wypada!“ A uścisnąwszy go serdecznie, święty znak krzyża złożyłem na jego czole. „Seksterna twoje,“ odpowiedział, „zachowam na pamiątkę przyjaźni; rad i nauk starszego zawsze słuchać będę, a znak krzyża świętego z wdzięcznością przyjmuję, jako błogosławieństwo ojcowskie!“

Całe wakacye koledzy Mickiewicza przepędzili z nim w Kownie. Razem zwiedzali piękne okolice miasta.

Po rozstaniu się z nimi, czy ożywiony przyjacielskiéj dłoni ściśnieniem, czyli w skutek lepszego umysłowego usposobienia, mniéj unikał ludzi, w niektórych towarzystwach uczęszczać zaczął. Wszędzie zapraszany, przyjmowany, chwytany; płeć piękna czytała jego wiersze, uczyła się ich na pamięć; *Mickiewicz* był w ustach wszystkich!

Drugi rok szkólny się skończył; Adama Mickiewicza powoływano do nowego obowiązku, do Wilna. W wilią swego wyjazdu z Kowna, zaproszony przez nas został na podwieczorek do doliny. Liczne zebrało się towarzystwo płci obojéj, odgłos muzyki rozlegał się echem po bliskich wzgórzach i gajach; wesołość ogarnęła serca, rozmawiano, bawiono się ochoczo; miła i błoga panowała swoboda. Podano wieczerzę; zasiedliśmy do porozstawianych po łące stołów. Rozjaśniło się zwykle chmurne czoło poety, kiedy na prośby nasze niektóre ulotne wiersze, ustęp z *Grażyny* opo-

wiadać nam zaczął. Przy końcu wieczerzy, jedna z obywatelek tutejszych, na ten obchód przez nas na gospodynię wybrana, wziąwszy w rękę kieliszek: „Piję za zdrowie naszego wieszcza, rzekła, a zarazem wnoszę, aby dolina, którą tak polubił, kędy szukał i znajdywał natchnienia, kędy każden oddech wiatru ochładzał czoło rozognione myślami, a śpiew ptaków był jego pieśni wtórem, przezwaną odtąd została:

„Doliną Adama Mickiewicza!“

Powstaliśmy z miejsc z zapałem; spełniliśmy drogie nam zdrowie, a jednogłośnie podzielając szczęśliwy pomysł, potwierdziliśmy nazwanie, które w późne wieki zostanie relikwią przeszłości dla Kowna!

Mickiewicz ze łzą wdzięczności w oku dziękował wszystkim, ściskał podane sobie dłonie; poczem w téj tak bliskiéj chwili rozstania się z nami, w chwili oddalenia się od miejsc tak ukochanych, kędy tyle przemyślił, tyle przedumał, tyle przetęsknił, gotując się do przyszłéj walki, która się chyba po za grobem kończy, — raz jeszcze spojrzał na swoją dolinę, a w jego spojrzeniu ostatnie było pożegnanie; już jéj więcéj nie miał oglądać!

Przygoda podróżnika.

„Muzamerit“ Lucyana Siemieńskiego.

(Str. 219.)

— Cóż ci to Moszku? — zapyta przerażona marszałkowa; więc ci wszystko zrabowano?

— Chwała Bogu, mnie nic, ale Jasnéj Pani.

— Jakto? mnie? — mów kiedy, co, jakim sposobem?

— Zaraz ja opowiem — a to tak: — tu wciągnął dostateczną ilość powietrza na całe opowiadanie. — Dziś rano do świtu ktoś puka w okno i każe wynieść sobie gorzałki. — Wstaję, wynoszę; był to Ostafi, ten stary wojak, a z nim jakiś drugi, niby dworski, miał bowiem pstrokatą chustkę i kusy kożuszek... ja sobie myślę, co ich za czort zbudził tak rano przy święcie. Aż widzę, że mają ze sobą motyki i rydle. — A wy dokąd Ostafi? — zapytam. — Idziemy szukać, cośmy nie zgubili! — odpowiedział, i poszli. Mnie zaraz coś zakłuło. — Budzę belfera i każę mu schyłkiem koło płotów skradać się za nimi. Mija godzina — mija druga, zaczynam być niespokojny, czy mego żydka gdzie nie sprawili, aż to on przybiega zdyszony i powiada: jak

poszli na *horodyszcze*, tam, gdzie to pieniądze się palą — jak ten obcy to wszerz, to wzdłuż chodził, a rachował kroki, a zapisywał, a potém zaczęli coś szukać od kopca do kopca, nareszcie kopać, kopać głęboko, aż natrafili na kocieł pieniędzy... Ostafi nie tyle, ale ten *drugi*, to słyszę, aż skakał a klaskał w ręce, a krzyczał, by opętany: oto mi skarb! — Jak mi to żydek rozpowiedział, za głowę się łapię, drę pejsy i sam nie wiem co począć: czy dać znać do przysudztwa, czy do dworu, czy samemu się chwycić do nich. — Gdy znowu zastukało do okna — patrzę, to był Ostafi, ale już sam i mówi: Arendarzu, zmieńcie mi te dwa srebrniki!

— A zkąd wy je wzięli?

— Znaleźli my.

— A dużo takich?

— Tylko dwa.

— Breszesz, pomyślałem i rzuciłem mu złotówkę, a sam co tchu do dworu, żem omal patynków nie zgubił.

Skończywszy swoją relacyą, wyjął na świadectwo dwie sztuk monety i podał Labemu. — Labe wziął okulary i przeczytał: „*Johannes Casimirus.*“

— Johannes Casimirus? — powtórzyła marszałkowa, ach! to nasze pieniądze — dziad nieboszczyk mojego męża, miał na chrzcie Kazimierz.

— Po ekonoma! po sprawnika! — wołali wszyscy.

Niebawem stawił się wąsaty i groźny z charapem podstarości.

— Każ aspan natychmiast stanąć dworskim kozakom, — rzecze marszałkowa, — pojmać, tłuc kijem, póki się nie przyzna!

— Kogoż jasna pani? — i już rękę wyciągnął po kołnierz żydowski.

— Arendarz obeznany z żelazną ekonomską prawicą, odskoczył, jak oparzony. — Wszyscy zaśmiali się serdecznie, i ledwie wytłomaczyli, kogo pojmać i jaki skarb odebrać.

W ciągu odbywającéj się wyprawy, marszałkowa ze swoją świtą, tworzy obszerne plany: jeżeli to będzie z dwakroć, tedy jedzie z całym dworem do Paryża; jeżeli sto tysięcy, do Petersburga; mniéj do Warszawy, lub do wód zagranicznych. — A jakie powozy posprawia, jakie szale, jakie brylanty! — Syn w początku chciał ostrzedz owego winowajcę, ale na tak świetną przyszłość, jaka z nabyciem skarbu rozwija się przed nim, ostygł w dobréj chęci, równie z drugimi niepokojąc się o pomyślny skutek wyprawy. W tém prędzéj, jak się spodziewano — wjeżdża ekonom

przez bramę, wiodąc za sobą powiązanych brańców pośród kozaczéj hałastry.

— A gdzie pieniądze? Czy są pieniądze? — wołała marszałkowa, wylatując bez czepka na ganek; jaka summa? czy jest i złoto? — Ekonom nic nie odpowiadając, zdejmował z bryczki ogromny garnek.

— Ostrożnie! wołał podróżny, — tylko ostrożnie: bo skarb nieoceniony.

— Pełny? — pytała pani skwapliwie, aż jéj się oczy świeciły.

— O pełny! — odrzekł ekonom, stawiając przed nią, — ale *popiołu!*

— Marszałkowa, jakby w nią piorun trzasł, zbladła, posiniała, i trzęsąc się ledwo mogła wymówić:

— Złodzieje! już skradli! — Pod knuty! w Sybir! a aspana na gałąź. Widać, że w zmowie ze złodziejami. O ja nieszczęsna wdowa! Tu w uniesieniu kopnęła garnek, który się rozsypał.

— Na to podróżny, wyrywając się z pośród swych stróżów, wznosząc ręce do góry:

Cóż ci ten garnek zawinił niewiasto? — mówił prawie ze łzami, — czy wiesz jaka wartość całego *żalnika z popiołem?* czy wiesz, żem tyle mogił od Wołgi do Bugu przekopał, a nigdzie nie mogłem *całego* natrafić? Ach! stokroć wolałbym, żeby na mnie twoja złość się wywarła, niż na tym pomniku *słowiańskiéj Tryzny!*

Kiedy ta osobliwa przemowa pana Dołęgi zastanowiła wszystkich, a nawet samą panią, która powoli przychodząc do opamiętania się, postrzegała popełnioną mniéj więcéj grubą niedorzeczność — dał się słyszeć gościńcem brzęk kół okolczyka.

— Kapitan sprawnik jedzie! — gruchnęło po dziedzińcu.

— Czy ten nie będzie miał uncyi zdrowego rozumu! — powie podróżny, tak głośno, aby mógł usłyszeć nowo przybyły.

— Co to za sprawa, o co rzecz chodzi? — zapyta urzędnik uprzedzony już o wszystkiém od czynnego arendarza. — Lecz gdy z pomięszanych opowiadań nie mógł się wątku domacać, postanowił na gruncie odbyć śledztwo. Podróżnego najpierwéj wezwano. Stanął, i nic nie mówiąc, wyjął papiery, które wręczył sprawnikowi.

— Co widzę! — mówił tenże, powstajac z uszanowaniem, — pismo polecające od kanclerza Rumiańcowa! Paszport wolnego podróżowania po całym imperium w celu poszukiwań starożytnosci słowiańskich! Niech pan przebaczy, że może uchybiłem, ale niewiadomość grzechu nie

czyni, zwłaszcza w urzędzie. — Co zaś do postępku pani marszałkowej, — tu przymrużył oko i palce zakrzywił, — możnaby ją pociągnąć za gwałt publiczny. — Z wszystkiego kwituję, — odrzekł z dobrocią pan *Zorian Dołęga Chodakowski*, który rzeczywiście nazywał się *Adam Czarnocki;* — niech tylko Ostafiemu ani włos z głowy nie spadnie, a mnie niech wolno będzie jeszcze między mogiłami takiego garnka poszukać!

I na tém koniec przygody, z któréj podróżny nasz tyle zyskał, że z zebranych podań, dobudował ów nieporównany poemat: — *Rozprawę o słowiańszczyźnie przedchrześciańskiéj.*

Potęga muzyki.

Przez Karola Libelta.

(Str. 221.)

Alexander Stradella urodził się w Neapolu w XVII. wieku. Był najbieglejszym skrzypkiem swego czasu; powszechnie we Włoszech zwany: *Apollo della Musica.* Nabywszy już głośnej sławy w ojczyźnie, odbył pierwszą podróż swoją artystowską do Wenecyi, i grał tam koncert na skrzypcach. Był to człowiek głębokich uczuć, porywającej imaginacyi, ale szpetny z twarzy, i niezgrabny w ruchach i postawie. Na pierwszy rzut oka odrazę sprawiał; tylko płomienne czarne oko, bardziéj jeszcze kruczemi włosami zaciemnione, niezwykłym migało połyskiem i niezwykłego wróżyło człowieka. Atoli gdy skrzypce ujął w ręce, przyparł szczękę do piersi, i długim, jasnym pociągiem smyczka, ze czworostrunu pierwsze w duszy zabrzmiały mu tony, od razu zrosł w jedno z instrumentem swoim, i jakby żyłą pulsową od serca idącą, o którą skrzypce opierał, tchnął życiem w drzewce i struny. Tak przelewały się z piersi jego uczucia w instrument, i odwrotnie tonęły do piersi, i unosiły duszę całą. Oblicze rozpromienione w regularne i miłe ułożyło się rysy, i niebiańska jakaś z nich biła rozkosz. Postawa urosła, ruchy ciała spysznialy, widać w nim naraz było królującą powagę mistrza, wszechwładzcę tonów, potężnego naczelnika muz nadobnych.

W tych to uroczych chwilach zachwycał, porywał w niebiosa słuchaczów. Tysiące osób jakby jedném uchem go słuchało; wszystkie inne zmysły w osłupieniu milczały, a myśli po słuchu w dziewiąte unosiły się nieba. W takich to chwilach, w których się dusze słuchaczów z duszą artysty zlewały, pokochała Stradellę piękna Wenecyanka,

córka wysokiego urzędnika, zaręczona już z Fernandem, młodzieńcem znakomitego rodu. Nie było piękniejszéj na wytwornym dworze Doży, ale i nie było kobiety tak czułego serca. Po za powierzchowną udatnością oko jéj szukało w mężu serca, lgła nie do marnych ziemskich błyskotek, ale do rozkoszy niebiańskich, czystych, niepokalanych, owego rozrzewnienia z nadmiaru przyjemnych duchowych wrażeń, owego upojenia duszy zachwytem dla szlachetności i uczuć silnych, podziwem dla talentu. Ona uczuła całą wielkość *Stradelli*. Tony, które z instrumentu wydobywał, były dla niéj, jak spowiedź, jak pieszczoty pierwszéj młodości, i tonęły w głąb duszy rozmarzonéj, i rozpłomieniły gwałtowny żar serca. Stradella udał się do Rzymu; ona umkła z domu rodziców i poszła za nim. Okrzyczano Stradellę za uwodziciela, a narzeczony przysiągł rozżalonemu ojcu, że się pomści jego i swojéj hańby, i żelazo w piersi zdrajcy utopi.

Właśnie Stradella w stolicy katolickiego świata wielkie swoje oratorium „*San Giovanni Battista*“ w kościele świętego Jana wykonywał. W czas jeszcze przybywa tam młody Wenecyanin, uzbrojony puginałem i wolą niezłomną zbroczenia go we krwi rywala. Już brzmią mury świątyni rozgłosem licznych instrumentów i śpiewów. Fernando stoi oparty o filar kościoła, a o jego serce zemstą zwarte, rozbijają się te przeciągłe tony i głosy, jak burzliwe fale morskie o opoczyste brzegi. Co silniejsze tylko i wrzaskliwsze wciskają się do piersi jego, i żenią z krwiołaknącém uczuciem. Ale niebawem oprzeć się natłokowi tysiącznych melodyi nie może, co niby harmonijne pienia aniołów pokoju brzmią, jakoby nie ziemskim wyrazem. Coraz ciszéj a ciszéj nucą pieśń posępną ale czułą; ostatnie już tylko pobrzmiewają kończyny rozgłosu. Pauza — i wytężone oczekiwanie. Naraz z jednego tylko instrumentu odzywa się i na przestwor kościoła rozlega ton tak czysty, tak luby, że zda się, iż anioł niewinności z niepokalanéj duszy go wylewa; drzy potém pieniem uroczém, bolejącém, i drzy serce i boleje. Wyjrzał z po za filara Fernando. To *Stradella* takie Solo na boskich skrzypcach wygrywa, a twarz jego blaskiem promiennym rozświecona pała! Zamarła w sercu zemsta, a uczucie naprzód podziwu, potém szacunku, nareszcie zachwytu i poświęcenia się dla niego wzrasta. Gdy skończył, brzmi oklaskami nawa kościoła, wieńce z galeryi na mistrza padają, a Fernando przez tłumy się przeciska i już zawisł na szyi jego. „Zwyciężyłeś Alexandrze! Twój smyczek skruszył to żelazo zabójcze i twardsze nad nie serce moje. Żyj z nią szczęśliwy!“ I odszedł.

Potęga malarstwa.

Przez J. Kremera „Listy z Krakowa.“

(Str. 224.)

Gdy *Dante* przy grzmiącym głosie swéj lutni pieśnią potężną zaśpiewał o piekle, czyścu i niebie, o aniołach i szatanach, już, jakby na pobudkę ostatecznego sądu, zerwały się Włochy, złożone jeszcze barbarzyństwa snem, a roztwierając nagle oczy, ujrzały zarazem purpurowy świt swéj sztuki w malowanych *Giotta* obrazach. Poranie nowego życia rozlało się po niwach i gajach Italii. Wtedy i promyk jeden świeżéj jutrzenki padł na skromny domek w Arezzo, kędy się chował młody *Spinello*. Zawrzała w nim dusza, zakipiała namiętnością. Był to Włoch w całem znaczeniu; co w sercu zatliło, rozgorzało płomieniem ponurym i buchło na jaw, odbijając się, niby w duszy zwierciadle, w zuchwałych i pełnych grozy figurach pędzla jego. Wnet rozbiegła się sława młodego malarza, a starzy i pacholęta, kobiety i mężczyzni rozprawiali o jego dziełach, podziwiając te śmiałe, butne i namiętne kształty jego! A dziwna też w tych postaciach żyła potęga i dziwne też o nich chodziły wieści! Czyliż on może puścił się w tropy Dantego ku progom Lucyfera, podpatrzył piekielnego gospodarza i z pod boku jego wyniósł sobie na świat wzory dla swych figur? — Bądź jak bądź, zawsze jakaś siła tajemnicza w nim parła i do pośpiechu napędzała, bo choć pędzel lotem błyskawicy ścigał myśli i uczucia mistrza, nie mógł im dostać, ani wystarczyć gwałtownemu pochodowi duszy jego. A lubo z równą szybkością wypadały z pod ręki *Spinelli* i mnichy i światowe damy, święci, cesarze i papieże, i choć wszystko już stawało się obrazem, o czém zaledwie pomyślał, — przecież z głębokiéj otchłani gorącéj wyobraźni jego coraz nowe a nowe wylatywały kształty; zaczęte, na pół dokończone rzucał, chwytając następne: bo nie miał pokoju w sobie, i coś, jak powiadano, w nim paliło. Ale w końcu *Spinello*, pragnąc, by przecież w mieście rodzinném zostawił ślady żywota swojego, zabrał się do wielkiéj roboty w kościele S. Maria degli Angioli. *Upadek i strącenie aniołów pysznych* było treścią téj pracy. — Łatwo sobie wystawić możesz gromadę złych duchów, co urosła z pędzla jego. Główną atoli figurą obrazu, i słusznie, był sam szatan robiący niby honory piekła. A zawziął się też na tego wroga naszego rodu *Spinello*, i w taką brzydotę go przystroił, jak tego jest godzien. I udało mu się — ba, obaczysz, iż mu się udało na jego biedę aż nadto —; posłuchaj tylko cierpliwie.

Zbiegała się tłumem cała okolica, by tę sławną szpetność

podziwiać, a strach brał patrząc na nią. I nikt już w obecności tego obrazu nie śmiał głośno przemówić, by licha nie budził. Kto spojrzał, to i truchlał. Rzecz cała byłaby się może na tém skończyła, i z samym djabłem byliby się może oswoili: bo najtrudniéj zacząć, a już resztę jakby znalazł. Ale cóż się stało? — Tak wiele o tym djable gadano, rozprawiano, szeptano, iż jakoś wieść o malowidle *Spinelli* doszła do piekła i ubodła do żywego stronę interesowaną. Nie wiedzieć, czy djabeł był istotnie na starość w jakichś jeszcze pretensyach, czy się obawiał wyraźnéj straty i bankructwa na kredycie, i mądrze u siebie zważył, iż zwodziciel, o którym wszyscy wiedzą że szpetny i licha nie wart: o to wszystko nie pytaj; ja o tém wiedzieć nie mogę, ani chcę wiedzieć: bo zresztą nie lubię się w takie tam rzeczy mieszać. Koniec końców, wszystko się skrupiło na biednym *Spinellu*. Słuchaj.

Jednéj nocy, gdy księżyc, niezmordowany od wieków towarzysz Ziemi naszéj, po swojemu ją kółkiem obiegał, i tak służąc pani swojéj, dowodził, że miłość na starość nie rdzewieje; gdy przy poetycznem świetle jego Italia kąpała się w srebrnych toniach obu mórz swoich, co z obu stron grą swych fal śpiewały jéj serenady swoje, a ona wiecznie młoda, wiecznie cudna, ustrojona wiankiem gajów i kwiatów, tchnęła pod ciche gwiazdy woń swoją, oddając niebu, co od nieba wzięła: *Spinello* — gdy się to wszystko działo — spał sobie snem prawego, o niczém złém nie myśląc. Aż tu nagle staje przed łóżkiem jego osobiście *djabeł;* od stóp do głów w téj saméj postaci, w któréj go był odmalował w kościele. Miał kubek w kubek ten sam wyraz fizyonomii, te same maniery, ułożenie; słowem, oryginał był, jak to mówią, z miny i czupryny tak podobny do owéj swéj kopii, jak dwie krople wody. A nuż tedy żale, nuż wyrzuty: „a ty taki, a ty owaki, gdzieś ty mnie tak szpetnym widział, co ja tobie winien, po co ty mnie na despekt malował, co ja ci kiedy złego zrobił? ty mi psujesz reputacyą i t. d. i t. d. do widzenia się!“ Przebudził się *Spinello* kąpiąc się w mroźnych potach, a w mózgu kipiało; czoło miał zimne, a głowę w płomieniach — ot, dostał pomieszania zmysłów i nie długo umarł!

Otóż widzisz, czém dla tego nieboraka był *djabeł*, tém zupełnie dla nas pospolitych ludzi są najczęściéj własnego serca *uczucia;* kto się na bacznosci nie ma, kto ich potędze rość w sobie pozwoli, kto je w sobie na oślep wychowa, toć je wnet będzie miał własnymi wrogami, stanie się ich ofiarą i będzie zabity od nich, lub przynajmniéj zaszwankuje na rozumie.

Biesiada Wyścigowców.

Z Alkhadara 1854.

(Str. 132.)

Na pierwszém piętrze okazałego domu, w obszernéj sali, którą możnaby nazwać raczéj galeryą, stało kilkanaście różnego rozmiaru nakrytych stołów. W głębi, na roścież otwarte drzwi wiodły po czterech wschódkach do przybocznéj komnaty, zajętéj przez dwa bilary, ulubioną rozrywkę gości wykwintnéj gospody.

Przychodnia na wschodach jeszcze przyjmował gwar pszczelnego rojowiska, powitania wchodzących, wykrzykniki zasiadłych, dzwonkowy dźwięk szkła, głuchy brzęk talerzy, hałaśne odpowiedzi i obwieszczenia usługujących, wystrzały szampańskich korków, śmiechy, zaklęcia, przysięgi, zgiełkliwe uniesienia i szmer półgłośnych wynurzeń.

Ku środkowi sali, w okół obszernego stołu, biesiadowało kilkunastu młodych ludzi pod przewodnictwem Kapitana Skałki.

Ci, łatwo można było poznać, przeciągnęli byli śniadanie aż do obiadowéj pory. Na stole owdowiałym z talerzy, tułały się suche ostatki uczty, po większéj części wezwane na podnietę pragnienia. Nieustraszonym szeregiem ciągnęły butelki na miejsce tych, które bez duszy już znikały próżne pod stołem, czyli jak Skałka nazywał: we spólnéj mogile różnorodnych trupów.

Za każdym kielichem przybywało wesołości i gwar się wzmagał.

Odbyto już przegląd miejskich plotek, kontraktowych wydarzeń, szczególniejszych wypadków gry, wyścigowych koni, zakładów, dowcipów, anegdot, polowań, pojedynków; Skałka zabierał się do posetnego opowiadania o bójce Wilczka z Pruszakiem, gdy w tém jeden z młodzieży rozbujany w krześle, przerwał mu gromkiemi słowy:

— Na honor Kapitanie, znamy na pamięć waleczną wyprawę, chociaż każdy jéj szczegół codzień pod nowém światłem nam się objawia. Lepiejbyś uczynił, tłumacząc nam: dla czego pomimo obietnicy Władysia nie stawił się na śniadaniu?

— Prawda!... zapewne!... Powiedz nam, gdzie podział się Wilczek?... Co porabia?... dla czego nie przyszedł?

Skałka skrzywił usta, wytrzeszczył oczy, głowę między ramiona zacisnął, dając poznać gestem, że niema odpowiedzi.

— Co w téj chwili porabia, — odrzekł Juljusz dobrze już podchmielony, — jasnowidzący mógłby wam tylko powiedzieć. Że przyjdzie, — nie wątpię. Musiała go zajść ważna przeszkoda.

— Przyjdzie, wieczorem... jutro!... jak się wszyscy rozejdziemy. Przecież nie zapomniał, że na jego cześć wyprawiamy śniadanie?

— Pamięta, doskonale pamięta, — ciągnął Juljusz. — Wszakże mówiłem, że zapowiedział przybycie nowego członka do naszego towarzystwa.

— Prawda! krzyknął Kapitan uderzając się w czoło; przeklęta pałka!... Pamięć w niéj wietrzeje, jak wino w odetkanéj butelce. Dziś z rana na własne uszy słyszałem; sam mówił mi, że przyprowadzi gościa.

— Kogóż takiego?

— Nie wymienił; dodał tylko, że nowy koleżka należy do jednego z najznakomitszych rodów.

— Bah!... drwił sobie, żartował.

— Bynajmniéj! słowem honoru ręczył za prawdę; przysięgał, że gość z głęboko szlachetnéj krwi; że sam Cesarz nie odmówiłby mu pochlebnego przyjęcia.

— Widziałeś go na własne oczy Kapitanie!

— Nie; nikt go jeszcze nie widział ani we Lwowie ani nawet w Wiedniu.

— Nikt?

— Żadna żywa dusza; nikt co się nazywa. Powtarzam słowa Władysia.

— Cha, cha, cha!... Wyśmienity żart!... jakąż drogą personat przedarł się do Galicyi; przecież nie spadł z obłoków?... Gdzie mieszka — we Lwowie... w powietrzu, — na chmurze?... pod którym numerem?... Ach, Kapitanie, umrzesz na łatwowierność.

Skałka chciał odeprzeć zarzut, gdy wtém na dole domu a wkrótce potém na wschodach, wszczął się niewypowiedziany łoskot. Trzęsły się okna, dzwoniły szyby, drżała posadzka, chwiała się budowa, słychać było przeraźliwy łom desek i huk ciężkich uderzeń, niby na okręcie śród nawałnicy daleki głos gromu.

Lud kupił się na ulicy i rzecz dziwna, wesołe podnosił okrzyki. Obecni umilkli, osłupieli na chwilę. Za nim atoli kilku bliżéj siedzących dośpiało poskoczyć ku progom, drzwi z trzaskiem się otwarły:

Wszyscy rzucili się ku wejściu.

Z parskającemi nozdrzami, z zadziwioném okiem gazelli, pokazała się naprzód piękna głowa konia, a tuż za nią jeździec i reszta ciała zwierzęcia niepospolicie wytwornych kształtów.

Grzmot okrzyków, jakby z jednéj piersi wyrwanych, rozbił się o ściany i pędził na miasto.

Hurra!... wiwat!... niech żyje!... wrzeszczano na całe gardło; miotano w górę butelki, talerze, serwety, czapki, kapelusze, włażono na stołki, ściskano się nawzajem, odchodzono prawie od zmysłów.

Szlachetne zwierzę, z wyciągniętą szyją, z rozdętemi nozdrzami, słuchało odurzającego łoskotu przypominając sobie może pierwsze wrażenia przeprawy z rodzinnéj Brytanii.

Wilczek postąpił ku środkowi, niby posąg Marka Aureljusza; wyciągnął dłoń nad głowami tłumu do stóp mu przypadłego; dał znak, że chce mówić.

Umilkli.

— Wdzięczen jestem, — rzekł, — za łaskawe przyjęcie, jakiego doznaje *Lord Godolfin*, którego mam zaszczyt przedstawić szanownemu towarzystwu. Panicz ten jedzie prosto z Anglii; wczora wieczorem przybył dopiero do Lwowa. Cieszę się, że zaraz przy pierwszém spotkaniu nabędzie o Galicyi korzystnych wyobrażeń.

— Niech żyje Godolfin!... Zdrowie Godolfina!... Godolfin *for ever!*... — krzyczano na zabój.

— Hej, wina, kieliszków!... Niech djabli go porwą, jaką piękną ma głowę!

— Co za oprawa oka!

— Szkoda że trocha więcéj nieosadzony na zadzie!

— Pleciesz; angielska krew nie arabska! Widziałeś kiedy konia wyścigowego osadzonego inaczéj?

— Ho ho hooo!... wiiiiiiwat Godolfin!

— Co mówisz; gdybyś miał takie nogi?

— Skoczyłbym z kościoła ś. Szczepana.

— Niech go nie znam, jak uszkiem strzyże!... Co za pierś!... jak u Trytona.

— Niech żyje Godolfin!

— Zdrowie Godolfina w ogólności i każdego z jego członków po szczególe!

— Cha, cha, cha!... wyśmienita myśl!... zdrowie kopyt!

— Niech żyje ogon!

— I diamenty oczu!

— I jedwab grzywy!

Takie wykrzykniki krzyżowały się, podczas gdy jeździec rozdawał dokoła uściski dłoni i starał się odpowiadać na tłum zapytań względem ceny, miejsca urodzenia, podróży, rodowodu konia, wieku i t. d.

Szampan tryskał strumieniem; za każdą butelką rozlegał się okrzyk na cześć konia i jego właściciela.

Trzeba było podziękować.

— Hej, służba, podać mi Wilczka! — krzyknął bohater zgromadzenia.

Pod tym nazwiskiem znany był w gospodzie ogromny

kielich, który z łatwością chłonął w siebie butelkę a nawet i więcéj.

Wilczek napełnił imiennika po brzegi, wspiął się na strzemionach, podniósł kielich w górę:

— Godolfin, — rzekł, — serdecznie dziękuje za życzenia i nawzajem pije za zdrowie przyszłych wyścigowych spółzawodników i szanownych ich właścicieli.

To mówiąc zbliżył naczynie do ust, chylił w tył głowę i niebawem suche dno obecnym pokazał.

Zagrzmiały oklaski, krzyki, wiwaty.

— To niedość, Władziu! — wołał Skałka, — jak cię kocham!... słowo honoru!... każdy za siebie! Od ciebie i za ciebie tylko przyjmujemy odpowiedź. Z Godolfinem jeszcze nie kwita.

Kilku z młodzieży uchwyciło konia za nozdrze, otworzyło mu pysk, podczas gdy Kapitan wlewał mu w gardziel bełkocącą butelkę szampana.

— Brawo, Kapitanie!... Niech żyje Godolfin i jego podczaszy!

— To mi polska gościnność!... Niech zna Angielczyk, jak u nas piją!

— Winem, owsem i solą, ludzie koni niewolą!

— Niech *milord* pozwoli serwetą buzię sobie obetrzeć; znamy się na wyspiarskich zwyczajach.

— Może piórka do zębów?

— Skąd wiesz że Jego Wielmożność już po obiedzie? bierzesz go za głodnego eleganta?

— Cha, cha, cha!... komedya, na honor... skonać od śmiechu!...

Milord tymczasem przeżuwał w myśli rozmaite uwagi. Obfite użycie napoju dość mu przypadało do smaku, chociaż poprawdzie byłby może wolał Porto lub Maderę. Zgiełk atoli, zamaszystość galicyjskiéj *gentry*, niemile raziły angielski takt w postępowaniu i przyrodzoną oziębłość. Zaczynał się niecierpliwić, bił w posadzkę kopytem.

Jeździec zrozumiał życzenie, cofnął trochę milorda, dotknął ostrogą, ściągnął cuglami do góry.

Godolfin wyprostował się jak świeca, chwiał przedniemi nogami w powietrzu, wypędzał na skórę sieć marmurowych żyłek.

Wilczek pochylony na grzywę obrócił go na tylnych nogach, jako na panwiach, spuścił na ziemię, pogłaskał mu szyję i ruszył ku wyjściu.

— Do widzenia!... — wołano; — obaczymy się na przyszłych wyścigach!

— Goddam!... może też i nasze szkapy zdążą za tobą.

Milord perjodycznemi stępy rozbijał schody; czuć było zakłopotane kroki i niepewne dudnienie tylnych kopyt.

— Rule Britannia! krzyczano z francuzkim akcentem; cieśle i stolarze nie zginą przy tobie z głodu!

— Słowo honoru, zabije się!... Słyszycie?... poręcz pękła!

— Wszelki Duch Pana Boga chwali!... potknął się, padł!... hola!... chodźcie tu!... na pomoc!

Wilczek już był na ulicy i wesołéj czeredzie od ust przesyłał pozdrowienia.

Obiad czwartkowy.

Przez Franciszka Karpińskiego; z pism Klem. Tańsk.

(Str. 211.)

„... Byłem nareszcie i ja na jednem z owych posiedzeń czyli *Obiadów czwartkowych*, u króla Stanisława Poniatowskiego, o których marzyłem w snach moich śpiąc i na jawie, do których należeć, sądziłem być najwyższym zaszczytem. To szczęście tak oddawna żądane, a którego użyć na chlubę moję wcale nie umiałem, wczora mnie spotkało.

Blisko od tygodnia w Warszawie, zaraz po przyjeździe starałem się być przedstawionym królowi i złożyć mu dzięki za wyświadczone mi dobrodziejstwo. Pierwsze udało się; byłem na pokojach w niedzielę; król przyjął mnie uprzejmnie i łaskawie; ale co o wdzięczności, ani słowa wspomnieć nie dał, owszem przepraszał, że dary jego tak późno mnie doszły. — Historya wyda kiedyś bezstronny wyrok o Stanisławie Auguście; bardzo wiele mu zarzucić będzie musiała; i dziś ma on już sobie przeciwnych; ale ktokolwiek do jego towarzystwa jest przypuszczony, kto doznał jego dobroczynności, ten koniecznie powiedzieć musi, że trudno wystawić sobie uprzejmiejszego monarchę, któryby lepiéj znał się na ludziach, delikatniéj dobrze czynić im umiał, zgoła wyborniejszego ich *mecenasa*. Gdy wychodząc z pokojów, koło mnie przechodził, rzekł łaskawie: „Proszę zawitać na posiedzenie czwartkowe.“ Te słowa niespodzianie w obec tylu wyrzeczone świadków, przejęły mnie radością; skłoniłem się nizko, a dostawszy nazajutrz formalną na czwartek inwitacyą, starałem się dowiedzieć, kto na ten obiad wezwany? do kogoby się przyczepić? Ponieważ nie w jednem miejscu od dzieci i od starych, od panów i ubogich, ten dobrze widziany i przyjęty, kto z pełnemi rękami przychodzi, umyśliłem na ów mądry obiad przyczepić się

do *Zabłockiego*. Jakoż i on chętnie na to przystał. *Z Zabłockim* znam się niedawno; młodszy jest odemnie lat kilkanaście, wabi mnie jednak ku niemu skłonność taka, jak gdybyśmy chowali się razem; on jest dowcipny, wesoły, nawet krotofilny, zwłaszcza między swymi; ja przecież dostrzegłem pod tą ucieszną barwą smutek ukryty i rzewność myśli. I może to ze mną podobieństwo skłonności całéj przyczyną. Człowiek rad widzi podobnych sobie. Zabłocki, który ledwie ma lat dwadzieścia i kilka, piękną już pozyskał sławę. Jest dotąd a może będzie najcelniejszym *pisarzem Polski komicznym*. Łączy znajomość sztuki dramatycznéj i serca ludzkiego; panem jest języka, którym włada według woli a zawsze szczęśliwie. Król zowie go swoim *Molierem*; bardzo jego prace lubi, i nawet, co nie zawsze drugim pisarzom uchodzi, gminnym i swawolnym być mu pozwala. Jest to może przywilej po mistrzu; a Stanisław August, któryby dosyć pragnął wyjść na Ludwika XIV., może nie śmie delikatniejszych od niego mieć uszów. Niedawno Zabłocki dostał medal z napisem *merentibus*, dotąd znakomitszy od wielu orderów, bo nie tak pospolity. Bardzo więc byłem rad temu, że taki nawinął mi się przewodnik; i z większą jeszcze niecierpliwością, bo pewniejszy powodzenia, oczekiwałem owego Czwartku. Nadszedł: — o trzy kwadranse na drugą ruszyliśmy remizą, w mundurach województw naszych, wyfryzowani i wypudrowani, przy szpadach; zdawało mi się żem podrosł, bo na wszystkich, których spotykaliśmy, patrzyłem z góry. Wjechawszy na dziedziniec, stanęliśmy przed korpusem zamkowym i weszli na marmurowe schody, które lubo bardzo piękne i eleganckie, nie są przecież wspaniałe. Rozstawiona służba pokazywała nam z kolei dokąd udać się mamy. Prześliśmy pokojów kilka; każdy z nich tchnie tym gustem, który wielkie i drobne dzieła, pod okiem Stanisława Augusta wykonane, odznacza. Posiada on bowiem ten przymiot w najwyższym stopniu; dostał go od natury, rozwinął sztuką, zapatrywaniem się na piękne wzory, i stolica długo jaśnieć będzie tém, co on w niéj zostawi. Doszliśmy nareszcie do wspaniałéj sali pędzlem *Bacciarellego* ozdobnej, drogiéj każdemu Polakowi, gdzie się uczestnicy czwartkowych obiadów zwykle zbierają. Nie było jeszcze żadnego i rad temu byłem, bom się mógł przypatrzyć pięknym, szacownym malowaniom i popiersiom, myśleć z dumą o czasach i ludziach których wystawiają. Tu Kazimierz wielki prawa swe nadaje; tu Zygmunt August hołd księcia pruskiego przyjmuje; tu pokój z Turkami przy zwłokach Chodkiewicza zawarty; tam Jan III. wjeżdża do Wiednia, a w koło na kształtnych podstawach stoją sławnych

mężów popiersia. Tu ojciec poetów a przeto i mój, Jan Kochanowski; tam chluba nasza przed obcymi, Kopernik i Sarbiewski: tu mój wzór i rozpacz moja sielski Szymonowicz; tam nasz Salomon: mądry Lubomirski. Kiedym w zachwyceniu chodził od obrazów do popiersiów, więcej tym jeszcze się przyglądając, stał się jakby cud. Jeden z nich ożywiony, stanął przedemną. Był to *Naruszewicz*, którego Król dosyć uczcić nie może. Nad wszystkich żyjących i zmarłych Polaków chciałby go przenieść. Nie przeczę wielkim talentom Arcybiskupa Smoleńskiego, ale pomimo dworskich pochwał, popiersia i medalu, nie mogę kłaść go wyżéj od Sarbiewskiego, a w równi z Krasickim; złe języki mówią, że pochlebstwo tak wysoko go podniosło i trzyma. Jeżli tak jest, to kiedykolwiek spadnie! Pochlebstwa są sztuczne skrzydła. .. Ale jeżli spadnie jako poeta, Proza utrzyma go zawsze w świątyni sławy i prace jego historyczne wiecznie trwać będą. O nich też mówiłem mu cokolwiek a przynajmniej mówić chciałem (gdyż zbliżył się do mnie); bo choć już parę razy byłem u dworu, i oddawna z wielkimi panami przestaję, jeszczem nie dworak i podobno nie będę nim nigdy. Mniej będzie na starość chleba, ale cnoty więcej. — Wnet po Naruszewiczu, przybył *Ignacy Potocki*, ów obywatel prawy, człowiek światły, uczony, dobrze myślący, przyjemny, który cnoty domowe i publiczne połączyć umie, a którego los tak srodze w najdroższych prześladuje związkach. Smutek był na jego twarzy. I smutek, który, jak nudy, rodzajem jest zarazy, wszystkich nas przejmować zaczynał, kiedy wpadł wesoło młody, dorodny mężczyzna i wszystkich ożywił. „Co za pomyślne zdarzenie! — zawołał kłaniając nam się i modnie i grzecznie — wszakci to Pan *Bielawski* nie długo przybędzie? Nie mógł mi Król JMC. większéj sprawić przyjemności jak wzywając mnie z nim razem.“ — „Nie dla twoich to pięknych oczu, Starościcu — powiedział Naruszewicz — ale Króla bawią czasem wasze spory.“ — „Ciekawybym był jednak — ponowił przybysz — jak Bielawskiego głupi żołądek, strawić może mądry obiad czwartkowy; on kiedy umrze z indygestyi w piątek, a ja na grobie jego ten epitaph wyryję:

Tu leży Bielawski — szanujcie te cisze:
Bo jak się obudzi, komedyą napisze.“

Mimowolnie rozśmieliśmy się wszyscy, nawet smutny Potocki; a ja choćbym go nie był widział dawniéj, po tych słowach i wierszach poznałbym *Kajetana Węgierskiego*. — Szkoda tego młodzieńca — szepnął mi Zabłocki — on złą drogą idzie, a dowcip ma wielki. Wolter zawrócił mu głowę, chce być *polskim Wolterem*. Nie mogąc w dobrem mu sprostać, w złem go naśladuje. Bielawski, prawda że to czło-

wiek zarozumiały; nie może tego zapomnieć, że był autorem pierwszéj komedyj granéj przed Królem przy odrodzeniu się teatru polskiego; prawda, że mówią, iż nieco ma być chciwy, służy panom za przedmiot zabawy a dukaty od nich łowi; prawda, że nie tęgi poeta, ale przecież nie godzi się tak z nikogo szydzić; zwłaszcza kiedy ten przeciwnik cichy i nieśmiały, odcinać się nie umie.... Ale otóż wchodzi.“ — Jakoż drzwi się otworzyły i wszedł chudy, wysoki, pokorny mężczyzna; a nie mówiąc i słowa, kłaniał się wszystkim uniżenie, a Węgierskiemu najniżej. „Cieszę się ze zdrowia dobrego, Mości Panie *Bielawski* — wyrzekł zadzierając nosa *śpiewak Organów* — widać że rumatyzmu w krzyżach niema, żeś odpoczął po *rzezi Humańskiéj*. Śliczneż to poema! a kiedy wyjdzie? bośmy już pieniądze na prenumeratę złożyli?“ — „Wkrótce“ — odpowiedział Bielawski, rąk zacierając. A teatrum kiedy będziemy mieli, wszak WCPan otwierasz nowe? — „Chciałbym — odpowiedział Bielawski, — podnosić coraz bardziej sztukę dramatyczną w Polsce ale jeszcze mi się nie bardzo powodzi; myślę Najjaśniejszego Pana błagać o pomoc....“ — „Gdybym miał jakie znaczenie u Króla JMCI, użyłbym go chętnie w tak pięknéj sprawie — przerwał Węgierski; — smutne też czasy, już dawno w stolicy śmiać się z czego nie było. Ale mam obiecaną szambelanią, wtedy bliżéj monarchy, nie przepomnę teatrum WCPana.“ — Kiedy tak mówił prędko, a Bielawski myślał pomału czy i jak się odciąć, weszło razem dwóch exzwolenników Loyoli. Oba poważni; a jeden już sędziwy; pierwszym był znany mi dobrze *Karól Wyrwicz*, ów autor pierwszéj w języku ojczystym jeografii politycznéj, krytyk trafny i biegły; drugim, *Franciszek Bohomolec*, który to prócz innych dzieł historycznych bardzo gruntownych, pierwszy w języku polskim komedye pisać zaczął; naprzód jedynie dla młodzieży szkólnéj, któréj był nauczycielem, a potém dla wszystkich, i to obficie. Ich przytomność nie ukróciła języka *Węgierskiego*. „Ale, ale Mci Panie Bielawski — powiedział na głos — mam też do WCPana Dobr. wielką prośbę.“ — „Rozkazać proszę!“ rzekł tamten. — Oto chociaż ja nie Król, chciéj na moję instancyą wydać jeszcze jednę komedyą, ale w ten sposób: Weź treść z Moliera, niech ci Potocki z Wyrwiczem rozkład zrobią, Karpiński da rymy, Zabłocki wiersz napełni, i napisz u spodu, pod tytuł (którego inwencyą ja na siebie biorę): *Na prośbę JMCPana Kajetana Węgierskiego Starościca, nie pisałem wcale téj mojéj komedyi.* Obiecuję ci sutą subskrypcyą, sam ją zbierać się podejmę.“ Jeszcze to mówił, kiedy hałas dał się słyszeć; podwoje otworzono i Król wszedł. Nie jest on wzrostu

bardzo wysokiego, ale tak szlachetnéj i znaczącéj postawy, oczy jego czarne są tak piękne i ujmujące, rysy twarzy tak regularne, i cały układ tyle miły i poważny, że chociaż ubiór przepychem oczu na siebie nie zwraca, natychmiast między dworzanami rozeznać go trzeba. Miał na sobie mundur kadecki, order orła białego, a na szyj orzeł pruski; nosi go zawsze z téj przyczyny, że dostał go nie będąc królem i dla tego jest mu miłym. Dosyć liczny otaczał go orszak; doktor naddworny *Bekler*, adjutant na służbie będący, dwóch szambelanów, uczony *Wybicki* i wyszarmantowany *Kownacki;* dwóch paziów, piękny *Narbut*, śmiały i figlarny *Turkuł*. Stanęliśmy wszyscy rzędem. Król do każdego przystępował, każdemu coś uprzejmego powiedział. Kiedy na mnie kolej przyszła, wyrzekł łaskawie: „Witaj między nami i bądź posiedzeń czwartkowych ozdobą!“ Przyszedłszy tak koło nas, udał się do pokoju, gdzie stół był nakryty i my za nim poszli. Przechodziliśmy przez inny bardzo zajmujący, w którego ścianach wykładanych marmurem krajowym, oprawiane są w złoto portrety wszyskich królów polskich pędzla Bacciarellego. Jedliśmy zaś w pokoju obok będącym, żółtym adamaszkiem wybitym, gdzie są znowu portrety tych, których Król od początku przypuszcza do uczonych obiadów. Stół był okrągły, na dziesięć osób nakryty; koło Króla, po obu stronach, bardzo szerokie zostawione miejsce, daléj stołek obok stołka. Król usiadł, stanęła koło niego i za nim dworska służba, szambelanowie, pazie; stanął opodal Lociński, podczaszy, w polskim stroju, poważny, właśnie jak na podczaszego przystało. Król wezwał koło siebie *Naruszewicza* i *Potockiego*, my umieściliśmy się jak któremu wypadło; jam usiadł między *Zabłockim* i *Wyrwiczem*, wprost portretu Konarskiego, który mi jest wielce drogi. Ledwośmy posiadali, i wraz nam było, kiedy Król powiedział: „Coś dziś szeroko u stołu mego, trzeba tu kogo jeszcze wezwać. Mości Panowie zsuńcie się! Gdy Król zobaczył, że zrobiło się miejsce jakie takie: „Proście Pana Szambelana *Wojny*, — powiedział, — on tu nie zawadzi. Pan *Węgierski* i *Bielawski* wpuszczą *Wojnę* między siebie.“ — „I *tak* już jest oddawna między nami!“ powiedział śmiało Węgierski. Rozśmieli się wszyscy nawet Bielawski, który zwykłym sobie cichym głosem tak się odezwał: „Kiedyć ma już być koniecznie *Wojna* między nami, niechże takiego będzie rodzaju!“ — „O prawda; — dodał Król — bodaj innych nie bywało!“ — Tymczasem zupę rozdali; był to barszcz wyborny z uszkami, tryumf pierwszego kucharza królewskiego *Tremona*, który chociaż Szwajcar, doskonale wszystkie potrawy polskie przyprawia. „Założyłbym się że w tym bar-

szczu więcéj niż dwa grzyby! — powiedział Węgierski zbierając brząkającą łyżką ostatnie krople z talerza. — „Nie zupełnie taki musiał być barszcz u ojców naszych, jeźli tylko jeden kładli!“ dodał Wojna. „Nie zazdroszczę im téż wcale, ponowił tamten a i dla barszczu i dla wielu innych rzeczy:

Bardzo mi jest miło,
Że dziś mi się żyć zdarzyło.“

„Szczęśliwy humor! — rzekł poważnie *Wyrwicz* — bodajbyś, mój Starościcu, po najdłuższem życiu to samo powtórzył.“ — „Smutne myśli dobywać przy stole jest to samo co w przedpokoju dobywać szampana — odpowiedział żywo Węgierski. — „Zły użytek *Wyrwicza!*“ dodał śmiejąc się Naruszewicz; a w ciągu téj ucinkowéj rozmowy wysypały się jakby z rogu obfitości różne przysmaki; wędliny, marynaty, kiszki, kiełbasy, paszteciki różnego rodzaju; wszystko wykwintne i wyborne i dla smaku i dla oka. Król brał ledwie nie z każdego półmiska, jadł jakby nie smakując, ale dużo i nadzwyczajnie prędko. Podczaszy Lociński nalał Królowi drugi kieliszek wina i nasze powtórnie napełnione zostały; rozszedł się zapach rozmaicie przyprawianych sztuk mięsa; służba pokrajawszy je subtelnie, zaczęła roznosić. Jeden z nich, ogromny dźwigając półmisek, podając go Królowi, wyrzekł uroczyście: *Baran!* Król odpowiedział wykrzyknikiem, *A!* i tak działo się z kolei naokoło całego stołu; a przez minut kilka wyraz *Baran!* i wykrzyknik *A!* jedynie były słyszane; każdy zaś nakładał kopiaste talerze, jadł i chwalił. Spytałem się Zabłockiego, coby to znaczyć miało; czy to ceremonia jaka? „Nie — odpowiedział — ale Król nad wszystkie mięsiwa baraninę przekłada, codzień musi być na stole jego, a że Tremon tak ją przyprawą odmienia, iż czasem trudno poznać, co to jest: mają rozkaz roznoszący oznajmiania w takim razie godność półmiska podawanego każdemu, a każdy jak widzisz, raduje się, bierze, je i chwali.“ Król właśnie coś do mnie przemówił, jam nie zupełnie usłyszał a pytać się nie śmiałem; skłoniłem się więc tylko i przebąknąłem kilka słów niewyraźnych, bez związku; za co dotąd na siebie się gniewam; bo czyż nie miałem tyle ułożonych w domu konceptów na każdą okoliczność? Król chcąc zapewne ściągnąć ze mnie uwagę kompanii, odwrócił się do otaczającego orszaku, a spojrzawszy na Szambelana *Kownackiego*, który stał świeży jak z igły zdięty, a pachniał jak kwiatek włoski, zapytał się czy rybacy nie wyratowali mu czego z Wisły? — „Ta kamizelka i te inne ubiory, w które się dziś wystroił — odezwał się tu Węgierski — to jedne ze stu par, co mu zatonęły; wydobyto je z brzucha szczupaka, połknął je, myśląc na te

bławaty, że to już cały Szambelan.“ — „Gdybyć choć takim sposobem jakaś partya mojéj garderoby wyratowaną była! — wyrzekł z westchnieniem Kownacki, — ale nie! wszystko stracone!“ — „I Szambelan zgubiony!“ — jęknął paź Turkuł. — „A, pierwszy raz téż głos Turkuła słyszę — wymówił Król — dla czegoż dziś takiś posępny i milczący?“ „WKMość wie, choć zapewne nie zna, jaki to skutek głód na Polaku czyni“ — rzekł śmiały paź! — „Domyślam się co to ma znaczyć. Podać mi wody.“ Podali paziowie wody, a Turkuł zawołał: „Teraz będę miał rozwiązane usta, ale teraz téż odejść muszę.“ A skłoniwszy się nam pocieszne, wyszedł wesoło wraz z drugimi; bo wiedzieć trzeba, że póty nie odchodzą dworzanie na służbie będący do marszałkowskiego stołu, póki Król tego znaku nie da. „Dobry jest bardzo zakład paziów przy dworach — powiedział Król skoro odeszli: — dwudziestu czterech dziarskiéj młodzieży dziką pustynię rozweseliby mogło.“ — „I Waszéj Królewskiéj Mości wybór paziów szczęśliwie się udaje — rzekł Naruszewicz. „Mam ich zwłaszcza kilku, których bardzo lubię — odpowiedział Król; — za dniami służby Turkuła niemal tęsknię: bo mnie jego śmiałość i pustoty niezmiernie bawią; ale są między nimi i młodzieńcy z gruntowniejszemi talentami. Nieuwierzycie MCPanowie, jak *Lesseur* pięknie rysuje. Mój *Bacciarelli* mówi, a jemu wierzyć można, że to wielki miniaturzysta będzie. Widziałem dziś jego roboty i bardzo byłem kontent.“ — „WKMość dziś długo bawiłeś w malarni? — odezwał się Wojna. „Wiele mi rzeczy pokazywał mój Bacciarelli; *Smuglewicz*, który ciągle bawi we Włoszech, przysłał znowu dowód swego talentu i pracowitości coraz więcéj włoskiém niebem przechodzi. W pracach tutejszych uczniów dostrzegłem także z radością dwa znakomite talenta: młodego *Kubickiego* do architektury, *Volga* do rysunku; obudwóch muszę wkrótce także do Włoch wyprawić.“ — „Jak téż wiele Polska w tym względzie będzie winna WKMości — powiedział tu Potocki; — prawdziwie to panowanie będzie odrodzeniem kunsztów i nauk.“ — „Widzieć piękne sztuki i literaturę na wysokim stopniu, przyczynić się do tego, jest mojem najgorętszém życzeniem — odpowiedział na to Król. — Robię ku temu co mogę, a gdyby mi kto pokazał, co jeszcze uczynić należy, robiłbym i więcéj.“ — „WKMość, jeśli sobie pozwolisz powiedzieć, za nadto już czynisz — odezwał się tu Węgierski — nie w sztukach pięknych: bo widać po owocach, że przyzwoite są koło nich zachody, ale w literaturze. Tłum pisarków od lat kilkunastu stopnie tronu WKMości codzień zarzuca szpargałami; coraz mniéj godnych przybyszów do mądrych pół-

misków przypuszczonych widzimy; (tu Zabłocki i ja zmieszaliśmy się nieco), a ty Najjaśniejszy Panie, nie odrzucasz nikogo, na wszystkich jesteś łaskawy, wszystko chwalisz. Pochwałami przecież szafować nie dobrze, zwłaszcza panom; bo wielu chwali dzieło nie dla tego że dobre, ale że się komu znakomitemu podobało, albo że autor jego zjadł obiad mądry obok Majestatu.“ — Słuchali wszyscy z niejakiem zdziwieniem téj śmiałéj i dość długiéj mowy. Jam się ledwo nie zadławił kością wybornego kwiczoła: bom myślał że to i do mnie przytyki, a Król powiedział: „Czemuż tedy WCPan Mości Panie Starościcu, nie piszesz więcéj, i nie pokażesz drugim jak pisać?“ „Od świtu do późnéj nocy próżnować, moja robota cała — odpowiedzał wesoło. — „I jeść i zapijać — dodał Wojna. — Bo w rzeczy saméj, w znacznéj liczbie półmisków potraw, jarzyn, ryb, legumin, pieczystego, ciasta, które ciągle roznoszono, on mało który opuścił, każdy dzielnie popijał, a właśnie trzymając biszkot umaczany w winie w czasie przymówki Wojny powiedział nie tracąc fantazyi: „Ja nie jestem wcale za pasterskiém, bez kuchni, życiem:

Wolę biszkopt, niż żołędzie;
Ktoś żołądź smaczną rozumiał.
Bo chleba upiec nie umiał.“

„I dajesz tego gustu swego oczywiste dowody — rzekł ze śmiechem Naruszewicz — ale niewiem czy tak długo udawać ci się będzie. Oto Pan *Zabłocki*, to wzór młodzieży, skromny, mało je, mało mówi...“ „A wiele pracuje — przerwał Wyrwicz — wiem że i dziś nie z próżnemi rękoma tu przyszedł. — „Czy tak? — zawołał Król — cieszę się bardzo. I cóż takiego? Czy nowa komedya?“ — „Tak jest Najjaśniejszy Panie — odpowiedział Zabłocki podnosząc się — czekam tylko z złożeniem jéj u stóp WKMości końca obiadu.“ — Kiedy nas taki *dessert* czeka, kończcież żywo roznoszenie tego co na stole — zawołał Król na służbę, — a WMCPanie Lociński, daj nam *Popiela* (tym przydomkiem Król ochrzcił oddawna stare wino węgierskie). W niedługim czasie postawił Lociński na stole przed Królem spleśniałą butelkę; odetkał ją; podano małe kieliszki a Król sam je nalewał. Podał naprzód kieliszek *Potockiemu* mówiąc: „Spodziewam się, że do smaku będzie.“ *Naruszewiczowi* dać się wzbraniał. „Wasza wielebna uczoność pić tego nie zechce — mówił z uśmiechem — nie wierzysz w żadnego *Popiela*.“ „Najjaśniejszy Panie, — powiedział dziejopis biorąc niemal gwałtem kieliszek — *tego* uznaję! — a wypiwszy łyk, dodał; Zaiste! prawdziwy! jeszcze *myszką* trąci!“ Śmiech powstał ogólny, Król przez chwil kilka nalewać nie mógł wina: potém rozesłał każdemu, i sam nawet co bardzo rzadko mu się trafia, wypił pół kieliszka za zdrowie nas wszystkich. Gdy się to skończyło i już szczęściem przestano jedzenie roznosić, Król zdjąć kazał nakrycie, obrus sam odsunął, i wezwał *Zabłockiego* do wręczenia mu obiecanego *deseru*. Zabłocki powstał i przeczytał *Odę pochwalną na Monarchę*. —

Gdy odczytał, Monarcha podziękował mu uprzejmie; dano kawę, a skoro każdy wziął filiżankę i Król swoję jednym tchem wypróżnił, żądał ażeby Zabłocki przeczytał głośno przyniesioną komedyą. Wyszła służba z pokoju, zostali obiadujący; ucieszyliśmy się, a autor czytał swoje dzieło, tak dobrze jak je napisał, czego mu wróciwszy do domu z serca winszowałem. Komedya, *Fircyk w zalotach*, w lepszym nieco tonie od innych komedyi Zabłockiego, gładkim wierszem, prawdziwie po polsku, jak wszystkie, napisana, żywa w rozmowach, prosta w intrydze, dwa dobrze odznaczone mająca charaktery: *Fircyka* i *Podstoliny*, tém mocniéj słuchaczy zajęła, że jednozgodnie wszyscy od pierwszéj sceny, w *Fircyku* obraz Węgierskiego upatrzyli. Jakoż lubo Zabłocki bynajmniéj téj myśli nie miał, ułożyło się wiele rzeczy ku temu; oba starościce dowcipni, trzpioty, niby filozofy, a jak to mówią po prostu, hultaje. Miał Węgierski za swoje, za wszystkie przypinane Bielawskiemu i nam łatki. Częstowano go różnemi przydomkami; Naruszewicz dosypywał soli, czasem i bez miary, nie szczędził i tłustych żartów, a za każdym wierszém do tych n. p. podobnym:

Ma tytuł starościca jeszcze od pradziada.
. . . . . .
Znam go, któżby o tym nie słyszał wietrzniku!
. . . . . .

wszyscy wykrzywiali ze śmiechem: To on — to on.

Po skończonéj z zupełnym aplauzem komedyi, król odczytać sobie kazał niektóre kawałki, a między innemi, rozmowę z Pustakiem w scenie Iszéj aktu III., z któréj śmiał się serdecznie.

Po tém odczytaniu i wielu dla autora pochwałach, wszczęła się rozmowa o sztuce dramatycznéj w Polsce i trwała z pół godziny, dopóki król nie wstał i nie pożegnał nas wszystkich. W téj rozmowie Wyrwicz, Potocki, Wojna, Bohomolec, a przed wszystkimi król, okazali wiele erudycyi i smaku; ale tego powtórzyć z pamięci trudno, nie będąc tak uczonym jak oni: wiem tylko , iżem się tak do tego rodzaju literatury zachęcił i ubóstwo jego u nas uczuł, że muszę napisać komedyą, operę, a kto wié, może trajedyą. Węgierski serdecznie upokorzony w ciągu téj całéj rozprawy milczał, i najpierwszy po odejściu króla się wymknął; ale

dochodzą mnie wieści, że zaraz wczora pomścił się na czwartkowych obiadach, tak je opisując w wierszach do brata:

A uczone obiady? znasz to może imie
Gdzie połowa nie gada, a połowa drzymie;
W których Król wszystkie musi zastąpić expensa:
Dowcipu, wiadomości i wina i mięsa!

Memorabilia szkólne.

Pogadanki kontuszowe, przez Konstantego Gaszyńskiego.

(Str. 225.)

Długo czwarzył się pan ojciec z panem wujem, do których szkół miałem chodzić? Pan wuj radził, żeby do *pijarskich*, a pan ojciec do *jezuickich*. Wystawiali argumenta i przesadzali się racyami jeden nad drugiego: finabiliter pan ojciec zkonkludował temi słowy: „Ja i ś. p. rodzic mój, edukacyą braliśmy u przewielebnych *ojców societatis Jesu*, a oto my nie wyszli nie na żadne pętelki, ale na ludzi bez poszlaki i na obywateli estymowanych w powiecie. *Pijarowie*, za którymi Waść intercedujesz, są to mędrki i nowatory, — sub praetexto jakichciś tam reform przygotowują więzy na złotą wolność szlachecką; boć i jeden z nich, jak wiadomo, śmiał napisać książkę przeciw *liberum veto!* — Nie chcę ja, żeby mój Antoś w złych pryncipiach się chował, lub miał być mędrszy od rodzica swego; *tandem* tedy będzie pił *pietatem et sapientiam* z tegoż samego dzbanka, co ja, to jest: z jezuickiego; „*dixi.*“ Tak ukończyła się utarczka, i stanęła rezolucya. Chociaż miałem ogarnięcie jakie takie, posłano po krawca żyda do miasteczka, który mi *citissime* ze starego ojcowskiego kontusza zrobił nowy, — a z gredytorowéj sukni pani matki, uszył żupanik od święta. Szaty one z koszulami i inną bielizną, ułożono w dużą skrzynkę, — w któréj skrzynce była na boku kryjówka na kształt kojca, gdzie pani matka dla konsolacyi smutku mego, włożyła mędel jabłek, słoik suszonych śliwek i dwa pierniki. Tak ukończywszy przybory do drogi, po płaczach i lamentach przy opuszczaniu domu, powiózł mnie pan ojciec na kilka dni przed ś. Idzim do Warszawy.

Było tam już dwóch synów sąsiada naszego ulokowanych wraz z dyrektorem u pani Aniołkowskiéj. — Z nimi tedy razem pan ojciec mnie zostawił, ugodziwszy się z gospodynią o zapłatę za wyżywienie, a z dyrektorem za dozór i repetycye. Mnie zaś dał długie *consilia*, — *benedictionem paternam* i talara szóstakami. Pierwszy raz w życiu posiadałem

pieniądze; to też uradowałem się niepomału, albowiem sądziłem, że za tyle monety będę mógł całą Warszawę kupić. Ale kiedy przed gospodę zajechała bryka do wyjazdu, *gaudium* moje zmieniło się w *lacrimas*. — Nie chciałem wypuścić pana ojca, włócząc mu się u nóg, — a kiedy wsiadł już na brykę, kół się czepiałem; — tak, że rozpłakanego dyrektor musiał mnie wziąść na barana i odnieść na stancyą. Miałem wówczas dwanaście lat, a że odebrałem w domu pierwsze *rudimenta* łaciny, umiejąc zgadzać *adjectivum cum substantivo* i *casus nominum cum temporibus et modis verborum*, — *tandem* tedy nie do Infimy, ale do Gramatyki mnie przyjęto.

Jedna strona szkoły, nazywała się *pars romana*, gdzie siedzieli lepiéj uczący się, — a druga *pars graeca*, dla posledniejszych. Mnie, jako nowo przybyłego, posadzono między ostatnimi: gdyż trzeba się było własnym dowcipem i nauką dosługiwać *locum honorificum*. Pod piecem stała ławeczka dla nieuków, zwana *scamnum asinorum*, a nad nią wisiała na kołku osła korona, niby *caput Medusae* dla postrachu młodzieniaszków!

Chcący niechcący, trzeba było się aplikować. —

Najmilsze jednak dni były Wtorki i Czwartki jako *dies recreationis*. — Wychodzimy z dyrektorami i z patrami nad Wisłę wedle Ujazdowa, gdzie na polu rozpoczynały się zabawki i harce. Młodsi grali w palanta a starsi bili się w palcaty (*alias* w kije), na manier militarny. Tak syn szlachecki jeszcze w szkołach wprawiał się wcześnie w krzyżową sztukę. Nie dziwota, że naród nasz taki był sławny do szabli i zawsze gotów do bójki, kiedy *a juventute* do exercycyi rycerskich zaprawiał się. — Na rekreacyach pozwolono było każdemu pośmiać się i pofiglować — byle nie popełnił akcyi nieskromnéj, dopuściwszy się czegoś *contra bonos mores*. — Mnie z początku jako przybysza przedrzeźniano, molestując żarcikami, szczególniéj za to, żem miał wykrzywione boty. *Tandem* tedy, jaki taki przymawiał: „że nie służę Panu Bogu ale ś. Ewie, bo nie chodzę na podeszwie, ale na cholewie.“ Szczęściem przyszło mi na myśl *praeceptum* pana ojca: że nie trzeba zagabać nikogo, ale też nie pozwolić nigdy grać sobie po nosie. Więc przydybawszy jednego z trefnisiów na stronie, wytuzowałem porządnie i po bokach i po czuprynie; — co obaczywszy inni, żem nie mazgaj i że umiem się bronić, jak na szlacheckie dziecko przystało, dali mi pokój. — Od owego momentu żyłem ze wszystkimi w najlepszéj komitywie. W onym czasie Pijarowie zaczęli porastać w pierze, — z maluczkich niedawno, piąć się na wyższą grzędę i *aspirare* nietylko do zrównania, ale i do prześcignięcia

ordinem Societatis Jesu. — Między innemi sposobami kaptowania publiczności był i ten, iż wydawali w swojéj typografii nowo wymyślone przez siebie kalendarze — gdzie oprócz dni roku, świąt stałych i ruchomych, kwadr księżyca, — deszczu i pogody, dodawali w suplemencie traktaty w materyach naukowych, politycznych i światowych. Podobał się ten koncept nowatorski wielu ludziom, pryncypalnie zaś tym z panów dignitarzy, którzy za modą zagraniczną idąc, przebrali się po francusku, szydzili z łaciny i projektowali reformować *Rempublicam. Jezuici* patrząc na one praktyki, które odbierały im kredyt, cierpieli długo, aż dopiero, gdy *Pijarowie* wydrukowali w swoim kalendarzu opis systematu Kopernika, (*id est*, naukę dowodzącą, że nie słońce koło ziemi, ale ziemia koło słońca obraca się), — Jezuici podnieśli głos, oskarżając publicznie adwersarzy swoich, iż śmieją rozsiewać zdania dawnéj nauce przeciwne i wznawiać hypothezę, którą już jeden z ojców świętych, jako herezyą, potępił. — Nie mała to była sprawa. Powstały szemrania i wrzaski, Szkoły i zakony, cała Warszawa i kraj nawet cały wmięszał się do dysputy. — W naszych szkołach, *professores et discipuli* rozjątrzeni byli i zacięci, jak gdyby wiara święta znajdowała się w niebezpieczeństwie. — Ja sam (choć dzisiaj wstydzę się tego), tak byłem rozsierdzony, że pomimo nabożeństwa i moderacyi przyrodzonéj, gdybym był dostał jakiego *Pijara*, byłbym mu pewnie nie pofolgował. Dysputa trwała długo i zacięcie, językowa i piśmienna; koniec końców przezwyciężyli *Pijarowie*, nie tyle uczonemi traktatami, ile owym prostym argumentem, który łatwiéj każdemu prostaczkowi wlazł do głowy, to jest: *że pieczeń obraca się koło ognia, a nie ogień koło pieczeni!*

Niedźwiednik.

Stara gawęda przez K. Wojcickiego.

(Str. 231.)

Żył przed pięćdziesiąt laty szlachcic zwany Niedźwiednik: był to jego przydomek dla nadzwyczajnéj siły, gdyż każdego przełamał niedźwiedzia, z którym się spotkał. Właściwie nazywał się *Roch Dąbrowa.* Postać nie ukazywała bynajmniéj téj olbrzymiéj siły, którą dziwił i przestraszał. Wysoki, kształtny, topolowego wzrostu, poruszenia żywe, ręka nie wielka ale żylasta, twarz wesoła i ciągle w uśmiechu. Nosił zwykle szarą kapotę, i czapkę na lewe ucho przekrzywioną. Mieszkał w domostwie, nie wiele różniącém się

od chałupy wieśniaka: i jeden zagon 12 łokci szeroki, a 100 sążni długi, były całém dziedzictwem Niedźwiednika. Żył pracowicie, uprawiał w pocie czoła ogródek i zagon, a w wolnych chwilach, zarzuciwszy strzelbę na plecy, szedł na *grubego* zwierza, w obszerne knieje, co nie były tak puste jako dzisiaj, kędy nie zobaczysz niedźwiedzia, jelenia i łosia. A przecie kaftan miał łosi i skórek kilka na posłanie z łosiów, co ich sam powalił przed 40stą laty. Gdzież to dziś zobaczysz?

I sąsiedzi okoliczni dziwili się jego łowom. Nie strzelił on do zająca, ani lisa, — każdego ptaka omijał, — lecz za to w obszernéj puszczy, nie darował niedźwiedziom, dzikom, łosiom, jeleniom, rysiom i wilkom. Ale i w tém zachowywał szczególny zwyczaj.

Żaden z myśliwych nie widział go, by użył strzelby na niedźwiedzia, chyba, że niespodzianie go spotkał, kiedy nie miał swojego jak nazywał *kija.* Kij ten, była to pałka jak dwie ręce gruba, u góry zaokrąglona, nakształt buławy; nagłówek ten był nasadzony trójkątnemi gwoździami grubemi, a ze środka wychodził na łokieć długi, ostry, obosieczny dziryt.

Z taką bronią przyjmował zawsze niedźwiedzia, i gdy ten rozjuszony na dwóch łapach wspięty, zbliżył się do niego, pchnął go najprzód dzirytem, a potém za jednem uderzeniem pałką rozciągał go u nóg swoich. Wtedy z radością uśmiechał się, naciskał lepiéj czapkę na lewe ucho, dobywał myśliwego noża, i nie tylko, że odcinał po zdjęciu skóry łapy niedźwiedziowi, (ulubiony przysmak na wielkich stołach); ale nadto wykrawał pieczenie, które swemi *delicyjami* nazywał.

Na cały nasz powiat, Niedźwiednik był osobą osobliwą: a trzeba Waszeci wiedzieć, że wtedy u nas nie brakło na silnych ludziach, i dobrych myśliwych; wszakże wszyscy przy nim gaśli, jak klecha przed organistą. Nie dosyć, że na oszczep brał wielkie niedźwiedzie, ile razy dziedzicowi tego sioła, kędy mieszkał, chciał podarek zrobić, a zawsze to czynił na kolędę, i przed wielkanocą przywoził z kniei żywego dzika. Każdy się nad tém dziwił, i z dalekich okolic zbiegali się myśliwi, by zobaczyć tak osobliwego strzelca.

Był przytém pobożny i uczciwy człowiek, chłopstwo oskarżało go o czary, że ma związki z djabłem, lecz to wszystko kłamali wierutnie.

Mój rodzic świętéj pamięci, mieszkał sześć mil od téj wioski, gdzie Niedźwiednik przesiadywał. Po wesołym *kuligu* z dziatwą, zajechał i z matką naszą w tamte okolice. W dużych saniach siedziała pani matka, i dwie dorosłe panny siostry, rodzic przy woźnicy sam powoził.

W ostatni wtorek, podochocony wracał z nami wieczorem, a jechał żwawo, żeby doma na popielec stanąć. Za dużym lasem, pamiętam jakby dzisiaj, bo miałem już lat dziesięć, iskrzyło się niebo od gwiazd mnóstwa, świecił i księżyc w pełni: — tak widno, że szeląg znaleźć można było. Nagle, konie poczęły parskać, a nieboszczyk mój rodzic, wiedząc co się święci, świsnął; i jak wiatr posunęły na ślizgim śniegu sanie. Wilków stado zabiegało nam z boku; skręcił końmi w inną stronę, i na nieszczęście w rowie wywrócił. Pamiętam dobrze jego słowa, kiedy wystraszony zawołał, podniósłszy sanie: „Prędzéj do sani! bo jeżeli nie uciekniem, zginiem bez ratunku.“

Matka i panny siostry usiadły prędko, ruszył co koń wyskoczy, a ja zagrzebany w śniegu, zostałem zapomniany. Zerwałem się na nogi, widziałem jak za rodzicem pędzą wilcy, z przestrachu przysiadłem, sen mię zmorzył, i zmarzłem.

Kiedym otworzył oczy, zobaczyłem pierwszy raz, w życiu Niedźwiednika: nacierał mi twarz śniegiem, cztéry ogromne kundle, stały obok niego, a daléj jednokonne sanki pełne lisów i trzy skóry wilcze. Gdy zobaczył, że żyję, zaniósł do sanek i przywiózł do domu. Lecz nie zostawił mnie w ciepłéj izbie: rozebrał do naga, i na podwórzu wśród mrozu natarł mocno śniegiem, wtedy obwinął w skórę wilczą i położył na swojém łożu. W kilka dni już zdrów byłem, a Niedźwiednik dowiedziawszy się, kto mój ojciec, odwiózł do domu.

Drżało mi serce z radości, kiedy ujrzałem suche gałęzie lipowéj drogi, i dwór swego ojca. Zostawił mnie w saniach a sam wszedł do komnaty.

Pan ojciec dopiero za powrotem do domu, zobaczył że syna stracił. Matka w saniach i panny siostry bez pamięci, ze strachu nawet wysieść nie mogły; w całym dworze powstał płacz i lament wielki. Porozsyłano czeladź, ale szukano na próżno.

Skłonił się rodzicowi, i żeby zbyt wielka radość nie zaszkodziła, prosił do osobnéj izby: tam mu powiedział, jak mnie uratował, i że przywiózł z sobą. Pan ojciec nie wiedział jak dziękować, płakał z radości, ściskał i całował mojego wybawcę.

Powrócili do komnaty, gdzie matka i panny siostry zapłakane siedziały. Rodzic kazał jednéj pobiedz do piwnicy po węgrzyna, a sam rzekł do matki mojéj: „No! dzieweczko moja, wieści nam pewne nasz sąsiad przywozi o naszym Tadeuszku.“

— Żyje! zawołała.

— Nie tylko żyje, ale przyjechał.

I zaraz wbiegłem, upadłem do nóg panu ojcu i pani matce, a Niedźwiednik płakał i wszyscy płakali.

Książe Radziwiłł Panie Kochanku.

Pamiątki JMC. Pana Seweryna Soplicy.

(Str. 233.)

Rok 1781 był pamiętny dla Nowogródka; w tym roku bowiem był sejmik bardzo forsowny: kilka tysięcy szlachty zjechało się na wybory Pisarza ziemskiego. Po śmierci pana Tadeusza Danéjki, książe wojewoda Wileński prowadził pana Rejtena, brata owego wielkiego Tadeusza, powszechnie w województwie lubionego; a że zwykle u nas wybory były jednomyślne, nikomu przez myśl nie przeszło ażeby ktokolwiek mógł z nim o ten urząd emulować. Przecież zrobiło się inaczéj. Przykro było JW. Niesiołowskiemu i JW. Jeleńskiemu, jednemu wojewodzie, drugiemu kasztelanowi Nowogrodzkiemu, że najmniejszych wpływów w sejmikach województwa nie mieli, i że dla zachowania jakiejsiś powagi, radzi nie radzi, musieli się księciu Radziwiłłowi kłaniać. A że Rejteny z licznymi swoimi kolligatami réj wodzili w partyj Radziwiłłowskiéj, usiłując JW. Niesiołowski ją rozdwoić, namówił pana Kazimierza Haraburdę, męża rodzonéj siostry Rejtenów, aby oświadczył się o ten urząd dla siebie: co nie mało zgorszenia przyniosło województwu, okazując szwagrów zawziętych, jeden drugiemu szkodzących. Starali się z obu stron przyjaciele namówić pana Haraburdę, ażeby téj krzywdy szwagrowi nie robił, kiedy już tamtego po kilkakrotnie pito zdrowie, jako przyszłego Pisarza; że on sam z początku nie był mu przeciwnym, że ta braci niezgoda wszystkich gorszy; a nakoniec że nie ma podobieństwa, ażeby przeciw panu Michałowi się utrzymał. Wszelka usilność była daremną; gdy obywatele zjechali się w Nowogródku do klasztoru Bernardyńskiego na Porcyunkuły, a między nimi znajdowali się obaj szwagrowie, tam starano się ich pojednać. Ale jak zaczął pan Haraburda wyrzucać szwagrowi: to że go ukrzywdził w wypłacie posagu, to że prawa nie zna i że jemu przystoi nad kartami siedzieć a nie mozolić się nad dokumentami, to że choć pan Michał zausznikiem Nieświeżkim, on nie traci nadziei w swoich nikomu niepodległych przyjaciołach, pan Michał porwał się do szabli: i gdyby Bernadyni nie byli wyprowadzili pana Haraburdy, podczas gdy pana Michała reflektowała szlachta, refektarz zostałby skrwawiony. Już tedy nie było podobieństwa ich

pogodzić, a czas sejmikowania nadchodził. Właśnie wypadła okoliczność, z któréj JW. wojewoda Nowogrodzki wielką robił sobie nadzieję, i która nieomal przyczyniła się do uczynienia twardym pana Haraburdę. A to był postępek księcia wojewody Wileńskiego, z wielmożnym Józafatem Tryzną, Strukczaszym Nowogrodzkim, który to postępek wielu gorliwych przyjaciół Radziwiłłowskich oburzył, z czego zręcznie umiała korzystać partya księciu Radziwiłłowi przeciwna. Tryzna był ubogim, ale ostatnim potomkiem starożytnego domu, z Radziwiłłowskim nawet skoligaconego. Wszakże to Naliboki Tryznianka w dom Radziwiłłowski wniosła, a większa część funduszów klasztoru Żurowieckiego była darem Tryzny, antenata Strukczaszego. W kantyczkach żurowieckich jest o nim wzmianka: „*Któż nie przyzna, że pan Tryzna, był mąż świętobliwy*“ etc. Otóż pan Strukczaszy, prócz summy zastawnéj na Radziwiłłowskim Kołdyczowie, nic nie miał; zastawa była jak może być najtańszą, i kto inny mógłby z niéj na szerokie wyleść dziedzictwo; ale pana Tryzny pieniądz się nie trzymał: Maciek zrobił, Maciek zjadł, a często więcéj zjadł jak zrobił. Pan Tryzna był ludzki, wesoły, ale czasem popędliwy. Razu jednego, w same żniwa, książe wojewoda Wileński nie uprzedziwszy go, właśnie jak piorun wpadł z licznem myślistwem, aby spolować lasy Kołdyczewskie. Pan Tryzna dawał rozporządzenia podstarościemu by żniwiarzy naglił do roboty, i sam się w pole wybierał, kiedy wpadli dojeżdżacze księcia, wymagając, aby natychmiast obławę do lasu posłał; a że to byli ludzie prości i nieroztropni, jakoś tam cierpko dopominali się u niego, iż go zniecierpliwili. Odmówił im ludzi, ofuknął ich, i miał niby powiedzieć wedle ich relacyi: że kto w czasie żniwa poluje, temu piątéj klapki nie dostaje. Jak wrócili dojeżdżacze, a ich relacya zaczęła biedz po szczeblach dworskich, a ciągle rosnąć, (ile że Pan Mikuć sekretarz księcia miał żal do pana Tryzny, z powodu iż konkurując o jego córkę w jego domu był traktowany harbuzem, więc dogadzając zemście, udał go przed księciem) książe tak mocno to uczuł, że, jak mnie twierdzili przytomni, przez kilka Zdrowaś Marya mowa mu była odjęta, a potém jak zaczął ryczeć, to się lasy Kołdyczowskie zatrzęsły; a w niepohamowanym popędzie rozkazał natychmiast odebrać posłuszeństwo panu Tryznie i wypędzić go z majątku. To się natychmiast dopełniło; nawet z nieludzkością: bo, aż lękając się o skórę, pan Tryzna uciekł z tém tylko co miał na sobie; to jeszcze szczęście że wielmożna Strukczaszyna z córką były wyjechały na odpust do Pińska, uczcić błogosławionego Bobolę; zgoła że piechotą gospodarz umknął, i aż w okolicy Raców się oparł, a stamtąd dostawszy podwodę udał się do Nowogródka, gdzie manifest zaniósł przed grodem, a razem i pozew na księcia o irrytacyą kontraktu i expulsyą.

Kiedy przyszło do sprawy, musiałem attentować od księcia, i przed Strukczaszym samym łzami się zalałem, błagając go, że tak powiem, aby mnie odpuścił, że z obowiązku muszę o jego krzywdę się starać; bo znałem dobrze, że nasza sprawa była niepotem. Ale cóż? czyj się chleb je, tego bronić trzeba. Jakoż pan Strukczaszy nie miał mi tego za złe, i gdy się wszystko skończyło, nie przestał mnie zaszczycać swoją przyjaźnią, a może i podwoił dla mnie szacunku, widząc, jak dla wywiązania się mojemu panu i dobroczyńcy, z własnego przekonania czyniłem ofiarę. A i przekonaniu umiałem zadość uczynić: bo przytomny będąc konferencyi poprzedzającéj kroki prawne, odezwałem się przed wielemożnym Radziszewskim, chorążym Starodubowskim a jeneralnym księcia plenipotentem, że nie wiele mam ufności w prawności naszéj; jeno on mnie zaraz zwrócił na drogę, mówiąc: WCPana rzecz attentować i bronić sprawy księcia, a nie jéj przyganiać, i za to jesteś płatny. A tém mnie zamknął gębę. — Kiedy przyszło do sprawy, nam o to szło, aby ją do ziemstwa wprowadzić — bo gród Nowogrodzki był jurysdykcyą wojewody, który w nim przez swoich subdelegatów sądził; a jakie takie nadzieje mogliśmy mieć w Ziemstwie. Ale nie było sposobu wyrwać ją z Grodu, gdyż do niego poszły pozwy powodowe; a nakoniec sprawa expulsyjna, uczynkowa, w saméj rzeczy do juryzdykcyi grodzkiéj należy; i lubom stawał na tém, że już została z naszéj strony podana illacya do Trybunału *pro determinatione fori*, nie zważając na to sąd Grodzki, kazał sprawę wprowadzić. Jam odstąpił, a pan Strukczaszy zyskał na księciu Radziwille kondemnatę. Ale cóż? cieszył się kondemnatą nieborak na bruku osadzony, a książe jak zajął Kołdyczów, tak go trzymał. Na następnéj kadencyi, widząc że niema sposobów utrzymania się w zaprzeczeniu forum, innego skoku probowałem.

Chcąc zerwać komplet, podałem obmowę na jednego z członków sądu, zadając mu, iż jest krewnym strony powodowéj. Pokrewieństwo było dalekie: bo Pan Kajetan Uzłowski, sędzia Grodzki, na którego podałem obmowę, miał żonę Ancutównę, a nieboszczka krajczyna Tryznina, macocha Strukczaszego, *primo voto* była za Ancutą. Jednak takowa obmowa była dostateczną dla zerwania kompletu, bo pan sędzia oświadczył: że ponieważ książe wojewoda w nim ufności niema, a obok tego on nie wypiera się zaszczytu

kolligacyi sobie zarzuconéj, więc sądzić nie będzie, i ustąpił z swojego miejsca; a że już kompletu nie było, sprawa poszła w *non sunt* i kadencya spełzła. Było trochę krzyku za to na sędziego, i Strukczaszy mu na ustępie wymówił, że dla tego uchylił się, że sędzina chce być na ś. Karól w Nieświeżu, ażeby córki produkować. Mówiono także, że pan Leo Borowski ofiarował mu za to szubę rysią w imieniu księcia; ale pokazało się późniéj, że to była potwarz.

Aż tu nadszedł sejmik na Pisarstwo ziemskie, na który książe wojewoda wedle zwyczaju swego zjechał; tém więcéj, że chciał utrzymać pana Rejtena, co był Radziwiłłowskim duszą i ciałem.

Zjechał książe w kilkanaście pojazdów do klasztoru Bernardyńskiego, którego był syndykiem, i całkowity swoim dworem zajął, oprócz kilku cel, w których jak mogli ciснęli się zakonnicy. Sam książe stał w celi gwardyana, jako najobszerniejszéj; ale w nocy kotowi w niéj ledwo przecisnąć się można było: bo oprócz księcia, pokotem leżeli pan Michał Rejten, Bukowski szatny, ojciec Idzi, co był wielkim exorcystą, (a że książe złych duchów się obawiał, wymówił sobie, aby w celi blisko niego spał), i do tego Nepta, ogromna wyżlica, faworyta księcia. Opowiadał nam pan Rejten, że przez cały czas sejmiku, oka nie zmrużył, takie okropne było chrapanie księcia, ojca Idziego i Nepty. Szlachta okoliczna, co za księciem piechotą przyszła, spała na dziedzińcu klasztornym, na którym stało kilkadziesiąt fur z krupami, mąką, słoniną i gorzałką; ciągle kurzyły się kotły na dziedzińcu, a w rzeźni codzień dla księcia dwa woły rznięto. Książe dwa razy na dzień obiadował, raz ze szlachtą okoliczną zajadał krupnik i flaki; a potém w refektarzu z obywatelami, których u siebie częstował, albo u jakiego urzędnika, do którego się zaprosił.

Pan Michał, coby rad widział koniec interesu z Tryzną (bo szlachta tak na to krzyczała), a sam nie śmiał przed księciem z tém się odezwać, namówił ojca Idziego, aby przy pomyślnéj okoliczności jakoś bąknął księciu, aby się dał przekonać i był sprawiedliwym dla pana Tryzny. Jakoż się wziął do tego Bernadyn, i to co napiszę, jest to do słowa, co mnie pan Bukowski szatny opowiedział, jako naoczny świadek. — Po odbytych pacierzach, gdy się wszyscy pokładli i czas niejaki panowało milczenie, książe odezwał się: — ojcze Idzi, niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — Na wieki wieków; co książe rozkaże? — Czy nie słyszysz Waszeć, jak moja Nepta warczy; zapewne nieboszczyk Wołodkowicz mnie nawiedza. — Na to pan Michał Rejten przeżegnawszy się: co się to marzy WKMości? ludzie się

szastają po korytarzu, a Nepta warczy na nich; już zaraz ma być pan Wołodkowicz? — Milczałbyś panie kochanku; że umiesz grać w francuzkie karty, to już siebie masz za mędrka. Ja nie do Waści mówię, ale do ojca Idziego. Ojcze Idzi, wszak prawda, że dusze z czyśca wychodzą, aby krewnych i przyjaciół o ratunek prosić; żeby temu przeczyć, trzeba być księciem biskupem Massalskim. — Tak jest JOKsiąże, bywa to bywa. — Słyszysz panie Michale? aż miło spać z teologiem: bo i oświeci i uspokoi. Ojcze Idzi, zawsze nieboszczyk Wołodkowicz stoi mi w oczach; co to był za przyjaciel! Żebym go mógł wskrzesić, oddałbym co mam, a sam do was na braciszka bym wstąpił. Za życia nieboszczyka księcia, najechałem po pijanemu pana Piotra Kotwicza i dom mu podpaliłem. Pan Kotwicz na mnie namalował stotysięcy pretensyi, i kazał mi oświadczyć, że jeżeli mu ich nie odliczę, to mnie zapozwie. Ja byłem goły, nieboszczyk książe był skąpy, a do tego tak groźny, że raz kazał mi dać pięćdziesiąt batogów, chociaż już byłem miecznikiem Litewskim i orderowym panem; a jakby się o takim zbytku dowiedział, możeby mnie był ubił pod batogami. Co tu było robić?..... A mój Wołodkowicz dwa folwarki swoje własne zastawił i zagodził Kotwicza (tu słychać było jak książe zaszlochał). I czy to raz za mnie się poświęcił?... Kiedyś to mnie, jakby przeczuwał, że nie długo będziem z sobą, powiedział: książe Karolu, ty dłużéj odemnie żyć będziesz; jak umrę, pamiętaj o mojéj duszy. Otoż kiedy partya, którą ten łotr w infule, ten szuler Massalski prowadził, podstępem i zdradą porwała Wołodkowicza, a potém rozstrzelała go tu w Nowogrodku, gdzie tego samego wieczora przybyłem ale zapóźno, przysiągłem pomścić się jego krwi na głowie niegodziwego biskupa, i chciałem ruszyć do Wilna, aby mu sakrę zdjąć na pierwszéj sośnie za miastem; a potém pojechałbym do Rzymu, przeprosić Ojca świętego. Już szedłem ku Wilnu, ale na pierwszym noclegu we śnie, pierwszy raz pokazał mi się Wołodkowicz, prosząc mnie za biskupem, i wyraźnie mi powiedział: że jak biskupa powieszę, to mu będzie gorzéj na tamtym świecie. Ojcze Idzi, wszak prawda, że on dotąd w czyscu? — A któżto przeniknie sądy Boże, książe Panie? I sprawiedliwość, i miłosierdzie wielkie u Niego. To tylko wiemy, że jak się dusza rozstanie z ciałem, Bóg natychmiast ją odsyła do nieba, albo do czyszcza, albo do piekła — uchowaj nas od tego. — Jego miłosierdzie! — Jużci Wołodkowicz do piekła nie poszedł, panie kochanku! Daj Boże wam wszystkim zakonnikom, być tak gorliwymi, jak on w wierze. On jeszcze za życia nieboszczyka księcia, trzech popów w Słuc-

czyznie do mnie nawrócił, a czwarty uparty pod batogami umarł. To było, nim ta przebrzydła konfederacya Słucka i Toruńska przywileje wytargowała dla dyssydentów; za które ja, jako pierwszy senator prowincyi litewskiéj, Panu Bogu nieodpowiem, bo z bronią w ręku siedem lat temu bluźnierstwu się opierałem. Ale Panu Bogu tak się do czasu podobało, nie dał nam szczęścia.

To co ja ojcze Idzi za spoczynek duszy Wołodkowicza robiłem, toby wystarczyło aby całkowity czyściec wypróżnić. Grzebałem na Wołoszczyźnie trupy z dżumy poległe, własnemi rękami, na jego intencyę, a rocznicę jego śmierci suszę. Wieś dałem dominikanom wołkowyskim, u których groby Wołodkowicza; a co mszy, exekwiów, jałmużn, lamp, to tego i pan Michał Rejten, choć wielki rachmistrz nie policzy; a jednak dusza jego nieprzestaje mnie nawiedzać. Moja Nepta, tak jego zna, że jak się zbliży, odzywa się na niego, jak na grubą zwierzynę. Ojcze Idzi, daj mi na to radę, a ja za to wasz klasztór gdańską dachówką pokryję. — Niech Bóg odpłaci Waszéj Książęcéj Mości jego wspaniałości dla nas; każdy dar jest Panu Bogu miły, ale im większa ofiara, tém skuteczniejsza. Niech książe pan zrobi na intencyę nieboszczyka, jaką ofiarę z gniewu naprzykład: niech poda rękę takiemu, co go obraził, a tem najlepiéj uwolnisz duszę przyjaciela. — Otoż już, już do mnie waszeć mówisz językiem księdza Kantembrynga, co całe życie u mnie za lada sprawami patronuje. Tamtego tygodnia, najlepsza moja charcica Wiatrówka zdechła z niepilności Grzesia pisarza: kazałem go był zabić w łańcuchy, — po sprawiedliwemu warto było ze skóry go obedrzeć, a ksiądz Kantembrymg jak zaczął mi prawić antyfony, a prosić, a straszyć, a kruszyć; (a djabli mi nadali, że ktoś mnie wmówił, że on wielki teolog;) to choć powiedziałem: nie odpuszczę, jakem Radziwiłł, tyle mi nadokuczał, że puściłem chłopca bezkarnie. Ale przynajmniéj dobrze zlajałem księdza Kantembrynga; on by rad, żeby mnie we własnym domu rozbijali. To już i waszeć tą drogą zachodzisz? To już i bernardyni filutują, jak jezuity? .... Tylko tego przed księdzem Kantembryngiem nie paplaj: ale szczęście, że u mnie furdyga pusta, i na nikogo się nie gniewam. — Jabym się odezwał z czemś, ale nie śmiem. — Mów śmiało, mów śmiało ojcze Idzi, wszak na swoim dziedzińcu i wiory biją, a ja u was w gościnie: mnie o waszą łaskę, nie wam o moją dbać; a potém, swemu syndykowi trzeba prawdę mówić. — Kiedy mnie książe pan pozwala tyle śmiałości, to niech Wasza Książęca Mość sobie przypomni, czy kogo nie ukrzywdził. Mnie wszyscy krzywdzą, a jam im dla miłości Pana

Boga odpuszczam. Ja nikogo nie podrapał, chociaż mnie ta małpa poznańska, ten kaszuba Sułkowski nazywa w Warszawie niedźwiedziem litewskim, ale podrapię ja jego dobrze, jak do Grodna na sejm przyjedzie. Ale to do Waszeci ojcze Idzi nie należy, bo Waszeć nie wielkopolski bernardyn. A w Litwie kogo ja ukrzywdził? Ja pokorny jak dziecko, panie kochanku; ksiądz Kantembryng ciągle mnie z ambony przymawia, a ja na niego niekrzywię; a pan Leon Borowski, mało mi figlów napłatał? A pan Jerzy Biełopiotrowicz, mało mi się worał w moje grunta? A pan filozof co tu śpi, Michał Rejtan, mało mi niedźwiedzi wybił w Nalibokach, i bobrów wyłowił w Łachowie? a ja się nie odzywam: tylko przed Panem Bogiem czasem zapłaczę! Na nikogo złości nie mam, na nikogo; mnie wszyscy krzywdzą, ja nikogo. Ojcze Idzi, wystrzeliłeś, aleś spudłował. Słuchaj Bernachu, tobie się podobał mój pas, com go miał wczoraj na sobie; mówiłeś, że byłby z niego ornat, jakiego w Wilnie w zakrystyi katedralnej nie ma; jeżeli mnie dokażesz, że mam na kogo gniew (rozumie się w Litwie), to ci go dam; a jak nie dokażesz, to dasz sobie pięćdziesiąt dyscyplin na intencyą Wołodkowicza. — Zgoda, książe Panie, pas będzie nasz, a ja i tak dyscyplinować się będę na intencyą nieboszczyka: tylko boję się odezwać: bo nuż książe Pan się obrazi? — Mów śmiało; nie będę się gniewał, jakem Radziwiłł. — Kiedy mnie książe Pan ośmielasz, to powiem, że był zacny obywatel, który przed rokiem wiele nam świadczył. Bywało, i fury z jego spichrza idą do klasztoru; a teraz my musimy udzielać mu z jałmużn, bo by z głodu umarł; a to dla tego, że książe Pan wypędzić go kazał z zastawy, i prawie w jednéj koszuli do Nowogrodka uciekł. Pozywa się teraz z księciem, a kawałka chleba nie ma pan Strukczaszy Tryzna. — Tu mu przerwał książe: Co ty się wtrącasz klecho w nieswoją rzecz! Ja cały majątek stracę, a na swojém postawię. On okryty mojemi dobrodziejstwy; on, co prawie darmo Kołdyczów trzymał, odmówił mi ludzi na obławę; sług moich z błotem zmięszał, i mnie głupcem nazwał! Albo ja, albo on z torbą pójdzie. — Już on poszedł z torbą, książe Panie; ale niech WKMość przypomni sobie, że przynajmniéj dwa razy na dzień mówisz Panu Bogu: odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom. — Otoż ja odtąd wolę pacierza nie mówić, a tak i nie odpuszczę! — Ale Książe... — Cicho mnie zaraz! precz ztąd Bernachu! Nie suszyć mi głowy .... ! (tu milczenie przez chwil kilka nastąpiło, aż dały się słyszeć kroki). — Wszelki duch Pana Boga chwali! .... — odezwał się książe. — I ja go chwalę: to ja książe Panie, wychodzę na rozkaz Waszéj

Książęcéj Mości; a to trepki moje, co z przeproszeniem jego uszów, troszkę hałasu narobiły. — Proszę Waszeci, panie kochanku, nie odchódź z celi; śpij ze mną: bo jak do mnie przyjdzie Wołodkowicz, bez ciebie mój księże, zachoruję z żalu. Ja z tym heretykiem Rejtanem, co z upiorów żartuje, sam na sam nie chcę być w nocy; a, Bukowski śpi jak zabity. Kładź się ojcze Idzi, i nie gniewaj się. Żeby się przynajmniéj Tryzna upokorzył? ale tak i z tego nic nie będzie. —

Potém wedle relacyi pana Bukowskiego, nastąpiła cichość, a zaraz potém zwykły koncert księcia, ojca Idziego i Nepty. Ale pan Bukowski, co znał księcia na pamięć, a dobrze życzył panu Strukczaszemu i pan Michał Rejtan, już mieli dla niego dobrą nadzieję, tylko szło oto, aby pana Tryznę namówić, by jakiś krok do księcia zrobił; co nie łatwo było: bo choć podupadły, znał siebie być magnatów kolligatem, i do naginania się nie był skłonnym. —

Ale jakoś dobrze się nakartowało: bo nazajutrz po téj rozmowie, o któréj pana Tryznę pan Michał Rejtan i podobno sam ojciec Idzi uprzedził, kiedy zagaił sejmik JW. Rdułtowski chorąży Nowogrodzki (bo JW. Niezabitowski podkomorzy, będąc zapozwanym *de male gesto officio*, przez JW. wojewodę Niesiołowskiego, pod procederem takowego gatunku nie mógł urzędowania dopełnić), po zagajeniu, zaprosił zwykłym trybem urzędników ziemskich, grodzkich, rycerstwo i szlachtę księstwa Nowogrodzkiego do obierania marszałka sejmiku, po całym kościele huknęły głosy: JO Księcia wojewodę Wileńskiego, prosimy na marszałka! — Zgoda! zgoda! zaczęła krzyczeć szlachta; aż tu pan Kazimierz Haraburda, przybliżywszy się do koła: Nie ma zgody! Lubo nadto byłbym szczęśliwy, przyczynić się moim głosem do zaszczycenia województwa tak wielkim i świetnym marszałkiem, jakim jest JOKsiąże wojewoda, ale sumiennie skłonność własną woli prawa poświęcić muszę; a prawo mówi wyraźnie: że obywatel pod kondemnatą będący, żadnego urzędu sprawować nie może.

Na to, my wszyscy słudzy i przyjaciele księcia, dobyliśmy szabel, i bylibyśmy w puch rozbili partyę pana wojewody Nowogrodzkiego; ale pan Jerzy Białopiotrowicz, co był powszechnie szanowany, uprosił nas, aby pochować szable, i ażeby koło rozstrzygnęło zarzut pana Haraburdy. Zaczęliśmy wołać: prosimy pana Haraburdę, aby złożył kondemnatę, jaką uzyskał na księciu wojewodzie! — Na to on: Ja nie otrzymałem kondemnaty, i tegom nigdy nie mówił: ale W. Tryzna, nasz Strukczaszy, co w tém kole zasiada, otrzymał ją w Grodzie. — Pan Michał Rejtan rozgniewany, odezwał się do pana Haraburdy: jeżeli kondemnata do Wielmożnego Pana należy, złóż na nią ustępstwo od W. Tryzny, a jeżeli tego nie masz, z cudzą kondemnatą się nie popisuj i milcz! — W. Pan sam milcz, kiedy cię język nie świerzbi! a nie ucz rozumu tych, co go mają tyle, ile W. Pan! Ja z mojego miejsca dopraszam się, aby W. chorąży raczył od pana Tryzny zażądać, aby złożył kondemnatę, jaką ma na księciu. — Tu zaczęliśmy krzyczeć wszyscy: że wniesienie pana Haraburdy nieprawne: bo pan Tryzna sam wie, co jemu należy i o swoje upomnieć się potrafi. — Książe pomiędzy nami stał mocno poruszony, i wąsa do góry nakręcał, aż tu W. Tryzna, który jako Strukczaszy w kole zasiadał, a dotąd milczał, powstał, i głosem drżącym, w którego dźwięku głęboki żal się okazywał, powiedział te słowa: mam ci wprawdzie kondemnatę na JO. księciu Wdzie. Wil. i tu onę składam; krwawo czuję się być uciśnionym: ale, jako obywatel, obowiązany jestem, moje prywatne uczucia poświęcić dobru publicznemu; a przekonanym będąc, że nic nie może być lepszém dla naszego województwa, jak poruczyć przewództwo naszego sejmiku JO. księciu, który go do pomyślnego kresu doprowadzi: na boku zostawując moją krzywdę, i mimo siebie puszczając ile uciążliwych przewłok dla mnie wyniknąć może, oświadczam się: że JO. księcia Wdę. z otrzymanéj nad nim kondemnaty kwituję. — Książe Wojewoda przybliżył się do koła i tak był rozczulony, że nie mógł więcéj powiedzieć tylko: chociaż żal czuję, do W. Strukczaszego, ale za ten krok jego życzliwości i zaufania, będę się starał wywdzięczyć! — Po całym kościele, dały się słyszeć licznie powtarzane okrzyki: Niech żyje książe, marszałek sejmiku! Wiwat Tryzna Strukczaszy!

JOKsiąże rozpoczął swoje urzędowanie; ale że już koło pierwszéj z południa, więc solwował sesyą do ósméj z rana na dzień jutrzejszy, a sam na obiad poszedł do chorążego Rudułtowskiego, gdzie na dziedzińcu było mnóstwo stołów pozastawianych i liczna szlachta się zebrała. Był i pan Strukczaszy, i przy kielichach zaczęto godzić go z księciem. Książe powiedział: Ja pana Józefata kocham; to krew nie woda! Panie kochanku, mego pradziada Tryznianka rodzi. Oddaję Kołdyczów, a pretensye, jakie mieć może, za pomyłkę kontraktu, niech przyjaciele rozsądzą. — Ale mam żal do niego osobisty. On moich sług zbeształ, i kazał mi powiedzieć: że mnie piątéj klapki nie dostaje. My oba szlachta, zatém, niech nas szabla rozprawi, i to natychmiast. — Na próżno się tłómaczył pan Tryzna, że tego nigdy nie mówił, a pan chorąży i pan sędzia Rewieński perswadowali; musiał pan

Tryzna dobyć szabli i bić się zaczęli w naszéj przytomności. Panu Tryznie pękła klinga; tak silnie uderzył po niéj książe wojewoda; a pan sędzia pana Tryznę rozbrojonego złożył swoją. Książe odezwał się: mam zupełną satysfakcyą — i ucałował Tryznę; przeglądał szablę i powiedział: to szabla moja, bo ja ją krwią moją zdobyłem; przyznaj panie Józefie, że umiem się składać. — Potém dawaj pić na zgodę. Książe był w przecudnym humorze. — Panie Michale, mówił, bądź spokojny o Pisaryą ziemską; ja sam jeden z moją batorowką, całą partyę Wojewody nowogrodzkiego rozpędzę. Książe i pan Tryzna, zapisali się na kompromis, na pana Białopiotrowicza i już tylko sejmikiem byliśmy zajęci. Szlachta ucieszona postępkiem księcia, nie mogła do siebie przyjść z radości. Słychać było, jak między sobą rozprawiali: a co nasz książe, czy nie tęgi rębacz? klingę jak masło przeciął. A i pan Tryzna przecie gracz; dwanaście świec łojowych od jednego zamachu ścina; ale kto naszemu księciu da radę? — Już to trzeba wiedzieć, że pan Tryzna miał szablę turecką z miękkiego żelaza, bo bić się nie spodziewał; ale na tym pojedynku źle nie wyszedł, bo książe bardzo go polubił, i bywało zawsze potém powtarzał prześladując: że gdyby nie pan Ignacy Rewieński, byłby mu głowę odciął. — Po obiedzie, poszliśmy wszyscy na dziedziniec bernardynów; gdzie lubo wszyscy byliśmy pod dobrą datą, *de noviter reperta* piliśmy. Już tam była mieszanina. Urzędnicy i szlachta, magnaci i zaścianki, byli brat za brat. Książe napotkawszy jakiegoś szlachcica w obdartéj czapce, zdarł ją z niego, na swoją głowę włożył, a oddał mu aksamitną. Na to hasło, zaczęliśmy mieniać między sobą czapki, a pić; ale tak, że w momencie, każdy z nas inną miał czapkę na głowie. Potém książe dobrze pijany, zaczął się rozbierać, beszтając szlachtę z dobrego serca. I tak jednemu dał swój pas, mówiąc: daruję ci...; drugiemu kontusz: masz...; temu szpinkę brylantową: trzymaj...; a innemu żupan: weź...; tak że został w hajdawerach amarantowych i w koszuli, na któréj wisiał ogromny szkaplerz, i tak wlazł na wóz, na którym była kufa, napełniona winem. On siadł na kufie, a wóz szlachta ciągnęła po ulicach Nowogródka. Wóz co kilka kroków zatrzymywał się, a kto chciał, kielich lub garnek nastawiał, a książe czop od kufy odtykał i perorował, prosząc szlachtę, by mu dopisała, żeby pana Michała Rejtena na Pisaryi utrzymać, a nie dać Radziwiłła na pastwę nieprzyjaciół: „panie kochanku, mówił, widzicie mój ten szkaplerz, ja go w sukcesyi noszę po moich antenatach. Lizdejko mój protoplasta nosił go wprzódy jeszcze, nim rewokował Władysław Jagiello. Sierotka z nim do Betleem chodził. Szkaplerz jest

wielki, bo w nim zaszyta jest unia Litwy z Koroną. Ja kocham braci naszych koroniarzów, panie kochanku, ale niema jak nasza Litwa. Ja i w Koronie mam kawałek ziemi, ale diabełby w niéj siedział. Kiedy my niedźwiedzie bijem, to tam z rozjazdem na przepiórki chodzą. U koroniarzów, susły, to gruba zwierzyna. — To to panie, jak zaczął mnie prześladować książe biskup Wileński, szwagier Wojewody Nowogrodzkiego, który się usadził teraz na nas, aby nie pan Michał Rejten, ale pan Kazimierz Haraburda dekreta nam pisał: to już z rozpaczy chciałem dla Korony Litwę opuścić, i tam intratne opactwo mnie dawano za to, że wiersze piękne piszę. Już byłem osiadł na Rusi; ale razu jednego, kiedym się zaczął modlić Panu Jezusowi w Boremlu, on się do mnie odezwał: Radziwille, wracaj na Litwę, bo tu nic nie wskórasz; tu szlachectwo śmierdzące. *Ostende patrem patris*, to wielka filozofia u szlachty tutejszéj, nie tak, jak w naszéj Litwie, (bo moja prababka była Litewka), co od dziadów i pradziadów, każdy na swoim gruncie siedzi. Wracaj tedy na Litwę i kłaniaj się odemnie. A ja mu na to, padłszy krzyżem o ziemię: Panie! A jak ja powrócę na Litwę? kiedy mnie twój biskup prześladuje? — a on mnie: to nie mój biskup; to hultaj; ale on naprzeciw ciebie nic nie dokaże. Wracaj Radziwille na Litwę!... — Otóż panie kochanku, osmielony obietnicą Pana mojego, do was wróciłem i Pan mój nagrodził moją wiarę, bo nigdy nie wątpiłem w jego słowach; a moich wierszy odstąpiłem księdzu Naruszewiczowi: bo on krew i czeladka Radziwiłłowska, a za moje wiersze dostał biskupstwo Smoleńskie! A tu szlachta jak zaczęła się gromadzić, a nadstawiać uszy, a rozdziawiać gębę, bo nie tylko nasza, ale i partyi przeciwnéj; nawet zaścianki co saméj Worończy dotykają, można było widzieć, że wygrana nasza i że darmo poszły expensa senatorów nowogrodzkich. Do dziewiątéj w nocy tłumy asystowały księciu, pijąc, hulając po ulicach i śpiewając tak, że przyjaciele Wojewody Nowogrodzkiego bali się, by ich nie podpalono. Ale wszystko odbyło się porządnie, i nikt gwałtu nie doświadczył. Odprowadziliśmy księcia do klasztoru; gdzie on podkórka zjadłszy, i z ojcem Idzim pacierze odmówiwszy, spać się położył: pamiętny, że na ósmą z rana trzeba mu być w kościele.

O saméj ósméj nazajutrz, zebraliśmy się do sejmikowania; a książe zaprosiwszy wszystkich urzędników ziemskich i grodzkich do koła, zagaił sejmik temi słowy: JJOO. JJWW. i WW. nasi wielce mości panowie i kochani bracia! Z rozkazu waszego objąwszy przewodnictwo sejmiku, w celu wyboru pisarza ziemskiego, mam honor was uwiadomić: dwóch kandydatów jest wam podanych. Jeden pan Michał Rejten,

Szambelan J. K. Mości, niegdyś nasz deputat na trybunale litewskim. Drugi pan Kazimierz Haraburda, Starosta Willadymowski. Zatém, panowie bracia, raczcie oświadczyć, którego z nich życzycie sobie na Pisarza Ziemskiego. — „Pana Michała Rejtena prosimy! — odezwali się Odyńcowie, Mickiewicze, Siemiradzcy, Czeczoty i my wszyscy. — Zgoda! zgoda! odpowiedziała szlachta z wielu zaścianków, — pana Rejtena prosimy! — Nie ma zgody! — krzyknęli, Jeśmany, Słuszkowie, Kobylińscy: — pana Haraburdę prosimy! — ale głosy były słabsze. Nikt z naszych szabli nie dobył, bo książe nas wszystkich zaklął, aby żaden do gwałtu nie dawał pobudki, chcąc swoje urzędowanie odbyć w największym porządku. Zatém powstawszy książe, powiedział: „Bywał zwyczaj w naszém Województwie *unanimitate* wszystko się robiło; ale: *nemini vox deneganda;* zatém zapraszam panów braci do wotowania.“ Szlachta zaczęła głosować, ale wkrótce się upewnił pan Haraburda, że niepodobieństwo się utrzymać, i że wszystkie zaścianki go zawiodły. Więc niechcąc objawić słabości swojéj partyi, przybliżył się do koła i zabrał głos, w którym oświadczył: iż niechcąc nikomu być na przeszkodzie, odstępuje. I zaraz wyszedł z kościoła, na wieś; nie bez żalu na JW. Wojewodę Nowogrodzkiego, iż go zaryzykował. Ale wkrótce potém tenże Wojewoda instrumentował go sędzią Grodzkim. Lepszy rydz jak nic, i tém go ukoił, — a pan Michał Rejten został Pisarzem ziemskim.

Jur z Borowiczek,

czyli

Zajazd w Oszmiańskiem.

Przez Zygmunta Kaczkowskiego.

(8tr. 254.)

...„Dał się nagle słyszeć tentent kopyt końskich z daleka i w tymże momencie krzyk na dziedzińcu: Jadą już, jadą!

Zerwałem się z ławy, łzy chustką otarłem, a nim kilka kroków dałem naprzód, aby z za lip popatrzyć w pole, już też wjechało w bramę kilkunastu jezdnych i stanęli w dziedzińcu.

Widok ludzi zbrojnych i koni, niewiem jak na kim, ale na mnie zawsze czynił dobre, mogę nawet powiedzieć, że wesołe wrażenie! Zaraz więc stałem się inszym i nie było ani śladu łez na méj twarzy, ani pamiątki smutku na sercu, a kiedy Gintowt, który pierwszy zsiadłszy z konia, przystąpił do mnie z powitaniem i z nieznaczną pochwałą swojego dzieła, ja witałem się już z nim ochoczo, jak gdyby

mi przez cały ten czas serce drżało od niecierpliwości widzenia jego i przybyłych z nim towarzyszy.

Drugi szlachcic, który równocześnie z Gintowtem zeskoczył z konia, był to chłop rosły i prawie głową mnie przenoszący. Pomimo wzrostu swego, który także do niepospolitości należał, wpadł on mnie i z innéj przyczyny natychmiast w oko, a to po prostu z swojéj doskonałéj żołnierskiéj postawy i ubioru. Mąż ten miał krótką, ze zielonego sukna, na węgierską modę uszytą kurtkę na sobie, na głowie czapkę rogatą ciemnego koloru, na nogach bóty jałowicze, cholewami powyżej kolan sięgające. Do téj pojedyńczości ubioru łączył on odpowiednią pojedyńczość w uzbrojeniu: miał bowiem tylko potężną szablicę na skórzannym pasie przy boku, i parę pistoletów lekkich za pasem. Kto znał szlachtę tamtego czasu i widywał ją w różnych okazyach, ten wie bardzo dobrze, jak złe wyobrażenie ona miała o moderunku wojennym. Dawnemi laty, kiedy szlachcic wyjeżdżał na wojnę, to nie wspominam już o tém, że brał na siebie co najlepszy żupan i kontusz z wylotami, które nieraz w ucieczce zaczepiwszy się o drzewo, zsadzały go z konia; ale to główna, że uzbrajał się od stóp do głów, a pałasz, strzelba, nóż wielki lub kordelas przy torbie i trzy pary pistoletów na jednym szlachcicu z pospolitego ruszenia obaczyć, była to rzecz zwyczajna. Starzy żołnierze, którzy, czy to w swojém, czy w cudzoziemskiem wojsku czas dłuższy służywali i nauczyli się z doświadczenia, że nie ilość, tylko gatunek broni, a głównie serce stanowi żołnierza, naśmiewali się z tak objuczonych wojaków, a mój nieboszczyk nawet mawiał: że im więcéj kto broni zawiesza na sobie, temci pewno tchórz większy; — jednakże nic to nie pomagało, a moda ta, która niby we krwi szlacheckiéj już być się zdawała, uchowała się aż do ostatnich czasów. Później dopiero dowódzcy sami zawsze ubierając się w kurty węgierskie i uzbrajając się tylko pałaszem i jedną parą pistoletów, zaprowadzili także ten obyczaj i między szlachtę, i na ten pojedyńczy ubiór i uzbrajanie się tak nastawali, że u nas weszło to było w przekonanie, że po ubiorze i uzbrojeniu się poznasz zaraz gatunek i serce żołnierza. Owoż gdy obaczyłem tego szlachcica, że także był po naszemu ubrany, zaraz mi się przypomniały dawne czasy i nie gadawszy z nim ani słowa, czułem już instynktowo, żem się zdybał ze swoim. Jakoż nie omyliłem się: był to bowiem ów z opowiadania innych już mnie znajomy *Jur z Borowiczek.* Kiedy mi to Gintowt powiedział, nastroiłem się zaraz i podając rękę Jurowi, rzekłem do niego:

— Tyle mi tu już pięknych i dobrych rzeczy nagadano o Waszmość Panu i bracie, że za jeden z najpiękniejszych dni mego życia uważam sobie ten, w którym los fortunny podaje mi sposobność poznania Waszmości; to mnie tylko jedno zadziwia i zaraz zasmuca, że chodząc prawie jednemi drogami, nie zdybaliśmy się nigdy dotychczas.

— Nic w tém dziwnego - - odpowiedział mi Jur na to, ściskając mnie rękę — jeżeli się nienadybali, kraj to wielki i ludzi w nim siła; ja sobie przecie przypominam nazwisko Waszmości, ano niewiem, byłli to brat Waszmości, albo Waszmość sam, który przed bitwą Widawską przywiózł depesze naszemu Niemcowi?

Niemcem nazywali Zarembę, że się nosił z niemiecka; a ja rzeczywiście te depesze woziłem, więc odpowiedziałem:

— Ja to sam panie bracie woziłem te depesze, ale i to mnie jeszcze nie naprowadza na przypomnienie sobie Waszmości, lubo przecież potém i w bitwie Widawskiéj partycypowałem i po bitwie jeszcze dni kilka tam bawiłem.

— A wiem, wiem — rzekł Jur z Borowiczek. Owóż nie dziwno, że Waszmość za swoich kilka dni nie poznałeś wszystkich, którzy tam byli i nie dziwno, że ja Waszmości nazwisko pamiętam, bo przed bitwą: kiedy oficer z depeszami przyjedzie, toć o nim wiedzą w całym obozie.

— Tak, tak, panie bracie, — odpowiedziałem — no ale jakto góra z górą się nie zejdzie, a tu gdzie Widawa, a gdzie *Oszmiana*! i tam bywszy razem i nie znając się, *tu* dopiero się poznajemy.

Wtém tamci pozsiadali z koni i po jednemu poczęli się zbliżać do nas, a pod czas gdy Gintowet powiadał mi niektórych co przedniejszych nazwiska i zapoznawał mnie z nimi, w bramę waliła się druga takaż jezdnych komenda, niebawem też i trzecia i czwarta, a wszystko z wielkim brzękiem i hałasem; daléj, to po jednemu, to po trzech, to po pięciu wjeżdżali a wjeżdżali, a nie minęło i pół godziny od przyjazdu Gintowta i Jura z Borowiczek, kiedy już cały dziedziniec od ganku aż do bramy tak był napełniony ludźmi i końmi, jakby plac obozowy.

Śród tego zbierania się ja porzuciłem mojego Jura a poszedłem bliżéj trochę oglądać ową tak zachwaloną mi *szlachtę Oszmiańską*. Ale nie obaczyłem tam nic nadzwyczajnego. Wiele było ludzi pięknych i koni jak trzeba, ale też i chołoty nabiegło nie mało; osobliwie też owych zagonowych, których lada kubkiem i do piekła by zwabił, a na których patrząc, przypominało mi się owo przysłowie, które powiada: że *szlachcic od Oszmiany jedną nogę tylko ma w bócie, a drugą w łapciu chodzi*. Uzbrojenie też tego całego

tłumu było, jako i ludzie, różne, rozmaite: jedni z nich po staremu byli zbrojni od stóp do głowy; na jednym człowieku i pałasz, i nóż, i strzelba lub garłacz i pistoletów dwie pary a trzecia przy kulbace; drugi ledwie miał co broni, a nie jeden był taki, który miał szablę bez pochwy lub goły rapier u boku, albo pistolet jeden wielki na temlaku, ale i ten taki, że zjadłby diabła, ktoby z niego wystrzelił.

Kiedy się to wszystko zjechało w dziedziniec i rozłożyło po wszystkich kątach, a jak zwyczajnie ten poprawiał kulbakę na koniu, ów ostrzył szablicę, ci stare wystrzeliwali naboje, inni broń czyścili, ci skałki krzesali, ci nabijali na nowo, i w całym dziedzińcu rumor był wielki i rozgardyasz — przez Gintowta z jednéj, a przez Zosię z drugiéj strony prowadzony pod ramię, wyszedł *Dziadek* w dziedziniec.

Dziwny to i rozrzewniający był widok, kiedy starzec ten blisko stuletni, stanął przed zgromadzającą się koło niego szlachtą, i zdjąwszy czapkę z pokorą z białéj jak mleko głowy, przez łzy cisnące mu się do gardła, nie mógł zrazu ani słowa przemówić i tylko ręką witał przybyłych.

Obaczywszy dziadka, niektóra szlachta, już na sejmiku podpojona po trosze, zaczęła krzyczeć:

— Wiwat! pan Cześnik Dobrodziéj! Wiwat patryarcha nasz — i różne inne rzeczy; ale wnet sykaniem drugich uspokojeni, umilkli i nastąpiła cisza tak poważna, jakby w obozie, kiedy ksiądz czyta mszę pod namiotem.

Śród téj ciszy, dziadek zawsze stojąc na miejscu a na miejscu wyższém cokolwiek: bo dziedziniec był pochyły od ganku do bramy, odchrząknął raz i drugi i starym, chropowatym głosem, odpoczywając za każdym punktem, przemówił w te słowa:

— Mnie wielce Mości Panowie i bracia! Nie spodziewałem się nigdy, abym, będąc okolicznościami zmuszony wyjechać z mojéj ukochanéj Litwy, kiedykolwiek jeszcze do niéj powrócił. Grób dla mnie wykopany już był na Mazurach. Dzisiaj atoli inaczéj Bóg wszechmogący rozrządził, a ja zostawiwszy grób mój na kałużę dla wody cmentarnéj, stoję oto przed Waszmość Panami i bracią, i pokłon im szczery z pod ubogiéj strzechy mojéj wynoszę. Jako ojciec nieszczęśliwéj i czy to od szatana niewinnie prześladowanéj, czy od Pana Boga sprawiedliwie karanéj córki, powiadam to otwarcie, iż wolałbym, aby kości moje już dawno były pogniły w grobie, niżbym miał dożyć tak fatalnego terminu, jakim jest dzień dzisiejszy; — jako obywatel i sąsiad zaś, nie mógłem się doczekać dnia szczęśliwszego przed grobem, jako ten, w którym dostojne obywatelstwo na raz zgromadzone przed sobą widzę. A lubo, w którąkolwiek stronę

tego przezacnego zgromadzenia oczyma rzucę, ani jednego z moich, dawnych przyjaciół i towarzyszy dopatrzyć nie mogę, bo ci dawno już śpią po cmentarzach: toż jednak i to nad wszelkie wyrażenie wielkiem ukontentowaniem jest dla mnie, że mi Pan Bóg pozwala widzieć ich synów i wnuków. Jakoż w tym razie, kiedy ja sobie czynię tę słodką illuzyę, że z dawno już pomarłymi, dla których dotąd niespożyty afekt gore w mém sercu, w tym momencie rozmawiam: toż i wam, Mości Panowie i bracia, niechaj się tak wydaje, że nie z dalekich stron, żywy z żywego kraju przybyłem, ale żem wyszedł z grobów i wam synom i wnukom przynoszę pozdrowienia od moich ukochanych kolegów a waszych ojców i dziadów!...

Tu się dziadek zatrzymał, a podczas gdy w kilku miejscach dało się słyszeć głośne szlochanie, on kilka razy odetchnął i tak rzecz swą dokończył:

— Mości Panowie i bracia! Żeście tutaj w tak znakomitéj liczbie i tak pięknéj postaci przybyli, ani wam za to dziękuję, ani was czczemi słowy o wykonanie przedsięwziętego zamiaru proszę: bo jako sąsiad wasz i przyjaciel, który trzy pokolenia przeżył w tym Oszmiańskim powiecie, wiem to dowodnie, że jako uczynkami waszemi nie kieruje żadna stronność ani prywata, tak znowu wiem z drugiéj strony, że za cnoty wasze nagrody nie wyglądacie zkąd inąd, jeno *tu* od własnego sumienia waszego, a *tam* od Tego, który was wszystkich stworzył i który tylko sam jeden jest w stanie obywatelskie cnoty i zasługi wynagradzać wedle wartości. Ale oto jest biedna, opuszczona po córce mojéj sierota (to mówiąc dziadek, wziął obok siebie stojącą Zosię za rękę i podprowadził ją o krok naprzód), która, jak wiotki powój o saméj wiośnie została się sama, opuszczona i nieszczęściami przygnieciona do ziemi, a podczas gdy główkę uchyliwszy do słońca, szuka drzewa mocnego, o któreby się mogła oprzeć, znalazła tylko starego dębu pień spruchniały, który lubo musi służyć jéj za podporę, jednakże raczéj sam się powali i ją swym ciężarem przygniecie, niżby miał jéj dać ulgę i opiekę. Ta sierota Mości Panowie!... rzuca się przed wami na dziecięce kolana...

Tu się Zosia rzuciła na kolana i ręce złożyła, ale dziadkowi tak gwałtownie łzy się puściły z oczu, że już nie mógł nic daléj mówić.

Szlachta téż jedna szlochając w głos jak pacholęta, inni łzy ocierając, okrążyli go ciaśniejszem kołem i całując w ramiona, w ręce, a niektórzy w róg granatowego żupana, wołali: — Daj pokój, bo rozpłyniemy we łzach i żałości! — Inni zaś:

— Daj pokój, wszystko zrobimy!
— To ojciec nasz, to patryarcha!
— Z ojcami naszymi sługiwał!
— Naszych dziadów pogrzebał!
— Niech siada, niech siada, bo osłabnie!
— Żeby i diabli pilnowali tego zamku, to go dobędziem!
— Mury na kawałki rozszarpiem!
— I miejsce zaorzem!
— Żeby ani ślad nie pozostał!
— A córkę mu tu na rękach przyniesiem!
— A tego łotra, co nam taki wstyd i hańbę...
— Na suchéj wierzbie powiesim!

I poczęli brwi marszczyć, wąsami ruszać, że aż strach był patrzeć po téj garstce wojaków. Tymczasem dziadka posadzono na ławie pomiędzy lipami, co przedniejsi go obsiedli i obstąpili, zaręczając, że mu córkę przed północą przyniosą; inni przystępowali do Zosi, kojąc jéj łzy i szlochania, prawiąc grzeczności i przysięgając, że życie swoje położą za matkę dla sieroty.

W dziedzińcu zaś zrobił się wielki gwar i zamieszanie: jedni beczki z trunkami wytaczają z stodoły, nalewają i piją: Na powrócenie szczęśliwe Stolnikowéj! Na śmierć diabłu weneckiemu! Na powalenie w gruzy przeklętego zamczyska! — Inni wynoszą jadła i pieczywa i rozkrawując je w powietrzu, podają drugim — inni jeszcze broń gładzą, ostrzą pałasze, kulbaczą konie — inni, jako Demostenes z Zalosówki, człek mały, pękaty i łysy, a prawie obdarty w ubiorze, jako Seneka Giembutowicz, chudy, wysoki i zezowaty, powyłazili jeden na beczkę dnem wywróconą do góry, drugi na stós belek leżący pod szopą, i ogromadziwszy około siebie po garstce słuchaczy, perorują z wielkim ferworem i dobitną gestykulacyą. A muszą ci prawić coś nieźle, bo zyskują aplauzy i w dziedzińcu krzyk się wzmaga coraz groźniejszy i donośniejszy.

Ja byłem tu i tam; temu podawałem wino, tamtemu miód, trzeciemu jadło, tamtego perory słuchałem przez chwilę, temu kompliment powiedziałem od dziadka, a onemu pochwaliłem broń albo konia, wszędzie starając się o to, ażeby nadto wielki ferwor umitygować, ale ducha dobrego ustalić i utrzymać. Przy téj robocie nietylko to miałem na celu, aby dziadka w obowiązku gospodarskim wyręczyć, ale zarazem i to, żeby się z tymi ludźmi choć cokolwiek obeznać, i wśród aktu samego wiedzieć, gdzie się po co rzucić i kogo do czego użyć; bo prawdę powiedzieć, ja sobie zdobycia tego zamku nie uważałem za rzecz tak małą. Murdelio, pan zamku, był człek nie głupi, i do tego takiéj determinacyi, jak mało kto;

a z takimi ludźmi zwłaszcza w chwilach stanowczych nie łatwa jest sprawa. Przypomniawszy zaś sobie, że na wiadomość o oburzeniu się całego powiatu na niego i rozpacz go mogła owładnąć, można było i o zwycięztwie powątpiewać. Ja przynajmniéj tak tę rzecz rozumiałem i w tym celu kręciłem się między szlachtą i wyrozumiewałem co mógłem, a lubo w niedługiéj chwili już mi się wiele rzeczy wyjaśniło, to jednak jakoś nie kontent byłem i sam nie wiedząc czego, jednak czegoś szukałem. Aż dopiero, gdy już wszystkich co celniejszych poprzechodziłem z osobna, pokazało mi się jawnie, że to, czego szukałem i znaleźć nie mógłem, był *Jur z Borowiczek*. Oglądałem się jeszcze raz i rzeczywiście nigdzie go ujrzeć nie mógłem; dziwno mi było, że on, pierwszy junak oszmiańskiego powiatu, na którego, jakby na cztery tuzy, liczono i w którego ręce już naprzód składano komendę, nie mówię, zniknął z placu, ale odsunął się w kąt w takiéj chwili, w któréj przytomność zaufanego wodza wiele działa na podkomendnych. Ja już w mojem życiu, widziałem i bardzo wielkich junaków w stanowczéj chwili znikających z placu. Więc tém większa chęć mnie wzięła koniecznie odszukać Jura z Borowiczek i obaczyć, co on też robi. Jakoż po niedługiéj chwili znalazłem go wewnątrz stodoły, siedzącego w kącie na ławie opartego plecyma o wiązkę słomy i zadumanego głęboko. Przystąpiłem tedy do niego i rzekłem:

— Cóż Waszmość tak samotnie? i od kolegów zdala i od posiłków zdala, a przecież to noc przed nami i podróż dwumilowa i robota może nie lekka.

— Głodny nie jestem — odpowiedział mi na to Jur z Borowiczek — a choćbym nawet i głodny był, to wolę głód przenieść, niż słuchać tego nieznośnego gwaru, który mnie dzisiaj tak razi, jakby mnie kto nożami krajał.

Nie wiele to jest junaków na swiecie, którzy gwaru nie lubią, i owszem, jest to ich żywioł właściwy, jako woda dla ryby, lub powietrze dla ptastwa; więc ta odpowiedź jego zajęła moją uwagę — a że to dopiero co słońce zaszło było i jeszcze najmniéj z godzinę należało się z wyruszeniem zatrzymać, więc usiadłem koło niego mówiąc:

— Dziwi mnie to nie pomału, że Waszmość, który, jak mi tu powiadają, wzrosłeś śród gwarów wojennych, myśliwskich i zajazdowych, dzisiaj go znieść nie możesz.

— Otóż to może najgorzéj — rzekł on na to, że się to przypomina! Nie będziesz bowiem Waszmość rozumiał, że ja mam nerwy słabe i dla nich znieść nie mogę, że kilkunastu szlachty krzyka sobie przy kubkach i szablami pobrzękuję; ano to mnie jest nieznośne, że dla prywaty się tu zlecieli, jako muchy do miodu, i krzyczą a junakują tak

srodze, jakby już z parę światów zburzyli w swém życiu i teraz znów szli na jeden. To mnie jest przykro i za to mnie serce boli! Prozopopeja wielka a rzeczy ani krzty!

— To masz prawdę! — zawołałem na to Jurowi. — Jać nie dawno żyje na tym świecie i więcéj może lat stoi przedemną niż za mną, ale przecież coś jeszcze dawniejszego świata zarwałem. Inny świat, inni ludzie. Z czynów pozostały wspomnienia, z mężów hałaśliwi żakowie, z czynnego ducha, jak to dobrze Waszmość powiadasz, czcza tylko prozopopeja! Tak to jest u was, tak u nas, tak podobno i w całym świecie.

— Mój Boże! — rzekł na to Jur smutno, opierając na łokciu głowę — gdzież to dawnemi czasy! . . . gdzież to dawnemi czasy, gdzie to słyszano, żeby dla lichego zajazdu takie robić hałasy, takie robić konspiracye, żeby o tém, nim się jeszcze rzecz zrobi, już po całym kraju słyszano? Gdzie kto widział, żeby dla lichego zajazdu aż sejmik zrywano? . . . Ale co mi tam na tém! ja już swoje wygrałem.

Odetchnął na chwilę Jur z Borowiczek, jak gdyby wyczekiwał odemnie odpowiedzi, ale ja już nie nie odpowiedziałem — mnie się już serce pławiło we łzach gorących: bo mnie w najsłabszą uderzył stronę.

W tém hałas i krzyki, wzmagające się coraz bardziéj w dziedzińcu, zamieniły się nagle w jeden okrzyk wrzaskliwy i przeciągły — na ten wrzask Jur z Borowiczek porwał się ze swego siedzenia i poprawiając pas skórzany, który nosił po kurcie, rzekł do mnie:

— Aha! już po biesiadzie! chodźmyż i my; czas już wsiadać na konie, a tu nim wyruszymy, trzeba jeszcze jakoś sprawić tych ludzi: bo lubo ja nie myślę, żeby tam przyszło do bitwy, jednak bez ładu trudno i marsz zrobić ladajaki.

— Jak to, Waszmość rozumiesz, że tam nie przyjdzie do bitwy? Ja rozumiem przeciwnie, że bitwa będzie i to bitwa nie mała, chyba że Waszmość nie znasz *Jmć Pana Piotrowicza alias Murdeliona!*

— Ja go nie znam? — odparł Jur na to — a kto go zna lepiéj? ale właśnie dla tego, że go znam, supponuję, że do bitwy nie przyjdzie. Zebrał on tam trochę chołoty, ale to wszystko chołota nie tylko bez broni, ale nawet bez ubioru; — zamek nie opatrzony i o obronie z murów ani myśleć może; a do tego Piotrowicz to tchórz koronny, jak każdy łotr z obciążonem sumieniem. Na bezbronnych napadać, kobiety i dzieci straszyć po nocach, włóczęgów wieszać, o! do tego diabelska u niego odwaga; ale bronią na broń, piersią na pierś, nie widziałem go, aby kiedy uderzał.

— Otóż teraz Waszmości powiem, że go nieznasz zupełnie. Ja nie tylko znam jego życie, które pełne jest jawnych dowodów odwagi, ale nawet samego widziałem, kiedy bronią na broń i piersią o pierś uderzał, i to powiadam: że diabelska w nim jest odwaga. Diabelska mospanie! bo nie wstydzę się i tego powiedzieć, że nawet ja sam, który wiele o sobie trzymam, gdy pałasz mam w ręku, jednak nie przysięgałbym na to, że mu cięcie wytrzymam.

— To być może — odpowiedział Jur na to — boć nawet mówią, że sam diabeł w nim siedzi; ale ja bo i diabłu stanę na głowę! A wiesz Waszmość dla czego?

— Nie, nie wiem,

— Bo mam czyste sumienie: — odpowiedział Jur z Borowiczek. — I z tem wyszliśmy na dziedziniec.

A dziedziniec aż chodził w około od samego gwaru, pobrzęku i różnéj swawoli, którą drudzy, popiwszy się do szaleństwa, dokazywali: kiedyśmy weszli pomiędzy nich a ja się rozpatrzyłem bliżéj we wszystkiem co się działo, a już zmrok był zupełny i księżyc ani myślał wychodzić na niebo: bo działo się to w dzień, dwa dni po pełni, że i nie mógłem dojrzeć wszystkiego: źle, pomyślałem, szlachta pijana jak susły! A to do tego stopnia, że nie tylko się tak głośno całowali, jakby kto strzelał z batogów, ale drudzy się aż z koni ściągali z swawoli, inni nawet po ziemi się tarzali. Szklanka, dwie, trzy zresztą, dla fantazyi i dobrego humoru, to jest rzecz nie zła i owszem skuteczna, ale spić się jak bele w takiéj chwili, kiedy się komuś przyszło na pomoc i ma los jego rozstrzygać, to diabła warta taka robota! Jakoż zaraz podybawszy Gintowta, rzekłem do niego:

— Panie Cześniku dobrodzieju, czy nie nadtoście tym ludziom w szyję nalali!

— Jakto, na czczo? — rzekt Gintowt, patrząc mnie się prosto w oczy i pokręcając siwawych wąsów.

— Ja mówię, czy nie nadto?

— Nie nadto, w samo prawie; — odpowiedział pan Cześnik; ale odchodząc tak potężnie się kiwnął na stronę, iż ani chwili nie wątpiłem, że i on ma w samo prawie.

W tém przystąpił do mnie Jur znowu, który już tymczasem cały dziedziniec był obszedł i rzecze:

— No! panie bracie, teraz my się napijmy po kropli, bo już czas wielki.

— Dobrze — rzekłem — ale coś mi tu zanadto ponalewali.

— Nic nie szkodzi, przecie to półtoréj mili drogi.

Podał nam też zaraz pan Kościuszkiewicz dwie butelek dobrego wina, które wypiwszy sobie z Jurem w ręce, rzuciliśmy na ziemię; on zaś wstąpiwszy na stół kamienny i już nie smutnym, ale donośnym i czystym jak dzwon głosem zawołał:

— Panowie! czas wsiadać! Niech żyje pan Wit! a niech na wieki przepadnie wstyd i hańba oszmiańskiego powiatu!

— Wiwat! — krzyknęli wszyscy jednym głosem, a lubo z tych i owych kątów dały się słyszeć głosy:

— Kto krzyczy?

— Diabeł wenecki.

— Jur z Borowiczek.

— Jaki mi do komendy!

— Panie Seneka czy wsiadać?

— Panie Gintowt! a jak tam? ty prowadź!

— Czekajno! jeszcze słowo!

— Héj! niech go diabli!

— Ani kosteczki zeń nie zostanie! — i Bóg nie wie co jeszcze, to jednak ani jedno *Ave* nie przeminęło, kiedy już wszyscy siedzieli na koniach a Jur na siwym ogromnym ogierze, szalał tedy owedy prosząc do porządku Waszmość panów braci i Dobrodziejów.

Kiedyśmy wyjechali i zaraz za bramą sprawili się na drogę, zrazu tylko krzaczyskami i karłowatą brzeziną otoczoną, zaraz też księżyc pełny dobył się na niebo; ale taki był krwawy, tak czerwony, że zawiesiwszy się nad czarnemi borami, wyglądał jakby słońce wypalone i gasnące nad Litwą. Potém wyjechał on wyżéj i jeszcze wyżéj, a tak wyjaśniał i wybielał, że rozlane po sobie światło jego odbijając ziemia, zdawała się kobiercem zielonym w srebrne dzianym desenie. Nakoniec wyszedł na sam środek niebieskiego sklepienia, i lejąc coraz obfitsze białego światła powodzie, zdało się, że stanął tak i czekać będzie, póki nie powrócimy z wyprawy.

A my sprawiwszy się w takie szeregi, jakie się na niewielkiéj drodze pomieścić mogły, ciągniemy sobie truchtem daléj i daléj. Na przodzie jedzie starszyzna; więc Gintowt, więc Żaba i innych kilku jeszcze siwowłosych, których nazwiska, ile że litewskie więc dziwne a krótkie, dawno mi już wyleciały z pamięci.

Za nimi w pierwszych szeregach posuwa się szlachta co przedniejsza, a po skrzydłach młodzież, która ognista i radaby już prędko z bliska obaczyć, jako smakuje bitwa; daléj pospolita szlachta z zagonów, a nakoniec tałałajstwo na chudych szkapach, ladajako okulbaczonych, wszyscy pijani serdecznie, gwarząc głośno, odgrażający się srodze i z pachołkami a gawiedzią w czambuł zmieszani.

Ja, jako obcy pomiędzy nimi, żeby mnie kto nieposą-

dził o chęć burmistrzowania na cudzéj ziemi, jechałem z Węgrzynkiem moim na samym końcu, ale dwóch stajan nie zrobiłem, kiedy do mnie przygalopował Jur z Borowiczek z drugim jeszcze jakimsiś młokosikiem, którzy to lubią się wieszać przy starszych, aby nie jeszcze nie uczyniwszy i żadnego dowodu ani ręki ani głowy nie dawszy, zaraz już coś więcéj znaczyć nad innych i obadwa stanęli przy mnie.

— Kto się tu wlecze na szarym koniu? — rzecze Jur dojeżdżając do mnie i opatrując mnie bliżéj.

— To ja panie bracie — odpowiedziałem — niechcę się naprzód wysuwać przed bitwą, żeby mnie Litwini nie posądzali o co: bo i tak już słyszy się nie jedno i puszcza pomimo ucha, a jak przyjdzie do bitwy, to już ja się znajdę naprzedzie.

— Masz Waszmość prawdę: w ogniu pierwszy, w odwrocie ostatni, oto żołnierz jak trzeba, a tymczasem i ja tu z Waszmością pojadę.

Proszę, proszę — rzekłem, — jeżeli Waszmość dla mojéj kompanii, to nie przyjmuję téj grzeczności; Waszmość tam potrzebniejszy na przedzie. — A on na to:

— Radbym mówić, że dla kompanii, ale tak nie jest: bo tu moje właściwe miejsce.

— A to na co?

— Na co? niebawem to Waszmość obaczysz. Ledwie co tych słów dopowiedział, kiedy dwóch Waszeciów z szarego końca, już od niejakiéj chwili pozostając po trochę, skręciło nagle na lewo i zniknęło między jelnikiem. Wtymże momencie spiął Jur konia i krzyknąwszy: Oho! już? — skoczył za nimi i zaraz im drogę zajechał. Myśmy posunęli się za nim.

— Panowie bracia! — wołał on do tych dwóch zatrzymanych przez siebie — fugas chrustas? fe! to nie ładnie.

— My nie . . . my tego . . . ja tylko tak . . . jąkali oni jeden za drugim, zmięszawszy się setnie.

— No, ja widzę, że to nic, że Waszmość tylko tak — odpowiedział Jur na to, — ale jednakże to nie ładnie; niech no Waszmość nazad się wsuną w szeregi: bo my nim uderzymy na zamek, to pierwéj przecie staniemy i obliczymy się, a pan Gintowt ma wszystkich spisanych.

— Czy do diabła! popisał nas? — rzekł jeden.

— Da, popisał panie bracie! Chyba wracajmy, — odpowiedział drugi i zwróciwszy konie, wjechali obadwa do szeregu, mrucząc sobie coś z litewska pod nosem.

Będzie tu tego więcéj — rzekł do mnie Jur, kiedyśmy już dawnym ładem postępowali daléj.

Jakoż zaraz się to potwierdziło: bo znowu niebawem

dwóch wymknęło się w jelnik, a kiedyśmy ich zgonili, pokazało się, że obadwa byli szczerzy bocwinkowie z pod saméj Oszmiany. Jednakże nie mogę powiedzieć, żeby dużo było tego gubienia się po drodze, bo koniec końców tylko trzech nam znikło.

Zegarek mój kieszonkowy pokazywał jedenastą godzinę, kiedy Jur rzecze do mnie:

— Kiedy wyjedziemy za las, popatrz Waszmość na lewo, obaczysz *Zamek Murdeliona.* I w saméj rzeczy, ledwieśmy wyjechali za las, zaraz się tak przecudny a dziwny przed naszemi oczyma roztoczył widok, że go podobno do śmierci nie zapomnę. Widok ten oto poczynał się piękną równiną, która była tak lekką a białą mgłą nakryta, jak gdyby ją kto delikatnym nakrył muślinem. Mgła ta im daléj, tem się wydawała gęściejszą i bielszą i tém podnosiła się wyżéj, a nakoniec tak wysoko, że aż sobą zakrywała ostatni kres nieba; a wciągając w delikatne swe fałdy srebrne światło księżyca, dozwalała zarazem przez siebie widzieć rój gwiazdek bladawych, niby w niéj utopionych i konających. Na takiem tle cudownem, po lewéj stronie nad wzgórzą rysował się zamek czarny, którego jeknakże tylko wierzchnie mury i niewysokie zębate a krzewami zarośnięte już baszty, widne były naszemu oku: reszta zamku także była w mgle zatopiona. Na tych murach i basztach widać było wyraźnie jakichś ludzi kręcących się tam i sam, którzy tém dziwniéj nam wyglądali, że niektórzy z nich trzymali jakieś lonty zapalone albo latarnie w rękach i z niemi się snuli. Z resztą jeszcze tylko w kilku oknach zamkowych widać było światło jaskrawsze; niżéj mgła grubsza niczego już dojrzeć nie dozwalała.

Ujrzawszy to, zatrzymałem konia i przypatrywałem się temu dziwnemu widowisku, a im dłużéj się przypatrywałem, tém dziwniejsze mi się naciskały myśli i uczucia, bo to co widziałem, kazało mi się w tém miejscu domyślać, raczéj jakiegoś zaczarowanego dobrych duchów mieszkania, niżeli diabelskiego siedliska. Ale niebawem wyprowadzony zostałem z błędu: bo w téjże chwili krzyk głośny dał się słyszeć na murach, czerwone światełko mignęło jaśniéj na jednéj baszcie, trzy strzały działowe zatrzęsły ziemią i powietrzem, trzy kule zaświstały koło nas, a jedna znich o kilka kroków tylko odemnie roztrzaskała wraz z koniem owego młokosika, który dobrowolnie adjutantował Jurowi.

Takie przywitanie, przez najbojaźliwszych nawet niespodziewane, zrobiło efekt należyty.

I warto było widzieć Jura z Borowiczek natenczas, jako z dobytą szablą rzucił się przed front pierwszych szeregów;

warto było widzieć Gintowta starego, który odmłodniawszy o lat 20, stał na przodzie, jak rycerz prawdziwy; ba! warto bo i było widzieć on hufiec cały, który pozbywszy się trzech tchorzów ze swoich szeregów, na odgłos strzałów, zatrząsł się cały i dobywszy jednocześnie szabel, stanął nietylko gotowy, ale pojedyńczemi końmi nawet naprzód wysadzał i rwał się, jak gdyby każde mrugnienie oka było dla niego godziną.

Skoczył Jur na koniu przed front hufu i dobywszy szabli, wielkim głosem zawołał: — krew już płynie! po żołniersku ten diabeł nas wita, odpowiedzmyż mu po żołniersku: — Gintowt zaś z swojéj strony zawtórzył:

— Pomnijcie na to, że ja tam każdą dziurę znam w zamku: kiedy uderzycie, wprost za mną, z przyzwoitym impetem, ani włos z głowy żadnemu z nas nie upadnie!...

I coś tam jeszcze perorował pan Gintowt, a tymczasem Jur z Borowiczek i jeszcze kilku innych co przedniejszych, a żołnierki z lat dawnych świadomych, rzucali się to na lewe skrzydło, to na prawę, to na tył, aby w szyk bojowy posprawiać szeregi.

Ja z Węgrzynkiem i onym nieboszczykiem rozerwanym na dwoje stałem zrazu z tyłu za całym hufcem. Ale gdym usłyszał głosy komendy, rzekłem do Węgrzynka:

— Janczi! pamiętajże sprawić się dobrze, bo zuch jesteś w gospodach i dobrze się sprawujesz z hołotą; ale to wszystko za nic, kiedy rzecz pokpisz ze szlachtą.

— Wielmożny panie! — rzecze on na to — mnie aż dusza się śmieje. Wszystko dobrze będzie.

— Pamiętajże — rzekłem jeszcze — trzymać się mnie nie daleko, a przy pierwszym szturmie nie wyrywaj się bardzo naprzód, bo pocztowym to nie przystoi. Potém już bij gdzie się podoba. No! w imie Boże!

— Zaszwargotał coś jeszcze mój Janczi z węgierska i wjechawszy w kupę, wwiercieliśmy się tak, że ja stanąłem w pierwszym on zaś tuż za mną zaraz w drugim szeregu.

Szeregi już były sprawione, tylko jeszcze ten i ów się poprawiał na siodle, tamten pistolety dobywał, drugi się modlił po cichu, a inny nawet szkaplerz poświęcony całował; więc Gintowt stary, obwiązawszy prawą rękę paskiem św. Franciszka od omdlenia i kurczów dla wiekowych ludzi skutecznym, podniósł w niéj szablę do góry i odrzuciwszy pierwéj Jurowi słów parę, chciał podobno *w imie Boże!* zawołać, ale w tymże momencie znowu takoż trzy strzały działowe zagrzmiały z murów — jednakże tą razą nic nam nie zaszkodziły, tylko mowę Gintowtowi przerwały. Lecz

gdy te strzały przebrzmiały, a Jur z Borowiczek stał już na prawém skrzydle nie opodal odemnie, Gintowt jeszcze parę kroków ku szeregom postępował i głośno zawołał:

— W Imię Ojca i Syna i Przenajświętszéj Matki Ostrobramskiéj, daléj, panowie bracia! — Po tych słowach on sam zwrócił konia i skoczył pierwszy, my zaś wszyscy z okrzykiem: *Jezus*, *Marya*, *Józef!* skoczyliśmy za nim i zaraz pędem z kopyta.

Zamek ów od nas nie był daléj, jak na trzy stajan; fosy w około niego były pozarastane, mury porozwalane i tylko gdzie niegdzie krokwiami albo belkami na prędce pozakładane; ale luki wszystkie były wielkiemi kupami ludzi poobsadzane, o czém my jednak nic a nic nie wiedzieli. I kiedyśmy z miejsca ruszyli, to lubo szeregi nasze były wyciągnięte prosto jak linie, w stu krokach wszystkie się rozerwały i zrobiło się tak, że Gintowt po staremu dżgał naprzód, za nim zaraz Jur z Borowiczek, za Jurem ja z drugim jakimś szlachcicem, a za nami dopiero reszta gnała co konie mogły wyskoczyć. Ale i tym porządkiem nie biegliśmy daléj, jak drugie sto kroków: bo w trzecich stu wszystkich nas naczelnych przesadził mój Janczi — i z takim impetem uderzył w to miejsce, gdzie snać dawniéj brama bywała, ale teraz kilka drzew tylko leżało i tłum ludzi zbrojnych stał z wystawionemi przeciwko nas spisami, że sam prawda wywrócił się z koniem przez drzewa, ale nam taki rum zrobił, że przez cały dziedziniec nabity hołotą, przejechaliśmy, jakby tylko przez łąkę, i znaleźliśmy się pod samemi drzwiami zamkowemi. Tam się znalazłszy, za przykładem Gintowta zaraz zeskoczyliśmy z koni, i walimy prosto po wschodach kamiennych na górę. Jak się to działo, Bóg raczy wiedzieć; bo prawdę mówiąc, ja przynajmniéj w takich imprezach jeszcze nie bywałem; tém bardziéj téż tutaj, nie znając ani miejscowości, ani ukrytych Gintowta planów, o które nawet pytać nie było czasu, szedłem jak ślepy lub pijany. Jednakże znalazłszy się na wschodach i obaczywszy, że nas tylko pięciu tam było, reszta zaś wszystka pozostała na dole, a może i za murami rzeknę prędko do Jura:

— Panie bracie! pięciu nas tylko; odcięto nas!

— Nie odcięto; znam ja swych ludzi! — odpowiedział Jur, i w tém wpadliśmy do sieni pierwszego piętra. Tam zaraz na Gintowta, który szedł pierwszy, uderzyła kupa zbrojnych. Gintowt się odciął i zaraz natarł; tuż za nim Jur rzucił się, jakby lew rozdrażniony, a potem nuż my kiedy ich weźmiemy na szable, to jakby orzech zgryzł; kilku

położyło się zaraz, a reszta jak wymiótł. Murdeliona jednak pomiędzy nimi nie było.

— Gdzież ten diabeł wenecki! — zawołał Jur na to, gdyśmy w sieniach ostali sami.

— Do tych drzwi walmy! zawołał Gintowt, pokazując drzwi jedne na lewo.

Wtém huk straszny się rozległ po całym zamku; wszystkie mury zadrżały, aż podłoga pod nami zadygotała. Był to ostatni strzał działowy; wydany z baszty zamkowéj; ale już to był jęk śmiertelny tego diabelskiego zamczyska: — bo nie zważając nic na to, w téjże chwili rzuciliśmy się na drzwi pokazane nam przez Gintowta i uderzyliśmy w nie ramionami. Drzwi tylko trzasnęły kilka razy pod naszym naciskiem, ale téż i natychmiast pękły i rozdarłszy się w kilka części, wpadły do izby. W pierwszéj izbie nieznaleźliśmy nikogo, tylko światło uderzyło nas w oczy; ale równo z łoskotem, który za naszem wpadnięciem rozległ się po salach zamkowych, w drugiéj czy w trzeciéj izbie dał się słyszeć strzał z pistoletu i zaraz za nim krzyk gwałtowny, kobiecy, rozdzierający serce. Na to poskoczyliśmy jeszcze ręczéj do drugiéj izby. Ale i w téj nic było nikogo, tylko światła i światła. Przy drzwiach do trzeciéj dopiero, jakiś pachoł zbrojny zastąpił nam drogę — ten od Jura rozpłatan na miejscu. Po tym trupie przebiegliśmy daléj, do sali wielkiéj, wysokiéj, z wązkiemi gotyckiemi oknami, z mnóstwem różnych drzwi i krużganków, ale i tu nie było nikogo, a że drzwi było kilka, więc Gintowt znowu rzucił się naprzód i wpadłszy razem z nami w małe rogowe drzwiczki, wwiódł nas do wielkiego pokoju, w którym już miało się oko na czém zatrzymać. Na ziemi bowiem wyciągnięta jak długa leżała zda się już nieżywa niewiasta; koło niéj z rozpierzchnionemi włosami, z krwią nabiegłemi oczyma, z twarzą prawie tak czarną jak węgiel, pomieszany, chwiejący się, we francuzkie czy włoskie, koloru czarnego, suknie ubrany, on sam *Murdelio*. U nóg jego na ziemi, niedaleko od téj kobiety, leżała szabla bez pochwy i pistolet pewno po strzale porzucony przez niego; on zaś sam trzymał drugi pistolet i z wzrokiem utkwionym w ową kobietę, zdawał się być w onym fatalnym momencie, w którym człowiek spełniwszy czyn rozpaczy i widząc, że i ten na nic się nie zdał, traci głowę i zmysły. Jednakże gdyśmy wpadli, porwał się i wymierzywszy do nas z pistoletu, wystrzelił, ale już spudłował. Na to Jur rzucił się na niego, a jako już rozbrojonego, puściwszy szablę swoją na temlak, ręką pochwycił za kark i podniósłszy go w powietrze, zawołał:

— Rozćwiartować tego diabła!

Ale ledwie tych słów domówił, Murdelio się zwinął jak wąż, Jura ukąsił w rękę do saméj kości, i wyrwawszy mu się z garści, z sztyletem błyszczącym jak szkło, który nie wiem czy miał za rękawem, czy dobył z za pasa, rzucił się na nas. Nasza wina była, żeśmy nie byli przytomni, z czego on korzystając, najpierw mnie, który już z opuszczoną szablą stałem o parę kroków, pchnął tak silnie w pierś poniżéj prawego ramienia, że mi i pierś przebił aż do saméj łopatki i zaraz powalił o ziemię; potém Gintowta srodze drasnął po twarzy i także powalił, a przez powalonych skoczywszy, w drzwiach zniknął. A wszystko to stało się tak nagle, że kiedy tamci dwaj szlachta za uciekającym z pistoletów strzelili, to jeno drzwiczki kulami potrzaskali.

Co się daléj działo, tego już dokładnie opowiedzieć nie umiem: bo mnie za moment cała gęba napełniła się krwią i odszedłem od przytomności. To tylko dla zaokrąglenia rzeczy dopowiem, że ona niewiasta, którąśmy na ziemi leżącą znaleźli i zabitą być rozumieli, była to pani Stolnikowa; ale ani zabita, ani nawet draśnięta nie była, tylko tak od przestrachu przy pierwszym Murdeliona strzale omdlała. Zaś, czy ten strzał Murdelio puścił do niéj, czy przez prędkość do nas, jeszcze natenczas w pierwszéj izbie dopiero będących, nigdy się od niéj nie można było dowiedzieć.

Szlachta nasza, powstrzymaną przez ową hołotę w dziedzińcu, biła się doskonale, ale hołota niepotém; jednakże naszych liczono cztérech zabitych i kilkunastu ranionych, pomiędzy tymi i Węgrzynka mego, który tak był skłóty i potłuczony, że jego powrócenie do zdrowia i do dawnéj fantazyi, za cud Pana Boga trzeba było uważać — hołoty zaś nasieczono bez liku.

Murdeliona, po zniknieniu jego z onéj izby narożnéj, ludzkie oko już nie widziało: przechował-li on się gdzie w jakiéj piwnicy, dostał-li się jakim podziemnym wychodem na czyste pole, a nawet czy kiedykolwiek potém jeszcze się na swym zamku pokazał? — pozostało zagadką na wieki, a zarazem i źródłem do wielu baśni i plotek, które do dziś dnia opowiadają sobie w tych okolicach.

My zaś wszyscy, a mianowicie pani Stolnikowa, wystraszona, milcząca i blada, jakby ją z trumny wyjęto; ja srodze ranny i osłabiony; Gintowt z rozpłataną gębą i wąsem odciętym, i reszta pokaleczonych, powsadzani na wozy i otoczeni mało co przetrzebionym hufcem naszym na koniach, jeszcze śród ciemnéj nocy wyruszyliśmy z zamkowego dziedzińca. Właśnie słońce poranne pierwszemi promieniami

swemi złociło jasno zielone łąki i pola, tysiącami tęczowych blasków igrało w każdéj kropelce rosy, kiedyśmy stanęli przed obrazem Matki Najświętszéj Ostrobramskiéj, wiszącéj nad gankiem dziadkowego dworku, i tam witani byli łzami i mdłościami i okrzykami radości!

B.

Obrazy poetyczne i Powieści większe

czyli

Romanse.

Zawieja śnieżna na Podolu.

Przez Z. Kaczkowskiego. (Z powieści Wnuczęta.)

(Str. 49.)

Kto nie był nigdy na Podolu śród tęgiéj zimy i nie widział choć z daleka nadciągających zwykle przed zmrokiem tych stepowych orkanów, które jak gdyby ptaki zrywają się ze ziemi i potém pędzą z całą wściekłością dzikiego elementu przez step, nie stawiający im nigdzie zapory, ten sobie nie będzie umiał nawet wyobrazić, jaka burza zdybała Racibora w połowie drogi. Było to bowiem coś takiego, przeciwko czemu wszystkie najwścieklejsze niepogody innych okolic, zaledwie się mogą nazwać zabawką rozdrażnionéj przyrody. Tam ze stron wszystkich od razu zerwały się najwścieklejsze orkany i od razu zaczęły swoję grę piekielną na stepie. Patrząc na to, nie można było widzieć, co to się dzieje; w okamgnieniu bowiem zrobiło się ciemno do koła, ziemia zdawała się drżeć i trząść od przestrachu, szum i świst przeraźliwy dawał się słyszeć nad głową a z dala dochodziły jakieś jęki piekielne i całe chóry najdzikszych i nigdy niesłyszanych harmonii, jak gdyby tam gdzieś zapadało się niebo, pękała ziemia i otwierały się paszcze piekieł podziemnych. Tu wichry podnosiły całe chmury śniegu i niosły je z sobą; gdzieindziéj stawały słupy śnieżne, kręcące się w koło jakby trąby morskie i sięgające do nieba, a tam znowu wicher wyrywał śnieg aż ze skorupą ziemi, i z zamarzniętemi grudkami piasku niósł go światami. W téj też chwili było tak, że woźnica koni nie widział przed sobą, a Racibor nie widział woźnicy; czasem cała zaspa śniegu upadła pomiędzy nich obudwóch do sani, czasem cała góra biała gdyby upiór powstający z ziemi, stanęła nagle przed końmi. Ale pomimo to, konie parły naprzód ze wszystkiéj siły, rysak pruł śnieg przed sobą łbem i piersiami i zdawał się płynąć po wierzchu śniegu, siwy w ciągłych szczupakach, to wyskakiwał w głąb téj drogi puchowéj, to wyskakiwał znowu na wierzch, a sanie rączo pomykały się naprzód.

Pomimo, iż jazda zdawała się im iść dosyć rączo, zaledwie może ćwierć mili ujechali wśród tych wściekających się wichrów i zamieci, gdy obrócił się Ostafi do Racibora i rzekł:

— Oj! panie! nie dobrze; kto wie, co tu będzie?

Przerażony tą uwagą Racibor, podniósł się trochę z siedzenia i chciał spojrzeć na konie, ale w tym momencie olbrzymia chmura śniegu, kręcąc się z przeraźliwym świstem, padła prosto na nich i na konie. Nic widząc tedy nic prawie Racibor spytał tylko:

— Ale wiesz przynajmniéj, gdzie jesteś?

— Powinniśmy być teraz na Grafowskiéj granicy, bo oto dopiero co błysnęła mi po prawéj stronie Męka Pańska, która tam stoi pomiędzy kopcami — odpowiedział klapiący zębami Ostafi.

— To przeżegnaj się mój Ostafi i ruszaj!

Ostafi też ruszył lejcami, zagadał po swojemu do koni i znowu parł naprzód, a burza wyła coraz wściekléj i groźniéj i zaczął zmrok już zapadać powoli. Chwilami też robiło się tak ciemno, jak śród nocy i nie było widać nawet ręki trzymanéj przed nosem. Ujechawszy tak znowu jakąś przestrzeń niewielką, jeszcze raz się obejrzał i rzekł:

— Panie! źle!

— Cóż znowu? — zapytał Racibor głosem słabym i zachrypniętym, bo wichry robiły się coraz mocniejsze, śnieg coraz suchszy i słowa zdawały się zamarzać na ustach.

— Widzi mi się, że rysak już co jeno nie ustanie — odpowiedział Ostafi.

— Pana Boga na pomoc i wio! — krzyknął z przerażeniem Racibor, — nie da Bóg zginąć dobrym ludziom tak marnie.

— W imię Ojca i Syna! zaszeptał Ostafi i kuląc się coraz niżéj na koźle ruszał ile jeszcze miał siły. A orkany wściekały się jeszcze groźniéj, bałwany śniegu, marznącego w powietrzu, z szatańską mocą uderzały w boki całego statku, albo go przysypywały z wierzchu i podczas kiedy w górze było słychać piekielne rwanie i darcie się chmur gęstych, przelatujących z skrzypiącym szumem, jakby jakieś okręty powietrzne, dołem mróz chwytał ognisty, oddech zamarzał w gardle, przeciskał się aż do kości, zasklepiał oczy. Racibor widział, że źle jest i czuł, że sanie ciągną się coraz powoléj i zdawało mu się, że nawet ustają chwilami. I chciał pomyśleć o tém, coby tu zrobić, ale myśl krzepła mu w głowie, usta przymarzały do siebie, oczy się nie mogły otwierać a coraz mocniejsza senność opadała całe ciało jego; od chwili do chwili tylko pokazywał mu się przed

saniami po prawéj stronie wzniesiony łeb siwego konia i zdawało mu się słyszeć jego parskanie.

Aż też w jednym momencie znowu taki wściekły bałwan marznących śniegów z szatańską mocą uderzył w statek i zdawało się, że konie stanęły. Racibor się podniósł i patrzał przed siebie, lecz nie mógł nic widzieć, bo śnieg gęsty miótł na poprzek sani i coraz bardziéj ciemniało na dworze. Nareszcie nagle przedarły się z przerażającym rykiem chmury nad jego głową, promień jaśniejszego cokolwiek światła padł prosto na sanie i tyle tylko oczy Racibora oświecił, iż mógł dojrzeć wyraźnie, że rysak leżał wyciągnięty przed saniami i śnieg go już przez połowę zasypał, koń siwy rwał się z całą wściekłością i stawał dęba naprzeciw wichrom a Ostafi stał po pas w śniegu nad tonącym coraz głębiéj rysiakiem, i skostniałą rękę ze skórzaną nahajką trzymając w powietrzu, szklannemi oczyma patrzał na straconą ostateczną nadzieję. Ale przytém wszystkiém zdawało się Raciborowi, że w tym chwilowym błysku światła, widział tuż o sto kroków przed sobą grupę drzew i pałac, któren wszakże w mgnieniu oka zasłoniła przed nim czarna przeciągająca chmura.

Na ten widok reszta krwi niezastygłéj zbiegła mu się do serca, wściekła rozpacz zaglądnęła mu w oczy, lecz przecie jeszcze tyle miał przytomności, że zlazł ze sani i zawołał:

— Ostafi! co to jest?

—To śmierć, panie, — wyszeptał Ostafi zamarzniętym głosem a w tém wichr mroźny wionął mu w same oczy, przejął całe ciało jego do kości; Ostafi zakrzepł tak stojąc po pas w śniegu, z oczyma patrzącemi na leżącego rysaka i z prawą ręką, wyciągniętą nad jego trupem.

Widząc to, rzucił się Racibor ku niemu i brnąc przez śniegi, dobił się nakoniec do niego, wołał i trącał go ręką, ale Ostafi nie odpowiedział już nic: bo w jego piersiach już nie było oddechu, i był to już tylko posąg wiernego sługi, martwy jak głaz i zimny jak bryła lodu, wyobrażająca całego człowieka.

Rozpacz jeszcze głębsza chwyciła Racibora, stanął on, patrzał przed siebie i chciał myśleć, lecz nie mógł, bo coraz wścieklejsze orkany biły prosto w twarz jego, oddech zamarzł mu na ustach i członki kostniały coraz mocniéj, i Racibor sam sobie powtórzył w duszy: To śmierć!

A tymczasem koń siwy, szamocąc się coraz słabiéj przy saniach, rzucił się raz jeszcze z rozpaczliwą wściekłością i z przerażającym jękiem runął na swego towarzysza, przysypanego prawie już całkiem śniegami.

Racibor chciał się obrócić raz jeszcze ku saniom, chciał wziąść worek ze złotem i puścić się pieszo w dalszą drogę, ale już członki jego, zmęczone dziewięciodniową bezsennością i pracą, a teraz zakrzepłe w śniegu i w mroźnych zamieciach, odmówiły mu swojéj usługi. W téj ostatniéj rozpaczy złożył on ręce, oczy podniósł w górę i chciał się modlić do Boga o pomoc, chciał resztę życia ofiarować swojemu Stwórcy za jedną godzinę przytomności i siły, — ale modlitwa mu zamarła na ustach i mózg zlodowaciał pod czaszką. A w tém znowu rozdarły się czarne chmury nad jego głową i znowu błysk światła oświecił wzrok jego, i znowu zdawało mu się, że widzi tuż przed sobą pałac, ludzi dojrzał na ganku, światełka migały w oknach. . . . Ale to był ostatni już widok za życia. W momencie bowiem ryk okropny dał się słyszeć nad nim, fala lodowatego śniegu uderzyła go w twarz, oczy obciągnęły się lodowatą skorupą i ostatnia krwi kropla przy sercu zastygła. Bez oporu téż i bez jęku skostniał on pod tą falą okropną, — a w tém uderzyła druga fala i trzecia i dziesiąta i w kilku minutach potém stanęła nad temi trupami tylko wielka śnieżna mogiła, na któréj poczęły hulać wichry stepowe, śpiewając i świszcząc najdzikszemi tonami jakąś piekielną harmoniję.

Obraz puszczy.

Przez K. Wł. Wojcickiego.

(Str. 45.)

Nie znacie tych puszcz wielkich, jakie ja w latach młodych zapamiętam! Jechałeś dwa i trzy dni ciągle, zanim się wydobyłeś z tych kniei pełnych grubego zwierza, cienia i chłodu, wśród spiekoty letniéj. Jakiżto był czarowny widok, gdy po zachodzie słonka, księżyc nie zakryty chmurą, przyświecał: jakieżto fantastyczne obrazy widziałeś, patrząc na olbrzymi cień ogromnych lip, dębów, sosen, jodeł rozłożystych, jaworów i klonów! A gdy zaszedł chmurą, ponury cień nocy otaczał cię w około. Wtedy mimowoli nadlatywały ci i roiły się w głowie, owe straszne powieści o okrutnych rozbójnikach niesytych złota, a krwi pragnących. I wyglądałeś z trwogą tajemną, czy rychło z poza pnia olbrzymiego dębu albo sosny, nieukaże się przerażającéj postaci zbójca, co wywijając maczugą ciężką, obdarłszy ze wszystkiego coś posiadał, nie zagraża twemu życiu! — Ale wśród dnia jasnego inna tych puszczy była postać. Ze skwaru letniego, wchodziłeś pod zielone sklepienie olbrzymich konarów, to liściastych kilkowiecznych dębów, rozsochatych klonów, jaworów, gęstych lip, płaczących brzóz, to drżącéj osiczyny, lub smukłych modrzewi, jedliny i owéj domowéj sosny. Pierś twa oddychała innem powietrzem: balzamiczna woń, rozkoszna, nie paląca żarem, ale chłodząca miłym chłodem, orzeźwiała za każdym oddechem, i biegłeś daléj i daléj w tę cudną ustroń, co dawała ci nowe życie, co chroniła przed skwarem słonecznym, pod którym pola i niwy były jak step puste. Bo tam żaden ptak nie rozweselił twojego słuchu; nawet przyrosły do miedzy skowronek pod ziemną grudką skulony z otwartym dzióbkiem, szukał ochrony przed upałem nieznośnym. A tu w puszczy cień rozkoszny, pełno gwaru i śpiewu. Kos poświstuje, żołna z dzięciołem skacząc po pniach i konarach olbrzymów leśnych, kując w korę, łączą swe głosy; pokrzyk żórawi na wyżarach, świegotanie drobnego ptastwa, łączyły się z lekkim szmerem liści, z łomotem łamanych gałęzi w przebiegu sarn, jeleni, niedźwiedzi, dzików i zgłodniałych wilków.

Biegłeś daléj pod coraz cienistsze sklepienia; puszcza jeżeli rzedniała, uraczyła cię widowiskiem obszernego jeziora, to łąk bujnych, lub błot napoły wyschłych, stolicy czapli, żórawi, kaczek, bekasów i reszty błotnego ptastwa.

Z jeziora i z tych błot wyrywały się tysiącami stada spłoszone i chmurą zaciemniały słońce, co tu więcéj przyświecało; a pokrzykiem zwiastowały swój ciąg gęsty jak chmury.

A daléj wchodziłeś w tajniki puszczy, owe ustronia prawdziwie odwiecznych lasów, gdzie promień słońca od wieków nie mógł się przedrzeć nawet jednym promykiem. — Dziwny a cudny to widok! Niebotyczne dęby, potężne sosny z modrzewiem, wybujałe lipy, jawory, klony i olchy, podawały sobie wzajem liściaste i iglaste a zielone wiecznie konary, i tam wysoko, zaledwie dojrzane okiem opasywały wieńcem swoim ulubioną ustroń leśną, strzegąc zimą i latem, aby téj ustroni światło słoneczne nie ogorzało, nie błysnęło nigdy, bo tylko dniowa przymroczona jasność słabo rozwidnia przedmioty; to też gdy tu stąpisz, musisz długo wzrok natężać, zanim przyzwyczaisz go do téj dziwnéj ciemni, a szczególny rozwijącéj urok dokoła.

Inna tu zieloność, inna tu trawa i mech inny: a chłód tak zimny, przejmujący, jakbyś wchodził w pieczary Ojcowskie albo Olsztyńską jaskinię.

Są to prawdziwie dziewicze ostępy puszczy: tu jeszcze cios siekiery od wieków nie naznaczył żadnego drzewa, tu przemyślny węglarz, ani smolarz, nie okopcił je dymem, tu strzał chciwego myśliwca słabym zaledwie odbije się echem i skona u podnóża téj ustroni, a granie gończych i trąbki

łowieckiéj zaledwie czasem z oddali rosa na swoich kryształowych kroplach przyniesie, jakby gwar cichy, zmięszany.

Cóż to za spokój majestatyczny, jakiż chłód lodowy, jakaż swoboda oddechu, jakaż roskosz samotności! Napawasz się tym cudownym widokiem, a oczarowany, zdumiony, uroczo czujesz całą pełność, całą poezyą życia, jego roskosz, choć sam jesteś, choć myśli zebrać nie możesz. O! tu każdy musi być poetą; w obec téj ciszy, tego milczenia, które czasem przerywa w górze nad twoją głową szum wierzchołków pochylanych wiatrem i drżących liści; sam w obec Boga korzysz się przed jego wielkością, potęgą, w obec obrazu wspaniałego, co go ani okiem nie tak rychło obejmiesz, ani stanie ci dosyć podziwu ku wielbieniu ogromu. Tam nie wiesz, czy stąpić daléj, czy stać w miejscu i przeglądać szczegóły ostępu, coraz więcéj budzące zachwytu.

Burza zdala nadpływa, daleki grzmot zapowiada ją, a prześwistująca dniowa jasność w ostępie ciemnieje coraz, i nagle w około noc czarna zapada. Ponad twą głową szum straszny objawia ci siłę wichury, co uderza całą piersią o wierzchołki olbrzymów leśnych, strzegących ustroń w około.

Lunęła ulewa, poznajesz ją tylko po szczególnym rozgłosie, bo tu żadna kropla nie pada. Grzmot jakby stu dział wtoruje ciągle poświstowi burzy i pluskowi ulewy. Nagle w téj ciemnicy zaczęły migać gdzie niegdzie ogniki drobne jak robaszki świecące, błyskawice, co przebić nie mogły zielonego a gęstego namiotu, rozbitego ręką Boga.

A czegoś zadrżał? W górze nie łoskot to grzmotu; to huk piorunu, co przygłuszył i wycie wichru i wszystkie rozgłosy dziwne. Łomot straszliwy, trzask jakby pękających, i silną dłonią łamanych, druzgotanych gałęzi: huk okropny — aż zadrżała ziemia pod twemi nogami, aż zatrzęsły się w posadach swoich wszystkie w około drzewa, i zaraz płomienisty potok oświeca widnie całą ciemnicę. Spływa on po pniu ogromnego dębu, pruje na nim odwieczną, mszystą korę, i jak ognisty wodospad od wierzchołka do korzeni światłem rażącém, silniéjszém jak promień słońca ogarnia, rozświeca, a po chwili gaśnie. To grom, co uderzył w najwyższego olbrzyma leśnego: on ugiął na chwilę kark dumny, ale zaraz potrząsnął głową, odrzucił zgruchotane konary; i jęknął zachwiany nieco, patrząc na głęboką bruzdę w ciele swojém, co mu piorun na długie lata, ognistym lemieszem wyorał.

Na barkach wichrowych niesiona płynie daléj burza, okolona wieńcem błyskawic, poprzedzona grzmotem, a co chwila jaśniejąca płomienistym piorunem. Stoisz zdumiały, przerażony; nic nie widzisz, bo ten jaskrawy płomień gromu, co

rozkrawał korę dębu, olśnił cię potokiem światła, do którego oczy ludzkie nie nawykły. Ślepota chwilowa, czarnemi kołami wzrok zaciemnia. Straszna noc w około otacza. Huczny grzmot, co nad głową głosi burzę, bicie piorunów w oddali, błyski silne, to zdaje się lekki szmer tylko, w porównaniu tego, coś widział i słyszał. Widziałeś o trzydzieści kroków w całéj wspaniałości potok ognisty piorunu, co jak wąż kłębami światła uścisnął dąb olbrzymi; słyszałeś łoskot, którego na żadném polu bitwy powtórzenia ucho twoje nie zachwyci; widziałeś siłę tego gromu, i zapas z potężnym dziedzicem puszczy.

Przewiała burza, a rozbujane wierzchołki szumią jeszcze po dawnemu, i drży liście jakby z przestrachu.

Zwolna twój wzrok zaczyna rozpoznawać przedmioty; znowu widzi ostęp zaciemniony, prześwitujący gdzieniegdzie dzienną jasnością, i żadnéj zmiany nie widzisz, prócz rozrzuconych gałęzi przy pniu rażonego dębu piorunem, i lecących jeszcze z góry zielonych liści.

Wychodzisz z ciemnéj ustroni: — jakież spustoszenie przyniosła burza téj lesistéj kniei! Jeziora wezbrały, błota wysuszone znikły, bo je potoki zalewają ciągle: wichura dużo nakładła pokosem starodrzewu, suche ścieżki zmienione w bystre strumienie. Z ciszy grobowéj przechodzisz w gwar leśny, szum potoków, śpiew ptaków, co się suszą pod promieniem słońca. I zaczarowany, jakby we śnie przypominasz sobie ten cudowny ostęp, gdzie taka cichość, taka uchrona przed burzą, gdzie drzewa szydzą z potęgi gromów.

Takie ostępy dziewicze znalazłeś nierzadko w puszczach za méj pamięci, gdziem gonił konno resztki kłusujących łosi, gdzie polowaliśmy na dziki, wilki i przerzedzone już niedźwiedzie!

Cóż to były za czasy szczęśliwe, co za życie roskoszne! Jakież uczty smakowite i wyborne w kniei, po całodziennym trudzie, usiadłszy w okół ogniska, patrząc na zatknięte na drewnianym rożnie pieczenie sarnie, dziecze, lub dzikie ptastwo do hojnéj wieczerzy. Zielony, liściasty dach był doskonałym namiotem, mech i liście wykwintném łożem, woda ze strugi smakowitym węgrzynem; a płomień ogniska, nieraz dymnego, zastąpił marmurowe kominki lub kaflane piece: kłoda sosny i dębu, wybornie służyła za wygodny fotel. A co za gwar wesoły, jaka ochocza pogawędka, jaka sercowa radość: o! bo wtedy anioł młodości klaskał w białe dłonie z uśmiechem szczęścia, a zasypywał oczy garściami woniejących kwiatów, aby nie patrzyły w przyszłość, nie zawsze radosną, lecz czasami smutną, bolesną i łzawą!

Widok z Wawelu.

Przez J. Kremera.

(Str. 40.)

Czy znasz widok z Wawelu ku stronie Bielan naszych? Czy wpatrywałeś się kiedy w ten obraz pełen bogactwa i czarodziejskich uroków? Nauka tu zaiste w swych szatach niedzielnych; przybrała się w co miała najstrojniejszego, a tak jéj téż dobrze i ładnie w tych sukniach świetnie wyszywanych i lśniących świeżością i barwą, iż kto ją raz obaczy, już ona mu się na wieki w serce zapisze. Tu z nieba spadły wszystkie natury piękności i otoczyły siwy Kraków gęstym wiankiem nigdy niezwiędłych kwiatów. Tu dziwnie się splatają powaby rozmaitości pełne: bo przy sobie znajdziesz i zuchwałe butne góry czarnym borem poważne, i wzgórza łagodne, urosłe w kształty pulchne i miękkie, i wytężone rozłogiem niezmiernym błonia majowe, i gołe ściany skalne, dąbrowy bukietami po równiach porozrzucane — kraj rozwinięty kobiercem haftowanym w warcabnicę zbożnych łanów. Rusza się i migoce rozbiegły ród topoli srebrnych, powiewnych wierzb, sosien dumających i męzkiego hartu dębów. — Osiadły téż tu ciżbą i wioski i pałace, klasztory i dworki, strzechy i wieże, a radując się pełném sercem, oddychają tym cudnym Bożym światem. Natura tak pełną garścią obsypała tę Obiecaną Ziemię darami swojemi, żebyś mógł trzy, sześć, nie wiem ile osobnych obrazów z widoku tego wykroić, a każdy byłby inny, a każdy cudnego wdzięku; byłoby nas stać nie jednę jałową stolicę ubrać, ozdobić, a jeszczebyśmy nie zubożeli wcale. Tu drzewa i ptaki, potoki i zwierzęta, góry i ludzie i dzwony śpiewają weselem; ale już primadonną téj wielkiéj opery Natury jest Wisła, co od lat tysiąców falami swojemi nuci nam tę samą, jéj niesprzykrzoną nigdy, a nam zawsze drogą pieśń swoję. Ona téż jest królową obrazu; długim, posuwistym tanem zwija się poważnie, uroczysto, a ucałowawszy Wawelu stopy, narzeczona Baltyku, pospiesza w jego objęcia. W dali, kędy już niebo schyla się ku ziemi, srebrzą się, niby obłoczne twierdze, Tatrów grody, stojące na straży u chmurnych wrót, i wedle łaski swéj wypuszczają na nas to pogody i słoty, to burze i powódź, susze i grady; atoli zdradza je własne ich dziecko: bo gdy nam jakie biedy gotują, już zeskakuje w równie z kosą i kozą suchy i chybki góral, i wszystko na te Tatry swoje wygada, i wróży, i przestrzega, i straszy, — a rzadko mu się zmyśli.

Otóż wczoraj, właśnie pod sam wieczór, znów zaszedłem przechadzką na ulubione miejsce moje; tą razą zupełnie było głuche, samotne.

Bo też dzień cały był pochmurny i posępny, i od rana już płakał deszczykiem gęstym, drobnym. Obraz cały, zwyczajnie tak przejrzysty, jasny, teraz zachmurzony, tęskny, szary. I niebo jakieś nie rade, rozwlekło po sobie jednostajną siwą płachtę. Wisła dziś smutna, płynęła z niechcenia, a ziema w nudach swych oddychając mokrą parą, wiązała jak w kłęby, w potworne straszydła, co goniąc się po równinie błoni i polnych obszarów, niekiedy przebiegały Wisłę, i mieszały się z ciężkim, brudnym węglanym dymem ognisk, palących się na galarach. Co bliższe, było jednostajne, jakieś zaspane i krzywe, jakby chore dziecię; co dalsze, zachuchane, a odległość ostatnia zalewała się w niepewnych zarysach. Cały ten obraz, tak cudny, oślepł. Widok zwyczajnie tak szeroki, rozłożysty, podzielił się mgłą na drobne części, z których każda z osobna siebie tylko widząc, w sobie się kurczyła, na sobie przestawała samolubnie, i wolała być ułomkiem biednym, niż częścią wielkiéj całości. Dwie osiki podemną potrząsając obwisłém liściem, ciągle czegoś kiwając głowami ku sobie, szumiały i gwarzyły z sobą, niby dwie kwaśne kumy o kłopotach domowych — a tam ku Biskupiemu pałacowi, ona cała linia topoli, niby jakieś wojsko zaczarowane, stoi jednostajnie sprzykrzone i ckliwe. Niekiedy, gdy zkądsiś powiew cwałem przyleciał i szepnął coś pierwszéj, ta szumiąc, obruszyła się i pochyliła ku drugiéj i szepła, a ta następnéj, a tak daléj i daléj w okamgnieniu cały ich szereg jakby podziwieniem zadygotał, zahuczał, kropnął, pochylił się, szepnął i zamruczał i znów umilkł, i znów wyprostowany nudził się i ziewał; byłyby się pewnie wszystkie te topole zabrały i poszły, gdyby miały jako i gdzie.

Niedaleko odemnie stały trzy zaszargane wrony; strój ich szary, sponiewierany, zmiętoszony; ogonami zwrócone do siebie, dąsając się, milczały w najgorszym humorze. Nakoniec zegar z wieży zamkowéj srebrnym głosem zadrżał w sobie tęsknie, przeciągło wywołał konającą godzinę. Zerwały się skrzydlate tony, niby duchy umarłego czasu, i rozleciały się po mokrém powietrzu na wsze strony, lecz ociężałém i zamoczoném piórem jedne spadły i utonęły w wilgotnym grobie Wisły, inne zapewne musiały dolecieć nad miasto i przebudzić drzemiące tam zegary i dzwony; bo przecież po chwili wieża ratuszna ocknęła się, ziewła i odstękała godziny swoje, a głos jéj tak płaczliwy, przewlokły i chrapiący, iż znać, że jéj w dwójnasób ckliwo przy tym słotnym czasie, bez onego ratusza swojego, wiernego mał-

żonka, a towarzysza z dawnych lat, co go zabił wandalizm czasów naszych, a ciągle też ona do dziś dnia wiernie strzeże tych z niego kamieni, co jakby kości złożone są u stóp jéj. W tém dzwonnica maryacka, kompana jéj z przeszłego żywota, jakby głosem świątnicy przemówiła potężnym dzwonem, pocieszając wdowę, raz jeszcze odpowiedziała szlochami Ratuszowa, raz jeszcze Maryacka — i znów wszystko ucichło. Od dziecka nasłuchałem się dniem i nocą tych wież rozmowom, nigdy atoli ich wyrazy nie zdawały mi się tak jękliwe, rzewne i tęskne, jak właśnie w téj chwili.

Gdy wszystko około mnie tak było zaspane, dąsające się, osowiałe i krzywe, nie dziw, iż mnie samemu ciężko coś a ckliwo na duszę padło, rad byłem wrócić do domu. Zstępowałem zwolna z góry, w ziemię się patrząc; gdy nagły blask uderzył oczy moje. Spojrzałem około siebie, a tu mury zamkowe, kopuły kościołów i domy miejskie oblane rumianą łuną. Coś osobliwego się święciło, spojrzałem na niebo, a niebo gore! Wróciłem co tchu na miejsce moje ulubione. Gdybyś tu był ze mną był i widział, co się teraz działo! Jeżeli mały chłopczyna coś zbroi, a matka w udanym gniewie nie przymili się do niego zwykłym uśmiechem, dziecię smutne i ciche; lecz gdy wieczorem chłopczyna do pacierza i snu się zabiera, matka żegnając ulubieńca, przytuli do serca, pobłogosławi i ucałuje, — dziecię zapłonie radością na twarzy i w sercu uszczęśliwione usypia, marząc o aniołkach, o kwiatkach i raju; tak słońce cały dzień zachmurzone, niewidzialne, teraz przed nocą, gdy ziemia do snu i pacierza się miała, spojrzało na ziemię i odziane wszystkim majestatem, tonęło zwolna z nieba zstępując, niby jaki świat w płomieniach. Opłynęły je wielkiém półkolem obłoków drobnych głowy, jaśniejące żarem rozpalonego złota, niebiańskiéj stolicy dworzanie. Nad niemi piętrami kipiały fantastyczne budowania, jakby twierdze, pałace i miasta napowietrzne, zajęte ponurym ogniem i palące się wszystkiemi tęczy barwami; a z dala ciekawie przypływały, niby okręta z wzdętym żaglem lub niezmierne orły śnieżne, olbrzymie obłoki ze złotym rąbkiem, a z drugiéj strony zalane głębokiem cieniem miedzianém, ciągnąc za sobą długie, wązkie chmur smugi. Tu i owdzie, po przez rozstąpione obłoki, na najwyższym nieba stropie zatliły się już bladém światłem gwiazdy.

Gdy tak niebo, całym przepychem swoim strojne, obchodziło uroczyste nabożeństwo wieczora, ziemia wtorując chorem, zaświeciła weselem swych błoń, lasów, gór i wodnych zwierciadeł. W naturę wstąpił odmłodnionego żywota dech: przebudzone jéj barwy roztuliły oczy, patrząc

się jasném, czystém spojrzeniem; postacie wszystkie wyskoczyły z zamglonéj opony, rysując wyrazisto, ostro i śmiało kontury swoje; znikła mgła, co je rozdzielała na samolubne części; cały obraz przejrzał i jednę wielką złożył całość. A poświata wszystka czarodziejskiém stopniowaniem rozprysła się po przestrzeni bezmiernéj; światło odgrywało tu całą gammę swych tonów: bo zaczynając w najbliższych miejscach, uderzało z razu w silne światła i niskie a potężne cienie, a oddalając się, przechodziło w tony wyższe, gasnąc zwolna, a ostatnie tło obrazu oblewało drżącém, łagodném promieniem. Wpatrując się teraz w Wisłę świetną, żarzącą się nieba ogniami, rzekłbyś, że ona szeroką ziemi szczeliną, że ziemia na wylot pękła, i żeś ją wskroś przejrzał i w zawrotnéj głębi przeciwnożne niebo w ogniu obaczył. Cała natura zadrgała życiem, i odetchnęły radośnie zwierzęta, ptastwo, ludzie i rośliny.

Stanąłem zadumany, porównywając czarodziejstwo téj natury z tém, czém ona była przed kilku chwilami. Co za różnica! te dwa obrazy miały się do siebie, jak biedny nasz żywot do rajskich roskoszy, — jak chłodna proza do poezyi cudów, jak *rzeczywistość do sztuki.*

Zorza północna.

Przez Ewę Felińską.

(Str. 87.)

O godzinie dziesiątéj w wieczór, dał się słyszeć szum wielki w powietrzu. Jakiś huk oddalony, jakiś łoskot dziwny zdawał się być prologiem do następującéj sceny, i zapowiadać dziwne widowisko, mające oczom naszym się objawić.

Mieszkańcy Berezowa zrozumieli, co ten huk znaczy; jakoż światło cudowne zalało naraz cały widnokrąg.

Mój gospodarz Kozłów wszedł do pokoju, wzywając mię na dziedziniec. Kiedym wyszła, stanęłam w zachwyceniu. Szkoda, że żadne pióro oddać nie potrafi wzniosłéj sceny, która się rozwinęła przed memi oczyma.

Powietrze było mroźne, czyste. Śnieg pobielił ziemię, budynki i wszystkie przedmioty. Rzuciwszy okiem w koło siebie, byłam w zachwyceniu.

Przy dziwnéj natury blasku, odbitym od białości śniegowéj, okrywającéj cerkwie, drzewa, budynki, które się rysowały jak czarodziejskie gmachy w czarodziejskim świecie, Berezów już mi się nie wydał małą mieściną jak zwy-

kle: była to ogromna świątynia. Wszystkie części tego cudownego obrazu stanowić zdawały się jeden gmach, jedną całość, a ten gmach był otoczony ścianami w płomieniu, i takaż kopuła strzelająca wysoko, ostro zakończona, jaśniała nad głową.

Najbardziéj zachwycającą była natura światła. Nie było ono ani czerwone, ani jaskrawe, ale oświecało przedmioty jasnością nad wyraz miłą, sobie tylko właściwą, któréj nie można porównać z żadném światłém znaném w przyrodzeniu. Było to, jakby zlanie się ogniów bengalskich ze srebrzystą jasnością, odbitą od księżyca w pełni.

Widnokrąg przybrał dla oka, nie już jak zwykle kształt kopułowy, ale jakby głowy cukru. Horyzont został zamknięty w ciaśniejszych ścianach, ale wierzchołek tego ostrosłupa ginął w tak niezwykłéj wysokości, że zmysły się łudziły. Zdawało się, że ten wierzchołek, przebiwszy zwykłe sklepienie, zrobił otwór do nieba, i pozwolił w tę godzinę nadzwyczajnéj uroczystości, zapuścić choć raz wzrok mieszkańcom tego padołu w krainę tajemniczą, dostępną dotąd tylko wyobraźni; lub że duchy wyższéj natury usunęły przez ciekawość przegrodę dzielącą ich od śmiertelnych, dla przypatrywania się zjawisku, niezwykłemu na ziemi.

Ściany owego ostrosłupa utworzyły się z bardzo lekkich obłoczków ruchomych jasności srebrzystéj, które wijąc się w kłęby jakby dym lekki, rzucały światło, o którém mówiłam.

Obłoczki te niby delikatna para, rodziły się u podstawy ostrosłupa jakby wychodząc z pod ziemi, i zaledwie powstałe, pędziły z szybkością niewysłowioną, wrąc zawsze kłębami światła do góry i znikały u wspólnego wierzchołka tak szybko, że oko nie mogło nadążyć w ślad za niemi. To znikanie, nie rodziło jednak żadnéj przerwy w ogólnych ruchach: bo coraz nowe kłęby światła podnosząc się od podstawy w najfantastyczniejszych kształtach, pędziły za pierwszemi, i znikały jak tamte, zostawując miejsce innym, które goniły za niemi.

Poza temi ruchomemi ścianami, nie było nic widać błękitnego sklepienia usianego gwiazdami. Może téż gwiazdy zbladły w obec tak dziwnego światła. Jedném słowem, stanął świat inny wśród świata codziennego.

Ten dziwny taniec mas światła, pchniętych w ruch siłą niewidomą, odbywał się przy majestatycznym huku muzyki brzmiącéj w powietrzu.

Ten huk, łoskot w powietrzu, miłe światło niemające sobie równego, kształt niezwykły widnokręgu, gra dziwnie ożywiona różnokształtnych obłoczków, które pędząc, ścierając się i znikając, dążyły do jednego punktu i ginęły u wspólnego wierzchołka, wszystko to dziwnie nastrajało wyobraźnią i podnosiło zachwyconą duszę do Twórcy tych dziwów.

Człowiek chce zbadać prawa przyrodzenia, wykraść tajnie sił pędzących w ruch światy, wiedzą przynajmniéj, jeśli nie potęgą czynu, zmierzyć się ze swym Twórcą! Na każdym kroku spotyka nowe dziwy, nowe siły nieznane, nowe tajnie przyrodzenia, nowe dowody nieobjętéj wszechmocności, — a jednak nie leczy się z pychy, z zarozumienia. Szczęśliwszy, stokroć szczęśliwszy ten, co w zachwycie duszy upadłszy na kolana, umie czuć sercem dziwy przyrodzenia, i w niemém uwielbieniu, w całéj pokorze ducha umie oddawać hołd niedościgłéj Wszechmocności.

To nadzwyczajne zjawisko, trwało godzin kilka, poczém ruch zaczął się zmniejszać, światło gasnąć częściowo, a o godzinie drugiéj z północy wszystko znikło. Gwiazdy, dotąd zasłonione, czy też zaćmione, zaświeciły na nowo; księżyc zaczął na nowo odbywać chód wolny po czystym nieba błękicie, i wszystko weszło w porządek codzienny, jak gdyby nic nie było, zostawując tylko pamięć niezwykłego wrażenia, piętnującego się żywo na duszy.

Puszcze zwrotnikowe.

Przez J. Kremera.

(Str. 85.)

Spojrzyjmy na one zwrotnikowe puszcze, ogromne, wiekuiste, któremi porasta jeszcze stara ziemia nasza. Cała siła roślinności, wywołana potęgą wilgoci i upałów tak tu świeża, dziewicza, silna i młoda, jak w pierwszéj chwili stworzenia, gdy ją Bóg z nicestwa wywołał. Puść się nurkiem w one przedwieczne knieje, a natura niewidzianéj u nas siły, jakby kościołem Bożym, obejmie cię do koła. Paprocie, znane naszéj ciemnéj i biednéj północy jako mdłe i nikłe trawy, i chwasty, tam rosnąc w olbrzymie postaci, zamieniają się na drzewa, grające wysoko nad ziemią, rozłożystą i powiewną kitą. Ciemnolistne figi, lub palmy wysmukłéj i poetycznéj formy, strzelają cienkim pniem w górę, rozwijając się u szczytu bogatym zawojem ogromnych liści; konary potężne, misterne gałęzie wiążą się ciasnym i gęstym splotem w ciemną strzechę, co nie przebita słońca promieniem, wieczną pomrokę rozściela po lasu podłodze, a pnie drzew niby lekkie śmiałe kolumny podpierają borów strop. Tu niema próżnego miejsca; krzewy, trawy, kwiaty i ziół tysiące

gęstwiną tłumną cisną się od ziemi, jedne drugie na wyścigi wyprzedzając. Tu zamożność przyrody w całéj mocy i uroku cieszy się bogactwem i siłą młodego życia; wegetacya tak dzielna, iż zewsząd kipi bujnością swoją; nieprzebrane rośliny pnące, ciżbą wiją się wężem około drzew, wstępują po pniach, gałęziach, a dostawszy ich wieńców najwyższych, przerzucają się z wierzchołów na wierzchoły, wiążą drzewo z drzewem jakby grubemi liniami, a tak utwierdzają las, by dostał uraganom mającym tu ojczyznę swoję. Ciemny namiot boru lśni barwami tysiącznych kwiatów, a na każdém drzewie jest tych kwiatów bez liczby, różnych kształtów i różnéj barwy; bo odmienne z natury swojéj pnące rośliny, każda po swojemu kwitnąc, schodzą się w nadpowietrznych wysokościach, i wiążąc się w bukiety, tworzą ogrody wiszące niby czarem nad ziemią wzniesione. Scena ta cudownego powabu zaludniona gromadami żywych mieszkańców: bo narody wrzaskliwych ptaków, zwłaszcza papug gadatliwych, goszczą po gałęziach, a farby ich skrzydeł i ciała tak jasne, tak świetne, jakby się skąpały w złotém świetle słońca, a roje płoche różnogatunkowych małp swawolą i radzą pod gęstą strzechą drzew, lub chuśtając się po rozwieszonych sznurach, pnących się wiciowych roślinach, gniewnie patrzą się na ludzkiego przychodnia, wyszczerzając nań zęby, lub witają go pociskami gałęzi lub orzechów kokosowych; gdzieś znów z daleka, jak uderzeniem w kotły, bębni olbrzymia żaba. Potok nieprzebrany życia, wylany na tę naturę, co tak ochocza, młoda, jak gdyby wczoraj była wyszła z rąk Stworzyciela swojego. Tu życie jest wiecznem natury weselem. Lecz gdy uragany się rozszaleją, gdy burza grzmiąca zaryknie nad puszczą i ogniem błyskawicy zajmuje się niebo i zajaśnieje pożarem siarczystym, puszcza uchwycona we wichru objęcie miota się z nim, pasuje i szarpie; wtedy chmury ciężkie, czarne, pękną z hukiem nad ziemią, a ulewa rzeką lunie na las. Słychać szum głuchy, niby kataraktów huk. W lesie kołysanym burzą — jeszcze żadna kropla nie przeciekła przez ciasny splot liści potwornych; ale gdy tu i owdzie uragan z korzeniem wysadzi pradziadowe jakie drzewo, i otworzy nawałnicy okno, wtedy woda słupem ciężkim, gęstym, uderzy w las. Strach pada na mieszkańców boru, chowają się milczkiem pod gałęzie, uciekają drżąc do norów — powszechna trwoga bo życie lęka się szału żywiołów, a ślepe potęgi natury, są zawsze wrogiem organicznéj przyrody.

Tu, do téj czystéj krynicy stworzenia, niechaj chodzą malarze i wieszcze, by odświeżyć ducha swego w téj naturze, co tak jeszcze młoda, hoża w pierwszém zaraniu żywota swojego. Tędy nie zawiał jeszcze oddech cywilizacyi, tu sama natura sobie panią i gospodynią swoją, i sobie sama zostawiona nie wycieńczona na siłach: bo jeszcze nie płaci ludziom haraczu życia swojego. Jedne drzew pokolenia, przeczekawszy wieki w spokojnéj swobodzie, padają nareszcie nawożąc sobą ziemię dla przyszłych pokoleń; zagrzebują je, jakby w grobie, gęste i stare mchy, latorośle młode i ławy grube liści długim lat szeregiem złożone. Gdzieniegdzie tylko sterczy z ziemi konar zuchwałém ramieniem, dając znać, iż w téj dzikiéj i wolnéj przyrodzie śmierć włada. Ale tu śmierć odradza się żywotem tysiącznych postaci, roztula się przepychem kwiatów, przeobraża się w brzmiące pieśni śpiewaków skrzydlatych.

Strusie i Cygany.

Przez Dra. T. Tripplina.

(Str. 59.)

Jeszcze słońce było pod widnokręgiem, a już się rumieniły szczyty starego Atlasu; a gdy wschodzić zaczęło z pod piasków Sahary, całe obłoki i stopy ogromnego Tytana zajaśniały purpurą.

Modliła się cała karawana; każdy gdzieś z osobna rozpostarłszy haik lub burnus na ziemi, usiadł z założonemi na krzyż nogami i kiwał się, pokłony bił, odmawiając na paciorkach rzewne pacierze.

I ja téż westchnąłem do Boga, i błagałem go, aby mi przebaczył chwile zwątpienia, i błagałem go, aby ich już nigdy nie dopuszczał.

Stary Arab z wyciągniętemi ku niebu rękoma, z oczami roztwartemi na oścież a w słup stojącemi, jak dyamenty błyszczącemi, spoglądał na wschodzące słońce i milczał, choć usta jego otwarte były i dwa szeregi zajadłych okazywały zębów.

W zachwyceniu był pogrążony ów fanatyk! zatopiony w ubóstwieniu swego Allaha.

Boże! Boże! temu potworowi udzielasz dar modlitwy, co mi przepowiedział nieszczęście; czy się ziści ta przepowiednia? on może błaga, by się ziściła.

Zabrzmiały trąby do pochodu, wzywające z dawna niesłyszaną jędrnością i siłą. Wszystko już w marszu.

Wstępujemy w kraj wrzosem pokryty; ah i pokrzywy już tu rosną; miłe, poczciwe, od tak dawna nie widziane pokrzywy. Za godzin kilka znajdziemy i drzewa, już z da-

leka widać czuby, rosnące jak parasole na wysokich tyczkach, nie! nie ziści się przepowiednia dzikiego Araba.

Ale czemuż on wlepia oczy w wschodni widnokrąg? czemu z taką niecierpliwością nań patrzy, jak gdyby oczekiwał gromu spadającego na głowę moję? Czuję, jak mi serce ściskają smutne przeczucia, boję się czegoś, czego ani pojąć, ani nazwać nie umiem; czyby to było spełnienie się groźby tego ogorzałego zagorzalca?

Nie! niebo tak spokojne, że każdy dochodzi zimny powiew zmarłego Atlasu i chłodzi gorące skronie. Słońce już swego biegu część przebyło, nieba lazuru najmniejsza chmurka nie kazi.

Nie ze strony nieba przyjść może niebezpieczeństwo, wszystko na niém tchnie szczęściem i pokojem.

Arab ciągle spogląda w stronę północno-wschodnią, i razu jednego znajduję na jego twarzy przestraszający dla mnie wyraz radosnéj niespodzianki, wyraz zadowolenia i szczęścia.

Szczudła, korzystając z drągów, które pozostawiły padłe wielbłądy, byłem już sobie sporządził; wprawdzie nie tak lekkie jak owe, którém na wyspie Burbon z najpyszniejszego bambusu kazał zrobić, ale też nie tak ciężkie, żebym na nich z parę tysięcy kroków ujść nie mógł.

Włażę więc na moje szczudła i spoglądam na daleki horyzont, na który i Arab z swego dromadera patrzy.

Arab odgadł myśl moję i spytał, wskazując palcem na bardzo odległe miejsce:

— Widzisz ten obłoczek pełzający po piasku, i widzisz te gwiazdy co tak migają w obłoczku, jak iskry pośród dymu?

— Widzę, widzę, coby to być mogło? oh Ben-Ismail.

— Wkrótce zobaczysz Nazareńczyku co to jest; polot tego obłoczku, téj chmury, téj nawałnicy ku nam zwróconéj, a ona bieży z szybkością najsilniejszego wiatru.

— Czy znowu jakie zjawisko meteorologiczne, umyślnie tylko dla nas wymyślone w nas uderzy? Czy jakaś ciężka kara boska znów nas spotka? spytałem daléj, a on cicho odpowie:

— To nie jest ani grom, ani nawałnica, ani deszcz kamienny, ani *simuhn*, ani *miraż;* to nie jest kara boska na nas, tylko na ciebie.

Zawsze tylko lakonicznie odpowiadał mi Arab, i pasł się widokiem méj ciekawości, niepewności i trwogi. Ja wydobyłem z torby podróżnéj perspektywę, wczołgałem się na garb najwyższego dromadera i spoglądam na szybko zbliżający się obłok.

Cóż ja widzę, oh dziwy, widzę nie chmurę z błyszczącemi gwiazdami, lecz chmurę jakichś ogromnych ptaków, powiewających wielkiemi piórami i biegących na długich nogach.

Ale co daje ten połysk metalowy, co robi, że tak świecą te ptaki? Na tych ptakach siedzą ludzie uzbrojeni w dziryty i zbroją pokryci na głowie i piersiach.

— Arabie, cóż to są za ludzie? w jakich tu przybywają zamiarach?

— Oh Nazareńczyku, o psie niewierny, czy teraz uwierzysz, że są ludzie przyszłość przewidujący? uwierzysz że ja święty? Ci ludzie na strusiach jeżdżący, to są *Sidi-Caloro*, plemię przeklęte Chama; Cyganie nieuznający Mahometa, rabusie najzuchwalsi w całéj Saharze, a żadnemu nie przepuszczający giaurowi, gdy go złowią; boją się bowiem, żeby giaur nie wydał Frankom, gdzie położona ich oaza, w któréj dotychczas tak bezpieczne schronienie znajdują. Wiesz co robią z giaurami? Oto dają ich owym psom do pożarcia, co im strzegą oazę, i które taki węch mają delikatny, że jak im giaur po puszczy o dziesięć mil przechodzi, to go już zwietrzą i wyją przeraźliwie. To też zaraz się puszczają na swych szybkich strusiach w stronę, z któréj pachnie psom Nazareńczyk, rabują karawany, lub haracz sobie każą płacić, a giaura z wdzięczności psom przywożą, i bardzo lubią patrzeć, jak psy giaura rozszarpują. Oh Nazareńczyku, dziś wieczorem już będziesz w żołądkach psich, a my szczęśliwi będziemy w gościnnych *Duarach*, rozsianych po owych wzgórzach. Tak się spełnią wyroki nieba przezemnie zwiastowane.

Te słowa wyrzekł Arab już nie słabym głosem, lecz donośnie, aby zwrócił na się uwagę całéj karawany; i od téj chwili kalendarz arabski liczył o jednego świętego więcéj, i wszyscy prawowierni garnęli się około *santurona* i haik jego całowali i pokłony mu bili.

Mnie zgruchotała wieść ta okrutna, mnie pozbawiła ostatniéj resztki odwagi; słyszałem ja nieraz o dzikości cyganów puszczy, o ich nieubłaganéj srogości względem chrześcian, czytałem książkę napisaną przez angielskiego missyonarza Barrow *o Cyganach Hiszpanii i Afryki;* wiedziałem że się chronią do jakiéjś niepodległéj oazy afrykańskiéj, gdy ich zbrodnie zmuszają do uciekania przed sprawiedliwością prawa.

Już na mnie pluto, jako na stworzenie nieczyste, przeklęte, do haniebnego zgonu przeznaczone; kilku tylko mniéj zagorzałych z litością na mnie spoglądało, a pomiędzy niemi był dowódzca karawany.

— My tobie zaprzysięgli wiarę i wierność, i ten z mojéj zginie ręki, kto ją złamie, kto cię wyda. Nazareńczyku, co od tak dawna dzielisz smutne losy z nami zasłoń głowę kapturem burnusa, nie rozpaczaj jeszcze, Allach jest wielki i łaskawy.

Już tylko o staje są oddaleni lotni jeźdzcy na swych szybkich ptakach, było ich około trzydziestu, już się roztaczają z gęstéj kupki w linją coraz rzadszą, okrążają nas z przodu, z tyłu i z boków, już tylko o kroków sto pięćdziesiąt stają i wołają na nas.

— Strzelajmy do nich, strzelajmy do tych skrzydlatych rabusiów, — ja nie chybię i dwóch zwalę z méj dubeltówki, — krzyknę do dowódzcy karawany.

— I oni mają broń palną i wyćwiczeńsi od nas w jéj użyciu. Żaden opór nie pomoże, wyginęlibyśmy do nogi, odrzecze Arab, i rozkaże broń składać w kupkę i haik biały wywiesić na żerdzi, jako znak poddania.

Wykonano rozkaz, odstąpiono od stosu, na którym broń złożono.

W oka mgnieniu byliśmy otoczeni przez tę czeredę i z bliska jéj się przypatrzeć mógłem. Byli to na wysokich ogromnych strusiach ludzie nie wysocy, ale zręczni, silni, z śniademi, dzikiemi ale po największéj części pięknemi twarzami; faworyty i brody starannie mieli wygolone, a raczéj wygryzione jakąś białą massą, któréj ślady dziwnie kontrastujące z śniadém tłem twarzy jeszcze na niéj pozostały, wąsy zapuszczali długie, spadziste na kształt chińskich; głowy ich pokryte rodzajem metalowéj krymki, z któréj spadała na kark gęsta siatka druciana, a na piersiach nosili rodzaj ryngrafu ze stali, starannie polerowanego, ozdobami pokrytego. Ramiona ich były całkiem nagie, tóż samo i nogi do połowy uda, reszta pokryta rodzajem szkockiego kilfu, to jest spódnicy tak przeszytéj, że zamiast spodni służyć mogła. Lekki haik powiewał na ich barkach, a na krymce metalowéj zatknięte były u wszystkich strusie pióra wielkiéj wartości i rozmaitych kolorów. Oszczep dzierzyli długi, cienki, z bambusu, a ostrze tego oszczepu tak było starannie polerowane, że się jak dyjament w promieniach słońca świeciło. Kilkunastu z nich przytém miało strzelby, najrozmaitszego wyboru, ale najczęściéj pięknego hiszpańskiego.

Strusie, na których jeździli, miały głowę kapturem oczy i uszy zasłaniającym pokrytą, na osadzie zaś dzióba, w miejscu z którego wyrasta u tego ptaka wypukłość jakaś rogowa, ptaki te powstrzymywane były wędzidłem, to jest rodzajem pierścienia w dwóch miejscach łamiącego się, tak,

że za pociągiem cugli do tego pierścienia przytwierdzonych, można było ścisnąć to wędzidło, gnieść osadę dzioba i tym sposobem kierować lub też zatrzymywać *dwunożnego* dromadera, jak go tu nazywają.

— Roztasujcie towary wasze! — krzyknął po arabsku naczelnik téj czeredy, piękny cygan, lat mogący mieć z pięćdziesiąt i wszystkie daktyle dajcie zjeść naszym strusiom, bo zmęczone.

Zrobiono jak rozkazał; strusie pożerały z prawdziwie strusim apetytem, nie widząc co żrą.

Naczelnik sam nie zsiadając z strusia, ubrany w haik żółty z czarnym i czerwonym szlakiem, przyglądał się towarom i nie zdawał się zadowolonym z tego, cośmy z sobą wieźli.

— Przedewszystkiem wydajcie nam wszelką broń, wszystek proch jaki macie, ołów i skałki, oleje do gojenia ran i inne lekarstwa; wydajcie wszystko co macie, bo inaczéj biada wam.

Co tylko było z tych artykułów w karawanie, wszystko wydaném zostało, u mnie najwięcéj i najlepszego znalazło się prochu; spostrzegł to naczelnik i chciwie sięgnął po niego.

— Ah! wyborny proch, dawno takiego nie widziałem, zkąd masz ten proch, musiałeś go ukraść jakiemu *Buzni* (to jest europejczykowi), ale może sam nim jesteś? Wiem, że tu między wami są Nazareńczyki. Którzy oni, dowódzco karawany, odpowiadaj, gdzie tu między wami Nazareńczyki?

Tak zagadniony Arab, skłonił się i ręce na piersi złożył, i rzekł z wielkiém uszanowaniem, ale głosem nieugiętym.

— Cabo Sidi-Caloro, ty wiesz, że synowie Mahometa dochowują zaprzysiężonéj wiary, nawet niewiernym giaurom; my wydać nie możemy tego, którego pod przysięgą przyjęliśmy do naszego towarzystwa.

Sprawiedliwość trzeba oddać Arabom, ani jeden, pomimowolnie nawet, oczu nie zwrócił na mnie, i stary Arab nawet, najgorącéj pragnący, aby się proroctwo jego ziściło, oczu na mnie nie zwrócił, nie chciał obciążać sobie sumienia zdradą.

— Moje psy wywietrzą Nazareńczyka, — krzyknie naczelnik skrzydlatéj czeredy, — daléj za mną wszyscy.

— Cabo Sidi-Caloro, ocal ich, rzekłem, ja jestem w zgromadzeniu jedynym Nazareńczykiem, a ten proch, który tak podziwiałeś, ja go sam zrobiłem, i wiele innych rzeczy pożytecznych i wesołych robić umiem, bo jestem czarnoksiężnikiem.

I na dowód mego twierdzenia zaraz wziąłem się do sztuk

moich kuglarskich, do rzucania cztérech kul w powietrze i łapania ich, do kozłów i wyłamywań.

Całéj czeredzie cygańskiéj oczy wystąpiły z jam, — tak byli zdziwieni i zadowoleni razem. Cabo, to jest ich naczelnik, powiedział do mnie łaskawym głosem:

— To pójdziesz ze mną.

— Na to, żeby mnie psy pożarły?

— Jeźliś czarnoksiężnik, to nie dasz się psom pożreć. Wybieraj sobie najlepszego wielbłąda z karawany, bo z nami szybka jazda, najlepszy *méhari* nie zdąży z naszym dromaderem dwunożnym, a jeźli zostaniesz zanadto w tyle, to cię oszczepami rozćwiartujemy i w kawałkach psom przywieziemy.

Czasu nie pozostawiono mi wiele na pożegnanie się. Poddałem się losowi.

Dwa inne wielbłądy, objuczone zdobyczą, uprowadzili z sobą z Sidi-Caloro; reszcie karawany pozwolili odciągnąć ku granicy państwa marokańskiego.

Tak się rozstałem z towarzyszami, z którymi dwa miesiące i dni siedm pozostawałem razem, i tyle doświadczyłem przygód.

Pieniądze bez pracy.

Z „Nowych Wędrówek Oryginała“ przez Józefa Korzeniowskiego. Wilno 1851.

(Str. 271.)

Noc była ciemna. Chmury zalegały niebo i jakby naciskały ku ziemi atmosferę ciepłą i duszącą. Żaden wszakże huk w górnych strefach, ani odgłos dalekiego grzmotu nie zapowiadał zbliżającéj się burzy. Owszem, cisza jakaś posępna i usypiająca otaczała okolicę pustą, niezamieszkałą i ograniczoną z jednéj strony stromym i poszarpanym brzegiem jakiegoś parowu, a z drugiéj gęstym lasem, daleko rozłożonym, ale którego granic i formy w téj ciemności oko rozróżnić nie mogło. Kilka tylko sosen wysokich wyskoczyło naprzód lasu. Gałęzie ich szumiały ponuro, jakby wyzywając szum głuchy, który z gęstwiny dochodził. Ze wzgórzów parowu sterczały ku dołowi czy brzozy, czy inne drzewa, i piętrzyły się dzikie zarośla. Z nich kiedy niekiedy odzywał się z jękiem głos puszczyka, któremu z pod lasu odpowiadał świst sów i trzask suchych gałęzi.

Miejsce to puste, także nie było równém. Sterczyły na niém głazy, to leżące płasko na ziemi, to pochyło podnoszące się nad nią; jedne połamane, jakby rozdarte i wyszczerbione, inne zupełnie nieforemne. Oprócz tych kamieni, wystających nad powierzchnią, wzniosły się kupy ziemi, jakby mogiły, to nagie, to zarosłe chwastem i trawą. A wszędzie rósł piołun, paprocie zalegały puste miejsca między kamieniami, z pośrodka których wznosił się pochylony jakiś słup wysoki, jakby ułomek krzyża, którego poprzeczne ramiona, opadłe od czasu niepogody, wisiały widać na jednym tylko gwoździu.

Wśród téj powszechnéj ciemności, tak rzadkiéj w czasie nocy letnich, i pochłaniającéj wszystkie formy i granice przedmiotów, jednę tylko rzecz można było lepiéj odróżnić. Była to chatka z prawéj strony pod stromém urwiskiem stojąca. Nie miała ona żadnego ogrodzenia, niska, ze złamanym dachem, dogniwała widać do końca i czekała zupełnego upadku.

A jednak w okienku téj chatki było światło, które na kilka kroków oświecając ciemności, widniejszą ją czyniły, niż to wszystko, co ją otaczało. Światełko to migotało nierówno; raz mocniéj, znowu jak gdyby zagasnąć miało. Wszakże nigdy nie błysło tym czerwonym blaskiem, jaki się rozchodzi od płonącego łuczywa, lub od gorejącego dobrym ogniem komina; ale blade, niepewne, zdawało się wypływać z dogorywającego kaganka, który przed samém zagaśnieniem rzuca niekiedy żywszy połysk.

Wśród téj posępnéj i powszechnéj ciszy, dał się nagle słyszeć głośniejszy i bardziéj przenikający jęk puszczyka w zaroślach; las mocniéj zachuczał, zdawało się, że ogromne drzewa padają z trzaskiem, ustępując z drogi jakiemuś dziwnemu przechodniowi. Wiatr zawył silniéj, potężniéj; sosny pogięły się i zaskrzypiały, krzyż stary zatrząsł się, jakby miał upaść — i wówczas od strony lasu wysunęła się postać olbrzymia, mająca cokolwiek podobieństwa do postaci ludzkiéj, ale większa w wymiarach, a w formach niewyraźna i niewykończona. Postać ta zatrzymała się chwilę na środku płaszczyzny — nagięła się cokolwiek ku lewéj stronie, jakby chciała przejrzeć wązkie przejście między lasem i parowem, i potém wyprostowawszy się, poszła prosto ku chatce, nie zważając na mogiły i sterczące kamienie, które żadnéj nie kładły zawady.

Za zbliżeniem się jéj do chatki otworzyły się drzwi, w których znikła; potém drzwi się zamknęły, — i znowu miejsce to zaległa cisza głęboka. Wiatr ustał, las przestał szumieć; światełko tylko w chatce trochę żywiéj i prędzéj migało i puszczyk jęczał ciszéj, ale boleśniéj.

Po niejakim czasie, ścieszką pomiędzy parowem i lasem

pokazał się podróżny. Szedł on zwolna, oglądał się na około i pomagając sobie laską, starał się unikać mogił, kamieni i chwastów, które na drodze jego leżały. Gdy postrzegł światełko w chatce, zdjął czapeczkę jakby się uradował, potrząsł nią ku tak pożądanéj gwiazdce, co mu okazywała port, gdzie się spodziewał spocząć i żywiéj ruszywszy, ostatnich widać sił dobywał, aby się do niéj dostać.

Ale gdy już był o kilka kroków, światło nagle zagasło: gruba zewsząd otoczyła go ciemność. Jęknął biédak smutno; nie tracąc jednak nadziei, przybliżył się do drzwi macając, i pukać zaczął. Żaden mu głos nie odpowiedział i drzwi się nie otworzyły. Przyszedłszy więc do okienka, zaczął w nie pukać i wołać, aby mu otworzono. Ale i teraz milczenie mu tylko odpowiadało. Przestrach widać jakiś ogarnął go, gdy postrzegł, że usiłowania jego próżne, gdyż oglądając się trwożliwie na pustą chatę, cofnął się szybko ku środkowi płaszczyzny i usiadł pod mogiłą wyższą nad inne.

Tak siedział w milczeniu przez kwadrans, pozierając jeszcze kiedy niekiedy, czy nie zabłysnie znowu światło w okienku; ale ciemność coraz gęstsza otaczała go stopniami. Wówczas fatyga przemódz musiała strach i przykre wrażenie, jakie na nim to przykre miejsce sprawiło, gdyż zdjął znowu czapeczkę, położył ją na mogiłę, jakby poduszkę, podgarnął pod siebie paproć, która bujnie tam rosła, i wsparłszy na dłoni głowę, wyciągnął się i zasnął.

* *
*

Trudno sobie wyobrazić coś piękniejszego, coś bardziéj skończonego jak była twarz i wszystkie formy młodzieńca, który spał teraz spokojnie pod okiem dwóch potwornych istot, które z chaty ku niemu wyszły. Owszem zbliżenie ich dodawało mu wdzięku i podnosiło jego powaby. Przy téj obrzydliwéj starości baby, zohydzonéj jeszcze przez nędzę, przy téj znowu twarzy mężczyzny, wyschłéj, na któréj uśmiech szyderski jakby zastygł, lice młode, foremne, rumiane owego młodzieńca, zdawało się twarzą anioła między dwoma szatańskiemi obliczami.

Był on w sile wzrostu i dochodził zapewne do dwudziestego pierwszego lub drugiego roku. Czoło jego szerokie i białe nie pomarszczyły widać żadne troski. Nos foremny, usta kształtnie wycięte i koralowe, policzki cokolwiek opalone, ale pełne czerstwości i zdrowia, okazywały, że zwyczajnym wyrazem téj twarzy był wyraz serdecznéj uprzejmości, dobrego humoru i pokoju serca, które rwało się życzliwie do wszystkich ludzi, do wszelkiéj cnoty, do

wszystkiego co wielkie i wzniosłe. Ciemne rzęsy leżały na jego twarzy, i łatwo wyobrazić sobie, jak cudnie musiały ocieniać jego oczy zapewne błękitne. Jasne blond włosy, w długich puklach spadające, dopełniały i powabów jego, i podobieństwa do spiącego *Endymiona*. Ta tylko była różnica, że nie *Dyana* mu się przypatrywała, nie księżyc brylantowém światłem z czoła jéj świecący rzucał promień swój na piękne lice kochanka, ale obrzydliwa baba nachylała ku niemu pomarszczoną twarz swoją i oświecała go brudnym, łojowym kagankiem.

Odzienie młodzieńca nie bogate, ale jeszcze czyste, okazywało, że należał do klassy bardziéj wykształconéj. Nie miał on wcale miny wędrującego rzemieślnika. Surdut ciemny, pochodził widać od dobrego krawca; koszula dość cienka i biała wyglądała z pod materyalnéj kamizelki; bóciki, chociaż zakurzone, były obcisłe i zgrabnym krojem wydawały piękne formy niewielkiéj nogi. Na rękach nie miał rękawiczek, ale za to ręka sama była piękna i biała. Słowem, młodzieniec ów bardziéj wyglądał na panicza, niż na prostego stanu chłopaka.

— Przypatrzyłaś się, — rzekł ów dziwny mężczyzna.

— Widziałam, widziałam dobrze, — odpowiedziała baba.

— Ruszaj teraz spać.

— Idę, idę, rzekła z drżeniem i wyrazem nieograniczonego posłuszeństwa i poszła nazad ku chacie, w któréj okienku zabłysnęło światło na chwilę i wkrótce znikło.

Stał jeszcze przez niejaki czas nad śpiącym ów nieznajomy, potém nachyliwszy się, dotknął jego piersi i głowy. Za każdém tém dotknięciem wstrząsł się i jęknął młodzieniec, ale się nie obudził. Czy ośmielony tak twardym snem podróżnego, czy w innym jakim zamiarze nachylił się znowu nieznajomy i palce jego zanurzały się stopniami we wszystkie kieszenie śpiącego. Nic tam widać nie znalazł, i zdaje się, że nie miał chęci go obedrzeć. Owszem brał coś z lewéj swojéj ręki i prawą wścibiał w każdą kieszeń jego kamizelki, surduta i spodni. Nareszcie dotknąwszy jeszcze raz jego piersi, uśmiechnął się szyderczo i odszedł parę kroków.

Wtenczas, jakby dym jaki z ziemi wychodzący, otoczył go szarym i widnym słupem. Wiatr silny znowu powstał, sosny chwiać się zaczęły, stary krzyż giął się, skrzypiał — i nagle taka sama postać olbrzymia i niewyraźna, jak na początku téj sceny, posunęła się ku lasowi, z którego długo jeszcze dochodził szum głuchy i trzask jakby łamiących się konarów i drzew padających. Po niejakim czasie huk ten ustał i znowu pustą tę okolicę zaległa cichość głęboka.

Wszystko to działo się na pół drogi między Lwowem i Haliczem, roku 1823. w nocy z 23. na 24. Czerwca.

Młodzieniec przebudziwszy się i znalazłszy w kieszeni dukaty, rzucił na ziemię mamonę i odwróciwszy się od czarownicy, która go do zatrzymania tych pieniędzy zachęcała, poszedł szybko ku stronie, gdzie wieże kościoła halickiego rysowały się na czystém niebie! Tymczasem autor opowiada nam, skąd tu przybył ów młodzian i przenosząc nas myślą do *Lwowa*, tak o nim mówi:

Na halickiém przedmieściu, w niewielkiéj i ubogiéj izdebce, siedział przy stoliku młodzieniec i kończył list długi, który widać całą jego uwagę zajmował. Stolik ten prosty, wielkim arkuszem bibuły pokryty i mający na sobie mnóstwo plam atramentu; kilka książek zrzuconych na łóżku, które już nie miało pościeli, papiery i seksterna, obok nich leżące; tłumoczek nie wielki, otwarty i czekający widać ostatniego zapakowania, obok niego stojące bóciki i szczotki jedna w drugą wbite; w nogach łóżka płaszczyk dość wytarty, wiszący na gwoździu i ochroniony od bielącéj zapewne ściany kilku arkuszami czystego papieru; przy nim błękitna manszestrowa czapeczka z kutasem, także z podkładką arkusza papieru; daléj parę stołków prostych, a na jednym z nich duża misa, niby miednica, i dzbanek z wodą. Wszystko to okazywało, że to była stancya studenta — i studenta, który się wybierał w drogę.

Jakoż młody człowiek skończywszy list, powstał i wziął się do upakowania swego tłumoczka. Już tam leżała bielizna i cokolwiek rzeczy. Na nich zaczął układać porządnie książki, a na wierzchu umieścił papiery i seksterna sznurkami w spore paczki pozawiązywane. Z boku, gdzie było jeszcze miejsce, włożył bóty; daléj zasunął szczotki i cały ten bagaż, dosyć lekki i chudy, zapiął na sprzączki, które się jeszcze trzymały, inne powiązał sznurkami i na łóżku położył. Potém umywszy ręce, stanął przed rozbitém zwierciadełkiem, które na ścianie wisiało między dwoma rysunkami, reprezentującemi: jeden cesarza Franciszka, a drugi Kościuszkę; uczesał piękne włosy, odgarnąwszy je na bok z jasnego i szerokiego czoła, zawiązał prędko chusteczkę błękitną na szyję, i zapiąwszy kamizelkę ciemną, którą miał na sobie, nadział na to surducik ciemny, czysty i dobrze przystający do jego kształtów, pełnych urody i siły.

Widzieliśmy go już w tém samém ubraniu i wiemy, że twarz jego jest dziwnie piękna, wzrost wysoki, budowa ciała doskonale złożona i w każdym ruchu zgrabność i łatwość bez najmniejszéj pretensyi i bez przymusu. W téj chwili twarz ta jaśniała widoczną radością i szczęściem; a chociaż oczy duże, błękitne, ocienione ciemnemi rzęsami, były cokolwiek wilgotne od rozrzewnienia, któremu widać oprzeć się nie mógł, gdy list swój pisał, na ustach jego jednak był uśmiech, wyrażający piękne nadzieje i zupełne zaspokojenie.

I jakże mogło być inaczéj? Młodzieniec ten skończywszy kurs filozofii w Lwowie, stał teraz na otwartym progu świata i widział przed sobą daleką perspektywę życia. Z pełną głową, z pełnemi piersiami, choć z małym tłumoczkiem i pustą kieszenią, opuszczał obce miasto, gdzie nie wiele kogo żałował, a wracał do domu, do nie wielkiego i miłego miasteczka, gdzie go dobrzy ludzie kochali i admirowali, gdzie miał matkę droższą mu nad życie, i wuja, tamtejszego proboszcza, który łożył na jego wychowanie i którego on czcił, jak świętego. Wkrótce więc miał obaczyć się za granicami murów miejskich, na wielkiéj drodze prowadzącéj do Halicza, wśród cudnéj natury, która swobodnemu, nie czującemu już na sobie kajdan studenckich, tém powabniejszą wydać się miała; wkrótce spodziewał się ujrzeć na dolinie szeroką wstęgę Dniestru, za nią wznoszącą się pięknie górę, a na téj górze rozłożone domy rodzinnego miasteczka, znajome po bokach folwarczki i załomki gór, znane pojedyńczo grusze i olbrzymie dęby, które na pochyłości ich zostały, jakby nie mogły doleźć na wierzch i połączyć się z usadowionemi na wierzchu grupami. Jakże nie miał być rad, szczęśliwy i spokojny, kiedy już widział przed sobą czysty, choć ubogi domek matki, piękne i wzorowe probostwo wuja, kiedy już czuł, jak łza téj, co mu dała życie, toczy się po jego twarzy, jak ręka tego, co mu dał duszę i rozum, błogosławiąc leży na jego głowie.

W takim stanie był *Gabryel Czarosz*, kiedy list ów pisał, kiedy potém rzeczy swoje pakował i stał przed lusterkiem, ubierając i ciesząc się, że piękny i dorodny, nie przez próżność, ale że to uraduje serce matki, która go dwa lata nie widziała i teraz tak znaczną znajdzie odmianę.

Ubrawszy się, przeszedł się parę razy po pokoiku, zacierając ręce, potém przystąpił do stolika, skrzesał ognia, zapalił siarniczek i świecę, i przyrządziwszy akuratnie dwie koperty, usiadł przed zapieczętowaniem do odczytania listów, które tylko co napisał. Było ich dwa, i pierwszy brzmi jak następuje:

„Najdroższa, serdeczna Matko! Dwa lata przeszło mi bez Twoich pieszczot i uścisków; dwa lata nie widziałem Cię; przez całe dwa lata nie Ty przynosiłaś mi śniadanie i nie Twoja ręka budziła ośmnastoletniego śpiocha i leniwego drymblasa. O! moja serdeczna Matko! jakże długo trwały te dwa lata! A jakżem szczęśliwy, że już minęły, że wczora właśnie skończyły się moje egzamina, a dziś już wolny jak pta-

szek, poletę pod strzechę, gdziem się wylągł i z pod której nic mnie już nie wypłoszy. Szkoda tylko, że nie mam tyle pieniędzy, żebym mógł, choć nie na skrzydłach, to przynajmniéj pocztą do Ciebie dolecieć. Ledwie kilkanaście złotych mi zostało od wszystkich nieodzownych wydatków, jakie tu miałem, a te nie wystarczą nawet na zapłacenie dyliżansu, a dopiero extrapoczty! Najałem więc sobie parę koników i wózek na przedmieściu u jednego mieszczanina i tymi powlokę się i wlec się będę długo, nim obaczę nasz dąb podkasały i na jego wierzchu stojącego na jednéj nodze bociana. Cóż robić?! nie jak serce chce, ale jak możność pozwala. Dałem już tu dziesięć złotych zadatku furmanowi, a resztę zapłacisz Ty Matko, albo drogi Wuj, do którego piszę i któremu o przyjeździe moim także donoszę. Ten list odbierzesz zapewne na trzy, lub cztéry dni przed moim przyjazdem. Bo chociaż i on dziś wychodzi i ja dziś wyjeżdżam, ale ja będę miał tyle noclegów i popasów, a on pójdzie dzień i noc, aż się ujrzy na biórku u pana Hildenfelda, a potém w Twojém ręku, a może i na Twojém sercu, moja serdeczna Matko! O! jakże mu zazdroszczę! jakbym chciał spłaszczyć się tak, jak on i być tak lekkim, byle być tak szybkim i szczęśliwym! Ale gdzie mnie o tém myśleć, kiedym ja jeszcze wyrósł przez te dwa lata i zmężniał i utył. Pyski moje czerwone i oczy błyszczą zdrowiem, pokojem, a w téj chwili błyszczą łzą, która się rwie do Ciebie, serdeczna Matko! i na rękę Twoję upaśćby chciała. Nie myślże sobie nic złego o mnie, i staraj się po odebraniu tego listu skrócić sobie czekanie, jak będziesz mogła. Byleś nie wyobrażała sobie, żem albo chory, albo żem jakiego doznał przypadku. Żaden przypadek spotkać mię nie może. Droga doskonała, lato suche i ciepłe, koniki moje spokojne, a wózek taki niziutki, że choćbym się nawet wywrócił, tobym sobie tyle zaszkodził, jak gdybym spadł z téj darniowéj kanapki, którąm dla wuja pod moim klonem przyrządził. Co najgorszego spotkać mię może, to to, że mi zapewne ostatniego dnia podróży nie stanie pieniędzy na obiad. Ale czyż to wielka bieda dla mnie, któregoś Ty urodziła a brat Twój wychował, któregoście oboje nauczyli miernosci i przekonali, że szczęście jest w pełném sercu, a nie w pełnym żołądku. — A serce moje będzie miało coraz to nowy pokarm, bo będzie coraz bliżéj Twojego. Bądź więc cierpliwą serdeczna Matko i wyglądaj mnie na ganeczku Twego domu, na tém samém miejscu, gdzieś mię karmiła, gdzieś mię potém uczyła pacierza, gdziem z Tobą dwa lata temu całą noc przesiedział i przysięgał Ci, że serce i ciało moje będą czyste i nieskażone. Dotrzymałem

Ci przysięgi, i taki, jakiegoś mieć pragnęła, powracam na Twoje łono.“

Drugi list był następującéj treści:

„Najdroższy Wuju! Stosując się do życzenia Twego, skończyłem kursa filozoficzne w akademii tutejszéj i wracam teraz na łono wasze, abym zdał przed Tobą sprawę z mojéj pracy i z mojéj myśli. Czy mi się to na co przyda, czy mi co w dalszém życiu pomoże, tego nie wiem. Zależeć to będzie od natchnienia Bożego i dalszego kierunku, jaki mi opieka i wola Twoja naznaczy. Od dzieciństwa przywykłem uważać każde słowo Twoje za święte i wierzyć, że co Ty chcesz dla mnie, tego chce Bóg i szczęście moje w tém życiu. Jakże będę szczęśliwym, gdy już poczuję rękę Twoją na mojéj głowie i błogosławieństwo Twe w sercu. Mam nadzieję, że będziesz ze mnie kontent: bo chociaż przez te dwa lata wiele złego widziałem, mogę Cię upewnić, że nic nie przylgnęło do mego serca i żaden brudny obraz nie zamąca mojéj głowy. Jako środek do zachowania czystości myśli kazałeś mi zachować ciało moje czystém i nieskażoném. Dopełniłem święcie Twego rozkazu i przysiąg danych matce i unikałem troskliwie wszelkiéj pokusy, każdego miejsca, każdego zdarzenia, któreby mogło mię narazić na walkę trudną i niebezpieczną. Dzięki wam za wasze nauki, za te prawa, któremiście każdy krok mój opisali. Jestem zdrów, jak ryba, silny jak Samson, lekki i swobodny jak ptak, któremu, zwłaszcza teraz, skrzydeł tylko zazdroszczę. Matka powie Ci, drogi Wuju, dla czego te listy do was piszę, choć sam wyjeżdżam i dla czego je pierwéj odbierzecie, nim ja będę u nóg waszych i w waszem objęciu. Nim to nastąpi, pomyśl, drogi Wuju, co mam daléj przedsięwziąść. Do uczoności obszernéj i gruntownéj nie mam powołania. Widziałem tu teologów, którzy bez poświęcenia, bez pokory, bez wzniesienia ducha, klepią skrypta swoje poświstując i wchodzą do świętych tajemnic wiary takim umysłem, z jakim rzemieślnik do warsztatu, który mu dać ma kawałek chleba. Gdym pomyślał sobie, drogi Wuju, o czystości Twoich myśli, o świętości wszystkich Twoich uczuć, o téj wierze głębokiéj i szczeréj, z jaką wypełniasz święte obowiązki kapłana, przekonałem się, że żaden z tych kandydatów duchownego stanu, których tu poznałem, nie ma i nie będzie miał namaszczenia; przekonałem się, że trzeba być takim kapłanem, jak Ty, lub nie być nim wcale; przekonałem się, że i ja do téj wysokości dojść nie potrafię, że także takim nie będę i dla tego, błagam Cię! nie miéj już téj myśli i nie wołaj mię za sobą: bo droga Twoja wysoka, wzniosła, jak Twój duch, a jabym

upadł na samym wstępie i z drobną duszą swą za Tobą pospieszyć nie zdołał. Widziałem tu także wielu prawników i starych wyjadaczów, i młodych wilczków, ostrzących już zęby na cudzą własność i szukających wykrętów prawnych nawet w studentskich figlach i swawolach. Wszystko to nie dla mnie, mój drogi Wuju! — Jam prostak, którego oko mówi prawdę, którego usta brzydzą się fałszem i udaniem. Nie utrzymałbym maski na mojéj twarzy i język mój zdrętwiałby, gdybym musiał uprawniać gwałt, usprawiedliwiać oszusta i w obec Boga i ludzi bronić złoczyńcę. I dla czegóżbym to wszystko robił? dla pieniędzy? Dla mnie pieniądze są piaskiem błyszczącym, plewą nieużyteczną wtenczas, gdym nie głodny i odziany. Inszéj w nich, właściwszéj im wartości nie widzę, inszéj ceny do nich przywiązać nie mogę. A wieleż mi ich potrzeba, gdy głód mój zaspokaja się lada kawałkiem chleba, gdy suknie moje noszą się niewiedzieć jak długo i zawsze są czyste i całe; gdy nie pojmuję, dla czego bażant ma lepiéj nasycić niż kawał mięsa wołowego, dla czego złota szpilka ma lepiéj zapiąć od stalowéj, dla czego sen ma być smaczniejszy i lepszy pod atłasową kołdrą niż pod wełnianą. Wszakże nie dla tego ja mówię to, mój drogi Wuju, abym się wykręcał od pracy, abym nie wiedział jak piękną, jak użyteczną jest nauka prawa, jak wiele prawd w sobie zamyka, jak szeroko rozwija myśl i oświeca jéj drogę przez labirynt ludzkości. I owszém, jeżeli mi każesz odbyć kurs prawa, powrócę tu z ochotą i pracować będę; ale błagam Cię znowu, mój drogi Wuju, abyś mi nie naznaczał powołania jurysty. To nie mój zawód, nie moja droga. Gdybym nią iść musiał, wszędziebym się zadrasnął, kaleczył i zakrwawiony i zmęczony, stanąłbym przy początku. Daruj mój drogi Wuju, że to wszystko piszę. Prosiłem Cię, abyś dla mnie co obmyślił, a tymczasem i z tego się wyłamuję i drugiego nie chcę. Ale mojaż to wina, żeście mnie wypieścili, wykochali, żeście mnie wychowali w miłości prawdy, w przywiązaniu do strzechy ojczystéj, w szczeréj prostocie serca, w umiarkowaniu i pogardzie tego wszystkiego, co fałsz, co zbytek, co próżność? Jeżeli teraz takim jestem, jakiegoście mieć chcieli, czyż odpędzicie mnie od siebie, abym się powalał wrzodami ludzkiemi, abym ścierał z swéj duszy tę barwę dziewiczą, którąście ją okryli, — z początku zapewne z bólem, ze wstydem, a potém — kto to wie, może ochotnie, jak inni robią. Nie daj Boże, aby tak się stać miało. Dla tego, mój drogi Wuju, wolałbym przedewszystkiém zostać w domu. Jakże gorliwie pomagałbym matce w gospodarstwie? jakbym był szczęśliwym, gdybym się ujrzał za pługiem, w prostéj płóciennéj kapocie i odkładając skibę bogatéj ziemi naszéj, nie myślał o metafizyce, któréj dobrze nie rozumiem, o sylogizmach, którychbym nie potrzebował, ale śpiewając piosnkę do skowronka, deklamując Georgiki Wirgiljusza, wesoły, zdrów i silny, rzucałbym ziarno w ziemię, obcinał drzewka w ogródku, pielęgnował bydełko i konie, i do każdéj gałęzi gospodarstwa przyczepiając kwiat myśli i znaczenia, uszlachetniał, poetyzował to zajęcie rólnicze, najpoetyczniejsze ze wszystkich. Nie są to marzenia, mój drogi Wuju! Serce moje innéj ambicyi, nie ma, jak być z wami, innéj potrzeby nie zna, jak was kochać, innego szczęścia sobie nie wyobraża, jak doświadczać waszéj miłości, waszych pieszczot, słyszeć wasz głos i czuć na sobie błogosławieństwo wasze. Pomyśl o tém, drogi mój Wuju, nim ja przyjadę; nie jednak nie mów matce. Możeby ta myśl zanadto głęboko utkwiła w jéj kochającéj duszy, a gdybyś potém co innego względem mnie postanowił, możeby z przykrością od niéj odstąpić musiała. Bo tak będzie, jak Ty każesz; bo moja głowa żyje Twojemi myślami, a moje serce chce Twoją wolą. Całuję rękę Twą, rękę dobroczynną, rękę czystą i zawsze godną żegnać i błogosławić. Twój posłuszny i wdzięczny *Gabryel.*“

Młodzieniec nasz, na którego teraz czytelnicy inném zapewne okiem patrzą, otarł łzę, która zawisła na długich jego rzęsach, i oba listy zakopertował. Na jednym położył adres: Wielmożnéj Apolonii Czaroszowéj w Haliczu — a na drugim: Wielmożnemu JMci. Księdzu Kanonikowi Pileckiemu, Proboszczowi w Haliczu. Potém uprzątnąwszy na stoliku, zdjął z gwoździa czapeczkę, oczyścił ją ręką i nałożywszy przed zwierciadełkiem na głowę, uśmiechnął się jeszcze, że mu tak do twarzy i poszedł oddać je na pocztę.

* * *

O trzeciéj po południu już Gabryel Czarosz był za miastem. Podróż szła z początku raźno. Koniki, chociaż małe i dosyć chude, ale jeszcze nie zmęczone, biegły żywo po drodze gładkiéj i ubitéj. Młodzieniec nasz był wesół i niezmiernie szczęśliwy. Przywykły do życia prawie wiejskiego, przyjaciel drzew i zieloności, rozpuszczał wzrok rozpromieniony po cudnym kraju, który go otaczał, po dojrzałych już, tu i owdzie skoszonych sianożęciach, po bogatych polach i różnobarwném zbożu, które tu już chwiało się falami, kłaniając się wysmukłemi kłosami, tam zieleniło się jak aksamit, owdzie w białawych, podłużnych smugach rozkwitało i wabiło pszczoły pracowite. Nie mógł oczu nasycić tym widokiem i dosyć naciągnąć w piersi świeżego powietrza, które go tak dawno nie owiewało i którego różnica od miej-

skich wyziewów z rozkoszą czuć mu się dawała. Gdy się gdzie zdarzył las, jeden z tych lasów galicyjskich, tak pięknych, tak rozmaitych, tak powabnie podnoszących się na pochyłościach lub wieńczących zielonym czubem wzgórza, przypatrywał mu się, jakby rzeczy nowéj, nurzał się myślą w jego cieniu, oddychał wonią jego kwiatów i przyrównywając do gajów naddniestrzańskich, coraz bliższym czuł się domu, łona matki i uścisków wuja. Wśród tych myśli, wśród takich wrażeń, zapomniał zupełnie o mieście, o wszystkich mozołach szkólnych, o wszelkich zdarzeniach dwuletniego pobytu, które albo go napełniły upokorzeniem, lub narażały na walkę z sobą samym, lub dając doświadczenie życia, za chwilkę przelotnéj przyjemności odpłacały się gorzkiem wspomnieniem.

W drodze przyczepiło się do niego jakieś licho, na karym koniu Twardowski, i pod samym Haliczem zbiegały się koniki Gabryela. Czarosz wyskoczył z wózka; a woźnica jego z końmi gdzieś zniknął. I tu to przypada owa chwila, w któréj znużony bieganiem i nawoływaniem woźnicy znalazł się w pobliżu owéj chaty, o któréj poprzednio była mowa, i zasnął. Tu to kuszony był *niezapracowanym groszem* i tu szczęśliwie oparł się pokusie. Potém znalazłszy konie z woźnicą, szczęśliwie zajechał na miejsce urodzenia swego, do matki, któréj koleje życia autor tak opisuje:

.... Tym sposobem doszła Apolonia do dwudziestego szóstego roku życia. W tym czasie i właśnie w Wigilią N. Panny zielnéj, była na nieszporach, które brat odprawiał. W kościele przystrojonym już w kwiaty i najrozmaitsze zioła nie wiele było ludzi. Ksiądz Pilecki klęczał na stopniach ołtarza, a Apolonia w pierwszéj ławce klęczała także i modliła się. W tém usłyszała za sobą chód wolny i poważny. Sama nie wiedziała, dla czego odgłos tych kroków, od kamiennéj posadzki kościoła odbijający się, zastanowił ją i modlitwę jéj przerwał. Chciała się obejrzeć, ale przezwyciężyła ten pierwszy popęd ciekawości i gdy idący widać się zatrzymał, znowu modlić się zaczęła. Po chwili znowu uderzenia obuwia po kamieniach kościoła, dały się słyszeć. Apolonia podniosła głowę i ujrzała przechodzącego mimo ławki podróżnego, który poważnie poszedł daléj, zbliżył się do galeryi oddzielającéj wielki ołtarz od reszty kościoła, ukląkł i położywszy laskę i słomiany kapelusz na ziemi, złożył ręce i modlić się zaczął. Był to człowiek poważnéj postaci, silnéj budowy, w sukmanie wieśniaczéj, białéj, z czarnemi wypustkami, różniącej się cokolwiek krojem i kolorem od tamtejszego chłopskiego odzienia. Twarz jego była przystojna, ogorzała, ale czerstwa, rysy pełne powagi i łagodności, a włos siwiejący, zwłaszcza na skroniach, dawał do myślenia, że mógł mieć przeszło lat czterdzieści. Z tłumaka, który miał na plecach, z laski podróżnéj i okurzonych bótów, równie jak z kroju sukni wniosła Apolonia, która mu się ciekawie przypatrywała, że był nietutejszy i z drogi prosto wracając, wszedł do kościoła.

Po skończonych nieszporach, podróżny powstał i szedł zwolna przez kościół. Gdy się zrównał z ławkami, podniósł głowę, spojrzał na Apolonią i pocierając ręką czoło, jakby sobie co przypominał, spojrzał raz drugi i poważnie wyszedł. To zainteresowanie się podróżnym; to jego spojrzenie, cokolwiek dziwném się jéj wydało; ale wróciwszy do domu, zajęła się czém inném, i wkrótce zapomniała. Czwartego dopiero dnia z wieczora, długo zasnąć nie mogła; marzyła to o tém, to o owém; przebiegała sobie historyą swego życia tak krótką, tak jednostajną, i w wydarzenia ubogą; zapuszczała się myślą w przyszłość, i nie widząc w niéj żadnéj z tych radości, które wstrząsają całą istotą ludzką, postrzegając tylko równy bieg dni jednakich, dni spokojnych i błogich póty, póki brat zdrów i przy życiu, wstrzęsła się mimowolnie, uderzywszy się myślą o przypadek jego śmierci, jakby o jaką szkarpę, za którą była ciemna przepaść, gdzie jéj oko zajrzeć nie śmiało. Że nigdy jeszcze ta myśl do głowy jéj nie przychodziła, tém bardziéj się przelękła i starała się tém prędzéj ją od siebie odsunąć. Nauczona doświadczeniem, że w takim razie najskuteczniejszym środkiem jest modlitwa, zerwała się z łóżka, narzuciła na siebie ślafroczek i uklękłszy przy swojém posłaniu, gorąco modlić się poczęła. Wkrótce jéj oko zaszło łzami, na sercu robiło się lżéj, a ochłodzona świeżém powietrzem nocy, gdy się znowu układła i dobrze okryła, prędko i spokojnie zasnęła. Ale widać, że to była dla niéj chwila stanowcza. Zaledwie sen smaczny pokrzepił jéj członki, gdy zdało się jéj znowu, że szyła ślubną suknią. Była to sukienka prosta, jakby wieśniacza, ale ozdobna swoją prostotą i jak śnieg czysta i biała. Nawet w marzeniach snu, pewnego rodzaju czuwanie i rezonowanie nie opuszcza duszy. Przypominała sobie, że to sen nie pierwszy, że z tą sukienką połączone jest zjawienie, które ma jéj przyszłość objawić. Jakoż podniosła niby głowę, opuściwszy robotę swą na kolana i ujrzała przed sobą Anioła i na twarzy jego pięknéj i łagodnéj, jakbyś umiech pozdrowienia. „Kończ, kończ Apolonio! rzekł jéj posłaniec Boży. Czas twój przyszedł, wiara twoja nagrodzona. — Patrz! oto jest ten, którego ci niebo za męża naznaczyło.“ Anioł zniknął, a jéj znowu zdało się, że była na nieszporach, że widziała brata przed ołtarzem, a od galeryi oddzielającej wielki ołtarz od reszty kościoła, szedł ten sam podróżny w wieśniaczém ubraniu, patrzał na nią uprzejmie, i na twarzy ogorzałéj, ale

pięknéj, był uśmiech życzliwości i wyraz niewypowiedzianego szczęścia. Ocknęła się Apolonia, i już téj nocy sen nie zamknął jéj powiek. Cały ranek była poważna i milcząca; a gdy się zbliżyła chwila nabożeństwa, poszła do kościoła i upadłszy na kolana w najciemniejszym kącie świątyni, dziękowała Bogu za tę opiekę nad sobą, za to cudowne ostrzeżenie i z sercem pełném wiary, że się tak stanie, z pobożną rezygnacyą zaczęła wyglądać przyszłości.

Po skończoném nabożeństwie, wrócił Proboszcz do siebie. Furtka, jak zwykle była otwarta, ale tą razą nikt nie przyszedł. Gdy godzina druga wybiła na zegarze, rzekł ksiądz Pilecki do siostry:

— Apolonio! idź, zamknij furtkę; już dziś zapewne nikt nie przyjdzie. Chciałbym trochę odpocząć. —

Wzięła klucz z ręki brata milcząca i zamyślona, i chciała wypełnić rozkaz jego. Ale ksiądz Pilecki przytrzymał jéj dłoń, i patrząc na nią, z przywiązaniem i troskliwością, rzekł:

Co ci jest siostruniu! Od rana uważam, żeś smutna i milcząca.

I owszém drogi bracie! — odpowiedziała z uśmiechem pełnym melancholicznego wyrazu, — jestem szczęśliwą, i wkrótce da Pan Bóg, jeszcze szczęśliwszą będę.

— Doprawdy? — odpowiedział brat wesoło, — czy nie sen jaki siostruniu?

— Nie śmiéj się bracie i wierz tak, jak ja wierzę. —

Ruszył ramionami ksiądz Pilecki, a Apolonia poszła z kluczem do muru oddzielającego probostwo od kościelnego dziedzińca. Szła z wolna przez ogród ze schyloną głową i gdy stanęła przy furtce, ujrzała w niéj tego samego wędrowca, którego twarz i postać tak jéj dobrze były znajome. Lekki krzyk wyszedł z jéj piersi i rumieniec oblał jéj lice. Zastanowiło to podróżnego; zdjął kapelusz słomiany, odgarnął z jasnego czoła siwiejące już włosy, i z uśmiechem uprzejmym i rozumnym rzekł:

— Przestraszyłem pannę — przepraszam za moję niezgrabność. Mam interes i prośbę do księdza Pileckiego. Czy mogę go teraz widzieć?

— I owszém: — odpowiedziała, rumieniąc się znowu — mój brat jest u siebie. Proszę z sobą, — dodała odwracając się prędko dla ukrycia swego pomięszania — powiem mu zaraz, że... że interes jest ważny.

— Bardzo ważny, dobra panienko! — dziękuję serdecznie.

Szła prędko Apolonia naprzód, a za nią podróżny postępując wolniéj, przypatrywał się jéj ruchom i jéj postaci z dziwném jakiemsiś zajęciem.

Apolonia zostawiła podróżnego w pierwszym pokoju, a sama weszła do pokoju brata. Ksiądz Pilecki przyrządzał sobie książkę, z którą miał usiąść na krześle swojém, aby się trochę przedrzemać. Gdy posłyszał chód siostry, obejrzał się, i zadziwiony zawołał:

— Co to jest? Apolonio? twarz twoja jakoś dziwnie wygląda.

— Nic, nic, mój bracie; — odpowiedziała: wziąwszy jego rękę. — Czeka tam ciebie jakiś człowiek, który ma pilny interes. Bracie! dodała z żywością, całując jego rękę: o cokolwiek cię będzie prosił, nie odmawiaj mu; bo co dla niego zrobisz, to zrobisz dla mnie. —

To powiedziawszy, wyszła do swego pokoju i zostawiła księdza Pileckiego zadziwionego i nie pojmującego wcale, co może znaczyć tak żywe zajęcie się interesem obcego jéj człowieka. Podziwienie jego było tém większe, gdy wszedłszy gdzie go gość ów oczekiwał, obaczył człowieka już nie młodego, w wieśniaczéj sukmanie, przypatrującego się rysunkowi, który dla księdza Pileckiego miał wiele interesu. Rysunek ten nie bardzo kształtny i widać dawny, wyobrażał dwóch młodych ludzi, podających sobie ręce pod słupem drogowym, gdzie się dwie drogi rozchodziły. Oba mieli na sobie podróżne tłumaczki, i chociaż jak się zdawało z odzienia, różnili się stanem, żegnali się serdecznie i jakby przyrzekali sobie: przyjaźń i braterstwo, przed drogą, która ich w różne strony prowadziła.

Ksiądz Pilecki stał cicho przez niejaki czas, niechcąc przerywać zajęcia gościowi swemu, a raczéj z zadziwienia, że to, co nikogo nie zastanowiło, najpierwéj uderzyło oczy człowieka, któryby się na takich rzeczach znać nie powinien. Ale gdy postrzegł, że wieśniak przypatrując się coraz silniéj, otarł łzę, przystąpił proboszcz żywiéj i wziąwszy go za rękę, długo mu się przypatrywał. Tamten także przez niejaki czas milcząc, przypatrywał mu się z zajęciem; ale gdy trzymając jedną ręką rękę proboszcza, drugą ukazując na rysunek, powiedział: — Dziękuję ci, żeś to zachował: — Stanisławie! — krzyknął wówczas ksiądz Pilecki — i oba mężowie, jeden w odzieniu kapłana, drugi w prostéj wieśniaczéj sukmanie rzucili się sobie w objęcia i długo się ściskali, witając się po długoletniem niewidzeniu.

Oto jest historya téj znajomości i tego rysunku, który ją tak prędko odnowił.

Stanisław Czarosz, teraźniejszy gość księdza Stanisława Pileckiego, był synem zamożnego wieśniaka, który pod samym Haliczem miał domek, ogród i na wzgórzach po prawéj stronie Dniestru piękny kawał roli. Zajmował się on

podarowała Biblioteka

pilnie rólnictwem, miał dużo bydła, liczną pasiekę w gaiku, który był pól jego ozdobą, ale przytém był oraz kołodziejem i miał obszerny stelmachowski warsztat. Bliskość miasta, bo mieszkał prawie na przedmieściu i był przez pół mieszczaninem, ułatwiała zbyt produktów i jego przemysłu i roli, tak, że uważano go za bogatego, za mogącego sobie pozwolić więcéj wygód i będącego wstanie dać dzieciom nie chłopskie wychowanie i pokierować niemi inaczéj w świecie. To ostatnie zawróciło szczególnie głowę Bonawenturze Czaroszowi. Kazał więc córki swoje, których miał dwie, uczyć miejskiemu organiście a syna Stanisława posyłał do szkół. Gdy chłopak skończył normalne klassy, które były w Haliczu, wyprawiono go do Gimnazyum do Stanisławowa, które wówczas szczególniéj słynęło i bliższe było, niż inne. Tam właśnie znajdował się i Stanisław Pilecki. Dwaj młodzi ludzie, chociaż oba zdatni, oba równie pilni, oba zawsze pierwsi uczniowie w klasie, długo od siebie stronili; gdyż jeden był szlachcic, i to z dobrego domu, drugi był chłop, z czém się wprawdzie z początku tail, co się jednak wkrótce wydało. Gdy wszakże Stanisław Pilecki, którego dobra natura przemagała nad przesądami, postrzegł, że młody Czarosz cierpi rozmaite prześladowania i znosi przycinki od innych kolegów także dobréj szlachty, usunął się od herbowéj bandy i nie tylko, że zaprzestał sam wszelkich wexacyi, ale owszem, ile mógł, bronił zdolnego i pracowitego chłopaka. Postępowanie to dało powód, że prześladowany przylgnął do swego obrońcy, szukał jego przyjaźni, wszelkiemi sposobami uległości i pomocy starał się ją pozyskać i nareszcie pozyskał: gdy raz wykroczenie, którego pozór padał na Pileckiego, przyjął na siebie, i gotów był nawet odebrać karę dość surową, która winnemu naznaczoną była. Nie przyjął wprawdzie Pilecki téj ofiary, wyznał swoją winę i tém zdradził szlachetny postępek Czarosza, sam zaś zasłużonéj karze się poddał. Widok takiéj szlachetności w jednym i w drugim uczniu zmiękczył zwierzchność szkólną; kara została darowaną, a dwaj młodzi ludzie wziąwszy się za ręce wracali w tryumfie do domu i w obec kolegów przysięgli sobie wieczną przyjaźń. Odtąd stali się nierozdzielni, a prześladowania wszystkie chłopka Czarosza ustały.

Gdy kończyli Gimnazyum, urządzono właśnie w Stanisławowie kursa filozoficzne, które w Austryi każdy młody człowiek, nim przejdzie na jakikolwiek bądź fakultet, odbyć musi. I ten kurs dwuletni odbyli razem; a skończywszy go, gdy się mieli rozłączyć, gdy Pilecki miał się udać do Lwowa na teologią, a Czarosz najprzód do domu, dla urzą-

dzenia interesów po śmierci ojca, a potém w świat, szukając czegoś, za czém dusza jego niespokojna gnała, czego jednak i sam w wyraźnych formach nie widział, zebrali się w gronie kolegów i sprawili sobie ostatnią studentską ucztę. Tam przy kielichu i pieśniach rozwijały się dalsze projekta, snuły dalsze nadzieje i krążyły zapewnienia wiecznéj przyjaźni i braterstwa. Ale dwaj Stanisławowie, a raczéj dwaj Stasie, jak ich nazywano, byli przedmiotem sympatyi i uwielbienia wszystkich. Oni to właściwie byli królami téj uczty, ich przyjaźń śpiewano, ich zbliżenie się wielbiono, im teraz rozdzielającym się na długo, a może na zawsze, życzono powodzenia i dawano rozmaite na drogę pamiątki. Czarosz dostał laskę, na téj wszystkie nazwiska kolegów były wyrznięte, a na czele nazwisko Stanisława Pileckiego; Pilecki otrzymał tabakierkę drewnianą, również kosztowne mającą napisy; słowem każdy z kolegów to tém, to owém starał się przypomnieć siebie dwom koryfeom tego grona. Wśród téj rozrzewniającéj i miłéj wspomnieniu każdego młodego człowieka chwili, jeden z kolegów bliżéj z bohaterami téj sceny połączony, przyniósł dwa rysunki. Na jednym było dwóch młodych ludzi przy rozstaniu i to był właśnie ten, którysmy już widzieli; drugi wyobrażał poważnego starca w wieśniaczém odzieniu, z emblematami rólnika i kołodzieja, siedzącego pod wielkiem drzewem wśród grona drobnych dzieci, które drugi starzec w sukni kapłana błogosławił. Coś prorockiego było w obu tych robotach, zrobionych z talentem, niewykształconym wprawdzie, ale pełnym życia i mocy. Całe grono przyjęło ten podarunek z uniesieniem i postanowiło, aby los oznaczył, który któremu z przyjaciół ma się dostać. Wszyscy obecni podpisali się na obu, a obdarowani przyrzekli sobie i kolegom, że drogą tę pamiątkę zachowają do śmierci, że ona będzie hasłem poznania się kiedyś w dalszém życiu, jeżeli los ich do siebie zbliży. Otóż pierwszy z tych rysunków dostał się Pileckiemu; a gdy po pierwszém przywitaniu Czarosz z zanadrza swój wydobył i dawnemu przyjacielowi pokazał, rzucili się znowu w objęcia i łzy słodkiego wspomnienia poważne twarze ich zrosiły.

* * *

Osiadłszy potém w téjże wiosce, z energią i nakładem całego prawie kapitaliku, który przyniósł z sobą, wziął się Stanisław Czarosz do dźwignienia ojcowskiego gospodarstwa i przemysłu. Dom także wymagał znacznych reperacyi — i te jednocześnie przedsięwzięte zostały. Wszystko rosło pod ręką przemyślną i pracowitą wykształconego chłopa, który umiał i zakierować robotą i sam się jéj nie wstydził. Ale

to też i piękne ożywiały go nadzieje. Z całą serdecznością i pokojem dojrzałego człowieka pokochał on Apolonią. Ona widziała to i w postępowaniu jéj widać było uległość przeznaczeniu, ale nie wymuszoną, nie zasępiającą jéj czoła, nie napełniającą jéj oka tajonemi łzami. Owszem, im bardziéj poznawała Czarosza, tym widoczniéj rozlewało się na jéj twarzy jakieś szczęście, które ją coraz piękniejszą czyniło. Obchodzenie się jéj z przyjacielem brata było pełne swobody, było nacechowane uczuciami szacunku dla jego powagi i rozumu, i wdzięczności za każdą oznakę przyjaźni, którą od niego odbierała.

Gdy po trzech miesiącach takiego życia, dom Stanisława był już prawie gotowy i zamykał wszystkie sprzęty, których wymagała, nie ozdoba, ale wygoda, poszedł ksiądz Pilecki z Apolonią obejrzeć go i udzielić aprobacyą, lub gdyby było potrzeba, jaką radę. Wszystko znaleziono stósownem do potrzeby zamożnego wieśniaka. Żaden sprzęt nie zdradzał żadnéj pretensyi szlacheckiéj, i nie okazywał, że Czarosz miał myśl wprowadzić do tego domu szlachciankę, przywykłą do innego życia. W pierwszéj izbie był duży lipowy stół i takież stołki z poręczami, o które można się było oprzeć. Była szafa z stołowem naczyniem i bielizną, biała, prosta, ale pełna. W drugiéj izbie, równie obszernéj i czystéj, było parę stołków mniejszych, parę szaf do rzeczy, skrzynia porządna i okuta, ławy szerokie i czyste, stołki wygodne i niewykwintne. Stoliki nakryte były kilimkami, nie drogimi, ale dobranymi z gustem i prostotą, a na ławach były materace okryte kwiecistém płócienkiem. Trzecia izba, przeznaczona widocznie na sypialnią. Z téj izby było wyjście do komory z pełnemi pułkami wiktuałów i rzeczy do użytku dobréj gospodyni służących. Z komory można było wyjść innemi drzwiami do sieni ciągnącéj się przez całą szerokość domu i mającéj drzwi jedne na ogród, drugie na dziedziniec. Z drugiéj strony sieni była wielka izba czeladna, a daléj warsztat stelmacha i kołodzieja.

Przez czas pokazywania i obchodzenia całéj zagrody, Apolonia milczała, nic nie chwaląc, nic nie ganiąc. Czarosz poglądał na nią ukradkiem, ale oczy jéj były spuszczone i wyraz twarzy spokojny. Gdy, skończywszy przegląd, wrócili do średniego pokoju, ksiądz Pilecki, chcąc rzecz doprowadzić do szczęśliwego końca, odchrząknął i obracając się do siostry, zapytał:

— Apolonio! jakże ci się ten domek podoba?

— Bracie! odpowiedziała, nie to chciałeś powiedzieć, dla czego zaczynasz z daleka.

— Więc ja powiem, — odezwał się Czarosz przystępując do niéj i biorąc jéj ręce: — Apolonio! tu wszystko proste, chłopskie.....

— Ale serce czyste i prawe pod sukmaną wieśniaka, — przerwała mu Apolonia, ściskając jego rękę. — Ja tu będę szczęśliwą Stanisławie! bo wiem od dawna, żem tobie przeznaczona.

Uchwycił ją w objęcia Czarosz, ona złożyła pocałowanie na jego czole i wyrwawszy się z rąk jego, padła przed bratem na kolana.

— Bracie i opiekunie! rzekła, oto mąż dla mnie naznaczony; błogosław jako kapłan i ojciec. —

Czarosz klęczał także przy niéj, a ksiądz Pilecki trzymając na ich głowach swe ręce, cichą, rzewną i słyszaną w niebie mówił modlitwę.

We dwa tygodnie potém, zebrany był przed kościołem tłum ciekawych, których tam ściągnął mający się odbyć ślub wieśniaka Czarosza z siostrą księdza kanonika Pileckiego, piękną i edukowaną, która odmówiła ręki dziedzicowi Chorostkowa i posesorowi wojniłowskiego klucza, a poszła za chłopa i kołodzieja. Różni, różnie o tém mówili; ale umilkli, skoro ujrzeli szlachetną i pełną rozumnego wyrazu twarz Czarosza, na którym biała sukmana z czerwonemi wypustkami leżała ozdobniéj i dumniéj, niż frak na innym; umilkli gdy obaczyli Apolonią w stroju mieszczki halickiéj, tak kształtnym, tak malowniczym, a który cudnie na niéj leżał, i dziwnie piękną ją czynił. Przemowa księdza Pileckiego, krótka, ale z uczuciem, do reszty zamknęła usta najdowcipniejszym żartownisiom. Tak więc szczęśliwa para połączoną została węzłami małżeństwa, a w rok potém z chłopa i szlachcianki, w téj saméj izbie, gdzie wisiał obraz Matki Boskiéj, urodził się chłopczyk, któremu na chrzcie świętym dano imię *Gabryel.*

* * *

Po śmierci ojca, który już w szóstym roku odumarł, Gabryel wychowany przez matkę i wuja swego, pięknie wyrósł i wielkie w naukach zrobił postępy. Wuj przeto na dwa lata wysłał go na akademią do Lwowa.

Wszakże te dwa lata, przez które Gabryel był we Lwowie, zostawiły w domu ślady swego przechodu. Apolonia w życiu samotném, i w tęsknocie za jedynakiem, którą jak mogła, zwyciężała i taiła, znacznie się zestarzała. Włosy jéj posiwiały od ustawicznego myślenia i przenoszenia się w dalekie strony, czoło i twarz okryły się zmarszczkami i cała postać pochyliła się ku ziemi. Postrzegać się nawet dawało pewne opuszczenie w stroju, który dotąd przy swéj wieśniaczéj prostocie, był zawsze wzorowéj czystości i oka-

zywał jakąś wrodzoną elegancyą. Druga odmiana, którą miał zastać Gabryel, była ta, że na miejscu jego łóżka, w sypialnéj izbie matki, gdzie zawsze sypiał, stało teraz łóżeczko białą kołderką okryte i ustrojone w obrazki i kwiatki. Było to łóżko szesnastoletniéj *Agaty*, która po wyjeździe Gabryela, zostawszy sierotą, miejsce jego zajęła w tym domu.

Agata była wnuczką ulubionéj siostry Stanisława Czarosza. Ten powróciwszy z swéj wędrówki, zastał tylko dorosłą córkę swéj siostry, którą najtroskliwszą otoczył opieką i wkrótce za mąż wydał. Ale biedna kobieta nie miała szczęścia w tym związku. Młody rzemieślnik, którego została żoną, póty tylko był dobrym, pracowitym i pilnym, póki żył Czarosz i troskliwie nad nim czuwał. Ale po śmierci jego, odezwała się niesforna natura i złe wychowanie przypomniało mu dawne nałogi. Po kilku latach swobody i hulanki, pijak ten i rozrzutnik umarł, zostawiwszy wdowę i córeczkę Agatę, nie zupełnie w nędzy, gdyż żona wszystkiego zmarnować mu nie dała, ale w stanie dosyć blizkim tego położenia, tak okropnego, dla każdéj wdowy, gdy ma do wychowania nie tylko siebie, ale jeszcze i dzieci.

W tym przykrym stanie, Apolonia i ksiądz Pilecki dawali jéj zawsze skuteczną pomoc, tak, że przy gospodarności i oszczędzaniu mogła się jakkolwiek utrzymać i wychowywać pieścidełko, i jedyną pociechę swoją, żywą, figlarną i dziwnie piękną Agatę. Miała w ten czas Agata lat czternaście, gdy Gabryel dom matki opuszczał i do Lwowa się udawał, dla wyuczenia się filozofii. Roskoszna i rospieszczona dziewczyna żegnając się z nim, a zawsze nazywała go wujciem, Apolonią zaś babunią, śmiała się, swywoliła i gdy wszyscy obecni płakali, rzekła:

— Pamiętaj wujciu! żebyś mi wyrósł i jeszcze ładniejszy powrócił, niż teraz jesteś. Masz czas, całe dwa lata. Przez te dwa lata ja także wyrosnę, i jeszcze ładniejszą będę, niż jestem, i kochać cię będę. To mówiąc, gładziła go po twarzy i całowała, a chłopiec nie zważał na to bynajmniéj, oswojony z jéj swywolą, a ze łzami i żalem, nie miał czasu odpowiedzieć na jéj karesy, i słów jéj zapamiętać.

Co do pierwszego Agata dotrzymała słowa. Wyrosła, dojrzała i rzeczywiście stała się jeszcze ładniejszą, niż była. Zdawało się, że śmierć matki, która nastąpiła w parę miesięcy po wyjeździe Gabryela do Lwowa, nie zrobiła na żywéj i swywolnéj dziewczynie wielkiego wrażenia. Płakała ona, modliła się serdecznie za pokój jéj duszy, ale wkrótce śmiech figlarny znalazł się w jéj oczach i śpiewka na ustach. To postrzeżenie odstręczyło od niéj trochę serce Apolonii;

lecz gdy ją wzięła całkiem do siebie, gdy pod jéj okiem rosnąc i rozkwitując, mimo żywości, mimo swywoli, mimo naśmieszek to z tego, to z owego, okazywała swéj opiekunce najczulszą wdzięczność, gotowa była na każde jéj skinienie, zniechęcenie to znikło, i w sercu Apolonii znalazło się dla téj wesołéj sieroty macierzyńskie przywiązanie. Patrząc nieraz na jéj ruchy zgrabne i żywe, słuchając śpiewek pełnych harmonii, przypominając jéj dobre serce, które się przebijało wśród skłonności do żartów, czystość jéj myśli, niewinność jéj uczuć, przyjmowanie obojętne widocznego uwielbienia wszystkich, myślała sobie Apolonia, że może téż Gabryel oceni tak cudną dziewczynę i już w sercu macierzyńskiém, snuła złotą dla dzieci swych osnowę.

Otóż do takiego to domu i do takich serc wracał teraz Gabryel!

Jakież było przywitanie, któż to wypowie? Jak silnie, jak prędko biły serca, któż to zmierzy i wyrachuje? Ale potrzebaż ludziom malować uczucia syna wracającego pod dach rodzinny, uczucia matki ściskającéj wróconego jedynaka, uczucia świętego człowieka, który wychował duszę młodzieńca, i teraz przypatruje się dojrzewającym jéj wdziękom?

Gdy Apolonia, którą rozrzewnienie i radość zmogły, usiadła bez sił na krześle, gdy Gabryel klęcząc, ściskał jéj kolana, Agata, o któréj w téj chwili wszyscy zapomnieli, usunęła się na stronę i zapomniawszy figlów i swywoli, zasmuciła się biedna, usiadła w kąciku i przyłożywszy paluszek do ust, pomyślała: Mój Boże! mój Boże! jacy oni szczęśliwi! — A na mnie nikt nie spojrzał, zapomnieli o mnie! — I stan jéj sierocy, przyszedł jéj na myśl; z ócz potoczyła się łza; piękna postać Gabryela, boleśnie jakoś zaryła się w jéj duszy, a ciało mimowolnie owiał ten chłód, jaki w śnie przeszłéj nocy na dnie Dniestru uczuła.

* * *

Gabryel, który co tylko miał pojąć za żonę cnotliwą Agatę, porzucił ją i puścił się w świat, za młodą wdową, bogatą panią, hrabiną Tumirską. Za sprawą Twardowskiego spanoszył się, nabrał narowów pańskich, zapomniał o przestrogach serdecznéj swéj matki, zapomniał o swém pochodzeniu i już z pogardą tylko patrzył na ludzi sobie niegdyś równych! Po powrocie z zagranicy, jako niezmierny bogacz i *hrabia Czarosz*, pojął za żonę hrabinę Tumirską. Wszystkie pańskości Lwowskie swoją pańszczyzną przyćmił i wszystkich w pogardzie rzeczy ojczystych prześcignął! Aż przecież, gdy zapomnienie doszło do najwyższego stopnia „fajerwerk ów kosztem duszy założony, pękł i zaświeciwszy różnokolorowemi ogniami, zagasł! Zostały tylko osmalone z niego papierki, które wkrótce wiatr rozwiał bez śladu!“

Gabryel się nagle opamiętał. Zdaje się, że grzech ostatni, jakiego się dopuścił, t. j. niewdzięczność przeciwko opiekunowi i dobroczyńcy lat młodych, dopełniła już miary cięż-

kich prób, na jakie Opatrzność go wystawić pozwoliła. Zrobił się więc posępnym, milczącym i dla żony nawet przykrym. Póki był kto obcy, póty okazywał się tylko znudzonym; ale gdy był sam, wtedy spadał z pleców jego ten pański płaszczyk i występował człowiek z pamięcią swéj przeszłości, która na jego stan obecny, a zwłaszcza na jego przyszłość, okropne rzucała światło. Raz opuścił całą kompanią, chodził długo w takiém usposobieniu po innéj pustéj sali, potém poszedł do swego pokoju i na klucz się zamknął. Noc była cudna; księżyc pływał po niebie cicho i spokojnie, gwiazdy iskrzyły się; a z otwartego okna, szło do pokoju świeże i wonne powietrze. Stanął w nim Gabryel i patrzał na rozległy ogród, otaczający pałac: przypatrywał się grupom rozmaitych drzew, które lekki powiew kołysał; starał się oderwać od ludzi, i zapomnieć o tém bezdrożu, na które zboczył; starał się wydrzeć z tych szponów, w które wciągnięty został, a wiążąc się z naturą, przez wspomnienia dawnéj swéj miłości, przysłuchiwał się téj mowie poetycznéj, jaką w czasie nocy pogodnéj i cichéj, ziemia rozmawia z niebem. Zajęty temi myślami, uczuł, że mu lżéj na piersiach; podniósł więc oczy w górę, i postrzegł tę samę konstellacyą, tak sobie dobrze znaną, która tkwiła nad Haliczem i nad domem rodzicielskim, któréj tyle razy przypatrywał się, gdy był we Lwowie, za pośrednictwém któréj, przesyłał pozdrowienie wujowi swemu i pocałowanie serdecznéj swéj matce. Widok ten wzruszył go do głębi serca. Wspomniawszy, z jaką niewdzięcznością odepchnął od siebie dobroczyńcę swojéj młodości, wyciągnął mimowolnie ręce ku téj stronie, gdzie go te migające gwiazdy zdawały się powoływać i z całéj mocy dawnéj swéj miłości zawołał: O matko moja! gdzie ty? W téj saméj chwili postrzegł przed oknem światłą i przezroczystą postać; która prędko mignęła i jakby go skrzydłem swojem obwiała i orzeźwiła. Świętém przenikniony drzeniem, upadł na kolana, złożył ręce i po raz pierwszy od lat trzech gorąco modlić się zaczął.

Czy Twardowski nie chciał, czy nie mógł temu odrodzeniu się Gabryela przeszkodzić i odstąpił, postrzegłszy zapewne silniejszy i święty zastęp, który nawróconego do rodziny, do modlitwy i nieba, tarczą swą osłonił, tego nie wiemy a zatém i opisywać nie będziem.

Już Matka z tęsknoty i zmartwienia ledwo nie umarła, biedna Agata rozum utraciła, a Wuj, ksiądz Pilecki, w głębokiej żałości dni smutne pędził: hr. Czarosz ani go wpuścić do pałacu swego nie chciał. Wtedy Matka z Agatą chcąc próbować szczęścia i dostać się do wielkiego pana, puściły się w drogę.

Wtedy to na drodze, do blizkiego miasteczka prowadzą-

céj, postrzegła podróżnego, który stał oparty na kiju i zdawał się smutno zamkowi przypatrywać. Widok ten dziwnie ją dotknął. Przyspieszyła więc kroku ile mogła, i zbliżając się coraz, widziała, że to był człowiek młody, urodziwy, ale na twarzy jego znękanéj, były ślady, czy przewinień, czy bólu, które ją zrobiły bladą i poważną. Odzienie jego było proste, nogi bose, w ręku kij podróżny, a na głowie oprócz jasnych dużych włosów, nie miał żadnego nakrycia. Za każdym krokiem, serce gwałtownie biło w piersiach Apolonii. A gdy się jeszcze zbliżyła, serce to poznało tego, którego pierwsze ocknienie do życia i bytu dało mu niewymowną radość, którego pierwszy płacz został mu na zawsze, jako echo najwyższego szczęścia na ziemi.

— *Gabryelu!* — krzyknęła w ówczas Apolonia, wyciągając do niego ręce. Gabryel ocknął się z zamyślenia, poznał swoją serdeczną matkę; ale widok jéj przejął go takim bólem i wstydem, że stał jak w osłupieniu i nie śmiał rzucić się w jéj objęcia. Apolonia przystępując do niego, wzięła jego rękę i z głębi duszy zawołała:

— *Gabryelu!* to ja, synu mój! to głos matki twéj, któréj Bóg nie opuścił, któréj św. Aniół jego tylko co powiedział, że cię znajdę, że cię obaczę! — I święte słowa jego sprawdziły się. — Teraz wszystko już przeszło, teraz mam cię, i żadna już siła od piersi cię moich nie oderwie. — Wtedy wziąwszy znowu w obie dłonie jego głowę, przytuliła ją do łona i z uniesieniem całować zaczęła.

— Biedna matko! — rzekł wówczas Gabryel, jakby przychodząc do siebie i przypatrując się jej. — Com ja z ciebie zrobił! — Włos twój posiwiał od gryzących myśli, twarz poryły łzy za mną, a postać twoja pochyliła się i zmalała: tak ją przygniotła troska i boleść, żem cię zawiódł, żem złote twoje nadzieje w proch obrócił. Przebacz dobra matko — dodał, padając przed nią — i niech winy moje zmyje ten płacz gorzki, którym nogi twe bose i pokaleczone oblewam.

— Powstań synu! — odpowiedziała Apolonia. — Taka była wola Tego, — który zlitował się nad nami i pozwolił nam chwili téj dożyć.

Powstał Gabryel, otarł łzy, i patrząc na Agatę, która niewiedziała, co się w koło niéj dzieje, odeszła kilka kroków i zrywając polne kwiatki, przypatrywała im się z uśmiechem, rzekł:

— „Bóg zezwolił, abym wpadł w takie ręce, które mnie szybko i nieubłaganie ciągnęły do zguby. Tu, w tych murach, którym teraz z bezpieczeństwem, choć ze smutném wspomnieniem przypatrywałem się, popełniłem pierwszy

grzech: tu najprzód zapomniałem o tobie. Jak się to stało, na cóżci to dobra matko wiedzieć? Przez jakie przechodziłem koleje, to w części wiesz i powtarzać ci tego nie trzeba. Widziałem wiele krajów i ludzi, użyłem wiele tak nazwanych uciech świata, rozrzuciłem miliony, zadziwiałem przepychem, z dumą i pogardą patrząc na takie strzechy jak ta, gdziem ujrzał niebo i słońce, zamieszkiwałem same pałace, otrzymałem nawet prawdziwe dobro, miłość téj, co: zapewne bez swéj woli pomagała do méj zguby i zatracenia; a przecież nie było radości na mojéj twarzy, ani szczęścia i pokoju w mojéj duszy, bo przy boku moim stał zły duch, którego był dziełem cały ten blask, jakim mnie otoczył, całe to przerodzenie mojéj natury prostéj, poczciwéj i z pod serca twego wziętéj, którém mię tak skrzywił i poniżył."

„I wiesz matko, co mnie uratowało?"

— Co mój synu jedyny? — zapytała, tuląc jego rękę i patrząc mu w oczy.

Nie dawno, w jednéj ciężkiéj chwili — mówił Gabryel z melancholicznym wyrazem twarzy — patrzyłem z okna mojego pałacu na otaczający go ogród. Noc była jasna i cicha; księżyc błąkał się po niebie i poglądał na mnie z góry; cała natura zdawała się do mnie przemawiać i przesyłać mi słowa przestrogi. Widok ten wzruszał mię niewymownie; podniosłem oczy do nieba, obaczyłem te gwiazdy, którem ci nie raz pokazywał, żem ci przez nie serdecznie ze szkół przesyłał pocałowanie; i obraz mojego dzieciństwa, wspomnienie twoich pieszczot i opieki, twoich rad i nauk, wszystkie echa domu i rodziny odezwały się we mnie tak żywo, tak potężnie mię czarem swoim ogarnęły, żem wyciągnął ręce do Nieba, i z całéj duszy zawołał cię na ratunek. I patrz, w téjże chwili zdało mi się, że jakaś postać promienna przemknęła się przed mojem okném i oświeciła moją duszę omgloną i upadłą. Pierwszy raz od lat kilku odważyłem się upaść na kolana i po długiéj, dawniejszéj modlitwie, takiéj, jakiéj ty mnie nauczyłaś, powstałem tém, czém byłem kiedyś przy twoim boku, pod okiem twojéj miłości, pod kierunkiem świętego człowieka, co modlitwę dziecka umiał zamienić w czujące siebie wzniesienie dojrzałego ducha.

Umilkł Gabryel, a Apolonia złożywszy ręce, dziękowała Bogu, że jéj takiego syna oddał.

— „Téj saméj nocy — mówił Gabryel daléj — opuściłem pałac, któregom już nie uważał za swój. Téj ukochanéj istocie, za któréj nawrócenie co dzień się modlę, i modlić się będę, — zostawiłem piśmienne pożegnanie, wskazówkę dalszéj jéj drogi, i nadzieję, że się kiedyś znajdziemy i połączymy. O matko! jak mi było dobrze i lekko, gdym się ujrzał ubogim, obnażonym ze wszystkich dostatków, wolnym od grzesznych bogactw, które mnie, marnotrawnemu próżniakowi, dawała złoczynna i na zgubę moją nastawiona ręka. Dla przekonania się, czy mię ten zły duch odstąpił zupełnie i nademną moc swoję utracił, przyszedłem umyślnie tu, gdzie się niedola moja zaczęła, i gdzie on dla postrachu gminu niby siedzibę swoją założył. Wśród tych ruin, przepędziłem dzień cały, a gdy przyszła noc, czekałem modląc się, czy się nie zjawi, czy kopyta jego konia na brukach zamkowych nie zatętnią. Ale w około mnie, było cicho; tylko puszczyk czasem się odezwał, lub złomek jaki spadający z murów, zaszeleścił. Wkrótce oparłem głowę na kamieniu i zasnąłem, i spałem tak smaczno, jak gdybyś ty serdeczna matko łóżeczko moje usłała, i sama mię ręką swoją utuliła. Obudziłem się spokojny, wesoły, i szczęśliwy, i w ówczas pomyślałem, co mi czynić wypadało. Bóg dał mi dobre natchnienie. Opuściłem te ruiny, najpierwszemu wędrownikowi, któregom spotkał, darowałem moje piękne i kosztowne stroje, wziąłem od niego tę biedną sukmanę, ten kij pielgrzymi, i poszedłem do pierwszego miejsca, uświęconego cudami, jakieby mi pobożni ludzie wskazali. Znalazłem je, przebyłem tam czas niejaki, i wtedy dopiero udałem się do Halicza. Ciebie już wówczas nie było; ale widziałem dom ojcowski. Matko! — dodał z bólem — on się pochylił, on zmarniał, on wszędzie okazuje ślady mojego niedbalstwa, mojéj ciężkiéj winy i twojego bólu. Warsztat nasz ucichł, porozbiegała się czeladź, chwasty zaległy ogród, porozgradzały się płoty; szyby, przez któreś mię wyglądała, zastałem potłuczone; dach, pod którym mię wykarmiłaś, podziurawiony; a ten ganeczek, na którym uczyłaś mię pacierza, w rozsypce i upadku. Dąb tylko na dziedzińcu stał jak dawniéj i bocian na nim na jednéj nodze czekał; ale i ten patrzał na mnie smutno, jak gdyby mi ciężkie czynił wyrzuty. Zapłakałem gorzko i poszedłem obaczyć nasze pole. Zastałem je próżne i poorane. Upadłszy więc na twarz na téj ziemi, którą ręce ojca mego uprawiały, przepraszałem cień jego, błagając: aby mię natchnął, co mam czynić? abyś mi i ty przebaczyła i niebo me winy odpuściło. Już było ciemno gdym powstał spłakany i usiadłem pod tym dębem samotnym, co tam stoi od wieku, jak stróż naszéj własności, i spocone czoło robotników cieniem swym ochładza. Tam i ojciec mój siadywał w południe, ja tam nieraz spałem po swywoli. O matko! tam mię widać twa modlitwa zaprowadziła, abym drogę swą wynalazł, nie

błąkając się w życiu bez celu i myśli, i nie sterczał na drzewie społeczności, jak ten wilk nieużyteczny, z którego ani kwiatu, ni owocu. Zmęczony drogą i łzami, wkrótce zasnąłem; a gdym się obudził, patrz matko, co się znalazło na moich piersiach.

— Szkaplerz twego ojca! — zawołała Apolonia z podziwieniem, gdy go jéj Gabryel, odkrywając suknią swą, pokazał.

— „Ten sam — odpowiedział — który wisiał zawsze nad twojem łóżkiem, na téjże wstążeczce, którą tak dobrze pamiętam. Jak się on znalazł na moich piersiach, tego niewiem. Ale gdym zaczął całować tę świętą pamiątkę i lepiéj się jéj przypatrzył, postrzegłem na téj stronie, co do piersi mojéj przylegla, słowo pełne wagi i znaczenia, którego tam dawniéj nie było: bo było w sercu i przekonaniu tego, co go nosił. Patrz matko? tu stoi jeden tylko wyraz: *Praca*. I to jest droga, o którąm błagał; w tém jedném słowie zamyka się tajemnica mojéj przyszłości. Wypisane ono złotem, bo takie tylko złoto, jest uświęconym nabytkiem. Ja rozrzucałem miliony, które mi przyszły bez trudu, ale te pochodziły od zgubionéj siły i niedały ani szczęścia, ani błogosławieństwa. Widział to bez wątpienia mój ojciec z téj krainy, gdzie go cnoty jego umieściły, i nie kto inny, jak duch jego zawiesił na piersi mojéj, ten drogi upominek, z którym rozstanę się tylko z życiem.“

To mówiąc: przycisnął do ust tajemniczy podarunek, i łza pobożna spadła na białą materyą, na któréj jaśniały dziwnym blaskiem litery, tak wielkiego w wieku naszym wyrazu.

— Niech cię Bóg błogosławi synu! — zawołała matka, któréj twarz rozpromieniła wysoka radość i pełne rozrzewnienia w jedynaku swym rozmiłowanie się.

— „Jeszcze dzwonek naszego kościoła, nie wzywał na prymaryą; — mówił Gabryel — a jużem był na probostwie. Zastałem wuja na wystawie. Tam patrzył za Dniestr i odmawiał pacierze. Upadłem do nóg jego, zmyłem je gorącemi łzami. Poznał mię, podniósł i przebaczył. Opowiedziałem mu wszystko. On także pobłogosławił moim przedsięwzięciom, mojéj drodze, i puścił mię od siebie. Teraz jestem już bliskim mojego celu.“

— Dokądże się chcesz udać synu! — zapytała Apolonia.

— „Tu niedaleko! — rzekł Gabryel. — Widzisz matko! to piękne miasteczko, te wioski umajone, ten kraj żyzny i bogaty. Tam jest człowiek znakomity, który gromadkę swą po téj zbawiennéj drodze prowadzi, który pojął, zrozumiał swój czas. Teraz stanę przed nim z pokorą, ale bez wstydu, żem bosy i ubogi; prosić go będę, aby mi dał do rąk najcięższy młot w swoich kuźniach, włożył na moje ramiona największą belkę w swoich budowlach, aby obfity pot zlewał moje czoło i zmył z niego haniebne piętno ostatnich lat mego życia. Pierwszy dukat, który tam zarobię, prześlę ci droga matko! Powiesisz go jako *votum* na ołtarzu w naszym kościele, a wuj objaśni ludziom jego znaczenie i wagę. A teraz bądź zdrowa, droga matko! Idź do domu sama, o mnie bądź spokojna; ze mną wasze błogosławieństwo i ojcowska przestroga!“

Gabryel uściskał kolana matki, która położyła dłonie swe na jego głowie i cichą modlitwą umacniała swe serce w nadziei i wytrwaniu; z bólem ucałował czoło Agaty, która patrząc nań obłąkanym wzrokiem i podając mu polny kwiatek rzekła: daj to odemnie Gabryelowi na pamiątkę. A niech wraca za trzy dni; ja zaczekam. Wziął Gabryel dany sobie kwiatek, ze łzami spojrzał jeszcze na matkę i na biédną dziewczynę i spiesznie odszedł. Apolonia wyciągnęła za nim ręce i długo tak stała, a Agata znowu rwała kwiatki na polu, i smutną śpiewała piosneczkę.

Kordecki.

Przez J. I. Kraszewskiego. Wilno 1852.

(Str. 294.)

Na podniosłém wzgórzu skalistém, wśród okolicy piaszczystéj zasianéj wioskami, pagórkami, na których sterczą zamków zwaliska, wśród widnokręgu opasanego w dali sinych gór pasmem, wznosi się klasztór i kościół częstochowski, około którego siedziby ludzi, lasy, pola, grody, kaplice zdają się, jak ciżba posłuszna, przed Panem pochylać czoło. Stary ten gmach warowny, zamczysko Maryi, budowany powolnie przez długie wieki, obwiedziony murem, jak rycerskim pasem, którego brama, zdaje się zdala klamrą ozdobną, ścianami kościoła wybiegł wysoko po nad inne budowy, a wyżéj jeszcze na nie wieżyca z gankami spięła się pod obłoki, na ramionach krzyż piastując złocisty. Nieco niżéj, pod cieniem jego, na dachu kościelnym, w promienistém kole, obraz Najświętszéj Panny, wskazuje mnogim zdaleka pielgrzymom, że tu ich opiekunki stary a święty wizerunek złożono. Do koła gmachu kościelnego cisną się przybudowane kaplice, ule z których, jak brzegi pszczół, dolatują głosy modlących się zakonników, pszczółek téj Bożéj pasieki. Tuż blisko kilku facyatami bieleje klasztór obszerny i pię-

kny, po którym znać, że go królewskie i książęce wnosiły dłonie, że go troskliwa wiernych zdobiła pobożność, że go rozszerzała gorliwość ludu o chwałę Bożą i chwałę Maryi. Wcześnie to święte miejsce, w rycerskim kraju, na pograniczu stojąc, kilkakroć napadane i rabowane, przywdziało zbroję murową. Po rogach kortyn strażnice krągłe i czworogranne, różnych lat i pochodzenia, z kolei przyszły pilnować Jasnéj-Góry, i zwrócone w różne strony poglądają, jakby czuwały od nieprzyjaciela.

U podnóża góry o kilkaset kroków od twierdzy Jasnogórskiéj, nie wielki kościołek św. Barbary, świeżéj jeszcze budowy, bo lat zaledwie kilkadziesiąt liczący, błyszczy się po nad nowicyatu klasztornego kamienicą. Z drugiéj strony kościołek św. Rocha, patrona od morowéj zarazy, łączy niejako twierdzę z miasteczkiem klasztornem, którego fara starożytna po nad czarne dachy mieszczańskich domostw dźwiga się poważnie. Dokoła murów, — znać dawno niewidziały wojny i niesłużyły za ochronę, — poczepiały się swobodnie drewniane klatki, jak gniazda jaskółek, coraz rozprzestrzeniając się daléj a szerzéj. Są to kramiki przekupniów, którzy pod murami klasztoru stoją, czekając na pielgrzymów z pamiątkami Jasnéj-Góry, i znajdziesz u nich obrazki Bogarodzicy wielkie i małe, drogie i tanie, złociste i skromne, na blasze i na papierze; pobożne książeczki, pieśni na chwałę Bożéj Matki, szkaplerze z Jéj imieniem, krzyżyki, paciórki, różańce i owe listy misternie sztychowane, w których środku błyszczy obraz cudowny i tysiące innych drobnostek, co je w każde święto i niedzielę święcą Paulini u ołtarza, ocierają o cyprysową deskę i rozdają nazad wędrowcom. Znaczna tu część uboższych mieszczan, pod płaszczem swéj opiekunki na życie zarabia, żywiąc się pobożnością tłumów które falami płyną do cudownego obrazu. —

* * *

Wieść o napadzie *Karóla Gustawa* zdawała się w początku fałszém; tak dziwném sądzono, by się odważył posunąć na kraj, którego wszystek lud mógł powstać, jak jeden człowiek w obronie rodzinnego ogniska. Mówiono z początku: nie przejdzie Noteci i Warty! Ale Bóg chciał nas ukarać i za narzędzie swéj plagi użył — zdrajcy. Jeszcze się ze Szweda śmiano, a już podkanclerzy *Radziejowski* swemi praktyki w Wielkiéj Polsce uroczyste przyjęcie mu gotował. Nagle krzyk i przestrach rozległy się szeroko, Karól Gustaw już przeszedł Noteć i Wartę, zagarnął Poznań, Kalisz, Kościan, Kruszwicę, Bydgoszcz i sunął się szybko ku stolicy Warszawie. *Jan Kazimierz* zwątpiwszy o Królestwie, którego synowie na pierwszym wstępie, kropli krwi nie przelawszy, przeszli w szeregi napastnika, a tęskném sercem i uczuciem swéj bezsilności, ustąpił do Krakowa, ale i tu nie było się czém bronić. Męztwo Stefana Czarnieckiego i garści jego towarzyszów, nie mogło ocalić stolicy, a naraziło drogi ten klejnot na zniszczenie; więc z Krakowa, król wygnaniec, na Spiż odjechał; a Kraków, bronił się jeszcze sił ostatkiem i potężniejszą od sił swych nadzieją.

Nic jednak dotąd nie zwiastowało, żeby Szwedzi pomyśleli o Częstochowie, u któréj podnóża nikt się jeszcze z Gustawowskich żołnierzy nie pokazał. Ale ta cisza miała coś w sobie straszliwego; odgłos wrzawy dalekiéj wybitniéj coraz brzmiał w uszach zakonników, a nocny wicher jesienny, każdy huk oddalony, każda u wrót wrzawa, zdawała im się oczekiwanych nieprzyjaciół oznajmywać.

Rano dnia pierwszego Listopada 1655. roku, Przeor Częstochowski, ksiądz *Augustyn Kordecki* siedział w swéj celi i odmawiał pacierze, gdy do niéj zapukano w sposób naglący. Dozwalając wnijść, złożył kapłan książkę z westchnieniem, jak gdyby bolał, że go z lepszego świata odrywano na ziemię, i spojrzał na obraz ukrzyżowanego, niby go prosząc o posiłek i radę.

W tém wszedł ksiądz Piotr Lassota zakonnik z kilką listami, i ucałowawszy rękę przełożonego, jak to dawniéj było we zwyczaju, dla przypomnienia posłuszeństwa, oddał mu je milczący, ale z twarzą widocznie strapioną i zamgloną smutkiem. Ksiądz przeor spojrzał na pieczęcie i napisy, nie spieszył z rozpieczętowaniem i usiadł. Był to średniego wieku człowiek, wzrostu miernego i twarzy wcale niebohaterskiéj; rysy jego znamionowały tylko silną duszę, charakter nieugięty i rozum jasny; dobroduszna łagodność łączyła się w nich z męztwem i wytrwałością. Siwe źrenice bystro spoglądały wprost na każdego, nie schylając się przed nikim, nie obawiając się śledczego badania, same wnikając w głąb duszy; nad niemi brew gęsto zarosła już siwieć poczynała. Czoło miał szerokie, zorane kilką poprzecznemi marszczkami, które raczéj wiek i praca niż troska zakreśliły; usta rumiane i szeroko roztwarte miały ten wyraz siły i dobroci razem, który oznajmuje wielkich mężów, zawsze gotowych do boju i pewnych dotrwania. Widać było, że często igrał na nich uśmiech łagodny; że rozkazując, umiały rozkaz ten uczynić miłym, a w potrzebie nieodwołanym i strasznym tą potęgą woli niezłomnéj, któréj nikt wytłómaczyć nie potrafi, a wszyscy słuchać muszą. Takim był ksiądz *Kordecki*. Postać poważna z siwiejącym włosem i długą na piersi spływającą brodą, w chwilach codziennego żywota; — lecz ktoby go widział na modlitwie, nie poznałby może; tak go zmieniało podniesienie ducha ku Bogu, tak rozjaśniało się i świetniało oblicze jego. Inny to naówczas był człowiek, i grom dział nie byłby go zbudził, chociaż szmer cichy ust ludzkich; odzywających się dziś łagodnie, wnet od Boga ściągał myśl jego ku ziemi, gdy się tu czuł potrzebnym. W powszedniém obejściu nikt dziwniéj połączyć nie umiał surowości z łagodnością, dwóch

na pozór sprzecznych sobie przymiotów; nikt dzielniéj nie przekonywał, nikt silniéj nie pociągał nad niego, nikt potężniéj nie gromił. Wymowa jego nie szukała w szacie powierzchownéj, w dobranych słowach i wyszukanych postaciach, środków trafienia do serca; natchniona, zawsze pełna była siebie i wyrażała się prostemi słowy, z duszy idącemi do duszy. Był to ów mąż ewangelicznych czasów, który częściéj prostą przypowieścią trafiał do przekonania niż wielkiemi wyrazy; on może jeden wśród deklamującéj Polski mówił najsilniéj ze wszystkich, choć od wszystkich prościéj. Wielkiéj, jak dusza jego, pokory, umiał ją połączyć z powagą zwierzchnika i oddzielić człowieka i grzesznika od przełożonego i pasterza swéj trzódki. Nikt w nim skazy dumy nie spostrzegł, a przecież na widok jego uchylały się głowy; jak przed niepojętym urokiem wyższości. Dość było, by przemówił, wnet ciągnął serca ku sobie, uginał twarde przekonania, miękczył zatwiardziałych, rozbrajał gniewnych; nie jedno nawrócenie należało już do zasług jego. —

Wiek XVII. był jeszcze za prawdę u nas wiekiem szczeréj i głębokiéj wiary, ale w nim mało było ludzi Kordeckiemu podobnych. Nie celował on jako teolog uczony, i chętnie sam się nazywał nieukiem; ilekroć razy przecie najzawikłańszą kwestyą rozwiązać było potrzeba, szedł po słowo jéj do serca swego, a ta skarbnica chrześciańska zawsze mu je dostarczyła. Rozum jego, rzec można, słynął przez serce, przejęte bogobojaźnią, płonące jasno miłością Bożą. Nigdy żadna namiętność ziemska nie okopciła go nieczystym wyziewem, nie zeskwarzyła płomieniem. Dziecię pracowitych a ubogich rodziców, wcześnie duchem wstąpiwszy do zakonu, powołany do niego, jak apostołowie, od skiby zlanéj potém dziadów, z chatki, którą nawiedzał niedostatek, dobrowolnie wyrzekł się świata, nie żałując go wcale; wesół u portu, czując błogość całą swego stanu, szedł daléj z chrześciańską nadzieją szczęśliwego żywota po za wrotami krótkiego życia ziemskiego i śmiercią, któréj z uśmiechem wyglądał. Rodzice Kordeckiego byli to ubodzy wieśniacy z *Iwanowic* w Kaliskiem; wychował się wśród ludu, na roli, i wieśniaczą prostotę przyniósł na ofiarę Bogu. Z wiejską siłą i czystością od dzieciństwa Klemens na ręku pobożnéj matki wzdychał do ciszy klasztornéj, do zaparcia się siebie i poświęcenia Chrystusowi. Ale nie rychło ciężkie porzucił więzy i trzydziestoletni dopiero, zakonnikiem został. Wśród zgromadzenia, które między członkami swemi liczyło dzieci najznakomitszych rodzin szlacheckich, syn kmiecy rychło wygórował pobożnością i rozumem; bracia postawili go na czele. Przeorem w Oporowie i Pińczowie

naprzód, następnie na Jasnéj-Górze przełożonym został, teraz już powtórnie; a na świeczniku stojąc, jaśniał coraz gorętszym płomieniem cnót i zasługi.

Niezmordowany w pracy, nigdy się na nią nie poskarżył, nigdy na nią nie stęknął; biegł do niéj z radością, wracał szukając oczyma nowéj; sił mu Bóg dostarczał. Z młodszymi był starszym bratem, dla winnych pobłażającym ojcem, który przebacza żądając poprawy; z zatwardziałymi sędzią surowym, ale zawsze miłosiernym, byleby ujrzał promyk skruchy i łzę żalu; wszędzie i zawsze chrześciańskim kapłanem Boga, co światu miłość objawił.

* * *

Szlachta okoliczna zjeżdża się do klasztoru i między innemi tak radzi:

— A gdybyśmy i przysięgli Szwedowi, to co? Nie pierwsi my i nie ostatni.

Na te słowa płomieniem oburzenia oblała się twarz księdza Przeora, oczy jego zajaśniały i mignęła w nich błyskawica, powstał z krzesła, ale zmieniony, groźny jak prorok, jak natchniony. Wszyscy jak gdyby uczuli przewagę ducha w nim wprzód, niżeli usta otworzył, zamilkli, a silny głos księdza Kordeckiego zagrzmiał po obszernéj sali:

— Podda się cały kraj, zawołał; podda się, mówicie! Nie, nie! Bóg tego nie dopuści i nie cały wyprze się swojego pana, bo Częstochowa zostanie i wytrwa przy Janie Kazimierzu.

— Jak to? zdumiony podchwycił pan Paweł, gdyby Szwedzi nadeszli, co bardzo być może, bo już słychać o Wejhardzie, że się w tę stronę z Sadowskim puścić zamyśla; będziecie się więc bronić?

— Będziemy! odparł Przeor spokojnie; tak jest, z pomocą Bożą będziemy się bronić i obronimy się.

— Całéj sile szwedzkiéj? dodał Jackowski; wojsku, artyleryi, żołnierzom i wodzom starym i wytrwałym?

— Najlepszy żołnierz pan Bóg, kochany panie Stefanie, odpowiedział Przeor, nieco zniżając głos; w Nim ufając, z Nim idąc nie zlękniemy się potęgi Gustawa. Tak jest, jeśli mi Bóg życia dozwoli, ani świętego obrazu, ani uświęconéj Jego pobytem Jasnéj-Góry, nie oddam w ręce heretyków; zagrzebiemy się raczéj w jéj gruzach.....

Warszycki słuchał niewierząc uszom swoim, ze strachem jakimś, ze zdumieniem niepojętém, które się dobitnie wyryło na jego twarzy.

— Jakto? księże Przeorze, doprawdy? myślelibyście?

— Myślę tak i uczynię z pomocą Bożą, z opieką Maryi Panny, nie oddamy Szwedowi Częstochowy.

* * *

Trzeciego Listopada, przed chórem północnym, wszyscy zakonnicy zgromadzili się powołani przez Przeora, do wielkiéj sali zwanéj *Definitorium;* nikt z braci nie wiedział powodu wezwania; wszyscy jednak z posłuszeństwem zakonném pospieszyli w milczeniu i zasiedli miejsca swoje. Kilka lichtarzy z żółtemi woskowemi świecami stały w pośrodku na stole przed krzesłem przygotowaném dla przełożonego; naprzeciw na ścianie wisiał ogromny poczerniały krucyfiks, u którego stóp bielała głowa trupia i dwie na krzyż złożone kości. Nie było to dzieło snycerza, ale ze cmentarza wzięta czaszka zżółkła i dwa nadbutwiałe piszczele. Pod krzyżem w złocistych ramach czerniała twarz łagodna Najświętszéj Opiekunki klasztoru. Na prawo i lewo w ciemnych drewnianych ramach zawieszone ogromne płótna, okazywały wśród cieniów mało oświeconéj sali postacie świętych zakonników i królów, jak gdyby wyskakujące z zachmurzonego tła obrazów. Zdawali się oni należeć do tego zgromadzenia ojców, siedzących poważnie w stallach dębowych tak nieruchomie, jak posągi lub obrazy. Gdzieniegdzie zabłąkany promyk światła padał ukośnie na blade lica Paulina i otoczoną nimbusem twarz błogosławionego, zarówno je ożywiając. Cichość głęboka panowała jeszcze w wielkiéj sali, niekiedy tylko westchnienie, spadająca z różańca kościana paciórka, szmer cichéj modlitwy lub słowo z ust wymykające się, przerywały milczenie. Ojcowie powoli schodzili się jeszcze; starsi szli o kiju, prowadzeni przez professów, co raz to się otwarły drzwi, i który z zakonników wsunął się z hasłem zwyczajném po cichu wymówionem, zajmując miejsce oczekujące na niego.

Przeora i kilku starszych nie było jeszcze, a chwila oczekiwania ich zeszła na rozmyślaniu, którego ciężkie dumy widać było po zasępionych twarzach braci. Nareszcie drzwi się otworzyły i ksiądz Kordecki powolnym wszedł krokiem, zajął miejsce swoje, ukląkł przed krucyfiksem, rozpoczynając ze wszystkimi modlitwę do Ducha świętego.

Słychać było szmer upadających na ziemię kolan i cichy szept, jakby orzeźwiający deszcz wiosenny, zaszumiał po sali.

— Amen! powstali wszyscy; kiądz Augustyn Kordecki jeszcze chwilę z rękami złożonemi, z oczyma dźwigniętemi w niebo, choć usta miał zamknięte modlił się gorąco, duszą całą. Ojcowie oczekiwali by zszedł ku nim, w powadze, rozrzewnieniu niektórzy, poglądając na niego.

W tém podniósł się żywo, opromieniony, z pogodném czołem, uśmiechem słodkim, otwierając usta powitaniem zwyklém w zakonie i tak mówić zaczął:

— „Kochani bracia! wezwałem was na radę: bo sam nie mogę brać na barki moje wielkiéj odpowiedzialności w okolicznościach teraźniejszych, kraju i świętego gniazda tego się tyczących. Niema już wątpliwości, że Szwed, który zalał całą Polskę, i na naszą twierdzę Jasno-Górską się zbiera; nie wiemy tylko dnia i godziny. Nie pytam was bracia mili, czy miejsca tego, powierzonego naszéj straży od półtrzecia wieku, bronić będziemy od napaści heretyków, bo to jest obowiązkiem naszym, i wątpliwości żadnéj nie ulega; ale radbym zdania waszego zasięgnął o tém, czyli przystoi święty Obraz zostawić tutaj, lub ukryć go należy w bezpieczniejszém, nieznaném schronieniu. Bronić się musimy i będziemy do ostatniéj kropli krwi, winni będąc przelać ją tutaj za Boga naszego i wiarę, za wierność królowi poprzysiężoną. Ale któż wie? może Bóg nie pobłogosławi usiłowaniom naszym: może nie podołamy obronie; może śmierć nas spotkać, a wróg opanować lub zniszczyć Jasną-Górę; godziż się, by obraz wystawiony był, nie mówię, na jego razy, ale nawet urągliwy i szyderski wzrok? Mówcie więc bracia i radźmy w imię Boże. Naprzód wy ojcze Ignacy (Milecki).“

Ojciec Ignacy krzepki starzec z siwą włosów koroną, olbrzymiéj prawie postawy, pogodnéj twarzy, ale surowego wejrzenia, skłonił się przełożonemu, spojrzał po braciach, jakby się wymawiał, że pierwszy głos zabiera i tak mówił:

— „Bronić się heretykowi konieczna i piękna, umrzeć bodaj w obronie tego świętego miejsca, jak straży przystało, którą wódz postawił na ważném stanowisku, chlubnaby nam była. Podołamy walce, bo nas Bóg-człowiek Odkupiciel nie opuści, i Matka Najświętsza płaszczem łaski swéj osłoni. Nie znajdzie się tu pewnie nikt, ktoby radził poddanie sromotne. Prawda, że kraj cały pokląkł, jako obłąkani Izraelici przed cielcem złotym; ale komuż, jeśli nie nam, dać przykład wytrwania i dochowania przysięgi? Co się tyczy świętego obrazu, o ile umiem słabym umysłem radzić i wnioskować, skryćby go należało wprzód, niżeli wróg nadejdzie; skryć także srebra i drogocenne kościoła naczynia i ofiary, aby się niemi heretyk nie cieszył, jeśli Bóg na nas dopuści zniszczenie. Sami pozostaniemy świętego miejsca do ostatka żołnierzem wiernym i nie wzdrygniemy się boju.“

Przeciwko księdzu Mileckiemu oświadczył się ojciec Jan, wnosząc, by w razie obrony obraz pozostał w miejscu, dla zagrzania ducha i opieki; dowodząc, że kapłani i lud zarówno odważniéj bić się będą, widząc Orędowniczkę przy sobie i stojąc w jéj obronie. Trzéj czy czterej ojcowie z małą różnicą powtórzyli zdanie pierwszych i nie rozszerzali się wcale. Kolej przyszła na księdza Piotra Lassotę, a ten

z początku zaniemiał, lecz od Przeora przynaglony, jakby się obawiał powiedzieć, co myślał, nieśmiało głos podniósł:

— Nie spieszę — rzekł, z myślą moją, bo złą być może, a przecież winienem ją, choćby grzeszną i ułomną, wypowiedzieć, jaką jest we mnie. Przebaczcie mi więc ojcowie, jeśli waszego nie podzielam zdania, ani mi za złe bierzcie, że mam własne. Z wami razem, skoro taka wola będzie starszych, gotów jestem ochotnie walczyć i ginąć, z radością życie niosąc nikczemne na ofiarę Panu Bogu mojemu, ale sądzę, że nie mnicha jest rzeczą walczyć i krew przelewać. Nam w udziale dostała się modlitwa, rozmyślanie, rozmowa z Bogiem i pokuta; miecz nie powinien dotknąć rąk zakonnika, nieprzystoi mu zbroja, a morderca dwakroć grzeszy, gdy jest posłannikiem Boga, który mu nieprzyjaciołom przebaczać i drugi policzek nastawić rozkazał. I nie naszą to rzeczą, i nie naszych sił sprawa, obronić twierdzę Jasno-Górską od silnéj wprawnego i mocnego nieprzyjaciela napaści; winni będziemy krwi przelanéj, a cóż gdy się ona na nic nie przyda i tylko wroga rozjątrzy? Weźmijmy więc skarb nasz jedyny, obraz święty na ramiona; ubodzy, pieszo, z krzyżem w ręku wynijdźmy ztąd, zostawując skarby ludziom, co do nich przywiązują cenę, a sami schronimy się do Głogowa lub innego jakiego klasztoru na Szląsku.

Gdy to mówił ksiądz Lassota, (a mowa jego zdawała się jednać sobie chętne przyjęcie u niektórych braci), ksiądz Przeor powstał:

— Prosiłem rady; jako szczerą a z serca pochodzącą, przyjmuję ją wdzięcznie, rzekł, ale się na to zdanie wasze zgodzić nie mogę. Zakonnik w potrzebie walczyć i bronić świętości powinien, a nie poddawać się nieprzyjacielowi wiary. Mamy tego dowody w zakonach rycerskich, które *ore, corde et ense* pracowały na zbawienie swoje i ludów; mamy tego przykłady w piśmie świętém i w dziejach mężów, których orężowi błogosławiło niebo. Przysięgaliśmy wszyscy jako obywatele kraju naszego, na wierność królowi Janowi Kazimierzowi, niegodzi się nam łamać i lekceważyć przysięgi. Mamyż, gdy na nas oczy kraju całego są obrócone, gdy wszyscy wyglądają ztąd cudu, aby się nim pokrzepić, ustąpić ocalając życie, a zostawić miejsce święte, jako gniazdo próżne, na łożysko heretyckiéj gawiedzi, by je niezastygłe jeszcze, bluźnierczą mową i sromotnemi czyny splamili? Święty to obraz, święty stół, bracia moi, ale uświęcona nim przez wieki Jasno-Góra równie dla nas drogą być powinna. Tu walczyć, tu stać, i tu jeśli wola Boża, zginąć nam przystoi.

Ksiądz Piotr Lassota skłonił głową i nic nie odpowiedział, a dalsi ojcowie wotowali raczéj za Przeorem, niż za nim. Kilku tylko jeszcze, z innych powodów, przypominając słabość miejsca, niedostateczne środki obrony, radzili wytargować sobie jak najkorzystniejsze warunki u Karóla Gustawa, posłać wcześnie do Wirtemberga, do Horna, do przyjaznego dawniéj miejscu świętemu Wejharda i przewlekając poddanie, czekać dalszych wypadków.

Gdy głosy zebranemi zostały, okazało się, że znaczna większość była za ukryciem niezwłocznem obrazu świętego i za obroną do ostatka Jasnéj-Góry.

* * *

Na czwartek ksiądz Kordecki uroczyste zapowiedział nabożeństwo przed ołtarzem Najśw. Orędowniczki. Kościół i kaplica przedstawiały obraz dziwnéj piękności, godzien owych czasów. Myśl męczeństwa, jak jasna aureola, opromieniała głowy starców, dzieci, niewiast i żołnierzy pod sklepieniem kościelnem zgromadzonych. Gorące były modły wszystkich, jak zwykle w chwili niebezpieczeństwa; na większéj części twarzy osiadał przestrach chwilami i łzy z powiek wyciskał; jedni krzyżem leżeli, drudzy klęczeli w pokorze, inni jakby ust otworzyć nie mogli, siedzieli na ziemi z głowami spuszczonemi w osłupieniu i otrętwieniu, które chwilami przerywała krótka natchniona modlitwa. — Wśród ciszy wznosił się z chóru głos zakonników, śpiew chwały, i jak wstęga rozwijał splotami jasnemi w powietrzu; dzwony biły radośnie, muzyka brzmiała, kadzidła silnemi kłęby leciały pod sklepienia... a szmer modlitwy z westchnieniem zmieszanéj w przestankach śpiewu, szumiał jak las stary o wschodzie słońca. — W tém ksiądz Kordecki wszedł na kazalnicę, pomodlił się i odezwał słowami pisma świętego, „*melius est nos mori in bello, quam videre mala gentis nostrae et Sanctorum; sicut autem voluntas fuerit in coelo, sic fiat.*“ — Nie był to mówca owych czasów, napuszony i wyuczony, ale natchniony kapłan, którego wymowa płynęła z serca strumieniem wezbranym; to téż gdy zagrzawszy oziębłych, głos wznosił do Matki Najśw. z błagalną modlitwą, do krwawych ran Jéj Syna, wszechmocność Bożą, wielkość i potęgę Pana panów malując, schylone głowy dźwignęły się wszystkie i zabiły serca... Żołnierze uczuli się mężnymi przeciwko tysięcom, starcy odmłodnieli odwagą, siła klasztorna wydała się w oczach wszystkich olbrzymią, bo ją zwiększyły zastępy aniołów, i nadzieja napełniła dusze zwątpiałych. — Po mszy nastąpiły suplikacye, te wołania strapionych tak wymowne a tak proste, których najwyszukańsza nie zastąpi modlitwa; rozlegał się kościół po-

wtarzaniem: święty Boże, święty mocny! święty a nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami! — I ze wszystkiego nabożeństwa, to może najgoręcéj odśpiewane zostało. Kapłan wziął z ołtarza wystawiony Najśw. Sakrament, rozstąpił się lud, panowie Zamojski i Czarniecki ujęli celebrującego pod ręce i procesya poszła ku drzwiom kościelnym, a za nią falą potoczyli się wszyscy..... Tak w powolnym pochodzie ze śpiewem, wśród bicia dzwonów i odgłosu uroczystéj tłumu modlitwy, do koła murów obniesiono monstrancyę, zakreślając nią jakby czarowny pas, który miał bronić Częstochowy. Ilekroć zbliżali się do dział, które zimne jeszcze paszcze zwracały na pustą okolicę, do kupy broni, kul i bomb, stawali wszyscy, kapłan występował i święcił te narzędzia śmierci, w Imię Boga zastępów. — Piękny to był obrzęd i widok wspaniały, któremu słońce jesienne, wychylając się z za chmur, towarzyszyło promieniem jasności, z góry także zdając się błogosławić wierze téj garści ludu, co w ciasnych murach miała się bronić stokroć potężniejszemu nieprzyjacielowi. — Była to uroczystość jedyna, i równie z przemową Przeora podniosła ducha w oblężonych.

* * *

Jeszcze się nie skończył obchód, gdy nagle wszystek lud zastanowił się poglądając w stronę Częstochówki. — Wojsko szwedzkie zajmowało w tej chwili wioskę i poczynało rozsiewać się po wzgórzach, zapełniając jakby mrowiskiem ruchomém przed chwilą puste jeszcze drogi i pola. Na ten widok krzyk się wyrwał z piersi wszystkich, wszyscy poklękli, a Kordecki rozpoczął śpiewać: Przed oczy Twoje Panie! — Te pokutne wyrazy znalazły odgłos w sercach wszystkich; każdy uczuł, że ma co złożyć przed Bogiem i śpiewał gorąco przejęty.

Obrona wojenna Częstochowy powierzoną została miecznikowi Stefanowi Zamojskiemu i panu Piotrowi Czarnieckiemu. Szwedzi pod komendą jenerała Millera, hr. Wejharda i Sadowskiego, ciągnąc pod Częstochowę wszystkich używali sposobów, by klasztor do poddania skłonić. To napadem nocnym nastraszyć chcieli zakonników, t wśliznąć się do klasztoru, jako katolik obiecywał Wejhard, ofiarując się z swoim oddziałem na załogę dla świętego miejsca; to znowu nasyłali Polaków, mających wybić z głowy szaloną myśl obrony, ile że cały kraj już się poddał Karolowi Gustawowi a odstąpił Jana Kazimierza. Ale Kordecki ze swoimi wodzami, statecznie trwają w myśli bronienia miejsca świętego. Więc surową w klasztorze zaprowadzają karność, słabsze miejsca warowni wzmacniają, i układają się z wrogiem, a szalonemi wycieczkami go odurzają; jak np. p. Czarniecki w następującéj wycieczce nocnéj:

Mrok padał, ognie szwedzkie z daleka widne, znaczyły doskonale miejsca, w których się obóz rozłożył szwedzki. Tak byli nieopatrzni, tak pewni siebie, że jak skoro działa wieczorem spoczęły, rozkładać się, noclegować, pić i hulać, a potém usypiać poczęli, bez zwykłych w takich razach ubezpieczeń. Millerowi ani się śniło, by wystraszeni mnisi z garścią ludu napadać go mieli we własnym obozie! Tym-

czasem mała kupka odważnych, uzbrojona w żelazne pancerze, rusznice, hełmy, pałasze i kosy nawet, pod wodzą Czarnieckiego zbierała się już w podwórcu. Coraz to z głębi ciemności nocnéj wychodził orężny żołnierz i stawał, pomnażając liczbę ochotnika. Gromadka ta nie miała wcale pozoru żołnierzy dzisiejszych, dobranych i jednakowo ubranych; każdy odziany był i uzbrojony po swojemu, każdy przypasywał doświadczeńszy miecz pradziadowski, karabellę, co mu do ręki przypadała, którą był nawykł machać i płatać; wdziewał hełm wygodny, opasywał pierś pancerzem dobranym do niego. Na wielu z tych zbroi połyskiwały krzyże mosiężne, zwykła ozdoba XVII. wieku w Polsce i dziś jeszcze na wykopywanych widoczna: bo gdzie ten znak rdza wyjadła, cztéry po nim otwory zostały.

Inni mieli na szyi blachy z wizerunkami Matki Boskiéj, inni różańce pozawieszali na szyi, brzęczące na zbroi, lub z przodu i z tyłu wiszące szkaplerze z imieniem Maryi. Garść ta śmiałków, oświecona kilką pochodniami, dziwnie się malowniczo przedstawiała ze swą rozmaitością stroju, twarzy i zbroi. Czarniecki każdego z osobna przeglądał: ciężko zbrojnym ulżył nieco, rozkazał nieobciążać ładunkami i zbytkiem zawadnego oręża, szable pobrano pod pachy aby nie brzęczały, pozakasywano kontusze do kolan i już wszyscy byli w pogotowiu, gdy Kordecki nadszedł z krzyżem w ręku.

— Wszystko, — odezwał się, — poczynajmy od Boga. Pomódlmy się naprzód bracia, ucałujcie ten krzyż, za który walczycie! To mówiąc podniósł ręce i z natchnieniem począł modlitwę, którą skończył przeżegnaniem. Wszyscy potem od Czarnieckiego do ostatniego ciury, ucałowali znak zbawienia, a gdy maleńka fórtka ukryta otwierała się i wypuszczała w milczeniu idących mężnych obrońców Częstochowy, Przeor nad nią na murach ukląkł na kamieniu i w zachwycie jakimś, pozostał obcy wszystkiemu, co się w koło niego działo. Wśród ciszy wszyscy szli fossą do miejsca, w którem przez kontreskarpy wydobyć się z niéj mieli; i nim pan Czarniecki klasnął w dłonie, już żebraczka Konstancya pokazała się na przodzie z kijem w ręku, wiodąc wycieczkę i szepcąc — Zdrowaś Marya! Sam zresztą naczelnik nie spuszczając się na nią całkowicie, miarkował kierunek, aby obejść Szwedów.

Szli tak dobrze ćwierć godziny, gdy Konstancya rzuciła się na ziemię i zdawała chwytać coś pod nogami, wołając cicho o pomoc, wszyscy podbiegli ku niéj z przestrachem. Jakiś człowiek (było to jeszcze niedaleko murów) leżał na ziemi szamocąc się, ale mu żebraczka tak silnie ręką za-

tkała gębę, że krzyczeć nie mógł; natychmiast schwycono go, zakneblowano i związawszy rzucono w fossę do powrotu, a wycieczka poszła daléj.

Przestrach chwilowy zmienił się w niecierpliwe pragnienie walki; Janusz Węgrzyn nadewszystko przodkował, jakby chciał mierzyć się ze śmiercią, jakby jéj szukał i pragnął.

Na lewo już pomijali Szwedów; chętka brała spróbować mając ich pod ręką, ale Czarniecki ciągnął daléj, i dopiero tył im wziąwszy, miał rozpocząć utarczkę. Ten czas powolnego i ostrożnego przejścia wśród ciemności wydał się wielkiem ludziom słabszego serca, co niepewności więcéj bali się niż nieprzyjaciela. Nie dawano znaku do boju; lecz coraz a coraz zwracano na lewo powolnie i widać było, że minąwszy część śpiących po namiotach i szałasach Szwedów, wkrótce uderzyć miano.

W obozie było cicho i bezpiecznie, nigdzie czat, nigdzie posunionéj straży; żołnierz opiły wylęgał się na mokréj ziemi, na garści słomy, osłaniając od wilżącego deszczu. Nagle żebraczka im znikła z oczów, a Czarniecki wyjął szablę z pochew; błysła w powietrzu z krzykiem:

— *Jezus, Marya, Józef!*

Z tém hasłem śmierci w ustach mężni żołnierze rzucili się na bliższych żołdaków, o których się prawie oparli...

Kilkadziesiąt strzałów razem zagrzmiało w powietrzu. Nic nie potrafi odmalować obrazu, jaki przedstawiła część obozu szwedzkiego, schwycona tak niespodzianie. Ludzie porywali się ze snu, sami niewiedząc, co się stało, nieumiejąc rozpoznać dokąd uciekać mieli, i wprost na strzały Czarnieckiego się kierując.

Janusz z jedną szablą już krwawą i ociekłą, rznął się w obóz nieprzyjacielski jak szalony; straciwszy nakrycie głowy, opętany bojem, nie syty zabójstwa, gnał w prawo i w lewo rozpierzchłych Szwedów, tego po łbie, tego po krzyżach, innego po ręku płatając. Wpadał do namiotów i mordował uśpionych, deptał nogami, rozbijał piersią powstających.

Popłoch rozchodził się w całéj téj części obozu, którą objęli Jasnogórcy; przytykała ona do namiotu Millera i lud się coraz szerzéj rozbudzać zaczął do koła, tak, że wycieczka znalazła się wkrótce wśród przeważnéj zewsząd siły szwedzkiéj, jak w wieńcu męczeńskim. Ale z nią była przytomność i męztwo; tu niespodziana napaść siała postrach, a napad nie od strony klasztoru, ale ze środka samego obozu, zdawał jakąś obcą odsieczą... Gdzieniegdzie wśród krzyków, wśród wrzawy, ozwał się bęben krótko i rozbity ucichł, owdzie piszczałka i trąba zaczęły zwoływać i umilkły.

A za panem Piotrem jak rzeka leżeli trupem posłani Szwedzi; on szybko, żywo, rznął się przez nich ku klasztorowi. W drodze napadli na dwa działa i natychmiast je zagwoździli. Tuż przy maleńkiéj bateryi był namiot pułkownika *de Fossis*, który z wieczora nadowodziwszy u Wejharda o nicości człowieka i przesądach ludzi obiecujących im inne życie, legł spać z uśmiechem zadowolnienia. Janusz wpadł do jego namiotu i miecz w piersi bezbożnéj utopił; oczy tylko otwarły się straszliwie, głowa podźwignęła się konwulsyjnie, ręce zadrgały jakby miecza szukały, i nieszczęśliwy upadł wiecznym snem do ziemi przykuty.

Janusz szedł daléj a daléj, rzucał się w strony i niepamiętny kierunku, ani trzymając się kupy, pojedyńczo na swoją rękę, rzeź sobie sprawił. Długo mu się to udawało, aż Szwed wpół nagi zaskoczył go i wzięli się za barki szamotać. Jak dwa wilki wściekle żarli się z sobą, zębami, nogami, rękoma; w tém wystrzał z boku obu ich na ziemię powalił, poskoczyli Czarnieckiego ludzie chcąc ratować Węgrzyna, ale już ducha wyzionął i ręką tylko wskazał na klasztór.

Wycieczka biegła coraz żywiéj do foss i fórty, bo za nią rozbudzony obóz cały, ruszał się, kupił, opamiętywał i gonił. Miller ze snu się porwawszy, skoczył na konia z Hornem i ufny w swoją siłę, poznawszy że to robota klasztorna, pędził za wycieczką. Zatrzymał go namiot pułkownika de Fossis, którego chciał zbudzić by działa na śmiałków wymierzono; — de Fossis leżał we krwi swéj się brocząc. General za głowę się pochwycił.

— Ognia, ognia! krzyczał; ale dwa działa, które szkodzić mogły uciekającym, zagwożdżone były śmiertelnie. Horn, który jak Miller niecierpliwił się i oburzał tém zuchwalstwem garści ludu, puścił się konno naprzód, pomimo ciemności i zawałów, i z podniesioną szablą mierząc na wodza, gdy któryś z ostatnich i już minionych Polaków przyskoczył i ciął go silnie kosą w piersi. Horn zachwiał się, chwycił szablę oburącz, i upadł z koniem razem, postrzelonym jednocześnie.

Miller nadbiegł gdy już leżał na ziemi i zatrzymał się wściekły, niemogąc rzec słowa, drżący od gniewu, zdumienia i jakiegoś panicznego strachu, który uczuł, widząc ulubieńca silnie rannego. Krzyknął dając rozkaz ścigania, i rozporządziwszy ratunek dla Horna, sam spiesznie zawrócił się ku namiotowi. Już też co żyło zerwało się ze snu i biegło chwytając muszkiety; bębny biły larum, trąby grały, ognie się zapalały, a nasi śmiałkowie ku twierdzy przerzynając się coraz żywszym spieszyli krokiem...

Czarnieccyzcy jako hasło powtarzali zbierając się — Jezus, Marya, Józef — i z tym okrzykiem zwycięzkim dobili się do murów twierdzy, spuścili w fossę i fórtka się otworzyła, i wszyscy prawie, co się byli puścili na tę niebezpieczną wycieczkę, wrócili nazad cali i zagrzani na duchu, jakby ognistą kąpielą nabrawszy sił nowych.

Kordecki klęczał i modlił się jeszcze. Całując kraj jego szaty Czarniecki, który z wzruszenia i zapału nic powiedzieć nie mógł, obudził Przeora z tego pobożnego zachwycenia.

— Otóż macie nas nazad, rzekł, i szczęśliwie...

— A! Bogu niech będą dzięki... lecz ofiary?... kto zginął?

— Jednegośmy tylko podobno stracili — biedaka Węgrzyna.

— Biedaczysko! Bóg mu oznajmił zgon przeczuciem; módlmy się za jego duszę...

W tém nadbiegł Zamojski.

— A co! zapytał gorąco.

— Wszystko dobrze, jak z masłem poszło — Popatrzcie no na Szwedów, cośmy im za sztukę spłatali, kręcą się jak w ukropie.

W istocie widok obozu z murów przedstawiał jakby mrowisko, w które padnie gałąź drzewa. — Migały wszędzie drobne ognie i wśród ciemności poruszały się żywo w różnych kierunkach ku podnożu góry; znać Szwedzi niewiedząc dobrze co to było z nimi, obawiając się jeszcze, ze stanowisk bliższych na dalsze i niższe się cofali: stawili czaty i rozpalali ogniska; lud biegał, ruszał się i szumiał.

* * *

Ale nie wszyscy tego byli ducha, co Kordecki i wodzowie jego Zamojski z Czarnieckim. W krytycznem położeniu warowni strach coraz bardziéj ogarniać zaczął umysły słabsze.

— Za pozwoleniem Waszéj Przewielebności, to więc widzę, że o zdaniu się niema mowy?

— Jakto, o zdaniu — spytał Przeor?

— Bo jest nas tu wielu, — kończył trochę ośmielony Płaza, — cośmy téj myśli, że inaczéj nie będzie, tylko potrzeba zdać się Szwedowi i łaski jego prosić. Co tu już darmo bronić, czego obronić niepodobna! Nieszczęście! król nas opuścił, uciekli wszyscy, Chan nawet rewokował traktaty; nie wojować nam z losem, lepiéj prosić o warunki dogodne i spełnić wolę Bożą...

Zapłomieniła się oburzeniem twarz Kordeckiego i powstał jak stary rzymski senator z kurulskiego krzesła, jak kapłan

prorok, aż do koła rozstąpił się przed nim lud wszystek, gdyby popchnięty niewidzialną siłą; — wzniósł ręce do nieba, oczy ku niebu i zawołał przejęty:

— „I wy to synowie tych ojców co w boju zrodzili się, zrośli, pomarli, co nigdy nie wątpili o zwycięztwie, co nie ulękli sie niczego, wy potomkowie niezwalczonych, których Tatarowie i Niemcy niepożyli: wy mówicie dziś o poddaniu i poniżeniu przed nieprzyjacielem? — Takżeśmy to już upadli? — To zwątpienie, ten postrach nikczemny, który śmiecie wyrzec już głośno, gubił nas i gubi! I nie wstyd wam nie mieć odwagi na śmierć chrześciańską, a kochać nędzne życie, nad ziemię swą, króla, swoją cześć i sławę! I nie wstyd wam drżeć jawnie i mówić o strachu?

Widzę! widzę! — kończył uniesiony, — ten postrach dzisiejszy, jak zepsuta krwi kropla popłynie i w przyszłe pokolenia. Złękniemy się, gdy odwagi tylko będzie potrzeba; niezgody i kłótnie miotać nami będą: będziemy się chlubić naddziadami, nie mogąc sobą — i owszem pogardzeni — w barłogu Łazarze. Małoż jeszcze mieliście cudów, że o cudach wątpicie? Nie obroniłaż was już Matka Boska, nie opieramy się stokroć większemu, silniejszemu wrogowi, my garść starców bezsilnych? Trzebaż by wam muchy dawali przykład wytrwania i wiary?

Płaza cofnął się i pobladł, jak piorunem rażony, ale odzyskując fantazyą i siłę szepnął:

— To proszęż nas wypuścić...

Ale go wnet zahukano tak, że słowo jego nie doszło nawet uszu Kordeckiego, a pan Czarniecki zaraz mu na kark wsiadł:

Co to, Waćpan oszalał? zakrzyczał; kto Waćpanu dał prawo mówić, w czyjem to imieniu androny prawisz? I Waćpan nie spalisz się, to mówiąc?

— Ale bo — ale bo — bąkał Płaza, Szwed tak silny.

— Wypuścim Waści do Szweda po oblężeniu, jeśli się podoba, — kończył Czarniecki; — smakuje ci Szwed że silny, pokłońże się i diabłu, bo silniejszy jeszcze od niego!

Ciż sami co przed chwilą pana Płazę popychali i do odezwania skłonili, teraz odstąpili go. Obejrzał się, chciał by go kto poparł, nie było za nim nikogo; skonfudowany, wlazł w kątek. Przeor tak mówił daléj:

— Wiary, wiary! wołam i wołać nie przestanę — zgody i wiary daj nam Panie! To słowa wielkie, w nich oręż potężny. Módlmy się o nie, pracujmy na nie, uczmy dzieci w kolebce tych dwu słów tajemniczych: *zgody i wiary, wiary i zgody!* Nie opuści Bóg, jeno zwątpiałych i zwaśnionych! Bo rozpacz i swary są znakiem, że w nas Duch

Boży nie mieszka. Dopóty Bóg z nami — póki wiary, póki zgody!

A pan Zamojski dodał:

— Wszyscyśmy tu przyszli nie po co, tylko by życie położyć w ofierze dla czci Maryi i dać dowód, że nie cały jeszcze kraj zwątpił i ręce po więzy szwedzkie wyciąga. Więc ofiary téj raz uczynionéj nie cofajmy z ołtarza. Życie nasze, jeśli się Bogu podoba, niech idzie na pomnożenie chwały Jego, a zażąda i kraj odemnie wyrostka tego, jedynego mojego dziecięcia, oddam mu go, — rzekł wskazując na syna, — i idącego na śmierć poczciwą, pobłogosławię. Pan Czarniecki rzucił się ku miecznikowi.

— Kochany panie Stefanie, krzyknął, mówisz złotem, i zaraz na mury, w imię Matki Boskiéj!

Szwedzi poznali się na wrzekomych układach jasno-górskich.

Miller się zadumał odebrawszy ostatnią odpowiedź.

— Ot przeczytajcie sami, — rzekł, co piszą... że im ich załoga wystarcza, a nowéj niepotrzebują, jakbym ja ich pytał, jak im lepiéj? krętacze! A dodatek miły, dołożył kwaśno się uśmiechając wódz: że naszego wyznania ludzi, a nawet katolików co służyli przeciwko Jasnéj-Górze, wpuścić do niéj nie mogą. Wykręt papistów, zasłaniają się świętością, ale dość już tego błazeństwa, dość, jutro więc szturm do klasztoru. . . .

To mówiąc powstał i wydano natychmiast rozkazy rozpoczęcia kroków zaczepnych na jutro, nie wysyłając już żadnéj do klasztoru na list odpowiedzi. Miller wargę podgryzł, wąsa zakąsił, siadł na koń, wołać kazał puszkarzy, rozdać ładunki i zebrawszy radę wojenną, o świcie uderzyć.

* * *

Działa grzmieć poczynały. Szwedzi nie dając poznać, że wielkie dwudziestocztérofuntowe kartauny i kolubryny nadeszły im z Krakowa, powolnie strzelali do klasztoru. Ustawiali je tak, aby z Jasnéj-Góry widać ich nie było, chcąc potém nagle paszczami tych strasznych pomocników gwałtowny ogień rozpocząć. Wszystkie teraz nadzieje Millera były na tych działach i Wejhard podtrzymywał je znowu, kręcąc się koło generała, potakując jego marzeniom, ręcząc że za pierwszym wystrzałem poddadzą się zakonnicy. Miller milczał wzgardliwie. Naprózno usiłował go sobie znowu pozyskać niezwykłą gorliwością Wrzeszczewic; kręcił się, zabiegał, pracował; generał to obojętnie przyjmował, przypisując mu zawsze swoje strapienia i zawody.

Nie rychło wielkie owe spiże ustawić potrafiono; wzięło to całe dwa dni czasu, choć dniem i nocą pracowano. Zasłaniając tymczasem robotę, z mniejszych puszczano kule ze sznurami i szmatami smolnemi dla zapalenia dachów, ale straż i woda stały na nich ciągle; ledwie się płomyk ukazał, wnet go zalano.

Przysposobiono co chyżéj baterje z koszów, a nawet z worków wełną nabitych, dla wielkich dział krakowskich. Cóż gdy i tu Millera wściekłość porywała: bo rachując na zasoby jego Wittemberg nie przysłał mu prochów, a działa wielkie tyle ich brały, że zapas generała nie na długo mógł wystarczyć. Cała nadzieja była w tém, że po jednym dniu szturmu, albo się oblężeni zdadzą, albo się wyłom zrobi.

Kordecki ze starszyzną Jasnogórską, wiedział już o nadciągających kartaunach, ale nie miał potrzeby głosić o nich załodze, by ją niemi więcéj ustraszać. Naradziwszy się więc po cichu, rozkazawszy co słabsze miejsca przygotować na wypadek wyłomu, aby natychmiast mógł być zarzucony, czekał spokojnie woli Bożéj.

Ale przez dwa dni milczeli owi zastraszający przybysze; ustawiono je, sposobiono im łoża, sypano baterje, zwożono prochy i kule, urządzano dylowanie, a że umarzłéj ziemi nie łatwo było ruszyć, szła robota opornie.

Tymczasem smolne wieńce, kagańce, kule ogniste leciały na klasztor, aby zakryć przed zakonnikami gotującą się na nich niespodzianą napaść, stokroć od wszystkich poprzednich niebezpieczniejszą.

W klasztorze spokój i pilność. W sobotę rano wszyscy byli na jutrzni, gdy potężnym głosem ryknęły kolubry ustawione już przeciw murom kościelnym.

Kordecki był w chórze, zadrgnęło mu serce słysząc ten huk straszliwy, ale nie z bojaźni; — trwożył się o męztwo swoich towarzyszów, pewien będąc, że sam łaską Bożą wsparty, wytrzyma.

Czarniecki pierwszy, za nim Zamojski wpadli na mur. A tu już załoga przerażona stała zlękła, jakby ostatnią godzinę wybiły jéj działa. Po trzy kartauny nieustannie zionęły ogień i kule od strony północy i południa. Pan Piotr, któremu odgłos ten dodawał serca, Zamojski co się mógł podwajać czynnością, rozdzielili się przewodnicząc ludowi do zagrożonych ścian. Widok dwóch mężnych wodzów, nie tracących odwagi, zawstydził, rozochocił; każdy chciał dowieść, że niebezpieczeństwem gardzi.

„Kto żyw na mury! kto żyw na mury!“ — rozlegało się wszędzie.

I dzieci, kobiety, niedołęgi, biegli niosąc kamienie, zie-

mię, belki na zabijanie wyłomów w kortynie; wyrostki zbierali upadłe szwedzkie pociski, i dziwiąc się ich ogromowi, oddawali puszkarzom.

Zamojski posłał po syna.

Matka go żegnała, tuląc a błogosławiąc jedyne dziecko; ale stary wojak zażądał mieć go u swego boku, i młodzian przyszedł ochotnie.

Nikt z nas od poświęcenia życia nie wolny, — rzekł mu ojciec, — dajmy przykład... stój Stefanie na murach i służ jak możesz.

Za dzieckiem i matka przybiegła. Z podziwieniem ujrzeli wszyscy dostojną matronę, stojącą u boku męża i syna. Nie pierwszy to był przykład podobny, ale łzy z oczu wycisnął, gdy poważna matka, jęła w jedwabnéj swéj sukni razem z ludem nosić z podwórców kamienie i ziemię.

Obejrzał się Zamojski, łza zakręciła się w oku, w sercu podwoił się zapał...

Dzwony biły, muzyka śpiewała,... widok bohaterskiéj garści był cudowny.

Ten lud pobożném uniesiony uczuciem i zagrzany odwagą nieludzką, ci mężowie pomięszani z kmieciem w obronie wspólnéj świętości; a obok w kaplicy, w przestankach gromów, rozlegający się donośnie śpiew nieustraszonych mnichów i modły bezsilnych... Najbojaźliwsi nawet nabierali serca i palili się w tém ognisku. Czarniecki wołał:

— Czemuż i ja nie mam tu syna, czemuż nie mam z sobą żony, i oniby dali taki przykład jak Zamojscy! Ten człowiek we wszystkiem mnie prześciga!

Kordecki się modlił, zdał swą władzę na dwóch dowódzców, leżał krzyżem.., To także był bój, ściągał pomoc z niebios!

Po mszy, po Loretańskiéj litanii, wystawiono Przenajświętszy Sakrament, i „Święty Boże“, rozległo się szeroko jękiem błagalnym.

Przeor zbliżył się do ółtarza, ujął w ręce złocistą Zygmuntowską monstrancyą, i szedł za kościół. — On z Panem Panów, z Bogiem do koła twierdzy przechodzi, wojując chórami aniołów, które mu towarzyszyły! Z za dymów ujrzeli Szwedzi krzyż złocisty i chorągwie, i księży białym pasem idących za murami.

Kordecki ze łzą w oku, z Bogiem na sercu, jak męczennik idący na stracenie za wiarę, powolnie postępował wśród dział grzmotu... Za nim nieliczni towarzysze, bo reszta była na murach i przy działach, szli równie podniesieni duchem jak on. Niebezpieczeństwo ich upajało... Wszędzie po drodze processyi padali na twarz przed Bogiem obrońcy klasztoru... Kordecki błogosławił.

Kule wzlatywały nad jego opromienioną głową: a gdy się zbliżył ku ścianie południowéj, ogromne złomy murów, cegieł i gruzu, poczęły się sypać na processyą. Nie zastanowił się Kordecki; czuł on, że idzie z Wszechmocnym i wśród rumowisk, wśród strzałów, przeciągnął spokojnie i cało...

Żadnego z ludzi ani padające do koła cegły, ani kule, ani murów obłamy nie zadrasnęły nawet.

Obszedłszy do koła, Przeor i jego towarzysze wrócili do kościoła, gdzie wystawiono Przenajświętszy Sakrament, aby Bóg nieustanną błagany modlitwą, zlitował się nad niemi.

Oprócz czuwających tu kilku starców, wszyscy zresztą wyszli do dział, do baszt, na kurtyny.

Sam Przeor chcąc rękoma służyć i być przykładem, począł znosić w połach habitu kamienie i ziemię nakopaną.

— Ojcze Przeorze, — zawołał ujrzawszy to Zamojski — do czego to czynicie? obejdziemy się bez was, lepsza nam modlitwa wasza...

— Modlitwa modlitwą, a praca pracą, — odpowiedział powolnie Kordecki. — Niech i moje słabe ręce na coś się przydadzą, znają się one z robotą od dzieciństwa, bo nie próżnowały.

I z cicha westchnął, musiał młodość wspomnieć.

Starszyzna niespokojnie oglądała się na strony; mury pękały w wielu miejscach, kule coraz lepiéj kierowane, tu i owdzie więzły w ścianach, rozbijały długie okna, wyszczerbiały szczyty: każdy krzyk zwracał oczy, oznajmując jakąś stratę.

Między dwoma mocnemi basztami, kurtyna, na którą całą swą siłę wywarli Szwedzi, choć od wierzchu nadtłuczona, od spodu jednak wytrzymała; łatano ją worami ziemi, drzewem, gruzem i co się znalazło pod ręką.

Trzech tylko ludzi stracili oblężeni, kilka koni w stajniach zabiły kule, dwa koła armatnie zdruzgotano od północy.

Po tym pierwszym wybuchu, który trwał do południa, trąbka zwykła parlamentarzy, zagrała u bram, Kordecki wystąpił na galeryą.

— Chcecie się poddać? — zapytał trębacz szwedzki, — Chcecie się poddać?

— Musimy się namyślić do jutra, — odparł Przeor, — dajcie nam czasu do rana.

Trębacz odjechał z odpowiedzią. Miller zwiedziony już raz, bo poddania pragnął, myślał, że mu się upokorzą.

— A cóż? spytał swego posła.

— Proszą o czas do jutra.

— Chcą swojéj zguby! — zakrzyczał, — więc „ognia! ognia!“

Po wszystkich bateryach znowu rozlegał się ten rozkaz zniszczenia i śmierci. Stanęli u dział puszkarze, poczęły lecieć kule.

Przeor stał z Zamojskim w miejscu, gdzie się najbardziéj obawiano wyłomu, od północnéj strony; kierowali wytrwale działami twierdzy, odpowiadającemi powolnie na wysilony ogień Millera.

Z murów klasztornych widać było przybycie powtórne olkuskich górników i domyśleć się było łatwo rozpoczęcia miny: Kaliński téż zapowiedział wysadzenie w powietrze, i cały znów klasztór nowy miał powód przestrachu. Szlachta jednak iść już sama do Przeora nie śmiała; lament jéj wszakże ciągle było słychać. Lada huk wszystkim się zdało, że lecą w powietrze. Niektórzy od północnéj strony powynosili się ku kościołowi i bramie, nocy nie dosypiali, a dnie spędzali, włócząc się jak obłąkani po najdalszych podwórzach.

Miller nasyłał jeszcze ciurów z polskiego obozu, żeby załodze w uszy krzyczeli podchodząc pod mury: Jeśli się nie poddacie do dwóch dni, klasztór z wami poleci w powietrze.

Była narada jak dodać odwagi i uspokoić biédnych, ale Kordecki innego nie znalazł środka, nad swój zwyczajny — wiary i zgody!! Zamojski, któremu laury pana Czarnieckiego nie dawały spoczynku, enigmatycznie się tylko odzywał:

— Poradzi się na to jutro!

— Jak? — pytał niespokojny pan Piotr.

— Pozwólcie niech to do jutra przy mnie zostanie, i spuśćcie się na mnie...

Przeor zezwolił, Czarniecki kwaśno przyjął tajemnicę, ale cóż było robić z upartym Miecznikiem; pokręcił wąsa i westchnął.

Tymczasem od rana dnia następującego, Kordecki nie mógł się pokazać w podwórzu, żeby go nie otaczali z błaganiem, prośbami, łzami. Łatwo mu było odepchnąć szlachtę dumnie przemawiającą do niego, ale co poradzić z płaczącemi? O brzasku wyszedłszy z *Janitorium*, zastał już zgromadzone umyślnie wszystkie kobiety, a na ich czele panią Jaroszewską z małym synkiem na ręku. Napad ten niewieści widocznie go zmięszał, a tu już kołem opasały go żony, córki i powinowate szlachty zgromadzonéj w twierdzy.

— „Ojcze Przeorze, nie gub nas i dzieci naszych! Szwed miny podsadza — zginiemy wszyscy!“

Płacz rozległ się po podwórzu.

Stanął Kordecki jakby czyjéj pomocy wzywał.

— Moje dzieci — rzekł do pani Jaroszewskiéj, — czy słyszeliście kiedy, żeby nieprzyjaciel mocny, gdy ma co począć, wprzód tém straszył? Sami to pomiarkować możecie, że właśnie dla tego, iż nas Szwed minami straszy, widać podsadzić ich nie może. Stwardnieje mu opoka za łaską Orędowniczki naszéj, opadną ręce, odejdzie ze wstydem. Nie trwóżcie się, nie płaczcie, nie obawiajcie! Więcéj męztwa matkom i córkom polskim mieć należy, więcéj odwagi pod płaszczem Częstochowskiéj N. Panny.

— „Zginiemy! — zginiemy!“ — jęczały wszystkie.

— Myślicie, że poddać się bezpieczniéj? mówił Kordecki, — spytajcie tych, co Szwedom zawierzyli. Ani o siebie, ani o dziatki spokojne byście być nie mogły, ani o mienie wasze, ani o mężów; dziękujcie Bogu, że wam dał schronienie, módlcie się a do spraw naszych się nie mięszajcie, proszę, zostawcie nam ten kłopot.

To mówiąc Przeor uszedł szybko i rzucił kobiety w lamentach i niepokojach, a szlachtę, co za murem stała i czekała odpowiedzi, w zamięszaniu. Wszyscy się powoli rozeszli narzekając.

W klasztorze widocznie coś tajemniczo się przygotowywało. Pan Czarniecki bardzo niespokojny oglądał się, przewąchiwał, zrozumieć nie mógł: bo o niczém nie wiedział; a tu ludzie biegali, przyrządzali broń, czyścili zbroje, szeptali między sobą.

— Co to u licha? mówił do siebie, — czy już i mnie wyłączają nieufni? Coś się gotuje. — Zobaczymy przecie... a bezemnie! bezemnie!

Zamojski przeciwnie czegoś niesłychanie wesół, z twarzą jasną jak słońce biegał i zwijał się cały ranek, odziany, opięty pancerzem, w czepcu od hełmu, w drócianéj koszuli. Schwycił go przecie na drodze oburącz pan Czarniecki, bo już dłużéj wytrzymać nie mógł.

— Panie Mieczniku — rzekł, dość już tego; wczoraj coś mi cedziłeś przez zęby o dniu dzisiejszym, dziś widzę jakieś aparaty do czegoś i nic nie wiem. Pókiż to tego będzie? Czy już i mnie nie wierzycie, a to się pogniewamy doprawdy. Co u licha?

— Kochany panie Pietrze, — odpowiedział uśmiechając się Zamojski — wszystko byście chcieli zrobić sami; dozwólcież i mnie coś obmyślić i począć, mnie się także chce pokazać, że ja tu nie darmo jem chleb Częstochowski.

— O! a ja to będę stał z założonemi rękami, przecież bym się na coś może zdał.

— Chcecie żebym wam powiedział, taić nie myślę; — ale z góry powiadam, że wy musicie w twierdzy pozostać!

— O! a wy to się kędyś wynosicie! — patrzajcie!

— Ja robię wycieczkę.

— Jako? — o białym dniu?

— O dniu białym — tryumfując nieco rzekł Zamojski i podnosząc głowę wysoko, jakby mówił. — A co? widzisz Waszeć com zacz!

Czarniecki widocznie pochmurniał, głową potrząsł, wąsa pomiętosił.

— I ksiądz Przeor wie o tém?

— Dotąd nie, myślę że byłby przeciwny; — dobrałem sobie odważnych ludzi kupkę, i z południa myślę wyskoczyć.

— Tak! powtórzył kilka razy Czarniecki — i bezemnie!

— Przypomnijcie no sobie, czemuście mnie także z sobą nie wzięli. — Mogę zginąć, na was cała obrona klasztoru, niepodobna żebyśmy szli oba. Bądźcież sprawiedliwi, wy swoje już zrobiliście, niechże i ja skosztuję szwedzkiego mięsa.

— Tak! tak! ani słowa! niechętnie mruczał pan Piotr. — Ślicznie obmyślano! są racye, ale ekskludować mnie od téj uczty, panie Mieczniku, nie po kawalersku! nie!

Pomimo, że Czarniecki był chmurny, uściskali się jednak.

— Daruj panie Pietrze, nie gniewaj się — mówił Zamojski. Wy to najlepiéj wiecie, co to za męka siedzieć tak, patrzeć na Szweda, a nie ruszać się; wy swoje zrobiliście.

— Ba! kiedyto to było — zawołał Czarniecki — a w dodatku robiłem wycieczkę po nocy; wykradliśmy się jak złodzieje! A ty po dniu! Aj! aj Mieczniku! diabelskiego spłatałeś mi figla, a ja głupi żem się nie domyślił. Ale stało się.

Zamojski zacierał ręce i śmiał się ochoczo, a taki był rad, że drżał jak dziecię, któremu nową pan rodzic przywiezie zabawkę. Za to pan Piotr chodził zasępiony i urażony, choć się z resentymentem ukrywał jak mógł.

Nadszedł Przeor i bystrym okiem zmierzył obu.

— Co to panie Pietrze tak koso poglądacie mi coś; a pan Miecznik czegoś się śmieje.

— Wielka rzecz! — bankiet sobie wyprawia i nie lada! Cała moja nadzieja, że mu to ksiądz Przeor wybije z głowy.

— No! cóż to takiego?

— Popytajcie no, co zamyśla?

Zamojski już sam podstąpił do Kordeckiego.

— Ot figielkam spłatał panu Czarnieckiemu; jemuby się chciało wszystko samemu pomyślić i zrobić, a tu coś się uplotło bez niego, kwaśno tedy przyjął. Ale na rany Chrystusowe! nie trzeba być tak zazdrosnym!

— Ależ ja o niczém nie wiem, spytał Przeor niespokojny?

— Cała rzecz, (dłużéj się z tém taić niema czego) dziś z południa robię wycieczkę; ludzie gotowi, obmyślano wszystko; wpadniemy jak piorun na zajętych około miny, dopadniemy może dział, żeby je zagwoździć, jak pan Czarniecki; co się nawinie nasieczem i powrócimy.

Kordecki stanął zdziwiony tą myślą tak śmiałą, a Czarniecki ciągle powtarzał z cicha:

— Licho go nie wzięło! po dniu, po dniu!

— Ale to niebezpieczeństwo wielkie, Waćpan zginąć możesz i ludzi potracić — zawołał Przeor.

— Naprożnobyście mnie od tego odwodzili, rzecz gotowa, obrachowana i stanie się jak mówię.

Szwedzi nie spodziewają się wcale — zobaczycie, że się uda; pójdzie jak z płatka.

— Ej, panie Mieczniku, zastanówcie się.

— Zastanawiałem się, i zrobię.

— A w dodatku! odezwał się pan Piotr, i mnie z sobą brać nie chcą!

— Nużbyśmy oba zginęli lub w niewolę byli wzięci, któżby został do pomocy ks. Przeorowi?

— Obu nie puszczę! — przerwał stanowczo Kordecki. — To daremna rzecz!... dość i jednego narazić! Ale zlituj się Mieczniku, miarkuj.....

— Wymiarkowane...

— A nuż Szwedzi?

— Proszę mi serca nie odbierać — przerwał Zamojski — żebym téż i ja wycieczki nie zrobił! Dość siedziałem za piecem.

Przeor podniósł oczy, westchnął i z rozczuleniem uścisnął Zamojskiego.

— Niechże cię Bóg prowadzi, kiedy natchnął — odezwał się. — Czemuż Polska niema więcéj takich synów! Zdaliby się na te czasy zwątpienia i obojętności! Niestety! wyście tylko wyjątkami! Zamojski przerwał rozczulenie i wykrzyknik.

— „Panie Pietrze, wy działa wykierujcie dobrze zawczasu, a jeśliby się za nami pogoń puściła, przyjmijcie ją gościnnie, nie żałujcie prochu.

— To się rozumie, — odpowiedział Czarniecki — ale wam tak i darować nie mogę, że mnie z sobą wziąść nie chcecie!

— Panie Pietrze sam widzisz, że to niepodobna. Mówili jeszcze, a pan Zamojski w cichości lud swój zbierał, oglądał, rozkazy dawał, krzątał się. Nic wiedzący o niczém ślachta patrzali z podziwieniem, nie mogąc pojąć, na co się to przysposobia.

* * *

Około południa, fórtą od strony wschodniéj dobrze w fosie ukrytą i kamieniami zawaloną, wyprowadzono naprzód przeszło stu piechoty, różnego ochotnika do przekopu. Zamojski czekał, żeby Szwedzi obiadować siedli i nieco się od murów oddalili za baterje swoje.

Gdy się to stało, bo nic nie domyślając się zwolniwszy ognia, który żywy dla niedostatku prochu i długo utrzymywany być nie mógł, rajtary i piechota cofnęli się do obozu. Nastąpiła zwykła chwila spoczynku.

Zamojski wziąwszy na siebie świętości, zstępował ku przekopowi, a tu na niego uzbrojony już czekał syn i pani Miecznikowa. Pożegnanie ich krótkie, rozczulające było mocą duszy obojga. W milczeniu pocałował w czoło Miecznik swoją Teklusię i z wesołą twarzą rzekł: — Bóg z nami, moja jejmość, nie traćcie serca, kogo chce, Wszechmocny ocali, a przedewszystkiém powinność!

— Niechże Bóg uchowa, żebym cię od niéj miała odwodzić, panie Stefanie, — odpowiedziała matrona z męzką dumą odwagi — żal mi tylko, że z wami niebezpieczeństwa podzielać nie mogę. A jednak, pamiętaj jegomość, że masz żonę i syna... nie zapędzaj się zbytecznie. I tu jesteś potrzebny i wszędzie.

Łzy puściły się z oczów żony i matki, żegnała męża i syna, dwie najdroższe na ziemi istoty: w ręku trzymając krzyżyk z partykułą drzewa żywota, żegnała nią i drżała błogosławiąc obu.

— Nie narażajcie się zbytecznie, nie narażajcie panie Stefanie, — mówiła nieco przerywanym głosem, łkając a starając się ukrywać łzy swoje. Jegomość pilnuj Stefanka, a on jeszcze młody i niedoświadczony. Niech was Bóg strzeże, błogosławi, prowadzi i przyprowadzi, w Imię Jego święte!

To mówiąc Miecznikowa, upadła na kolana schylając głowę i modląc się, Zamojski w milczeniu przestąpił fórtę, a Przeor błogosławił Imieniem Boga Abrahamów i Jakóbów...

O! trzeba było widzieć ten obrazek prostéj a wielkiéj piękności, te modlitwy i męztwo niewiasty, twarz jasną a rozrzewnioną Przeora, poważne lice Miecznikowéj, zapałem wrące oczy Stefanka, czoło bohaterskiego wodza, i łzawe wejrzenie poczciwéj kobiety, co wszystko najdroższe ofiarowała Bogu, nie śmiejąc cofnąć swéj ofiary jedném głośniejszém westchnieniem — trzeba było widzieć obrazek ten ciasną ramą maleńkiéj fórty zamknięty, przed oknem widzów skryty, by pojąć jego uroczystą powagę!!

Pan Czarniecki stał na uboczu i powtarzał wpół gniewnie, wpół radośnie — „po dniu! po dniu!“ Podszedł mnie niegodziwie, ale oddam za swoje, zobaczymy!

Łatwo wyobrazić sobie można, z jakim niepokojem wszyscy od fórty wstąpili na mury.

Najmężniejszy z obrońców Częstochowy, szedł się mierzyć z tysiąc razy silniejszym nieprzyjacielem, w jego paszczę się rzucając z bohaterską odwagą! Przeor, Miecznikowa, wszystka ślachta wyjściu przytomna, skoczyli na blanki patrzeć i modlić się na ich intencyją. W kościele *Sub tuum praesidium* przed ołtarzem śpiewano. Czarniecki już działa ustawiał, puszkarzy napędzał, nabijał, celował i poglądał okiem pełném zazdrości i chciwego męztwa.

Pędem lecąca ukazała się garść polaków na drodze; droga była pusta, w cichości wystąpili niepostrzeżeni pod samą baterją nieprzyjacielską, która milczała; Zamojski szedł na przodzie, syn obok niego. Gdy już byli blisko dział, pani Miecznikowa niemogąc znieść tego widoku, prosiła by ją odprowadzono do kaplicy... Przeor nie schodził z murów.

Zamojski dobywszy się z przekopu, co sił w ludziach było poskoczywszy na baterję węgła wschodnio-północnego, przypadł do niéj nim Szwedzi leżący za szańcem zobaczyli go; wpadł im na kark jak piorun.

Nagle krzyk dał się słyszeć aż u murów, bo już piechota jasnogórska rąbała i siekła, a część jéj zaraz pod wodzą Miecznika oddzieliła się na Olkuszan u miny robiących. Młody Zamojski został przy baterji, którą na prędce zagwożdżono, odrębując się Szwedom w niewielkiéj garści tu pozostałym. Ale już i w obozie dalszym postrzeżono zamięszanie, posłyszano strzały, ruszyli się zewsząd Szwedzi.

Gdy syn działa gwoździ, Miecznik do miny doskakuje. Biedne ludziska na kolana padli zobaczywszy go.

— „Myśmy zmuszeni, my katolicy!“ — zawołali.

— Szwedów tylko bić! — krzyczał do swoich Zamojski — ci są niewinni, to nasi! Do domu uciekajcie! — rzekł do górników — nie pomagajcie przeciwko swoim!

Kilku warty szwedzkiéj, co tu stała, zaraz przebito, a Miecznik rozpędziwszy Olkuszan, szybko zawrócił się do bateryi przy któréj syna zostawił: a tu już wrzask i krzyk i wrzawa w obozie ogromna, widać oddział konny od miasteczka Częstochowy siadający na koń, trąby grają wściekle; czas zawracać!

Nim się tam pogoń wybrała (bo koni posiodłanych nie było) Miecznik całym swoim oddziałem odepchnął Szwedów od ich szańca, i pogonił za nimi z odwagą zuchwałą, drogą ku obozowi, od miasteczka do wsi wiodącą. Był to zapęd niebezpieczny. Ale się też wkrótce opamiętał Zamojski: bo

i jazda okazywała się wdali; zawołał do odwrotu swoich, i spojrzawszy na nich (jednego mu tylko brakło) poprowadził nazad.

Żywo potrzeba było spieszyć ku przekopom; jazda goniła czwałem; ale gdy się Szwedzi zbliżyli na strzał działowy, Czarniecki kazał dać ognia w ten kłębek, i musieli się przyzastanowić: bo szyk się zmięszał i kilku z koni spadło. Żołnierze zaczęli po swojemu wołać: — „Czary! czary!“ a rajtary nie myśląc już gonić Zamojskiego, kręcili się jak opętani pod strzałami twierdzy.

Wycieczka była widocznie ocalona; Przeor Bogu dzięki składał; po chwili wszyscy żołnierze w przekopie się skryli.

* * *

Wejhard starając się przekonać, o swej gorącej dla klasztoru przyjaźni, dowodził Przeorowi że się mocno wstawiał za zakonnikami do generała. Ale Miller tylekroć zawiedziony już ufać nie chce; donosił wreście iż wymógł odłożenie szturmu przez dzień jutrzejszy dla obchodu święta *Bożego Narodzenia*, ale pozajutro powinni się poddać bez zwłoki. Jeśliby zaś tego jeszcze nie uczynili, generał grozi im zniszczeniem i obróceniem w popiół klasztoru; zaklął się w ostatku gorliwy przyjaciel, na Boga i Matkę Jego, że nie groźbę rzuca, ale szczerą prawdę mówi, i nieszczęściu zapobiedz pragnie.

Nietroszcząc się o to, co nastąpić może, Kordecki pospieszył urządzić wszystko do najuroczystszego nabożeństwa na Boże Narodzenie, które poczęte o północy, skończyć się miało o południu. Kościół jaśniał światłem, kwieciem ze szklarni dobytém, drogiem naczyniem ze skarbcu przyniesioném i, co największą jego ozdobą, ludem pobożnym.

Gdy się to dzieje na Jasnej-Górze, w obozie przygotowania potężne; luteranie i kalwini pomodlili się krótko a węzłowato po swojemu w skleconéj naprędce szopce, i poszli zaraz do bateryi, do min, do pracy: bo ich święto czasu wojny nie wiele widać obowiązywało. Sam generał znudzony, znużony i niecierpliwy dawał z siebie przykład; od świtu był na koniu, objeżdżał, zachęcał, krzepił, obiecywał łupy i obfitym rabunkiem chciał swój lud rozłakomić. Ale żołnierze słuchali tego z obojętnością zimną, niekiedy szyderską jakby tylko brakło odwagi powiedzieć dowódzcy: „Nie zdobędziemy twierdzy i nie dla nas te skarby!“

Rozkazy się krzyżowały, przeciągano działa, ustawiano je, opasywano twierdzę dokoła ludem pieszym, zawiązywano drabiny, ciosano kozły i tarany, kuto haki i narzędzia do szturmu służyć mogące. — Z klasztoru tylko odzywały się dzwony, muzyka wesoła i śpiewy wiały falami aż do uszu Szweda; na murach zdawało się pusto.

Ilekroć dzwon, śpiew, odgłos jaki dał się słyszeć, żołnierz szwedzki spoglądał z ukosa na klasztór i posępnie kiwał głową. Wiara w nieprzełamaną siłę Częstochowskich czarów tak już była wielka, że jéj nic zachwiać nie mogło. Ludzie niepojmujący co może głębokie uczucie religijne, siłę jego zwali jak umieli. Szło wszystko wedle rozkazów, ale one nie dadzą serca, gdy go niema.

Brakło zapału, każdy się trzymał z daleka, nawet starszyzna z której wielu wyjechało na cmentarz do Krzepic już się niezbyt kwapiła naprzód.

Pomimo przyrzeczeń Wejharda, Miller odpowiedzi nie otrzymawszy z klasztoru, a znając się już na tém, że mnisi tylko zwlekać pragnęli, rozpaczliwie rozkazał o południu ze wszystkich dział i moździerzy dawać ognia; była ta napaść tak gwałtowna, jakby ostatni wysiłek.

Leciały kule, bomby, kartassy; silono się klasztór zapalić, obalić kościół, posypać gruzami modlących się i zniszczeniem zmusić do wołania o litość. Kartauny ustawione na bateryach, mniejsze działa i co było spiżu, zaczęły gwałtownie, za danym znakiem, strzelać na twierdzę.

Miller stał na wzgórzu i patrzał oczekując zajadle, ze wściekłością w oku, z zapałem na twarzy . . . każdy pocisk trafny rozpromieniał mu lice, ale ich było mało; próżny huk, gniew w nim podsycał. Wejhard opodal się trzymał, nie chciał już nawijać się na oczy, rozjątrzonemu Szwedowi.

Kwarciani, polscy żołnierze, ze swojego obozowiska wyszli także patrzeć na czém się to skończy; i nie kryli się z oburzeniem, jakie czuli. Nie jeden zapatrzywszy się na twierdzę, chwytał szablę i już chciał na kark wpaść najezdnikowi; ale przypomniawszy sobie położenie swoje, opuszczał rękę, i z westchnieniem załamywał dłonie, jakby je chciał wstrzymać, by się daremnie nie rwały. Wysypani do jednego z szałasów i namiotów w milczeniu głębokiem, miotani sprzecznych uczuć mnogością, stali, poglądali, jęczeli, a jeden na drugiego rzucał wzrokiem dzikiem, niechcąc winy przypisywać sobie i szukając jéj w bracie.

Ile razy wiatr dymy bateryi i twierdzy rozerwał i uniósł, Miller chciwie spojrzał, czy się co nie pali i nie wali. Ale opoka Jasnogórska stała niewzruszona, we mgłach tylko jakby w obłokach uniesiona w powietrze.

Była to jedna z najstraszniejszych chwil od początku oblężenia dla zamkniętych w twierdzy, gdyż małą garść rozdzielić musiano na wszystkie boki, wszędzie się bronić i czuwać. . . Bezsilny lud tulił się w podwórzach i spędzany tu i owdzie padającemi kulami, latał z krzykiem niewiedząc, gdzie skryć się bezpieczniéj. Na dachach pękały pociski, trzaskały mury, waliły się ściany; kurzawa, dym, jęki, wo-

łania, wrzaski napełniły najodleglejsze kąty. Wielu bojaźliwych w oczekiwaniu śmierci niechybnej, leżeli na ziemi bez przytomności modląc się i klnąc na przemiany. Przeor z krzyżem w ręku wybiegł za pierwszym wystrzałem i pomimo kul, które pod nogi prawie mu padały, wstąpił na mur żegnając.

Zamojski latał z miejsca na miejsce wołając:

— Pilnujcie dachów, pilnujcie murów; baczność, nie traćcie serca! Jeśli Boga kochacie, dzieci, brońmy się po męzku!

Czarniecki stał u dział kierując niemi, niemówiąc ni słowa, cały oddany swemu; czasem mu się tylko wyrwał wykrzyknik, gdy się udało trafnie odstrzelić; czasem się zmarszczył, gdy pocisk po nad głową jego ze świstem na klasztór leciał. Naówczas oko za nim posyłał, szukał szkody jaką zrządził, ale rychło się uspokajał. Jakkolwiek strzały były gęste i obejmowały ze wszystkich stron twierdzę, a skierowane szczególniéj na budowle dla zniszczenia ich, drugie ku obwodowym murom dla zrobienia wyłomu od strony północnéj zwłaszcza, szkody nieokazywały się tak wielkie, jakby sądzić można. Wprawdzie na dachach, nieustannie migały smolnemi płachty, żagwiami i sznurami opatrzone kule niosące ogień, ale tu czeladź czuwała z wodą, a wielka liczba pocisków gasła sama w leżącym na nich śniegu. W podwórcach raz po raz trzaskały kule, ale ich obłamy mury tylko kaleczyły, raziły belki, wybijały okna; kilka szczepów padło na ludzi kupą biegających z miejsca na miejsce, lecz nikogo nie zabiły. Inne kule ryły się głęboko w ziemię i opadały bezsilne, jakby cudowna odbiła je ręka.

Niemniéj jednak przestrach był nie do opisania, i gdyby do bram dostać się było podobna, tchórze wybiliby się może przez nie, spiesząc naprzeciw Szweda. Ale wrót dobrze strzeżono, a w izdebce u fórty braciszek Paweł w nowéj sukni, którą sobie sam uszył ze trzech wynoszonych habitów, i był z niéj nieskończenie rad i szczęśliwy — siedział nad książeczką i modlił się spokojnie. Niekiedy pokiwał głową, gdy huczniéj zagrzmiało, i wracał do swego pacierza. Kordecki przez cały ciąg strzelania nie zszedł na chwilę z niebezpiecznego stanowiska, z którego odciągali go naprożno starszyzna i zakonnicy.

— Moje miejsce dziś tu, — mówił; wy działami ja krzyżem świętym wojuję; i żegnał. Pokażcie mi, które wam działo szkodzi nawięcéj, odzywał się, a na nie wymierzę modlitwę... I powolnym krokiem przenosząc się z miejsca na miejsce, wszędzie rozdzielał błogosławieństwa.

Od północnéj strony największa szwedzka kolubryna

rzucająca trzydziesto funtowe kule, łamała mur nieustannie, a choć go nie wiele ujadła, już przecie znaczne były szczerby. Zmierzchało powoli, gdy tu nadszedłszy Przeor z Zamojskim spojrzeli, zasmucili się:

— Czasu im dziś nie stanie na zrobienie wyłomu, noc nadchodzi, a jutro zamurujemy dziury, — odezwał się pan Miecznik.

Kordecki nie odpowiedział, ukląkł, krzyż przycisnął do piersi i modlił się, a była to modlitwa, co cud wywołuje, co przebija niebiosa, co oko Boże ściąga na ziemię, natchniona, bolesna, łzawa, całą duszę podnosząca w swych dłoniach; nic nie widział, nie słyszał, nie czuł; — przeżegnał wreście i promieniejącą wejrzał źrenicą, jakby się budził z zachwytu.

Szwedzkie działo z ogromnym hukiem rozpękło się na kawałki; — puszkarze leżeli pobici, inni uciekali przepłoszeni, a zmierzch nagły, zimowy, ciemną szatą poczynał przykrywać okolicę.

Nagle ogień ustał na wszystkich punktach, jak uciął.

Cicho! Tylko w klasztorze stoją zdumieni, osmoleni, drżący od pracy, schrzypli od krzyku starszyzna i żołnierze, jakby jeszcze czekali. Patrzą po sobie, milczą; rzekłbyś, że jeszcze niedowierzają temu nagłemu uspokojeniu, poglądają na obóz. Tam ruch jakiś, wrzawa, popłoch, potém coraz ciszéj, ciszéj, szmery tylko głuche, tylko wozów skrzypienie, i niekiedy przeciągłe wołania.

Czarniecki pokręcił wąsa —

— Ha! — rzekł, — dobrze nas grzeli, pójdźmy obejrzeć co też zrobili!

Przeor wstawał właśnie, zesłabły wytężeniem ducha, ale mocen wiarą i pogodny obliczem.

— Skończono! — rzekł ze łzami, — skończono! w imię Boże, witam was zwycięzców.

— Jakto? księże Przeorze, — przerwał Zamojski, — to dopiero początek.

— To już koniec! — odpowiedział Kordecki.

— Jakże to być może?

— Jestem tego pewny.

— Ale zkądże? — nieśmiało podchwycił pan Piotr.

— Zkąd? nie wiem! Czuję że to i postrach i praca ostatnia.... Chodźmy spocząć, lud uspokoić i pocieszyć.

My spojrzmy jeszcze na obóz szwedzki, abyśmy przyczynę tak nagłéj zmiany wyrozumieć mogli. Widzieliśmy Millera zajętego przed chwilą oblężeniem z nadzieją jeszcze, zajadłością, wytrwaniem; Wejhard stał w dali i czekał równie z nim pewien będąc, rychło białą chorągiew wywieszą.

Tak zbliżył się wieczór i generał ku bateryi północnéj podjechawszy, widząc opieszałość swoich puszkarzy, na których najwięcéj rachował, kazał przy sobie działa nabijać, celować i wystrzelać.

Ruszyli się trochę ludzie pod okiem wodza, lecz właśnie gdy tryumfował, bo kilka kul w murach uwięzło, za trzecim wystrzałem, z ogromnym trzaskiem rozpękło się działo.

W téjże chwili prawie, wśród popłochu, jaki zrządził ten wypadek, ujrzano na znużonym i zabłoconym koniu spieszącego posłańca, który dopytywał o Millera i ku niemu się kierował przez obóz do miejsca, gdzie widział zebraną starszyznę. Zmarszczył się generał nie wiedząc jeszcze co to znaczy. Ale już źle wróżąc, że go wśród dział i boju tak pilno szukano, posłał ku gońcowi.

Jeździec wręczył oficerowi gruby plik papierów. Wejhard domyślając się, że wieści przyszły z głównéj kwatery, spodziewając się w nich rozkazów nowych lub obietnicy posiłków od Wittemberga, poskoczył także dowiedzieć się, z czém goniec tak spiesznie przybył?

Ale już Miller rzuciwszy tylko okiem na listy, poznawszy pieczęcie kancelaryi Karola Gustawa, puścił się do swojego namiotu. Za nim rzucili się wszyscy, i w téj chwili ogień ustał, bo dalszych zabrakło rozkazów.

Zsiadłszy z konia Miller rozerwał pieczęcie, ale lepszy żołnierz niż czytelnik, podsunął karty pisarzowi swemu, aby mu je czytał. Ten naprzód rozpoczął od rozkazu królewskiego, który inne depesze poprzedzał.

Tak! był to rozkaz podpisany własnoręcznie przez króla szwedzkiego, choć zdawał się dziwnym: polecano Millerowi, aby niezwłocznie szkody żadnéj klasztorowi nie czyniąc, nie myśląc o zdobywaniu, od oblężenia odstąpił!!

Wyrażono przyczyny: że klasztór na Jasnéj-Górze w tak powszechnéj czci u Polaków zostaje, iż napaść nań, w całéj Polsce oburzałaby umysły przeciwko Szwedom; zatém ani się więcéj kusić ma dowódzca, ale natychmiast rzucić przedsięwzięte kroki i ciągnąć do Piotrkowa. Osobno wydane były rozkazy, aby Wejhard szedł do Wielunia, Sadowski do Sieradza, książe Hesski do Krakowa, a kwarciani do Małopolski, gdzie im stacye wyznaczono.

Słysząc czytanie rozkazu Miller, porwał się, spojrzał na Wejharda z wymówką i groźbą i kazał precz odejść pisarzowi. Milczenie głuche, milczenie zdumienia osiadło na ustach przytomnych. Praca tak długa i ciężka nietylko że nie została uznaną za pożyteczną, ale daremną i szkodliwą osądzona i cały wysiłek ten próżny, wszelkie straty w ludziach, prochach, orężu, czasie, poszły z dymem.

Czoło Millera i jego współpracowników gorliwych, czarną się chmurą powlekły: mnisi odwołujący się do Karola Gustawa zwyciężyli, a im upokorzenie i żal.

Nim się poczęli rozchodzić z namiotu, generał jakby myślą nową tknięty, przykazał najsurowiéj, by o rozkazie odebranym najgłębsze chowano milczenie.

— JKMość sam mnie tu wysłał, — odezwał się ponuro, — gdybyśmy zdobyli Częstochowę, cofaćby się z niéj nie kazał. Mamy przed sobą dni kilka, możemy ją opanować jeszcze. Gdy weźmiemy, karać nas za to nie będą — dodał z dzikiem uśmiechem: dla żołnierza potrzeba żebyśmy nie odeszli napróżno, inaczéj straci wszelką ochotę i odwagę...

Mówił napróżno, milczeli doradzcy, nikt nie zgodził się na to, każdy rad był wycofać się z ciężkiego oblężenia, i po daremnéj pracy odpocząć. Książe Hesski odezwał się po chwili:

— Darujesz Generale, ale nam, nie wchodząc w to co sobie poczniesz, potrzeba iść gdzie rozkazują. Ja pozajutrze ustępuję do Krakowa.

— Ja do Sieradza, — dodał Sadowski, — mam naznaczony dzień w rozkazie.

Wejhard także się odezwał:

— Ja z panem generałem, póki rozkażesz...

— Bardzo dziękuję, ale mi to niewielką będzie pomocą, — rzekł Miller niechętnie — z resztą zobaczymy co zrobim, a o rozkazach królewskich milczeć proszę.

W klasztorze jak świt Kordecki przybył z całym zakonników szeregiem do mieszkania pana Zamojskiego; niósł w ręku wielki obraz Matki Boskiéj malowanéj na blasze i piękny agatowy różaniec w złoto oprawny. Za nim szeregiem szli księża, a opodal część szlachty, muzyka, puszkarze, ludzie z załogi. Pan Miecznik, jak skoro ich postrzegł tak uroczyście ku sobie idących, porwał się od żony, która mu ze łzami imienin winszowała, i biegnąc naprzeciw Przeora, zawołał z uniesieniem!

A! ojcze, nie jestem godzien!

— Jesteś godzien, kochany Mieczniku, — poważnie rzekł Kordecki. — Obrońcy ołtarza Matki Boskiéj, słudzy Jéj przychodzą ci życzyć długich lat życia i pomyślności. Niech Bóg błogosławi ciebie, rodzinę twoją i wszystko, co cię otacza; nie targowałeś się z nim o żywot swój i tych co ci byli najdroższi, gdyś je składał w ofierze; Bóg ci go przedłuży, pobłogosławi i opromieni. Przyjmcie nasze życzenia, kochany Stefanie starszy i następco Stefanie, a ten obraz jako pamiątkę Patronki od ubogich Paulinów, a ten różaniec ze skarbca Matki naszéj, jako dar od Niéj...

Miecznik, żona jego, syn, płakali rozczuleni tą uroczystą przemową, zakonnicy koleją szli ściskać pana Miecznika, a w tém działa wszystkie twierdzy huknęły wiwatem ogromnym, aż pani Zamojska krzyknęła: Jezus, Marya!

— Nic to kochana Pani, — rzekł jéj Przeor, — na honor to waszego małżonka i *vivat Stephanus!* strzelać kazałem.

A tu i muzyka zagrała kolędę wesołą pod drzwiami.

Ale na Boga! — zawołał Zamojski niespokojny, — księże Przeorze Dobrodzieju, prochu i pruszynki szkoda, a tu go tak marnie psujecie.

Waszmość tu nie wódz, zwłaszcza dziś, nie wódz tylko solenizant, — odparł Kordecki, tak kochany Miecznіku, a prochu mamy dosyć; niech Szwed zna, że pod skrzydłami Matki Boskiéj i z takimi ludźmi jak my, nie boimy go się...

Szlachta poczynająca serca nabierać, pod oknami, w sieni, na progu, wołała już także:

— Wiwat Ensifer! wiwat Zamojski! wiwat Stephanus!

Pan Czarniecki ją prowadził, ubrany jak do ołtarza: na nim żupan lity, pas złocisty, kontusz karmazynowy, szamerowany złotemi sznurkami, szabla suto sadzona, czapka z czaplém piórem; — stanął i zamiast oracyę rozpocząć, rzucił się w objęcia Miecznika, oba się popłakali.

— A taki ci niedaruję, choć solenizantowi, —szepnął Czarniecki, — żeś mnie na tę wycieczkę nie wziął — to nie po kawalersku.

—Puhara! puhara! rzekł głośniéj zaraz, — niech zdrowie pana Stefana, Miecznikowéj i konsolacyi wychylim, choćby wodą, jeśli piwnice wysuszyło oblężenie.

— Nie! nie! — przerwał Przeor, nie żałujcie, jest jeszcze czém godnych ludzi wypić zdrowie, a ja pierwszy choć małym kieliszkiem: — Wiwat pan Miecznik!

Działa nieustannie się odzywały, muzyka kolędowała zapalczywie, a poczciwi ludzie weselili się, jakby o kilka kroków nie groziły im zniszczenie i śmierć!

Dopiero w półgodziny opamiętali się wszyscy, że i na mury już zajrzeć wypadało, ale jakoś od wczorajszego dnia, niewiedzieć czemu, nikt Szweda nie miał za boże stworzenie; czuli wszyscy, że to był ostatni jego wysiłek, a niebezpieczeństwo minęło.

Wyszedł Zamojski, wyszła i muzyka za nim kolędując od drzwi do drzwi, a działa jeszcze ognia dawały.

Ta radość Jasnéj-Góry jeszcze Szwedem opasanéj, była trafem dziwnym, jakby naigrawaniem się z jego wstydu i bezsilnéj złości. Tam cisza i posępny strach jakiś; po obozie włóczą się postacie zziębłe, blade, schorzałe i poglądają wilczym wzrokiem na mury, huk dział choć nie nabitych przykro brzmi w uszach ich, na ziemi u nóg ich zamarzła krwi struga, to potrzaskane koła; to droga kulą wyorana; chude ogniska kopcą nie grzeją u zczerniałych od dymu namiotów, a rozmowa — pogrzebowa; każdy liczy co wycierpiał, co utracił.

I noc czarna pokryła wreszcie z jednéj strony wielką radość, z drugiéj zimne, ponure zwątpienie.

O mroku wydano nagłe do pochodu rozkazy. Ale w twierdzy nikt jeszcze o tém nie wiedział; wśród ciemności jak złodzieje poczęli ochotniéj nieco do odwrotu sposobić się Szwedzi, zdejmować działa z bateryi, wozy zataczać i namioty składać i. t. d. —

* * *

Tak się skończyło to oblężenie, pamiętne i piętnem cudu oznaczone. Był to jedyny może obraz rzucenia się ludzi przeciwko sile niebios; wiary walczącéj z uczuciem swéj potęgi z stokroć silniejszym cieleśnie nieprzyjacielem, którego zmogła; obraz garści duchem wzniesionéj nad tłumy i duchem je zwyciężającéj. W téjże chwili, jakby zbudzony ze snu i otrętwienia kraj cały, ujrzał upokorzenie swoje, wziął oręż i potargał więzy, które sam sobie włożyć pomógł.

Dnia tego wszyscy Szwedzi ustąpili z pod Jasnéj-Góry, strwożeni, choć nie wiedzieli co ich gnało; zawstydzeni a w głębi przekonani, że nie ludzką pokonano ich siłą. Siłę tę nazwali czarami: bo ślepi byli na wiarę.

Miller odjeżdżał gniewny; gotów mścić się na kraju za Częstochowę, która mu się tak zuchwale opierać śmiała. Nazajutrz, gdy mieszczanie z Częstochowy pod wodzą Jacka Brzuchańskiego i lud okoliczny zastukał do bram klasztoru, tłumami idąc powitać Matkę swoją, za którą przetęsknił tak długo, gdy szeroko otworzono im wrota, wielka radość napełniła serca. Wszyscy mieli łzy w oczach: znajomi i nieznajomi witali się i ściskali winszując sobie; a bojaźliwsi ze sromem, po cichu wynosić się poczęli do domów.

Pan Zamojski bojąc się jeszcze by klasztoru nie napadnięto na niespodziane, pozostał, a Czarniecki także, bo się gorliwością nie dawał uprzedzić; kilku też z niemi przysiedli u ks. Przeora.

Kordecki zwycięzca, kapłan wrócił do zakonnéj pokory; choć go wytrzymane oblężenie wiekuistą okrywało sławą w oczach współczesnych i potomnych. Rozesłano zaraz, oznajmując o odejściu Szwedów na wszystkie strony z radośną nowiną oswobodzenia: do króla, do prowincyała, do

opiekunów klasztoru, hr. Cellari, kasztelana Waszyckiego i innych życzliwych zakonników, a Przeor wśród uniesień i powińszowań bez liku przybywających gości, schylając głowę skromnie, odpowiadał:

— Nie my, nie my! lecz Bóg zwyciężył! —

C.

Opisy, Charakterystyki

i

Wizerunki obyczajowe.

Koń.

Przez A. Felińskiego.

Ze wszystkich zwycięztw, jakie otrzymał człowiek, najszlachetniejsze jest nad tym dumnym i ognistym zwierzem, który z nim dzieli trudy wojny i chwałę w boju. Równie jak jego pan nieustraszony, koń widzi niebezpieczeństwo i na nie się rzuca; przywyka do szczęku broni, lubi go, szuka, i tymże samym co rycerz, wre zapałem. Dzieli także jego rozrywki na łowach, na turniejach, na wyścigach, błyska, sypie ogień. Lecz z odwagą łącząc uległość i pojętność, swemu zapałowi unieść się nie pozwala; umie go miarkować: nietylko się poddaje ręce kierującego, ale stara się niejako wybadywać jego życzenia, i jedynie ich pełnieniem zajęty; na jego skinienie puszcza się, hamuje, albo stawa. Jestto stworzenie, które swego jestestwa się zrzekło, chcąc tylko żyć wolą cudzą —, które ją umie zgadywać i uprzedzać —, które przez szybkość i dokładność swoich poruszeń, każe się domyślać, że tę wolę rozumie i wykonywa —, które czuje, ile sobie życzymy, a działa, ile chcemy —, które nakoniec oddając się nam bez granic, od niczego się nie wymawia; łoży na usługę wszystkie siły, wycieńcza je nawet, i aby lepiéj było posłuszném, umiera.

Len.

Z pism peryodycznych.

(Str. 117.)

Na wilgotnych piaskach Persyi od początków świata żyła mała roślinka, z głęboko sięgającym korzeniem, z cienką i wysmukłą łodyżką, z liściem lancetowatym, z gwiazdkowatym kwiatkiem niebieskiego koloru, co poprzedzał torebkowaty owoc, w którym się ukrywały płaskie połyskujące nasiona. Istotka licha i słabiuchna, stworzonko szczupłe i delikatne, poziome to ziółko, uginające się za najlżejszym wiatru powiewem, jednakże przed tysiącami lat zwró-

ciło na siebie ludzką uwagę. Persowie odkryli w niéj włókno jedwabiste, na podobieństwo tego, co je przędzie gąsiennica żyjąca na morwie. Egipcyanie poszukiwali tę niteczkę, którą przerabiali na jędrne i miękkie tkaniny. Nim się nauki do dzikich dostały narodów, już zawitała do nich i wśród nich się pielęgnowała ta dobroczynna perska roślinka. Z niéj i przez nią, narodził się rodzaj oddzielnego potężnego przemysłu. Wełna wprost pokrywała ciało ludzkie, i dla tego trąd swoje spustoszenie rozciągał wszędy, gdzie najstaranniejsze ochędóstwo nie przybyło na pomoc człowiekowi. Tymczasem pomiędzy obcisłe tuniki a ciało, wcisnęła się tkanina z włokien drobnéj roślinki o błękitnym kwiatku, i zatrzymała się na tém stanowisku, pod imieniem koszuli.

Lecz ze wzmianką téj wdzięcznéj, dziś już naszéj, roślinki, łączą się inne niemniéj zajmujące wspomnienia. Wiesz jak upadły owe zwoje *papyrusu*, na którym starożytni rysowali swoje myśli. Przenosisz się następnie pamięcią na północ, gdzie znajdujesz sagi spisane na szmatach *kory*. Przywodzisz sobie na myśl owe liście *katalpy*, na których postrzegasz dziwnéj prostoty malowidła pierworodne Chińczyka. Późniéj staje w twéj wyobraźni długi szereg wieków, w którym *pergamin* służył za przewodnika dla myśli ludzkiéj. Lecz przy tych środkach powolnych, niedołężnych, kosztownych i znikliwych widziałeś, jak się ludzkość zatrzymywała w swéj drodze; jak brodziła w ciemnocie i grzęzła w bezwładności, błędach i niewiadomości. Mała roślinka perska o niebieskiém kwieciu znowu się na myśl nasuwa. Len gdy się zużył, gdy tkanina z jego włokien, uchroniwszy człowieka od jadowitych i zgubnych chorób, rozpadła się na szmaty, na gałgany, na coś bez żadnéj wartości, postrzegasz jeszcze, jak ta nicość, bez najmniejszéj ceny, przekształca się na nowo w *papier*, papier piękny, trwały i mocny, co pod ręką geniuszu lub namiętności zamienia się w potężną dźwignię, jaka wstrząsa światami, i porusza ludzkie społeczeństwa. Oświata bez arkusza papieru zatrzymałaby się w swéj drodze; a ten papier jest włóknem lichéj roślinki, którą piaski wychowały!

I nie dość, że myśl ludzka, przywołując ku pomocy to odrobinę sadzy i odrobinę oleju, to trochę żelaza i trochę owadziego gniazda, wypiętnowała się na zawsze na pilśni, powstałéj z przerobionéj szmaty, z przetrawionego gałgana; trzeba jeszcze było, aby własność, aby złoto, aby mienie, krążyły w postaci papieru, i były przedstawione przezeń, który będąc w swéj treści lichém tylko roślinném włóknem, zamienił się w godło wartości — na pieniądz.

Wiadomo jak ogromnéj, prawie bajecznéj ceny, doszły arcydzieła Rafaela, Michała Anioła i Rubensa. I tu znowu, ze lnem się spotykamy. Stał on się bowiem prawdziwém źródłem postępu sztuki malarskiéj, i środkiem zachowania jéj utworów, oraz środkiem powiększenia ich wartości wzrastającéj z latami. Pewien Belgijczyk zajął się zbadaniem własności oleju, zawartego w błyszczącém nasieniu lnianém; przesmażył go, pomięszał z farbami i przewrót w sztuce malarskiéj porodził; nadał bowiem barwom świetność i nieznaną dotąd przejrzystość, a nadewszystko własność opierania się niszczącéj potędze czasu! —

Nic tu nie powiemy o pomocy, jaką z nasienia lnianego ciągnie nauka lekarska, szukając łagodzącego środka w klejowatości drobnego ziarnka. Nic tu nie powiemy, o rozmaitych lekach, które się robią z tych ziaren całych, pośrótowanych, lub zmełtych, a dla swéj nizkiéj ceny przystępnych dla chorego biedaka, lub domowéj apteczki; zarówno téż pomijamy ów zbytek, wytworność i piękność owych koronek, które w oczyszczoném lnianém włóknie, jako w materyi pierwotnéj, czerpią owe przymioty odpowiadające wszelkim wymaganiom zbytku i sztuki, służącéj najwykwintniejszym ubiorom. Lecz czasy dzisiejsze, odkryją jeszcze niewyczerpane dla swych potrzeb źródła w téj lichéj roślince. Dzięki ważnym wynalazkom, dziś o prawdziwéj lnu użyteczności z ostateczną pewnością wszystkiego jeszcze wyrzec nie można.

Śpiew skowronka.

Z pism peryodycznych.

(Str. 113.)

Gdy żyjące przyrodzenie budzi się ze snów zimowych, śpiew skowronka jest jakby hasłem do życia wzywającém. Dźwięczna i tkliwa piosnka jego jest niby kwileniem dziecięcia, jest jakby głosem Natury, która na podobieństwo pierworodnéj córy przedwiecznego Ojca, pierwszém słowem po imieniu Go wzywa, i o ciągłą opiekę nad sobą prosi! —

Lecz dla nas, co kipiącą czarę żywota już dopijamy, cośmy z niéj znikliwą pianę nadzici już spili, dla nas, którym do spełnienia gorzki tylko męt pozostał, godzi się przynajmniéj w tym śpiewie dosłuchiwać się głosu pocieszycielki *Wiary*.

Bo i powiedz tylko, jeżeliby tobie się zdarzyło, zdala od społecznéj wrzawy, stanąwszy wśród niwy, posłyszeć

tego śpiewaka, co w górną wzbijając się krainę, zawsze miłem, zawsze rzewném, ale coraz to słabszém do ciebie odzywa się pieniem, jakieżto wtenczas w twéj duszy obudziłoby się uczucie? Za tym głosem, czyliżby i duch twój, nie ulatywał po nad ziemię, coraz wyżéj, coraz wyżéj, gdzieś w przestwory nadziemskie, gdzieś w krainę pożądaną, przeczuwaną, chociaż nieodgadniętą, w któréj spodziewasz się znaleźć to, co w mowie ludzkiéj szczęściem zowiemy, która jest prawdziwą naszą dziedziną, w jakiéj ujrzymy niebieskiego Ojca naszego?

Na głos ten baczne natężaj ucho: bo to nie dźwięk sztuczny, co przebrzmi jałowo. Jakeś za nim oderwał się od ziemi, tak z nim znowu do ziemi powrócisz, i przypomnisz sobie, że tu jest pole twojéj zasługi, że to są szranki doczesnego bojowania, z którego wyszedłszy zwycięzcą, zamieszkasz na zawsze ową niebieską ojczyznę, do którejś tęsknią duszą gonił, i którą ci przypominał, wprawdzie w zmysłowy sposób, zawsze jednak o niéj do ciebie mówiący głos skowronka! Ale chódź jeszcze posłuchać śpiewu tego na innéj niwie, na niwie wspomnień; chódź na smętarz. Może tam, chociaż przedwczesne, masz już swoje wspomnienia. Jeśliby ci tu klęczącemu z pochyloném od smutku czołem nad mogiłą drogiéj osoby, zdarzyło się zasłyszeć śpiew skowronka, cóżbyś uczuł w téj chwili? Są wrażenia, do których oddania nie staje głosu w językach żyjących; są to nieprzystępne ducha tajemnice; nie dająca się podzielić, wyłączna własność duszy; zmysłowym nie wystawisz jéj sposobem!!..... My przynajmniéj nie możemy tu nic innego powiedzieć, jak tylko: Błogosławionaś, jedyna pocieszycielko, Wiaro święta!...

Śpiew słowika.

Z pism peryodycznych.

(Str. 115.)

Nie ma w przyrodzeniu piosnki, którąby tyle przejść i zmian ruchomych, tyle uczucia i wyrazu, tyle mocy i czystości dźwięku w sobie zawierała, co śpiew słowika. Śpiew ten, to pełen życia dramat, który uczucie w dziedzinę zmysłową wytchnęło i przyodziało w nieujętą, prawie niecielesną szatę głosu. Jeżelibyśmy to pienie określić chcieli, tobyśmy je nazwali *śpiewem namiętności*, tak jest zmienne, tak burzliwe i mocne! Przysłuchajmy się arcydziełu tego kunsztmistrza. Z początku jak muzyk biegły, lecz skromny, bo

z prawdziwym talentem, lękliwemi niepewnemi tony, nuci jakąś cichą przegrywkę. Zda się, że próbuje swojego instrumentu, że uwagę słuchacza na siebie zwrócić pragnie. Lecz wkrótce, nabierając coraz więcéj pewności, stopniami się ożywia, rozgrzewa, zapala i unosi, — aż w końcu, z całą mocą zapału rozwija wszystkie zasoby niezrównanego swego narzędzia! To się rozlewa w tkliwych jękach smutku, to sypie żarem radości, to mdleje w skargach wspomnienia, to goni mary nadziei, to pląsa w szale tryumfu! Lecz nie kasajmy się na wypowiedzenie tego, czego najbieglejsze pióra skreślić nie zdołały. Śpiew słowika wszyscy pojmujemy sercem, nikt go nie wyjaśni słowem. Uwielbiajmy więc mądre rządy Opatrzności, co każdego człowieka do zaznania rozkoszy usposobiła, chociaż wszystkich nie uposażyła w równe zdolności umysłowe!

Słowik, na przekorę wyrojonym marzeniom niektórych poetów, upewniających, że nad wszystko przekłada samotność, nie szuka jéj w głębi ciemnych lasów, lub w głuszy dzikiéj puszczy. Przeciwnie, zwykł przebywać po wesołych gajach, okolonych uprawnemi niwy lub łąki, po gęstych zaroślach, nadwodnych okolicach i ogrodach, jak gdyby szukał sąsiedztwa człowieka i czuł, że do umilenia jego bytu na ziemi jest przeznaczony. Śpiewak ten odgaduje, że piosnka jego jest nie na to, aby bez celu przebrzmiała, lecz by czującą otrzeźwiła duszę! —

Słowik jakże ubożuchną otrzymał powierzchowność; nie odziewa go jaskrawa pstrocizna papuzia, ani dumna świetność metalicznych pawich połysków. Kto wie, czy to nie na naukę dla nas i przestrogę, byśmy w szarlatanizmie rozgłosu, prawdziwéj nie szukali wartości; byśmy udzielone zdolności, talenta lub nawet geniusz zawsze w powabną skromności odziewali szatę; byśmy nie pożądając świetności zmysłowych darów przyrodzenia, brak ich przymiotami duszy zastąpić usiłowali. —

Gbur.

Przez Henryka hr. Rzewuskiego.

Z „Teofrasta Polskiego.“ Petersburg, 1854.

(Str. 194.)

Że ludzie ograniczeni w zdolnościach moralnych, radziby się pozbyć wszelkich wędzideł, temu się dziwować nie trzeba; ale co jest bolesnego, to to, że znajdują się ludzie z innych względów znakomici, którzy przykładem swoim dają popęd

téj anarchii, która zwłaszcza na prowincyi prawie zniszczyła *salon*, przyprowadzając go do stanu barbarzyństwa. Podobni ludzie, niestety, nie są rzadcy. Znałem jednego z takich, a często z nim obcując, starałem się go wystudyować.

Pan *Tupajło* jest mąż uczony, światły, nawet dowcipny, do tego gruntownie poczciwy. A jednak obcowanie z nim jest nieznośne: bo uroiwszy sobie, że kodeks salonowy jest dokuczliwym wymysłem mierności, nie chce mu ulegać. Kto go pierwszy raz widzi w towarzystwie złożoném z obojga płci, mógłby pomyśleć, że to jest Zaporożec, który zamienił koszulę łojem zaprawioną na odzież nieco przyzwoitszą, i jakimś przypadkiem wsunął się w grono zupełnie dla niego obce.

Nigdy z nikim nie chce pierwszych kroków zrobić dla zabrania znajomości: bo to jest grzeczność, a grzeczność przez siebie okazaną uważa być ubliżeniem swojéj godności moralnéj. A jeżeli jemu nie znany stara się do niego przybliżyć, napręża się z sztywnością burmistrza małéj gminy niemieckiéj. Ze znajomymi jego grubijaństwo jest mniéj sztywne, ale jeszcze więcéj szorstkie. Nikogo nie słucha, zaczęte opowiadania któregoś z biesiadników przerywa, poprawuje po bakalarsku wszystkie omyłki gramatyczne mówiących, zadaje każdemu kłamstwo, moralizuje kobiety, ogłaszając siebie zwolennikiem prawdy; dla wszystkich staje się cierpkim, nie domyślając się nawet, że prawdy są zawsze względne, i że trzeba mieć prawo, żeby nieprzyjemne prawdy dla drugich objawiać, i że każde przywłaszczenie jest wykroczeniem moralném.

Pan Tupajło tego nie rozumie, że to, co ma za szczerość, nie jest czém inném, tylko wygórowaną aż do obłąkania pychą. Bo ten pochop do wyrywania się ze swojém zdaniem o każdym człowieku, i o każdéj rzeczy, czemże jest inném? Przepisy salonu przykazują każdemu jak najmniéj o sobie mówić, właśnie dla zapobieżenia wyskokom téj pychy, do któréj człowiek aż nadto jest skłonnym. Wyjąwszy bowiem mężów prawdziwie wielkich, czy może indywidualność czyjakolwiek wiele zajmować, udzielając innym swoje przekonania? Pan Tupajło lekkie rozmowy salonowe ma za czcze paplania, niegodne umysłów rozważnych, a nie widzi, że sam jest nieznośnym gadułą, po prostu plotką, obmówcą nieokrzesanym, pokrywającym czczość istotną myśli, jakąś powłoką, niby szczerości, a rzeczywiście grubiaństwa.

Nigdy dusze ukształcone nie odbiegają od szacunku należnego ludziom stojącym na wyższym szczeblu w hierarchii społeczeńskiéj, jakkolwiek te oznaki zewnętrzne mogą

nie mieć nic wspólnego z tym szacunkiem rzeczywistym, który jedynie cnotom i światłu należy. I właśnie jest to cechą ludzi prawdziwie ukształconych, że umieją to wymaganie towarzyskie pogodzić z własną swoją godnością. Tego anarchiści pojąć nie umieją, i myślą, że ta godność zachować się może tylko przez grubijaństwo względem tych, których położenie samo, bez względu na osobistość, zasługuje na uszanowanie.

Jakkolwiek pan Tupajło jest mężem światłym, to przecież tego rozumieć nie może i myśleć, że uchylanie siebie od ciężaru względów towarzyskich jest głęboką filozofią.

W jedném mieście na prowincyi, znajdował się przypadkiem urzędnik wyższy, nie należący do jéj zarządu, ale którego położenie miało prawo do otrzymania jakichś dowodów szczególnéj grzeczności, tém więcéj, że grzeczność nikomu szkody nie przynosi, a zawsze oznacza jakiś stopień ukształcenia. Obywatelstwo, wówczas zebrane w tém mieście, postanowiło dać dla niego obiad, i na to zbierało składkę. Każdy najchętniéj przyczynił się do tego wedle swojéj możności. Ale gdy z kolei przyszło do pana Tupajły, ten nietylko że do téj składki należeć nie chciał, ale mając siebie za rozumniejszego od wszystkich, nie omieszkał im dać obroku duchownego w tych wyrazach: „Moi panowie, te wszystkie zabiegi wasze dla tych *matadorów* przypominają bajkę o tym ośle obładowanym relikwijami świętych. Wszyscy uginali kolana na widok tych świętości, a osłowi zdawało się, że te oznaki kornego uszanowania, były dla jego osoby.“

Rokosz, który podniósł przeciw tym przepisom towarzyskim, które mu ciężą, ochrzcił: energiczną protestacyą przeciwko przemocy, uczuciem wygórowanego liberalizmu. „Mam duszę republikańską,“ prawi, „nikomu się nie kłaniam, wszelką arystokracyą pogardzam. Ci ludzie dobrego tonu, jak siebie nazywają, są plagą społeczeństwa, dla tego jedynie, że słabe dusze nie dość im się opierają. Naprzykład pani M., że ma otwarty dom w mieście, próżniacy w nim znajdujący się, poczytują to sobie za zaszczyt, że do niego mają przystęp, i z wszelkiéj wyzuwają się swobody, aby tylko mieć łaskę u téj podżyłéj elegantki. Czemuż tak nie robią, jak ja? Byłem u niéj raz na wieczorze. Otóż, że byłem w surducie, odważyła się baba dać mi uczuć swoje nieukontentowanie. I cóż to? Nie serce, nie rozum mają zalecać uczciwego człowieka, ale łokieć sukna mniéj lub więcéj w jego odzieży? Odszedłem, i zapowiadam, że odtąd moja noga u niéj nie postanie. — Albo onegdaj u państwa prezesostwa było nas kilku nie Tatarów;

ale że się pojawił młody hrabia Fryderyk z pod Warszawy, który miał skończyć wychowanie za granicą, że miał na sobie frak w Paryżu uszyty, i że się do bab przymila, więc i gospodyni domu i jéj córki tylko nim były zajęte, nas jakby nie było. Że kobiety potrzebują słów ich miłość własną pieszczących, a nie gruntownych rzeczy, jakieby człowiek, choć nie był w Paryżu, mógłby im udzielić, to mnie nie dziwi. Ale że nasi nikczemną uległością, żeby być zaproszonym na balik lub wieczór, dają potuchę téj przebrzydłéj arystokracyi — a! moje Państwo — to mnie oburza!“

I tak pan Tupajło, pomimo że wiele czytał, zdaje się być przekonany, że jak tylko rozpowszechni się obyczaj pokazywania się damom w surducie oplamionym, w obuwiu zabłoconem; jak każda młoda dama przesiąknie dymem od fajek i cygar, użyczonym przez młodych kawalerów; jak karczemne wyrazy staną się niezbędną przyprawą obcowania we wszelkiem towarzystwie, jak gminne plotki nabędą wszędzie zaszczytów dowcipowi dotąd właściwych, a ostatni konserwatorowie dobrego tonu, zastraszeni pogróżkami bohaterów jarmarkowych i niebezpieczeństwem potyczki skończą na kondescensyach honorowych, — że święta rzeczpospolita będzie panować, i że z tego kału nie żaki i glisty, ale Katony, Regulusy, Arystydesy się wylęgną!

Że w gruncie pan Tupajło jest poczciwym człowiekiem, przeto z nim stosunki przyjacielskie są bezpieczne, pod tym względem, że można mu zaufać. Nikogo nie zdradzi, nie oszuka, a nawet gotów jest poświęcić się dla przyjaciela. Z tém wszystkiém to odrzeczenie się jego od wszelkiéj przeciwwagi na samowolność myśli i mowy, sprawuje, iż ściślejsze z nim stosunki są nieznośne. Bo ta szczerość, któréj głosi się być zapaśnikiem, chyba dla anioła cierpliwości mogłaby być nieobrażliwą. Zawsze siebie za wzór podaje. To nieszczęśliwe *ja*, tak potępione w dobrém towarzystwie, u niego ciągle na placu: „Ja to zrobiłem — ja tak uradziłem — ja inaczéj nie postępuję.“ Ciągle mówić o sobie jest to cecha źle wychowanego nudziarza, a na nieszczęście tą cechą pan Tupajło jest napiętnowany.

Mało tego; ta szczerość robi z niego najuciążliwszą plotkę, jaka mogła się kiedykolwiek między babami pojawić. I tak, myśli, że daje dowód przyjaźni, kiedy przyjacielowi opowiada bez ogródki to, co słyszał przeciwko niemu powiedzianego, nie domyślając się, w jak smutném położeniu ta szczerość stawi przyjaciela. Nie ma społeczeństwa, którego połowa drugiéj połowy nie obmawia, nie potwarza. Na wyższym świecie potwarze i obmowy są zaprawiane

dowcipem, na niższym wypowiadają się po grubijańsku; ale ich jestestwo jest to samo. Na to każdy człowiek winien być wyrozumiałym, i mało dbać na obelgi nie w jego przytomności wyrzeczone. Jeżeli gorliwy przyjaciel słyszy szarpanie sławy swojego przyjaciela, wielce jest godnym pochwały, gdy się za nim ujmuje; jeżeli milczy, a potém donosi jemu to, co usłyszał, uszczerbek przynoszącego jego osobie, nie wywięzuje się z obowiązków przyjaźni, ale w istocie dopuszcza się czynu nikczemnego, który tylko tém wymówionym być może, że pochodzi z wielkiego głupstwa. Bo rzeczywiście nie ten obraża, co nieprzytomnego szarpie, ale ten co mu nie dopuszcza o tém niewiedzieć.

Nie można przeczyć panu Tupajle ani światła, ani uczciwości. Skądże pochodzą te ciągłe jego wyboczenia i ta cierpkość w obcowaniu, która poniekąd unicestwia w życiu towarzyskiem wszystkie jego przymioty? Oto ztąd, że powziął błędne przekonanie: że indiwidualny rozum może mieć słuszność przeciwko zbiorowemu rozumowi, który wyrobił wszystkie ustawy towarzyskie przykazane podaniem, a na których się opiera ukształcenie, a nawet oświecenie narodów. W tych ustawach nie ma nic dowolnego; każda z nich wypłynęła z niezbędnych potrzeb towarzyskich; chociaż to pochodzenie nie zawsze jest widoczne. Ten antagonizm między rzeczywistą cnotą, a prawidłami przyzwoitości, przyjętymi w ukształconem towarzystwie, istnieje jedynie w płytkich mózgownicach. Szorstkość w obcowaniu ani jest cnotą, ani barwą cnoty. Między duchem a formami, któremi on się wyraża, jest tak ścisłe powinowactwo, że lubo bez wątpienia można obejściem się swojém zostać ozdobą najwykwintniejszych salonów, a przecie być w gruncie podłym i niepoczciwym, wszakże i to jest rzeczą nie mniéj pewną, że gdzie tylko rozpowszechni się wzgarda form salonowych, tam w ścisłym stosunku z tą wzgardą społeczność traci uczucie honoru, a demoralizacya publiczna się szerzy.

Zapewne, że przepisy salonowe, dobry ton, domaganie się przyzwoitości w odzieży, w poruszeniach, w mowie, nie stworzą cnót, które wyłącznie z uczuć religijnych rozwinąć się mogą. Ale przynajmniéj przygotowują do cnoty, naginając ludzi towarzyskich do wprawdzie nie wielkich, ale ciągłych ofiar, przez które jeden dla drugiego nie jest ciężarem. Natura ludzka jest skażona, że czy w towarzystwie wykwintném, czy w grubiańskiém, zawsze cnota pozostaje w mniejszości; ale w pierwszém, złe nie jest bezczelne, czego o drugiém powiedzieć nie można. Nakoniec, cywilizacya nie jest czczym wymysłem, jest ona celem doczesnym

ludzkości. A widzimy, że im nadobniéj cywilizacya narodowa objawia się w obyczajach, sztuce, literaturze, polityce, tém nadobniejsze są formy dające przystęp do wyższych towarzystw narodu, tém więcéj wymaga się ścisłości w ich przestrzeganiu.

Pyszno-Skąpski.

Przez Henryka hr. Rzewuskiego.

Z „Teofrasta Polskiego.“ Petersburg 1851.

(Str. 187.)

Pan Achacy Ścibor, zresztą najlepszy człowiek, jest razem i wielce pysznym i wielce skąpym. Ztąd jego żywot przypomina skakanie na linie, którém przyjezdne Niemcy bawią publiczność na jarmarkach berdyczowskich i jarmolineckich. W saméj rzeczy on sam na linie, a obie namiętności, którym się oddał, na niéj go utrzymują w zupełnéj równowadze: bo każda zarówno ciągnie ku sobie. Mytologia uczy, że kiedy Cerera poszła do Jowisza ze skargą na Plutona, iż jéj porwał córkę, on osądził, że piękna Prozerpina ma mieszkać połowę roku z małżonkiem, a drugą z matką. Coś podobnego w układzie, który zrobił Pan Ścibor między pychą a skąpstwem; tylko że przestrzeń czasu ich panowania nie jest tak obszerna, nie następuje jedno po drugiém kolejno, ale tak, że ani jedno, ani drugie krzywdy nie ma. Gdyż w paroksyzmie pychy, skąpstwo nigdy nie jest zupełnie zatarte, a znowu, kiedy pan Ścibor zostaje pod wpływem skąpstwa, pycha go bynajmniéj nie opuszcza. Zresztą w stosunkach z gośćmi i obcymi, pokazuje siebie pysznym, a dla żony, dzieci, sług i domowników o tyle jest skąpszym, o ile w chwilach reprezentacyi pokazywał siebie pyszniejszym.

Jest on istnym męczennikiem: bo co tylko być może dla niego błogiem, przyjmuje wyłącznie w życiu zewnętrznem; wewnątrz zaś przez same ciernie i głogi przechodzi. I tak, będąc łakotnisiem z swojego przyrodzenia, opycha się pokarmem smacznym, ale wtedy tylko, kiedy za cudzym siedzi stołem, albo znamienitych u siebie podejmuje gości; ale za to ciągle pości, kiedy zostaje w łonie swojéj rodziny. Nawet w dniach reprezentacyi, lubo się cieszy aż do nadęcia, słysząc około siebie powtarzane wykrzykniki: „Trzeba wyznać, że nasz Ścibor po królewsku wystąpił! Nikt się podobnym kucharzem nie pochwali! U niego tylko spotkać można sekularne wino! A wszystkiego w bród!“ zawsze

jednak widać, że go wydatek boli, że to uczucie miesza mu szyki, i że jest udręczony, jako każdy opanowany od dwóch namiętności sobie przeciwnoległych, żadnéj z nich nie mogąc dogodzić, bez zadania szwanku drugiéj. Umie on zgrabnie odgrywać rolę człowieka hojnego, ale zawsze wyłazi skąpiec z pod téj złocistéj barwy, a świat złośliwy tak doskonale wyśledza słabości ludzkie, że jakkolwiek pan Ścibor siebie samego ofiaruje dla zadowolenia tych, co ich u siebie ugaszcza, nie wydał ani jednéj uczty, żeby między biesiadującymi nie znalazł się jakiś sprawca jego nieprzewidzianego udręczenia.

I tak, jeżeli daje wielki obiad dla jakiegoś wielkiego urzędnika, do czego jest wielce pochopnym, a co późniéj przechoruje, zawsze się na nim znajdzie uczynna dusza, która mu odpłaci apicyuszowską gościnność niepospolitym figlem. Albo zaproponuje składkę dla jakiejś podupadłéj rodziny, wstydzącéj się żebrać, albo jakąś ofiarę dla dobroczynnego zakładu, a sam podejmie się zbierać składkę. Podchodzi do niego, właśnie wtenczas, kiedy jest zajęty ścisłą rozmową z tą samą *matadorą*, *in gratiam*, któréj wszystkich karmi i poi. Jest to dla niego kęs nie łatwy do strawienia, ale który rad nie rad zgryść musi. Radby natrętnego ziemią zasypać, ale cóż? dostojny gość stoi obok niego, i sam się bierze do sakiewki. Proszę tedy spojrzeć w oczy panu Sciborowi, by psychologicznie wystudyować, co się w jego duszy dzieje. Pot występuje na jego czole, krew wydobywa się z pod serca, i zalega lica, co nie przeszkadza, że wyjmuje pugilares z kieszeni, a z pugilaresem papier-kruszec wyskakuje, a każda *bomażka* z osobna pokazuje się na stoliku. Pewnieby tyle nie dał dla wyratowania żony, lub dziecka, a uczynny złośnik ma podwójny zysk, raz że na dobry uczynek porządną kwotę zachwycił, powtóre że ma z czego w duchu naśmiać się do woli. Albo, będąc *promotorem* oświaty narodowéj, ile mu puginałowych pchnięć zadały bilety prenumeraty na mające się ogłaszać pisma, a co je dla *prozopopei* opłaca. Sam byłem świadkiem na *assamblach* u jednego z znaczniejszych obywateli, jak jeden niby przyjaciel pana Ścibora podmówił małżonkę gospodarza, ażeby naszemu Pyszno-Skąpskiemu podsunęła razem piędziesiąt biletów na koncert artysty, od niéj protegowanego, każdy bilet po dukacie. Było go widzieć! Prawdziwie żaden bohater tyle nie pokazał władzy nad sobą. Z niepospolitym wdziękiem w poruszeniu, z uśmiechem w uściech, odliczył pół *sotni* obrączkowych, ani się zaciął ale co téż w jego duszy dziać się musiało! Tyle tylko miał pociechy, że otrzymał najczulsze podziękowanie damy. Nazajutrz część

tych biletów sprzedawał przez sług swoich po pół rubla, żeby przynajmniéj choć jakąś cząstkę szkody wycofać.

Żeby pan Ścibor przy swoim skąpstwie nie był pysznym, ogromny majątek by uzbierał, bo mało kto ma od niego mniéj rzeczywistych potrzeb. Żeby przy swojéj pysze nie był skąpym, wkrótceby poszedł z torbą: gdyż skoro mu się tylko uroi potrzeba wystąpienia, już na żadne wydatki się nie ogląda. Ztąd, lubo czuje nieograniczoną chęć zbiorów, w majątkowych interesach krokiem postąpić nie może, tyle tylko, że dorocznie mu przybywa kosztownych sprzętów. Ale przynajmniéj się nie cofa, co wielce mnie pociesza, bo pomimo wszystkich jego śmieszności, on jest mężem prawym i nigdy rzeczywistą krzywdą bliźnich się nie splamił. Ale że te śmieszności są wielkie i liczne, że się niemi staje igrzyskiem wszystkich trefnisiów parafiańskich, jest to rzecz, o któréj on jeden zdaje się nie wiedzieć.

Prawdziwie nie można podziwiać ofiar, na jakie człowiek próżny siebie wskazuje. Całkowity jego żywot jest ciągłą ułudą. On nie żyje ani dla siebie, ani dla swoich, ani dla tych nawet, których szacuje, ale jedynie dla tego czarodziejskiego wyrazu „opinia.“ Nie chodzi mu o to, czém jest, ale o to, co tu ludzie będą o nim mówili. Byle o nim powiedziano: „Ścibor jest prawdziwym panem, z jakim taktem on umie postępować z władnącemi figurami! Jak one wszystkie go odwiedzają!“ Wszystko inne jest dla niego obojętne. Występując dla drugich bez najmniejszego pożytku dla siebie, zadaje swemu majątkowi dziury, które późniéj zatyka przez największe ofiary z wszelkich wygód. Ciągle usiłuje oszukiwać siebie i drugich pozłotą, którą pokrywa rzeczywistą nędzę: bo ta jest jego stanem normalnym.

Razu jednego daleką podróż odbywając, przejeżdżałem o pół mili od jego rezydencyi. A że go szacuję, że mam u niego zachowanie, wyboczyłem z wielkiego traktu, żeby go pierwszy raz nawiedzić w jego wiejskim pałacu. Wrota od bramy były zawarte, wszakże kazałem do nich szturmować, bo dowiedziałem się w karczmie, że państwo są w domu. Po niejakimś czasie pokazało się dwóch stajennych, którzy się wzięli do otwierania bramy, ale tak zmudnie, że zacząłem się niecierpliwić: bo trzeba wiedzieć, że to była pora zimowa. Przekonałem się późniéj, że ich opieszałość była wyrozumowaną, bo trzeba było dać czas lokajom do przebrania się przyzwoicie. Nakoniec podwoje się rozwarły, a wkrótce sanie stanęły pod koryckim gzemsem, wcale gustownego pałacu. Wychodzę, zastaję w przysieniu dwóch lokai, w sutéj liberyi herbowéj, rodu Ściborów, t. j. żółtego koloru z obszlagami i kamizelkami pąsowemi. Przeprowadzili mię sążniste *famulusy* przez różne pokoje, a wszystkie z przepychem ubrane. Zatrzymałem się w sali, portretami familijnemi ozdobionéj. Poznałem gospodarza i jego żonę, malowanych jakby kwaczem przez jednego bazgracza z Lubaru, który dość wiernie trafia podobieństwa, ale niema ani wyobrażenia, ani o rysunku, ani nawet o mięszaniu farb. Odwróciłem się ze wstrętem od tych straszydeł, ale robiłem przegląd *antenatów* pana Ścibora. Jakem się potém dowiedział, była to robota ucznia arzamaskiéj szkoły, który te portrety przekopiował ze starych stalorytów, amatorom powszechnie znanych, po trzy ruble od sztuki, dawszy każdemu intytulacyą, jakiéj żądał gospodarz, a wszystkim nadał pokostem oznaki starości. I tak, król hiszpański, Filip II. nosił nazwisko Piotra Ścibora, kasztelana Rozpierskiego; kardynał Richelieu, Jana Ścibora, opata Hebdowskiego. Poznałem Melanchtona w barwie jakiegoś Michała, pisarza grodzkiego Pińskiego, i skłoniłem się przed Kornelem, kursującym pod imieniem Stanisława Ścibora, cześnika Mozyrskiego. Zadziwił mnie nie mało Szekspir w kontuszu, z napisem nad głową: Waleryan Ścibor, strażnik koronny za króla Jana. Ale co mi się szczególnie podobało, to że pani Sewinje figurowała jako pani Magdalena Ściborowa, chorążyna Owrucka, prababka pana Achacego. Innych wielu jeszcze dawnych znajomych poznałem, pomimo dosyć przedłużonych nosów, wykrzywionych ust i anachronizmu między brodą i czupryną, a ubiorem. Zajęty byłem wpatrywaniem się w oblicza pożyczane antenatów świetnego domu, kiedy podwoje bawialnego pokoju się rozwarły, i gospodarz wyszedł do mnie.

Uścisnęliśmy siebie z czułością, bo te wszystkie próżności pana Achacego nie zniszczyły w nim serca i umie być przyjacielem. Oświadczył mi ukontentowanie z moich nawiedzin, i o prawdziwości jego wyrazów nie wątpię. Po przywitaniu i zamianie zwykłych przedwstępów do żwawéj rozmowy, zaprowadził mnie do salonu, oznajmując rychłe przybycie swojéj małżonki, kobiety jeszcze powabnéj, do tego światłéj, cnotliwéj, dowcipnéj, akomodującéj się do wszystkich narowów męża, a dla któréj zawsze czułem wysoki szacunek. Siedliśmy przy rozżarzonym kominie, wszakże przez wzgląd na naszą dawną zażyłość, mówił do mnie, jak do równego sobie. Temat wieczny jego rozmów i wtedy był na placu. Rozciągał się nad ścisłemi stosunkami swojemi z matadorami prowincyi; nie zaniedbał mnie kilkakrotnie powtórzyć, że sam marszałek gubernialny przyrzekł mu, że, jak będzie objeżdżał prowincyę, nie omieszka go nawiedzić. Dowiedziałem się przytém, co mi pod wielkim sekretem po-

wiedział, że ów marszałek go namawiał, żeby na następnych sejmikach na marszałka powiatowego się podał, do czego i szlachta go ciągnie; ale że na to nieda się namówić, przez wzgląd na przyjaźń, jaką ma z teraźniejszym marszałkiem, który mu się z tém wynurzył, że nadal chce piastować ten urząd. Z kolei mówił o literaturze, o wieczorach uczonych, co je daje u siebie, ile razy przyjeżdża do gubernialnego miasta, o nowych talentach, co ich umiał wygrzebać, podając im hojne wsparcie. Na to odezwałem się do niego z Horacyuszem:

Habes divitias, artemque fruendi.

Co przyjął z taką uprzejmością, że uczuł obowiązek odpłacenia się za moją grzeczność, łaskawém wspomnieniem moich fraszek literackich. W ciągu tego *sam na sam* więcéj godziny trwającego, zauważałem, że pomimo jego samochwalstwa, przywary zresztą powszechnéj w naszéj społeczności, rozmowa jego nie była bez jakichś powabów, co przypisuję temu, że sława bliźniego na jego wielomówstwie szkody nie ponosi. Ta sprawiedliwość winna być oddana panu Ściborowi, że względem nieobecnych nie pozwala sobie oszczerstwa, ani nawet obmowy: przymiot między nami rzadki.

Wyszła nareszcie ku nam gospodyni domu, wykwintnie ustrojona. Powstałem z uszanowaniem, ucałowałem jéj rączkę i wielce się uradowałem jéj przybyciem. Wyższość intelektualna kobiet nad mężczyznami w naszéj społeczności od wszystkich cudzoziemców zauważaną została. Zaprzeczeniu nie podpada, że nasze możniejsze obywatelki, lubo na prowincyi wychowane, wrodzoną zmyślnością przybierają cechy wielkiego świata. Prowincyonalizm, parafiaństwo tak powszechne u mężczyzn, nadające ich obcowaniu coś szorstkiego, coś gburowatego, albo jeżeli nie są zupełnie obrani z grzeczności, coś ckliwego w jéj wyrażaniu, rzadko kiedy spostrzedz się daje w kobiecie. Jeżeli jaki nasz współobywatel, zmuszony okolicznościami, przenosi się z ciasnego koła, w którym żywot prowincyonalny płużył, na to obszerne pole, co je wielkim światem zowiemy, najczęściéj się na nim pokaże nieobyłym, nudnym, i byle tam przedłużył swój pobyt, niezawodnie drwiarze salonowi wezmą go na fundusz; i ani się domyśli, że jego kosztem wszyscy się bawią. Nasza kobieta owszem, jeżeli przypadkiem przeniesie się z prowincyi do stolicy, jeżeli się pokaże w najwykwintniejszém jéj towarzystwie, na wstępie w niém znajduje się na swojém miejscu, i częstokroć zarówno pobudzi dla siebie uwielbienie jednéj płci, a zazdrość drugiéj. I pani Ściborowa, prawdziwa Polka, lubo nigdy nie przestąpiła granic swojéj prowincyi, w każdéj stolicy stałaby się ozdobą towarzystwa.

Skoro ona przyszła, rozmowa odwróciła się od wyborów i spraw obywatelskich, a skierowała się samorzutnie ku ostatnim romansom francuzkim, ku koryfeuszom naszéj jeszcze tak ubogiéj literatury; rozmawialiśmy o wychowaniu dzieci, o niedostatku środków, któremiby się wykształcić mogły zdolności przyrodzone naszéj młodzieży, o braku życia towarzyskiego, o trudnościach napotykających domy, któreby rade osiąść na stałe mieszkanie w stolicach prowincyonalnych. Jéj rozmowa była malownicza, wrażliwa, dowcipna, nawet ile razy obmowa wzleciała na jéj usta, bez czego zbyt trudno, żeby długo salon się obchodził, umiała jéj nadać barwę tak przyjemną, że to było prawdziwém czarodziejstwem. Można powiedzieć, że „całkowity wydatek rozumu był z jéj strony.“ Co do mnie, odzywałem się tyle tylko, żeby rozmowa nie zastygała. A pan Ścibor milczał i słuchał: bo lubo umiał być panem u siebie, jak zwykle ci, co niewiele mają dowcipu i wyobraźni, wszakże umiał należycie oceniać rozum swojéj żony, i czuł, że ona i jego domowi i jemu samemu nie mało przydawała blasku.

Lokaje wnieśli przybór srebrny do herbaty. Pojawił się za nimi gościnny samowar z tegoż kruszcu, stół okrył się kosztownemi sprzętami wzrok pieszczącemi, a masło, ciasteczka i sucharki błysnęły między filiżankami saskiego *farforu*. Pani Ściborowa jęła przemieniać w orzeźwiający napój, ziele, którym Opatrzność wyłącznie obdarzyła jedyny naród, skrystalizowany w swojém ukształceniu, a które już weszło do składu najpierwszych potrzeb życia, nietylko wyższego, ale nawet średniego towarzystwa. To pewna, że ani obiad, ani wieczerza podobnych wrażeń nie wywołają, jakie *herbata* wznieca. Odkąd krążenie kielichów i ich symboliczny przechód z ust do ust, odpartém zostało z naszych obyczajów, obiad stracił całkowitą swoją ważność. Kiedyś był częścią życia publicznego, dziś jest zaspokojeniem potrzeby materyalnéj. Zaprzestawszy być pośrednikiem przyjaźni, obiad niczém inném odznaczyć się nie może, tylko biegłością kucharza, który go sporządził. Dziś herbata wyłącznie została godłem gościnności. Nadobna gospodyni tu się nie spuszcza na sług, sama wprawną ręką sypie ilość niezbędną aromatu, sama przedłużając rozmowę pełną wdzięku, nie spuszcza z oka samowaru, żeby w porę kipiątek odstawić od ognia. Ta chwila jest stanowcza; od niéj zależy sława gospodyni. Jest jakiś tajemniczy stósunek między kobietą a herbatą. Nigdy ona nie będzie smaczną, jeżeli ją robił mężczyzna, chociażby najwięcéj doświadczony.

Wonia z naczyń kosztownych rozlała się po całym salonie. I tu poznałem wykwintne wychowanie gospodyni, że nie było na stole szklanek, jak to się daje widzieć w domach tych, co ostateczny polor edukacyi zachwycili w towarzystwie wątpliwem. Ile razy zdarza mi się widzieć w jakim domu herbatę w szklankach, a jeszcze przy nich butelkę rumu, zawsze wyglądam, azaliż nie rozpocznie się jakaś rozmowa umysł oburzająca. Po stoliku, przy którym pije się herbata, zaraz poznać można stopień ukształcenia domu. Byłem pod urokiem upajającéj woni, i jeszcze więcéj upajającej rozmowy téj, która mnie nią częstowała, kiedy gospodarz wynagradzając sobie długie milczenie, *de noviter reperta* zaczął rozprawiać. I znowu trzeba było nasłuchać się relacyów: o jego znaczeniu w gubernii, o radach, które jest zmuszony udzielać współobywatelom, o sporach, co je zagodził, o guwernantce, którą zamyśla sprowadzić z Londynu dla swoich córek, o nadzwyczajnych zdolnościach umysłowych swojego siedmioletniego jedynaka, który już słowa szarady zgaduje i tym podobne zajmujące szczegóły. Podczas gdy się tak puszczał, żona milczała, a ja każde jéj poruszenie śledziłem. Tu poznałem wrodzony takt Polki. Niczem nie zdawała się okazywać, żeby ta soporyficzna gadatliwość jéj męża miała na niéj niemiłe sprawiać wrażenie, a jednak po jakiémś poruszeniu niższéj części jéj ust różannych, zdało mi się, że jeżeli nie przerywa mowy mężowskiéj, ani zniecierpliwiona nie odchodzi od stolika, to umiarkowanie nie było dla niéj bez kosztu. W tém marszałek dworu stanął na progu, zwiastując gotowość wieczerzy.

Pani Sciborowa podała mi rękę, i prześliśmy przez dwa pokoje do obszernéj sali. Oprócz jarzących świec na stole, z pułapu wisząca *żerandola* oświecała salę, a przy ścianach *kinkiety* uzupełniały światło. Prócz nas trojga, dwóch córeczek spadkobierczyń wdzięków matki i podżyłéj *madam* Francuzki, nikt nie siedział za stołem, srebrem zastawionym, około którego dwa tuziny gości mogłoby się pomieścić wybornie. Gospodarz od tego zaczął, że mnie przepraszał, iż głodny wstanę od stołu: bo jego kuchmistrz obłożnie zachorował, a z dwóch kucharzy jeden przed kilku dniami umarł, a drugi dnia wczorajszego wyprosił się na odpust do Poczajowa, a więc na kucheiku poprzestać musi. Ile było prawdy w téj jego relacyi, tego nie wiem; ale to pewna, że chociaż na czasie w kuchni nie zbywało, bo wieczerza była około północy, ona była dla oka, a nie dla żołądka. Na półmiskach świeżo z Petersburga sprowadzonych, pokazały się jakieś zraziki wychudzone, rzepa posiekana, kura tak twarda, że lis by się jéj odrzekł, a na *desert* jabłka

zawijane w osmażanym ciaście. Były tam wina z rozmaitemi sygnaturkami, ale smak zdradzał wspólne ich pochodzenie; podejrzywam, że one wszystkie były płodem piwnicy żyda, winiarza jego miasteczka, i że rozebrawszy chemicznie te wina, możeby się pokazało, że z pomiędzy rozlicznych ingredyencyi, wchodzących do ich składu, sok winogradowy jak najoszczędniéj był użyty. Ale to pewna, że dowcip gospodyni, aż nadto sowicie zastępował wszystkie materyalne niedostatki domu.

Po skończeniu wieczerzy, bawiliśmy jeszcze więcéj godziny w salonie. Nakoniec przyszła pora rozstania się. Uprzejmy gospodarz odprowadził mnie do gościnnego pokoju. Tu się skończyły dla mnie przyjemności domu, a pozostały same ciernie i głogi. W pokoju dla mnie przeznaczonym, wszystko dla oka było piękne; ściany były oklejone adamaszkowym szpalerem, duże zwierciadło w bogatych ramach wisiało na środkowéj ścianie, i odbijało światło lamp bronzowego pająka, wszystkie meble były z machoni; ale pokój zimny, bo od początku zimy pierwszy raz opalony, ztąd czad, który nie mógł być stłumionym, od kilku trociczek, co je łaskawy gospodarz kazał zapalić. Jak mnie samego zostawił, nowe trybulacye. — Moi ludzie piłowali mi uszy, że ich nie karmiono w pałacu, że są głodni, bo na wsi niczego dostać nie mogli; co było naturalnie kłamstwem, gdyż żyd trzymał karczmę wiejską, i tak mnie przesolił cenę owsa i siana, że bezwątpienia *pro commodo* nie musiał żałować strawy i napoju dla nich. Koniec końców rozpłaciłem się, i tém sług uspokoiłem. Ale miałem najokropniejszy nocleg, gdyż bojąc się *oczadzenia*, oka nie zmrużyłem. Chciałem szczerze zasnąć, bo byłem znużony, próbowałem przywołać sen czytaniem różnych książek, świeżo w polskim języku wydanych, a któremi w Berdyczewie się zaopatrzyłem na podróż; ale niestety! ani Lewiatan, ani Bigos hultajski, ani nawet Pisma Aleksandra Przezdzieckiego, nie były w możności mnie uśpić. Moje źrenice były zemdlone, ale obawa czadu była silniéj działająca, niżeli *morfina* rozlana w tych narkotycznych pismach. Przed wschodem słońca, wszedłem do sani z niepospolitym bólem głowy. Wyruszyłem w dalszą podróż, ledwo nie złorzecząc w duchu wszystkim pyszno-skąpskim, i ich pozłacanéj gościnności.

Charakter Słowian.

Wyjątek z dzieła A. W. Maciejowskiego: „Historya prawodawstw Słowian,“ Warszawa i Lipsk 1832—1835 roku. Tomów 4.

Słowianie mieli ciała rosłe, zdrowe i silne. Z twarzy wszyscy byli podobni sobie; toż samo z koloru włosów, oczu, z mowy i charakteru, który był prosty, otwarty i łagodny. Z natury weseli, szczególniejsze znajdowali upodobanie w muzyce; mieli oddawna wyraz *guśle* od Serbów dziś jeszcze używany, na oznaczenie muzycznego narzędzia. Byli religijni, ale się oraz gusłom i wieszczbiarstwu oddawali, i to pomiędzy niektóremi ludami słowiańskiemi, mieszkającemi z téj strony Karpat, upowszechnili. Lubili nad wszystko wolność, nie cierpieli mieć pana nad sobą. Późniéj od Greków przymuszeni żyć pod władzą pana jednego, rodakowi rządy oddali, woląc swemu raczéj, niż obcemu ulegać. Skromni w jedzeniu i napojach uczt nie lubili, łatwo znosząc głód, niedostatek i trudy. Wszakże przykrzyli sobie znosić rólnicze znoje; woleli raczéj trudnić się pasterstwem i chowem bydła: ale z czasem polubili wiejskie prace i wielce im się oddawali. Domowe ich pożycie było wzorowe. Pospolicie odbierała sobie życie żona po stracie męża, nie mogąc przeżyć jego śmierci. Z cudzoziemcami do siebie przybyłymi, jak najgościnniéj się obchodzili, i wywierali zemstę na tego, który się z przychodniem źle obszedł. Domy swe stawiali w niedostępnych miejscach, a będąc zewsząd otoczeni nieprzyjaciołmi i zawsze ich napadu lękając się, mieszkania swoje opatrywali wielu wychodami, ażeby się tém łatwiéj w razie niebezpieczeństwa uratować mogli. Z tego téż powodu mniéj dbali o wygodne mieszkania; i to zazwyczaj się składało z chałupy nieczystéj i brudnéj. W obrębie granic swych walcząc, nadludzkie okazywali męztwo. Najbardziéj lubili walczyć w ciasnych i do nagłego napadu sposobnych miejscach. Lekka zbroja najbardziéj im przystała i walka nie w szeregach, ale pojedyncza. Z wrogiem zaciętym walcząc, strzał jadem zatrutych używali: a w razie grożącego im niebezpieczeństwa, wskakiwali w wodę, pod którą długo bez utraty życia zostawać umieli. Wszakże wroga swego dopóty za nieprzyjaciela uważali, dopóki stał na placu bitwy. Z pojmanym obchodzili się łagodnie, nie obracali go na niewolnika, lecz po skończonéj wojnie pozwalali mu za okupem powracać do domu, albo jeżeli zechciał, pozostać u nich i żyć z nimi w przyjaźni. W zdrowych i pięknych mieszkając okolicach bardzo się rozmnażali, i dla tego wcześnie zaczęli w obcych krajach osady zakładać.

Przeszedłszy góry posuwali się coraz daléj na zachód i połączyli się z przedkarpackimi Słowianami, w Morawii, Czechach i nad Elbą mieszkającymi. I tych obyczaje powabnemi kolorami malują nam kronikarze niemieccy; ale ich charakter w wielu razach, różnił się od charakteru Słowian zakarpackich. Podług wyznania tychże kronikarzy, poczciwość, rzetelność, łagodność nawet względem swych nieprzyjaciół zachowana, piękne ich cechowała dusze. Był to lud pracowity i na wszystkie niewygody i trudy zahartowany; ale ucisk i przemoc Niemców zrobiły go gnuśnym i niedołężnym. Starszym i przełożonym okazywał wielkie uszanowanie. Był religijny i niczém się nie dał skłonić, ażeby, nawet gdzie tego zachodziła potrzeba, przysięgał. Gościnność aż do tego stopnia posuwał, iż osobne czcił bóstwo gośćmi się opiekujące *(Radagast)*. Charakter jego otwarty, sposób myślenia prosty i niedostępny, obyczaje łagodne; ale im bliżéj Niemiec mieszkał, tém był skrytszy lud słowiański w zawieraniu przyjaźni ostrożniejszy; wszelako z kim ją zawarł, wiernie mu jéj dochował. Bratem swoim nazywali Słowianie przedkarpaccy tego, z kim się rozmówić i zrozumieć mogli; ale o tém braterstwie zapominali ci, którzy z Niemcami sąsiadując, ich językiem przemawiać, i ich obyczajem rządzić się nawykli. Od nich to i od Prusaków, narodu niesłowiańskiego, przyjęli wiele szpetnych zwyczajów. Do tych ja liczę: zabijanie ludzi bogom na ofiarę, mordowanie nowonarodzonych dziatek i wielożeństwo, które na Pomorzu i nad Elbą u wszystkich klas ludu miało miejsce; gdy przeciwnie u innych Słowian, podobnież jak i u Scytów, tylko królom było dozwolone. Wszakże z tego co im jest wrodzone, to jest, z zamiłowania wolności, którą nad życie cenili, nigdy się nie wyzuli Słowianie; bronili jéj do upadłego i naród, który jaki lud Słowiański ujarzmił, musiał go albo wytępić, albo swobody jego zachować. Więc ażeby zawsze być w stanie obronienia tego, co najdroższém dla serc swoich mieli, zarówno kobiety, jak i mężczyźni uczyli się władać orężem. Nawet i Wenus słowiańska wyobrażoną była zbrojno.

Odkąd się Słowianie na osobne podzielili pokolenia, i osobne *narody* składać zaczęli, charakter ich w głównych zarysach wszędzie był jednaki, w szczegółach się tylko różnił. Wszakże malując charakter głównych narodów przedkarpackich i zakarpackich, nie na pojedyncze zdarzenia wzgląd mieć należy, ale potrzeba badać ogół, i ztąd pewny wyprowadzić wniosek. Dawni kronikarze tu i owdzie nieco nam w téj mierze napomknęli. Ich następcy mniemali, że

dosyć jest wiele nagromadzić szczegółów, ażeby dokładnie charakter narodu opisać, dla tego też pożądanego nie dopięli celu. Daléj w téj mierze postąpili pisarze nowsi; wszelako i z ich opisów coś dokładnego o duchu narodu, a przynajmniéj co się pierwszego okresu *) dotyczy, wyciągnąć niepodobna.

Charakter Polanów, narodu, jak się zdaje z Lachami, późniéj nazwanemi Polakami, będącego w związku, krótko ale dobitnie opisał Nestor. Samychże Lachów dzieje tego okresu roztrząsnąwszy, pokaże się, że umysł ich był jużto spokojny i łagodny, już prędki i porywczy jak nurty Wisły, któréj zamieszkiwali brzegi. Ręka zręczna tym narodem kierująca, i w duchu narodowości jego działająca, potrafiła zawsze jak miękkiemu woskowi nadać kształt, jaki sama chciała; zwłaszcza jeżeli żywy jego umysł zawsze czemsiś zająć się potrzebujący, stósownie zatrudnić umiała. Ale czemsiś użytecznem niezajęty umysł Polaka, sam się zaprzątnąć potrafił. W obradowaniu i sejmikowaniu najbardziéj sobie podobał: i to jest jego istotny żywioł, do którego zawsze tęsknił i wzdychał. Zalety jego i wady te same są któreśmy w ogólnych zarysach dopiero co opisali mówiąc o zakarpackich i przedkarpackich Słowianach. Zwykł on je odkrywać w czasie wielkich niebezpieczeństw ojczyzny i dowieść, co też istotnie już w tym okresie za czasów Władysława Łokietka światu objawił, że wszystko dla dobra powszechnego poświęcić jest gotów, niekiedy nawet i osobistą urazę. Rólnictwem, pasterstwem i łowiectwem zajmował się szczególniéj: prawodawstwo jego dostarcza na to dowodów.

W ciągu okresu drugiego, u wszystkich Słowian, włościanie a poniekąd i mieszczanie, mało co obyczaje swoje zmienili; ale będąc upośledzeni, w późniejszym zwłaszcza czasie, przez panów i szlachtę, upadlali się, gnuśnością i pijaństwem. Szczególnie też o włościanach polskich i ruskich, rozpajanych przez żydów, powiedzieć to należy. Po miastach większych, panował obyczaj i zwyczaje cudzoziemskie. Właściwy więc charakter słowiańskich ludów, jaki one w tym okresie rozwinęły, upatrywać należy w stanie wyższym.

W ogóle przyznać trzeba, że wszelkie wady, jakie się panów i szlachty czepiały, miały swój zaród w braku gruntownéj oświaty, o którą się przecież słowiańskie ludy zawsze ubiegały, ale jéj stale posieść nie mogły. To sprawiło iż panowie i szlachta, czeska też mianowicie i polska, raz popadłszy w błędy, pozbyć się ich nie mogła; dla tego, że

*) Maciejowski dzieli historyą prawodawstw słowiańskich na dwa okresy: pierwszy kończy się w XIII. i XIV. wieku, drugi w XVII. i XVIII.

będąc powierzchownie ukształcona, lubiła słuchać rozsiewanych o sobie pochwał, a za urazę poczytywała, jeżeli jéj ktoś błędy wytykał i na dobrą naprowadzał ją drogę. Co większa, łudząc się pozorem, w błędach nawet własnych pewne upatrywała zalety, a przejmując obce wady, mniemała że narodowość jéj, nietylko na tém nie szwankuje, ale owszem wznosi się i krzepi. Tak więc panowie czescy, zapatrując się na magnatów zachodniéj Europy, włoskim obyczajem pod owe czasy żyjących, włoskim odznaczali się polorem, a w ich ślady wstępując stan miejski, a poniekąd i wiejski, podobnież jak i Włosi miał upodobanie w sztukach pięknych, w próżniactwie i t. p. Wszakże wad szpetnych, mieszkańcom włoskiéj krainy właściwych, potrafił uniknąć. Czeskim obyczajem prowadzili się z początku panowie polscy; ale późniéj, mianowicie też przez królowe Francuzki, i ogólny pociąg do francuzczyzny całéj niemal Europy, francuzkie polubili obyczaje. Jednakże Polaków obyczaje nie zfrancuziały; bo Polak nie zasmakował w dowcipach i uszczypliwości francuzkiéj. Pańskiemu sposobowi życia, potakując szlachta i chętnie na ich przebywając dworach, pańskie obyczaje i zwyczaje w domach swoich zaszczepiała. Nic dziw więc, że teraz i w szlacheckich dworkach, obcym poniekąd obyczajem prowadzić się zaczęto, i chętnie obcemi przemawiano językami. To bardzo było na rękę cudzoziemcom, tłumnie się do słowiańskich krajów zbierającym. Uwielbiali oni polor i oświatę słowiańską, a szlachta lubiła słuchać pochwał rzęsisto sobie ztąd sypanych.

Rozmaite okoliczności wzbudzały chęć, w panach i szlachcie, podania do potomności swojego imienia. Kiedy jedni, za własną lub obcą walcząc sprawę, na polu marsowem, chlubne zbierali wawrzyny, inni, w zaciszu ukrywając się domowem, obrali sobie sądownictwo za środek do dopięcia swego celu. W Polsce zawierając umowę obywatel, i z tego powodu akt urzędowy spisując, w niego niemal cały rodowód wpisywać polecał. W Czechach pilnie wyszczególniano w prawnych wywodach, rodowitość i familijne stosunki takie, które do rzeczy wcale nie należały; i tamże częstokroć pieniano się dla tego jedynie, ażeby publiczne i prywatne archiwa, zapełnić plikami sądowych papierów. Nikt się więc dziwić temu nie będzie że u nas, na Węgrzech i w Czechach, upowszechniło się pieniactwo w wysokim stopniu, i że, jak wyraźnie w prawach naszych i czeskich powiedziano, umyślnie nabywano spory od obcych, byle się pieniać w sądach.

Z zamiłowania publicznego życia i uczęszczania na sejmiki i sądy, wylęgła się rubaszność, którą łatwo przyswoił

sobie wesoły i lekki umysł Słowianina. Ztąd poszło, że u nas i gdzieindziéj, do najpoważniejszych rozpraw mieszano żarty, najbardziéj ponurowatą twarz rozśmieszyć zdolne, i że nieraz poważne sprawy w śmiech obracano, byle innych pobudzać do śmiechu.

Atoli rząd sprężysto działający, tudzież skromne i cnotliwe słowiańskie niewiasty, potrafiły zawsze utrzymać na wodzy płeć męzką w należytych karbach przyzwoitości; bo dla obudwu miał naród wiele szacunku. Każdego niemal słowiańskiego ludu ustawy, osobne przyznały białymgłowom prawa, świadczące, jak wielce bitni i czuli Słowianie ród poważali niewieści. Burzliwy i na obradach publicznych opryskliwy Słowianin, w domowém zaciszu zupełnie się dał powodować swojéj małżonce; a przy końcu okresu tego, w publiczném nawet życiu, podług jéj woli, albo raczéj rozkazu, stawiał swe kroki.

Jan Karól Chodkiewicz.

(Charakterystyka.)

Przez Adama Naruszewicza. Warszawa 1805.

Widzieć było w Chodkiewiczu niepospolity szczęścia ludzkiego udział w saméj jego *postaci*. Oblicze z wejrzenia groźne, lecz pełne powagi; czoło wysokie, nos orli, oczy bystre i przenikające, znaki pewne wspaniałéj duszy i marsowego umysłu. Taż sama fortuna, która mu wysoki *ród* zdarzyła, nie była skąpą i w szafunku *bogactw*. Pojął w małżeństwo naprzód Zofiją Mielecką, wojewodziankę Podolską i hetmanównę wielką koronną, wdowę po Symeonie Olelkiewiczu księciu Słuckim: potém Annę Aloizyą książniczkę na Ostrogu, wojewodziankę Wołyńską: obie panie urodzeniem, wychowem, pobożnością i bogatemi wnioskami znakomite. Sam idąc przez stopnie do najwyższych w narodzie *dostojeństw*, naprzód podczaszym Litewskim i hetmanem polnym, potém starostą Żmudzkim, gubernatorem Inflant i hetmanem wielkim, naostatek wojewodą Wileńskim został. Dzieła wojenne, odniesione z nieprzyjaciół zwycięstwa, ciągły niejakiś i ustawiczny pomyślnych losów akt w życiu jego związały. Atoli rządziła nim gruntowna *cnota*, która mu we wszystkich sprawach towarzysząc, pamięć jego wiekom podawać nieustanie.

A naprzód zalecają jego *pobożność*, wiara żywa, gorliwość o nią, cześć Bogu czystem zawsze i żarliwem sercem

oddawana, usilne przed walkami modły, po nich uprzejme dziękczynienia; stateczne we wszystkie dni sobotne spowiedzi, i do stołu Pańskiego przystępowania. Nie ściskał dłoni dla rozszerzenia chwały bożéj i pożytku bliźnich, poczyniwszy w Kretyndze, w Bychowie i Krożach dostatecznie dla różnych zakonników fundusze. A kochając Boga, musiał *kochać i ojczyznę*, ile że jedno bez drugiego być nie może. Swiadkiem są tego sprawy jego i koszta łożone na obronę kraju. Miasto Bychowskie szańcami i murem, według żołnierskiéj budowli należycie opatrzył: zamek Lachowicki mocnemi twierdzami obwarował: po wielu dobrach swoich pobudował arsenały, różnym one rynsztunkiem i działami napełniwszy. Cnotę *hojności*, którą płonne umysły rozrzutem nie darami mierzą, do potrzeb tylko i nagród rozszerzając, ubogich prawdziwych wspierał, ranionych albo zasłużonych żołnierzy pieniędzmi, odzieniem, bronią, udziałem stołu, dawaniem koni obdarzał. Z łaskawości wielką sobie u obcych i swoich sławę zjednał, nie pastwiąc się nad więźniami, ale ich z honorem, darami i paszportami do swoich krajów odsyłając. Po zwycięstwie Kircholmskiem, pobitych nieprzyjaciół zwłoki, w najokazalszym sposobie, według obrządku ich religii pogrześć rozkazał lub dopuścił.

Wszystkie wyprawy jego do Inflant, *dzielności*, szczęścia i pracy będą wiekuistym dowodem. Nie było trudności w przeprawach któréjby nie przełamał: nie było miejsca tak obronnego, gdzieby zwycięzkich orłów i pogoni nie utkwił: nie było nieprzyjaciela, któregoby się uląkł i nie zgromił. Zamek Wołmierski bez klęski swoich, otwartym szturmem zdobył: Parnawę odzyskał i bronił: Rygę, Dyament, Derpt, Białykamień od szwedzkich zamachów mężnie zasłonił: a przenosząc męztwo z lądu na morze, tychże Szwedów okręty, niezwykły do wodnych przygód Litwin popalił. Kircholmskie jego zwycięstwo, w dziejach nawet obcych słynie; gdzie z trzema tysiącami jazdy, do cztérnastu tysięcy Szwedów, Niemców, Francuzów i Belgów z pola pozmiatał. Przydam tu, co mi sama prawda mówić każe, że przez tyle lat płosząc Szwedy, żadnéj bitwy nie przegrawszy, całéj téj wojny zupełnym pogromcą został. Wciągnęły go potem losy do kłótni Moskiewskich. W najtrudniejszych ojczyzny czasach wojskiem rządził: przecież choć w głodzie, nieprzyjaźniach, zazdrości, buntach żołnierskich, z ogromnemi Moskalów pułkami, krwawe zwodząc boje, sławę Rzeczypospolitéj i drobne jéj siły, które miał pod sobą, w całości zachował. Próżno mu zawiść niepomyślność pierwszéj wyprawy zarzucała: jakby wódz ten, na cel swywoli i nieposłuszeństwu cudzemu wystawiony, idąc w zapasy z domo-

wem szaleństwem a obcą potęgą, nic wiele dokazał, gdy obywatelów ocalił. Na długiéj z Władysławem expedycyi, odzyskawszy obszerne włości i prowincye, chwalebne wojsko do domu odprowadził. Nakoniec po tylu pracach i trudach podjętych, taki mu kres życia nieba zrządziły, ażeby je razem z wojną, ze wszystkich, ile ich prowadził, największą dokończył.

Był Chodkiewicz z przyrodzenia i zwyczaju na wszystkie wojenne fatygi i niewczasy nad spodziw otwardniały. Czułość, głód, upały, zimna, miękkich pieskliwców postrach wyrodny, bardziéj go jeszcze w statku krzepiły. Nie zaspał nigdy na pomyślne okazye: nie żałował kosztów na pomyślne szpiegi: a w rychłém i porządném szykowaniu tak był dzielny, że się z największemi w starożytności wodzami równał. Umiał geometryą i architekturę żołnierską: w językach różnych był biegły. Piękne konie, siedzenia, rynsztunek wojenny wielce kochał, i w nie się aż do okazałości sposobił. Słowem, z twarzy, głosu, giestu, chodu, odzienia, do wojny od natury uformowany. Mówił krótko, zwięźle i żarliwie w obozie jak żołnierz, w radzie jak senator. Z powagą słodycz, grzeczność i wesołość w prywatnych posiedzeniach łączył: chyba że w nim przy końcu melancholia górę wzięła, któréj z różnych chorób, pracy i troskliwości naciągnął, mianowicie podczas wojen moskiewskich, dla rozpusty żołnierskiéj, a zazdrości równych. Wyprawa Chocimska, nie taka jak żądał, umysł jego obszerny w szczupłym nader obrębie zacieśniony, do większego jeszcze smutku przywiodła. Często się wydawał z niepomiarkowaną cholerą, nie umiejąc powściągać pierwszych gniewu zapędów, mianowicie na wojnie tureckiéj: dla któréj przyczyny wielu go żołnierzów nie lubiło. Przyznać jednak należy, że gdyby w rozhukanem konfederacką i moskiewską rozpustą wojsku, karności nie utrzymał, stracilibyśmy dawno już skołataną tylą przeciwnościami ojczyznę. Żył lat sześćdziesiąt, przebywszy zawsze prawie w polu i na koniu około cztérdziestu. Ciało zmarłego z Chocimia do Kamieńca, potem do Ostroga przeniesione, w grobie od żony zbudowanym złożone spoczywa.

D.

Podróże.

Góry Tatry.

Przez S. Goszczyńskiego z „Dziennika podróży do Tatrów.“

Petersburg 1853.

(Str. 5.)

Kto choć raz w życiu nie oddychał górskiém powietrzem; kto go nie skosztował z przyprawą świeżości porannéj; ten nigdy nie pojmie téj tajemniczéj, błogosławionej władzy, jaką góry wywierają na wszystkie zmysły, uczucia, na całą istotę człowieka. Zdaje się, że przyroda rozkochana we wdziękach Boga, weselsza tutaj niż gdzieindziéj, swobodniejsza, udziela swojego szczęścia każdemu, co na równi z nią Boga czuć potrafi.

Jechałem w ciągłém zachwyceniu. Las świerkowy ciągle prawie towarzyszył naszéj drodze. Niekiedy uchylał się a w ówczas powitała nas z boku jakaś rozkoszna dolina, jakaś góra naga w swojéj wysokości od stóp aż do szczytu; czasem błysnęła Białka, rzeczułka grająca wiecznym szumem, głuchym jak z przepaści. Minęliśmy Niebieską dolinę; polany: Głudową i Klinkowkę. Droga wciąż prawie spuszczała się ku dołowi. Naraz ujrzeliśmy się na polanie, zwanéj Łysa, przy brzegu Białki, u stóp Wołoszyna. Do koła jeżyły się Tatry, w niższéj połowie świerkami ocienione, wyżéj ciemne — plączącém się kozodrzewem, a jeszcze wyżéj — nagie. Wstąpiłem tam do gmachu, do którego przez sen oddalenia tak długo tęskniłem!

Nagi Wołoszyn, zaledwie nędzną murawą i mchem przystrojony, z głową przypruszoną śniegiem, stał tu jak odźwierny.

Pojrzałem do koła! Setne wąwozy rozbiegały się w różnych kierunkach, pomiędzy góry rozmaitego składu, rozmaitéj postawy i wysokości; z każdego wybiegał potok i zapraszał do siebie; obiecywał przewodniczyć do tajemnic, których świadomość on sam tylko posiada. Ale lat potrzeba, żeby wszystko obejrzeć w tobie, olbrzymi grodzie przez samego Twórcę zbudowany!

Od Łyséj polany droga zwracała się nieznacznie ku za-

chodowi, wciąż nad Białką, wciąż po pod skałami i lasami, gdzie jeszcze przed kilku laty było gniazdo zbójców. Przesliśmy dolinę i potok Wołoszyn, który jest jednym z wód, zwanych Cieplicami, że w czasie najtęższéj zimy nie zamarza. Około godziny dziesiątéj zatrzymaliśmy się dla posiłku. Kto się wybiera w góry, nie powinien zaniedbywać dobrego zapasu żywności; trudno sobie wyobrazić, jak powietrze górskie i woda górska trawią dzielnie i budzą łaknienie. Miejsce, gdzieśmy popasali, była to mała równinka; za Białką, na uboczu góry, leżała polana Białowoda; na południe szła droga ku Morskiemu oku; od zachodu mieliśmy dolinę *Rostok* z potokiem tegoż nazwiska, który wypływa z Pięciustawów i wpada do Białki, tuż przy naszych nogach; on właśnie miał nas prowadzić do swoich źródeł. Żadnéj drogi w to miejsce; dolina wąska i głęboka na kilkaset sążni, jéj boki spadziste aż do samego potoku, łoże podnoszące się za każdym krokiem, ścieżka z początku zwłaszcza, nadzwyczajnie przykra, bo aniśmy spostrzegli, że się znajdujemy na wysokości na jakiéj dotąd nie byłem, przy granicy już, która dzieli państwo świerków od państwa kozodrzewi, w strefie wiecznych zjawisk najokropniéjszéj burzy letniéj i zimowéj. Około pół godziny drapaliśmy się pod górę, wydającą się pagórkiem kilkunastu kroków, przy ogromie mas dokoła siedzących; cała jéj powierzchnia nasterczona kamieniami, okryta grubą mchów powłoką, która żywi gęste krzewy borówek, najpiękniejszych truskawek i poziomek; między szczelinami kamieni przyjmowały się jeszcze gęsto świerki. Z nagiego grzbietu, na którymśmy weszli, pokazano nam w niezmiernéj wysokości dwie dzikie kozy. Gołemu oku wydawały się one na tle nagich głazów jak dwie czerwonawe plamki; dopiero przy pomocy perspektywy rozpoznaliśmy, że się jedna pasła, a druga leżała. Nasz przewodnik z tego powodu opowiadał nam polowanie na to zwierzę; w tém n. p. miejscu, któreśmy przed oczyma mieli, strzelcy rozstawiają się po wiadomych sobie przesmykach, u podnóża góry lub na jéj uboczu; jeden idzie grzbietami i spuszsza ciągle kamienie; kamień niezatrzymany niczém dla nadzwyczajnéj gór spadzistości stacza się aż do dołu i płoszy kozy; tak spłoszone uciekają i trafiają na strzelców.

Patrząc na te góry ledwo wierzyć można, żeby je kiedykolwiek ludzka stopa dotknęła, strzelcy jednak biegają po nich jak po równinie, a to może dać wyobrażenie o nadzwyczajnéj odwadze i zręczności górali.

Jest jeszcze inny rodzaj polowania na kozy, pojedyńczo. Strzelec zaopatrzony w żywność na dni kilka, udaje się w góry; upatruje stanowisko, zazwyczaj w jakiemś miejscu niedostępném, przyczaja się w skałach i czeka zwierzyny. Wiadomy miejsc i obyczajów zwierza, najczęściéj prędko go ujrzy. Zdarza się, że upragniona zdobycz gdzieś tam w przepaści pod jego nogami, wtedy kładzie się na kamienie połową ciała wychylony nad przepaść, i w téj postawie daje ognia do kozy. Do takich strzałów kul tylko używają.

Najprzykrzejsze a nawet niebezpieczne położenie takiego strzelca, kiedy go w podobném miejscu mgła zaskoczy; a mgły, zwłaszcza na Krywaniu, są tak gęste, że człowiek śród nich nóg własnych widzieć nie może, i trwają czasem kilkadziesiąt godzin. Wtedy to przydaje się zapas żywności: bo nie pozostaje tylko siedzieć w miejscu i czekać, aż się mgła usunie.

Odpocząwszy spuściliśmy się z góry ku wodom *Rostoka*, i już odtąd wciąż pilnowaliśmy się jego tysiącznych wodospadów, podnosząc się coraz wyżéj. Drogę tu mieliśmy cokolwiek wygodniejszą, chociaż głazy i drzewa postrącane od wichrów, deszczów i lawin, toż głębokie łoża potoków, suche dzisiaj i zawalone niezmiernemi głazami, ale za pierwszą ulewą pełne i groźne jak potop, stawiały nam częste przeszkody. Za to kilkaset sążniowe ściany skaliste, obwieszane drzewem a często kozami, liczne wody snujące się przez całą ich wysokość, opoki oblane wilgocią, błyszczące jak kryształ, i tysiąc innych obrazów co krok rozmaitych, porywających samą swoją dzikością, śladami zniszczenia, wynagradzały nam wszelkie trudy.

Z miejsca, gdzieśmy wkraczali do strefy już kozodrzewia, ujrzeliśmy nakoniec *Siklawą wodę;* jest to wodospad utworzony przez *Rostok*, a zdumiewający swoją wysokością i gwałtownością. Byliśmy od niego więcéj jeszcze jak o godzinę drogi, a już nas głuchy jego szum doleciał, i rwał oczy długi, kipiący bałwan, biały jak śnieg. Im więcéj zbliżaliśmy się, tém szybciéj chęci nasze leciały naprzód, ale nie nogi: bo przeprawa tém trudniejsza. Przeszliśmy po głazach huczącego i zapienionego *Rostoku*, aby odtąd iść prawym jego brzegiem; przedarliśmy się przez gęstwy kozodrzewia, odpoczywając po każdych kilkudziesięciu krokach, tak przykro wciąż droga szła pod górę; już sądzimy być u kresu, złudzenie! Do spodu Siklawéj wody niepodobna dostąpić: bo brzegi Rostoka utworzone tam ze szczerych prostopadłych opok; musimy piąć się wyżéj. Krótka wprawdzie przeprawa, ale podobnie nużącéj nie mieliśmy dotąd: bo po uboczach to skalistych, to omszonych, a zawsze mokrych i śliskich od wilgoci. Przebyliśmy wreszcie wszystko, dościgliśmy śniegu wiekującego w cieniach skały jednolitéj z opokami, po których przewala się Siklawa woda; i zgrzani,

wpółomdleni padliśmy nań dla ochłodzenia się. O sto może kroków od nas przewalał się, grzmiał wodospad i rosił nas swojemi mgłami. Przekrojony od sterczącéj na wierzchu opoki, rzuca się on prostopadle dwoma pasmami kilkunastołokciowéj szerokości; jedno z nich w połowie spadu trafia na skałę wystającą, uderza w jéj wyżłobienie i wytryskując z niego fontanną, z tymże pędem leci daléj: a rzut wody tak jest gwałtowny, że spadający z nią kamień w to wyżłobienie, wylatuje z niego jak piłka na kilkanaście łokci w górę. Od spodu do wierzchu wodospadu można liczyć przynajmniéj 50 sążni. Lecąca woda połamana, pokłębiona, wrząca, zdaje się być tylko pianą i brylantami. Rodzi się z niéj wieczny deszczyk i zlewa w pobliższe miejsca. W niektórych położeniach słońca, zachwycający widok mają tu tworzyć liczne tęcze; nam, będącym około godziny drugiéj z południa, nie zdarzyło się coś podobnego widzieć. Dziwniejsze jeszcze zjawisko ma wydawać zima. Niepodobna, jak mi mówili strzelcy przewodnicy, wyobrazić sobie ogromu téj budowy, śmiałości tych kolumn i sklepień, piękności ozdób z lodu rozsianych pod tysiącznemi kształtami; i pewno, że takie dzieło mgły niedojrzanéj prawie, musi być nadzwyczajne.

Morskie oko w Karpatach.

Przez S. Goszczyńskiego.

(Str. 9.)

Czas naglił; dziś jeszcze mieliśmy być przy Morskiém oku. Musiałem gwałt zadać oczom i upojonym czuciom, i pożegnać wodospad. Pięcio-stawy były teraz celem naszéj podróży. Ta sama woda przewodniczyła daléj, drogą równie trudzącą po głazach i siatce kozodrzewia. Sto kilkadziesiąt sążni przestrzeni pochyłéj, a raczéj ubocza i to przykrego, po którém śród zwaliska głazów szumi i huczy potok, także wodospad, ale nieco wolniejszy i węższy jak Siklawa woda, postawiły mię w okolicy, jakiéj nic podobnego oczy moje dotąd nie widziały, a nawet wyobraźnia nigdy nie przedstawiła. Znalazłem się wśród pustyni skał, w całém znaczeniu tego wyrazu. Wyliczyć mógłbym przedmioty, które zapełniały ten przestwór mil kilku: pięć jezior, — nad jedném z nich stałem; gdzie niegdzie nad wodą zarośle kozodrzewin, kępa darniny, plamka mchu, kilka żółtych kwiatków jaskru, pliszka niby zabłąkana, zresztą pan téj całéj dziedziny, kamień. Gdybym jednak był olbrzymem i chciał pustelnicze życie prowadzić, obrałbym bez wahania się to

miejsce na moję pieczarę, tyle znalazłem w niém uroku przy najdzikszéj samotności.

Łańcuch gór podniebnych, gładkich, nagich, bez kosmyka trawy, w ogromne koło zamknięte zatoczony, jak kocieł; dno jego we trzy piętra: najniższe zalane okrągłém jeziorem, z którego wypływa potok, tworzący Siklawą wodę; brzegi jeziora uzielenione gdzie niegdzie kozodrzewiem i trawą; po lewéj ręce, patrząc w południe, dwa mniejsze jeziórka, jedno za drugiém; po prawéj, trzecie także nie wielkie, ale na podniesieniu już znaczniejszém, a czwarte jeszcze wyższe, wszystkie zaś związane wąskiemi strumykami ze środkowém najobszerniejszém; kamienny samotny szałas nad jeziorem najwyższém, cisza grobowa tego olbrzymiego ustronia; echo Siklawéj wody, krążące nieprzerwanym szumem po szczytach zamykających dolinę, oto kilka rysów głównych tego miejsca.

Upał i czystość wody do niewypowiedzenia zachęciły mię do kąpieli w jeziorze, nad którém znalazłem się, chciałem też niby ochrzcić się, jako przypuszczony do tajemnic Tatrów; kąpiel moja bardzo krótko trwała, dla nadzwyczajnie zimnéj wody.

Rozpatrzywszy się w okolicy Pięciu-stawów: bo na ich obejście nie mieliśmy czasu, i zjadłszy obiad, ruszyliśmy ku *Morskiemu oku*. Była czwarta z południa. Kierunek nasz był na wschód. Najbliższe przejście mieliśmy przez górę Mnich zwaną, u jéj to podnóża na stronie przeciwnéj leży *Morskie oko*. Ale podobna przeprawa nie była dla nas wszystkich: samo wejrzenie na owe skały nagie, prostopadłe, już nie jednemu z nas odejmowało ochotę doświadczyć siły swojéj głowy i zręczności nóg; postanowiliśmy więc okrążyć ten szczyt a to wyboczenie nie było bez trudu i niebezpieczeństw.

Z początku doliną Pięciu-stawów, szło nam jako tako: nie było tam innych zawad, jak ogromne kotliny, zawalone kamieniami, które niegdyś były niezawodnie jeziorami, jak dziś Pięcio-stawy, ale w téj chwili zupełnie są bezwodne; dopiero stanąwszy na uboczu gór wiszących nad Rostokiem, poznaliśmy, co to jest przeprawa przez podobne góry i zawrót głowy. Można to sobie wyobrazić jakokolwiek, przedstawiwszy górę tak wysoką, że dolina Rostok długa przynajmniéj półtory mili, zdawała się niemieć jak kilka set sążni, a przytém gładką, prostopadłą, niemal ścieżkę równoległą do dna przepaści, po śliskich trawach, zaledwie poznaczoną śladami kóz i strzelców. Dla mnie była to chwila przypomnienia sobie rozkoszy niebezpieczeństw. Jest to jedno z tych miejsc, które mniéj śmieli przebywają tym spo-

sobem, że im zawięzują oczy i postępują prowadzeni przez dwóch górali, z których jeden idzie przodem, a drugi z tyłu.

Co do mnie, mogę pochlubić się, że sami górale oddawali sprawiedliwość śmiałości i zręczności, jakie okazywałem w téj przeprawie. Byłem zawsze na przodzie i w znacznem oddaleniu od reszty towarzystwa. Ileż razy, chcąc wypocząć, nie mógłem inaczéj, tylko oparłszy się o górę, któréj bokiem szedłem; takiéj prostopadłości są te ściany, a wtedy pod nogami miałem przepaść, nad którą podemną tylko orły krążyły. Po takiéj przeprawie dościgliśmy wreszcie grzbietu Świstowéj góry. Z téj wysokości, w ogromnéj pod nami głębi, dojrzeliśmy *Morskie oko;* wtedy poznaliśmy, jak znacznie wyżéj leżą Pięcio-stawy.

Około szóstéj stanęliśmy nad *Morskiem okiem.* To miejsce, dla jego przystępności z powodu wygodnéj drogi (nie téj, którą myśmy wzięli), jest jedném z tych miejsc w Tatrach, które wielu bardzo zwiedza, podziwia, a nie jeden opisuje. *Morskie oko* ma swoją piękność niepospolitą, a sobie tylko właściwą. Jest to wielka masa wody, zamknięta w jeziorze okrągłém, którego powierzchnia zajmuje 70 morgów; brzegów tak rozległych, że człowieka stojącego na brzegu przeciwnym dojrzeć nie można, tak mniejszém wydaje się z powodu olbrzymich wysokości, które je dokoła otaczają. W nadziei, że się prędko dostaniemy do brzegu przeciwnego, usiedliśmy na stojący tam statek (rodzaj promu) i w pięć wioseł silnie pędziliśmy; wpół godziny pokazało się z oddalenia brzegów, żeśmy jeszcze w połowie nie byli; późniéj strzelaliśmy kulami, ale te przy wszystkich swoich podskokach, nie dosięgały nigdy ani połowy jeziora.

Głębia *Morskiego oka* jest niezmierzona. Może nie jest bez zasady to twierdzenie, że jezioro to łączy się z morzem, że woda jego z morza przychodzi; bądź co bądź, głębokość jeziora w pewnéj odległości od brzegów dotąd nie jest dociecżona.

Na środku *Morskiego oka* jest wir wielki.

Ryby dają się tu widzieć, a czasem nieznanego rodzaju. Powiadał mi człowiek wiarogodny i miał na to świadków, że w roku zeszłym ukazała się im niedaleko brzegu ryba z głową nad wodę podniesioną, do kociéj podobną. Górale także powiadają, że przed laty kilkunastu, jakaś ryba nieznana im porywała pijące owce a szczególniéj czarne; pasterze zasadzali się ze strzelbą, dali do niéj ognia skoro się pokazała i odtąd już jéj nie widzieli.

Przezroczystość wody *Morskiego oka* jest rzeczywiście więcéj niż szklanna; przypomina to co wiemy o przezroczystości wody północnych stron Oceanu: na dnie kilkunasto-sążniowéj głębokości widzisz najdrobniejsze prawie przedmioty, jak za szkłem.

Dwoma głównie przedmiotami, godnemi widzenia, odznacza się okolica *Morskiego oka.* — Pierwszym jest jezioro zwane *Czarny staw.* Leży ono we wschodniéj stronie *Morskiego oka*, w obrębie tychże samych szczytów nadbrzeżnych, ale na podniesieniu wyższém, mniéj więcéj o sto sążni. Jest to jakby ustęp w skałach *Morskiego oka*, wodą zapełniony. Woda jego wylewa się w potoku, rodzaju wodospadu, i spływa do *Morskiego oka.*

Od południa znowu stoi góra skalista, *Mnich* zwana. Ma on w saméj rzeczy podobieństwo siedzącego zakonnika z odrzuconym kapturem, a dłuższe wpatrzenie się, daje dokładnie rozpoznać twarz, brodę i inne części ludzkiéj postawy.

Nie wiele wód zewnętrznych zasila *Morskie oko.* Oprócz wodospadu z *Czarnego stawu* i potoku, który się spuszcza po przepaścistéj skale ze strony zachodniéj, innych wód nie dostrzegłem: zdaje się, że główny zapas wody tego jeziora na dnie jego być musi, gdyż odchód wody tworzącéj Białkę, każe się domyślać obfitego jéj przypływu.

Zajmującym także szczegółem tego miejsca, jest echo, zwłaszcza echo wystrzału z ręcznéj broni. Trwa ono minut kilka, jak grzmot największy, obchodzi dokoła jezioro, i w chwili kiedy głuchnie w jednym punkcie, odzywa się w drugim z tém większą siłą.

Gasnący dzień nakazywał pożegnać rozkoszną tę okolicę. Słoneczna łuna błąkała się jeszcze po szczytach nadbrzeżnych, ale w dolinie *Morskiego oka* zmrok już szarzał. Strzeliliśmy kilka razy na odjezdnem i pożegnawszy się przez echo z okolicznemi górami, wsiedliśmy na konie, czekające nas przy *Morskiem oku* i wróciliśmy do Leśniczowstwa tą samą drogą, która nas aż do Rostoku przeprowadziła.

Pasterstwo w Tatrach.

Przez S. Goszczyńskiego.

(Str. 30.)

Trzeba go widzieć, trzeba widzieć górala, jego życie i jego góry w porze pasterskiéj. W rzeczy saméj jest co widzieć. Ale wtedy pomijaj wioski i chaty, drzyj się po górach, szukaj miejsc najustronniejszych, wystawiaj się na upał, nie dosypiaj nawet nocy: bo tylko tam i takim sposobem zobaczysz górala w jego żywiole, pokochasz wdzięk jego życia, którego w zupełności słowa nie wydadzą! —

Pasterstwo w Tatrach ma swoją organizacyą; dłuższa zima w Tatrach niż w górach niższych; jałowość Tatrów a nawet w porze płodniejszéj rzadkość pastwisk czyli *polan*, zmuszają największą część Podhalan, szukać swojemu dobytkowi pożywienia letniego w oddaleńszych miejscach, w przedgórzach; jest to konieczne dla handlu nabiałem a mianowicie serami, który jest najważniejszy dla górali. Na ten cel każda wieś ma kilku lub kilkunastu gospodarzy porządniejszych, przedsiębierców niejako, trudniących się przez lato wyłącznie tym przemysłem; jednemu więc z nich na mocy pewnych układów, pewna liczba mieszkańców powierza swoje bydło. Jego już jest powinnością wyżywić trzodę, zebrać nabiał, robić sery i t. d.

Taki naczelny pasterz, zowie się *Baca*. Ma on do pomocy w tém gospodarstwie kilku lub kilkunastu pasterzy od niego zależnych, poddanych jego kierunkowi, którzy się zowią *Juhasami*. Jest to zazwyczaj najdorodniejsza młodzież. Ich obowiązkiem paść powierzoną im trzodę, pilnować jéj, opatrywać ją, doić krowy, owce i kozy, warzyć *rzętycę* czyli serwatkę, urządzać masło, robić sery i t. p.: — pod kierunkiem *Bacy*, który jest naczelnym wodzem Juhasów i trzody, a pełnomocnikiem odpowiedzialnym przed właścicielami powierzonego mu dobytku.

Baca też zawiera umowy o *polany*, bądź z właścicielem jakiéj wsi, bądź z gromadą. Osnowa umowy jest zwykle ta, że mu wolno, jeżeli ma do czynienia z gromadą, wypasać swoję trzodę po wszystkich polach, łąkach i lasach, w obrębie téj wsi; a po całéj własności prywatnéj, jeżeli ma do czynienia z pojedyńczym właścicielem.

Z resztą różne są rodzaje tych umów, stósowne do zobopólnego przyzwolenia obu stron. — Właściciel ma prawo oznaczać miejsca na koszary, czyli nocne stanowiska trzody; według tego jak chce sobie użyznić pewne miejsce nawozem trzody. Stósunek jest często kilkunasto- a nawet kilkadziesiąt-letni; dlatego, pośrodku podobnych wypasów stoi porządna, drewniana budowa; służy ona *Bacy* za dom, Juhasom za przytułek; tam nadto składają się wszelkie naczynia pasterskie, urządza się i przechowuje nabiał; jestto zarazem mieszkanie, fabryka, magazyn, a nawet sklep handlowy.

Budynek ten zowie się *bacówka* — czasem *szałas* albo *koliba*. Jest on zwykle porządny; z dobrego i gładko obrobionego drzewa, jak wszystkie budowy góralów, o jednéj lub dwu izbach, o jednych drzwiach, okien niema prawie żadnych.

Pośrodku *bacówki* leży wielki kamień, na którym rozniecа się ognisko; pod ścianami są łóżka ze mchu i paproci; naczynia do nabiału lub z nabiałem są rozmieszczone po półkach, lub rozwieszone po ścianach.

Życie zwyczajne pasterzy podczas letniego koczowania jest bardzo skromne; całym ich pokarmem chléb i nabiał, a głównie *rzętyca*, czyli przewarzona mieszanina mleka wszelkiego rodzaju. Jest to rodzaj naszéj serwatki, tylko bez porównania smaczniejszy, gęstszy i posilniejszy. Własność jéj lecząca z osłabienia ciała przez wycieńczenie, znana jest sąsiadom Karpat. Z początku sprawia rozwolnienie żołądka, ale po dniach kilku zaczyna wzmacniać i tuczyć. Psy pasterskie nie znają także innego pokarmu tylko *rzętycę* i mają się jak najlepiéj.

Niekiedy, wyjątkowo, wyprawiają sobie Juhasy pasterskie uczty. Dzień to zwykle świąteczny a pora nocna, kiedy trzoda odpoczywa już zamknięta w koszarach. Wówczas dopiero jest na stole i mięso, wódka krąży w kieliszkach; wówczas przy śpiewach i muzyce ma téż miejsce i taniec. A jak ta zabawa jest prawdziwą zabawą, można to pojąć, przeniosłszy się myślą w kraj równie piękny, pod niebo równie wypogodzone, w dusze równie swobodne.

Życie to pasterskie rozpoczyna się powszechnie w pierwszych dniach Czerwca, a zamyka się w pierwszych dniach Września. Przez cały ten czas Podhale przedstawia widoki nieznane krajom równym, o których nie można mieć prawdziwego wyobrażenia, nie dotknąwszy ich własnemi zmysłami.

Ile tylko roślinne państwo ma płodności pod tchnieniem wiosny, ile tylko życia i uroku może mieć pasterstwo, wszystko to w owych trzech miesiącach zalewa tę okolicę. Wiosna pełna objawia się tu właściwie dopiero w końcu Maja; za to téż objawia się od razu pełniéj, niż gdziekolwiek indziéj.

Roślinność przytłumiona długiém zimnem, rozwija się w dwójnasób szybciéj i bujniéj; zaledwie można się postrzedz na jéj przejściu z martwoty do pełnego życia. Cała okolica wychodzi od razu w swoim stroju świątecznym. W owych to dniach ostatnich Maja rozpoczyna się pasterska wędrówka górali, rozlewa się z głębi Tatrów na kraj okoliczny. Ruch ten prześliczny, podnosi jeszcze bardziéj młode życie przyrody.

Widzisz naprzód, jak w oddaleniu, z ciemnéj głębi Tatrów wysuwają się ciemne karawany, nierozpoznane jeszcze; powoli zbliżają się ku tobie, coraz wyraźniejsze, coraz ogromniejsze, wkrótce kupią się wszystkie w dolinie, zalewają jéj przestrzeń, przesuwają się po niéj; zaczynasz rozróżniać

w tym tłumie ludzi, konie, bydło wszelkiego rodzaju, wozy naładowane różnemi sprzętami; po pewnym czasie tłum ten zaczyna się rozdzielać na różne drogi, w różnych kierunkach; każdy oddział zmierza ku przedgórzom aż póki wszystkie nie znikną w setnych wąwozach; ale za to jutro widzisz już wszystkie góry, lasy, polany zaludnione trzodami; słyszysz ze wszystkich stron dzwonki zawieszone u szyi bydląt; zewsząd uderza cię granie fletów, skrzypcy; ze wszystkich szczytów rozlega się śpiew pasterzy, a dzikie skały odpowiadają ich hukaniu.

W téj to porze trzeba poznać góry, a kto je tak pozna temu trudno nie pokochać ich i później nie tęsknić za niemi!

Dzieci góralskie.

Przez S. Goszczyńskiego.

(Str. 25.)

Z rana obiegłem płaszczyznę ku Węgrom, byłem aż na Lisowéj skale. Dochodząc do niéj miałem widok, który mię mocno zajął. — Dokoła pasły się trzody, a na śpiczastym szczycie Lisowéj skały, kilkunastu pastuszków, dzieci jeszcze, śpiewali i tańczyli. Coś dziwnego było w tym widoku, Ich strój góralski obcisły, krótki, ich guńki spuszczone z rękawków, zapięte tylko pod szyją, ulatujące śród tańca; ich ruchy szybkie, zwinne, polotne, a wszystko to w blasku podnoszącego się słońca, przedstawiło mi jakąś fantastyczną grupę nadpowietrznych tancerzy.

W istocie dzieci góralskie nie są to nasze zwyczajne chłopskie dzieci. Natura ziemi rodzinnéj, rodzaj życia i zatrudnień rozbudzający silnie wszelkie władze, konieczność fizyczna ciągłego pasowania się z trudami, z niebezpieczeństwami, samo powietrze ostre, ale czyste i lekkie, zresztą pewna swoboda nieznana wieśniakom innych okolic, sprawują to, że dzieci góralskie szybciéj się rozwijają jak inne. W tém drobném ciałku widzisz już dotykalnie pełny zaród przyszłego górala, jego dobre i złe własności. Widzisz już w tém chłopięciu taką zręczność, przytomność, śmiałość, taki dowcip, a razem taki upór, taką zaciętość, że nie znajdziesz tego w równym stopniu u dzieci innych okolic. Słyszałem wiele o tém. Ażeby dać próbkę ich zręczności, opowiem tylko jak polują na węże. Sposób wprawdzie prosty, ale wymaga zręczności i odwagi.

Skoro ujrzy węża, rzuca się młody góral na niego skokiem rysia i w témże mgnieniu oka chwyta go dwoma palcami jednéj ręki za szyjkę przy saméj głowie, a drugą ręką za ogon, i już go ma w swojéj mocy. Następnie, żeby go zrobić zupełnie nieszkodliwym, wkłada mu w pyszczek brzeg swojego kapelusza. Jak tylko wąż schwycił go i ścisnął zębami, chłopak jedném szarpnięciem kapelusza, wyrywa wężowi zęby i wtedy jest już z nim bezpieczny.

Oto inna powiastka, malująca już w dzieciach twardość charakteru góralskiego.

Dwóch kilkoletnich chłopaków zajrzało w jednéj skale gniazdo jakiegoś ptaszka. Skała wysoka i tak przykra, że z dołu niepodobna dostać się do gniazda, ale można się wdrapać na szczyt, a gniazdo leżało blizko szczytu. — Biorą się więc na taki sposób. Wyłażą na wierzch, jeden kładzie się na głazie, który wystawał nad gniazdem, bierze drugiego za nogi i spuszcza go ku gniazdu, głową w dół. Pomysł udał się; gniazdo zdobyte z pisklętami, które się w niém znajdowały. Ale rozpoczyna się spór w tém samém położeniu obu: jeden leży na skale, a drugi wisi w powietrzu na łasce leżącego. Leżący wymawia sobie najprzód taki udział w zdobyczy, że wiszący nie chce na to przystać; pierwszy zagraża, że go puści, drugi nie zważa na to. Ciągnie się ten spór dosyć długo, a kiedy zdobywca gniazda nie dał się pokonać groźbą, pierwszy uskutecznia ją i puszcza drugiego. Wysokość była znaczna, — zacięty chłopak nie zabił się wprawdzie, ale się bardzo pokaleczył, a podobno nawet złamał sobie rękę czy nogę. Ale postawił na swojem. Oto są górale; w zawiązku swojego charakteru, który z latami się rozwija i wzmacnia.

Źródlisko Czarnego Dunajca.

Przez S. Goszczyńskiego.

(Str. 20.)

Około piątéj z południa stanęliśmy przy *Źródle Czarnego Dunajca.* W téj chwili głównie nim się zająłem. Wybucha on wielkiemi bałwanami, z wielkim szumem z otworu pieczary, znajdującéj się u podnóża Upłazu. Naga skalista ściana, dosyć wysoka, podnosi się dokoła otworu. Jest ona gościnną księgą dla zwiedzających dolinę Kościeliską. Miękki jéj kamień okryty jest napisami rozmaitego kształtu, rozmaitéj mowy, rozmaitéj treści; imionami i nazwiskami osób wszelkiéj płci wieku, stanu i narodu. Jakiejkolwiek są one wagi, mnie zajmowało głównie i źródło i pieczara, z któréj biło. Zaostrzały moją ciekawość rozliczne o nich wieści. Jedni

powiadali, że zwiedzano ją z pochodniami, że po długiéj, trudnéj i chłodnéj podziemnéj wędrówce, dotarto nareszcie do ogromnéj sali, ozdobnéj kolumnami i sztukateryami z kamienia tak jasnego, że przy blasku pochodni sala świeciła niby dyamentowa; że w pośrodku sali leży małe jeziórko, właściwe źródło Dunajca: odtrąciwszy przydatki o podziemnych mostkach na podziemnym Dunajcu, wierzyłem w salę i zdobiące ją sztukaterye. Inni utrzymywali, że tę salę wykuli górnicy, dobywający niegdyś w tém miejscu srebro; w tém podaniu nie mógłem dostrzedz poetycznéj strony. Niektórzy twierdzili, że tém podziemiem trzy dni i trzy nocy iść potrzeba, aby dójść źródła, że nawet w końcu można się było obaczyć na szczycie jakiéjś góry; na to bym się nie odważył. Inni nakoniec zapewniali, że szperanie po pieczarze oburzało ducha, mającego tam swoje siedlisko, który w gniewie spuszczał na dolinę chmury i ulewę. Tém się nie trwożyłem i postanowiłem w ciemném siedlisku ducha rozniecić ziemskie światło. Dziś jeszcze zamierzyłem tego dopełnić. Opatrzony więc w potrzebne zapasy jako to: świeczki woskowe, zapałki chemiczne, pulares i t. p. wziąłem się natychmiast do dzieła. Zapaliłem świeczkę i wszedłem w groźny, bez przesady mówiąc, otwór. Kształt jego z początku foremny, sklepienie okrągło-wklęsłe, wysokość dorodnego człowieka; pod tym więc względem było mi wygodnie, ale niższa część ciała miała wiele do zniesienia. Woda nadzwyczajnie chłodna i gwałtowna, lubo z początku sięgała mało co wyżéj nad kolana, parła mnie wciąż na powrót ku żyjącemu światu; przytém dno tak jest nierówne i śliskie, że co chwila byłem w obawie upadku i całkowitego skąpania się: w takiéj walce z pędem wody nieraz pochyliłem się i zamoczyłem pod szyję prawie. Trzymałem się jednak jak mógłem, chodziło mi najwięcéj o światło, bez którego czułem, że byłoby mi źle w miejscu ciemném, nieświadomém i zalaném wodą rwącą. Mimo to, chociaż z trudem, postępowałem naprzód; szum wody coraz głuszéj rozlegał się w podziemiu; ale dotąd szedłem w prostéj linii i miałem jeszcze za towarzysza trochę blasku dziennego, zazierającego w otwór; naraz pośliznąłem się, upadłem i świeca zgasła. Chciałem korzystać z zapałek, na nic się nie przydały: powietrze w podziemiu nasiękłe wilgocią, a przytém wietrzyk mały, w skutek zapewne nadzwyczajnego pędu wody, zgasiły mi każdy siarniczek, że w końcu nie pozostawało mi, jak wycofać się. Zapaliwszy na nowo świecę przed otworem, puściłem się weń powtóre, ostrożniejszy już i pewniejszy drogi, bom ją dwa razy przeszedł i poznał. Prędko dosiągłem kresu poprzedniéj wyprawy; świecę zasłaniałem

jak mógłem, wszakże jéj światło coraz bardziéj mdlało. W zakręcie podziemia straciłem z oczu jego otwór, grube ciemności otoczyły mię do koła; bałwany wody za każdym krokiem silniéj uderzały i huczały głośniéj; stanąłem na chwilę: huk podziemny, daleki, mocniejszy od szumu tłukącéj mię po nogach fali, mieszanina tysiąca najsprzeczniejszych tonów, muzyka dzika, przeraźliwa, jakiéj nie podobnego w życiu mojém nie słyszałem: niby echo oddalonego piekła, ogłuszyły mię na prawdę. Mimowolnie uległem groźnemu wrażeniu, zdało mi się w téj chwili, że się otwierają tajniki ciemnego duchowego świata, że postacie jego nieżywe, zaczną przesuwać się przed okiem, jak poczęły już przelatywać po myślach: spodziewałem się co chwila, że trup jakiś przepłynie koło mnie na falach, że jakiś potwór nieznajomy dotąd światu, objawi mi się przy konającym blasku mojéj świeczki; uwierzyłem na chwilę w nietykalność miejsc podobnych i tajemnic podań ludowych; szedłem jednak — wkrótce pęd wody wolnieje — trafiam nogą na tram kilkołokciowy, przyglądam się mu, obrobiony widocznie ręką ludzką. Co on tu robił? tego nie potrafię wytłomaczyć. Opierając się ręką o ścianę, trafiłem na wyżłobienie i znalazłem w niém kawałki szkła potłuczonego — musiał tu więc być człowiek — i oto ujrzałem się w próżnéj przestrzeni, mającéj obwodu kilkanaście kroków, ale ze sklepieniem tak niskiem, że ledwie wyprostować się mógłem. Główny nurt szedł bokiem tego ustępu, woda zaś pokrywająca jego dno była spokojna i płytsza: zboczyłem kilka kroków, wylazłem na kamień, aby zdrętwiałe od chłodu nogi przyszły cokolwiek do siebie. Ale świeca moja coraz widoczniéj groziła zgaśnieniem. Niezważając na to, powracam znowu na dawną drogę, pomykam się do kurytarza, skąd bije nurt najmocniejszy, w tém dmuch niespodziewanego wiatru gasi mi powtórnie światło. Jedna była droga dla mnie, ta którą przyszedłem; łatwo więc, chociaż omackiem, trafiłem na nią, trzymając się przytém fali najgwałtowniejszéj i wróciłem na świat z przedsięwzięciem ponowienia wyprawy.

Tą razą puściłem się z latarnią. Wrażenie podziemnéj grozy słabiéj już na mnie działało. Większa świeca, dobrze szkłem osłoniona, pomogła mi jaśniéj widzieć podziemie. Rozpatrywałem dłużéj jaskinię, w któréj wczoraj odpoczywałem; było to proste dzieło przyrody, ozdobione tylko kroplami zgęstniałéj wilgoci. Posunąłem się daléj. Z początku zdawało mi się, że jaskinia rozgałęzia się w kilka uliczek; obejrzałem każdą: niektóre nie miały długości jak kilka łokci, inne obiegały tylko jaki głaz i łączyły się z gło-

wnym przechodem; po tym jednym obiecywałem sobie piękne odkrycia, cieszyłem się naprzód radością, któréj doznam, stanąwszy w owéj sali, która w podobném miejscu musiałaby przedstawiać coś osobliwego; ale sklepienie wycięte pod kątem, coraz się bardziéj zniżało i zwężało; chyliłem się dopóki tylko mógłem, przysiadałem, mimo to poznałem wkrótce, że daléj niktby posunąć się nie potrafił. Woda wybuchała wprawdzie z równą obfitością jak gwałtownością, ale już tylko ze szczeliny i to tak ciasnéj, żeby się przez nią żaden człowiek nie przecisnął, choćby miał odwagę pod wodą nurkować. Tu zakończyłem podziemną moją podróż i zaspokoiłem ciekawość. Jakkolwiek nie trafiłem w niéj na przedmioty nadzwyczajne, chcę jednak wierzyć, że śmielszy, czy wytrwalszy, czy szczęśliwszy odemnie potrafi głębiéj się zapuścić i odkryć te dziwa, o których podanie zapewnia. Co do mnie, z tego com dokonał i z chwili przepędzonéj w podziemiu źródła, pozostały tak żywe, tak miłe wspomnienia, że jeszcze chętniebym powtórzył tę wyprawę, i mam nadzieję, żebym nie wrócił bez zdobyczy, jeżeli nie dla oka, to dla uczuć i myśli. W niezwyczajnych tylko położeniach budzi się wnętrzne życie człowieka.

Kościelisko.

Przez S. Goszczyńskiego.

(Str. 15.)

Dunajec szumiał nam wciąż po ogromnych płytach, co mu dno uścielały; góry po obu stronach i łąki rozdołu, którym droga idzie, jaśniały świeżą zielonością, jakby śród wiosny; po lasach gwizdała wilga i drozd uczył się pieśni słowika; jedném słowem przebyliśmy tę górę bez najmniejszéj nudy. Nieraz gościniec zbiegł na odkrytą dolinę i skręcił się ku południowi. — Pojrzałem przez siebie: na tę i na tę stronę pasma wysokich gór świerkami okrytych, tylko w jedném miejscu przerwa aż do dna doliny na kilka sążni szeroka, po jednéj i po drugiéj stronie dwie ogromne skały, jak dwie kolumny w bramie, a z pomiędzy nich Czarny Dunajec wypadał — to wjazd na *Kościeliską dolinę!* Minąwszy wspomnioną bramę, ujrzeliśmy się na rozkosznéj płaskiéj dolinie, owalnego kształtu; pokrywał ją kobierzec najświeższéj darni, ocieniały dokoła góry i lasy ozdobne takim wdziękiem, że się zdawały być ulubieńszém nad inne dziełem przyrody: po prawéj ręce szumiał pod górami Dunajec; gdzie niegdzie z pomiędzy gór lesistych wytryskały nagie

szczyty, jak wieże nad okazałym grodem; droga wyprostowana, wysadzona drzewami, szła środkiem płaszczyzny i niknęła w wąwozie, który się zamykał dalekiemi górami — ta mała dolina, to przysionek *Kościeliska!* Gdzie ona zwęża się, tam się zaczyna właściwa dolina *Kościeliska.*

Ciekawy jest początek nazwiska téj doliny. Podczas jakichés wojen w Polsce, wojska nieprzyjacielskie zapędziły się aż w te strony. Górale udali, że się cofają przed większą liczbą, i tym ruchem wprowadzili nieprzyjaciół pomiędzy góry, potém przeciąwszy im w ciasnych miejscach odwrót, głazami i drzewami spuszczanemi ze szczytów, do jednego ich znieśli. Od mnóstwa nieprzyjacielskich kości, ta dolina przezwana została *Kościelisko.* Właściwie owa porażka miała mieć miejsce w dolinie, leżącéj pod Gewontem, przy drodze z Zakopanego do Kościeliska, a zwanéj dziś Biały potok; zdają się potwierdzać tę wieść rozrzucone po niéj kości ludzkie do niezliczenia. Tę klęskę według jednéj powieści mieli ponieść Szwedzi, według innéj Tatarzy.

Nazajutrz, przy pięknéj i pewnéj pogodzie, z zapasem żywności i wina, puściliśmy się na całodniową przechadzkę po dolinie.

W południowéj ścianie Upłazu znajduje się pieczara zbójców. Aby dostać się do niéj, potrzeba okrążyć tę górę od północy, przebyć jéj grzbiet i dopiero spuścić się cokolwiek na dół; cała ta droga idzie gęstym lasem, i tylko drzewa poznaczone siekierą są przewodnikiem. Pieczara wykuta jest ręką ludzką, w kształcie długiego korytarza; w ścianach ma otwory zastępujące okna, wewnątrz kamienne tamy, a w samym końcu źródło. Przed laty kilku, znaleziono przy tém źródle kości ludzkie, do podziwienia wielkie: według powieści góralskich, miały to być szczątki sławnego przed laty zbójcy z Węgier, Junoszyka. Przystęp do pieczary bardzo przykry i zasłoniony gęstwiną drzew: ale widok z niéj ogarnia całą dolinę i wszystkie góry południowe.

Wchodząc w głąb doliny, nad potokiem Pyszną, napotyka się ogromna skała, którą lud zowie Sową, dla jéj podobieństwa z tym ptakiem.

Jeszcze daléj masz nad szczytami lasu wyraźny ze skał zamek, opatrzony wszystkiemi prawie częściami murowanéj warowni.

Odtąd dolina zmienia postawę, rozszerza się i podnosi; góry stoją rozłożyściéj, parowy łagodniéj są wyżłobione i pokrewne gałęzie rozpuszczają po bokach. W tém już położeniu, na wysokim przedstopniu, leży *Smerczyn Staw.* Obszerne to dosyć jezioro, ustronnego wdzięku. Otacza je przyroda żyjąca, ale je szpeci przystęp najeżony pniami zrą-

banego lasu; sama też woda nie ma czystości wód górskich, a brzegi bagniste utrudniają zbliżenie się do niéj.

Całą tę drogę urozmaicają górnicze *banie* czyli miejsca, skąd się ruda żelazna bierze, dzisiaj zaniedbane od czasu, kiedy się odkryły obfitsze. Trafiliśmy także na dawne kopalnie srebra, które przed kilkunastu laty, czy więcéj, woda zalała. Piękne bardzo machiny mają się dotąd znajdować w głębiach wody.

Weszliśmy na Ormak w tém właśnie miejscu, gdzie się stykały podstawami swojemi dwa jego szczyty: zachodni i wschodni, a na które mówiąc nawiasem, nie mieliśmy ani chęci, ani nadziei dostać się dzisiaj, lubo z pozoru nie zdawały się być bardzo wysokie. Ale my wiedzieliśmy z doświadczenia, jak w górach ten pozór myli i co kosztuje czasu i trudu podobna omyłka: zaniechaliśmy tego tém chętniéj, że spomniony grzbiet góry albo siodło, jak go tu zowią, pokazywałby nam ze swojéj wysokości wszystko prawie, co z większéj moglibyśmy widzieć.

Było to tylko co po południu. Powietrze było jasne, spokojne, skwarne; pragnienie dokuczało, ale przedewszystkiem musieliśmy pokrzepić ciało wypoczynkiem; korzystaliśmy z téj konieczności i przez ten czas obejrzeliśmy ogół okolicy.

Niepospolity to punkt, gdzieśmy się znajdowali. W tém właśnie miejscu przechodzi graniczna linia między Galicyą a Węgrami. Kilka kroków, bo tak jest wąska płaszczyzna tego grzbietu, rozdzielają dwa narody, dwa klimata. Od północy dolina *Kościeliska*, urocza rozmaitością i całym wdziękiem wiosennéj prawie świeżości; od południa takoż dolina do Węgier już należąca, téj saméj prawie długości, tegoż samego kształtu prawie, ale bez tych rozmaitości, któremi pierwsza odznacza się; ani tych skał dziwnych, ani wód obfitych, ani dolin pobocznych, raczéj jeden wąwóz długi, głęboki, jednotonnym lasem zarosły. *Dolinę Kościeliską* ubarwia młoda wiosna, na Węgierskiéj ślady dogorywającego lata; po pierwszéj błękitnieją, żółcieją, rumienią się najdorodniejsze, najwonniejsze kwiaty, na drugiéj zaledwie gdzie niegdzie żółty jaskier; tam porywa, odświeża oczy zieloność, jak po ciepłych wiosennych deszczach, tu zwiędła już trawa i mech płowieje. Cały widok na Galicyą rozmaitszy i ma więcéj życia, na Węgry może rozleglejszy, ale bardziéj pusty; tyle lasów, tyle płaszczyzny bezludnéj, przedgórza tak oddalone, że tylko rozległością swoją zastępuje inne powaby. Mimo to wszystko rozpatrywaliśmy się w nim nie bez interesu, ochłodziliśmy się wodą z węgierskiego potoku, podjedliśmy i zeszliśmy napowrót z góry.

Pod samym Ormakiem leży piękna polana z porządną *bacówką*. Owce właśnie zeszły z gór na południowy spoczynek do koszar. Ujrzeliśmy kilku pasterzy krzątających się około *bacówki*, weszliśmy do niéj, aby napić się *rzętycy* i kupić serów. *Rzętyca* tu daleko lepsza i zdrowsza, niż w przedgórzach, leżących z tamtéj strony Nowotargskiéj doliny, a przyczyna tego w balsamiczniejszéj paszy. Z pół godziny przepędziliśmy na rozmowie z pasterzami. Z wielu względów trzeba kochać i podziwiać tych ludzi. Co to za uroda w budowie! co za życie i zręczność w każdym ruchu, jaki rozum otwarty, jaki dowcip przytomny w rozmowie! Ogólny strój tamtejszych pasterzy jest następujący: koszula krótka, po pas tylko, usmarzona w maśle, jedna na całe lato, to jest na cały czas, przez który trzody w górach się pasą; spodnie sukienne białe, obcisłe, z czerwonym szwem w nagawicach i wyszywaniem na brzuchu, z węgierska; ciżmy krótkie, przysznurowane rzemieniami do wysokości połowy łytek; szeroki pas skórzany, za pasem z lewego boku nóż duży w pochwie skórzanéj, przez plecy torba ze szpagatu, ładnie zrobiona, w kolorowe zygzaki, z ogromnemi u wierzchniéj części frenzlami; koszula pod szyją spięta wielką mosiężną spinką, czasem w kształcie medalu, czasem obrazka z licznemi łańcuszkami dosyć długiemi; rękawy koszuli sfałdowane na ramionach, a fałdy te zbiera w kształcie guzika, jakaś robótka z różnobarwnych paciórek; na głowie kapelusik z wąskiemi brzegami, okrągłym wierzchem, obwiązany amarantową wstążką i ozdobiony zieloną gałązką jakiegokolwiek drzewa; w ręku siekierka na długiéj lasce zwana *wataszką* lub *ciupagą*, a w ustach mosiężna fajeczka na kilkocalowym cybuszku. Wszystkie mosiężne ozdoby, jako spinki i także mosiężne fajeczki, wyrabiają się we wsi Ząb-suchy, niedaleko Kościeliska.

Między innemi rzeczami gadali nam *Juhasy* o zbójcach. Zwykle gnieżdżą się oni na Węgrzech, a na tę stronę gór czasami tylko dochodzą. Właśnie przed kilku dniami *Juhasy*, którzy nam to opowiadali, mieli u siebie w odwiedzinach cztérech takich zbójców. Opisywali nam ich dosyć szczegółowo. Są oni uzbrojeni od stóp do głów. Każdy z nich oprócz siekierki, noża i pistoletów, ma jeszcze ze trzy rusznice. Juhasom nie robią wiele złego; wybierają tylko z trzody kilka baranów, rzną je natychmiast, pieką, najadają się, resztę zabierają ze sobą, i w końcu przymówiwszy się o sery, odchodzą spokojnie. — A góralе spokojnie ich puszczają. Z tego pokazuje się, że nie z góralami wojnę prowadzą.

Mgła poranna w Karpatach.

Przez. S. Goszczyńskiego.

(Str. 23.)

Minęło lato. Góry śniegiem się odziewają; przedgórza występują w dzikszych coraz barwach. Polany spustoszały; ogłuchły echa pieśni pasterskich, słońce z każdym dniem widoczniéj się nudzi, z każdym dniem wcześniéj na spoczynek odchodzi. Pogoda walczy jeszcze ze mgłami, rozdrażnia sny moje krótkie. Budzę się w ciemnościach: gwiazdy iskrzą, lśni się obfita rosa: korzystam z ostatnich lata zabytków, chcę sobie przypomnieć letni poranek, puszczam się w góry. Zatrzymałem się na szczycie Wielkiéj góry nad Łopuszną.

Cała dolina leżała cichym snem pod memi nogami. Księżyc spuszczał się bezchmurném niebem do zachodu. Pogoda była mi tém uroczniejsza, że się zdawała być uśmiechem piękne sny marzącego; księżyc tem miléj, tém tęskniéj świecił, że tylko mnie samemu świecić się zdawał, Tatry stały uroczyście jak żeby milczącą modlitwę dumały.

I oto ze szczytu Babiéj-góry wybuchnął kłęb lekkiego tumanu i stoczył się do jéj podnóża. Wschód mocniéj płonić się począł. Jutrzenka ucieka w głębi nieba. Na kilku białych szczytach pokazały się płatki różowego blasku; od zachodu mgły się podnoszą: z początku bieleją w postaci kilku chmurek błędnych, powoli idą ku sobie, spotykają się, łączą się, gęstnieją, toczą się białym wałem cicho, uroczyście, coraz szerzéj osłaniają dolinę, już dosięgły mojego stanowiska, już je oblały dokoła, rozlewają się daléj, już dosięgły Pienin, i oto cała dolina zniknęła. Lasy i wody, wsie i pola, wzgórza i błonia, wszystko co księżyc tak pięknie przed chwilą oświecał, w téj chwili zagasło pod mgły morzem. Prawdziwe to morze. Kłęby tumanu burzą się jak poruszone fale, przelewają się przez siebie nawzajem; cała massa jednym ruchem zdaje się kołysać — cichnie — a jednostajna siwa barwa rozlewa się po powierzchni całego tego ogromu. Tatry, Pieniny, Babia-góra, zostały teraz brzegami morza, z którego łona podnoszą się gdzie niegdzie, jak ciemne wyspy, wyższe wzgórza lasami porosłe.

Wzmagający się blask świtu rozjaśnia coraz mocniéj część wschodnią mglistego morza i zaczyna rozścielać po niéj pajęczynę z barw płomiennych. Nakoniec pokazało się słońce. Tu muszę złożyć w pokorze mój pędzel malarski; nie czuję się zdolnym wyobrazić, jak słup jego pałający, niezmierzony w swéj długości, rzucił się wzdłuż mgły aż ku mojemu oku, jakiemi barwami po ruchomém tle jéj igrał, jakiego uroku był ten most tęczowy między mną, a słońcem, jakim blaskiem zajaśniało wszystko między ziemią a niebem!...

W miarę jak słońce podnosiło się, odblask jego na powierzchni tumanów zmniejszał się i ciemniał. Powiał wreszcie wiatr, zawichrzył mgłami, podniósł niektóre do wysokości mojego stanowiska....

Widowisko skończone! — zszedłem na dół; ale w zachwyceniu i poczuciu, że mi się objawiło owe *Morze Karpackie*, które podług podań, zalewało niegdyś Nowotargską dolinę!

Kraków.

Przez X. Antoniewicza.

(Str. 120.)

Zbliżając się do Krakowa, jakieś dziwne, niepojęte uczucie rozrzewnia serce, które za każdym krokiem, coraz swobodniéj i boleśniéj się rozwija. Są to w początku pojedyńcze głosy, które na dnie duszy się odzywają: głos nadziei, żalu, tęsknoty, miłości przechodzą w akordy i rozpływają się w harmonią przedziwną! Niewiem, czyś doznał w życiu chwil takich? Lecz jakież szlachetne serce onych nie doznało? Chwil, w których myśl uczuciu ustępuje, gdzie usta się uśmiechają, oko płacze, a serce nie może zdać sobie sprawy z przyczyn tego wnętrznego usposobienia i rozrzewnienia. Takie uczucie owładło duszę moją, gdym w zmroku wieczornym dostrzegł w oddali wieże kościołów krakowskich i ten zamek na Wawelu, gdym w oddali szum wezbranéj posłyszał Wisły! Była to właśnie ta godzina, tak urocza i tajemnicza, gdzie światłość dniowa poczyna się gubić w cieniach wieczornych, gdzie gwar życia przechodzi w błogą ciszę uśpienia całéj przyrody, godzina, w któréj dusza rzewniéj czuje, serce goręcéj bije, oko boleśniéj płacze, godzina, która mimowolnie myśl do nieba zwraca! To przejście dnia w noc, jakże żywo przypomina nam te przejścia bolesne w życiu naszém, ze światłości wiary, w noc powątpiewania, z uroków nadziei, w odrętwienie odludzeń; życia jasnego w Bogu, w życie świata rozwichrzone. O szczęśliwy, komu po takiéj nocy jutrzenka wiary zabłysła -- komu po takiéj ciszy, głos nadziei z nieba zadzwonił!

Ach taka godzina, tych przejść bolesnych, jest jakby godzina stała na zegarze życia, a w koło niéj, brzęczy jak rój muszek ten czas rozdrobniony na minuty, sekundy, ciągłego ruchu! Duszy naszéj uczucia są to struny lutni;

już naciągnięte, czekają tylko na rękę, któraby je potrąciła, aby się rozbrzmiały śmiechem lub płaczem! O, te godziny wieczorne, były dla mnie najpożądańszemi życia godzinami; ile mi one szczęścia i boleści przyniosły!

Tętniły kopyta końskie, na gościńcu z Wieliczki do Krakowa wiodącym. Pocztylion wśród wieczornéj ciszy, wesołe wytrębywał tony, którym gromadki dziatek, igrające pod cieniem na pół wypruchniałych, krzewą pokrytych, wierzb z taką się radością i ciekawością przysłuchiwały! Wiesz, jak miłém i ulubioném była zawsze dla mnie drzewem ta wierzba, tak polska, tak narodowa, która niestety musiała ustąpić w tak wielu miejscach, wysmukłéj, ale czczéj topoli; ta wierzba, która przez tyle już wieków, tak wiernie strzeże, ocienia, zasłania, ogradza polskie chaty. Ona zdaje się podzielać i niedolę naszą. Wyraz jéj tak smutny i bolesny; w wypruchniałym pniu dzikie roją się pszczółki, a po pożółkłych listkach białe snują się motylki; odarte z kory, mchem porosłe konary, gałęzie pocięte, a jednak ukrywa w sobie soki żywotne, i zielone latorośle ku niebu, jakby o pomoc błagając, wyciąga! Zbliżałem się do Krakowa, i przez mglistą powłokę krzyże wież krakowskich w duszę zabłysły, i coraz głośniéj szumiały fale Wisły, jakby jękom wtorując nieszczęśliwego narodu, i odezwały się srebrnem brzmieniem dzwony wieczorne, jakby wtorując modlitwom serc poranionych.

Żądałeś, abym ci pisał z Krakowa, i czynię zadość woli twojéj, zaledwie z powozu wysiadłszy. Jak długo tu pobyt mój przeciągnę niewiem, lecz pisać będę. Jeźli sądzisz, że ci będę pisał o Krakowie, bardzo się mylisz — ja ci z Krakowa pisać będę nie to, co oczy ujrzą, co uszy posłyszą, ale to co serce poczuje, to co Bóg do serca przemówi!

Jest świat wśród świata, jest Kraków wśród Krakowa, jest świat duchowy wśród świata materyalnego, świat katolicki wśród świata bezbożnego, świat praktyczny wśród świata teoryi, świat prawdy, wśród świata kłamstwa, świat od Boga ukochany, wśród świata od Boga odrzuconego; świat błogosławiony, wśród świata przeklętego! Jest Kraków chwalący, wśród Krakowa bluźniącego Bogu; Kraków Jacków, Stanisławów, Kantych, wśród Krakowa Raspailów, Rollinów, Prudhonów. Jest Kraków, który przed Bogiem i Bogarodzicą, wśród Krakowa, który przed Baalem, ideą nieraz najprzewrotniejszą, ugina kolana. Jeźli więc chcesz, abym ci pisał, pozwól więc, abym ci pisał z tego małego ukrytego Krakowa, który, jako nieustający Westalek ogień, zachowuje, żywi, podnieca w łonie swojém ten święty ogień miłości i Boga i narodu! Jak na czarném tle, złota się nić

przesuwa, tak ta złota nić polskich, świętych, narodowych wspomnień przesuwa się po tém tle, krwawém i łzawém przeszłości naszéj! To jest ta złota nić żywota, która myśl z błędnika próżnych urojeń i marzeń w dziedzinę prawdy i światła wprowadzić może. Tę nić, z głębi duszy wysnutą, snują daléj i daléj, z pokolenia w pokolenie piękne i szlachetne, miłe Bogu i ludziom, serca mieszkańców Krakowa!

Urok, jaki Kraków wywiera, nie jest urokiem dla oka, ale dla duszy. Kto z ciekawością obiegnie to miasto i zakłady i pamiątki jego, ten w krótkim czasie zaspokoiwszy zimną ciekawość swoję, niechaj nie żąda od starego Krakowa, aby go bawił, i nudne rozpraszał chwile; bo stary Kraków płacze, bo kocha, bo ufa. A kto od łez ucieka, kto wiarę utracił, kto z miłością wyziębił nadzieję, czego ma się jeszcze błąkać po tym cmętarzu grobowych przeszłości pamiątek? Bo Kraków stał się tą Jerozolimą, nad którą Jeremiasz prorok, temi duszę wskroś przenikającemi zapłakał słowy: „Jako siedzi samo miasto pełne ludu; stało się jako wdowa, pani narodów; księżna powiatów stała się hołdowną. Płacząc płakało w nocy, a łzy jego na czeluściach jego; niemasz ktoby je cieszył“.....

Z Jeremiaszem w ręku trzeba się przechodzić po ulicach Krakowa, aby zrozumieć tę boleść, w któréj tonęła dusza tego proroka Izraela. Te głosy, co jak z porwanych lutni stron się wydobywały, przenikłyby zgrozą, żalem, boleścią, dusze nasze, a na otwarte rany serca, jako balsam rosy niebieskiéj, padłyby i te słowa nadziei i pociechy, któremi Jeremiasz upadły i znękany naród swój krzepił i do Boga nawracał! — Tu każdy dom, z tym ciemnym wchodem, z temi krętemi tajemniczemi schodami, z temi potężnemi, żelazem okutemi bramami, to jak pomniki grobowe, na tym rozległym miasta cmętarzu długiemi rozłożone i krzyżujące się rzędami. Lecz jeźli chcesz szukać w Krakowie odblasku chwały polskiéj, jeźli chcesz posłyszeć oddźwięk boleści polskiéj — o wtedy ten urok dla ciebie nie będzie przemijającym objawem; za każdym krokiem nowe czarodziejskie obrazy rozwijać się będą na dnie duszy twojéj! Lecz gdzież szukać tych pamiątek chwały i boleści polskiéj? O czy nie słyszysz? Z tego powietrznego wież miasta dzwony rozkołysane na takie dają ci odpowiedź pytanie! To nie ludzkie głosy — to nie dzisiejsze głosy, to nie są głosy tych fałszywych proroków, o których mówi Ezechiel: „Biada prorokom głupim, którzy idą za duchem swoim a nic nie wiedzą... Widzą próżności, a prorokują kłamstwo, mówiąc: mówi Pan! gdyż ich Pan nie posłał... przeto że zwiedli lud mój mówiąc: pokój a niemasz pokoju — a ten budował ścianę,

a ci polepiali ją gliną bez plew. Mów do tych, którzy polepiają, bez przesady, że upadnie, bo będzie deszcz zalewający, i dam kamienie wielkie z wierzchu padające, i deszcz, wiatr wichru rozwalający... prorocy Izraelscy, którzy prorokują do Jeruzalem i widzą mu widzenie pokoju, a ono niemasz pokoju mówi Pan Bóg!... Za to, żeście zasmucali serce sprawiedliwego kłamliwie, któregom ja nie zasmucił, a zmacnialiście ręce niezbożnego, aby się nie nawrócił od drogi swojéj złéj, a żył; przeto próżności nie ujrzycie i proroctwa prorokować nie będziecie i wyrwę lud mój z ręki waszéj, a będziecie wiedzieli żem ja Pan!“

Głosy tych dzwonów, to są głosy tylu wieków! One wtórowały jękom boleści i okrzykom radości, one odprowadzały do grobu mieszkania zwłoki królów i hetmanów, one wprowadzały w bramy miasta wojsko zwycięzkie — one, gdy Polska w grobie legła nie zamilkły — ale dzwonią i ciągle dzwonią, pokąd nie wydzwonią godziny nawrócenia! Idź za głosem tych dzwonów, one cię wprowadzą w świątynię Pańską — w świątynię pamiątek narodowych! Czas i złość ludzka poniszczyły, wytępiły, poburzyły pamiątki; kościół, pod którego opieką Polska tak wielką i potężną została, dziś został stróżem téj wielkości pomników. Bojaźń i drżenie, nadzieja i pociecha porusza serce na samym wstępie do tych tak wspaniałych, bogatych, starożytnych kościołów krakowskich. — Jak niebo granitowe, potężne sklepią się nad głową mury; jak szum skrzydeł Cherubina, grzmią organy, nie u zimnych ścian, ale w gorącéj duszy jęk wywołując; na ółtarzach Bóg — a w około ółtarzów, jakoby pod strzegącém Boga samego okiem, marmurowe i spiżowe posągi; oko je wszędzie spostrzeże, serce wszędzie odgadnie, ręka się ich dotyka, noga po nich depce. — O jeźli Boga się nie boisz, zadrżyj na widok tych grobowych posągów! Oko w zimnym wykute marmurze płomieniem gniewu się roziskrzy, podniesie się grożąca granitowa ręka, a z wydrążonych spiżowych piersi, wydobędzie się głos sądu — sądu umarłych nad żywymi! „Chwała nasza to chwała Boska, usta, które Bogu bluźnią, niech nie wzywają zuchwale imienia naszego; serce rozpustą i bezbożnością roztoczone, niechaj się nie zasłania tarczą imienia naszego! Nie znacie Boga i nas nie znajcie — Bóg was nie zna, i my was znać nie chcemy! My dla ojczyzny wszystko uczyniwszy, chwałę naszą złożyliśmy w pokorze u stóp krzyża Chrystusowego! Wy coście uczynili, że gardzicie Bogiem, że nad Boga się wynosicie?“ — O! im lepiéj się wpatrzymy, wżyjemy w ten świat marmurowy, tem głośniéj odezwie się ta prawda w duszy naszéj: że Polska jakby macierzyńskiém mlekiem wiarą wykarmiona, jakby dla braku sił żywotnych, wpadła w śmiertelną niemoc, z któréj tylko wiara ją wydźwignie.

O! jeźli duch w wierze, nadziei, miłości słabnieć poczyna, idź do Krakowa, a poznasz, że jest jeszcze życie w narodzie! Idź z kościoła do kościoła, przypatrz się już nie tym marmurowym, ale tym żyjącym posągom, klęczącym u stóp ółtarzy, a posłyszysz tę ciągłą, nieustającą, rzewną modlitwę, którą Anioł narodu bez przestanku zanosi do stóp tronu boskiego! Usta twoje zawołają w radości: Kraków kocha, Kraków się modli, Kraków cierpi, a serce odpowie: w pokorze, w modlitwie, miłości, cierpieniu zbawienie nasze! — Byłem dziś na Majowém nabożeństwie, które bardzo przykładnie, przy licznem ludzi odbywa się zejściu! O! jakże nie kochać Krakowa, kiedy Kraków Matkę Boską tak kocha! — Ale już późno w noc, gwiazdeczki migają na niebie, a lampki u stóp Matki Boskiéj już pogasły, aniół pierwsze zapalił a drugie pogasił; cześć Maryi z ziemi wzniosła się ku niebu — błogosławieństwo Maryi z nieba zstąpiło na ziemię!

Poranek w Krakowie.

Przez tegoż.

(Str. 129.)

Jasny i pogodny zawitał poranek i strumieniem światła oblał Kraków i okolice jego. Promień słońca dotknął się serca dzwonu na wieży kościoła Panny Maryi i przemówił do niego: już czas, pocznij dzwonić, — pocznij kochać, — rozbudź w miłość serca uśpione! I zaczął dzwon dzwonić i wtórowały mu srebrném brzmieniem wszystkie dzwony krakowskie — i nurty Wisły, szybkim pędząc biegiem, słuchały co im dzwony mówiły i pobrzeżnym okolicom rozpowiadały, jak Kraków kocha, — jak Kraków cierpi, — a echa skał roznosiły daleko te żale! Ach! takie echa obudza w każdém wierzącém sercu głos Boga, a ten głos Boga tak silnie przemawia wśród tego Krakowa, — tego miasta boleści i miłości — przeszłości i przyszłości, — na téj kolebce i tym grobie nadziei naszéj! — Wyszedłem z domu przy pierwszym mroku dniowym przechadzając się po pustych ulicach miasta. Są chwile w życiu naszém wielkie i pamiętne wśród chwil czczych i próżnych, które niestety wypełniają większą część życia naszego. Są takie chwile i w każdym dniu, bo każdy dzień jest jakby życie skrócone. Urodzenie i śmierć — przypomina nam pierwsza i ostatnia godzina dnia każdego: — w pierwszéj porannéj godzinie życie się ro-

zwija, — w ostatniéj, wieczornéj życie ustaje, — obraz śmierci i zmartwychwstania. Cisza nocna przechodzi w gwar dniowy — niepokój dnia ciszą snu grobową się kończy. Noc miasto w cmętarz przemienia a każdy dom przestronnym staje się grobem; ale zaledwie słońce zabłyśnie, to i w te groby życie się wkrada. — Tysiące ócz wpatrują się jakby w świat nowy, — budzą się serca, a z niemi i boleść się budzi, — cierpienia i marzenia dniowe. — Odpoczynek w pracę, — uśmiech złudzenia w łzę prawdy się zmienia. Przechodząc przez te ulice, patrzałem jako z trzaskiem otwierały się bramy kamienic, — dzwoniły okna i życie w rozmaitych kształtach widzieć się dawało, — i witało człowieka, a dzwony całemu miastu dzień dobry życzyły. — Dzień dobry! — Ale komu? — czy tobie biedna matko, coś noc całą przepłakała przy łóżeczku choréj dzieciny, — czy tobie, która przy pierwszém przebudzeniu szukałaś jéj przy sercu twojém, aby pobłogosławić i przytulić do siebie, — ach napróżno — nie szukaj jéj tu, ona z nieba ciebie błogosławić będzie! — Czy dla ciebie biedna sieroto, którą miłość matki sennie ukołysała, któraś odepchnięta od ludzi ze łzami usypiała, jako ten powój, który usypia pod kroplami rosy. — Ale powój przy pierwszym brzasku dnia rozwija swój kielich i otrząsa te łzy nocne — i ty serce twoje rozwiniesz a łez nie osuszysz: — bo serce twoje na nową rozwinie się boleść! Czy tobie, biedny wyrobniku, coś na twardym kamieniu pod klasztornym murem złożył głowę twoją, — rozciągnąwszy na zimnym bruku pracą złamane kości, — tyś usnął, ale sen twój był tak ciężki i bolesny, a jeszcze cięższe i boleśniejsze stało się przebudzenie twoje! Czy tobie, biedny ojcze rodziny, coś przez noc całą przy bladym kaganku czuwał i przy ciężkiéj pracy walczył ze snu przemocą? I chciałeś nieraz jeden zdmuchnąć to słabe światełko, bo już omdlałe opadały ci ręce, ale w tém bolesne westchnienia obiły się o uszy twoje — i zerwałeś się, jakby piorunem rażony — i snem zmroczone przetarłeś oczy: — bo te westchnienia, to był jęk bolesny dzieci twoich, któreś na pół zgłodniałe zaledwie w sen ukołysał; — i rzuciłeś okiem rozpaczy na te wilgotne omszałe ściany i wspomniałeś na nędzę twoją i westchnąłeś: pół bochenka chleba, pięcioro dziatek, — trzeba pracować! — Dzień dobry! — ale komu? — Czy wam wszystkim, którzy płaczecie i cierpicie w boleściach duszy i ciała, — którym noc ulgę i pociechę przynosi, — bo przynosi chwilowe zapomnienie. Biedny Krakowie, — każde przebudzenie twoje nową jest boleścią, bo za każdym porankiem odgadniesz więcéj serc cierpiących, — uzbierasz więcéj łez bolesnych, — bo za każdym

porankiem więcéj grobów policzysz. I w każdym poranku coraz smutniéj biją dzwony twoje — coraz tęskniéj szumią Wisły fale! I cóż dzwonią te dzwony? — bądź katolikiem! i cóż szumią te fale? — bądź polakiem! — I czemu płaczesz łzami rozpaczy, kiedy możesz płakać łzami żalu: — w rozpaczy jest śmierć, a w żalu nadzieja! —

Po Mszy ś. w kościele Panny Maryi udałem się do kościoła świętéj Katarzyny należącego do klasztoru reguły świętego Augustyna. Jest to, lub raczéj był to, jeden z najpiękniejszych kościołów krakowskich, założony przez Kazimierza Wielkiego, który, jako pisze Bielski w r. 1342, sam pierwszy kamień założył i pierścień, który miał na palcu, na pamiątkę fundacyi swej rzucił. Obok tego kościoła jest klasztor zakonnic świętego Augustyna, założony za pozwoleniem króla Stefania Batorego, przez Szymona Mniszcha, kaznodzieję królewskiego, który to klasztor pierwsza przełożona Katarzyna Kłobucka murować poczęła, a Wiktorya Trojanowska w r. 1633. dokończyła. Dziś widok tego kościoła niepojętą w sercu obudza żałość: bo widok zburzonego kościoła jakiś lęk i obawę w duszy rodzi. Bóg patrzy na te rozburzone mury świątyni swojéj, a gniew Jego zdaje się grzmieć nad głowami naszemi. Świątynie Pańskie, to są te mocne warownie, które każdego i wszystkich, — rodzinę i kraj cały strzegą i bronią od napaści nieprzyjacielskiéj. Tu w świątyniach serce się oczyszcza, — myśl się rozjaśnia, — duch się wyrabia a wola — siły i tęgości nabiera. Tu się uczymy kochać Boga i braci naszych. Świątynie Pańskie to są szkoły mądrości naszéj — to są zbrojownie siły naszéj; — potęga miecza skruszona być może, ale potęgi miłości nic nie zwycięży. —

I patrząc na ten dom Boży tak opuszczony — na te ściany odarte z ozdób, kurzem i pajęczyną pokryte — na te potłuczone szyby okien gotyckich — stanęły mi na myśli one słowa Mathathiasza:“ Biada mnie, przeczem się narodził, abym widział skruszenie ludu mego, i skruszenie miasta świętego. I któryż naród nie odziedziczył królestwa jego, i nie odzierżał łupów jego? — Wszystko jego ochędóztwo jest odjęte: a które było wolne, stało się niewolnicą. — A oto nasze miejsca święte, i piękność nasza, i chwała nasza jest spustoszona. Na cóż nam tedy jeszcze żyć? — I rozdarł Mathathiasz odzienie swoje, i synowie jego: a oblekli się w włosiennicę, i bardzo płakali.“ (Ks. I. Mach. rozdział II., — wiersz 7—15).

Kraków.

Pisma Klementyny z Tańskich Hoffmanowej. Tom VI.

(Str. 146.)

Z Krakowa. Dnia 23. Maja 1827.

Już więc jestem w Krakowie; ledwie sama dowierzam temu. Jestem więc w tém mieście starożytném, w téj stolicy i w tym grobie królów, w tém gnieździe tylu wielkich i uczonych ludzi; w tych murach, które świadkami były tak wielu zwycięztw, tryumfów i nieszczęść! A powinnabym uwierzyć, że jestem w Krakowie po uczuciu, jakiego doznaję... Te ulice tak nieludne, ten rynek taki ogromny a cichy, owa wieża samotna, pomnik dawnego ratusza, te sukiennice wielkie ale posępne, te budy niepozorne, sam ten dom naprzeciwko moich okien, niegdyś wspaniałe Jana Zamojskiego mieszkanie, dziś tak świeży i elegancki, wszystko to inne, — wszystko to mi przykre! Z daleka nierównie wspanialszym i weselszym się wydawał: bo przyrodzenie zawsze jednakowe; zachował téż Kraków, jeźli nie świetność i wielkość stolicy, to przynajmniéj szczęśliwe i nadobne położenie swoje... Nie myślę wchodzić nigdy w spory badania, kto i kiedy go zakładał? czy imię ma od Krakusa, czy od kruków nad ciałem nieżyjącém krakania? czy powstał w wieku siódmym czy dawniéj? Ale jakibądź był założyciel jego, i kiedybądź żył, przyznam jemu chętnie, wraz z wszystkimi, że przyzwoitą dla wielkiego miasta obrał posadę. Kraków jest rozłożony na obszernéj dolinie, którą upiększają Wisła, urodzajne niwy, gęste wioski i drzewa. Od południa opasany łańcuchem wzgórków ułożonych w obłąk, Lasotki czyli Krzemionki zwanych, a za niemi, jakby starsze przyrodzenia córy, nierównie wyżéj niebotyczne Karpaty! — Nasza Warszawa piękną jest od Pragi tylko, a Kraków z każdéj strony dobrze się wydaje; ale wjechawszy do niego nierównie mniejszy i uboższy, a zwłaszcza smutny i jakby umarły....

Dnia 24. Maja, we Czwartek.

Dziwne jest i zmienne działanie imaginacyi ludzkiéj. Wczoraj umysł mój zachmurzył się widokiem Krakowa, potem rozweselił nagle, gdy zajęta przyjemnością towarzystwa, zapomniałam gdzie jestem. Dziś czuję zupełnie, w jakiem miejscu goszczę, a przecież miło mi i błogo. Podobno pierwszéj téj zmiany początek winnam *Dzwonowi Zygmunta*. Dziś obchód święta Wniebowstąpienia Zbawiciela; ten dzwon największy w całéj Polsce, dar dla katedry od Zygmunta I., uderzanym tylko bywa w dni wielkich uroczystości. Dźwięk jego nadzwyczajnie donośny i miły, który

jak poważna harmonia po całym Krakowie się rozlega, obudził mnie. Słuchałam z uszanowaniem tego uroczystego dawnych wieków odgłosu; myślałam sobie, że i późne pokolenia tak go słuchać będą... i spoiło się miłe w moim umyśle wspomnienie z nadzieją ... Sposób spędzenia dnia całego, osoby i przedmioty widziane, dopełniły słodkiego wrażenia. Naprzód byłam w najpiękniejszym i największym kościele, jaki mi się kiedykolwiek widzieć zdarzyło, w *kościele Panny Maryi*, w rynku. Gotycka jego budowa, u nas wcale nie pospolita, uderza i przyjemnie wpada w oko. Jest kształt nadobny i pewna śmiałość w tych dwóch wysokich wieżach, które mi przypomniały poniekąd widziane meczetów i minaretów rysunki. Gruntowność i trwałość gmachu całego mile zaspakaja. Jak jest przyjemnie człowieka znakomitego w kwitnącém oglądać zdrowiu, tak i gmach pożyteczny i piękny miło w pomyślnym widzieć stanie; lubimy na jutro mieć zabezpieczoném to, co dziś nas raduje; słodko nam pomyśleć sobie: że jak my teraz, tak po nas drudzy używać téj przyjemności będą. Tę pożądaną pewność wzbudza widok kościoła Panny Maryi; tak jest trwale i starannie zbudowany, i w tak dobrym stanie, że ręczyćby można, iż późne prawnuki tych, którzy dziś są dziećmi jeszcze, dziwić się nad nim będą. Udawszy się dziś do tego kościoła, dla nabożeństwa, nie dla zaspokojenia ciekawości, weszłam ubocznemi drzwiami; widziałam tylko, że obszerny, wspaniały, starożytny i piękny; ale zajęta modlitwą, szczegółom jego nie przypatrywałam się, odkładając to na dzień inny. Trudno jednak było nie spojrzeć czasem na osoby zgromadzone. Strój wyższéj klassy przedstawił mi Warszawę: bo wyższa klassa wszędzie prawie ta sama; ale w ubiorze niższéj znaczną widziałam odmianę. Zajęły mnie owe mieszczek tutejszych ogromne czepce złote, i te staroświeckie jubki z tęgiéj materyi, może już nie nowe za tryumfalnego wjazdu króla Jana; obok tych ciężkich ubiorów, dźwiganych z powagą przez sędziwe matrony, wydawały się dobrze młode w haftowanéj koszuli, z wieńcem na głowie, koralami na szyi i świetnym stanikiem dziewczęta; przedziwnie wyglądał dziarski parobek krakowski, z kółkami u pasa, z podkówkami u bótów, i z tą postawą ochoczą, zawsze do hołubca gotową. — Niewiem czy mi się tak zdało, czy też tak było w istocie, gdyż często od wewnętrznego usposobienia zależy barwa otaczających nas przedmiotów, ale nabożeństwo z niezwyczajną odprawiane było uroczystością i powagą. Piękne są obrzędy wiary naszéj, lecz wymagają w sprawiającym je wielkiéj baczności i zupełnego przejęcia się ich ważnością! Szanowny pasterz dyecezyi Krakowskiéj,

godny Kadłubków, Odrowążów, Oleśnickich, Maciejowskich, Tomickich następca, wezwał nas do siebie na obiad; prócz słodyczy, jakiéj doznaję zawsze widząc z bliska sławnego z uczuć i pism Polaka, męża, który tak uświetnił imię swoje, że już bez tytułów i godności powtarzać je wolno, miałam jeszcze tę przyjemność, żem oglądała z uwagą *Pałac biskupów krakowskich*, zajmujący znakomite miejsce między ważnymi tego miasta pomnikami.

Jest on bardzo obszerny; czoło jego stoi przy Franciszkańskiéj ulicy, a tyły na Wiślną wychodzą; niewiadomy założyciel, może Prochor, Włoch, pierwszy biskup Krakowski za Mieczysława. To jednak pewna, że uległ wielu odmianom, przetrwał niemało smutnych kolei, i nie raz już był z gruzów dobyty i stawiany jakby na nowo. W roku 1647. Piotr Gębicki, Biskup Krakowski, po którym wiele podobnych pamiątek zostało, nadał mu okazalszą postać; w téj trwał blisko półtora wieku. Ale w czasie zaburzeń krajowych, prawie opuszczony, potrzebował w roku 1798. zupełnego podniesienia, którem ówczasowy biskup Turski się zajął; lecz jego praca wnet znikła. Obrócony na szpital wojskowy, zniszczał prawie zupełnie, kiedy Woronicz, zasiadłszy w roku 1816. na téj katedrze, tak dla niego stósownéj, wydobył go z tego smutnego stanu, podniósł i ozdobił, jak go dziś widzimy. Naczelna część pałacu jest prawdziwie narodowém ustroniem, gdzie w licznych malowidłach i dowcipnych wynalazkach zbiór chronologiczny dziejów polskich, stan obecny miasta Krakowa i wiele ojczystych pamiątek widzieć można. Tam nie dosyć godzinę, dłuższy czas poświęcićby należało, na przypatrzenie się dokładne temu mnóstwu pomników, na ocenienie tylu pomysłów! A jeszcze każdy z łatwością dostrzedz może, iż więcéj nierównie było myśli w bogatéj wyobraźni, która treść tych obrazów pędzlowi podawała, niźli w tych murach zmieścić się mogło; bo w tém wszystkiem, co tu widać, przebija obok serca Polaka nie znający granic jeniusz poety, jeniusz twórcy *Sybilli*. Tu miejsca próżnego niema, najmniejsze użyte zostało. Zaraz w dwóch wstępnych pokojach są widoki okolic Krakowa. Z upodobaniem na *Ojców*, *Pieskową skałę* patrzyłam, z większém niźli na *Tyniec*, *Czernę i Bielany*, których nie znam jeszcze. Niezawodną jest, lubo dosyć szczególną prawdą, że milsze nam są obrazy, wspomnienia miejsc dobrze znanych, niźli obcych zupełnie; chociażby tu ciekawość górę brać powinna nad pamięcią. Czyby to uczucie skutkiem było miłości własnéj, która woli raczéj napotkać to, co już wie, niźli dowiedzieć się czego nowego, — czy też owocem jakiejś tkliwości? — Dość że każdemu, im

więcéj znany przedmiot, tém milszy obraz jego. — Wchodzi się z tych pokojów do sali *krakowską* zwanéj. Na suficie jest postać Minerwy, trzymającéj w jednéj ręce herb Krakowa, *trzy wieże*, a w otwartéj bramie środkowéj orzeł biały z rozszerzonemi skrzydłami; w drugiéj trzyma księgę ustawy nadanéj mu przymierzem wiedeńskiem w r. 1815. Gzyms pod sufitem w koło idący, przedstawia wizerunki osób, które skład polityczny nowego rządu zaczęły; nadto szereg członków kapituły i akademii krakowskiéj, artystów tego miasta, naczelników handlu i kupiectwa, nareszcie założycieli Towarzystwa Dobroczynności. Na ścianach jest dwanaście obrazów różnéj, ale zawsze narodowéj treści: *targ zbożowy na Kleparzu*, przedmieściu najhandlowniéjszém Krakowa; *wiślany spław* na Kazimierzu, drugiéj połowie miasta, żydowską zwanéj; *kopalnie węgla* w Jaworznie, tak ważne dla Krakowa, który, mało lasów posiadając w około, węglem ziemnym opala się i ogrzewa; *ruda żelaza* na Siewierzu; *kopalnie marmuru* w Dębniku; *Olkuskie* kopalnie dziś wodą zalane; *Wieliczka*, owo miasto podziemne z soli; *kopalnie siarki* w Sworszowicach, i *miedzianéj góry;* nareszcie trzy pomniki dawnych zwyczajów, z których jeden, *obchód strzelców krakowskich*, już ustał od r. 1787., dwa inne, z roku na rok się odnawiając, jak liście na drzewach, nabyły jakiegoś rodzaju wiecznéj trwałości; temi są całéj słowiańszczyznie wspólne *Sobótki* i *Konik zwierzyniecki*. — Z téj sali przeszedłszy pokój błękitny, posiedzeniom Towarzystwa przeznaczony, okazuje się druga sala pod imieniem *trzech monarchów*, opiekunów dzisiejszéj Rzeczypospolitéj krakowskiéj; obrazy, godła i napisy stósowne ją zdobią; z jéj okien, równie jak z poprzednich widok jest piękny na zamek królewski i dawną katedrę; a ten widok jest sam wymownym obrazem.... Przyległy pokój, który niemal *całe dzieje Polski* obejmuje, jest przecięty kolumnadą na dwie części; na głównéj belce wiążącéj kolumny, jest wyobrażenie *Assarmota*, urojonego może, ale przecie żzajmującego, narodów sarmackich patryarchy, który wznosząc się na obłokach, rozmnożonym pokoleniom swoim szerokie na północy kraje w podziale przeznacza. Widok jego przywiódł mi na pamięć owo sławne w duchu wieszczym *błogosławieństwo*, którego wiersz każdy od lat już wielu utkwił głęboko w moim umyśle. Towarzyszyły mi ciągle te piękne wiersze przy oglądaniu tego pokoju; kiedy obejrzawszy na kolumnach nakreśloną epokę dziejów naszych, *bajeczną* zwaną, od czasów Assarmota do Mieczysława, spojrzałam na poczet królów Polski; kiedym zatrzymała wzrok na Chrobrym, a w ścianach widziałam Kazimierza, stanowiącego zbiór uchwał w Wiślicy,

albo połączenie Litwy z koroną, ukończenie pod Chocimem srogiego z Turkami zapasu, niezliczone inne pamiątki wielkości naszéj i sławy, z końca zeszłego wieku, z początków teraźniejszego obrazy, powtarzałam sobie strofy z *Assarmota*, znane powszechnie.

Jest jeszcze sala, *warszawską* zwana, gdzie wystawione widoki piękniejszych jéj okolic; bardzo pilnie im się przyglądałam, wzór tak dobrze znając; z niéj przechodzi się do pokoju szanownego gospodarza.

Całe to przerobienie naczelnéj części pałacu biskupów krakowskich, te liczne malowania, których i połowy nie wymieniłam, w zakresie czternastu nie spełna miesięcy zostały wykonane; trzeba było na to, aby obfita wyobraźnia poety zeszła się z pracowitym pędzlem malarza, ażeby i jeden i drugi serce i umysł rzeczami ojczystemi mieli przepełnione. Malarzem był *Stachowicz Michał*, rodem z Krakowa; tu wychowany i wyuczony, niezmiernie rzadką w Polaku odznaczył się cechą, jak gdyby angielska krew w jego żyłach płynęła, tak pogardzał wszystkiém co obce; nie chciał nigdy jechać za granicę, żeby tam nabyć doskonałości w swéj sztuce; wyłącznie przywiązany do rodzinnego miasta, ledwie w ostatnich latach życia dał się namówić do odwiedzenia Warszawy. Nie mając serca potępiać w nim tego przywiązania do ojczystéj ziemi; pragnę z duszy, aby to, co w nim za daleko było posunięte, inni choć w części przyjęli. Stachowicz miał znaczny talent i pracowitość niepojętą; Kraków pełen jest płodów jego pędzla, niektóre prawdziwą mu czynią zaletę; przy dobrych mistrzach i doskonałych wzorach, byłby mógł stanąć w równi z pierwszymi malarzami Europy.

Puławy.

Tańska.

(Str. 100.)

Czyż potrafię opisać, jakby przystało, bogaty przedmiot nasuwający się piórу mojemu? Ach! lękam się bardzo, ażeby niedostatek wymowy, pamięci, nauki i sposobności, nie ujął zalet, nie skrzywdził miejsca, którego obrazu ręka tylko Woroniczów śmiało dotykać się może. Ale stało się. Wyrzekłam, cofnąć słowa niepodobna. Wreszcie, w takowym razie wszelką chełpliwą próżność na bok odłożyć wypada; któż ma za złe ptaszynie, że orła nie doścignie w locie? — Już więc z mniejszą trwogą zabieram się do opisu *Puław*. Czasem serce zastąpić choć w części nieudolność rozumu potrafi

a polscy czytelnicy wiele wybaczają pisarzowi, który im mówi o zabytkach ich kraju, o narodu chwale. —

Niewiem, czy jest w Polsce całéj, prócz Krakowa, miejsce stósowniejsze nad Puławy do podobnéj mowy. Tam prawdziwy skarb wspomnień i pamiątek narodowych, tam i oczy i serce nakarmić się mogą.... a prócz tych nieocenionych dla duszy polskiéj zalet, tak wiele materyi do myślenia i opisu podających, ileż Puławy mają sobie właściwych, miejscowych powabów?

Gdzie tylu cnót razem gniazdo i schronienie,
Możeż się tam nie wdzięczyć całe przyrodzenie?

Wdzięczy się téż i uśmiecha jak najnadobniéj. Cała okolica urokiem jaśnieje; przekonałam się o tém jadąc do Puław: bo przez całą drogę mile oczy moje były zajęte. Przejechawszy Wisłę pod Janowcem, minąwszy starożytny *Kazimierz*, dziś tylko wspomnieniem, drzewami i potomkami Izraela bogaty, ale zawsze piękny, trafiliśmy na wioskę *Bochotnica* zwaną. Rozrzucona wśród drzew rozmaitych, na pochyłości góry, po nad Wisłą, *romantyczną* ma postać; jéj chatki zbutwiałe, bez porządku stojące, drożyna wązka i kręta, mieszkańcy chowający się za drzewa w nędznéj odzieży a na szczycie góry rozwaliny starożytnego po Aryanach gmachu, wszystko do tego przydomku prawa jéj nadaje. Przechodząc ją całą (bo nie można było bezpiecznie przejechać), i ja i towarzysze moi, byliśmy w niejakiém zadumaniu. To ustąpiło wnet miejsca radośnemu zaspokojeniu, skorośmy na granicy Puławskiéj stanęli; mówię *zaspokojeniu*: gdyż człowiek tak do wszelkiego dobrego, szczególniéj do porządku jest stworzony, że widok rzeczy w stanie, w jakim być powinny, nietylko go cieszy, ale zaspokaja. Mamy, że tak powiem, w duszy jakiś *prawdomierz*, który nas ostrzega o wszystkiém, co prawdziwie dobre i piękne; szczęśliwi! jeźli wszędzie i zawsze za tą skazówką idziemy. — Ale porzuciwszy te myśli moralne, rzecz pewna, że miło na Puławskiéj granicy stanąć; droga szeroka, prosta, wygodna, pysznemi drzewami sadzona; patrząc na wszystkie strony, widzieć można na około owoce pracy i gustu. Minąwszy *Parchatkę*, wjeżdża się do *Włostowic*. Wieś ta parafialna bardzo ludna i rozległa, łącząca się prawie z Puławami, porządnie na równinie rozciągniona, jest taką, jakich niestety, bardzo jeszcze w kraju naszym mało; jéj domostwa chędogie i wygodne dobrze utrzymywane, sady, ogródki, żywe płoty, rowy bite, mosty całe, kładki, szeroka i sucha droga, nadzwyczajna obyczajność mieszkańców, schludny ich ubiór, piękny kościół, plebania, domy nauki i roboty, same nazwiska gospodarzy nad bramą ich podwórza wypisane

przedstawiają dziwnie miły i zaspokajający widok, który jeszcze wymowniejszym i milszym się staje przez tak bliskie z Bochotnicą sąsiedztwo. Gdybym się nie bała obrazić kogo takowém przystósowaniem, odważyłabym się powiedzieć: że Bochotnica romantyczność, Włostowice klasyczność mi przypominały. Napatrzyć ich się nie mogłam. Możesz być milszy widok, nad widok pomyślności, dobrego mienia spółbraci? O! jak przyjemnie być musi, przyglądać się wesołym Włostowicom, téj, która je w tym stanie postawiła! Serce ludzkie tyle ma w sobie ponęty ku szczęściu, że nie zna milszego uczucia jak patrzyć na nie; cóż dopiero jeźli to szczęście tkliwości jego jest dziełem? Ach, kiedyż nadejdzie ta pomyślna chwila, kiedy wszystkie wioski nasze podobną postać przybiorą, kiedy w kmiotku, i pan jego, a co więcéj on sam człowieka widzieć zacznie? Każdy ziemianin powinien jechać do Włostowic, tam się uczyć, jak zdobić wioskę swoję, jak włościan uszczęśliwiać. Słyszeć można nieraz wielu młodych narzekających na czczość życia, i jakby mających żal do nieba, że ich na taką nieczynność stworzyło; jeźli tylko posiadają własny kawał ziemi, niech się wioską swoją i ludem w niéj mieszkającym zajmą, a zaręczyć można, że te starania dostarczą im sowicie zatrudnienia i szczęścia. Te myśli i życzenia zajmowały mnie i towarzyszów moich jadąc przez Włostowice; ale wnet zapomnieliśmy o wszystkiém wjechawszy do Puław, lubo z téj strony nie tak jeszcze piękne się wydają, jak są w istocie. Chcąc je widzieć w całéj okazałości, trzeba na *Górę* jechać, późniéj przez Wisłę się przewozić; wtedy objąć można jednym rzutem oka:

> To nadbrzeże, zatoków nadwiślańskich czoło,
> Pasmem gór i pagórków uwieńczone w koło,
> Gdzie natura zasiadłszy z wszystkich wdzięków zbiorem,
> Ożenia swe powaby ze sztuki wytworem.

Ztamtąd widać zabudowania Puławskie porządne i gustowne, wielkie zajezdne domy, na górze piękny kościół, na pamiątkę Maryi z Sieniawskich księżnéj Czartoryskiéj, przez wdzięcznego syna opiece *Boga Rodzicy* oddany; ztamtąd wspaniały pałac książęcy, tarasy, a wpośród nich na wierzchołku góry, ukazującą się niekiedy *Świątynią Sybilli.* Spostrzegając za jednym rzutem oka tyle piękności, domyślając się, ile ich jest ukrytych, chęć jak najwyższa porywa przypatrzyć im się szczegółowo i porządkiem. Takeśmy też uczynili, a zabawiwszy chwil kilka nad Wisłą dla ogólnego widoku, ruszyliśmy do pałacu i ogrodu. — Już to w Puławach wszystko piękne, wszystko inaczéj, jak w innych miejscach Polski. Niedoszedłszy jeszcze do mieszkania książęcego, już wiele ślicznych domostw i ogródków widzieć można; ja sądzę, że Puławy przypominać muszą owe wsie angielskie, w których nie sami wieśniacy mieszkają, ale rodzin kilkanaście, rozmaitego majątku i stanu, ma swoje własne lub najęte mieszkania; tym sposobem tworzy się miejsce wesołe, ludne, które przyjemności życia miejskiego i wiejskiego łączy. Jakby przedziwnie było, gdyby i u nas we wszystkich piękniejszych włościach podobnie się działo; gdyby można, nie mając dóbr i kłopotów ziemiańskiego gospodarstwa, mieszkać jednak na wsi i mieszkać u siebie. Zaprowadzenie podobnego zwyczaju upiększyłoby wnet włości polskie, a nawet zwiększyłoby liczbę swobodnie żyjących osób. Przekonać się o tém można w Puławach; jak tam wiele mieszka rodzin, jak widać że im dobrze, i jak niemi to miejsce zdobi się i ożywia. — Na dziedzińcu pałacowym osadzonym nieregularnie drzewami jest krąg wody, z pośrodku któréj wytryska fontanna; wprost pałacu ulica przez las przecięta, a po prawéj stronie wabi każdego przysionek kilkunastu kolumnami wsparty, który wnijściem jest do ogrodu. Napisu łacińskiego treść taka: Tu niech prowadzi trosków życia słodkie zapomnienie! Spełnia się ona dosłownie: bo na samym wstępie tyle piękności uderza, że zapomnieć o wszystkiem można. Przedstawiają się po bokach szklarnie:

> Gdzie całe królestwo flory z czterech końców świata,
> Oddycha wpośród lodów słodkiem tchnieniem lata.

staje przed oczyma ogród najwspanialszy. Po prawéj ręce drzew obfitość, zdaje się, że końca ten gród niema; wpośród nich wycięte gdzie niegdzie widoki na łachę od Wisły, na Kempę, Włostowice, Parchatkę, Góry; po lewéj, trawniki dziwnéj gładkości, na których to rozliczne kląby z drzew, najpiękniéj dobranych, opasane wstęgami z kwiatków, wznoszą się w różnéj wielkości i kształcie, w rozmaitéj odległości; to znowu samotne drzewa lub para ich najtrafniéj ożeniona; to nareszcie ścieszki i drogi, stopą natury zdające się być wydeptane; wprost zaś wspaniałe ulice z drzew starożytnych a na ich końcu wspanialsza i piękniejsza nad wszystko świątynia *Sybilli.* Lubo w samym ogrodzie dobór drzew i to nawet rzadkich z obcych krajów przeojczyznionych, tysiące spostrzeżonych, ukazujących się, z daleka zgadywanych piękności zatrzymaćby chciały miłośnika natury, któreż serce polskie nie zaspokoi najpierwéj szlachetnéj swéj żądzy, a mijając przyrodzenia powaby, nie zakołace do drzwi téj Świątyni, która chlubną *Przeszłość przyszłości* podaje, pamiątkami swemi teraźniejszość słodzi.... Sama téj świątyni powierzchowność już dzielnie przemawia; kształt jéj, rozmiar i ozdoby, zupełnie podobne do starożytnego we Wło-

szech kościoła. Tam nad brzegami rzeki Anio wznoszą się szczątki Tyburtyńskiéj Sybilli; te w całéj okazałości i świeżości Izabela Czartoryska nad brzegi Wisły przeniosła; tam niegdyś pogańska kapłanka mniemane cuda, fałszywe wróżby głosiła; tu prawdziwa Polka rzetelne cuda tkliwości swojéj, wróżby niemylnéj i pociechy zebrała..... Cieszmy się jako Polki i niewiasty, że pomysł tak tkliwy i szczytny zebrania na grobie ojczyzny pomników jéj chwały, osoba płci naszéj poczęła i wykonała. Kiedy nieszczęsna Polska po tak długiém konaniu ostatnie tchnienie wydała, księżna Czartoryska, chcąc przynajmniéj jéj popioły od zguby uchronić, wzniosła jéj ten grobowiec, napełniła go drogiemi sławy naszéj zabytkami; podobna owym dzieciom, dla których, gdy matkę ukochaną stracą, jedyną rozkoszą strzedz zwłok jéj, zbierać pozostałe po niéj pamiątki.... Ileż trudów, nakładu, pracy, zachodów ponieść musiała, nim ten tkliwy zamiar przyprowadziła do skutku? Ileż jéj winien wdzięczności każdy, w kim tylko krew Polaka płynie? Był czas, kiedy najchlubniejsze, najkosztowniejsze narodowe pamiątki do obcych stolic przewożono; tak porozrzucane, byłyby zaginęły wszystkie; ileż ich wydarła zagubie? ile nieznanych odkryła skarbów? Każdy bowiem składał z radością w jéj ręce, jakie tylko posiadał ojczyste zabytki, i ten zbiór tak obfity i bogaty wzrósł z nadzwyczajną szybkością; ileż wdzięczności następne wieki mieć jéj będą? Sybilla wiele światła na dzieje Polskie rzuca; ona jest, że tak powiem, owem czarodziejskiém zwierciadłem, w którém dalekie nawet przedmioty wyraźnemi i bliskiemi się zdają; w niéj objąć można jednym rzutem oka cały ciąg jestestwa Polski. Smutne zmiany, skutek błędów naszych, zakryły wprawdzie to zwierciadło czarną zasłoną, jednak blask wspomnień przebija... Życzyłabym rodzicom dla saméj nauki wozić do Puław swe dziatki; dokładne obejrzenie pamiątek w Sybilli zebranych, możeby im lepsze dało wyobrażenie upłynionych wieków od niejednéj książki.

Warszawa w roku 1596.

Przez Wojcickiego.

(Str. 89.)

Stoi Warszawa w pięknem położeniu, na ciągnącym się wzgórku: rzeka Wisła płynie u spodu, myje mury miasta, mętną gliniastą wodą oblane: za Wisłą wesołe odkrywają się pola i smugi. Miasto Warszawa jest szczupłe, i w koło

otoczone murami; z téj przyczyny małośmy w niem wygody znaleźli, tak dalece; że my dworscy i słudzy kardynalscy, po trzech, czterech i pięciu w jednéj izbie, musieliśmy się mieścić, wszyscy po domach mieszczan; gospód bowiem gościnnych napróżno byś szukał, a raczéj wszystkie domy są gospodami: mieszczanie bowiem za rozkazem królewskim, dawać muszą przedniejszym Senatorom tyle izb, ile potrzeba, nieraz i domy całe, nie zostawując sobie, jak jednę lub dwie stancyjki.

Pałac królewski wznosi się od bramy krakowskiéj, z drugiéj strony góruje Wisłę, widok z niego jest piękny; wewnątrz wspaniały i wygodny.

Jest w mieście pięć bram, niezbyt odległych od siebie, w niewielkiéj od miasta odległości, widać mnóstwo pięknych ogrodów, z wybornemi owocami, jako to: jabłek, gruszek, śliwek i nie wielu innych.

W mieście jest kościół parafijalny; zwany Śta. Maryja, drugi Śgo. Jerzego, przy którym są kanonicy regularni Augustyna, nadto kościół Śgo. Ducha, za bramą zaś piękny konwent Ojców Bernardynów. Na końcu miasta, spuszczając się ku Wiśle, odkrywa się piękny długi most, z potężnych balów.

Za starą Warszawą, stoją w około obszerne przedmieścia dość piękne, lecz niezmiernie błotniste: między temi *Nowe-miasto*, większe jak obwód staréj Warszawy: lecz w téj ostatniéj wszystkie domy są murowane, otaczają ją dwa mury na około, mniejszy i większy, z niewielkiemi basztami. *Nowe-miasto*, jest prawie całe drewniane. Przedniejsze kościoły w *Starém-mieście*, kościół Śgo. Jana, drugi pod imieniem Śgo. Marcina, z konwentem księży Augustyjanów. Jest tam i plac dość wielki, lecz pominąwszy kuchnie na dworze, zawalony sklepami rzemieślników. W około placu (rynku) tego są piękne domy, jednakowéj prawie wysokości, wszystkie z cegły. Temiż cegłami podobnie jak w Krakowie, brukowane ulice, między niemi cokolwiek kamieni czerwonego granitu, wszystko to źle z sobą spojone, jakoż niegodziwie chodzić po nich, a błoto większe tu jeszcze niźli w Krakowie.

Statek parowy i okolica nad Renem.

Z „Listów z Zagranicy“ przez Stef. Witwickiego. Lipsk 1842.

(Str. 152.)

Piszę ze statku parowego. — Tak jest, ze statku, który lata po Renie. Kto w Baden czas swój wysiedział, i jeźli nie całkiem, to przynajmniéj trochę wyzdrowiał, pocóż miał siedzieć dłużéj? Kto na rogach wszystkich ulic widział co-

dzień ogromne afisze, że tylko o milkę od miasta wsiada się do statku, i za bezcen i w mgnieniu oka zwiedza się brzegi Renu, sławne brzegi Renu! — Jak tu się téj pokusie oprzeć? Jestem na statku; zapłaciłem miejsce aż do Kolonii; będę w Mannheimie, będę w Moguncyi, będę w Koblencyi, będę w Frankfurcie, będę wszędzie, będę na Renie, daleko na Renie, tam, gdzie były kiedyś średnie wieki, i ich barony, i ich minstrele i ich turnieje; w kraju katedry kolońskiéj; w kraju poezyi, malarstwa, wiary: w raju nie w kraju! Już tam jadę, płynę, już tam jestem jedną nogą, połową serca, całą głową! Dobry, prawdziwie, ze mnie człowiek, że tak jeszcze poufale, tak po przyjacielsku chcę mówić, jakby równy do równego, do ciebie, co gdzieś tam na piaskach jakiegoś tam Mazowsza żyjesz sobie życiem grzyba, życiem parafianina, życiem nieżywém i co o cudownych, sławnych przepysznych tych krajach tyle ledwo wiesz, ile coś czasem na jakiejś gazeciarskiéj bibule waszéj wyczytasz, — o! mójże ty kochany biedaczku! —

Widzisz tedy, że jestem wesół i plotę koszałki; jestem wesół już przeszło od pół godziny, czekając w Iffetzheim na statek strasburgski, bo wtenczas dopiero nasz, zabrawszy tamtych pasażerów, ruszy w swoją drogę. Ten Iffetzheim, do którego się z Baden przyjeżdża, nie jest to żadne miasto, ani żadne miasteczko, ani nawet najmniejsza wieś; jest to nic więcéj, tylko — domek nad rzeką, tylko — jakiś pan pisarz, pan urzędnik, który zapisuje wojażerów, i pieniądze od nich odbiera.

Byłem już u szanownego dygnitarza, wyekspedyował mię, i chodzę sobie po statku jak admirał, jak Kolumb, jak Robinson; widzę nad sobą niebo, pod sobą fale, — widzę, prawda, i różne inne rzeczy, naprzykład dzieci kąpiące się po brzegach z téj i z téj strony, ale nie moja wina, że brzegi tak blizko jeden od drugiego, że zamiast na oceanie, jestem tylko na rzece, i że ta rzeka chociaż niezmiernie sławna, niewarta jednak, w tém przynajmniéj miejscu, i połowy naszéj Wisły. Ale cóż! Wisła w Polsce, — Ren we Francyi, przy Francyi! Bodaj to we Francyi! Bodaj to we Francyi być czemkolwiek. Wisłę nazywanoby tam monarchinią wód, Napoleonem rzek, lub coś podobnego; i wyczytawszy to w paryzkich żurnalach, żadenby wtedy Polak, dobrze wychowany, nieśmiał już nazwać jéj inaczéj.

Nim ruszymy, muszę ci teraźniejszy mój dom opisać, bo ty, błogosławiony człowieku, co pewnie rodziłeś się w czepku i możesz o sobie powiedzieć jak niegdyś Rej:

> Z granicy polskiéj milę nigdziem nie wyjechał
> Lecz co widzieć przystoi, przecież nie zaniechał;

ty nie znasz podobno większego okrętu jak ten, którym się z Warszawy żegluje na Saską Kępę. Przeszedłem dopiero wdłuż pokładu; ma do siedemdziesięciu kroków; w pośrodku sterczy blaszany komin od pieca, i dzieli statek na dwie połowy: na kraj surdutów, fraków, i kraj bluz to jest płóciennych kurtek, na arystokracyę i demokracyę; — słowem na dwa miejsca, o cenie większéj i mniejszéj, jak na przykład: loże i parter. Na około idą ławeczki. Przy kominie kupa tłomoczków, paczek, różnych rzeczy panów pasażerów.

Na rogach zaś, po stronie arystokracyi, siedzi na małém podniesieniu sternik u steru, a na przeciwnym stoi kilka pojazdów. W linii środkowéj są trzy dziury, jak do piwnicy, kilkanaście kroków jedna od drugiéj, któremi schodzi się po schodach we wnętrze statku; dwie z nich prowadzą do pokoju gości, tu lożowych, tam parterowych; przez trzecią wyłażą osmolone brudasy, piecowi usługacze. Otóż masz pokład. Jest to tylko jakby dach, jakby strych domu, sam dom jest dopiero pod spodem. Zapuszczać się w opisy nie myślę; wprowadzę cię tylko do pokoju, gdzie teraz to piszę. W waszych lądowych pokojach bywają prawda sufity wyższe; ale i w tym można stanąć nie uderzywszy się głową, byle tylko być małego wzrostu. Wreszcie nie chwaląc z wysokości, zkądinąd pokoik śliczny. Wkoło kanapki, przed niemi stoliki, wszystkie jednéj miary; te można albo oddzielać, albo się składają razem i stanowią jeden duży stół w podkowę, przy którym statkowa publiczność zasiada do obiadu. Jasny, bo okienek gęsto; widok z nich spodziewam się że ciekawy, i taki, jakiego żaden pałac nie ma, i mieć nie może: co chwila bowiem zmienia się. Mimo tego wszystkiego, mało kto w pokoju siedzi, wszyscy wolą pokład; chyba, że komu co napisać, albo chce się co zjeść lub wypić, albo wypocząć wygodniéj na kanapie, albo czytać dzienniki, które leżą na stołach, albo wreszcie, racya wielka: kiedy mu się tak podoba!

Na noc zatrzymuje się statek zwykle w jakiemś mieście; jeżeli zaś nie, i chcesz spać, to możesz albo patrzyć sobie na gwiazdy, albo bawić się rozmową, albo nawet jakkolwiek i gdziekolwiek zadrzymać; słowem, jesteś wtenczas zostawiony własnemu przemysłowi. Ale nie ma już czasu; odpływamy, spieszę na górę.

Gołębie w Wenecyi.

Przez Michała Wiszniewskiego.

„Podróż do Włoch, Sycylii i Malty.“ Warszawa 1848.

(Str. 163.)

Plac św. Marka, który w każdym przechodzącym pierwszy raz podziwienie wznieca, wygląda jak ogromny i najpiękniejszy na świecie salon, o którym Napoleon powiedział, iż tylko niebo godne być jego sklepieniem. W rzeczy saméj jest to coś niespodzianie pięknego, coś do sennego marzenia podobnego; takiego drugiego rynku niema na świecie! Z trzech stron otaczają go *Prokuracye* nowe i stare, w łuki trzypiętrowe zbudowane, gdzie mieszkali *prokuratorowie* św. Marka, którzy po *Radzie dziesięciu* największą w Rzeczypospolitéj piastowali władzę. Koło prokuracyi starych wznosi się wieża zegarowa, która swą oryginalnością, jak tu wszystko, bardzo zastanawia. *Piotr Lombard* po spaleniu drewnianéj, zbudował teraźniejszą r. 1496. Front zdobi ogromne koło z zodiakiem, ze zmianami księżyca, tudzież koło podzielone na 24 godzin włoskim obyczajem. Nad tym stoi N. Panna pozłacana, a koło niéj drzwiczki, z których co godzinę wychodzą trzéj królowie Maurowie, i przechodzą po półkolistym ganeczku, kłaniając się z uszanowaniem N. Pannie, podnosząc z głowy korony, i drugiemi drzwiczkami znikają. Nad tym znowu stoi złoty lew św. Marka na tle błękitném. Nad lwem jest dzwon w powietrzu zawieszony, o który dwóch murzynów z miedzi ulanych, młotkiem godziny wybija.

Skoro druga z południa na tym zegarze uderzy, zlatują się z różnych stron tłumami gołębie i siadają na środku rynku, czekając na strawę, którą im pewna pani posyła.

Tych gołębi nie chowają tu dla jedzenia, owszem nie wolno ich nikomu zabijać, ani chwytać; są one w takiém poszanowaniu, jak w wielu krajach jaskółki i bociany. Jednego majtka, który zapłacony przez Anglika, schwytał był parę tych szarych gołębi, lud rozjuszony o mało nie zabił.

Gdy admirał *Trevisano*, na początku trzynastego wieku oblegał Kandyę, postrzeżono wiele gołębi w jednym kierunku lecących, na miejsce, gdzie genueńska flota na kotwicy leżała. Zastrzeliwszy kilka, znaleziono pod skrzydłami każdego liścik, w którym Kandyoci donosili Genuezom o wielkiém swém niebezpieczeństwie, i prosili o odsiecz. Korzystając z téj wiadomości *Trevisano*, natychmiast wylądował i zdobył wyspę. W zamku gubernatora znaleziono wiele innych gołębi, na posyłki chowanych, które *Trevisano*, wraz

z wiadomością o zdobyciu Kandyi, posłał do Wenecyi, a które lud, jako największą odniesionego zwycięztwa pomoc, szanował i za nietykalne poczytał. Karmiono je kosztem skarbowym aż do upadku Rzeczypospolitéj. I te więc gołębie są tu pamiątką historyczną, którą Wenecyanie szanować umieją!

Rzym.

„Listy z podróży po Włoszech“ przez Konst. Gaszyńskiego.

(Str. 165.)

Rzym przedewszystkiem jest miastem papiezkiém, stolicą katolicyzmu. Tutaj więc cudzoziemiec przyjrzeć się może obrzędom kościelnym, odprawianym z okazałością, na jaką żadna inna religia, a nawet żadny inny gród chrześcijański, zdobyć się nie potrafi. Najwspanialsze ceremonie przypadają na pierwsze święto Wielkiéjnocy.

Nie mógłem być obecnym mszy św. śpiewanéj przez samego Piusa IX., w dzień Bożego Narodzenia; — i dziś rano dopiero miałem szczęście znajdować się na wielkiém nabożeństwie w bazylice św. Piotra i widzieć z blizka Ojca św. w całym majestacie ziemskiego przepychu.

W pół do jedenastéj, rozpoczął się wchód solenny papiezkiego orszaku. Przodem duchowieństwo niższe — dalej kanonicy — za nimi trzydziestu kardynałów, każdy z kameryerem, niosącym ogon czerwonéj sukni pryncypała.

Za kardynałami idą szambelani świeccy w stroju hiszpańskim z XVI. wieku, zupełnie czarnym z atłasu i aksamitu, z białą kryzą i koronkowemi mankietami, szpadą u boku i złotym łańcuchem u szyi. Za niemi dopiero, ukazuje się u drzwi bazyliki Ojciec św. cały w bieli, z srebrną tyjarą na głowie, niesiony na wyniosłym tronie przez dwunastu pachołków w karmazynowych szatach, z wylotami jak polskie kontusze. Dwóch jeszcze ludzi tak samo przybranych idzie po bokach, trzymając dwa ogromne wachlarze z białych piór strusich, osadzone na wysokich prętach złoconych. Oddział gwardyi szlacheckiéj zamyka orszak. Processya ta postępuje zwolna, bardzo zwolna wzdłuż nawy, długiej do 600 stóp; — a więc w takiéj odległości, zdaje ci się, że tron ów nie jest niesionym, ale że jak korab' jaśniejący, płynie po morzu głów ludzkich, zniżających się na przodzie, a podnoszących z tyłu, niby spokojne fale oceanu. Patrząc z dala na papieża, myślisz, że niosą jakiś posąg świętego, ulany ze srebra; — ale posąg ten żywy, bo co

parę kroków podnosi rękę, by błogosławić na prawo i na lewo klękające tłumy wiernych.

Ten pochód kilkuset osób w bogatych szatach, postępujących w uroczystém milczeniu, przedstawia widok malowniczy i wzruszający, z którym nic się porównać nie może. Wieśniaczka polska, obecna ceremonii, tak mi opowiadała swoje wrażenia po powrocie z kościoła; „Kiedy nieśli papieża na tém złocistém krześle, to mi się widziało, że samego Boga Ojca niosą — i bałam się patrzeć, myśląc, że to grzech może. Ale sobie powiedziałam: no, to już i zgrzeszę, ale będę patrzeć, bo takie święte cudowności to chyba w niebie można obaczyć!“ Te naiwne słowa podziwu duszy prostéj, ale żywo czującéj, lepiéj malują, niżbym ja zdołał, wrażenie, jakie ta processya wywiera na tych, którzy po raz pierwszy ją widzą.

Orszak zatrzymał się przed wielkim ółtarzem. — Ojciec święty zstąpił z wysokiego siedzenia, ukląkł, — i po krótkiéj modlitwie poszedł zasiąść na przygotowanym w głębi tronie. Zdjęto mu tyjarę a włożono infułę złotą — i kardynałowie przystępowali jeden po drugim całować rękę papieża, okrytą w białą rękawiczkę z relikwiami na wierzchu. Teraz, rozpoczęła się msza św., celebrowana przez kardynała biskupa, w asystencyi trzech prałatów w litych kapach.

Niema organów u św. Piotra, orkiestra kościelna składa się tylko z licznego chóru najdoskonalszych śpiewaków, których talent rozgłośny po całéj Europie. Msza św. (przerwana kazaniem) trwała przeszło półtory godziny.

W czasie podniesienia i po *ite missa est*, Ojciec św. zstępował z tronu i szedł z gołą głową przed ółtarz, gdzie modlił się na przygotowanym klęczniku.

Stałem nie daleko, mógłem więc przyjrzeć mu się najdokładniéj. Pius IX. jest jeszcze w całéj sile wieku (59 lat), postawy słusznej i kształtnéj; twarz jego piękna, pogodna, ma wyraz powagi i spokoju — słodyczy i dobroci. Po odmówieniu ostatniéj modlitwy, papież usiadł na krześle i odniesiono go aż do drzwi, łączących bazylikę z watykanem, w takim samym porządku, jak się rzekło wyżéj.

Katakumby rzymskie.

Przez tegoż.

(Str. 171.)

Zroszone krwią męczenników, uświęcone wspomnieniami wiary, obleczone poetycznym urokiem przez pieśni wieszczów, lgnących do wszystkiego, co jest tajemnicze, katakumby mają początek bardzo prozaiczny. Jak prawie cały półwysep włoski, tak i okolice Rzymu składają się z gruntu wulkanicznego, pokrytego pokładem ziemi wegetalnej. Ten piasek brunatny, resztki przepalone po zagasłych jeszcze może przed potopem wulkanach, jest doskonałym do robienia *cymentu*. Od czasów niepamiętnych, zapewne od epoki pierwszych królów, mieszkańcy Romulusowéj osady, kopali głębokie jamy, szukając tego wybornego materyału do murowania.

W miarę jak Rzym rósł w potęgę, mnożyły się domy i pomniki — do ich budowy potrzeba było coraz więcéj *puzzolany*. Oględny rząd zaprowadził porządek w kopalniach. By uniknąć zawalenia się ziemi, rozkazano przebijać galerye w naznaczonych odstępach i w coraz nowych kierunkach. Po kilku wiekach pracy i wywozu, utworzyła się, jakby ogromna sieć wązkich kurytarzy, podziemnych, krzyżujących się w niepoliczonych gałęziach i ogniwach — i powstał szeroki labirynt, straszniejszy od owego, z którego wywiodła *Tezeusza* nić *Arjadny* — straszniejszy mówię, bo pozbawion promieni słonecznych, bo złożony z kilku piętr coraz głębszych podziemi, połączonych z sobą schodami. Robotnicy pogańscy mimowiednie, opatrznie, przygotowywali zawczasu uchronę dla wyznawców nowéj, prześladowanéj wiary!

Na powierzchni ziemi wzbroniono chrześcianom słuchać wykładu ewangelii, odprawiać obrzędy religijne — zeszli więc do pustych katakumb, rozkopali szerzéj kończyny niektórych zaułków, i tak stanęły pierwsze kościoły boże, gdzie zdala od gnębicieli, przy blasku pochodni, odzywał się głos kapłanów, wznosiły się ku niebu modły wiernych. By uniknąć nakazu palenia ciał zmarłych na stósie *(rogus)*, wyżłobili w ścianach kurytarzy podłużne otwory — i tam grzebano ciała braci, którzy skończyli spokojnie żywot doczesny, lub padli śmiercią męczeńską. W tych także niedostępnych manowcach, nie jeden świeżo nawrócony Rzymianin, oskarżony od krewnych, ścigany przez władzę, znajdował bezpieczne ukrycie.

Z upływem czasu, w chwilach ulgi i krótkiego spokoju, przedarł się do katakumb pewien rodzaj okazałości; freski pokryły sklepienia kaplic, rzeźba ozdobiła ółtarze — a każdy grób zamknięto płytem białego marmuru z napisem. Tradycya głosi, że czternastu papieży i sto kilkadziesiąt tysięcy chrześcian spoczywa w tych cmętarzach.

Nikt może w żadnéj epoce, nie zwiedził wszystkich kryjówek téj szerokiéj *Nekropoli*, ciągnącéj się (podług zdania wielu autorów), aż do brzegów morza i do granic państwa neapolitańskiego.

Wyobraźnia nie wymyśliła nic bardziéj fantastycznego i przerażającego, jak rzeczywistość tego podziemnego miasta bez końca, które miało za ulice sklepione rowy, za domy grobowiska, za świątynie groty w twardym piasku wykute, za słońce, blask pochodni — za ludność codzień gotujących się na śmierć męczeńską czcicieli prawdziwego Boga. Pozwolenie na piśmie, wydane z kancelaryi papiezkiéj, jest niezbędném do téj podziemnéj wyprawy.

W naznaczony zawczasu dzień i na umówioną godzinę, przybyłem w towarzystwie polskiem z ośmiu osób złożonem, do winnicy obok kościoła św. Agniszki, gdzie już czekało na nas dwóch przewodników z pochodniami. Każdy z nas również uzbroił się zapalonym stoczkiem — i zstąpiliśmy do państwa umarłych po długich, wilgotnych schodach, po których Dante musiał stąpać przed napisaniem swej Epopei!

Wszystkie galerye są wązkie, trzeba postępować jeden za drugim, jak duchy nocne sunące pogrzebową processyą, przy bladem świetle migotających ogników. Czy na prawo czy na lewo zwrócisz oczy w téj ciasności, ten sam uderza cię widok: kilkorzędowe, podłużne, otwarte framugi pełne kości i czaszek. Niekiedy, jakby dla przerwania téj jednostajności, wprowadzają cię przewodnicy do przestronnéj groty. Tutaj była kaplica; stoi jeszcze ółtarz murowany z prostych kamieni, na ścianach ślady fresk zaczernionych dymem pochodni, ceglane półki, na których składano ubogie przybory do odprawiania ofiary mszy świętéj; obok ółtarzy, głaz wyciosany w kształcie szerokiego krzesła, który służył zarazem za kazalnię i za konfesyonał.

Daléj znów długie, krzyżujące się kurytarze, a w nich groby i kości. Za niemi jeszcze daléj, schody a raczéj ścieszka pochyła, stroma, prowadzi w dolne piętro zupełnie podobne do wierzchniego.

Takież same tu rozporządzenie, ten sam obraz żałobny innego zdaje się świata, kaplice i cmętarze, ciemny i samotny labirynt, z którego (mimo uroku religijnego budzącego w duszy litość i uwielbienie), radbyś wyjść jak najprędzéj na świeże powietrze, odobaczyć rodzinę żywych, błękit nieba i promienie słońca. Spodziewam się, żeś zrozumiał z tego opisu, iż dziś w katakumbach pozostały tylko wspomnienia, goła ziemia, nagie ółtarze i otwarte groby.

Wszystko co było pamiątką historyczną lub dziełem sztuki, przeniesione oddawna do Watykanu, gdzie te zabytki są przystępniejsze dla oka, zabezpieczone od wilgoci ziemnéj i łupiestwa pojedyńczych amatorów. Płaskorzeźby i napisowe marmury wlepiono w ścianę szerokiéj galeryi służącéj za wejście do muzeów watykańskich.

Odkopalisko Pompei.

Przez tegoż.

(Str. 167.)

W tych dniach, oglądałem w okolicach Neapolu, rzecz jednę z najciekawszych dla badacza przeszłości — miasto rzymskie przez ośmnaście blizko wieków zagrzebane, które że tak powiem, powstało zmartwych i wychodząc na powierzchnią ziemi, odkryło nam wiele tajników publicznego i domowego życia u starożytnych narodów.

Pompeja, zasypana popiołem i żużlami w czasie strasznego wybuchu Wezuwiusza, w 79. roku naszéj ery, była prowincyonalném miasteczkiem. — Napróżno więc chciałbyś w niéj szukać takich olbrzymich monumentów, jakich szczątki mniéj więcéj uszkodzone zostały w Romulusowym grodzie, metropili pogańskiego świata. Ale za to, masz tu przed oczyma wyraźny, dotykalny i całkowity obraz rzymskiego *municipium* z pierwszego wieku po Chrystusie.

Wszystko pozostało na miejscu — i wszystko (prócz dachów), zachowało się pod całunem z popiołów, lepiéj niż mumija egipska w balsamicznym powijaku. Patrzaj! oto stoją świątynie, łuki tryumfalne, trybunały, koszary, cyrk i teatra; — oto ciągną się wzdłuż prostych ulic, domy zamożnych i liczniejsze domki ubogich, — łazienki, fabryki, karczmy i sklepy! Oto place ozdobne i fontanny, mur obwodowy z basztami do obrony, — a zaraz za północną bramą, dwa długie rzędy rzeźbionych grobowców; dawny cmętarz miasta, które samo stało się cmętarzem! Na bruku z płaskich kamieni, widać jeszcze w kilku miejscach wyżłobiony ślad kół wozowych; — po rogach ulic czytasz afisze przed dwudziestu wiekami czerwoną farbą kreślone i donoszące o mieszkaniach do najęcia, albo o widowisku teatralnem. Gdzieindziéj cieśla i oberzysta polecają się publiczności; tam znów ściana pokryta niezgrabnemi rysunkami swawolnych ulicznków.

Pośród tych wszystkich pamiątek, brak tylko dawnéj ludności. A jednak choć w okół pusto i cicho, jesteś pod wpływem tak żywych wrażeń, iż zdaje ci się, że na skręcie pierwszego zaułku, spotkasz ludzi ubranych w fałdowane togi, spieszących na *forum!*

W chwili katastrofy 79. roku, mieszkańcy Pompei, z małymi wyjątkami, mieli czas unieść życie. Najwięcéj szkieletów znaleziono w koszarach! — Karność wojskowa wstrzymywała zapewne żołnierzy od ucieczki. Po niektórych domach prywatnych odkryte kościotrupy obładowane były precyozami i pieniędzmi. Widać że to były szczątki tych, którzy po pierwszéj chwili przestrachu, wróciwszy z drogi dla

zabrania rzeczy najkosztowniejszych, padli ofiarą niewczesnej chciwości, a może i poświęcenia dla dobra rodziny, idącéj w świat bez przytułku i chleba!

Dopiero w środku zeszłego stulecia, okoliczni wieśniacy kopiąc doły do sadzenia drzew nad rzeczką Sarno, natrafili przypadkiem na mury Pompei tak już zapomnianéj (mimo listu Pliniusza młodszego), że nawet nie wiedziano dokładnie o miejscu, na którem niegdyś stała. Rząd zakupił grunta i rozpoczął poszukiwania, które uwieńczone zostały najpomyślniejszym skutkiem. — Albowiem oprócz archeologicznych i pięknych zabytków sztuki greckiéj i rzymskiéj w malowidłach, mozajkach i rzeźbach — wydobyto koleją z tego nietkniętego składu starożytności, mnóstwo skarbów w złocie, srebrze i *bronzie*. Robota trwa dotychczas — ale niestety! tak żółwim postępuje krokiem, że od stu lat, zaledwie odkopano piątą część miasta, składającą się z dwudziestu kilku ulic. Jeźli rząd neapolitański tym samym trybem ciągnąć będzie daléj poszukiwania, to chyba ósme pokolenie po nas żyjące, obaczy całą Pompeję. Kto działa powoli, tego głowa nie zaboli (*chi va piano va sano*), mówi przysłowie — i służy za wymówkę lenistwu i opieszałości narodowéj.

Po pierwszém wrażeniu jakie obudza w tobie ten nowy i niezwykły widok zmartwychwstałéj Przeszłości — najwięcéj cię zadziwia wszędy, niezaprzeczony ślad dobrego bytu mieszkańców i powszechnego zamiłowania w sztukach pięknych, których dzieła liczą się u nas do rzędu rzeczy zbytkowych, a które u pogańskiéj społeczności, były (jak się tu przekonywamy), niezbędnym przedmiotem, i że tak powiem, chlebem powszednim.

Pompei, było to wprawdzie handlowe (*Pompeion*, znaczy po grecku: skład towarów), ale małe miasteczko; a przecież w najmniejszym domku, podłogi są wykładane mozajką lub różnokolorowym marmurem; mury zewnętrzne malowane czerwoną lub żółtą farbą — a wszystkie ściany wewnątrz, pokryte w mniéj więcéj piękne obrazy *al fresco*, z których nawet pośledniejsze figurowaćby mogły w naszych salonach.

Znalezione w Pompei sprzęty domowe, nawet najpospolitsze, jak n. p. narzędzia kuchenne, mają kształt gustowny, naznaczony piętném sztuki. Widno, że u starożytnych ludów, nawet mosiężnicy i kowale byli artystami, — bo na siekierach spotykasz wytworne płaskorzeźby — dziurki durszlaków tworzą prześliczne girlandy, a rączki u patelni, noży i łyżek kończą się wyrzeźbioną głową ludzką, zwierzęcą lub ptasią. Cóż dopiero powiedzieć o wielkich urnach i dzbankach z bronzu, o trójnogach i kandelabrach odkrytych w domach bogatych — a które dziś są głównemi ozdobami muzeum burbońskiego w Neapolu? Po tylu wiekach ciągłéj pracy na drodze postępu, cywilizacya nasza nic wyższego pod względem formy i pomysłu nie wydała. Co dzień więcéj przekonywam się, iż rzeźba, już dwadzieścia wieków temu, wypowiedziała ostatnie swoje słowo!

U dawnych Rzymian, życie publiczne górowało nad życiem prywatném. *Civis romanus* bawił pod rodzinnym dachem tylko nocą, lub w godzinach obiadowych — resztę czasu przepędził na *forum*, w świątyniach, w teatrach lub w łaźni. To też w Pompei domy mieszkalne są szczupłe, a budynki publiczne, za wielkiego, zdaje się, rozmiaru, na obszerność osady i ilość mieszkańcy.

W najwspanialszéj części miasta stoi *Forum*. Jest to wielki podłużny czworobok otoczony podwójnemi rzędami kolumn między któremi (jak wskazują piedestale), stały posągi i popiersia zasłużonych obywateli miejscowych. Ta kolumnada pokryta dachem, tworzyła długi portyk do przechadzania się.

Tu radzono w sprawach publicznych, tu była giełda — i znaczniejsze ulice wychodziły na plac ten. Słowem, był to główny punkt zbiegowiska, centrum, obok którego grupowały się wszystkie gmachy niezbędne do publicznego i religijnego życia.

W okół pompejańskiego forum, wznoszą się świątynie: Jowisza, Merkurego, Wenery, Izydy, Fortuny, i najokazalsza z nich, świątynia Augusta czyli Panteon; nieco daléj, trybunał, więzienie, i łaźnia publiczna.

Na kończynach przeciwnéj części miasta (téj, która jeszcze nie tknięta rydlem i nad którą ciągną się winne ogrody), odszukując wałowych murów, natrafiono i odkopano Cyrk do igrzysk (téj saméj formy, co Kolizeum rzymskie), dwa teatra i koszary — wszystko najdoskonaléj zachowane. Jak już mówiłem, domy prywatne Pompei (na których progach widzisz wyryte gościnne napisy: *salve* i *vale*), są szczupłe i na jeden model stawiane. Każden składa się z dwóch części: od przodu, w okół kwadratowego podwórka (*atrium*), mieszkanie dla mężczyzn; — od tyłu, wzdłuż czterech boków innego podwórza ozdobnego w kolumny (*peristilium*), schronienie kobiet; — po za domem ogród (*viridarium*), z fontanną i statuami. Pokoje sypialne (*cubiculae*), salon (*exeda*), gabinet do pracy (*tablinum*), jadalnia (*triclinium*), a nawet kaplica gdzie stały posągi Bogów (*sacrarium*), są bardzo małe i rzadko opatrzone oknami; światło dzienne wchodziło do nich przez drzwi.

Znaczniejszym domom Pompei ponadawano nazwy od

znalezionych tamże pamiątek. I tak, jeden zwie się domem *Fauna*, dla tego że w nim odkryto piękny bronzowy posąg tego opiekuna gajów. Od mozajki, która przedstawia aktorów w maskach i koturnach, zdających się robić próbę dramatu przed poważnym starcem, nazwano cały budynek *domem poety* tragicznego; *dom chirurga* od znalezionych tam lancetów i innych narzędzi; *dom tancerek* od ślicznych fresk, przedstawiających wizerunki kobiet w najpowabniejszych pląsach; — *dom labiryntu* od mozajki, na której Tezeusz zabija Minotaura; — *dom strzelca* od malowanych na ścianach scen polowania i t. d.

Posągi, płaskorzeźby, znakomitsze mozajki i malowidła, ozdoby kobiece i inne przedmioty ze złota, srebra, bronzu, i żelaza; amfory, lampy, garnki i tym podobne narzędzia gliniane i ciekawości starożytne wszelkiego rodzaju, odkryte przy odgrzebywaniu — przewieziono ztąd do Neapolu i umieszczono w muzeum królewskiem. W Pompei pozostały tylko puste mury, pośledniejsze mozajki i ogromna ilość fresk po ścianach.

Żegluga po Czarném morzu.

Przez X. Hołowińskiego. „Pielgrzymka do ziemi świętéj.“ Wilno 1842.

(Str. 173.)

Wsiadłem dnia 9. Lipca na statek parowy „Alexandra,“ i o godzinie dziesiątéj z rana puściliśmy się do Carogrodu. Piękny był widok, gdy w szybkim pędzie statku przedstawiały się kolejno wszystkie domy Odessy; i wkrótce, bo w 10 minut, zniknęło miasto. Parochód pruł piorunem ciche morze; obracałem wzrok ku rodzinnéj stronie, którą porzuciłem, nie będąc pewny, czy ją kiedy obaczę: jużem się zaczął smucić, gdy przyszły na pamięć słowa Bajrona: *czego mam płakać? za kim i po kim? kiedy nikt po mnie nie płacze.* Śmierć moja, myślałem, nie zrobi nikogo nieszczęśliwym: matka już u Pana Boga, a przyjaciele skończą na westchnieniu. Wesołe rozmowy i śmiechy majtków, wybiły mię z tego zamyślenia i starałem się poznać moich towarzyszów podróży. Kapitan okrętu, Anglik, pod grubą powłoką miał czułe i szlachetne serce: podróżujących ze mną było czterech: młody kupiec z Taganroga, Grek dobrze ukształcony; kupiec z Odessy, co grał zabawnie rolę wielkiego pana; feldjeger z depeszami; Niemiec, i dwudziestoletni *Periota*, co zwiedził wiele krajów, i mówił wielu językami.

Przez cały dzień brzeg ziemi był widzialny, a po nim gdzie niegdzie usiane z początku kolonie i cerkwie uprzyjemniały widok. Najpiękniejsza pogoda ciągle trwała, i pierwszy raz w życiu oglądałem prześliczny zachód słońca na morzu. Około godziny dwunastéj w nocy, ujrzeliśmy przy świetle księżyca wysepkę *Serpentyna*, jedyną na morzu Czarném, gdzie nic więcéj niema, tylko budki rybaków, przybywających tam czasami dla połowu ryb morskich. Wysepka ta leży o 75 mil od Odessy.

O, jakże ci opiszę ten nowy dla mnie widok? Całą noc przesiedziałem na pokładzie, tylko niebo i morze, oświecone tajemniczym blaskiem księżyca, przedstawiały się oczom. Nasz parochód, jak ptak przelatywał puste i ogromne stepy wodne, które kołami, jakby skrzydły bijąc, zostawiał długi, prosty i biały szlak za sobą; z jego oddechu para stanowiła czarną wstęgę, ciągnącą się jakby olbrzymiéj długości bandera. Po odmętach płynęły złote rzeki, złożone z żywych iskierek księżycowego światła; koło statku często igrały stada *delfinów*, wznosząc nad wodę czarne i potworne grzbiety, i odkrywały świat drugi, świat morski. Wielka to przyjemność płynąć w piękną pogodę po morzu statkiem parowym! Ranek był śliczny, i słońce pomalutku podnosiło się z wody. Ten widok wschodu na morzu daje pojąć w całéj piękności owę baśnię Greków o noclegu *Feba* w kryształowym pałacu.

Cały dzień dziesiąty Lipca upłynął, i nie widzieliśmy ziemi. Biedna ptaszyna zmęczona usiadła na naszym statku dla spocznienia; napotkaliśmy czasami okręty, i witaliśmy się wywieszeniem flagi. Parochody odeskie, które odbywają kolejno podróż do Carogrodu, chociaż bez porównania ustępują innym podobnym statkom, jakie potem widziałem, są jednak dość nie złe. Pierwsze miejsce stanowi nie wielka salka, otoczona w koło szafami, gdzie za firanką są łóżka na górze i na dole dla podróżnych. Na stół dają rano i wieczór kawę lub herbatę; przytem śniadanie, obiad i wieczerzę: bo masz wiedzieć, że na morzu wzrasta apetyt; chyba kto cierpi słabość morską, ale ja ciągle zdrów byłem. Jedynastego Lipca, około ósméj godziny ujrzeliśmy wzgórkowate brzegi *Rumelii*. Tak więc w dwóch dobach przelecieliśmy 380 mil morskich, które liczą z Odessy do Carogrodu. Silniéj uderzyło serce, kiedy powiedziano, *Bosfor!* Zdala już się rysował ten kanał jak ogromna rzeka. Około przylądku *Fanaraki*, czyli *Fenerkei*, ciągle walczą z falą skały *cyaneńskie*, które starożytni mieli za pływające. Młody mój towarzysz *Periota*, co w téj chwili chciał być moim *czizerone*, mówił mi, że na tych skałach jest ołtarz pogański z białego marmuru, na którym dawniéj błagali Boga wiatrów przed zamierzoną żeglugą po niegościnném morzu; ten

ółtarz dziś zowią *Kolumną Pompejusza*. Brzegi Bosforu są dziwnie malownicze. Naprzód się przedstawiają na stronie Azyi zczerniałe wiekiem i porosłe drzewami mury genueńskiéj twierdzy, a na europejskim brzegu tylko szczątki widać podobnéj budowy. Potem rzędem nad samym Bosforem suną się tureckie baterye, z ładniutką czworograniastą wieżyczką i strzałką sięgającą wysoko. Często w prześlicznych jarach, pokrytych cyprysami, i ogromnymi klonami, co tu imię *Platanów* noszą, można widzieć ładne wiejskie mieszkania, z kamiennemi wschodami, aż do wody Bosforu. Wjeżdżając daléj w ten kanał przy szybkim pędzie statku, taki jest natłok uderzających przedmiotów, że opowiadacz nie zdoła wszystkich wymienić. Jest to chaos piękności, jest to prawdziwa panorama, gdzie opowiadacz ciągle pokazuje: to pałac letni sułtana, to *Skutari*, to *Bujukdere*, to *Terapia*, to *św. Zofia*, to *Pera* itd. Wielki ten kanał, po obu stronach mający pasmo gór, spotyka w końcu Przylądek seraju, oblany z jednéj strony morzem *Marmora*, a z drugiéj portem, co się nazywa *Rogiem złotym*. U podnóża tych gór, otaczających Bosfor, wznoszą się pyszne gmachy i rozkoszne *kioski*, tak przy samym brzegu kanału, że fale płóczą marmurowe schody. Ztąd na górach kwitnące kwiaty i smutne cyprysy z innemi drzewami, co w całéj swéj wielkości pokazują się wyżéj tych gmachów, zdają się od razu babilońskiemi ogrodami, wiszącymi w powietrzu. Wystaw sobie to mnóstwo wielkich budów, pomieszanych często z gajem cyprysów, czyli cmętarzami; ten tłum meczetów, których lekkie i śliczne minarety zdały się lasem strzał lecących w obłoki; te nadzwyczaj ścieśnione domy, które się piętrzą po górach, i swoim nieładem piękniéj je ubierają; wystaw sobie rozścielającą się ogromną płaszczyznę morza *Marmora*, i wspaniały *Bosfor*, ożywiony *brygami* i *fregatami* różnych narodów, w około których tysiąc lekkich, pięknych i szybkich uwija się *kaików* t. j. łódek w kształcie księżyca na nowiu: a pojmiesz ten urok, w jaki mię wprawiło tak cudne widowisko! Bardzo wierzę temu, co mówiono o jednym Angliku, który przypłynąwszy do Carogrodu, obejrzał go tylko z *Bosforu* i nasycony tym widokiem, nie wystąpił na brzeg, ale natychmiast odpłynął. Bo w rzeczy saméj, wiele się traci uroku za wyjściem na ziemię, gdzie lichość domków, i nieporządek, odczarowuje. A nareszcie, taka jest dziwna nasza natura, że to, co poznamy, już nie tyle uderza.

Święta Grota Narodzenia.

Przez tegoż.

(Str. 176.)

Wstąpiliśmy do Betlejem. Trzeba było prawie całą wieś przejeżdżać do klasztoru położonego w małém od wsi oddaleniu na brzegu góry. Domy betlejemskie, co zdala tak świetnie wyglądały, przedstawiły się z blizka, jako niezgrabne, grube i często rujnowane mury. Przez bardzo nizkie drzwi weszliśmy do klasztoru, gdzie nas ze zwykłą uprzejmością powitano. Najmilsze upragnienie, pełnym radości głosem, wołało ustawnie: *Ach, do żłobku! do kochanego żłobku!*

Idąc, ujrzeliśmy na korytarzu przy saméj ścianie kościoła, karmiącego się osiołka ze żłobu. Nie wysłowię téj rozkosznéj przyjemności, jaką mi sprawił widok osiołka przy saméj świątyni betlejemskiéj! Jego ryk tak zawsze przykry, zdawał się najmilszem powitaniem. Po przejściu nawy kościelnéj, zestąpiliśmy przy wielkim ółtarzu do podziemnéj groty Narodzenia i blask lamp uderzył zroszone łzami radości oczy, nim padliśmy na twarz dla ucałowania najświętszego miejsca Narodzenia.

Prawdziwie, nie umiałem powitać Boga, co dla naszego zbawienia poniżył się do małego dzieciątka, co się obnażył ze swojéj chwały i przyjął postać stworzenia! — Jak ci powtórzyć to wszystko, co się wylewało tak mimowolnie z duszy, że uchodziło nawet uwagi i pamięci. Przypominam tylko, żem tu nie doświadczał nic gwałtownego i przerażającego, ale jakaś nieopisana słodycz, jakieś dziwnie łagodne rozczulenie, jakaś cicha a pełna błogość radości, zalały mi serce. O jakże Bóg cudowny w swojéj dobroci! O milutkie, kochane, najświętsze Dzieciątko! Zdaje się, że wyciąga drobne swoje rączęta, że nęci ku sobie niewymownéj słodyczy uśmiechem, i że promień utajonego bóstwa rozprasza zmysłowe ciemności. Ach, bo nie gardzi grzesznikiem, lecz go otacza swoją dziwną miłością, i na to się urodziło, aby przyciągło błądzących w objęcia swoje.

Z lubém rozrzewnieniem wodziłem wzrok po świętéj grocie. A więc, do téj szczeliny w skale, schroniła się nasza najczystsza i najmilsza gołąbka! Córko Dawida, królowo anielska, czyż w takiém ubóstwie i ukryciu spełniłaś ten niesłychany cud, który w tysiącznych obrazach przedstawiali prorocy? Tu wyszła gwiazda z Jakóba na podbicie całego świata pod prawo szczęścia. Tu z kosztownego kamienia świętéj czystości, urodził się baranek władnący okrę-

giem ziemskim. Tu ze szczytu najdoskonalszych cnót niepokalanéj dziewicy, z téj wysokiéj opoki Daniela, spadł bez pomocy ręki ludzkiéj drobny na pozór kamyczek, co zdruzgotał potęgę ciemności, potęgę zmysłów i bałwochwalstwa! Tu cudowna różczka Jessego rozwinęła się dziwnym kwiatem, co stał się chorągwią zbawienia wszystkim narodom, co przywrócił wiek złoty, bo otworzył bramę rajskich przybytków. Tak, tu błogosławiona dziewica porodziła Emmanuela, t. j. Boga co chciał zamieszkać z ludźmi! Przebacz, Panie, biednym nie wierzącym, bo nieskończona Twoja miłość nie może się pomieścić w słabém pojęciu, a tylko promień Twéj świętéj łaski wlewa tak cudowne i słodkie przekonanie. Oświeć wszystkich na świat przychodzących, skarbie mój, droga dziecinko! W Tobie jest życie nasze, a to życie jest światłością naszą, i pośród ciemności świecisz jeszcze w pieluszkach, jak miła gwiazdeczka, jak prześliczna jutrzenka, zwiastująca nam ukryte słońce Twojego bóstwa. —

Uboga para, ale z rodu królewskiego spieszy do Betlejem, a tam Józef i Marya, najświętsi z ludzi, nie znajdują u nikogo przytułku. Idzie przeto dwoje biednych do jaskini, służącéj za stajenkę bydlętom. O Boże! co się działo w ich sercu, że Pana i Zbawiciela musieli przy samém narodzeniu otoczyć ostatnią nędzą i ubóstwem! Najczystsza dziewica, uwinąwszy w pieluszki, położyła w żłobie: bo miejsca nie mieli w gospodzie. On świat stworzył, a świat go nie poznał! Do swéj własności przyszedł, ale go właśni słudzy nie przyjęli! — Spoglądając na tę prostą, nie wielką pieczarę, na tę bydląt stajenkę, na ten żłób, co był Zbawcy kolebką, i wspominając, że tylko dwoje biednych ludzi i nieme bydlęta otaczały boskie przyjście, wpadasz mimowolnie w zdumienie, które woła: — „I toż są pałace króla nieba? I toż są tron i kolebka najsłodszego, anielskiego, bożego panięcia? — Ale wśród podziwu i ubóstwa otwierają się oczy. Rozlewa się niesłychana jasność. Zjawia się nowa i cudowna gwiazda, zbiegają się pasterze i mędrcy, zlatują aniołowie, napełnia się powietrze rajskim śpiewem, a cała natura, niebo, ziemia, zwierzęta, pasterze, mędrcy, królowie i duchy błogosławione, oddają pokłon wcielonemu Bogu! O! wtedy ubóstwo niebieskiego dzieciątka, jakże wielką odkrywa mi tajemnicę przyczyny wcielenia, a razem jakąż wdzięcznością i rozczuleniem napełnia! Tak, w samém narodzeniu zaczyna spłacać grzechy nasze. W kamiennym żłobie pokutuje za naszą pychę i miękkość zmysłową. Poznajemy łaskę Twoję, o najpiękniejszy między synami ludzkiemi: z miłości dla nas, o rajski, anielski kochaneczku! stałeś się ubogim, będąc bogatym, abyśmy ubóstwem twojém

ubogaceni byli. — U żłobu, gdzie spoczywa błogosławieństwo wszystkich narodów, klęczą Józef i Marya, jak dwa czyste Cheruby ocieniające arkę Pańską. Któż w stanie pojąć dziwność i błogość tych nadzwyczajnych uczuć, które przepełniały ich serca? Najczystsza, najsłodsza dziewica, jakże sprzecznych doznaje wrażeń, bo na przemian, to hołd uwielbienia i pokłon czci składa swojemu Bogu, to znowu przytula rajskie dzieciątko do swego łona i w tysiącznych całunkach wylewa rozkoszne wezbranie najświętszéj macierzyńskiéj miłości. Nie znam w żadnym języku tak doskonale ujętego w proste słowa tego uczucia, jak w naszéj staréj pieśni „Kantyczek“, która pod tym względem prawdziwie jest utworem geniuszu chrześciańskiego, godnym zdumienia, gdzie najczulsza pieszczotliwość splata się z najżywszą wiarą. Wielki i uczony poeta na nic podobnego nigdyby się nie odważył i nigdyby tak głęboko nie przeniknął w dziwną poufałość, jak ta pieśń, którą duch kościoła wydał samorodnie w prostocie serca i miłości.

Grota narodzenia Zbawiciela od samego początku chrześciaństwa była w największém uszanowaniu i w każdym czasie mnóstwo tu przychodziło dla oddania pokłonu niebieskiemu dzieciątku. W pierwszych czasach kościoła zbierano się tu na nabożeństwo. Adryan chcąc odstraszyć chrześcian od tych nawiedzin, postawił na miejscu narodzenia posąg Adonisa, który tu był aż do czasu przybycia cesarzowéj Heleny. Ta wielka miłośnica Zbawiciela i śladów jego doczesnéj pielgrzymki, oczyściła najświętsze miejsce od bałwochwalstwa i kosztownemi marmurami ozdobiła grotę, jak świadczy Euzebiusz, a na jéj wierzchu wzniosła kościół, który znacznie odnowił Justynian.

Sadzawki Salomona.

Przez tegoż.

(Str. 178.)

Upał nie był wielki, zwłaszcza, że pragnienie można było ugasić przy wodociągu. Widok rozrzuconych dzikich skał, a czasem jakiejś wioski zdala wyglądającéj, uprzyjemniał podróż, już i tak ożywioną wspomnieniem Salomona na każdym kroku. Z góry odkrywał się wąwóz skalisty, ubrany w głębi wiosnianą zielenią: był to sławny Ogród zamknięty. Wreszcie w półtory godziny po wyjeździe z Betlejemu, stanęlismy przed najogromniejszém dziełem dawnéj potęgi Izraela, t. j. przed *sadzawkami Salomona.*

Zaraz przy wąwozie Ogrodu zamknionego, jest wązka rozpadlina pomiędzy dwiema ogromnemi opokami, która, stósownie do pochyłości skał, spada ku dolinie wąwozu. W téj rozpadlinie kamiennéj, widzisz trzy ogromne sadzawki, wykute po większéj części w skale, w pewnéj od siebie nie wielkiéj odległości i zajmujące całą spadzistość jaru, bo w prostéj linii jedna po drugiéj następują.

Chociaż, jak nadmieniłem, oswaja się oko w Palestynie z krajaniem skał, jednak widok téj olbrzymiéj pracy musi obudzić zdumienie. Wszystkie trzy sadzawki w równoległobok sporządzone, mają szerokość jednakową t. j. dziewięćdziesiąt kroków. Najwyższa sadzawka jest najmniejszą, ledwie nie kwadratową: bo ma długości sto pięćdziesiąt kroków. Zastałem ją pełną wody i widziałem z wielką przyjemnością pływającą cyraneczkę, bo mi przypomniała rodzinne strony, a potém kto wie, może tu przybyła z mojego kraju. Sadzawka ta jest najpłytsza i w znacznéj części murowana z ogromnych kamieni. We wszystkich sadzawkach, gdzie jest mur, tam go powleka niezmiernie gruba skorupa najpodobniéj z wapna i gipsu, ale tak twarda i nie krusząca się, jakby mur był powleczony massą kamienną. Druga, niższa sadzawka, więcéj w skale kuta, ma sto siedemdziesiąt pięć kroków długości i głębsza od pierwszéj, ale wody mniéj było. Trzecia, najniższa i najwęższa sadzawka, ma dwieście trzydzieści kroków długości i jest najpiękniejsza, bo: cała prawie w żywéj skale wykuta; lecz woda ledwo same dno pokrywała. Wszystkie sadzawki są w ten sposób kute, że wkoło idą gładziutko ciosane gradusy, szerokie na dwa, a wysokie na półtrzecia łokcia. Do tych wielkich gradusów prowadzą po każdéj stronie zwyczajne schody. Wszystko to zrobiono dla kąpieli, aby każdy na tych wielkich gradusach stósownie do spadku wody, mógł się kąpać i zejść głębiéj lub płyciéj. Najniższa sadzawka jest najgłębsza, bo ma pięćdziesiąt zwyczajnych schodów w prostéj linii do samego dna; co czyni dwadzieścia pięć łokci głębokości. Przez te kute w skale gradusy, każda sadzawka zwęża się na dnie, a rozszerza się u wierzchu. Częścią nasyp, częścią żywa skała, stanowią groble między sadzawkami, lecz wszystkie łączy podziemny kanał, i kiedy woda napełni najwyższą, wtedy ją puszczają do niższéj, a potém do najniższéj, która się kończy stromą ścianą, z ogromnych ciosów złożoną w całą głąb doliny zamknionego ogrodu. Przez mały umyślny otwór w téj ścianie, spada woda i formuje strumyk na dolinie. Od *Źródła zapieczętowanego* woda płynie kanałem w najwyższą sadzawkę, ale sama jedna nie mogłaby napełnić tak ogromnych cystern; przeto podziemne

wodociągi prowadzą tu wodę ze wszystkich źródeł pobliższych, których jest kilka: a nadto, opoki ogromne ścieśniające ten wąwoz, mają wyżłobione małe rowki, lub rynny, z taką sztuką, że wszystka woda deszczowa ścieka z tych gór do sadzawek przez małe okienka, umyślnie na to zrobione po wierzchnych brzegach każdéj sadzawki.

Trudno ci przedstawić całe wrażenie, jakie sprawia widok olbrzymiego dzieła i téj wody sklnącéj się wpośród skał popękanych od upałów. Wzmianki o tych sadzawkach w biblii, świadectwo Józefa i Talmudystów przytaczanych przez *Relanda*, stwierdzają nieprzerwane podanie, że to jest dzieło mądrego Salomona. Lecz gdyby nawet żadnych śladów historycznych nie było, samby widok téj pracy aż nadto przekonywał o jéj starożytności. Nie znajdziesz tu bowiem piękności greckiéj, ani ozdób płaskorzeźby. Niema tu równie dumy rzymskiéj, co ogromne podejmując dzieła, piętnowała na nich nietylko swoję śmiałość, ale i dostatek przez bogate ukraszenia. Przeciwnie, tu się przebija duch hebrajski, duch biblijny, t. j. zdumiewająca wielkość i siła przy zdumiewającéj prostocie. Szkoda, że to piękne dzieło w największém zaniedbaniu zostaje.

Ztamtąd, o jakich siedmdziesiąt kroków, na równinie pod górą, jest sławne *Źródło zapieczętowane*, któregobyś jednak bytności ani się domyślił: nic bowiem na polu nie widzisz, tylko jakiś nie wielki otwór w ziemi, założony kamieniem. Zapaliwszy świecę, spuściłem się nie bez trudności w tę wązką jamę: były tam wprawdzie jakieś schody, ale tak zawalone gruzem i popsute, że najmniéj półtora sążnia trzeba się było sunąć w to podziemie. Naprzód wszedłem do wielkiego pokoju, który był z ciosu łukowato sklepiony, a potem następuje takiejże samej starożytnej roboty drugi pokój, długi a wązki, gdzie z boku wytryska z ziemi trzy źródeł czystéj, jak łza, wody i wybornéj do picia, a nieco opodal znajduje się i czwarte źródło. Na środku lochu postrzegasz w nie wielki równoległobok łoże kamienne, w które zbiera się woda osobnemi kamiennemi rynnami ze wszystkich źródeł: a potém płynie z tego łoża w trzy wodociągi, t. j. jeden do najwyższéj sadzawki, drugi do Jeruzalem, trzeci do wspomnianego Kampo, czyli Karawanseraju. W samym końcu długiego lochu znajduje się jakby ławka do siedzenia usypana z ziemi, a przy niéj studnia pełna wody, lecz ta nie wychodzi z brzegów i nie łączy się ze źródłami. Patrząc na tę budowę, kędy ciosy zgrabnie się gną w prześliczne arkady, jakby odlane były z jednéj lawy kamiennéj, i zważając razem wielką prostotę, która gardzi wszelkiém wyszukaniem, wszelką dodatkową ozdobą, nie bardzo spie-

rać się będziesz z podaniem, co murowanie lochu przypisuje Salomonowi, zwłaszcza że w tém nie widzisz wielkiego niepodobieństwa. Na Wschodzie wszelkie budowy ozdabiające lub ochraniające źródła, mogą trwać niesłychanie długo: bo je wszystkie narody wschodnie mają w poszanowaniu i nietylko nie przyłożą ręki niszczącéj, ale nawet, mimo wrodzonego lenistwa, gotowe czasem poprawić i utrzymać tego rodzaju pomniki. Źródła w długim lochu były zapieczętowane królewską Salomona pieczęcią właśnie przy tym nie wielkim nad ziemią otworze, który teraz kamieniem zakładają, aby wewnątrz nikt nie psuł wodociągów i nie wybierał wody, co była potrzebna do źródeł królewskich i wodnych zapasów w Jeruzalem. Dla téj przyczyny wszystkie te podziemne źródła nazywały się *Źródłem zapieczętowanem.*

Jeruzalem.

Przez tegoż.

(Str. 180.)

Wpośród wzburzonego morza tych skał, które ustawnie na kształt ogromnéj fali piętrzyły się pod nieba, lub spadały głębokiemi jarami, wpośród téj jednostajnie posępnéj barwy, niosącéj trwogę i smutek, wznosiła się najwyżéj zielona *Góra Samuela*, jakby wyspa przytułku, lub nadpowietrzna oaza, na któréj z przyjemnością spoczywa wędrowca oko zmęczone pustynią, jak ptak przelotem morskim. Podobnie i w duszy pielgrzyma, który się zbliża do upragnionego celu, do *Jerozolimy.* Wśród tysiąca uczuć wzburzonych, wśród jakiegoś niepokoju i trwogi, wśród licznych myśli, którym wspomnienie tylu zniewag, cierpień, katuszy i śmierci Zbawiciela, nadaje barwę jednostajnie ciemną i posępną, słowem, wśród tego morza boleści, przebija się nad wszystko Nieskończona Miłość, *Bóg-Człowiek*, jako jedyny port słodyczy i pociechy, jako niebieska palma ocieniająca od skwarów tego świata!

W krainie górzystéj nagle odkrywa się widok miast i to pospolicie wtedy, kiedy już się zupełnie zbliżysz; co nadzwyczaj przyczynia się do powiększenia pierwszych wrażeń. Nie potrafię opisać niespokojności, z jaką wdzierałem się na każdą po drodze skałę, w nadziei ujrzenia grodu świętego; lecz długom się zawodził, a przynajmniéj tak się wydawało mojemu gwałtownemu oczekiwaniu. — Ciało nadzwyczaj było znużone i drogą i skwarem, a dusza gubiła się w posępnych myślach.

Nareszcie przybyliśmy około jedenastéj godziny przed obiadem na białą wapienną górę i nagle ujrzeliśmy przed sobą dość wielkie miasto, czepiące się po szczytach gór i opasane zębatemi wkoło murami. *Jerozolima!* wszyscyśmy krzyknęli i upadli na kolana, aby natłok uczuć wylać w świętéj modlitwie. Trzéj księża Bernardyni, moi towarzysze, co także po raz pierwszy mieli szczęście oglądać to najświętsze miejsce, nadzwyczaj mię rozczulili. W gwałtownem uczuciu boleści, upadli na twarz i wpośród łez, łkania i jęków powtarzali ustawnie; *O Jezu, o mój Boże, o mój Zbawicielu!* ale tak bolesnym głosem, tak z głębi duszy skruszonéj pochodzącym, że to uczucie świętego żalu musiało się i we mnie przelać. Po tém pierwszém wrażeniu zebrawszy nieco myśli, odmówiliśmy głośno i razem modlitwy dla otrzymania zupełnego odpustu, który kościół przywiązał do pierwszego ujrzenia Jerozolimy: i zkąd tę górę zowią chrześcianie *górą pokłonu*, a na ten znak układają pobożni pielgrzymi w mały krzyż kamienie. Potem najserdeczniéj uściskaliśmy się, winszując wzajem, że Bóg miłościwy mimo naszę niegodność, osłaniał nas dotąd skrzydłem swéj opieki od wszelkich wypadków i pozwolił oglądać najświętsze miejsce na całéj ziemi. Zdaje się, że nadal nie wieleśmy dbali o wszelkie niebezpieczeństwa. Długośmy stali, aby nieco oswoić się z tém widzeniem i z téj białéj góry, jak późniéj się przekonałem, najwspanialéj i najpięknéj przedstawia się Jeruzalem. Przyległa miastu opoka, po któréj czepiały się oliwy, panowała nad świętym grodem: to Góra Oliwna! Kościół Salomona, lub raczéj meczet Omara, wznosił zgrabną kopułę nad wszystkie budowy; na Kalwaryi świątynia grobu nieco wystawała nad inne pomieszkania; zresztą tłum ogromnych klasztorów i domów, rzadko przerywany wieżami i minaretami, nadaje odrębną postać świętemu miastu, zwłaszcza, że tu nie było drzew zieleni, pomieszanéj z domami zwyczajem wschodnim, bo tylko gdzie niegdzie smutny cyprys wystrzelał samotnie. A widząc tę massę kamienną domów, rzuconą na spiekłéj opoce i otoczoną do koła pustynią, trudno nie uczuć wielkiego wrażenia na ten widok stolicy skał, co wyłącznym pozorem i położeniem przybiera fizyonomiję jakiegoś smutku i wielkości.

Spodziewałem się znaleść Jeruzalem albo w ruinach, albo nie wielką i lichą osadą; z przyjemném zadziwieniem postrzegłem miasto z wielkiemi wieżami i ścianami, co tak tchną średnim wiekiem, że się może zdawać, jakby dotąd panowali tam Godfredy i Balduiny. „Jeruzalem, Jeruzalem, które zabijasz proroki i kamienujesz posłańców bożych, jak-

że mnogie i różne budzisz wspomnienia!" — Lecz cały ten tłum pamiątek, wszystkie dzieje Judy, wszystkie mordy i szturmy, a nawet wszystkie szanowne postaci prorocze i ten Dawid z arfą, wszystko to bladło, gasło i znikało przed słońcem krzyża. Krzyż tylko i krzyż, unosił się w myśli mojéj nad tym grodem: krzyż porywał do siebie całą duszę i serce: a tak otoczeni bolesnemi wspomnieniami męki i śmierci Zbawiciela, szliśmy piechotą do Jerozolimy i wstąpiliśmy do tego grodu przez damasceńską bramę, przez którą zwykli byli wchodzić dawniejsi i pobożniejsi od nas pielgrzymi.

Zaledwie trochę wytchnąłem po drodze, kiedy wszedł zakonnik z najpożądańszą wiadomością, że kościół już otwarty i pospieszyłem za tym kapłanem. Klasztor Zbawiciela XX. Bernardynów, przy którym znajduje się *hospicium*, leży o parę set kroków od kościoła Zmartwychwstania i ciągle się zestępuje, ale tak pomału, że ledwie postrzegasz tę pochyłość ziemi. Niespokojny, wzruszony i przejęty jakąś trwogą, postępowałem w milczeniu po ulicy otoczonéj zczerniałemi i wysokiemi murami, najczęściéj bez żadnych okien. Wszedłem do świątyni i nie pamiętam, jak się zbliżyłem do małéj groty najświętszego grobu: prawie machinalnie postępowałem za moim przewodnikiem. *Oto grób Pański!* rzekł zakonnik. Na te słowa upadłem na kolana. Mój przewodnik kazał mi iść do samej najświętszéj groty: trzeba było wpół się schylić, aby wejść przez malutkie drzwiczki do téj groty oświeconéj lampami. Tam upadłem na twarz i dla szczupłości miejsca, musiałem głową moją dotykać samego najświętszego grobu. Nadzwyczajna świętość miejsca, tłum pomieszanych uczuć i niewymowna radość z oglądania życiodawczego grobu, były zbyt wielkiem brzmieniem, pod którem upadała dusza i ledwie wpośród łez mógłem cicho powtarzać te słowa celnika: *Boże bądź miłościw mnie grzesznemu!* Uspokoiłem się powoli i już byłem w stanie przy większem zebraniu myśli objąć i ucałować to łoże śmierci, albo raczéj kolebkę najsłodszego w Bogu życia.

Smutnież to było powitanie kochanego Ojca, Pana i Zbawiciela! żywo przedstawiały się wszystkie krwawe obrazy téj męki, po któréj Twórca i Naprawca człowieka spoczął na tym świętym głazie. Lecz jak wyrazić ten pełen boleści smutek, w którym się jednak mieściła jakaś niebieska rozkosz? Jak wyrazić uczucia z dalekich stron pielgrzyma i kapłana, co zatrwożony własnemi grzechami i świętością miejsca, uderzał czołem o luby i błogosławiony kamień miłosierdzia i odkupienia bożego? Nie myślałem o tém, że

z tego grobu wykwitło życie milionów ludzi aż do nieskończonéj wieczności, że z téj ciemnéj jaskini zabłysnął wielki i nieprzerwany dzień zbawienia, że na uderzenie Ojca wszechmocnéj sprawiedliwości, wytrysnęły z téj twardéj opoki nieprzeczerpane zdroje krwi przenajświętszéj, która całą ziemię z grzechów obmyła: że to jest najdroższa i prawdziwa arka nowego przymierza, z któréj dziwnie rozrodził się świat drugi, świat chrześciański; mnie tylko całkiem smutek zajął i bardzo a bardzo żal było widzieć naszą niewdzięczność przy ustawicznem nasuwaniu się rozrzewniających wspomnień nieskończonéj dobroci i miłości, któremi dla nas tchnął jedynie Najsłodszy Zbawiciel od betlejemskiego żłobu, aż do strasznéj Golgoty! W tym smutku zdejmowała mię trwoga, żem się niegodny znajdował na miejscu najświętszém, które było świadkiem zmartwychwstania. Drzy ziemia, anioł Pański z wejrzeniem błyskawicy, odwala grobowy kamień i oto wstaje Nieśmiertelny zwycięzca śmierci, piekła i niewoli grzechowéj w tryumfie i blasku Króla wieczności, a to wszystko dla zbawienia nędznego prochu! Ach któż wtedy nie upadnie na twarz przed Tobą, Ofiaro błagalna? W zdumieniu i skrusze u podnóża grobu, albo raczéj tronu zwycięztwa, chwały i miłości, powtórzyłem z pełném uczuciem te święte głosy aniołów objawienia: *Godzien jest Baranek, który jest zabity, wziąść moc, bóstwo, mądrość, siłę, cześć, chwałę i błogosławieństwo!*

Takem prawie godzinę przepędził w przenajświętszéj grocie i możesz łatwo sądzić, że tych wielkich chwil życia, nigdy nie zapomnę, choć nigdy opisać ich nie potrafię. Grobowa cichość wtedy panowała w świątyni, bo to była przed *Kompletorium* prawie jedna godzina przerwy w nabożeństwie: a ztąd czułem nowy powód do wdzięczności, że mi Bóg pozwolił tak długo i swobodnie kosztować słodkich uczuć przy najświętszym grobie. Ach, bo w stanie prawdziwego rozrzewnienia w Bogu, stajemy się nadzwyczaj czułymi na wszystko i umiemy oceniać choćby najmniejszą łaskę! Czemuż ten stan trwa krótko, a z nim przechodzi i to święte usposobienie!

E.

Pamiętniki.

Moje wspomnienia.

Przez X. A. Jełowieckiego. 1838.

Wychowanie domowe.

Ojciec wychowywał nas po staropolsku. Od dzieciństwa hartował na zimno i gorąco; zimą i latem lataliśmy po dworze bez czapek, bez chustek na szyi, w trzewikach. — Uczyliśmy się strzelać z krucicy, z wiatrówki a potem ze strzelby; biliśmy się w palcaty, jeździliśmy konno, a owe harce odbywaliśmy co dzień po sniadaniu i po obiedzie w obec zgromadzonych gości i jak najuroczyściéj.

Przyprowadzano dwa kucyki kasztanowate, z których jeden był mój, drugi mego brata Edwarda. Sadzano nas na te kucyki oklep, dano cugle w ręce, pozamykano bramy od dziedzińca, żeby kuce do stajni nie uciekły, i dopiero puszczano nas, i dopiero wkoło dziedzińca jeden za drugim uwijaliśmy się, a charty wybrykując i mieszając się między konie, im ochoty a nam strachu dodawały. Więc ja groziłem wrzeszcząc, że spadnę, a ojciec odpowiadał: — „trzymaj się malcze za grzywę.“ Wypociwszy się z godzinę, więcéj od strachu jak od zmęczenia, zsiadałem z wielką radością: albowiem w dzieciństwie byłem wielki tchórz do konia. Nieraz przychodzi siadać na kuce, kuce dawno przed gankiem, goście dawno na ganku; wołają po wszystkich pokojach, po całym ogrodzie: Olesiu, Olesiu! aż po długiém szukaniu wyciągają Olesia z agrestu, prowadzą jak zbiega. Oleś płacze ze wstydu i ze strachu, zaręcza, że spadnie; nic nie pomaga; wyśmieją go, wyłają i daléj na kuca. Aż wkrótce mój kuc zdycha. Donoszą mi ostrożnie o tém nieszczęściu, i za to, że kuc zdechł, dostałem w podarunku nożyk. Cieszę się nożykiem, ale więcéj jeszcze cieszę się tém, że kuc zdechł i myślę sobie: a ha! już nie będę jeździł. Niedługo używałem téj podwójnej uciechy. Próbuję otworzyć nożyk, nie mogę. Więc zębami — otwieram — nożyk wymyka się i łapie mnie za wargę; — więc naturalnie z płaczem wielkim, latam w strachu wielkim, dopóki mnie z tego nożyka nic wypuszczono. Odebrano nożyk, a co

gorsza powiedziano mi nazajutrz, że przyprowadzili nowego kucyka srokatego, że ten nowy kucyk będzie Edwarda, a Edwarda kucyk będzie mój. Były tedy znowu dwa kucyki: — mój leniwy, Edwarda bardzo żwawy, a że był bardzo mały, więc każdemu słusznemu jeźdzcowi wymykał się, tak, że mało kto mógł na nim dosiedzieć. Bałem się go okrutnie. Pewnego razu ojciec powiada: — „dziś będziesz jeździć na srokatym!“ — Oczywiście podług starego zwyczaju zmykam do ogrodu, przepadam po krzakach jak zając; ale wytropili, wyciągają, prowadzą; idę jak na ścięcie; daremnie obiecują cukierków i krucicę, daremnie rozpowiadają mi coś o Aleksandrze Wielkim i o Bucefale; ja odpowiadam, że ja nie wielki ale mały — „to też i Bucefal mały, siadaj malcze!“ Sadzają, wydzieram się, posadzili. Ślizko mi, jakby kto kuca namydlił. Ja chcę stępą, koń w kłus, a potem w czwał leci za drugim kucem wkoło dziedzińca. Dziwują się, że nie spadam; nie rozumiem, że nie spadam, zaczynam się bać, że nie spadam; więc myślę sobie: spadnę przed gankiem, to rozczulę papę i już nie będę więcej jeździł; krzyczę padam! padam! i spadłem. — Kuc pobiegł, leżę, podnoszą mię, patrzę, aż mię nic nie boli i cały jestem. Ojciec mówi: — „widzę żeś nie szklanny!“ — przyprowadzają kuca drugi raz. — „Siadaj malcze!“ — Musiałem; — znowu jadę, i myślę sobie: kiedy to nie boli spadać, to jeszcze raz spadnę; — spadam znowu przed gankiem. Nic nie pomaga, sadzają raz trzeci. — Widzę że źle. Jak zacznę się trzymać a uganiać wkoło dziedzińca, jak się rozzuchwalę na koniu, tak odtąd nigdy już nie spadłem; odtąd jeździłem śmiało, potem wyszedłem na tęgiego jeźdzca, a tego dnia dostałem mnóstwo cukierków, krucicę i nowy łuk.

Odtąd już raz tylko koń mi napędził strachu, — ale jakiego strachu! Już wyjeżdżałem był i za bramę i za wieś. Otóż raz mój ojciec wyjeżdżał konno, oglądać stado pasące się na obszernym rozłogu nad Bohem. Ja z papą pojadę, ja pojadę z papą; zacząłem się napierać — „zlecisz, daleko na ciebie!“ — Nic nie pomagało, napieram się znowu. — „No pojedziesz, ale się dobrze trzymaj!“ — Dopóki przez wieś, szło doskonale; męczę kuca, — nie męcz go, bo się rozbryka!“ — Nic nie pomaga, męczę; aż przybliżamy się do stada; konie stadne zaczynają w około nas hulać. Ach! jak zacznie mój koń brykać! Stado rozbiegło się, kuc za końmi jak zacznie latać po całym rozłogu; a tu z jednéj strony rzeka ze skalistym, wysokim brzegiem, z drugiéj strony las; już widzę, że mnie zabije, albo utopi; ot krzyczałem! a kuc coraz mocniéj sadzi i pędzi po nad samą

rzeką. Spojrzę na dół, a tam woda po skałach kipi; spojrzę na prawo czy na lewo, a tu góry i lasy uciekają, a kuc pędzi; ręce mi omdlały, puściłem cugle, cugle spłynęły po karku; kuc jeszcze bardziéj pędzi, a takiego pędu już nigdy w życiu nie czułem, ani na najlepszych biegunach, ani na żelaznéj drodze. Pęd zamknął mi piersi, strach oczy przewrócił, wszystko mi się widzi do góry nogami, nakoniec nic nie widzę, a tylko słyszę głos mego ojca: — „trzymaj się za grzywę!“ — Gdzie tu się trzymać — rozkrzyżowałem ręce, zacząłem mówić: Zdrowaś Marya i już, już miałem omdleć zupełnie, kiedy nasz poczciwy rządzca Krasicki kuca schwycił i zatrzymał. Dopieroż ja z konia na ziemię i w nogi. Złapali mię łatwiéj jak kuca; ojciec dodał odwagi, mówiąc żem się tęgo trzymał, i że kiedy teraz nie spadłem to już nigdy nie spadnę; nauczył, że kiedy koń ponosi, trzeba mu tręzlą pysk piłować i zwracać na jedną stronę. Ośmielony siadam na kuca, zaczynam mu pysk piłować, kuc widzi, że nie żarty, więc stępą aż do domu zaniósł. Miałemże co rozpowiadać i mamie i braciom i gościom.

Do strzelania, biegania, grania w piłkę, byłem zuch wielki; a że przytem wszystkiém byłem bardzo powolny, lubiłem towarzystwo starszych i książki, nazywano mię filozofem. Ale filozof lubił czasem psie figle. Eustachy, mój brat młodszy, bał się gdzie ciemno, a ja gasiłem świecę i straszyłem go wilkami. Raz zakradłszy się do sypialnego pokoju mego ojca dorwałem się do strzelby nabitéj, zsypuję proch z panewki i z panem Eustachym nuż klapać, aż tu jak huknie strzelba, jak mnie trąci — strach dopomógł, wywracam się, walę Eustachego — wpadają wszyscy; my leżemy, kotara się pali, a ja krzyczę, że strzelba sama wystrzeliła i nas zabiła! — Nuż nas trzeźwić, nuż kotarę gasić — wszystko szczęśliwie się skończyło: nas wskrzeszono, kotarę zgaszono, rózgą nie dostałem!

Wkrótce potem, gdy się wybierano na wielkie jakieś polowanie, zajrzałem na stole w pierwszym pokoju parę kordelasów, więc chap za kordelasy i na dziedziniec do braci strzelających z łuku. Dobywam kordelasów, próbuję, ostre aż strach. A że zawsze było między nami współubieganie się, kto lepiéj strzela, kto daléj rzuca kamyczkiem, i nieraz ztąd dostało się oknom; kto nową sztukę i lepszego figla wymyśli, więc ja mówię do braci: kto głębiéj a od razu kordelas w ziemię wbije? Wyzwanie moje utrzymało się jednomyślnie: ten dobrze, ten jeszcze lepiéj — ten dobrze, ten jeszcze lepiéj; aż nakoniec jak dobędę wszystkich sił moich, jak podniosę kordelas oburącz, jak palnę się w nogę wyżéj palców; przybiłem się do ziemi tak, że ani rusz;

bólu nie pamiętam, ale ze strachu skamieniałem. Stoję jak posąg; bracia w płacz, krzyczą: Mamo, Oleś zabił się! — Co też tam było płaczu! a co się krwi mojéj wylało! — Obwinęli nogę, zgoiła się, ale znak dziecinnéj mądrości pozostał na zawsze.

Wyjazd do szkół.

Jadąc rzemiennym dyszlem, wstępując do różnych krewnych i znajomych, gdzie była taka jak my dziatwa, wybrykując z tą dziatwą, strzelając po drodze do wróblów i innych ptaszków, zapomniało się o szkołach. — Zbliżamy się do miasta; widzimy ogromny gmach jakiś; myślimy sobie: musi tam być wiele dzieci, ot będziemy się bawić; pytamy:

— „Papo, a wstąpimy tu?“

— „Wstąpimy.“

— „A dużo tam chłopców?“

— „Dużo.“

— „A jak się ten pan nazywa co tam mieszka?“

— „Gimnazyum.“

— Otóż masz! — Pospuszczaliśmy nosy na kwintę, spojrzeliśmy na posępne mury pojezuickie, spojrzeliśmy po sobie, łzy się pokręciły; żal się zrobiło za domem, za matką, stanął strach popisów przed oczyma. Źle! Ale cóż robić? Wjeżdżamy do miasta; paskudne — prowadzą nas nazajutrz do szkół — szkoły brudne; po korytarzach zimno, nauczyciele straszni.

W tém dzwonią; z milion chłopaków wylatuje z klassy i nuż w perewerty; wesoło krzyczą, i nam poweselało. Radzibyśmy się wyrwać do malców i pokazać im co to i my figlów umiemy; ale nie można, więc tylko przez okno zazdrośnie spoglądamy.

— „Papo, a kiedyż my pójdziemy do tych szkół?„ A nauczyciel łaciny i greczyzny, Jagiełło, nieproszony odpowiada:

— „Jak odbędziecie popisy.“

— „Nie boimy się popisów, my wszystko umiemy.“

— „Da się to widzieć.“

Przyszło do popisów. Straszniejsze były w domu. Myślimy sobie: ksiądz Skiba był przy nas, więc nie baliśmy się — popisaliśmy się doskonale. Edwarda i mnie przyjęto do trzeciéj klassy, Eustachego do drugiéj.

Było to w Sobotę; w Poniedziałek już mieliśmy się wprowadzić na mieszkanie do pana Jagiełły; Niedzielę mieliśmy jeszcze do pohulania.

W Niedzielę rano ojciec mówi:

— „No chłopcy, poubierać mi się dziś czysto; pójdziecie ze mną do Szczeniowskiego na obiad; a tam po obiedzie grzecznie się bawić.“

— „A są tam dzieci?“

— „Jest dziewczynka ładna i grzeczna.“

Poubieraliśmy się ślicznie, ojciec każdemu poprawił czuprynę aż świeczki w oczach stanęły; ruszamy z tęgą postawą, bo już po odbytych popisach. Przychodzimy. W pierwszym pokoju powitał nas poważny a bardzo wesoły starzec; był to Szczeniowski, wówczas dozórca gimnazjum Winnickiego, dawniéj prezes jakichś sądów, jeszcze dawniéj poseł na kilka sejmów i na sejm czteroletni. Z każdego sejmu dla braci szlachty mnóstwo łask królewskich ponawoził, dla siebie żadnéj nie przyjął; poobwieszał szlachtę orderami, obsypał tytułami, obdarował starostwami, a sam dla ojczyzny wszystko poświęcał, lecz od niéj niczego nie żądał, a sam błyszczał tylko cnotą i zasługą, nie mówiąc nigdy ni o jednéj, ni o drugiéj. To też doczekał wesołéj starości, co się nie smuci żadném nieszczęściem: bo ufa w Opatrzność Boską i spokojnie czeka Jéj sądu.

— „Przedstawiam ci moich chłopaków.“

— „Żwawe chłopcy; a to wnuczęta moje.“

I zaczął wywodzić po mistrzowsku długi rodowód, którego nie pamiętam wcale, choć go bardzo często potem powtarzał; a kończąc ten wywód, znowu nazwał nas wnukami.

— „Kiedy my wnuki, to pan dziadunio!“

— „Mądre chłopcy, żwawe chłopcy.“

Odtąd tedy jużeśmy nowego dziadunia dziaduniem zawsze nazywali. Wprowadził nas do bawialnego pokoju; wskazał na żonę — „oto wasza baba“ — wskazał na nas — „oto twoje wnuki“ — więc po kolei cmok babunię w rękę. Aż tu z drugiego pokoju wybiega dziewczynka jak aniołeczek; stanęła, popatrzyła i schowała się. Znowu stanęła we drzwiach, i już się nachyliła do pierwszego poskoku; na prawéj nóżce stoi; lewą jeszcze dotyka ziemi, jak gdyby tylko na to, żeby jéj nie zgubiła; rączki na wpół podniesione, jak gdyby do latania zrywać się miała; włoski jasnolite jeszcze nie spoczęły w pędzie, a błękitne, duże oczki mówiły: mamo, zawołaj mnie! Matka dała znak, a dziewczynka błysnęła przez pokój, i tuż przy matce stanęła, patrząc to na nią, to na ojca, to na nas. Ojciec skończywszy rozpowiadać coś zabawnego, mówi: — „Xawerko, przedstawiam ci twoich siostrzeńców.“ — Ciocia wyciągnęła nam rączkę, my powiadamy, że mamy taką siostrzyczkę i całujemy ją w buzię. Powiedzieli nam, że to nie siostrzyczka, ale ciocia, a dziadu-

nio wypalił nam naukę bardzo wesołą o uszanowaniu, jakie się należy starszym, niewiastom i ciociom.

Nazajutrz oddano nas już do szkół. Gimnazyum i szkoły były umieszczone w dawnych gmachach pojezuickich. Klassy wyższe miały innych nauczycieli, niższe innych. Klassy wyższe wynosiły się nad niższe; ztąd w lecie rodziły się niesnaski, a w zimie toczyła się wojna na śnieżki, zwykle między pierwszem a drugiem dzwonieniem, to jest, między pierwszą a drugą po obiedzie. Z jednéj i drugiéj strony zbierają się niesforne gromady, sposobią zasób wojenny, to jest stósy śnieżek. Niecierpliwsi wybiegają naprzód i z niecierpliwszymi drugiéj strony staczają bój pojedynczy; stopniami zapala się bitwa powszechna, najzażartsza. Słabsi celniejszym strzelcom podają śnieżki; krzyk, hałas niesłychany. Chmury śnieżek krzyżują się straszliwym pędem, śniegowe bomby warczą i pękają na mężnych piersiach. Ten je odbija teką, co mu puklerzem; ten nieustraszony chwyta bombę w powietrzu i zdwojonym pędem zwraca, temu wrzeszczącemu malcowi śnieżka gębę zamknęła, oczy zabryzgała; — idzie malec do klassy, jak do szpitala: tam znowu wdarła się w zanadrze rozchłystanemu bimbasowi i oziębia dalszą ochotę do wojny. Wrzawa, zamieszanie, walka się wzmaga, wściekłości przyrasta. Już nie ma śnieżek, to śnieg garściami rzucając, strony zbliżają się: już, już przy sobie, już, już rozdzierać się mają; w tém — dzwonią raz drugi i w mgnieniu oka bój ustał, wojska walczące zniknęły. Już w ławkach; już wchodzi nauczyciel, już przeminęła zawziętość i strach wojny, a panuje bez zawziętości strach nauki.

Przyszedłszy latem na jaką płaszczyznę pod lasem, nasze pułki stawały i cały dzień hulały. Z za lasu myślałbyś, że wojna, rżenie koni, huk wystrzałów, wrzawa zamieszania, okrzyki zwycięzców, jęki zwyciężonych: bo nieraz aż się krew leje. Zaglądasz z lasu; jedni gonią, drudzy uciekają; tu piłki jak kule harmatnie warczą w powietrzu i po ziemi skaczą; tu balony jak bomby poważnie wznoszą się w górę; jeden bohater porywa kulę i ciska nią jak gdyby z harmaty, drugi odbija bombę kułakiem, nie jeden zwali się na ziemię, nie jeden w rów wleci; tu niby ludzie opadną olbrzyma, olbrzym miota nimi jak niedźwiedź psiakami, dziatwa powraca do boju i dopóty się naraża na nowe guzy, dopóki olbrzyma nie uszamoce; kilku skoczy mu na łeb, kilku do nóg się uczepi, wali się olbrzym, malce jak gruszki odlecą od niego, wnet jak mrówki obsiądą i męczą go dopóki nie krzyknie „daruj"! Ale zwyciężony woli cierpieć jak poddać się, leży spokojnie, jak gdyby zabity; malce się zagawronią, on strzepnie nimi, malce odlecą i albo nowy bój

rozpoczyna się, albo zaszczytny pokój następuje. Tam jedni ściskają strzałami, drudzy dzidami, ci się na gołe łby tłuką. Wojna powszechna. — Zabrzmiała trąba pokoju — bój ustaje — zniknęli nieprzyjaciele — szykują się wszyscy do jednych szeregów; każdy urwał sobie liściatych gałęzi, a choć nie laurowe, ani oliwne, niesie je przed sobą na znak zwycięztwa i pokoju. Muzyka gra, ogromne gałęzie suną, a słońce zachodzące igra z drżącem ich liściem. Słuchając i patrząc z daleka myślałbyś, że to bożki leśne wyszły poigrać po chłodzie wieczornym, a stęskniony las bieży za niemi. Ale jak muzyka ucichnie a malce różnym głosem zawrzeszczą, poznasz dopiero, że to uczniowie wracają z pohulanki. Wchodzą do miasta. Ustaje wrzask; szyki się równają, hardość rycerska krasi czoła malców, iskrzy się w ich oczach, spojrzawszy na nich mimowolnie wykrzykniesz: to dzieci rycerzów, to polskie dzieci! Z rozwiniętemi chorągwiami, z konnicą na przedzie; przy odgłosie zwycięzkiéj pieśni, oddział przesunąwszy się przez miasto, zawija na dziedziniec Szczeniowskiego. Poważny starzec błogosławi wzrastającemu pokoleniu; malce w okrzykach radości porywają go na ręce: bo go wszyscy kochają jak dziadunia, wszyscy wiedzą o jego zasługach i cnotach.

Kontrakty kijowskie.

Już mrozy ścinają, już niebo szarzeje, już nieznośną grudę zasypuje miękki puch, a na odpoczynek podróżnym ściele się droga. Wszędzie biało, śnieg spada szerokiemi płatami. Ściele się droga; dobre będą kontrakty. Zajeżdżaj! — dzwonki zadzwoniły — śnieg zachrupotał — kozacy z kagańcami wylecieli za bramę; — sanie pomknęły jedne za drugiemi — a za niemi powlokły się długie cienia. W głębokiéj budzie, w niedźwiedzich szubach, z wilczurą w nogach śpi się doskonale na skórzanych poduszkach aż do białego dnia. Dopiero popas. Rejwach w karczmie; żyd dostał w kark parę razy od kucharza, kozak za pejsy parę razy targnął i w mig wszystko jest, czego potrzeba. Po popasie jedzie się dniem, a że liczne grono więc wesoło; z sani na sanie przeskakują, strzelają, bawią się. Panowie sami pojeżdżają; z góry sanie poszły w zatokę, wywróciły się; dopieroż śmiech. Ten już otrzepuje się ze śniegu, tamten jeszcze w kozłach, podnieśli sanie i dalej ruszają, gwarząc, strzelając i wywracając się, aż do noclegu. Coraz więcej sani spływa z różnych dróg na wielki szlak; zbliżając się do karczem. Nuż wyprzedzać się. Kto pierwszy zajedzie, zdobywa karczmę dla swojego grona; pełna karczma, drzwi zatarasowane; nie pu-

szczamy nikogo; a tam krzyczą: otwieraj żydzie! bo karczmę zapalę; żyd w strachu, a my się śmiejemy.

Ognie płoną na kominach i w kuchni przysmażają bigosy i zrazy, zgrzeją piwo ze śmietaną, zgotują kaszę obwarzoną, i wnet obiad wyborny! Szlachta jedna gra w karty, druga strzelby myje, a wszyscy gawędzą i śmieją się, aż do późnéj nocy. Przededniem już wszyscy powstawali, już po herbacie, już wszyscy upakowani, i daléj w drogę. Im bliżéj Kijowa, tém więcéj sani: od Biało-Cerkwi już szlak zawalony saniami, a z ostatniego noclegu od Wasilkowa, to już sanie za saniami, a czasem we dwa rzędy jadą, przeganiają się, bo droga szeroka, a tak ujeżdżona, że szkli się, jak lód.

O trzy mile od Kijowa, widać już wieżę Zofijskiéj Ławry, co najwyżéj stojąc i sama najwyższa, dumnie podnosi złotą głowę swoją; daléj jakby z pod ziemi wyrastają różne kopuły i wieżyczki, a wszystkie błyszczą potrójnym złocistym krzyżem. Przed rogatką strażnik zatrzymał sanie z beczkami — a to ruble; aż oskoma moskalom, co tam stoją.

Kijów rozparł się szeroko, a góry podzieliły go na trzy części. Bolesław ciął w złotą bramę starego Kijowa, i choć już nie ma téj złotéj bramy, ale jest jeszcze mur z jéj zwalisk, i każdy Polak, co pierwszy raz wjeżdża do Kijowa, myśli o téj bramie i nim wjedzie do miasta wstępuje do niéj, choć nie po drodze. Na Peczerskiém zofijski monaster; strzegą go pieczary pełne Świętych i twierdza; na Peczerskiém także gmachy rządowe, a na Padole Kontrakty. Tam cały ruch, tam ogrzane domy czekają na gości, tam izba kontraktowa, zabawy, muzyka, piękne wystawy zbytkowych towarów. Tam najwięcéj smażonych owoców w słojach, a pieniędzy w beczkach. Sanki lekkie pędzą we wszystkich kierunkach, a tak się zręcznie wymijają, jak karty w ręku kuglarza. Zwoszczycy krzyczą, piszczą; rysaki kłusują, a skakuny wykręcone jak tancerki, chłodząc się kłębami śniegu, sadzą w cztał! I tak przez dni dziesięć.

Tyle ludzi w Kijowie; a jak kto nowy przyjedzie, w tejże chwili wszyscy wiedzą, i wiedzą gdzie zajechał, bo każdy skoro przyjechał, wchodzi do izby kontraktowéj, a tam wsze wieści spływają wszystkiemi ulicami i wszystkiemi ulicami wypływają ztamtąd na cały Kijów, a z Kijowa wszystkiemi szlakami na całą Ukrainę. Wprawny szlachcic kontraktowy rozumie tę izbę jak Francuz giełdę; wejdzie raz pierwszy, a po liczbie, po gwarze, po twarzach pozna zaraz, czy dobre kontrakty, to jest, czy dużo pieniędzy, czy drogie dobra, czy jest kupiec na zboże i wódkę. A jak się raz taki

szlachcic przejdzie po izbie, to już może całe kontrakty siedzieć u siebie, bo wie, co ma robić przez całe kontrakty; bo wie, że go znajdą, skoro się dowiedzą, że ma pieniądze. Jeździłem do izby kontraktowéj, choć nie miałem tam nic do roboty: bo w niéj spotyka się i towarzyszów szkolnych i znajomych ze wszelkich stron Polski; bo tam młodzież cała. Gdzie młodzież tam ruch i życie, tam się usłyszy i dowcipny żarcik i słówko nadziei połechce ucho; tam się dowiedzieć, gdzie jaka zabawa, gdzie będą świetne zapusty; a więc ruszam do izby kontraktowéj. Zwoszczyk zajeżdża przed izbę aż zaburczy. Wyskakuje się, jak kto umie, wbiega się, albo wyłazi się na wschody. Z obszernego ganku sto głosów woła sani swoich, a zwoszczycy tak uważni i wprawni, że kiedy zaledwie głos jego pana doleci, on już zajeżdża. Po obszernym rynku dzielne konie krzyżują, i nim do izby wejdziesz, patrzysz na uganiające się sanki, jak na zręcznych harcowników. Obrócisz się ku izbie, a z izby, jak z ula, wychodzi szmer głuchy; snuje się szlachta. Wejdziesz do izby, gwar, krzyk, wołanie, tłum ludzi, a ten tłum ciągle się odmienia. I tak cały dzień i tak dni dziesięć!

Po słupach izby poprzyklejano nazwiska wsi do przedania, albo do puszczenia w dzierżawę; po za słupami wokoło izby kramy z rozmaitemi towarami. W końcu izby drzwi do izb sądowych. U tych drzwi wieczorem, po zapaleniu świec, staje woźny i wykrzykuje, kto komu w dzisiejszym dniu pomimo wyroku nie zapłacił; więc szlachta skupia się i słucha, naprzód dla tego, że ciekawa, potém dla tego, że cudza bieda ludziom śmiech, a nakoniec, żeby wiedziała, komu niepożyczać pieniędzy. A woźny matacz; jak mu dłużnik nic nie da, to po trzy kroć wykrzykuje jego nazwisko, tak donośnym głosem, jak Poczajowskie dudy, a jak mu się opłaci, to raz tylko wymówi, i tak urzędowym głosem zachuczy, że nikt nie zrozumie.

W tym roku, jak i zawsze, najświetniejsze granie Lipińskiego, bo on mistrz wielki, a do tego Polak, ulubieniec Polaków. Skoro Lipiński nie przyjedzie kiedy na kontrakty, i nie zagra co polskiego z polską duszą i sercem, to zdaje się, że czegoś bardzo ważnego brakowało. Nie jeden szlachcic, pierwéj jak o cenę dóbr, zboża, pyta, czy jest Lipiński? Skoro jest, wszyscy go rwą do siebie: ten na obiad, ten na wieczór; wszyscy go otaczają tą czcią, jaka się należy ludziom niepospolitym, a do tego swoim. W tym roku Lipiński był u nas na obiedzie, bo nas z nim zapoznał jego i nasz przyjaciel, Antoni Nowotny, a to za to, żeśmy obiecali nie bardzo go już wywracać jadąc z Kijowa. Pan Antoni był człowiek pełen nauki i znawca sztuk

pięknych, aleśmy go kochali więcéj niż za to, za poczciwe jego serce i za przywiązanie ku naszéj rodzinie.

Ostatnich dni kontraktów zwiedziliśmy przedniejsze cerkwie. Wiele jest w nich bogactw i dawnego smaku. Każda prawie cerkiew ma swego Świętego; ale wszystkie bogactwa i wszyscy Święci zbiegli się do zofijskiego monasteru. Tam cerkiew strojna zewnątrz dziewięciu złocistemi kopułami, wewnątrz wygląda, jakby jeden klejnot. Wszystko od srebra, złota i drogich kamieni, a palące się lampy migocą różnobarwnem a błyszczącem światłem; wonność kadzidła zaprawiła powietrze, cichość dodała powagi temu miejscu, tak, że wchodzą czazdrości się, że to nie kościół. Obejrzawszy cerkiew weszliśmy na wieżę; powietrze było czyste, dzień jasny: oko spojrzawszy ku dołowi widzi obszar wielkiego miasta, co błyszczy wszędzie kopułami i potrójnemi krzyżami; widzi Dniepr ogromny, co się tuli do miasta, bo mu zimno, co spokojny, bo on śpi teraz; widzi przestrzeń niezmierną a białą i tylko z jednéj strony pocieniowały ją góry, z drugiéj gdzie niegdzie poczerniały sosnowe lasy. Cudny to ma być widok w lecie: bo też cudne położenie Kijowa. Alem go w lecie nie widział.

Zeszedłszy z wieży, poszliśmy do sławnych Pieczar. Już popi czekali nas z zapalonemi świecami. Wzięliśmy każdy świecę do ręki; szliśmy długo pod ziemią; ciekawość i mimowolne poszanowanie dla miejsca, któremu tyle milionów ludzi cześć świętą oddaje, zamknęły usta największych niedowiarków. Milczenie ma zawsze w sobie coś tajemniczego, bo w milczeniu zawsze człowiek rachuje się sam z sobą. W tém uroczystém milczeniu weszliśmy do pieczar. Przy wejściu popi, co nas przyprowadzili, zostali, a czerńcy, co się modlą w pieczarach, strażnicy pieczar, słudzy Świętych, co tam mieszkają, wskazywali nam drogę podziemną. Skorośmy weszli w ziemię, drogi podziemne strzeliły wązkiemi ramionami na wsze strony, z każdego ramienia nowe drogi rozchodzą się, krzyżują się, w nowe ramiona rozdzielają się i tak się wiją pod miastem, aż nieskończonym biegiem przechodzą na drugą stronę Dniepru. Pieczary te ogrzane miłem ciepłem ziemi, pełne są czystego powietrza, a światło, które sam niesiesz, rozświeca ciemność i pokazuje ci błyszczące ołtarze, bogate zasłony, otwarte srebrzyste trumny, a w nich ciała Świętych owinięte w jedwabne lite szaty. Tu przez okienko widzisz Świętego klęczącego, daléj spotykasz ich razem po dwóch, po trzech; daléj Siedmiu Braci Śpiących, co wystawili cerkiew zofijską, przyszli tu, gdzie ich widzisz, pokładli się i zasnęli na wieki snem błogosławionych. Daléj spotykasz Śgo. Jana, co stał

kiedyś, a z czasem wchodzi w ziemię, a gdy się cały zagrzebie, to się świat ma skończyć; dziś już się wkopał do piersi. Chodzi się po tych pieczarach przez parę godzin, i tylko małą cząstkę obejrzy się, a co krok to nowy Święty, a niemal przy każdym jakieś świętości do nabycia; przy tym obrazki; przy téj krzyżyki, przy tamtéj pierścienie. Są którzy mówią, że urywali tym Świętym słomiane palce, ja tego nie widziałem. Ale wkrótce po mnie zwiedzała te pieczary ze swymi przyjaciołmi pewna moskiewska pani, a zwiedzając, śmiała się z prostoty tych, co wierzą w Świętych; w ciągu téj lekkomyślnéj wesołości zbliżyła się do Św. Barbary, na któréj palcach zawsze pełno pierścieni dla wiernych; płaci za pierścień i chce go zdjąć sama, jak inni czynili; bierze za jeden pierścień, pierścień nie daje się, próbuje drugi, i drugi zejść nie chce, porywa za trzeci, i trzeci się opiera; ręka jéj zadrżała, strach ją objął, przelękła się własnego życia i została pokutnicą.

Po dziesięciu dniach pobytu w Kijowie, pokończywszy roboty, jak kto mógł, ten kupiwszy parę wiosek, ten przedawszy zboże, co się ma urodzić; ten opłakawszy czyjeś straty dla tego, że sam na nich stracił; ten ograwszy się, jak włoskie skrzypce, a każdy nakupiwszy smażenin i kawioru, herbaty i cukru, śledziów i minogów, nowych książek polskich i nowy kalendarz berdyczowski, wraca do domu, rad, że cały się wyrwał ztamtąd, gdzie wojenny gubernator i twierdza! — Zmyka się do domu, kiedy sanna ginie, a kiedy trwa sanna, to się jeździ rzemiennym dyszlem, tu polując, tam tańcując, a wszędzie hulając.

Pamiętniki Franciszka Karpińskiego.

Poznań 1844.

Urodziłem się w r. 1741 dnia 4 Października w ziemi Halickiéj na Pokuciu, w powiecie Kołomyjskim, we wsi Hołosków, trzy mile od Stanisławowa, z rodziców Andrzeja i Rozalii Karpińskich. Czego pamięć moja nie zasięga, a co mi tylko matka powiadała, w lat pięć może wieku mojego, brat mój rokiem starszy Kajetan umarł. Kiedy wszyscy śmierć dobrego tego chłopca (jak powiadano) opłakiwali, ja jeden wesół byłem, że sukienki po nim pozostałe a lepsze od moich mnie się dostawały! Tak od dzieciństwa miłość własna mocniejsza w ludziach nad wszystko! Ale to już dobrze pamiętam, jak w rok może potem matka nasza ojcu i wszystkim nam powiadała, że syn jéj nieboszczyk Kajetan

widocznie się jéj po śmierci pokazał i kiedy go wypytywała się na jakiéj drodze umarła jéj siostra była, Kajetan odpowiedzieć miał: „Wielkiż to tam świat, mamuniu i ciężko każdego obaczyć!“ To dowcipne ratowanie się, ażeby i prawd tamtego świata nie objawiać i matce pytającéj się odpowiedzieć, dało cechę prawdy snowi zapewne, że pokazaniu się Kajetana powszechnie wierzono w okolicy. Ale wiek dzieciństwa mego, wiekiem był wiary zabobonnéj i przywidzeń. Taż pobożna matka moja dobrą jakąś duszę po północy widziała (bo duchy tylko przed północą ukazywały się) biało ubraną, z cierniem po przyściece dla kaleczenia umyślnie bosych nóg idącą, która potém przez szczelinę w oknie do izby weszła i za obicie skryła się. Kosztowało to widzenie ojca, dzieci wszystkie i czeladź: bośmy wnet pobudzeni, pacierze klęcząc przez trzy godziny przy obiciu za tę duszę potrzebną ratunku odmawiać musieli. — Ojciec nasz słyszał jak Sty Józef z obrazu swego który był w izbie wymówił to słowo: „cnota!“ — Widział w wigilię Bożego narodzenia, także po północy Najświętszą Pannę na niebie w żółtym robronie; widział upiora, pokazywał nam wielu włóczących się opętanych od djabła; powiadał wiele historyi o oczarowanych ludziach i urodzajach, o zapisujących się diabłom, o czarownicach i babach na Łysą Górę na ożogu kominem wylatujących; również jak o lunatykach, którzy kiedy przypadkiem na nich promień księżyca uderzył przez szczelinę, przez sen, przez tę szczelinę po promieniu księżyca na dwór wychodzili. Wierzył ślepo przepowiedniom, pod jakim planetą kto się urodził, równie i przepowiedniom kalendarza, a cyganki włóczące się i wróżące z rąk, z oczu, z fasolów na stół rzuconych, albo z wosku roztopionego i wylanego na wodę najchętniéj w dom przyjmował. — Z tych wszystkich zabobonów, im bardziéj im w tamtych czasach wierzono i obawiano się, tém więcéj my dzisiaj śmiejemy się. Ojcowie nasi zaś, jak dawni Grecy albo Rzymianie, wszystko prawie w urojonych cudach widzieli. Matka i ojciec mój, byli to razem ludzie najcnotliwsi i najsurowiéj powinności dobrego Chrześcianina wypełniający. Kłamstwo w dzieciach najsroższéj karane było, artykuły wiary najwcześniéj nauczone, skromność, szanowanie się wzajemne i miłość między rodziną nakazywane. A mimo to ja starszą siostrę moję, że była po ospie ślepą trzy lata, rozgniewawszy się czasem, *ślepą* nazywałem. O co ukarany w czasach, kiedy mi się naraziło to słowo, *ślepa* nie wymawiałem, alem tylko oczyma na nią mrugał. Mścić się i dla swego pożytku oszukać i to z urodzeniem naszém rodzi się z nami. — Z drugą siostrą moją, kiedyśmy po pacierzu codziennie na śniadanie

mleko lub piwo jedli, żem więcéj, bo prędzéj jedząc, zjadał, na co się ona skarzyła, kazałem jéj łyżką na połowę mleko przedzielić, ażeby sobie swoję połowę trzymała, a ja tymczasem jedzący, jéj połowę jak lejką przechodzącą na moję stronę zjadłem. Krzyżyk bursztynowy, z szyi jéj śpiącéj, kobiecie z jagodami przechodzącéj za kwartę jagód zamieniłem. Ale nie długo udało mi się oszukiwanie moje. Kiedy zmłocek w stodole naszéj, nożyk swój prosty na progu położył a jam go ukradkiem schwytał, spotrzeżony potém od ojca mojego, żem nim coś strugał, i spytany zkądbym go wziął, do zwyczajnego wykrętu, żem go znalazł, udałem się. Zwołani domowi wszyscy i spytani, czyjby był nożyk, kiedy się zmłocek do niego przyznał, dodając, że ja byłem przytém w stodole, gdy on ten swój nożyk na progu położył, kazał najprzód ojciec mój, abym upadł do nóg wieśniakowi i przeprosił go, żem go tą moją kradzieżą zmartwił. Rozumiałem, że się już na tem mojém upokorzeniu skończyło, ale kazano przynieść rózgę surowy ojciec temuż samemu zmłockowi kazał mi 10 rózg wyliczyć, nad którym stał z laską, ażeby w biciu mnie nie folgował. Wziął potém sam rózgę i za wstyd swój (jak powiadał) jeszcze mi 10 rózg swoją ręką przyczynił, a po skończeniu rękę sobie, która karała, całować kazał. O święta ręko ojca mojego (chociaż cię już nie masz od tak dawnego czasu) jeszcze ja cię i teraz w myśli mojéj całuję!..... Tém to ja surowém ukaraniem wziąłem wstręt największy w dalszém życiu mojém co jest cudzego tykać. Karałeś ojcze i każdy upór i każde łgarstwo surowo, a że pierwsze z dziecięciem obchodzenie się, największe w niém czyni wrażenie, o jakże często wyszedłszy na świat, przypominały mi się nakazy twoje!

W roku moim ósmym już umiejącego czytać i trochę pisać oddał ojciec do blizkich szkół Stanisławowskich, gdzie dobrze starszy odemnie brat mój Antoni już od lat kilku uczył się, ażebym i ja do szkoły przywykał. Było to odwiezienie moje w porze zimowéj i kiedy ojciec po obiedzie mnie zostawując do domu odjeżdżał, ja uprzedzony, bojąc się nad wszystko szkoły, za wrotami stancyi, gdy nikogo za saniami nie było, przysiadłem cicho z tyłu i dopiero wpół drogi odkaszlnieniem wydałem się. Tak zaraz nazad do Stanisławowa zawróciliśmy i kilkanaście rózg danych mi przez ojca na zadatek dalszego rozumu interes ten zakończyło.

Może po roku bawienia mego w szkołach był sławny w Stanisławowie pogrzeb Józefa Potockiego, Hetmana W. Kor. Pierwszy raz wtenczas widziałem świat (jak nazywają) wielki. I prawdziwie podobnéj ludności to miasto

przedtém i potém nie widziało i widzieć nie będzie. Kilkadziesiąt Senatorów, między którymi kilku Biskupów; cóż dopiero sam dom Potockich w tylu gałęziach między najświetniejszemi natenczas, cóż dopiero wojska pozgromadzane które w tamtym wieku na koronacyach tylko królów albo cudownych obrazów i na pogrzebach dowodziły; cóż dopiero niepoliczone obywatelów mnóstwo z dalekich nawet województw dla ciekawości pozgromadzane, tłumem wszystkie domy i ulice napełniło. Ojciec mój mieszkał wtenczas w Stanisławowie i mógłem na tym pogrzebie widzieć wszystko. Kościół cały adamaszkiem od wysokich gzymsów aż do dołu wybity, gęsto lampami oliwnemi oświecony, miał ogromny w środku katafalk, aksamitem pąsowym, ze złotemi frężlami, światłem, portretem, herbami, bogatemi znakami władzy po wezgłowiach położonemi, przyozdobiony. Od drzwi kościelnych aż do katafalku na kroków kilkadziesiąt posadzka z tarcic umyślnie dana, ażeby bohaterowie wojskowi na koniach wpadając łoskotu więcéj czynili. Jużem miał tyle poznania, że przed ojcem żałowałem się na krzywdę Bożą, kiedy dla człowieka Hetmana z domu Bożego stajnią zrobiono! Wjeżdżali w największym końskim biegu wybrani rycerze po jednemu i ten z nich kruszył kopią przy herbie będącym u nóg trumny hetmańskiéj, inny łamał szpadę, inszy rzucał pałasz, inszy strzały, inszy chorągiew, inszy buńczuk, inszy sztandar i t. d. Każdy zaś złamawszy swoje narzędzie, przy nogach trumny spadał z konia niby żal po Hetmanie swoim udając. A dwom z tych bohaterów nie udało się wyrządzić skruszenia chorągwi i sztandaru; bo świece na katafalku porozrzucali; ale udał się lepiéj niby żal i spadnienie z koni, bo byli dobrze pijanymi. Blizko dwóch niedziel odbywała się ta uroczystość trupowa, a może do ćwierci roku niektórzy goście przyjmowani przez syna zmarłego Hetmana bawili w Stanisławowie.

Pierwsza, którą w tych czasiech widziałem, egzekucya kriminalisty w Stanisławowie wielkie na mnie uczyniła wrażenie. Był to rozbójnik nazwiskiem Bajurak, który na plac śmierci idąc, kazał sobie podać fujarę czyli ulubioną piszczałkę góralską, na któréj smutne dumy góralskie przygrywał. Ojciec mój umyślnie na tę egzekucyę za rękę mnie prowadziwszy, stanął ze mną tak blizko, ażebym widział ścięcie zbrodniarza, które gdy się dopełniło, tak do mnie widokiem tym pomieszanego rzecze: „Moje dziecię, Bajurak zapewne zaczął od kradzieży małych rzeczy i może tak, jak ty w dzieciństwie, nożyk u kogo ukradł, co że mu wcześnie nie zganiono, postąpił do rzeczy większych. A że ludzie zwyczajnie po domach strzegą się od złodzieja, widząc,

że tą drogą żyjąc między ubogiemi nie tak łatwo zbogacić się potrafi, puścił się na rozbój, który prędzéj spanoszyć może. Moje dziecię! złe każde jest jak mała gadzina, któréj jad z czasem o śmierć przyprawi.

Już byłem w szkole Grammatyce. Kiedy na wakacye przyjechaliśmy do domu, brat mój starszy, będąc rektorem, a mający skłonność do stanu duchownego (co potém ziścił) w blizkiéj izdebce kazania przy rodzicach miewał. Kiedy raz żartując ojciec zapytał mnie czyli téż i ja mógłbym powiedzieć kazanie, z ochotą wstąpiłem zaraz na miejsce, które się niby amboną nazywało, gadałem może z pół godziny, same słowa nie mające związku żadnego, tak ręką w stolik przed sobą bijąc, tak giesta wszystkie kaznodziejskie udając, jak się napatrzyłem na kazaniach w Stanisławowie. Ale co ojca najwięcéj zabawiło, żem w tym słów niezwiązanych natłoku nigdy się nie zastanowił. Zyskałem od rodziców daleko więcéj za moje kazanie, jak brat starszy: bo on tylko zimne pochwały a ja rodzynki i gruszki odebrałem.

Dzieckiem będąc w szkołach już ja ciebie, słodka przyjaźni, poznałem! Do 400 studentów było w Stanisławowie, czemuż ja do dwóch tylko Sosnowskiego i Malickiego tak jak oni do mnie przylgnąłem? Trzeba wyznać że prócz szacunku wspólnego, który najgruntowniéj wszystkie przyjaźni ludzkie umacnia, a na którym natenczas małośmy się podobno znali, jest coś w wieku, twarzy, sposobach obchodzenia się i myślenia podobnego, co przyjaciół połączyć zwykło. Z Sosnowskim który był w niższéj szkole odemnie, do takiéj przyjaźni przyszło, żeśmy nietylko sobie w kościele przysięgli, że się do śmierci kochać będziemy, ale nawet kartkę małą z podpisami nas obudwóch napisaliśmy, w któréj, prócz poprzysiężenia przyjaźni, była obietnica wspólna, że któryby z nas pierwéj umarł, ten drugiemu ma się po śmierci (jak natenczas wierzono możności takiego uiszczenia) widocznie pokazać i o stanie swoim na tamtym świecie powiedzieć. Co żeby tém mocniejsze było, kartkę napisaną pod obrus ółtarza w miejscu, gdzie ksiądz konsekruje położyliśmy, do mszy księdzu obadwaj służyli, i dla utwierdzenia większego tych naszych układów na téjże saméj mszy obadwaj komunikowali. Wpół roku potém pojechawszy na święta do rodziców, mój przyjaciel Sosnowski umarł; przyprowadzono ciało jego do Stanisławowa i w grobie kolegiaty tamtejszéj pochowano. Okna domu, w którym ja mieszkałem, były obrócone na kraty grobów kolegiaty. Cóż tam było bojaźni, ażeby do mnie mój Sosnowski według mi danego przyrzeczenia nie przyszedł; jak długo bezsenne nocy w strachu trawione, póki wyspowiadawszy

się i komunią świętą przyjąwszy, śmiały potem, w nocy nawet ku kracie grobowéj szedłem i ducha przyjaciela nadaremnie wywoływałem, bo mi się nigdy nie pokazał! Tak usłużna i drobnym dzieciom religia, spokojnemi ich i szczęśliwemi czyni.

I z drugim przyjacielem Malickim raz przyjaźń mało mi na złe nie wyszła. Starsze klassy, jako to: Poetowie, Retorowie i Filozofowie w ławkach siadywali, a młodsze przed ławkami modliły się. W dzień jakiś świąteczny stojąc obok z przyjacielem moim Malickim podczas kazania śmieliśmy się i łokciami, żartując z drugich, potrącali. Ojciec mój niespodziewanie dla mnie przybywszy na nabożeństwo, widział z ławek nieprzyzwoitą w kościele swawolę moję i zaszedłszy po za ławki z tyłu stanąwszy za mną, ciężki mi wyciął policzek przydawszy głośno: „złego i w kościele biją!“ A potém poszedł do swojéj ławki i spokojnie kazania słuchał; prawda z strony ojca, a wstyd z mojéj strony, przypominały mi na potém skromność w kościele.

Krew żywa, która do swywol poruszała, była mi razem pomocą, żem się i naznaczonych mi na pamięć pensów najłatwiéj zawsze nauczył, i honor jakiś sprawował, żeby w szkole nademnie lepiéj się uczącego nie było. Dyrektor mój Nadziejowski zwyczajnie przed pójściem z rana do szkół, pensów na pamięć wydawanych słuchający, raz mnie słuchać nie chciał, bo (powiedział) że słyszał w nocy, jak przez sen doskonale wszystkie pensa wydałem. Ale taż sama żywość zrobiła mnie do mojéj religii wpojonéj przez ojca gorąco przywiązanym. Nasłuchawszy się żywotów śś. Pustelników, wziąwszy torbę jakąś i dwa chleby ukradkiem od naszéj gospodyni, uciekłem w nocy, do blizkiéj Stanisławowa dąbrowy, chcąc odtąd mieszkać na pustyni i żyć żołędzią, pomału przy chlebie przyzwyczajając się. Trzy dni mnie szukano, czwartego sam przyszedłem, zreflektowany że nie będę mógł do żołędzi przywyknąć. Rózga nauczyła pustelnika, że żyjąc między ludźmi, więcéj bliźniemu przysługi zrobić można, którego kochać na puszczy jest tylko to mówić a nie czynić. Widząc w ółtarzu obraz ś. Sebastyana strzałami pokłutego, przyszła mi znowu myśl być męczennikiem dla wiary. Wiedziałem że Chocim miasto tureckie na Wołoszczyznie, nie tak od Stanisławowa odległe; umyśliłem tam się koniecznie dostać i w środku tego miasta, Mahometa proroka Muzułmanów, ostatniemi lżyć wyrazami; tak obrażeni Turcy, pewnieby mnie za wiarę moję zamordowali. Myśląc o sposobach wypełnienia projektu tego, przyszło mi do głowy doświadczyć pierwéj jak też na cierpienie ran jestem wytrzymały. Dużą szpilkę utkwiłem sobie w udo. Z bólu krzyku narobiwszy, i widząc się tak niecierpliwym i szpilkę i myśl zostania męczennikiem porzuciłem. Lubiąc muzykę, najbardziéj na skrzypcach, chciałem się jéj uczyć najusilniéj, ale ojciec z przesądów wieku tamtejszego, jak i mówić po francuzku, na skrzypcach uczyć się także zakazał. Znowu źle zrozumiana religia połączona z chęcią nauczenia się na instrumencie, wyganiała mnie do Częstochowy, ażebym uciekłszy z domu, tam służąc przy kapeli kościelnéj, razem N. P. Częstochowskiéj przez kilka lat służył. Ale ten układ ksiądz mi na spowiedzi odradził: nie czynić źle (jak mówił) martwiąc rodziców, ażeby się działo dobrze.

Około tych czasów osobliwsze zdarzenie na Podolu trafiło się. Ubogi szlachcic służąc za ekonoma u pana (którego zapomniałem nazwisko) człowiek poczciwy, ale w zapisywaniu ekspensów niedbały, gdy przyszło do rachunków, tysiąc kilkaset złotych winnym został. Nie bał się zaboru, bo nad kontusz, żupan i kilka koszul, nic więcéj nie miał; ale bojąc się kar albo więzienia uciekł nocą i o mil kilkanaście od dawnego pana, przystał do drugiego na takąż funkcyę. Po półroczu dowiedział się pan stary, gdzie się jego zbieg znajduje i posłał podług prawa, woźnego i dwóch szlachty, ażeby zbiega aresztowali. Dniem przed ich przybyciem umarł zbieg ów u nowego pana na folwarku. Pokazano tedy woźnemu i dwom szlachcie do aresztowania przybyłym już trupa w tym samym kontuszu i żupanie, w którym uciekł od dawnego pana, na katafalku złożonego, z wyznaniem urzędowém: że nic się po nim nie zostało prócz kilku koszul. Woźny i szlachta powrócili nazad do pana opowiadając o śmierci zbiega, i że zapewne nic po nim nie zostało się, a tymczasem tegoż dnia, że kościół łaciński był o kilka mil odległy, ciało zmarłego podwódką dworską chłopom wieść do pogrzebu kazano. Już blizko byli kościoła kiedy trup mniemany (a którego pewnie krisis choroby uśpiła była) ruszać się począł a wreszcie i wieko od trumny zrzucił. Czasy to były w których najwięcéj w upiory wierzono i biedni chłopi zląkłszy się, w blizkie krzaki pouciekali. Trup mniemany tymczasem podniósł się i usiadł w trumnie, a widząc co się z nim było stało, i z trumny miarkując, że go do grobu wieziono, postrzegłszy razem w krzakach chłopa kryjącego się, na Boga zaklinać począł ażeby do niego przystąpił. Póki mu nie przyszło do głowy przeżegnać się, póty mu chłopi nie dowierzali; ale potém zbliżywszy się i poznawszy, że istotnie żyje, z nim nazad do domu powracali, gdzie on przybywszy prosił najusilniéj tego nowego pana, ażeby go nazajutrz do starego

odesłał, bo „ja (powiadał) przed moją tą niby śmiercią, największy na duszy ciężar czułem, żem od pana dawnego uciekł, nie wypłaciwszy się mu, przynajmniéj służąc, za jego szkody.“ Dał się łatwo pan uprosić i nazajutrz odesłał go do starego jego pana, u którego stanąwszy, wszedł mniemany trup do pokoju, w tym samym kontuszu w którym był uciekł, właśnie wtenczas kiedy pan jego dawny w tymże pokoju przed zwierciadłem naprzeciwko drzwi będącém na stoliku pisał. Widząc w zwierciadle przychodzącego dawnego ekonoma zmarłego, a obróciwszy się jeszcze do niego i potwierdziwszy, że ten sam jest, z krzykiem uciekł do drugiéj izby, gdzie się zamknął. On biedny prosić przede drzwiami począł, ażeby mu ciężki na duszy zaciągniony dług darował. A pan z za drzwi krzyknie zalękniony: Ale wyjdź mi z domu, ale wyjdź mi z domu, ale precz! Poznano po wszystkich przestrachach co się stało, i póczciwy ekonom służył panu do śmierci, która w kilka lat nastąpiła.

Już dwa roki odbyłem na Retoryce, i kilka kazań w Niedziele postne na nabożeństwie studenckiém w kongregacyi miałem, kiedy przyjechawszy do księdza brata do Oleśni miasteczka, gdzie był komendarzem i gdzie rodzice moi już starzy na dewocyi mieszkali, zastałem tam zjazd obywatelów na pogrzeb Aleksandra Roszczyca, porucznika chorągwi pancernéj hetmańskiéj (co natenczas wiele znaczyło) nazajutrz się odprawiać mający. Przypadkiem przyszedłem do księdza Wojcickiego, scholastyka stanisławowskiéj kolegiaty, przyjaciela rodziców moich, który na tym pogrzebie miał celebrować, a ten mi o swojém zmartwieniu powiedział, że na zjazd taki wojskowych i familii, mowy żadnéj pogrzebowéj nie będzie, kiedy ksiądz co mówić miał zachorował. Proponowałem siebie za mówcę, nadewszystko, że Roszczyc nieboszczyk, był mi dobrze znajomy, i kochał mnie. Z ukontentowaniem ofiarowanie się moje przyjęte od scholastyka a ja nie bawiąc powróciwszy do domu, tę mowę sobie napisawszy, uczyłem się jéj na pamięć, bo wtenczas nie było zwyczaju z karty czytać. Noc była widna i kiedy chodząc po miasteczku mowę sobie moję w pamięć wbijałem, zdybawszy kilka stróżów nocnych (co po ulicach „ostrożnie z ogniem“ wołali) obiecałem im półzłotego na wódkę, byle razem co mają siły, „ostrożnie z ogniem“ zawołali. Było to przy jednym domie miejskim gdzie pułkownik przedniéj straży, Cieński, z żoną, z familią i z wielu towarzystwa gospodą stali. Okrzyk gwałtownie pod oknem zrobiony, obudził wszystkich i kiedy ja na zapłacenie krzykaczów półzłotka dobywałem, wypadli z kijami towarzystwo i moich wołaczów dobrze wybili, a ja z półzłotkiem i ze

strachem uciekając przecie ocalałem. Przyszedł nakoniec dzień pogrzebu. Gdy już do grobu trumnę spuszczać mieli, zacząłem mowę moję, w któréj po wielu zmarłego pochwałach, po pożegnaniu wojskowych i sąsiadów, kiedy do pożegnania żony pozostałéj i dzieci przyszło, dzieci które ś. p. matce oddaję, żeby ją cieszyły miasto niego a kiedyś obaczywszy się z żoną, którą teraz opuścił, pytać się będzie przed Bogiem o pozostałych sierot wychowanie i obyczajność ich, tak to mocnemi wyrazami i tkliwym tonem głosu wyraziłem, że matka głośném szlochaniem na czas mnie zastanowiła, niżeli ją utulić mogli. Po tym pogrzebie nastąpił wielki obiad, na którym że mi pogrzebowa mowa moja, zrobiła powszechną tam wziętość, między osobami u stołu najpierwszemi byłem posadzony, co moję miłość własną najmocniéj na pierwszy raz łechtało, co trochę mię nawet pychą nadęło.

Po skończonym dwuletnim kursie filozofii, przyjechałem na wakacye do brata i rodziców. Mieliśmy zawsze dla matki naszéj, a najbardziéj dla ojca groźnego uszanowanie. Nie można było w przytomności jego siedzieć, stanąć do niego tyłem, a nawet o ścianę, stojąc przed nim, oprzeć się. Pamiętałem zawsze to wszystko i chętnie sobie przykrość zadawałem, bylebym ojca nie obraził. Chodził raz starzec po izbie, a ja z kimści rozmawiając, wszystkie wspomniane ostrożności zachowałem względem ojca, kiedy razem przystąpiwszy do mnie, ciężki mi on wyciął policzek i znowu po izbie jak przedtém przechodził. Kryminałem byłoby spytać się za co to. W milczeniu skromném, z oczyma w ziemię spuszczonemi czekałem końca. W tém ojciec mój rzucił mi się na ramiona i mówić ze łzami począł: „Synu mój! ja symplak, bo czytać tylko i ledwie co napisać umiem a ty już filozof; doświadczałem cię tylko, jak téż przyjmiesz policzek od ojca twego. Ale kiedyś ty skromny i pokorny, kiedy mię w starości mojéj szanujesz (w tém ukląkł w pośrodku izby i podniosłszy ręce do góry) Boże Abrahama, Izaaka i Jakóba! pobłogosław to dziecię moje, niech żyje długo, zdrowo, szczęśliwie!“ Padłem mu do nóg rozrzewniony i wzruszony mową jego, zapomniawszy nawet o policzku, który odebrałem, a on klęczący do klęczącego, mówił rozrzewniony: „Synu mój! szanuj ludzi a będziesz szanowany; ten policzek, który odebrałeś od ojca, niech będzie ostatni, który ci w życiu dany! A gdyby kiedy do tego komu obcemu przyszło, żeby cię tak skrzywdzić miał, krew tylko nieprzyjaciela twego, wzgardę takową zmazać może!“

Nie długo potém, bo może wpół roku, ten srogi ale razem najcnotliwszy ojciec pożegnał nas. Przed skonaniem

po kilka razy ze mną mówić żądał, i widząc się blizkim zgonu, matce tylko zalecił „powiedz tam Franciszkowi niech prawdą idzie na świecie!“ I to już ostatnie jego słowa były, bo po nich skonał po daniu mi znać o trzy mile oddalenia. Przyjechawszy już go ułożonego na katafalku zastałem, i już mię w osobności kilku naszych przyjaciół trzymali, żem nawet pogrzebu ojcowskiego nie widział.

* * *

Skończywszy drugi rok mojéj filozofii, porzuciłem Pokucie i do Lwowa na słuchanie Teologii odjechałem razem z Maurycym Cieńskim, Wojciecha Cieńskiego pułkownika synem, który pod dozór mój oddany był.

Około dziesięciu było w tamtym czasie studiów znakomitych we Lwowie i w końcu kursu nauk, professorowie Zakonnicy zapraszali professerów Jezuitów na publiczne dysputy z filozofii albo teologii, co wzajemnie i Jezuici, zapraszając na takież dysputy professorów Zakonników, czynili. Jezuita, czyli on zaproszony, opugnował to jest zadawał pytania studentowi zakonnikowi, czyli u siebie bronił się podobnie opugnującemu professorowi zakonnikowi, zawsze starał się lub upokorzyć zakonnika, że dysputa, która zwyczajnie trwać miała dwie godziny, po drugim albo trzecim argumencie kończyć się musiała, kiedy mnich, tak student jako i professor jego, nic odpowiedzieć nie umieli, a to nas samych studentów jezuickich prawdziwie pogorszało.

W drugim roku teologii mojéj, podnieśli Jezuici lwowscy szkoły swoje na Akademią, a między inszymi studentami świeckimi i mnie także nauk wyzwolonych i filozofii doktorem, a Stéj teologii bakalarzem zrobili. Na dzień umówiony publicznéj pierwszéj processyi akademicznéj, tłumnie goście do kościoła jezuickiego zgromadzili się. Ja doktor, ubrany byłem, po wierzchu polskich moich natenczas sukien, w płaszczyk czarny po pas, błękitną grodeturową podszewką, z takiegoż koloru obszlagami na około, z pętliczkami srebrnemi na przodzie, w ręku berło wyzłacane, a na głowie (jak wtenczas była moda golić się) zupełnie prawie ogolonéj i tylko kilka włosków na samym wierzchu mającéj, biret mi włożono. Rektor akademii Jezuitów w pąsowym aksamitnym ze złotemi frędzlami płaszczu i inni doktorowie prawa i teologii Jezuici w płaszcze także poubierani. Ledwie co zaczęliśmy po kościele processyą, Akademik Zamojski w ławkach siedzący, umyślnie na to przysłany z Zamościa, ogromnym głosem zawołał: „Protestuje się nieważność tego aktu!“ Jezuici strwożeni i zagniewani w rozruchu niezmiernym akademika protestującego się, z kościoła

wytrącić kazali. A ja pewniejszéj się rzeczy chwytając, berłem mojem w głowę go uderzywszy, dobrze go przygłuszyłem. Drugi zaś kolega mój, nowy doktor także filozofii, już go był za łeb zahaczył i byłoby może co gorszego nastąpiło, gdyby Jezuici w płaszczach akademickich przybiegłszy, nie ratowali protestującego się, który spokojnie za drzwi kościelne wyprowadzony, a my tymczasem po otrzymaném zwycięztwie swojem „*Te deum laudamus*“ kończyliśmy. Przyczyna miała być téj protestacyi zgwałcone dawne prawo Akademii Zamojskiéj, którém warowano, ażeby o 20 mil od Zamościa żadna akademia podnoszona nie była. Prawo zapewne nie prawne, jak gdyby to więcéj oświecenia w narodzie, szkodliwém być miało narodowi.

Skończyłem kurs mojéj teologii, odbywszy publiczną nieźle dysputę, na któréj prócz innych gości był i arcybiskup Lwowski. Ten po kilku dniach wezwał mnie do siebie na obiad i dając mi pochwały z niedawnéj mojéj dysputy, obranie stanu duchownego radził mi. Kiedym mu odpowiedział, że powołania do tego stanu żadnego nie czuję, radził mi post przez 3 Środy, prosząc Boga, aby mnie oświecić i natchnąć raczył. Pamiętał znów dobry ten pasterz, po trzech niedzielach znowu mnie do siebie wezwać, aby o natchnieniu mojém dowiedzieć się. Powiedziałem mu jak było, że widząc jakiéj doskonałości stan duchowny potrzebował, wolę być znośnym człowiekiem, niżeli nie dobrym księdzem. Takeśmy skończyli z arcybiskupem, który mimo odmówienia mojego, był potém na mnie zawsze łaskaw i rad mnie w domu swoim przyjmował. Pochlebne dla mnie między ludźmi znaczniejszymi przyjęcie, zrobiło mię wiele o sobie rozumiejącym, a te wszystkie względy dla mnie przypisywałem mojéj biegłości w filozofii i teologii.

Będąc ubogim, a widząc zyskowny stan jurystów, wkrótce po skończeniu Teologii, do Palestry udałém się. Umiejąc nie źle łaciński język, w którym ekspedycye sądowe w koronie wychodziły, jeszczem roku na téj drodze nie doszedł, już znany byłem ze zręczności i dokładności pisywania pozwów albo manifestów, co mi zazdrości w innych młodych kolegach moich narobiło. Jam niedbał o zazdrość, kiedy mimo niéj gęste mi złotówki przychodziły. Raz szlachcic potrzebny pozwu, kiedy mi krótko sprawę swoję opowiedział, i papiery do niéj potrzebne pokazał, postrzegłem, że sprawę miał najgorszą i chyba tylko wykrętami mógłby ją wygrać. Kiedym mu to przekładał a on mi kilkanaście czerwonych złotych na pozew tylko daje, byleby podstępnym i mogącym sąd ułudzić sposobem był napisany, uwiedziony zyskiem wziąłem pieniądze i zrobiłem jak szlachcic żądał. Po krótkiéj

złota pociesze, przyszła zgryzota. Ojcze mój! jakże to wiele razy w życiu mojém, chociaż już cię nie miałem, ty mnie jeszcze prowadziłeś! Gorzko wspomniałem ostatnie przed zgonem słowa jego „Franciszek niech idzie prawdą na świecie.“ Takaż to prawda, pomyślałem sobie, zgubić podstępem, niewinnego przeciwnika tego, któremu pozew pisałem? Cóż mi on będzie winien, że nietylko jego, ale i dzieci jego w ubóstwie zostawię! Albo jeżeli jeszcze podstępne pisanie moje odkryje się, jakże ja iść zacząłem przy pierwszym moim wstępie na świat? Takie myśli codziennie mnie trapiły, aż do przyjścia kadencyi sądowéj na który czas i szlachcic któremu pozew pisałem i pozwany stawili się. Wtenczas mojemu zwodzicielowi pieniądze powróciłem, upominając ażeby się z przeciwnikiem swoim bez prawowania zgodził, inaczéj sam mu szkodzić mogę choćbym i sobie razem zaszkodził. Szlachta się jakem żądał pogodzili, a ja bojąc się téj ślizgiéj drogi, zwłaszcza kiedy i inszemi sposobami na chleb zarobić można, po roku porzuciłem palestrę.

Po kilkoletniém bawieniu we Lwowie, odjechałem na Pokucie, dla odwiedzenia matki mojéj i rodzeństwa mego. Już brat mój był proboszczem w Chocimierzu, przy którym na dewocyi i matka moja mieszkała. Dziedzicem tego miejsca był Marcin Koziebrodzki starosta olchowiecki. Z patrona w trybunałach, jak nam powiadał, nic zgoła nie mając, tylko statek i trochę łaciny ze szkół, przyszedł do sta tysięcy z dóbr dziedzicznych intraty. Ale więcéj on miał jeszcze bogatszych kolegów, Worcela, Bukara i innych, z których pierwszy do 300 tysięcy intraty liczył. Takto w tamtych czasach droga palestry złotem była usypana! —

* * *

Na końcu dzierzaw moich w Galicyi Dobrowody, potém wioskę od Bielskiego arędując, miałem sąsiadami: w Monasterzyskach, starostę halickiego *Potockiego*, człowieka najpoczciwszego i żonę jego z książąt Lubomirskich; *Witosławskich* podczaszych, ludzi najprzychylniejszych dla mnie; a najbliżéj stolnika *Piaseckiego*, rzadkiéj poczciwości człowieka. Temu przed kilku latami pułkownik rosyjski idąc na Turczyna pod Chocim, a słysząc o cnocie jego, dał 3000 dukatów do schowania, z przydatkiem na piśmie, że jeżeliby na téj wojnie zginął, tedy Piasecki połowę pieniędzy jego odda jenerałowi jego, a drugą sobie weźmie; jeżeliby zaś z wojny wyszedł, tedy je odda całe pułkownikowi. Trzy lata o pułkowniku nie było słychać, na koniec powrócił i Piasecki zupełne mu pieniądze, odkopawszy z ziemi, oddał. Poczciwy pułkownik rozkochany

w cnocie poczciwego Piaseckiego, czyni mu dar całéj połowy tychże pieniędzy swoich za wierne ich dochowanie, których tenże nie przyjmuje, mówiąc: że swojéj cnoty nie sprzedaje i tylko zegarkiem wziętym na pamiątkę kontentuje się, chociaż nad 25 tysięcy złotych nie miał majątku więcéj. Nie widziałem człowieka większą mającego rezygnacyą na wolę Boską jak miał Piasecki, co jest jedynym sposobem szczęścia ludzkiego na ziemi. Najsmutniejsze przypadki, gradobicia, upadek bydła, śmierć dziecięcia, nic go prawie nie obchodziło, i zawsze go widziałem wesołego z tém swojém hasłem: „Bóg to chciał.“ U żony jego, już jak on dobrze staréj, widziałem piękną małą szkatułkę jaszczurem obitą, z brzegami srebrnemi, wewnątrz mającą cztery butelki kryształowe i kieliszek takiż we środku, a pod wiekiem otworzywszy skrzyneczkę, piękne zwierciadło; miała ten prezent (jak powiadała Piasecka) od pani swojéj Sieniawskiéj, u któréj za młodych lat służyła. Ponieważ w tamtych czasach różu damy na twarz nie kładły, jejmość po ubraniu się, piła z tego puzderka słodką gorzałkę póty, póki się jéj czerwoność trochę na twarzy nie pokazała. — Mój Piasecki jedynym był w naturalności w wszystkich swoich odpowiedziach. — Już po zabraniu kordonu, na lwowskich kontraktach byłem z kolei od gubernatora lwowskiego, pysznego Ruszperga, proszony na obiad. Piasecki na coś mnie potrzebował i po obiedzie przyszedł za mną do gubernatora. Że tam chyba za meldowaniem się wpuszczano do gubernatora na pokoje, kiedy przypadkiem kamerdynerów przed pokojem nie było, wszedł Piasecki do pokoju, w którym jeden tylko był przy kominku grzejący się gubernator, i widząc Sarmatę z wąsami, a nie spodziewając się, iżby inszy język rozumiał, po łacinie go zapytał: jak tu wszedł, nie opowiedziawszy się? Odpowiedział: widziałem że tędy ludzie przechodzą i ja też przeszedłem; znowu gubernator: czemu nie czekałeś przed pokojem? bo tam zimno, odpowiedział. Spytano znowu: czegoby żądał? że mnie szukał; sam gubernator wyjść musiał do drugiego pokoju i mnie wywołać, ażeby się prędzéj zbyć tego człowieka nie podług niemieckiéj etykiety.

Trafiło się, że u Witosławskiego podczaszego był w domu brat jego, obożny koronny Witosławski, który ze mną poznawszy się, wiele mi o nieznanéj odemnie Warszawie; wiele o królu, a najwięcéj o domie księcia generała Czartoryskiego nagadał: jak ten pan i sam lubiący nauki, lubił i wspierał ludzi uczonych. Nie miałem ja wstępu żadnego do domu Czartoryskich, ale sam go sobie zrobić chciałem,

a to zebraniem wszystkich sielanek moich i inszych wierszem i prozą robót moich, które wydrukowane we Lwowie pod tytułem: „*Zabawki wierszem i prozą*“ w jednym tomiku, księciu generałowi dedykowałem i tę książeczkę potem przez tegoż oboźnego Witosławskiego księciu generałowi Czartoryskiemu, nieznajomemu nieznajomy przesłałem. Odebrałem list od księcia najgrzeczniejszy, razem i od biskupa Naruszewicza, któremu ostatnie wiersze w téjże książce pod tytułem „*Sumienie*“ dedykowane były. Naruszewicza tak nieznałem, jak i Czartoryskiego. Pobudka była przypisania mu wierszy, że on wtenczas jeden słynął z rymotwórstwa i że między pierwszymi, łaskami króla zaszczycał się. Z którym to Naruszewiczem, kiedy potém w Warszawie poznałem się, z tak tkliwie opisanéj zgryzoty sumienia myślił o mnie, że kogoś może zabiłem, a ja pomyślałem, kiedy mi to mówił, że u nas w Galicyi zgryzota sumienia inne może mieć powody. — Ale nieznałem wtenczas dobrze Warszawy, kiedym tak myślał w Galicyi.

Po niejakim czasie przesłania *Zabawek* moich Czartoryskiemu, przyjechał ten pan do Galicyi, ażeby podziękować staroście kaniowskiemu Potockiemu, który mimo krewnych swoich bliższych, zlewek sukcesyi na siebie spadłéj po Opalińskiéj, na osobę księcia Czartoryskiego uczynił. — Już wtenczas Potocki siedział u Bazylianów w Poczajowie, po popełnionych tylu kryminałach, niby na dewocyi, nie mieszkając z żoną z domu Dąbrowską, skarbnikową halicką, kobietą najpiękniejszą i grzeczną, którą u PP. Karmelitanek lwowskich osadziwszy, jakoby rozwodu z nim czekającą, sam tymczasem siedział u Bazylianów poczajowskich, niby w intencyi zostania Bazylianem, ponieważ był greckiego obrządku. Ten zaś obrządek takim zdarzeniem przyjął. Dawniéj jeszcze, za panowania magnatów w Polsce, wszyscy bezkarnie popełniając kryminały, czasem też — Potocki ten przypominał sobie religią! — Sprowadził do Herodenki, miasta swojego przy granicy wołoskiéj, księży misyonarzy, którym 30,000 intraty na dobrach zapisanych oddawszy, kościół wspaniały tamże w Herodence dla nich murować rozpoczął. Przyszła tymczasem spowiedź wielkanocna i spowiadając się Potocki, do ks. misyonarza Zabłockiego przystąpił. Zacny ten kapłan po wysłuchaniu grzechów, absolucyi penitentowi dać nie chciał, dodając, że ponieważ te same kryminały i publiczne zgorszenia przed przeszłemi spowiedziami popełniał a poprawy żadnéj nie czyni, absolucya od grzechów dana mu być nie może. — Zawstydzony i rozgniewany despota, upiwszy się tegoż dnia, kościół dobrze już podmurowany misyonarski rozwalać każe, zapisy

dla nich skasować postanawia, a tymczasem poczciwi księża, których było około dziesięciu, niosąc przed sobą krzyż kościelny z Horodenki za miasto dobrowolnie między płaczącym ludem wyszli. — Na widok ten smutny patrzał przez okno tyran i przecież serce jego lamentem ludzkim wzruszyło się, że księżom powrócić kazał, kościół więcéj rozwalać zabronił. Ale nazajutrz do Poczajowa wyjechał, gdzie wyspowiadany i absolwowany od Bazylianów, ruski obrządek przyjął, 30,000 zł. Bazylianom darem oddawszy i ten obrządek aż do śmierci zachował. Misyonarzom nietylko kościół wspaniały wkrótce dokończyć kazał, ale jeszcze i do funduszu ich pierwiastkowego przyczynił.

Kiedy książe Czartoryski do niego (jak się wyżéj wspomniało) z podziękowaniem przyjechał, on wtenczas bawił u pani Łaskiéj pod Buczaczem w dobrach kiedyś swoich, a ztamtąd przyjechali obydwaj ci panowie do mego sąsiada, podczaszego Witosławskiego na dwa dni. Nie wiedziałem o niczém w domu moim w Dobrowodach, kiedy po wieczerzy czytając książkę, wchodzi do izby nieznajomy mi piękny młodzieniec po francuzku ubrany. Był to *Julian Niemcewicz* z księciem Czartoryskim przybyły i wcześniéj mnie poznać żądający, od Witosławskich, o pół mili odemnie odległych przyjechał. On mi o bytności *księcia* tam powiedział i na obiad jutrzejszy zaprosił. Ciekawy nazajutrz poznania pana, o którym mi tyle dobrego powiadano, wcześnie do sąsiada przyjechałem i znalazłem księcia jak dla wszystkich, tak i dla mnie najgrzeczniejszego.

* * *

Wjechałem w stołeczne narody polskiego miasto w roku 1780, gdzie w domu księcia Adama Czartoryskiego G. Z. P. jako łaskawie zaproszony, tak i przyjęty byłem. Po kilku dniach przez księdza Naruszewicza, natenczas koadjutora biskupa smoleńskiego, na rozumnym (jak nazywano) obiedzie Królowi prezentowany byłem, który mi powiedział: waćpana Sielanki we Lwowie drukowane, dawniéj go nam zaleciły; kochanek Justyny będzie i w Warszawie kochany. Kazano mi siedzieć i słuchałem tłómaczenia pięknéj ody Horacyusza do Postuma, którą ja także przetłómaczyłem.

W pałacu księcia Czartoryskiego wkrótce był dzień smutny, z obchodzenia rocznicy śmierci księżniczki Teressy Czartoryskiéj, z któréj okoliczności napisane wiersze moje, powszechnie podobały się, a najwięcéj zjednały mi łaski księżnéj, matki téj zmarłéj nieszczęśliwie. Grzejąc się bowiem księżniczka Teressa przy kominku, zapaliły się jéj suknie, i mimo przytomnych w pokoju wielu kobiet, (z których je-

dna z przestrachu zemdlała, insze zaś przytomność potraciły,) biegając, przelękniona, tém bardziéj jeszcze rozżarzała na sobie płomień; przygaszono nakoniec ogień na księżniczce, ale mniéj może z oparzelizny, niżeli z przestrachu w malignę wpadłszy, po kilku dniach umarła. Ojca nie było w domu, i kiedy po dwóch dniach powraca do Warszawy, w bramie pyta się szyldwacha, coby w mieście słychać było? A ten odpowiedział, że księżniczka jakaś Teressa Czartoryska spaliła się; z początku wierzyć nie chciał, wszelako przybiegłszy prędko do pałacu swego, poznał tam z łez powszechnych, że rzadko na świecie trafiający się przypadek na dom jego trafił.

Książe generał podolski już był naznaczony marszałkiem trybunału litewskiego i niżeli z nim na pierwszą grodzieńską kadencyą wyjechałem do Litwy, miałem czas przez kilka niedziel przypatrzyć się Warszawie. Zresztą co mi o niéj poczciwi ludzie Witosławski, obożny koronny, i Borzęcki, marszałek dworu książęcego powiadali, potém przez kilkanaście lat tamże mieszkając, wszystko znalazłem prawdą.

Król miał oblicze szanowne, serce najlepsze, wiadomości rzeczy wielkie, grzeczność w obcowaniu nadzwyczajną, wymowę niepospolitą, ale zarazem w czynnościach tak słaby, że sam sobie prawie nigdy nie wierzył, i dla tego radząc się drugich, każdy według interesu swego przeciągał go w stronę gdzie żądał. — Nie to mi, nie to rozum, co pięknie mówi, ale co rządnie czyni; pierwszego z czytania książek i obcowania z ludźmi rozumnymi nabyć można (i to by się bardziéj pamięcią niżeli rozumem nazywać powinno) drugi sama natura daje, albo umyka. — Wolał często zniżyć się niżeli podnieść, ażeby się nie podał w niebezpieczeństwo; wolał fałsz niżeli prawdę, ażeby się większéj liczbie fałszywych nie naraził. — Lubił pochlebców i pozbogacał pochlebiających wtenczas, kiedy człowiek prawy w ubóstwie pod oczyma jego chodząc, próżno się wsparcia spodziewał. — Jako to owe wiersze na sławnego natenczas, a pierwszego w kraju *Lachowskiego*, kaznodzieję królewskiego potwierdzają:

Lachowski prawdę mówił, — jest tylko plebanem,
Naruszewicz pochlebiał, — biskupem i panem.

Życie króla rozpustne zepsuło Warszawę. Rozpusta do tego stopnia przyszła, że w mieście tém (śmiało powiedzieć można) 10 razy więcéj rozwodów było, niżeli w Polsce i Litwie całéj. — Nawet już w zwyczaj między możniejszemi przy pisaniu ślubnych intercyz weszło, ażeby, któraby strona rozwodzić chciała, to drugiéj pewną summę płacić obowiązaną była.

Mimo tych wad królewskich, miał on (jak w tym wieku zepsutym rzadko) najmocniejszą religią, i w kilka lat potém sam to słyszałem, jak u siostry swojéj Branickiéj, kasztelanowéj będąc, kiedy o darowaniu krzywd bliźniemu mowa była, on ze łzami w oczach powiadał: moja siostro, ja w pacierzu szczerze te słowa wymawiam „i odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy naszym winowajcom.“

Taki był król w Polsce, ale gorsi daleko magnaci kraju; pycha ich daleko większa była od nich, i byle sobie dogodzić, wszystkie prawa Boskie i ludzkie gotowi byli podeptać. Zabójstwo, krzywoprzysięztwo, kradzież skarbu publicznego, albo odebranie gwałtowne majątku słabszego obywatela, takie zbrodnie za nic pospolicie u nich ważone, a takiemi drogami idąc, stali się potém nieszczęśliwymi, bo szczęśliwymi być nie umieli. Poddanego wieśniaka równo z bydlęciem kładli, mieszczanina w ostatniéj pogardzie mieli równego nakoniec sobie szlachcica tylko dla tego, że ubogi, upodlili — i z tego to upodlenia poszły te zwyczajne w kraju w obcowaniu z panami wyrazy: upadam do nóg, całuję nogi pańskie, niegodny podnóżek i tym podobne i może nieznane w całéj Europie. Ale z tego powszechnego magnatów zepsucia, wyjąć potrzeba niektórych, wartych lepszego wieku. Takim był znany ze wszech miar *August książe Czartoryski*, wojewoda ruski, po którego wkrótce nastąpionéj śmierci, dobrze Sztakelberg, poseł rosyjski, powiedział, że po zgonie Czartoryskiego niema teraz przed kim w Warszawie zdjąć kapelusza. Takim był zięć jego *Lubomirski*, marszałek wielki Koronny, takim syn *Adam Czartoryski G. Z. P.*, *Stanisław Małachowski*, referendarz Koronny; *Ignacy Potocki*, marszałek litewski; *Czapski*, wojewoda chełmiński; *Radziwiłł*, kasztelan wileński i kilku innych.

Księża po większéj części zepsuci, psuli razem lud sobie powierzony. Wyjąć wszelako z pomiędzy liczby ich należy: *Szembeka*, płockiego; *Okęckiego*, poznańskiego; *Cieciszewskiego*, kijowskiego i ze dwóch może jeszcze biskupów, którzy ani do zgorszenia owieczek sobie powierzonych, ani do zguby i frymarków na ojczyznę swoją, nie przyczynili się. Szlachta po województwach na zawołanie magnatów przedażna, wszystko, czego tylko ci żądać mogli, robiła. Ztąd sejmiki i sejmy według układów pańskich odbywały się. I ten, który ustawicznie i upadał do nóg i całował nogi pańskie, nie miał czasu i serca do usłużenia nieszczęśliwéj ojczyznie swojéj.

Miasto Warszawa w nierządzie i bez znaczenia żadnego, chociaż kilkadziesiąt tysięcy samego pospólstwa mające, nie mogło się podnieść pod ciężarem uciemiężenia i niesprawie-

dliwości, i chociaż król wszelkiemi sposobami temu zapobiegać chciał, szlachcic wszelkiemi sposobami przeszkadzał, bo zapomniał myśleć (jak ojcowie jego) o dobru ojczyzny swojéj, ale tylko o poprawienie losu swojego ubiegał się i ta miłość dobra własnego, sposób nawet myślenia w kraju naszym odmieniła.

* * *

Powróciwszy z kadencyi Wileńskiéj do Warszawy, wydałem pismo *O wymowie w prozie albo w wierszu*, które królowi i bratu jego prymasowi tak podobało się, że przysłali do mnie Gwintofta, sekretarza komisyi edukacyi, ażeby według prawideł, w témże mojem piśmie wyrażonych, napisał książkę prelekcyi na wymowę dla szkół narodowych. Przyjąłem z ukontentowaniem pochlebne to dla mnie poselstwo, kiedy razem za pracę, którą miałem pisząc to dzieło podjąć, ofiarowano mi 300 dukatów. Ale po kilku dniach ksiądz *Grzegorz Piramowicz*, członek towarzystwa ksiąg elementarnych, prosił mnie, ażebym odstąpił pisania o wymowie, gdyż on od kilku lat zbierając rzeczy, przydatne do dzieła o wymowie, już zaczął pisać tę książkę dla szkół narodowych. Odstąpiłem niechętny mego do téj pracy wezwania, kiedy i insi za nim do mnie interessowali się. Czekano wydania książki Piramowicza, więcéj dwóch lat, a potém wyszła w samych cytacyach autorów, jak dawnych tak i późniejszych, bez wytknięcia w niéj uczącym się, jak mają poznać piękność wymowy, pokazać ją uczniom, w których ona wyrazach wydaje się najbardziéj, te i tym podobne pożyteczne wyłuszczenia opuściwszy, na książkę elementarną dosyć była dużą. Przysłał mi ją autor z listem swoim, któremu odpisałem, żeby mi darował myśl moją, że wieleby jeszcze do jego książki przyczynić należało ażeby była krótsza.

W tym czasie bawienia u Czartoryskiego, poznałem się lepiéj z *Kniaźninem*, który dawniéj był sekretarzem u księcia, a wtenczas tylko w domu jego bawił. Pisywał on wiersze, ale czy to szkólnéj przysady pełne, nie wszystkim podobać się mogły; poprzyjaźniwszy się z tym poczciwym człowiekiem, radziłem mu, ażeby więcéj prostéj a tkliwéj natury w wyrazach swoich szukał, a pisma jego powszechnie i zawsze podobać się będą; bo co tylko dawniéj przed Rzymianami Grecy, albo za czasów starych Rzymian tkliwy Wirgili albo Horacyusz napisał, dotychczas za piękne pospolicie uznajemy. Usłuchał rady mojéj *Kniaźnin* i tym sposobem napisał: „*Żale Orfeusza nad Eurydyką*“, które wiersze między dziełami jego, z druku wyszłemi, zapewne na czele położyćby można.

Bywał często w domu książąt *Józef Szymanowski*, którego powszechny szacunek w Warszawie z życia cnotliwego i pięknych jego poezyi, zwłaszcza *Kościół Wenery w Knidos* i mnie z nim poprzyjaźnił. Nikt nadto nie pochwalił grzeczności jego dla wszystkich i w zepsutéj Warszawie, obyczajów jego nieskażonych.

Nie samo moje prawdą powiedzianą czasem narażenie się książęciu Czartoryskiemu, ale i cichego nieprzyjaciela mego w tym domu Skowrońskiego podżegania, osłabiły przywiązanie tego pana do mnie. Raz mi on oświadczył, że książe wojewoda wołyński, Sanguszko, prosił o to, ażebym z synem jego chciał jechać za granicę; przykro mi było słyszeć to od księcia, bo kochając go prawdziwie, żyć już przy nim do śmierci chciałem. Wszelako widząc, że on dwór swój i mnie też między inszymi odprawić żąda, poszedłem widzieć się z Sanguszkiem, który chociaż zyskowną dla mnie roczną ofiarował mi pensyą, a po skończonym czteroletnim wojażu, wieś na Wołyniu, do ośmiu tysięcy intraty czyniącą, dożywociem zapisywał, żal mnie objął, że stracę ulubionego pana księcia Czartoryskiego i — odmówiłem Sanguszkowi.

Książe Czartoryski zdawał się być kontent, kiedym mu żal mój i przywiązanie do niego opowiadał, które nad zyski największe dla mnie przekładałem. Ale w kilka niedziel znowu potém książe proponuje mi drugie miejsce u drugiego Sanguszki, marszałka litewskiego, i przynajmniéj prosi, ażebym do babki dziecięcia Sanguszkowy marsz. lit. pojechał. Jużem wyraźniéj zrozumiał, że Czartoryski zbyć się mnie z domu żądał; ale serce moje, które się do niego przywiązało, jeszcze mocniejsze było od rozumu. Gdym się obaczył z starą Sanguszkową, z tą kobietą, którą w Warszawie dziekanową pań nazywano, która prawdziwie rozumem i najgrzeczniejszém każdego w domu przyjęciem przodkowała, kiedy mi jeszcze ze łzami w oczach tak powie: to dziecię sierotą, bez ojca jest, matka jego nie wiele o niego dbająca, jeżeli go pod dozór swój nie weźmiesz, przed Bogiem na ciebie skarżyć się będę. Wzruszony łzami téj najzacniejszéj pani, przyjąłem obowiązek zatrudnienia się, formowaniem i dozorem nad *edukacyą Romana Sanguszki*, siedmioletniego dziecięcia, najpiękniejszego w całéj Warszawie chłopca, przy znacznéj pensyi rocznéj, a po 9ciu leciech, wsi do 10 tysięcy czyniącéj dożywociem. Powróciwszy do domu księcia Czartoryskiego, nazajutrz z rana rzeczy moje wyprowadziwszy do staréj Sanguszkowéj pałacu, chcąc po-

żegnać księcia, w pokoju go nie zastawszy, że był u księżnéj żony na kawie, chociaż tam nigdy nikt z nas do niéj nie wchodził, ja jednakże jako już nie obowiązany do uważania układów dworu tego, i księżną w łóżku jeszcze leżącą, a księcia przy niéj kawę pijącego znalazłem i dziękując mu za chleb, który w domu jego półtora roku jadłem, na końcu rozpłakawszy się, powiedziałem, nietylko uczynkiem, ale myślą, nawet nie zgrzeszyłem przeciwko w. ks. mości, wszelako mnie z domu swego jak winowajcę jakiego wypędzasz, a ja tu przy tobie do mojéj śmierci żyć chciałem. Rzucił się książe do mnie i z uczuciem rzecze: toż u mnie zostań, z całego serca proszę! Odpowiedziałem, że dałem już słowo Sanguszkowéj i zapłakany wyszedłem.

Po tygodniu przyjechało z Lubartowa dziecię z matką i z ojczymem księciem Kazimierzem Sapiechą jen. lit. Król sam na ręku tego pięknego chłopca trzymając, oddawał mi go w domu Sanguszkowéj i wkrótce potém przeprowadziliśmy się do konwiktu warszawskiego księży Pijarów, gdzie z inszymi kawalerami pod rektorstwem najznacniejszego księdza Stadnickiego brał lekcye swoje, a ja tylko obyczajów jego doglądał.

* * *

Wyjechałem nakoniec z Warszawy po trzy-letniem bawieniu do Galicyi, straciwszy czas u księcia i moich cokolwiek pieniędzy z domu wziętych, a przybywszy do domu mego w Dobrowodach, przywitał mnie tam mój sąsiad dawny, Piasecki. Ten widząc uiszczone wszystko (jak mi przepowiadał) w bawieniu mojem między panami, żałował wraz ze mną czasu i pieniędzy straconych: bo u Czartoryskiego przez półtora roku bawiąc, nietylko nic nie zebrałem, ale nawet swoich blizko 80 dukatów straciłem, na porządniejsze we wielkim świecie utrzymywanie się.

Czwartego dnia po moim powrocie i siostra moja, wdowa, Jankowska, z kilkorgiem dzieci swoich do mnie przyjechała. — Rozrzewnienie, które czułem, witając się z tą poczciwą kobietą, jéj stan ubogi, zawiedzione nadzieje moje w kwapieniu się do Warszawy, były okazyą wierszów, które napisałem pod tytułem: „*Powrót z Warszawy na wieś*“; a te na niemiecki język wierszami przetłumaczone i wydrukowane, widziałem wkrótce we Lwowie.

Po roku bawienia się na wsi, zachciało mi się znowu do miasta. Tak raz zakosztowawszy życia na wielkim świecie, jak ów pijak gorzałczany, chociaż ten trunek cierpki i palący, przecież mu miło zawsze powracać do niego. Przyjechałem do Warszawy i u przyjaciela Stadnickiego u Pijarów stanąłem, który mnie ze łzami radości witał. Najpierw poszedłem do Czartoryskiego, który mię dosyć zimno przyjął, a Skowroński mi powiedział, że książę to czuł, jakobym go w wierszach moich „*Powrót z Warszawy na wieś*“ opisał. Odpowiedziałem: alboż to książę do siebie bierze te wiersze? Po kilku dniach król kazał mi być na obiedzie u siebie. Już on czytał dawniéj moje wiersze *Powrót z Warszawy na wieś*, i tak mnie obaczywszy ze łzami radośnemi wita: „cóż ci Warszawa zrobiła, żeś ją tak w wierszach swoich opisał?“ Odpowiedziałem: „właśnie to samo, że nic nie zrobiła!“ Król zagadał mnie czém inszém, zamawiając sobie, że zaraz po obiedzie powiadać mu miałem o rządzie w Galicyi, o zabieraniu sreber z kościołów. Jakoż po obiedzie z królem obstąpili mnie wszyscy, chcąc ciekawi słuchać historyi galicyjskiéj. Ledwiem zaczął mówić o zabieraniu sreber z kościołów w Galicyi za rozkazem Józefa cesarza, pod pozorem niby na wydatki wojny przeciwko Turczynowi i dodawszy: „niech to będzie N. P. fanatyzmem, ale jak cesarz Józef w kilkanaście tylko ludzi przy sobie przejeżdża się po Galicyi, zapaleńcy o wiarę, jak rozumieją pogwałconą, mogą gdzie go ubić na drodze“, to kiedym wymówił, król i wszyscy odemnie odstąpili i com mu miał opowiadać z pół godziny przynajmniéj, w 3 minutach sam się zostałem. — Wtenczas, jak obudzony, przypomniałem sobie, że i król z Częstochowy srebra pozabierał, i to było przyczyną odejścia wszystkich.

Nauka jeszcze od ojca mi zostawiona, ażebym tak mówił jak myślę, a potém bawienie się moje zawsze między równymi, między którymi przywykły mówić co myślę, były przyczyną téj mojéj niedworności, która mi u Czartoryskiego będąc, często szkodziła.

* * *

Konstytucya sejmowa ogłoszona 3 Maja 1792 r., a dnia 9, tegoż roku w Maju, dnia pamiętnego w potomności dla Polaków: bo Targowicka Konfederacya przyczyną była zupełnego upadku Polski, wyszedł uniwersał do narodu o obranym marszałku konfederacyi koronnéj, w *Targowicy* na Ukrainie, *Szczęsnym Potockim*.

Wkrótce w téjże Targowicy wyszedł uniwersał do duchownych, ażeby oświecali lud o zbawiennych zamiarach konfederacyi targowickiéj, a 20 Junii uniwersał do narodu, powracający mu rzpltą, którą sejm 3 Maja, jeszcze trwający, a który raczéj spiskiem nazwaćby się powinien, w monarchią przeistoczył. Potém nastąpił uniwersał, niszczący patenta i znak, od despotycznego rządu warszawskiego spi-

sku, dawane żołnierzom, a województwo podolskie w liście swoim do Szczęsnego nazywa go twórcą zbawienia i nowéj szczęśliwości rzpltéj! W tém imperatorowa przez list swój barona Büchlera do sprawowania interesów przy konfederacyi mianowała, aby był tłumaczem dawnych przyjacielskich myśli imperatorowéj dla Polski. Konfederacya zaś do Warszawy dla odebrania przysięgi od gwardyów i jakichkolwiek bądź tamże znajdujących się żołnierzy, równie i od różnych tamże magistratur.

W Sierpniu gromi konfederacya Bazylianów włodzimirskich o przywiązanie ich do konstytucyi 3 Maja i wskazuje, ażeby *ad loci ordinarium* na karę odesłani byli.

Zakazuje potém konfederacya przez uniwersał noszenia medalów i krzyżyków od rządu despotycznego 3 Maja wojsku rozdanych, a nieposłusznym surową karą grozi. W Wrześniu delegowani od konfederacyi do Petersburga oświadczyli imperatorowéj, że w najdalszych potomkach wdzięczność dla niéj Polacy mieć będą. Oświadczając nadto, że przed całym światem ogłaszać będą Polacy, że ich ratowała Katarzyna. Posłowi francuzkiemu Dessorches powiedzieć kazano od konfederacyi, że już nie jest posłem od rewolucyonistów francuzkich i naszego posła Oraczewskiego z Francyi odwołano, jakoż temu Dessorches w dniach 10 z Warszawy wyjechać kazano.

Po takich oświadczonych łaskach imperatorowéj przyszedł od niéj dyspartyment do konfederacyi targowickiéj, ażeby dla wojsk imperatorowéj w Polsce i Litwie będących dostarczano na 8 miesięcy furażu: mąki żytniéj 500,000 korcy, krup około 50,000 korcy, owsa do miliona korcy i siana około dwóch milionów centnarów, co nie zapłacono.

Oświadczyła konfederacya przez swój uniwersał, że ktoby od dnia 16 Listopada za dwa miesiące najdaléj nie uczynił akcesu do konfederacyi targowickiéj, miał być uznany za niezdatnego do wszelkich na potém urzędów.

W tém przyszła wiadomość, że wojska pruskie do Polski weszły, z tego chociaż już można było domyślać się o intencyach dla Polski sąsiadów naszych, przecie Konfederacya Targowicka, jak gdyby w najlepsze czasy dnia 5 Grudnia ustanowiła medal dla obrońców rzeczypospolitéj z napisem: „Civibus quorum pietas conjuratione die 3 Maj 1792 oblitam et diletam libertatem Polonam tueri conabatur;“ z drugiéj strony: „Decreto Reipublicae nexa confederationis junctae; w koło: Gratitudo civibus exemplum posteritati.“ Ustanowiła ta konfederacya także przysięgę professorom szkoły kadetów, że nic czynić nie będą, coby było przeciwko religii i rządowi teraźniejszemu krajowemu, nic uczniom nie

wspomną, ani o rozszerzaniu władzy królów, ani o sukcessyi tronu i monarchii.

W Styczniu wyszła 1793 deklaracya pana Buchholza, posła pruskiego, że bojąc się Jakobinów w Polsce, król pruski wprowadza wojska swoje dla poskromienia onych.

Odpowiedziała konfederacya, że o żadnych Jakobinach nie wie, że ma i swoje wojsko dla poskromienia ich, gdyby byli, i prosi, ażeby się Prusacy do kraju swego usunęli, a Prusacy tymczasem Toruń gwałtem odebrali. Kiedy Prusak wchodził w kraj nasz dla zaboru, nasze małe korpusy wszędzie wojsku jego ustępowały; jeden Dąbrowski wicebrygadyer, (który potém w wojsku francuzkiém na taką sławę i stopnie zasłużył) oparł się mężnie w Gnieźnie z dwoma swemi szwadronami dwa razy większéj sile nieprzyjaciela, i aż za rozkazem wyższéj swojéj kommendy, ustąpił.

W tém wyszedł uniwersał konfederacyi do narodu na pospolite ruszenie, ażeby się mieli w gotowości, ale w drogę aż za ostatnim rozkazem wyruszyć mają.

Wieść się téż rozchodzić zaczęła, że Moskwa chce dezarmować wszystkie wojsko polskie i o to nota podana do Sywersa, posła moskiewskiego, który przez notę odpowiedział, że niepodoba się imperatorowéj pospolite ruszenie nakazane; oświadczając, że imperatorowa każe rozgramiać wszystkie kupy zgromadzające się.

Król przystąpił do Konfederacyi Targowickiéj, mimo najusilniejsze prośby poczciwych obywatelów, a między innymi *Małachowskiego*, referendarza, marszałka sejmu 3. Maja, który kiedy żadnym sposobem od tego przedsięwzięcia odwieść go nie mógł, oświadcza mu, ażeby przed przemocą moskiewską do drugiéj stolicy swojéj do Krakowa z sejmem usunął się, a jeżeliby i tam ciśnieni od Moskwy byli, która mimo pamiętnego oporu walecznego Kościuszki, wojsk naszych natenczas jenerała, już się natenczas ku Warszawie zbliżała, tedy w témże Krakowie przez Wisłę w Kordon austryjacki przeprawić się radził, a ztamtąd dopiero wysłać posłów do cesarza niemieckiego, prosząc o wdanie się do Katarzyny moskiewskiéj. W czemeśmy téj monarchini zawinili, prócz téj poczciwéj przyczyny, że sejmem 3. Maja porządek jakiś w kraju zrobić chcieliśmy? I kiedy 3 potencye, zawiązawszy się w téj porze przeciwko Francuzom, mocą prawa zgwałconego na królu ich ściętym przez kata, za cóż tu Moskwa w tym samym czasie niewinnego króla prześladując, z kraju go nawet swego wypędza? Jeżelibyś N. P., mówił daléj królowi Małachowski, (jak mi to sam potém powiadał) na tę podróż do Krakowa pieniędzy niemiał, dam ci swoje 30,000 dukatów, które mam w domu,

a na 70,000 znajdę dziś kredyt u bankierów, a tak przyjmij 100,000 dukatów od obywatela, który i ciebie i naród ocalić pragnie. Ale ani wszystkie przekładania jego, ani łzy naszych poczciwych obywatelów nie pomogły. Przemogła intryga Prymasa, brata królewskiego, a między inszymi i Chreptowicza, kanclerza litewskiego, pensyonowanych od Moskwy. I zgodne to było z charakterem króla, najłatwiéj odmieniającym się; z duchem niewojennym i lubiącym spokojność, choćby to go najdrożéj kosztowało. Tak zrobił przed rokiem: wybrał się ze wszystkiem do obozu na Pradze stojącego, rozesłał uniwersały po koronie i Litwie z wyrazem, że osobiście stawi się w wojsku; zjadł obiad ten bohater na Pradze z Generałami naszymi, a na noc do Warszawy powrócił, zkąd się potém nie wyruszył.

Na tém przystąpieniu królewskiém do konfederacyi targowickiéj, naród stracił prawdziwą szczęśliwość, a Szczęsny Potocki urojoną: bo myśląc, że po odrzuceniu obrzydzonego od Katarzyny Poniatowskiego, on będzie królem polskim, o czem już i wiele przyjaciół moskiewskich myślało, a między innymi Branicki, het. koronny, publicznie u stołu Kochanowskiego, generała komendanta przeciwko Polakom wojsk rossyjskich, pił zdrowie: Najjaśniejszego Szczęsnego! Potocki, mówię, na tém przystąpieniu króla do konfederacyi, najwięcéj stracił: bo tém samem już król z Moskwą pojednał się, a jemu zupełnie nadzieja polskiego tronu upadła. Żona Potockiego, Mniszkówna, która z nim dawniéj ozięble żyła, a nawet często z niego szydzić śmiała, kiedy im nadzieja błysnęła tronu, pogodziła się zupełnie z mężem, górnemi równie z nim myślami upojona. Była natenczas w Wiedniu u księcia Lichtensteina na balu, kiedy tam wiadomość przyszła o przystąpieniu królewskiém do konfederacyi targowickiéj. Francuz, przytomny także na tym balu, kiedy się już goście późnym wieczorem rozjeżdżali, rzekł do Pani Potockiéj: „dobranoc mościa pani cxkrólowa!“

To prawda, że gdyby był Poniatowski do konfederacyi targowickiéj nie przystępował, Rossyanie dowiedziawszy się, iż chłopów polskich obruszono, jakoby im schyzmę wprowadzać chciała Katarzyna, a ci z kosami i siekierami gromadnie (zwłaszcza Mazury i Krakowiacy) iść chcieli na Rossyanów, broniąc wiary katolickiéj; dowiedziawszy się w Petersburgu, że król uniwersałami swojemi szlachtę w narodzie do obrony ojczyzny pobudził, że rzucając domy i wioski swoje, z gotowizną pieniężną jaką mieć mogli, ze wszech stron ku Warszawie ciągnęli, — obawiając się złego końca Katarzyna, generałowi swojemu przeciw Polakom, Kochanowskiemu, traktatem z naszymi tę wojnę zakończyć kazała, gdyby był tymczasem król niewieściuch do konfederacyi targowickiéj nie przystąpił!

Dnia 7 Marca 1793 roku, napisana instrukcya Potockiemu, marszałkowi konfederacyi, do Petersburga jadącemu, ażeby tam mówił o złączeniu najściślejszém Polski z Rossyą, i razem żeby doniósł, że naród poprzysiągł w konfederacyi bronić całość granic. Czynił zaś to na fundamencie obietnicy imperatorowéj w początkach konfederacyi, że miała całość Polski granic tymczasowych utrzymać, co nawet królowi, kiedy przystąpił do konfederacyi, obiecała; do tego: konfederaci targowiccy za wiadomością jéj nawet przysięgali na te konfederacye przy swobodach narodu i całości granic polskich, bo taka jéj na to była deklaracya.

Pod niebytność Potockiego, marszałka, zastępcą jego obrany *Antoni Puławski*, marszałek konfederacyi województwa wołyńskiego. Za jego zastępstwa d. 9 Kwietnia przyszła deklaracya imperatorowéj przez Sywersa, posła jéj w Warszawie konfederacyi oddana: o podziele polskiego kraju i o potrzebie zwołania nowego sejmu w Polsce, przez któryby Polska trzem potencyom podzieloną była, co sejm przyszły potwierdzić miał.

* * *

Sejm grodzieński zaczęty na wiosnę r. 1793, był jeden z najburzliwszych dla pomięszanych wielu poczciwych posłów z zdrajcami ojczyzny. Ambassador rossyjski Sywers, siedmiu gorliwych posłów w areszta żołnierzom rossyjskim pobrać kazał, których potem na czas jakiś za prośbą króla wypuścił. Ale potém znowu ich pobrano i pod konwojem rossyjskim do swoich powiatów, zkąd byli posłami, odsyłano. I kiedy król, jak inni poczciwi posłowie, zdawał się w początkach być przeciwnym nowemu zaborowi Polski, jako niezgadzającemu się z traktatem 1773 r., którym trzy dwory zabezpieczały natenczas całość kraju Polsce pozostałego, przez swoją gwarancyą, (uczyniono to na postrach drugim co pewnie było tajemnie z królem umówiono), dobra królewskie Moskwa zasekwestrowała; toż uczyniwszy z marszałkiem litewskim, Tyszkiewiczem. Kiedy posłowie Sywersowi wspomnieli, że imperatorowa konfederacyi nawet targowickiéj, obiecała całość granic Polski, on na to odpowiedział: że myślała imperatorowa o tych granicach, które teraz po tym zaborze naznaczą się! — Na tym to sejmie chciała Moskwa, ażebyśmy się do państwa rossyjskiego wcielili, a to na jedno wychodziło, co się zrobić poddanymi rossyjskimi. Tenże Sywers oświadczył sejmowi, że do wszystkich

posłów przeciwnych traktatowi podziału, poszle Moskalów do wsi ich na eksekucyą. Codziennie zaś przed bramą zamku grodzieńskiego, gdzie się sejm odprawował, stał hauptwach z kilkuset żołnierzy rossyjskich z kilku armatami ku drzwiom zamkowym dla postrachu wyrychtowanemi. — Posłowie, którzy na tym sejmie grodzieńskim obywatelstwem swojém dystyngowali się, byli następujący: *Krasnodębski*, poseł litewski, który w mowie swojéj publicznie królowi wyrzucał, iż wojskom naszym pod komendą synowca swojego, Józefa Poniatowskiego będącym, umyślnie przed Moskwą umykać się kazał, chociaż (jak wiadomo wszystkim) my byli jéj zwycięzcami. *Karski*, poseł płocki, wyrzucał także wyraźnie niedbanie o ojczyznę i między inszemi wyrazami (co ja przytomnym będąc na sessyi sejmowéj, sam słyszałem) powiedział w mowie swojéj: stało się tak N. P., jakoś sam w początku panowania swego, będąc od przeciwnych sobie obywatelów rozgniewany, powiedział: „że choćby tyle Polski zostało, którejbyś ziemię kapeluszem swoim przykryć mógł, utrzymasz się przy koronie!“ — Król na to rozgniewany, z tronu zakrzyknął: „Nieprawda!“ Wrzawa potem posłów z obydwóch stron wszczęta, z których, królewscy przyjaciele dopraszali się o sąd na *Karskiego*, jako występnego o obrażony majestat.

Po téj sessyi będąc u pani Krakowskiéj, siostry królewskiéj, kiedy tamże do niéj przyszedł z sessyi, i marszałek litewski, Tyszkiewicz, a ta mu z uczuciem wspomniała, (bo już jéj ktoś to doniósł) jak *Karski* publicznie królowi gadał, Tyszkiewicz weredyk na to odpowie: gdyby *Karskiego* przedemnie, jako przed marszałka litewskiego pozwano, jak chciano do moich sądów marszałkowskich pozwać, jabym go nie mógł karać: bom toż samo o królu, że miał to zapewne mówić, słyszał od nieboszczyka księcia marszałka korony Lubomirskiego, który jako poczciwy człowiek nie lubił zmyślać, a powiadał, że był przytém, kiedy się król rozgniewany z takim wyrazem wyrwał. Prócz tych dwóch posłów wsławili się jeszcze obywatelstwem na tym sejmie *Skarzyński*, poseł łomżycki, *Szydłowski*, poseł płocki, *Mikorski*, poseł wyszogrodzki, *Ciemniewski*, poseł różański, *Aleksandrowicz*, poseł smoleński. Ci cnotliwi obywatele i wielu innych im podobnych przyszli na pokoje królewskie i widząc go skłonionego do podpisania zaboru kraju, a tym się najwięcéj składającego, że i dobra mu nawet tronu pokonfiskowano, a tak zkądby żyć miał nie ma, i jeszcze (jak mówił) mnie z wami razem Moskwa zabierze. „Pójdziemy z tobą królu, odpowiedzieli poczciwi posłowie, w najdziksze kraje, będziemy jeszcze tam na ciebie zarabiać, ażebyś

miał wyżywienie i wygodę jakąś, a nie czyń narodu twego nieszczęśliwym podpisaniem podziału kraju!“ Jakoż to pewna, że gdyby król był nieprzystąpił do podpisania traktatu podziałowego kraju, nigdyby był pewnie ten podział nie doszedł. Ale widać było wyraźnie, że byle spokojnie na reszcie kraju panował, nie dbał o tak wielką szkodę narodu. Miał dnia jednego dwie mowy długie na sessyi; w pierwszéj niby jest obojętnym na traktowanie z ambassadorem rossyjskim o podział kraju; radzi posłać do niego, ażeby zatrzymał się, niżeli poseł nasz od imperatorowéj powróci; na co gdy ambassador nie pozwolił, drugą znowu miał dłuższą mowę, gdzie radzi przystąpić do traktowania podziału. Te dwie duże mowy, potém drukowane, w jednym dniu nie mogły być skomponowane, tak wytworne jak były, i widać, że dawniéj obydwie zrobione, i że w tym dniu na zrobienie drugiéj czasu nawet nie miał król, a ztąd widać, że chciał podziału; tak się wcześnie z ambassadorem skrycie umówił. Które posądzenie potém się i potwierdziło: bo kiedy kraje królowi pruskiemu wyznaczono, a między niemi Gniezno, Poznań, te pierwsze siedziby przodków naszych, okrzyk powszechny posłów naszych, nawet przyjaciół rossyjskich zrobił się: jakim prawem Prusak dziedziny najdawniejsze Polaków zabierać miał? I kiedy nikt do podania do laski marszałkowskiéj projektu takiego nie idzie, dwaj: *Podhorski i Miączyński*, poseł wołyński, projekt ustąpienia królowi pruskiemu kraju wspomnionego do laski marszałkowskiéj, jak zwyczaj, podali.

Marszałkiem tego okropnego sejmu był Stanisław Bieliński, tak przekupiony, jak inni, i kiedy wołać zaczął: otóż są i projekta na wydział pruski od posłów podane, przystąpiwszy patryoci posłowie do stołu marszałkowskiego i obaczywszy, że te projekta podpisów nazwisk tych, którzy je podawali, nie miały, okrzyk znowu zrobił się. Otóż zdrajcy wstydzili się nawet na swoich projektach podpisać, a tém samém według prawa nic nie są warte. Marszałek sejmowy chciał dać pióro i kałamarz kolegom swoim do podpisania się; ale przeciwni posłowie poczciwi kałamarz i pióro pochowali, że nie było sposobu podpisania się. Wtenczas król na tronie siedzący, w oczach narodu, na co i ja patrzałem, a potém dla wstydu spuściłem na dół oczy, dobył z kieszeni ołówek i Miączyńskiemu z Podhorskim oddał, ażeby się na swoim podpisali projekcie: „Heu! regni rerumque oblite tuarum!“

Tak jest, on to zapewne zrobił, zapomniawszy się, ale on to zrobił, co w duszy myślił, chcąc skończyć kłopoty, a na reszcie w kraju spokojnie siedzieć. Zapomniał się król,

Polak nieobywatelski, bo w oczach narodu zgromadzonego nigdy tego zrobić nie powinien był. Stał się traktat tego drugiego, a okropniejszego nad pierwszy, podziału kraju polskiego podpisany, którym to grodzieńskim traktatem zaborowym, więcéj Rossya, Prusak i Austrya wzięli ludności i mil kwadratowych kraju naszego, niżeli się reszty całéj Polski zostało! — Zaraz po podpisaniu traktatu tego, ponieważ sejm ten był pod konfederacyą targowicką, Antoni Puławski, téjże konfederacyi zastępca marszałka, dał bal z tańcami w Grodnie na Worodnéj, gdzie miał tymczasem mieszkanie. O ścianę sali, gdzie całą noc tańczono, ja nocowałem; oni tam śpiewali i tańczyli, a ja to słysząc płakałem! —

* * *

Od roku 1795 spokojnie siedząc w kolonii mojéj, która z ostepu, dawniéj Kraśnik nazwanego, dzisiaj się *Karpinem* zowie, uprawiałem rolę, zapomniany od króla i panów, a samemu tylko w poprawieniu losu mego przemysłowi mojemu zostawiony. Mógłem mieszkać gdzie w mieście jakiém i żyć z procentu 2000 dukatów, które miałem natenczas. Ale znając cokolwiek świata wielkiego, że ledwie dziesiąta część ludzi znajduje się, z któremiby niecierpliwemu żyć można było, — ażeby się z niemiłemi ustawicznie nie zdybać, wolałem osiąść w lesie, gdzie porobiwszy około domu mego zagrody silne, ocalałem się od wilków i niedźwiedzi. W mieście zaś mieszkając, jakiż sposób zagrodzenia się od złego człowieka, żeby mnie nie naszedł? — Mam dom dosyć wygodny, i nikomu pałaców nie zazdroszczę, dwie potrawy przy chlebie smacznym na obiad, i dwie na wieczerzą, oto już cała uczta moja. Przy wielkim gościńcu mieszkając miewam często i gości; ale jakże ich wiele jest, którychbym rad i nigdy nie widział i nigdy nie miał! Jeden importun, że często do miasta powiatowego jeździł, a droga mu koło mnie przypadała, nigdy nie opuścił, ażeby mię kilka godzin gadaniem bez związku nie nudził. Ani u sąsiadów moich będąc, więcéj nie żądam, nad ulubieńsze mi kaszę i pierogi. Opodal trochę odemnie jesteś przyjacielu Stryjeński! A ty cnotliwy Badeni, w inszym kordonie mieszkający, i więcéj stu milami odemnie oddalony, — jakże się przyjaźnią twoją pocieszyć mam? Tu w powiatach okolicznych, jakże już wiele nabiegałem się, a przyjaciela znaleść nie mogę! Miałem go niby, kiedy on był nieszczęśliwy po upadku ojczyzny. Bawiłem go w smutku, ratowałem trochę pieniędzmi, i cieszyłem ubóstwo jego. Trochę potém zapomożony zrobił się dla mnie pysznym i znowu nieszczęśliwy do mo-

jéj się uciekł przyjaźni. Ale raz odrzucone i pogardzone serce moje przez niego, już się ku niemu nawrócić nie chciało, i byłem stały nie dbać o niego potem. Inszy magnat, niby z przyjaźni ofiarował mi 3000 dukatów, bylebym przy nim do śmierci mieszkał; podziękowałem za dar tak piękny, nie podejmując się mieszkania przy nim, chcąc być wolnym do śmierci, zwłaszcza kiedy mi na kawałku chleba i wygodzie w domu moim nie zbywało. „Ale (powiedziałem) z daru tak pięknego, który jegomość ofiarować chciałeś, widzę to, że mię lubisz; otóż przez wdzięczność, bez żadnéj pretensyi, zwłaszcza nie daleko od pana mieszkając, kilka razy na rok w dom pana przyjadę i po kilka niedziel bawić będę. Przyjął magnat ukontentowany przyrzeczenie moje, i zaraz wtenczas trzy niedziele bawić obiecałem. Po kilku dniach mieszkania w jego domu, o coś posprzeczaliśmy się z sobą, i widząc go bez przyczyny upartym, rzeknę: ja mam te i te przyczyny, na dowód tego co mówię, a pan daruj mi, żadnéj nie masz. On wtenczas rozgniewany: „A wpan widzę lubisz się sprzeczać?“ Ja mu zaś na to: „Tak jest, mój Panie, sprzeczam się, bom pieniędzy nie wziął od Jegomości, które gdybym był przyjął, jakaś wdzięczność kazała mi by zawsze powtarzać: tak jest panie dobrodzieju!“

Insi zabierali przyjaźń ze mną, żeby co zyskać, a widząc, że się im nie udaje, porzucili. Insi widząc mnie, mającego jakiś szacunek między ludźmi, nazywali mnie w posiedzeniach swoim przyjacielem, co mię jeszcze, że byli ludźmi niecnotliwymi, wstydziło. Insi nakoniec, a tych najwięcéj, którzy mnie wychwalali i grzeczności wyrządzali, w jedynym celu, żebym co na ich pochwałę napisał. Ale po wierszach moich pod tytułem: „*Żale Sarmaty*,“ jeszcze na początku panowania Pawła napisanych, jak w nich dałem sobie słowo wierszów odtąd nie pisania, tak odtąd żadnych nie pisałem.

W tęsknicy, domowéj osobności, najwięcéj bawią mię książki i gitara. Książek mi najpiękniejszych pożyczał, grzeczny dla mnie, jak dla innych obywatelów, blizko w Szerszewie konsystujący z pułkiem swoim generał rossyjski Kamieński. Młody ten panicz dawał to często poznawać, że był synem feldmarszałka, i ja wymawiałem mu to w poufałości, którą do niego miałem. Insi się płaszczyli przed nim, ale mnie on poważał, bez mego upodlenia żyjąc z nim. Między kiążkami, które corocznie mu z Francyi najnowsze przychodziły, była i książka, par Mr. Michau: *O wierze, prawach i obyczajach Indyanów*, i tę przetłomaczyłem na język polski, wyrzuciwszy z niéj wiele mniéj ciekawych opisów.

Piszę ja ten rękopism w roku 1822, zaś ośmdziesiątym pierwszym życia mego, i będąc tak już na siłach słabym żegnam się z wami: najpierwéj krewni moi, Franciszku Kozierowski z żoną i sześciorgiem dziećmi twojemi; żegnam się téż z wami, najdawniejsi, bo więcéj od lat 40 przyjaciele moi: Karólu Prozorze, obożny litewski, i Ignacy Sicheniu, starosto krzemeńczucki; jakże mi miło będzie z wami, jako z ludźmi poczciwymi i na tamtym świecie obaczyć się? Ale obaczę ja i ciebie wkrótce, cnotliwy i kiedyś tak groźny dla mnie ojcze mój! Nie wszystko ja to, nie wszystko wypełniałem, w czém ty mnie w młodości mojéj napominałeś; ale przynajmniéj od owego nożyka, w dzieciństwie od parobka skrycie wziętego, nikomu (jak sobie przypominam) krzywdy nie zrobiłem. — Szedłem ile możności prawdą na świecie, jakoś mię konający napominał i chociaż ta droga wiodła mię czasem do umartwienia, ale téż taż sama prawda wyznana (jakeś mi to przepowiedział) słodziła potem smutki. Ty pewnie u Boga naszego dobrego tam jesteś dobrze położony; powiedz za dziecięciem twojem: że było ułomném, ale przynajmniéj starało się, aby zbrodniarzem nie było!

Pamiętniki Ks. Andrzeja Kitowicza.

Poznań 1840.

Panowanie Augusta III.

O początkach panowania Augusta III. niepiszę, bo w tych byłem dzieckiem, anim wziął przed się pisanie dawniejszych dziejów, tylko tych, które się za używaniem rozumu mojego zdarzyły. To jedno przytaczam, co ulgnęło w moją młodą pamięć: że w dzień koronacyi Augusta III. w Krakowie odprawionéj, po wszystkich miastach publicznych, z rozkazu rossyjskiego, była palona illuminacya. Każdy mieszkaniec musiał oświecić okna domu swego. Niebyła to tak przednia illuminacya, jaka dała się widzieć palona Stanisławowi Augustowi (o któréj będzie w swojem miejscu), ale tylko świeczki łojowe i lampy takież wystawiono w oknie na prostéj desce; a w niektórych pałacach świece woskowe i lampy oliwne, bez żadnych figur malarskich i snycerskich. Ktoby zaś nie palił świeczek, przynajmniéj dwóch w oknie, byłby poczytany za nieprzyjaciela króla Sasa, a partyzanta Leczczyńskiego, i jako taki źle od Rossyan traktowany; dla tego najuboższy gospodarz wolał stracić dwie świeczki, niż

nabyć na grzbiet sto knutów czyli batożków. Ta illuminacya zaczęta w wieczór trwała do wypalenia się świec.

Drugi obmiot, który do dziś dnia nie uszedł z pamięci mojéj, był następujący: Żołnierze rossyjscy, mający kordygardę w domu rodziców moich, nalawszy wody w dużą misę, śledzia surowego z łuską w drobne kawałki, pazurami szarpiąc, w tęż wodę wdrobili; potem sucharów podobnież nadrobili, a nażegnawszy się nad nią i nakiwawszy, z wybornym apetytem ową zupę jedli. Pieniądze, kopiejkami zwane, nosili w gębie między wargą spodnią i zębami. Gdy mieli co jeść lub pić, owe kopiejki brali do ręki. Grubsze zaś pieniądze chowali w kieszeniach. Niechlujstwo ich w jedzeniu, piciu i odzieży było aż do obrzydzenia; rozrabiając w dzieży ciasto na chleb, z którego potem robili suchary, takim chlebem albo sucharami wcale się niebrzydzili. Oficerowie niżsi, wyjąwszy sztabowych, mało co byli schludniejsi od gminnych sołdatów. Dla uniknienia gadu, używali koszul kitajkowych rozmaitego koloru, w któréj materyi, ile śliskiéj, robactwo niekowane, nie tak łatwo jak w płótnie utrzymać się mogło, i kitajka nie tak często prania potrzebuje.

O głodzie pod panowaniem Augusta III.

Po wyjściu Rossyan z Polski, jakoś w drugim czy w trzecim roku po koronacyi, nastąpił głód, którego te okoliczności pamiętam: najprzód że żadna potrawa tak nie smakowała jak chleb, nawet ludziom dobrze się mającym i w inne czasy mało chleba używającym; powtóre, że w Warszawie pełno było ludu zgłodniałego, schodzącego się do niéj z okolic. — Panowie i majętniejsi obywatele czynili wielkie składki na tych nędzarzów, których mimo tę opatrzność co dzień wielka liczba umierała, grzebiona w wielkie doły po cmentarzach i po polach, przez grobarzów umyślnie na to wysadzonych, którzy zmarłych zbierali po ulicach, kładli na kary i do dołów zwozili. Żywym dawano pewną porcyą chleba co dzień, w pewnych miejscach murem albo parkanem opasanych. Byli ludzie z długiemi biczami, od nich zwani bicznikami, którzy przed godziną dystrybucyi chleba zganiali ubóstwo do owych miejsc, zajmując wspomnionemi biczami i pędząc jak bydło. Wielu albowiem z tych mizeraków, z łakomstwa głodem rosnącego, spodziewając się większego pożywienia w pojedyńczéj od domu do domu żebraninie, unikało zajmu do gromady. Wpędzonych w zamknięcie potem wypuszczano po jednemu tąż samą bramą,

dając każdemu pod równą miarą sztukę chleba; i tak czyniono co dzień. Umierali jednak i przy takiéj opatrzności, mianowicie ci, którzy nie wstrzymując apetytu, prócz chleba rozdanego, szukali większego gdzie mogli posiłku a nawet końskie mięso z zdechłych koni żarli. Wielu zmarłych znajdowano z kawałkiem chleba u gęby; gdy ściśniony żołądek, niemogąc trawić pokarmu chciwie jedzonego, odejmował jedzącym życie.

Od roku 1743 zacząłem notować moją chronologią; którego roku jakoś ku jesieni pokazała się gwiazda wielka ogromności księżyca w pełni, z ogonem na kształt miotły długim i szerokim; była figury okrągłéj, gładkiéj, bez promieni dokoła. Jasność miała bystrą, tak w swojéj kuli, jak ogonie równą. Wchodziła i zachodziła ta gwiazda przez niedziel sześć po zachodzie słońca, równo z księżycem; widziana nietylko na horyzoncie polskim, ale też nad całą Europą, jako o niéj były zewsząd uwiadomienia. Odbywszy swoją wizytę więcéj się nie pokazała. Za pierwszem swojem zajaśnieniem nabawiła ludzi wielkiéj trwogi. Jedni mówili: iż kto się téj gwiazdce przypatruje, ten roku nie dożyje; drudzy: że któryś monarcha europejski umrze; inni: że będzie głód; inni: że powietrze; inni: że wojna. Tego, co nastąpiło, nikt jednak nie zgadł, to jest: powietrza na bydło i prócz którego Polska nie miała szczęśliwszych czasów, i podobno więcéj takich mieć nie będzie, jak były pod słodkiem panowaniem Augusta III., przeciw któremu niewdzięczność Polaków, sprawiedliwie ukarały niebiosa następnem panowaniem!—

O sejmach zrywanych.

Nieszczęśliwe sejmy, zrywane regularnie, nie oziębiały chęci dobrego króla do składania następnych, na które ten monarcha punktualnie zjeżdżał z Saksonii, do któréj po zerwanym zwyczajnie sejmie znowu powracał. Przed każdym sejmem na ćwierć roku zjeżdżał król do Wschowy, miasta pogranicznego, gdzie odprawiwszy Senatus Consilium w materyach, jakie miały być traktowane na przyszłym sejmie, i uniwersały na sejmiki przedsejmowe podpisawszy, wracał do Saksonii, bawiąc tam aż do zbliżenia się czasu sejmu, uprzedzając czas jego zwyczajnie dwiema lub trzema niedzielami. Takim sposobem August III. panował w Polsce, aż do wojny siedmioletniéj, od zaczęcia któréj, mieszkał ciągle w Warszawie.

Zrywacze sejmów różnych do zerwania używali pozorów; nigdy sprawiedliwych: bo te z natury rzeczy takiemi

być nie mogły. W roku 1758 po obraniu marszałkiem Adama Małachowskiego, krajczego koronnego, sejm zerwany został dla téj przyczyny, że rossyjskie wojska znajdowały się w Polsce. Co za racya płonna? — To i owszem radzić należało, aby nie były; radzić zaś ważniéj inaczéj nie można było, tylko na sejmie. Ale to był tylko wybieg; — przyczyna zrywania sejmów była zawsze jedna: chydzenie panowania Augusta. Obaczymy pod następnem panowaniem, jak ta Rossya, która pod Augustem III. wcale się nie wdawała do sejmów, ani żadnych krajowych spraw, pod Stanisławem Augustem zupełnie rządziła niemi i wartami swemi otaczała izby sejmowe, a przecie sejmy się nie rwały i za ważne uchodziły, gdy ta *familia*, która za panowania Augusta III. wszystkie sejmy psuła, za Stanisława Augusta psuć je zaniechała.

W roku 1760 znowu sejm zerwany, z téj saméj, co i poprzedzający, przyczyny, to jest, że Rossyanie w Polsce; że pod bronią żołnierza exotycznego sejm wolny być nie może. Ten sejm zerwał się przed obraniem marszałka.

Następującego roku 1761 zwołał król sejm extraordynaryjny. Zaczął się 27 Kwietnia pod starą laską Adama Małachowskiego, krajczego koronnego. Bawił się na rugach aż do dnia 2 Maja, którego zaszedł przeciwko niemu manifest, nie już od jednego posła, jak przeciw dawniejszym bywało, lecz od trzydziestu dziewięciu posłów w grodzie warszawskim podpisany. Jak liczba zrywaczów wielka, tak przyczyna zerwania mała: oto, że tego sejmu nie poprzedziło Senatus Consilium, które nic więcéj nie miało w mocy, jak tylko wynajdować materye do przyszłego sejmu; te zaś były w uniwersałach na sejmiki wydanych dokładnie wyłuszczone, i czy wyszły z izby senatorskiéj, czy z kancelaryi koronnéj, jeden obmiot miały: przygotowanie Polaków, o czém radzić na sejmie mają. Zawzięte duchy, na uczynienie niesławném panowania Augusta III., nawet mu pomyśleć dobrze o kraju nie dopuściły, zrywając sejm dla tego, że sam król, nie z senatem, wydał na sejm uniwersały! Ten sejm zerwał się przed obraniem marszałka, lubo się wlókł tydzień, mozoląc króla przejażdżką codzienną z Pałacu saskiego na Zamek do Izby senatorskiéj. Ukarany król za to, iż przed nim nie miał Rady stanu, złożył ją dnia 13 Maja, nie żeby co pożytecznego na niéj przedsięwziął, gdy wszystkie usiłowania jego ku dobru kraju były zdesperowane, ale żeby coś czynił i nie próżnował. Jakoż nic na niéj wielkiego nie traktowano, jedynie o sposobie zapobieżenia monecie złotéj, w kraj wchodzącéj. W téj materyi resultatum tego Senatus Consilii zostawiło w mocy

królowi, złożyć sejm extraordynaryjny, kiedy zechce. Znudzony król sejmami wciąż zrywanemi, nie składał pozwolonego.

O sejmie ordynaryjnym 1762.

Ostatni to był sejm pod panowaniem Augusta III., co do liczby sejmów, pierwszy zaś co do gwałtownego sposobu sejmowania, który da się widzieć w dalszém swojém opisaniu, do którego nim przystąpię, muszę wprzód ukazać czytelnikowi przyczynę, która tę gwałtowność spłodziła.

Przy końcu panowania Augusta III. graf Bryl, minister królewski, Jerzy Mniszek, marszałek nadworny koronny, zięć pierwszego, i Kajetan Sołtyk, biskup krakowski, kreatura tych dwóch, składali trójcę dworską, i nią powszechnie zwani byli, za któréj zdaniem szedł we wszystkiem August III. Ta trójca szafowała łaskami królewskiemi; bez niéj nikt niczego od króla nie dostąpił. — Blizko przed tym sejmem zawakowały niniejsze urzędy: Pieczęć wielka koronna; Pieczęć mniejsza litewska; Buława wielka litewska i Województwo wileńskie. Te wszystkie urzędy familia Czartoryskich uwzięła się pozyskać dla swoich przyjaciół. Trójca dworska oddawała do jéj woli Buławę mniejszą litewską (bo większa z dawnego zwyczaju należała hetmanowi polnemu), Podkanclerstwo litewskie i Województwo wileńskie; zostawiła tylko do wolnego szafunku Królowi Imci, a raczéj sobie, Podkanclerstwo koronne. Czartoryscy, jako już dawno postanowili u siebie pokazać jawnie moc swoją, górującą nad mocą trójcy, któréj nienawidzili, tak na ofiarę niezupełną wszystkich urzędów żądanych, podaną sobie przez Mniszcha, marszałka nadwornego koronnego, odpowiedział książe kanclerz litewski, Czartoryski, głowa i rządca familii: „albo wszystko, jak my chcemy, albo nic.“ Mniszech, któremu też nie zbywało na dumie, spytał się kanclerza: „A kiedy nic!“ Na co kanclerz: „kiedy nic, to będziemy wiedzieli, co z tém czynić.“ Zirrytowany temi groźbami dwór, oddał zaraz województwo wileńskie księciu Karolowi Radziwiłł, miecznikowi litewskiemu; buławę polną Sapieże, wojewodzie płockiemu; podkanclerstwa zaś koronne i litewskie zachował podług prawa do przyszłego sejmu. Między okolicznościami, wchodzącemi do Województwa wileńskiego, godna wspomnienia następująca: gdy Bohusz, sekretarz R., przyszedł do Mniszcha, marszałka nadwornego koronnego z propozycyą wyliczenia zaraz 40,000 czerwonych złotych, byleby pan jego, książe Radziwiłł, otrzymał Województwo wileńskie, rzekł do niego marszałek: „Ale mospanie, jakże mu dać tak wysokie krzesło, kiedy

to człowiek szalony!“ — Na co Bohusz: „Tém lepiéj; jeżeli albowiem dacie ten wakans mądremu, książe Czartoryski, kanclerz litewski, znajdzie rozum na rozum i potrafi mądrego pociągnąć na swoją stronę; szalonego zaś przerobić na swoją partyą nie potrafi.“ — „Bravo, mospanie! Licz waść pieniądze!“ — i takim sposobem R. (w saméj rzeczy szaleniec) otrzymał województwo! — Ta dystrybucya wyżéj wspomnionych wakansów przejęła do żywego Czartoryskich: postanowili tedy Bryla młodego, cześnika koronnego, posłem ziemi warszawskiéj na sejm nadchodzący obranego, wypchnąć z poselskiéj izby, jako nie szlachcica polskiego, tylko przez dekret trybunalski piotrkowski takim zrobionego. — To tedy było, co Stanisław Poniatowski, Stolnik litewski, na tymże sejmie poseł litewski, chciał Brylowi zadać, a czego partya dworska Brylowi nie dopuścić uwzięła się. Gdy tedy Poniatowski jeszcze przed elekcyą marszałka sejmowego chciał ostrzedz sejm, że w izbie między posłami znajduje się jeden poseł nie szlachcic, i na ten koniec żądał od marszałka staréj laski głosu pozwolenia, Radziwiłł, podkomorzy litewski, który miał głos mocny, będąc partyi dworskiéj, niemal razem z Poniatowskim zawołał, albo raczéj tęgo krzyknął: „Mci panie marszałku, proszę o głos!“ — Co Poniatowski powtórzył: Mci panie marszałku, proszę o głos, — to wzajemnie Radziwiłł krzyczał: proszę o głos! Było tego po kilka razy między tymi dwoma tylko sam na sam wołającymi. Lecz gdy Poniatowski, nie dbając już o danie sobie głosu, zaczął wymawiać te pierwsze słowa: „*Znajduje się między nami*“ — huknęła na niego cała partya dworska, — dalszych słów Poniatowskiego, które były: „*nie szlachcic Bryl poseł Warszawski*,“ nikt przed hałasem słyszeć nie mógł, chyba tuż siedzący przy Poniatowskim. Zaczęty ten wrzask od samych posłów stał się powszechnym i arbitrom, którzy się w kole poselskiem między posłami znajdowali, a z tych najwięcéj było czeredy służącéj Radziwiłłom i Czartoryskim, lub tych dwóch partyi przyjaciołom, uzbrojonéj pałaszami i pistoletami pod sukniami.

Trwała ta wrzawa z pół kwadransa, aż nareszcie w dobycie szabel wybuchnęła. Co iż się stało w okamgnieniu, trudno było dostrzedz z któréj strony i kto pierwszy dobył szabli. Ile jednak siedząc w górnéj ławie i mając pod okiem całe poselskie koło, mógłem dostrzedz, przy roztargnionym wzroku na Poniatowskiego i Radziwiłła, to mi się zdawało, że najpierwsza szabla która błysnęła, była litewska, osadzona w furdyment i trzymana od ręki obleczonéj w rękawiczkę łosią z karwaszami pod sam łokieć długiemi: głowa

zaś tego junaka nakryta była po same oczy czapką tęgą, drutami i bawełną przeszywaną, jakich czapek Litwini do pojedynków i tumultów zażywali. Za czem rozumieć mogę, że wspomnione dobycie szabel wszczęło się w partyi Radziwiłłowskiéj, a zatém dworskiéj. Równo z dobyciem szabel, pomieszane wprzód między sobą ile w ciasnym na taką ludność cyrkule partye, rozskoczyły się i stanęły naprzeciw sobie w dwóch ścianach, sięgać się ciosami wzajemnie mogących! Do czego jednak nie przyszło: bo Małachowski, krajczy koronny, marszałek starej laski, biegając od końca do końca między owemi ścianami, stawiając przed oczy blizką przytomność króla w izbie senatorskiéj z senatorami siedzącego, obrazę majestatu królewskiego przez dobycie szabel, zgwałcenie świątyni praw, przykład straszny zuchwałości i tym podobne uwagi, dokazał tego, że szable pochowano i uciszono się.

Po tém uciszeniu marszałek Małachowski miał mowę długą swoim zwyczajem, ubolewając nad tak nieszczęśliwym dla przyszłości przykładem, a daléj ciągnąc rzecz, obligował posłów, ażeby dla naradzenia się in plena activitate, co z tym przypadkiem czynić należy, raczyli przystąpić ad turnum, to jest do głosowania porządkiem województw. A że tego roku koléj pierwszeństwa przypadała na prowincyą małopolską, zatém dał głos województwu krakowskiemu, pierwszeństwo w prowincyi małopolskiéj trzymającemu. Lecz gdy miasto czekania kolei swojéj, Poniatowski, stolnik litewski, zaczął domagać się głosu, i gdy podobnież jak pierwéj swojém wołaniem o głos zaczął go tłumić Radziwiłł, znowu powstała wrzawa, znowu się zaczęli rozstępować na partye i mieć ku pałaszom, acz ich jeszcze nie dobywając. Marszałek, widząc, iż nasadzona jest rzecz na wypchnięcie Bryla z poselskiéj izby, coby się stać nie mogło bez wielkiéj rzezi, odwołał sessyą na dzień jutrzejszy. Takim tedy sposobem przyjaciele dworscy uratowali Bryla od hańby publicznéj zarzutu nieszlachectwa. Ale że ten sposób, ile był pomocny w krytycznéj owéj godzinie Brylowi, tyle przeszkadzał sejmowi i przy zaciętości familii Czartoryskich na Bryla, byłby dni wszystkie jego zniszczył i wycieńczył aż do limity, a możeby przyszło w dalszych sessyach do krwawéj rozprawy, któréj skutkiem byłoby zerwanie sejmu, zaczém nie tracąc darmo czasu i nie czekając jakiego fatalnego skutku, wypadało dworskiéj partyi zerwać go bezzwłocznie, niechcąc Bryla exponować na hańbę nieszlachectwa. Jakoż tego samego dnia pokazał się manifest przeciw sejmowi uczyniony w grodzie warszawskim przez Szymakowskiego, stolnika i posła ciechanowskiego. Przyczyna w tym manifeście do

zerwania sejmu dana: gwałt wolności przez dobycie szabel w izbie sejmowéj zadany; acz może i on sam, razem z drugimi, jako mazur kordyaczny, dobył swojéj serpentyny. Lecz tak mu podyktowano; bo słusznéj przyczyny do zerwania sejmu nigdy wynaleść nie można było. Potomność niechaj osądzi, jeżeliby nie lepiéj było, skryć grafa Bryla i niepokazywać go na sejmie, niżeli zrywać tenże dla punktu honoru jednéj osoby. Gdyby był dwór tak pomyślił, — cała wina zepsucia sejmu spadłaby była na Czartoryskich, jako zawsze sejmy psujących, a Bryl byłby szlachcicem, jak nim został za dekretem trybunalskim, i mając inne honory i urzędy publiczne, obszedłby się był bez poselstwa przemijającego. Ale ambicya wzięła górę nad wszystkiemi z strony dobra publicznego uwagami, i wpisała dwór ten jeden raz w regestr zrywaczów sejmowych.

Jeszcze dwa dni po manifeście Szymakowskiego zjeżdżali się posłowie do izby poselskiéj, ale już mów żadnych nie było, prócz jednego marszałka, który izbę zagajał i zaraz po zagajeniu posłów po dwóch do szukania Szymakowskiego i sprowadzenia go, aby izbie sprowadził activitatem, delegował, i to zrobiwszy, natychmiast sessyą do jutra limitował, po których dniach, gdy delegowani uczynili izbie wiadomość, że Szymakowskiego nieznaleźli w okręgu Warszawy, sejm pożegnał, wywarłszy w mowie pożegnawczéj wszystkie przekleństwa na tego, kto był przyczyną zerwania sejmu. Nie wymienił jednak nikogo, lubo dobrze wiedział, (bo i sam jako przyjaciel dworu w te rady wchodził), kto go zerwać kazał, i kto się téj przysługi podjął, i że zaraz pan zrywacz sejmu, zrobiwszy tę dobru publicznemu psotę, z dukatami za nią nabytemi z Warszawy prysnął. Szukali go delegowani dla zachowania formalności w zwyczaj wprowadzonéj szukania zrywacza od pierwszego sejmu zerwanego, i aby na szukaniu czas trawiąc, nieszczęśliwemu sejmowi godzin przyczynili.

Na taką wrzawę i tumult, wszczęty w kole poselskiem (jako się wyżéj opisało), arbitrowie siedzący za kołem po ławach przy ścianach będących, jedni przejęci strachem na łeb pozskakiwali na ziemię, uciekając co ducha w sobie z poselskiej izby i roznosząc fałszywą wieść po ulicach, że się rąbią w poselskiéj izbie; drudzy śmielsi, powstawszy na nogi, cofnęli się tyłem z niższych ław na wyższe: raz dla tego, ażeby od szabel, gdyby się te po całéj izbie rozpierzchły, po nogach nie dostali; drugi raz, ażeby z wyższego miejsca tumultowi w kole poselskiém wybuchłemu lepiéj się przypatrzyć mogli, którem cofnięciem nagłem i tęgiem od liczby osób skupionych uczynionem, stojących za

sobą naprzeciw oknu dwóch młodych Radziwiłłów, podkomorzyców litewskich, studentów podówczas w konwikcie pijarskim i jednego towarzysza huzarskiego temże oknem na ulicę wypchnęli. Towarzysz, mężczyzna słuszny, a zatém ciężki, uderzywszy czołem o bruk przed kancelaryą, zabił się na miejscu. Radziwiłły, chłopcy lekkie, jeden spadłszy na towarzysza, zdrów przemierzył wysokość trzeciego piętra do ziemi, drugi, niedostawszy żadnéj podkładki, tylko trochę błota, złamał rękę; i na tym przypadku skończyło się fizyczne dobra publicznego nieszczęście.

Jak partyi dworskiéj nie był tajny zamach Czartoryskich na Bryla, tak wzajemnie Czartoryskim nie była tajna tego zamachu przedsięwzięta z strony dworskiéj odsiecz; co się ztąd pokazać dało: *najprzód:* że posłowie nie zasiadali miejsc swoich podług ziem i powiatów, ale partyami; *powtóre:* że w koło nie weszli sami jak należało, lecz z wielką i zbrojną assystencyą (jak się wyżéj rzekło); *potrzecie:* że skoro błysnęły szable, natychmiast używającym sukni francuzkiéj w miejsce szpad dodano rapirów dragońskich: *poczwarte:* iż z izby poselskiéj nie wychodzili razem, lecz partyami, zatrzymując się druga, póki zupełnie nie wyszła pierwsza; *popiąte:* że do domów nie powracali karetami, w których przyjechali, ale na koniach, w mniemaniu zapewne, iż na ulicy jaka walka między czeredą służącą wyniknąć może, z któréj panowie łatwiéj na koniach niż w karetach wymknąćby się potrafili. Te tedy okoliczności mocnym są dowodem, iż ta scena, która się w izbie poselskiéj odprawiła, nie była przypadkowa, lecz urządzona. Że zaś do rozlania krwi niedoszło, przypisać to należy albo jakiéjkolwiek na króla refleksyi, albo, że nikt nieśmiał zostać pierwszym w téj jatce publicznéj zarębaczem, albo na ostatek geniuszowi, wpływającemu już mocno na naród, burzliwemu ale niekrwawemu.

O zwyczajach i śmierci Augusta III.

Był August co do ciała wzrostu wielkiego, a przytém kształtnego. Nikt go z panów nie dosięgał wzrostem, tylko jeden Chodkiewicz, starosta żmudzki, lecz jak był wysoki, tak był chudy, gdy przeciwnie August był tuszy do wzrostu proporcyonalnéj. Minę miał wspaniałą i zawsze wesołą, wzrok i chód powolny. Co zaś do przymiotów duszy, te opisać trudno. Nie wchodził w żadne poufałe obcowania z panami, nie zatrudniał się żadnemi interesami publicznemi, w których dwóch okazyach własność duszy najlepiéj wyszpiegować można.

Zdawał się we wszystkich sprawach publicznych i domowych na ministra. Minister był jego natchnieniem, minister był jego wyrokiem. Jak go minister natchnął, tak on postępował; jak minister komu sprzyjał, takiego ten affektu i od króla doznawał. Zgoła królem rządził minister, ministrem zaś Mniszech, marszałek nadworny koronny i Sołtyk, biskup krakowski.

Król nie pokazywał się panom, tylko raz na dzień, gdy z pokojów swoich szedł do kaplicy na słuchanie mszy, któréj żadnego dnia nie opuszczał, chyba wtenczas, gdy był chory. Szedł do kaplicy przez salę, w któréj się panowie o jedenastéj godzinie punktualnie zgromadzali i przez długi kurytarz do kaplicy, na boku pałacu stojącéj, prowadzący, z rękami wyciągnionemi, w które go szeregi panów i szlachty z obu stron uszykowane całowały. Kto z pospolitszych obywateli miał jaką suplikę do króla, podawał mu podczas tego marszu, nizko nachylony, albo na jedno kolano przyklęknąwszy. Król odebrane supliki oddawał paziowi za sobą idącemu, a paź odniósł je do ministra, który podług woli swojéj imieniem królewskiém dawał na nie odpowiedzi, albo też w kąt zarzucał za niewarte lub natrętne uznane. Zawsze przed królem, pokazującym się na widok, postępowało z laskami dwóch marszałków krajowych, a przynajmniéj jeden, albo na jego miejscu znajdujący się przy królu pieczętarz koronny lub litewski. Bez laski, przynajmniéj jednéj, nigdy król nie wychodził z apartamentów swoich na widok publiczny. Nawet gdy się znajdował w innym kościele na nabożeństwie, zawsze mu laska asystować musiała. W drodze do kaplicy szedł za królem tłum panów, biorąc miejsce jedni przed drugimi, podług godności. Wtenczas po słówku posyłali do uszu królewskich jakie potoczne zdarzenia, lub swoje żądania. Powróciwszy król z kaplicy zatrzymywał się w sali przedpokojowéj, przez ten czas, który zbywał do godziny dwunastéj, przechodząc się między panami, z tym i z owym cokolwiek rozmawiając. O godzinie dwunastéj schyliwszy nieco głowy ku panom, na znak pożegnania, wchodził do swoich apartamentów, które natychmiast za nim odźwierniowie zamykali. Panowie zaś pobawiwszy się z sobą jaki kwadrans czasu rozjeżdżali się z pokojów, i już od téj godziny król był niewidzialny aż do jutra. Kto jednak z panów wielkich miał jaki interes do króla, znalazł przystęp o godzinie wprzód naznaczonéj, o którą trzeba się było postarać u grafa Bryla, bo inaczéj warta stojąca przy pokojach nikogo nie puściła. Damy pierwszéj rangi prezentowały się królowi w jego apartamentach tylko w dni galowe z powinszowaniem jakiego festynu, idąc szeregiem, ubrane w ro-

by i w klejnoty i przystępujące do pocałowania ręki królewskiéj jedna po drugiéj według rangi. Po skończoném całowaniu ręki królewskiéj, postawszy przed nim jaką chwilę, którym król na znak szacunku pokazał jaki wdzięk uśmiechający i przemówił jaki żarcik wesoły, odchodziły tym samym porządkiem, którym weszły.

Niemając, czy niechcąc mieć król żadnego zatrudnienia na swojéj głowie, cały czas w zimową porę przesiadywał w pokojach swoich, bawiąc się z domownikami swymi potocznemi dyskursami, a najwięcéj myśliwskiemi, projektując polowania na które wyjeżdżał często: to do Kozienic, ekonomii królewskiéj, to do dóbr Radziwiłłowskich w puszcze i wielkie zwierza obfitujących. Lubił także polowanie na głuszcze, na które ordynaryjnie wyjeżdżał na wiosnę. A że ten ptak grę swoją odprawia w głębokich lasach, do jazdy powozem niesposobnych, przesiadał się na konia, na którym dojeżdżał do stanowiska, mając idących wedle siebie hajduków mocnych, którzyby za potknięciem się konia, ciężarem osoby królewskiéj zwątlonego, króla od upadku ratowali. Szczęścia posłużonego na tém polowaniu znakiem były pióra tego ptaka, przypięte do kapeluszów albo czapek wszystkich osób, które królowi na tém polowaniu asystowały.

Chował przy dworze swoim błazna czyli trefnisia, który go, w melancholicznym humorze będącego, śmiesznemi żarcikami i kuglarskiemi figlami rozrywał, i drugiego poetę, który w niemieckim języku z każdéj okoliczności dowcipne i śmieszne wiersze nagle składał. Ci dwaj ludzie mieli przystęp do króla wolny każdego czasu. Asystowali mu także podczas publicznych obiadów, i kiedy w ogrodzie do tarczy strzelał. Tytuń palił mocno, a najwięcéj po obiedzie, po którym przy tytuniu popijał sobie saskie piwo, tęgie i tłuste, dla niego robione. Prócz wyrażonych dopiero, miał jeszcze jednę rozrywkę, nie ze wszystkiem przystojną. Kazał przywłóczyć przed okna swego pałacu w miarę strzelania ścierwy zdechłych koni dla zwabienia psów. Te strzelał z wiatrówki, a hycel płatny miesiącami, ubite psy codzień wieczorem wywłóczył z dziedzińca, i zakładał nowe ścierwy, z gnatów ogryzionych wyczyszczając dziedziniec.

Jadał tłusto i wiele. Kuchnia jego niemiała równéj Europie, tak co do wytworności potraw, jak co do wielości ich; kucharzów, kuchcików, posługaczów kuchennych, pomywaczek, liczbę do setnéj dochodzącą. Toż samo niemal było w cukierni. Choć sam jeden obiadował, zastawiano jednak przed niego najmniéj 20 potraw i potem wety i cukry. Ale zato niejadał wieczerzy, chyba bardzo rzadko i to bardzo lekki specyalik. Lecz za niego pili dobrze jego dworscy. Zgoła, co się tyczy stołu ten był suty aż do zbytku, iż weszło w przysłowie (kiedy kto miał dobry obiad) mówi: „jadłem dzisiaj jak król polski!“ Szambelan, odprawujący dzienną służbę, podawszy królowi pierwszą farfurkę z potrawą, siadał z nim do stołu, i kto jeszcze inny z domowych, kogo król zawołał.

W dni galowe, jako to w dzień narodzin, koronacyi królewskiéj i tym podobne, dawał król otwarte stoły dla senatorów i urzędników koronnych, do których zasiadali za biletami liczbowanemi, losem ciągnionemi. Jaką kto wyciągnął liczbę, takie zasiadł miejsce, podobnąż liczbą do krzesła przypiętą oznaczone; pokazując król tym sposobem, że wszystkich, mimo różnicę godności każdego, równo szanuje. W dzień trzeci Augusta dla samych tylko orderowych dawał król obiad, do którego siadali porządkiem wyżéj opisanym. Tego dnia, — imieniny królewskie i uroczystość orderu Orła Białego znaczącego, — ubierali się wszyscy w suknie jednakowe, to jest: czerwoną wierzchnią, białą spodnią.

Kiedy przejeżdżał z Saksonii do Warszawy, albo z Warszawy do Saksonii, albo do Grodna na sejm, lub gdzieindziéj na polowanie, czynił to pocztowemi końmi, w pomoc którym panowie przystawiali po stacyach swoje cugi, i kto tylko miał, najmował do téj jazdy swoje konie, od których pocztmajstrowie brali na dwie mile po 5 tynfów od pary koni, a najemnym płacili po dwa szóstaki na jednego konia, i tak wszyscy znaczne zyski z jazdy królewskiéj ciągnęli. Pocztylioni brali tryngieltu po 3 złote, ci co smarowali powozy, za jedno nasmarowanie tynfa jednego. Zgoła nikt dla króla nogą ani ręką nie ruszył bez dobréj natychmiast zapłaty. Stanowiska w podróży do Saksonii i ztamtąd kiedy jechał na Wrocław, to jedno było w Lubochni, drugie w Sokolnikach; kiedy na Poznań, to w Kleczewie, w których miejscach były pobudowane dla niego pałace i przy nich utrzymywani kosztem jego murgrabiowie, a po śmierci jego też pałace ze wszystkiemi meblami dostały się posesorom dóbr, w których były zbudowane.

Lubił też strzelanie do tarczy, na którą zabawę, o kilkaset kroków od pałacu odległą, nosili go hajducy w lektyce, na trzy stacye po dwóch rozstawieni, szybko, choć z ciężarem nie lada jakim centnarowéj osoby królewskiéj, nogi zbierający. Po obu stronach lektyki biegli paziowie, szambelan i oficer, a za lektyką lokaje, służbę dniową u króla trzymający. Tuż za królem w drugiéj lektyce tymże sposobem niesiono ministra grafa Bryla. To strzelanie zaczynało się o godzinie czwartéj po południu i trwało do godziny szó-

stéj przez jeden miesiąc Maj, do którego strzelania wzywał król niektórych senatorów i urzędników koronnych orderowych; którzy się ofiarowali do téj zabawy królowi, byli zapisani w katalog, i podług tego katalogu byli przywołani do strzelania. Mający strzelić wchodził do strzelnicy o 300 kroków od tarczy odległéj, gdzie mu strzelec królewski podawał sztuciec nabity i odbierał wystrzelony. Kto zaś nie chciał strzelać z sztućca królewskiego, wolno mu było strzelać z własnego, od swego strzelca nabitego. Za każdém wystrzeleniem laufer ubrany w togę kitajkową czerwoną, wybiegał z za tarczy, z dołu dla siebie za nią wykopanego, oglądał w tarczy postrzał, zabił go kołkiem, i na tabliczce białéj okrągłéj pokazał czarno odmalowany numer taki, jaki kto w tarczy ustrzelił. Jeżeli zaś kto wcale tarczy chybił, obiegł ją trzy razy do koła. Poeta królewski za każdem strzeleniem na pochwałę strzelającego, albo na żart z niego, powiedział parę wierszy niemieckich; błazen zaś ciągle podczas tego strzelania różne figle stroił, albo z drugim nadwornym którego pana błaznem w czuby i zapasy dla rozrywki królewskiéj chodził. Gdy się skończył miesiąc strzelania, rozdawał król dziesięć premiów między tych, którzy się najlepiéj popisali, mniéj zręcznych pominąwszy. Te premie składały się z numizmatów różnego waloru złotych, albo z sztuk porcelanowych. Nie było obowiązkiem wpisanym w katalog każdego dnia znajdować się na strzelaniu; wolno było czasem nie być. Przez przypodobanie się jednak królowi rzadko który opuścił bytność swoją. Miły widok króla wspaniałego i wejrzenia wesołego zwabiał licznego spektatora obojéj płci z osób dystyngowanych, oprócz tych, którzy należeli do strzelania.

Niewypowiedzianą dobroć tego króla ukazać może czytelnikowi następujący przypadek. Gdy razu jednego w Piotrkowie wywrócił go z królową pocztylion, tak, iż oboje, jedno przez drugie wytłoczyli się z karety na bruk, — i ze strachu uciekać począł, złapanego przez ułanów król przed siebie przyprowadzić i rozśmiawszy się do niego, oraz dawszy mu za tę sztukę dukata jednego, usiąść na konia i jechać daléj z sobą kazał.

Kochał się także ten król w orkiestrze, czyli w kapeli, do któréj dobierano wirtuozów, śpiewaków i śpiewaczek w całéj Europie najsławniejszych. Ta orkiestra grała często królowi na jego pokojach w dni galowe, po kościołach, w których się król na nabożeństwie znajdował, i na operach, dobierając do siebie na wspomnione opery kapelów różnych panów, mianowicie Wielhorskiego, kuchmistrza litewskiego, i książęcia Czartoryskiego, kanclerza w. lit., tak iż liczba

muzykantów, grających operę, przenosiła sto osób. Te opery wielkie odprawiały się dwa razy w tydzień: we Wtorek i Piątek. A lubo dla wielkiego kosztu w odmianie, jednę operę grano przez pół roku, po staremu król bywał na każdéj punktualnie, nie tęskniąc sobie w widoku jednéj półrocznéj reprezentacyi, siedział w loży nieporuszony, przez trzy godziny a czasem i dłużéj trwającéj opery, i gdy widział operhausa nienapełnionego spektatorem, dziwił się niegustowi polskiemu, iż się nieubiega do widzenia rzeczy, tak wielce delektującéj oko i ucho, darmo, to jest bezpłatnie, któréj widzenie w innych krajach lud najpospolitszy opłacać nie żałuje. Trzeba bowiem wiedzieć, iż te opery zawsze darmo dawane były; podczas sejmu lub innych zjazdów za biletami dla dystyngowańszych osób; prócz sejmów i zjazdów bez biletów, dla wszystkich, jakiegokolwiek gatunku ludzi.

Niemiała Polska i niebędzie miała tak dobrego, tak wspaniałego króla, jak miała Augusta III., a oraz tak nieszczęśliwego dla Polaków, iż mu nic dobrego dla kraju (choć z duszy tego pragnął) zrobić niedozwolili, zrywając sejmy ciągle, a wszystkę winę nieładu i nierządu ztąd pochodzącego, na niewinnego króla składając. Na ostatek familia Czartoryskich przez fakcye swoje przewrotne i dumne, ochydziwszy przed narodem panowanie Augusta, detronizować go postanowiła, gdyby go była śmierć przed tym zamachem wściekłym, a nawet względem dworów obcych nierozumnie przedsięwziętym, nie uchyliła. Bo August urodzony książęciem dziedzicznym saskim, skoligowany z cesarzem niemieckim i innymi królami europejskimi, miał więcéj reputacyi w całéj Europie, wiadoméj przyczyn nierządu polskiego, niż jeden kanclerz Czartoryski, głowa przewrotna swojéj familii, który u cesarzowéj rossyjskiéj pracował o zepchnięcie króla z tronu, osadzenie na nim swego synowca Adama, generała ziem podolskich; na czém tak by się był zawiódł po detronizacyi Augusta, jak się zawiódł w tém przedsięwzięciu po śmierci jego.

Umarł tenże król w Dreźnie, roku 1763, na apoplexyą, dnia 1 Października. Z jego życiem skończyła się szczęśliwość Polski, nareszcie i exystencya, jako się da widzieć pod następnem panowaniem.

Pamiętniki Jana Chryzostoma Paska.

Poznań 1840.

Rok 1657.

Rakoczego upadek.

Roku pańskiego 1657, mieliśmy *wojnę węgierską*, na którą były zaciągi nowe, między któremi zaciągał też Filip Piekarski, krewny mój, z której przyczyny i ja tam pojechałem. Złodziej Węgrzyn, szalony *Rakocy*, świerzbiała go skóra, tęskno go było z pokojem, zachciało mu się polskiego czosnku, który mu ktoś na żart zachwalił, że miał być lepszego niźli węgierski smaku!

Jako Xerxes podniósł przeciwko Grecyi wojnę, tak i pan *Rakocy* podobnąż szczęśliwością we czterdzieści tysięcy Węgrów z Multanami, Kozaków zaciągnąwszy drugie tyle, wybrał się na czosnek do Polski. Aleć dano mu nietylko czosnku, ale i dzięglu z kminem! Bo jak on tylko wyszedł za granicę, zaraz Lubomirski Jerzy poszedł w jego ziemię; palił, ścinał, gdzie tylko zasiągł, wodę a ziemię zostawując. Potém od matki Rakocego wielki okup wziąwszy, wyszedł synowi perswadować, żeby wszystkiego czosnku nie zjadał, i przynajmniéj na rozmnożenie zostawił! A my też już z *Czarnieckim* posługiwali, jakeśmy umieli. I tak szczęśliwie najadł się czosnku, że wszystko wojsko zgubił, sam się w nasze ręce dostał; potém uczyniwszy targ o swoję skórę, pozwolił miliony, i uprosiwszy sobie zdrowie, jako żyd do granicy w bardzo małym poczcie udał się, kilku tylko wielmożnych hrabiów zostawując w zastaw umówionego okupu. Którzy z razu wino pili, na śrebrze jadali w Łancucie; jak zaś nie było widać okupu, pijali wodę, drwa do kuchni rąbali i nosili, i w téj nędzy żywot kończyli. Okup przepadł, on też sam (Rakocy) nigdzie niemając oka wesołego, bo gdzie się obrócił, wszędzie płacz i przekleństwo słyszał od synów, mężów, braci, których na wojnie polskiéj pogubił, wpadł w desperacyą i umarł. Otóż masz czosnek! Kiedy na tę wojnę wyjeżdżał Rakocy, pożegnawszy się z matką, wsiadł na konia; w oczach jéj padł koń pod nim. Kiedy mu matka perswadowała, żeby zaniechał téj wojny, mówiąc, że to znak jest niedobry, odpowiedział: że to nogi końskie złe, ale nie znak. Przesiadł się tedy na innego; aż tu złamał się pod nim most i znowu spadł z konia; na to powiedział, że dyl był zły. Jak to przecie przepowiedzenia te zwyczajnie rade się sprawdzają!

Rok 1658.

Wzięcie zamku Koldyngu.

Roku Pańskiego 1658 na końcu Sierpnia poszliśmy do *Danii*, na pomoc królowi duńskiemu, który uczynił dywersyą *wojny szwedzkiéj* u nas w Polsce. Nie tak ci to on podobno uczynił z politowania nad nami, lubo ten naród jest od dawna przychylny narodowi polskiemu, jako dawne świadczą pisma, ale przecie mając wrodzoną przeciwko Szwedom nienawiść i owe zawzięte w sąsiedztwie nieprzyjaźnie, chwycił się sposobności, za którą mógł się krzywd swoich wtenczas, kiedy król szwedzki był zabawny wojną w Polsce, pomścić. Wpadł mu z wojskiem w państwo, bił, ścinał i zabijał. Gustaw, wojennik wielki i szczęśliwy, powróciwszy z Polski i niektóre fortece w Prusiech osadziwszy, potężnie przycisnął Duńczyków, tak, że i swoje od nich odebrał i państwo ich prawie wszystko opanował. Duńczyk tedy koloryzując rzecz swoję, że to właśnie z miłości ku narodowi naszemu uczynił, że pakta złamał i wojnę przeciwko Szwedom podniósł, prosi o sukurs Polaków: prosił też i cesarza. Cesarz wymówił się paktami, które miał z Szwedem, i że z téj przyczyny posłać posiłków nie może; druga wymówka była, że wojska natenczas nie miał, pozwoliwszy królowi polskiemu zaciągnąć wszystko na jego usługę. Król tedy nasz posyła *Czarnieckiego* z sześciu tysięcy wojska naszego. Posyła też, wprawdzie z swego ramienia, generała Montekukulego z wojskiem cesarskiem. Tam kazano nam iść kommonikiem (t. j. jezdno, — bez wozów z prowiantem); Wilhelm zaś, elektor brandenburgski, był w osobie króla polskiego, i on to był nad temi wojskami niejako naczelnikiem. Zostawiliśmy tedy tabory nasze w Czaplinku, mając nadzieję powrócić do nich najwięcéj za pół roku.

Tam kiedyśmy wychodzili, było bardzo wiele i różnych namyślań w ludziach wojskowych. Trwożyło to nie jednego, że to iść za morze, iść tam, gdzie noga polska nigdy nie postała, iść z sześciu tysięcy wojska przeciwko temu nieprzyjacielowi, do jego własnego państwa, któregośmy potęgi w ojczyznie naszéj wszystkiemi siłami nie mogli wytrzymywać! A jeszcze też nie było udecydowaném, żeby wojsko cesarskie miało z nami pójść. Ojcowie pisali do synów, żony do mężów, żeby tam nie chodzić, choćby zasług i pocztów postradać; bo wszyscy nas sądzili za zgubionych. Ojciec jednak mój, lubo mię miał jednego tylko, pisał do mnie i rozkazał, żebym imię boskie wziąwszy na pomoc, tém się najmniéj nie trwożył, ale szedł śmiele tam, gdzie

jest wola wodza, pod błogosławieństwem ojcowskiem i macierzyńskiem, obiecując gorąco majestatu boskiego błagać i upewniając mię, że mi i włos z głowy nie spadnie bez woli bożéj.

Gdyśmy tedy poszli do Międzyrzecza, już na granicy uchodziło siła kompanij i czeladź nazad do Polski, osobliwie Wielkopolaczków, z pod tych nowo-zaciągniętych powiatowych chorągwi, jako to: starosty osieckiego, półku wojewody podlaskiego, Opalińskiego. Chorągiew Kozubskiego wszystka się rozjechała, sam tylko z chorążym i z jednym towarzyszem z nami poszedł. Wojewody sandomierskiego Zamojskiego, chorągwi huzarskiéj została wszystka kompania, prawdziwiéj, pouciekała, tylko przy chorągwi sześciu towarzyszów i namiestnik zostawszy; poszli przecie z nami i włóczyli się tak przy wojsku; zwaliśmy ich cyganami: że to w czerwonych szatach była czeladź. Z pod inszych chorągwi zostało po dwóch, po trzech. Tak oni tchórzowie i dobrym pachołkom serce byli zepsuli, że nie jeden wodził się z myślami. Wchodząc tedy za granicę, każdy według swojéj intencyi swoje Bogu złożył śluby. Zaśpiewało wojsko polskim trybem: *O gloriosa Domina;* konie zaś po wszystkich półkach uczyniły okrutne parskanie, prawie aż serca przyrastało, i wszyscy to osądzili za znak dobry, jakoż i tak się stało. Poszliśmy tedy tym traktem od Międzyrzecza. Przechodziło wojsko pagórek, z którego widać było jeszcze granicę polską i miasta. Jaki taki obejrzawszy się, pomyślił sobie: „miła ojczyzno! czy cię téż już więcéj oglądać będę?“ Jakaś tęskność ogarniała zrazu, póki blizko domu, ale skorośmy się już za Odrę przeprawili, jakby ręką odjął; a daléj poszedłszy, już się i o Polsce zapomniało.

Przyjęli nas tedy Prusacy dosyć uprzejmie, wysławszy kommisarzów swoich jeszcze za Odrę. Pierwszy tedy prowiant dano nam pod Kiestrzynem, i tak dawano wszędy, pókiśmy elektorskiego państwa nie przeszli, i przyznać to musimy, że dobrym porządkiem: bo już było takie urządzenie, żeby noclegi były rozpisane przez całe jego państwo, i już na noclegi zwożono prowianty. Postanowiona téż była w wojsku naszém maniera niemiecka, że przechodząc miasta, oficerowie z szablami dobytemi przed chorągwiami jechali, towarzystwo zaś pistolety, czeladź bandolety do góry trzymając. Karanie zaś było za przekroczenia już nie ścinać, ani rozstrzelać, ale za nogi u konia uwiązawszy, włóczyć po majdanie, (t. j. po placu) tak we wszystkiem, jako na uczynku złapano według dekretu, albo téż dwa lub trzy razy na około. Zdało się to zrazu, że to nie wielkie rzeczy, ale okrutna to jest męka, bo nietylko suknia ale i ciało tak opada, że same tylko zostają kości.

Ruszyło się potem wojsko do *Nibolu*, ztamtąd do *Apenrade*, ztąd znowu poszliśmy na zimowisko do *Haderschleben*, gdzie Wojewoda sam stanął z jednym tylko półkiem naszym królewskim i półkiem jego dragonii; inne zaś półki w *Kolbryku*, w *Horsenz* i po inszych wsiach i miasteczkach. A lubo głębiéj miało iść wojsko w duńskie królestwo, uważał to jednak dowódzca, żeby stanąć na zimę jako najbliżéj z téj przyczyny, aby przecie więcéj jeść chleba szweckiego niż duńskiego. Jakoż tak było, bo przez całą zimę czaty nasze do tamtych wiosek wybiegały, mszcząc się na nich krzywd naszego narodu. Opisaćby siła było, co tam z nimi robili czatownicy nasi, stawiając sobie przed oczy świeże od nich krzywdy w ojczyźnie swojéj. Prowadzono z czat wszelakich prowiantów a szczególniéj miodu wielką wieziono obfitość: bo po polach lada gdzie przestronne pasieki, a wszędzie pszczoły w słomianych pudełkach, nie w ulach. Ryb wszelkiego rodzaju podostatkiem, chleba siła, wińsko złe, ale zaś miody dobre; drew o male, bo ziemię rzniętą a suszoną palą, z któréj węgle są takie, jak z drew dębowych, i nie mogą być foremniejsze. Jeleni, zające, sarn nad miarę i nie bardzo płoche, bo się nie każdemu godzi je szczuwać; wilków téż tam niemasz i dla tego zwierz nie płochy, da się zjechać i blizko do siebie strzelić. A osobliwie takeśmy je łowili: upatrzywszy stado jeleni w polu, (bo i pod wieś przychodziło to licho jak bydło), to się one objechało z téj strony od równego pola, a potem skoczywszy na koniach i krzyk uczyniwszy, nagnało się je na te doły, gdzie ziemię kopią do palenia, a któreto doły są bardzo głębokie i szerokie, w które tego dużo nawpadało; ztamtąd dopiero trzeba je było wywłóczyć i rznąć. O wilkach namieniłem, że ich tam niemasz; prawo bowiem takie, że kiedy wilka obaczą, powinni wszyscy na głowę wychodzić z domów, tak po miastach jako téż i po wsiach, i tak długo owego wilka prześladując gonią, aż go albo umorzą, albo utopią, albo złapią, a nie obdzierając go, tak ze wszystkiém na wysokiéj szubienicy, albo na drzewie, obwieszają na grubym żelaznym łańcuchu, i tak długo wisi, póki kości staje. Nietylko rozmnożyć, ale i prezentować się wilkowi nie dadzą. Kiedy mu się zdarzy wniść na jeleninę, to z tego tu tylko przystępu, który jest między morzami wązki; z inszéj zaś strony nie ma nigdzie przystępu; bo z jednéj strony morze Baltyckie, z drugiéj strony od północy Ocean oblewa to królestwo; chyba, żeby sobie w Gdańsku u pana prezydenta najął okręt do przewozu, zapłaciwszy od niego

dobrze! Z téj przyczyny zwierza wszelkiego wielka tam jest obfitość; kuropatw zaś niemasz z téj przyczyny, że to jest zwierzę głupie: przelęknąwszy się lada czego, to wpadną w morze i utoną.

Lud téż tam nadobny; białogłowy stroją się pięknie, ale w drewnianych trzewikach chodzą wiejskie i miejskie; gdy po bruku w mieście idą, to taki czynią kołat, iż nie słychać kiedy człowiek do człowieka mówi; wyższego zaś stanu damy takich zażywają trzewików jak i Polki. Sposób życia ich ucieszny bardzo: bo rzadko co ciepłego jedzą, ale na cały tydzień różne potrawy w kupie uwarzywszy, tak na zimno tego po kęsu zażywają, a często nawet kiedy młócą, (bo tam białogłowa młóci cepami jako i chłop), ledwo nie za każdym snopa omłóceniem to posiędą na słomie, i wziąwszy chleba i masła, które zawsze z jaszczem stoi, to smarują i jedzą, to znowu wstaną i robią, i tak to często czynią, a po kąsku. Wołu, wieprza, albo barana kiedy zabiją, to najmniejszéj kropli krwi nie zepsują, ale ją wytoczą w naczynie, namieszawszy w to krup jęczmiennych albo tatarczannych, tém kiszki owego bydlęcia nadziewają i razem w kotle uwarzą, i osnują wieńcem na wielkiéj misce koło głowy owegoż bydlęcia te kiszki, i tak to na stole stawią przy każdym obiedzie, i jedzą za wielki specyał. Nawet i w domach ślacheckich tak czynią; i mnie częstowano tém do uprzykrzenia, ażem powiedział, że się Polakom tego jeść nie godzi, boby nam psy przyjaciołmi były, gdyż to ich potrawa. Pieców w domach nie mają, chyba wielcy panowie: bo od nich wielki podatek na króla idzie powiadali, że sto bitych talarów od jednego na rok. Ale kominy mają szerokie, przy których krzesełek stoi tak wiele, ile w domu osób; posiadłszy to się tak ogrzewają. Albo téż, dla lepszego izby ogrzania, jest w środku izby rowek, jako korytko, który węglami napełniwszy, rozedmą z jednego końca i tak się to żarzy i ciepło sprawuje. Kościoły tam bardzo piękne, w których przedtém bywały katolickie nabożeństwa. Piękniejsze téż, niżeli u naszych polskich Kalwinistów, bo są ołtarze, obrazy po kościołach. Bywaliśmy téż na kazaniach, gdyż umyślnie dla nas gotowali się po łacinie i zapraszali na swoje *praedikta*, (bo tam tak zowią kazanie), i tak kazali ostrożnie, żeby najmniejszego słowa nie wymówić przeciw wierze; rzekłby kto, że to rzymski ksiądz każe; i tém szczycili się mówiąc: my w to wierzymy co i wy, daremnie nas nazywacie odszczepieńcami. Ale po staremu ksiądz Piekarski łajał o to, żeśmy tam bywali.

Wspomniony elektor Wilhelm bardzo się nam grzecznie

stawiał, we wszystkich okazyach akkomodował się, częstował, po polsku chodził. Kiedy wojsko przechodziło, więc zwyczajnie ten tego, ten téż tego powita, to on wyszedł przed namiot, lub téż przed stancyą, jeżeli w mieście stał, i trzymał tak długo czapkę, póki wszystkie niepoprzechodziły chorągwie. Pono téż to on spodziewał się, że go powołają na państwo po śmierci Kazimierza. Jakoż ledwieby było do tego nie przyszło, gdyby był nie podrwił poseł podczas elekcyi, któremu gdy rzekł pewien senator: „niech książe jmć porzuci Lutra, a będzie u nas królem!“ odpowiedział na te słowa, deklarując: „żeby tego nie uczynił i dla cesarstwa!“ a co mu książe miał bardzo za złe i złajał go, że tak grubiańsko odpowiedział, nie pytawszy go się o to. Tam będąc w Danii znosił się z nim Wojewoda często: gdyż on był w osobie króla polskiego i miał dowództwo tak nad naszém jako i nad cesarskiém wojskiem, którego było 14,000 z generałem Montekukulim, a z nim było Prusaków 12,000, ale lepszego ludu niżeli cesarscy.

Aż tam już radzą jak się pod *Koldyng* zamek podszańcować, jak mury rąbać; a czém rąbać, nie wspomnieli. A siekiery kędy? Dopiero strażnik kazał zaraz Wołoszy z pod chorągwi, żeby się rozjechali po wsiach o mil dwie albo trzy, dla nabycia siekier. Jeszcze nie świtało, a już 500 siekier na kupie leżało. Skoro tedy zegary poczęły bić i z północka kazano trąbić pobudkę, wstał sam strażnik, mało co śpiąc, i owe siekiery kazał podzielić między chorągwie i piechotę. W godzinę po pobudce kazał otrąbić, żeby byli gotowi do szturmu za godzinę i żeby snopy każdy niósł przed sobą na piersiach, dla postrzału od ręcznej strzelby; ażeby wszyscy raz skoczywszy pod mury i jako najlepiéj przycisnąwszy się do nich, żeby z góry nie rażono, drugim odstrzeliwali. Gdy tedy świtać poczęło, podemknęło się wojsko bliżéj pod miasto. Ja téż dopiero do księdza. Rzecze mi potém: pan porucznik Charlewski prosi cię z ochoty do przywodzenia czeladzi. Niechże tam już oni idą, a waść zostań! Odpowiem: „Już to wszyscy słyszeli, żeś mię waćpan prosił; rozumiałby kto o mnie, że ja się lękam; pójdę.“ Jakeśmy z koni zsiedli, aż téż zsiada Kossowski Paweł i Łącki. Było nas tedy przy czeladzi z pod naszéj chorągwi pięciu, ale komenda po staremu przy mnie była: bo mi już była dana dopóty, dopóki owi starsi żołnierze nie namyślili się na ochotę.

Oddawszy się tedy Boskiéj i Jego Najświętszéj Matki protekcyi, każdy swoje z osobna Jego Św. Majestatowi poślubiwszy wota, z kompanią się téż już tak właśnie jako na śmierć pożegnawszy, stanęliśmy już osobno od konnych.

Ksiądz Piekarski, Jezuita, uczynił do nas exortę w ten sens: „Lubo wdzięczna jest Bogu ofiara każda, z serca szczerego dana, to ta osobliwie najmilsza ze wszystkich, kto krew swoję za dostojeństwo Jego Świętego Majestatu na plac niesie. Za cóż pobłogosławił Abrahamowi, że wszystek świat plemię jego odziedziczyło? Tylko za to, że na jedno Boskie rozkazanie z ochotą krew ukochanego poświęcił Izaaka. Woła na nas krzywda Boska, od tego narodu poniesiona; wołają świątnice pańskie, od nich po całéj Polsce sprofanowane; woła krew braci naszych i ojczyzna ręką ich spustoszona; woła na ostatek. Najświętsza Panna, Matka Boska, która jest imienia przeczystego, że ten naród jest bluźniercą! żebyśmy za te pretensye ujęli się szczerze, żeby w osobach naszych widział jeszcze świat nieumarłą przodków naszych sławę i fantazyą. Niesiecie tu, odważni kawalerowie, z Izaakiem krew swoję na ofiarę Bogu; upewniam was imieniem Boskiém, że kogo Bóg, jako Izaaka, samą jego kontentując się intencyą, zdrowo i z sławą dobrą z téj wyprowadzi okazyi, i nadal wszelkiém swojém nagradzać mu będzie błogosławieństwem; kogoby zaś cokolwiek potkało, za najświętszy majestat Boga i Matkę jego wylana kropla krwi, by najcięższe, wszystkie obmyje grzechy i wieczną bez wątpienia w niebie zgotuje koronę. Oddajcież się Temu, który dziś ubogo w jasełeczkach położony, krew swoję ochotnie dla zbawienia waszego ofiaruje Bogu Ojcu. Ofiarujcież te swoje teraźniejsze czyny w nagrodę jutrzejszego nabożeństwa, które zwyczajnie o tym czasie odprawiamy, witając nowego Gościa Boga, w ciele ludzkiem na świat zesłanego. A ja w Tym mam nadzieję, którego przenajświętsze wspominam imię Jezus, i w przyczynie przenajświętszéj Jego Matki, do któréj wołam: „broń czci syna Twego!“ Przyczyną swoją Matko u Syna spraw to, żeby tę imprezę raczył pobłogosławić, żeby tę zacną kawaleryą szczęśliwie z tego upału wyprowadził, i na dalszy zaszczyt swego Boskiego Majestatu zachować raczył. Tych tedy w przedsięwziętą drogę daję wam wodzów, zastępców i opiekunów; w tych gruntowną pokładam nadzieję, że was wszystkich powracających w dobrém witać będę zdrowiu!“ — Mówił potem z nami akt skruchy i wszystkie modlitwy, to jest te, co się odprawiają z owymi, którzy już pod miecz idą. Przystąpiwszy do niego bliżéj, rzekłem: „ja téż proszę mój dobrodzieju o błogosławieństwo.“ Ścisnął mię z konia za głowę i błogosławił, a zdjąwszy z siebie relikwie, włożył na mnie, mówiąc: „idźże więc śmiało, nie bój się!“ Ksiądz Dąbrowski, także Jezuita, jeździł do innych półków; ten prawie więcéj płacze niżeli mówi; bo taki

miał zwyczaj, choć był niezły kaznodzieja, że jak co począł mówić, rozpłakał się i nie skończył kazania, a narobił śmiechu.

Tymczasem powraca trębacz do Szwedów wysłany, częstując nas ich słowami: „Jeżeli chcecie, czyńcie z nami, co wam fantazya kawalerska każe; my także, jakeśmy się was w Polsce nie bali, tém bardziéj i tu się nie boimy.“ Zaraz potem zaczęli strzelać; bo nas lekce ważyli, widząc, że działka i jednego nie mamy, piechoty tylko jeden półk, a Piaseczyńskiego cztery szwadrony i Semonowa ludzi trzysta, ale bardzo dobrych. Na konnych mówili oni, że to ludzie do szturmów nie zwyczajni i pójdą w rozsypkę jak raz ognia dadzą; co nam sami więźniowie powiadali.

Już każdy z pachołków trzyma ów snop słomy przed sobą, towarzystwo zaś w pancerzach tylko, niektórzy téż z bronią palną; a w tém przyjeżdża Wojewoda i mówi: „Niechże was Bóg ma w swojéj opiece i imię jego święte! Ruszajcież, a jak przez fossę przeprawicie się, skoczcie pod mury we wszystkim biegu, bo już wam pod murami nie mogą tak szkodzić.“ Że zaś tedy duchowni kazali to ofiarować na pamiątkę jutrzni: bo to samém było świtaniem w dzień Narodzenia Pańskiego, zacząłem tedy z tymi, co w mojéj komendzie byli: „Już pochwalmy króla tego.“ Wolski także Paweł, który potem był starostą lityńskim, towarzysz natenczas królewskiéj pancernéj chorągwi, co także swojéj chorągwi czeladź przywodził, kazał toż samo śpiewać. Tak Bóg dał, że z pod tych chorągwi i jedna dusza nie zginęła, a u innych co nie śpiewali, powytykano dziesięcinę! —

Skorośmy tedy do fossy przyszli, okrutnie poczęły parzyć owe snopy słomy. Już się czeladzi trzymać uprzykrzyło i poczęli je ciskać w fossę; jaki taki obaczywszy pierwszych, także to czynił, i wyrównali owę fossę tak, że już daleko lepiéj było przeprawiać się tym, co na ostatku szli, niżeli nam, cośmy szli w przodzie z półku królewskiego; bo źle było z owemi snopami drapać się do góry po śniegu na wał; kto jednak swój wyniósł, pomagał, i znajdował w nich kulę, co i do połowy nieprzewierciała. Wychodząc tedy z fossy, kazałem ja swoim wołać: „Jezus, Marya!“ lubo insi wołali: „hu, hu, hu!“ bom się spodziewał, że mi więcéj pomoże Jezus, niżeli ten jakiś pan *hu!* — Skoczyliśmy tedy we wszystkim biegu pod mury, a tu jako grad lecą kule, a tu jaki taki stęknie, jaki taki o ziemię się uderzy. Dostało mi się tedy z moimi pachołkami, że przy srogim filarze, albo raczéj narożniku, było jakieś okno, w którem srodze gruba żelazna krata. Zaraz tedy przed ową kratą kazałem rąbać na odmianę: ci się zmordują, a ci wezmą. Było

zaś na drugiem piętrze nad nami także takie okno, z takąż kratą; z tamtego okna strzelano do nas, ale tylko z pistoletów, bo z innéj strzelby nie mógł strzelać do nas i wysadzać się nijak, dla owéj kraty; chyba tam do dalszych mógł strzelać. Jam téż kazał do góry nagotować 15 bandoletów, i jak który rękę wytknie, zaraz dać ognia. I tak się stało, aż oto i pistolet na ziemię upadł. Nie śmieli tedy już więcéj rąk pokazować, ale tylko kamienie wypychali na nas przez owę kratę; ale już się tego przecie snadniéj można było uchronić, niżeli kuli. Tymczasem jak rąbią tak rąbią mur, i naokolusieńko nie wiedzieć, gdzieby Szwedom ręce wrazić. Kiedy już końce owéj kraty widać, radziśmy: bo tu już grad kul na nas nie pada. Rozkosz, by co prędzéj wnisć pod dach; ale że nie było czem owéj kraty wyważyć, musieli jeszcze daléj rąbać. Skoro mógł się jeden zmieścić, aż ja każę czeladzi włazić po jednemu. Wolski, jak to chłop chciwy, żeby to wszędy być wprzód, rzecze: „ja wlezę.“ Tylko wlazł, a Szwed go tam za łeb. Krzyknie. Ja go za nogi; tam go do siebie zapraszają; my go téż tu nazad wydzieramy; ledwiesmy chłopa nie rozerwali. Woła na nas: „dla Boga, już mię puśćcie, bo mię rozerwiecie!“ Krzyknę ja na swoich: „Dajcie w okno ognia.“ Włożyli tedy kilka bandoletów w okno i dali ognia; zaraz Szwedzi puścili Wolskiego. Dopiero my po jednemu owém oknem leźli; już nas tam było z półtorasta. Tymczasem idzie kilka rot muszkieterów, co to znać ztamtąd uciekli; już prawie wchodzą do sklepu, aż tu nasi dadzą ognia w kupę; padło ich sześciu, drudzy w nogi na dziedziniec. Wychodzimy tedy sobie szczęśliwie z sklepu i stawamy szeregiem w dziedzińcu, a tu naszych coraz więcéj ową dziurą przybywa. Obaczywszy nas Szwedzi na dziedzińcu, dopiero poczęli trąbić i chorągwią białą wywijać, co jest znakiem proszenia o miłosierdzie, odmieniwszy w krótkim czasie zwyczaj narodu swego świńskiego: powiadali bowiem dawniéj, że o pardon prosić nie będą. Z kupy tedy rozchodzić się nie dałem, aż póki nie obaczę powszechnego zamieszania w wojsku nieprzyjacielskiém. Wolski także z swoimi. W dziedzińcu nie masz nic. Wszyscy ludzie porozsadzani, i każdy swojéj pilnował kwatery. Aż tu widać, po schodach z tych pokojów, gdzie sam był komendant, że schodzą na dół muszkieterowie. Mówię do swoich towarzyszów: „a otóż mamy gości.“ Kazaliśmy tedy stanąć czeladzi szeregiem, nie kupą, tak jakoby półksiężycem; bo nie tak razi szeregiem jak w kupie; i rozkazaliśmy po wydaniu pierwszego ognia, zaraz wziąść na szable. A tam w wojsku muzyka trąbi, w kotły biją, hałas, krzyk, grzmot. Wychodzą tedy w dziedziniec i zaraz

stawają do ordynku; my téż do nich przystępujemy; już tylko ognia dać do siebie. A tymczasem z tych pokojów, co przy bramie, poczną uciekać; bo ich już był Tetwin, oberszt-leitnant, z dragonią złamał. Skoczymy tedy na tych, co nam w czole dadzą ognia; z obu stron kilku padło, i tam téż wzięliśmy ich na szable. Wpadło ich kilku na schody, zkąd przyszli; drugich zaraz lewem skrzydłem przerznięto od schodów, i nuż ich siec! Ci, co tam uciekają przed Tetwinem, prawie jako pod smycz nam przychodzą; jak tedy tych, tak i tamtych położyliśmy mostem. Dopiero co żywe z naszego rycerstwa w rozsypkę, w rabunek po pokojach; po tych tamto kątach zamkowych biorą, ścinają, gdzie kogo zastaną, i zdobycz wynoszą. Gdy się to dzieje, wchodzi téż Tetwin z dragonią, rozumiejąc, że najpierwszym w zamku będzie, a tu trupa leży moc, a nas tylko z piętnastu stoi towarzystwa, bo się już od nas porozbiegali, i żegna się, mówiąc: „a tych ludzi kto narznął, kiedy was tu tak mało?“ „My“, odpowiedział Wolski; „ale i dla was będzie, ano wyglądają z wieży.“ A w tém prowadzi tłustego oficera młody wyrostek. Ja mówię: daj sam, zetnę go; on prosi: niech go pierwéj rozbiorę, bo suknie na nim piękne pokrwawią się. Rozbiera go tedy; w tém przyszedł Adamowski, towarzysz krajczego koronnego Leszczyńskiego, i mówi: panie bracie, gruby ma kark na waszmości młodą rękę; zetnę ja go. Targujemy się tedy, kto go ma ścinać. A tymczasem wpadli nasi i do sklepu w którym były prochy w beczkach; pobrawszy insze rzeczy, biorą téż i prochy w czapki, w chustki, kto w co ma. Dragon zdrajca przyszedł z luntem zapalonym i bierze téż proch, aż jakoś iskra dopadła. O Boże wszechmogący! Kiedy to huknie impet, kiedy się mury poczną trzaskać, kiedy owe marmury, alabastry, latać! A była tam wieża na samym rogu zamku nad morzem, na któréj wierzchu nie było dachu, tylko płasko; cyną wszystka pokryta, tak jak w izbie posadzka; rynny dla spływania wód mosiężnozłociste, a wkoło tego statuy także na rogach także z mosiędzu, a grubo-złociste; miejscami téż osoby z białego marmuru, takie właśnie, jakoby żywe. Bo lubom ich tam nieuszkodzonych z blizka nie widział, ale po rozrzuceniu przypatrowaliśmy się. A jednę wyrzuciły prochy całą nienaruszoną na tę stronę ku wojsku, która właśnie taka była jak kobieta żywa, do któréj na dziwy się zjeżdżali, jeden drugiemu powiadając, że tam leży żona komendanta, wyrzucona prochami; a tu leżała owa statua, jako człowiek z pięknego ciała stworzony, że rozeznać tak trudno było, aż prawie pomacawszy dopiero twardość kamienną.

Na téj wieży, albo raczéj sali, królowie uciechy swoje

miewali, kolacye jadali, tańce i różne odprawiali zabawy. Bo jest w śliczném bardzo położeniu; może z niéj wszystkie prawie królestwa swego widzieć prowincye, ale i część Szwecyi widać. Tam na tę wieżą komendant i wszyscy, co przy nim byli, uciekli, i ztamtąd o darowanie życia, lubo nie rychło, prosili; co mogliby byli otrzymać, ale te prochy, które właśnie pod tą wieżą zapaliły się, wyniosły ich bardzo wysoko, bo wszystkie owe porozsadzawszy piętra, jak ich wziął impet, to tak lecieli do góry, przewalając się tylko przed dymem, że ich okiem pod obłokami nie mógł dojrzeć; dopiero zaś impet straciwszy, widać ich było lepiéj, kiedy nazad powracali, a w morze jako żaby wpadali. Chcieli niebożęta przed Polakami uciec do nieba, aleć ich tam nie puszczono; Piotr święty przywarł zaraz fórtkę, mówiąc: „A wszak wy zdrajcy powiadacie, że świętych łaska na nic się nie przygodzi, instancya ich do Pana Boga nieważna i nie potrzebna; w kościołach w Krakowie chcieliście stawiać konie, strasząc Jezuitów, aż wam musieli nieboraczkowie złożyć się na okupno, jako poganom; teraz częstował was Czarniecki pokojem i zdrowiem; chciał darować, pogardziliście. Pamiętacie, coście w sandomierskim zamku zdradziecko prochy na Polaków podsadzili? A przecie i tam Pan Bóg obronił od śmierci, kogo miał obronić; wyrzuciły prochy pana Bobolę, szlachcica tamecznego, i z koniem aż za Wisłę na drugą stronę, a przecie zdrowy został; i teraz strzelaliście gęsto, a niewieleście Polaków nabili; czemu? bo ich aniołowie strzegą, a was czarny; a toż macie jego usługę!“ Miły Boże, jakie to sprawiedliwe sądy twoje! Szwedzi naszym Polakom tak wyrządzili w Sandomierzu, zasadziwszy miny zdradziecko w zamku. A tu sami na się zbudowali tę samołówkę: bo im to nasi nie z umysłu uczynili, ponieważ i samych tenże przypadek pożarł ze dwunastu. Nie wiedziano tedy, kto tam z naszych zginął, ale się tylko dorozumiewano, kiedy ani żywego, ani zabitego nie znaleziono. Widzieli ten przypadek obaj królowie, duński i szwedzki; widziały wszystkie wojska cesarskie i brandenburgskie, ale rozumieli, że to Polacy tryumf jakiś czynią na cześć Bożego Narodzenia. Radziejowski tedy i Koryccki powiadali królowi szweckiemu, przy którym jeszcze natenczas byli, że to coś inszego; niemasz tego u Polaków w zwyczaju, tylko na wielkanocne święta.

Po oném szczęśliwem zwycięztwie, zrobiwszy tę robotę prawie we trzech godzinach, zaraz tam osadził na téj fortecy Wojewoda kapitana Wąsowicza z ludźmi. Poszliśmy nazad, każdy do swego stanowiska, bo trzeba było w tak wielką uroczystość mszy świętéj słuchać. Mieliśmy księdza,

ale nie było apparatu. Jeno cośmy w lasy weszli, aż księdzu Piekarskiemu wiozą apparat, po który był nocą wyprawił. Tak tedy stanęło wojsko; nagotowano do mszy na pniaku ściętego dębu, i tam odprawiło się nabożeństwo, napaliwszy ogień do rozgrzewania kielicha, bo mróz był tęgi. *Te deum laudamus* śpiewano, aż się po lesie rozlegało! Klęknąłem księdzu Piekarskiemu służyć do mszy. Ucieszony ubieram księdza, aż Wojewoda rzecze: „Panie bracie, przynajmniéj ręce umyć.“ Odpowie ksiądz: „Nie wadzi to nic; nie brzydzi się Bóg krwią rozlaną dla imienia swego!“

Spotykaliśmy potem naszych łóżnych, wiozących naszym różny zasiłek. Gdzie kto swego zastał, tam siadł i jadł, z owego wczorajszego głodu. Wojewoda wesoło jechał, że to prawie niezwyczajnym przykładem, bez armaty i piechoty, wziął fortecę taką. Oboje mógłby był mieć od elektora blizko stojącego, ale fantazya w nim była, że nie chciał się kłaniać, ale żeby do niego samego ta należała się sława, ufając w Bogu porwał się i dokonał! —

Rok 1659.

Wzięcie wyspy Alsen.

Rok pański 1659 zaczęliśmy tamże w *Haderschleben*, daj panie Boże szczęśliwie, gdzie zażywaliśmy i mięsopusty, lubo nie z taką przecie, jak w Polsce, wesołością. Mieliśmy jeszcze na przeszkodzie wyspę *Alsen*, która że nam w tyle zostawała, dla tego też nam na wielkiéj była przeszkodzie; bo czeladź nam na czatach porywano i zdobycz odbierano, gdyż tam załoga była wielka. Przeszło tedy koło niéj wojsko brandenburgskie i z armatą i z piechotą, a po staremu uderzyć na nię nie śmieli, czyli też nie chcieli, jak to powiadają, że „kruk krukowi oka nie wykole.“ Wojewoda pojechał raz na rozpoznanie w trzysta koni, na przejażdżkę. Nic nie mówiąc, kazał otrąbić, żeby nazajutrz gotowość była wszelka i na koń wsiadano. Jużeśmy tedy nie zapomnieli o lepszym porządku: bo się kazało i w sakwy czeladzi nabrać żywności, i takeśmy jechali. W pewném miejscu odcięliśmy lód siekierami: bo morze jeszcze z brzegu nie było puściło, lubo nie bardzo było zimno i pogody były piękne; to samo uczyniła dragonia na drugiéj stronie; a stało się to w lot, że załoga nie wiedziała, ażeśmy już na drugim lądzie byli, bo sobie siedziała w mieście i po wsiach.

Było pływać jak na Pragę z Warszawy, ale w pośrodku téj odnogi było miejsce takie, gdzie koń zgruntował i mógł odpocząć: bo było takiego miejsca z pół staja. Sam tedy Wojewoda, przeżegnawszy się, wprzód w wodę; półki za nim,

których jeno trzy było, nie całe wojsko; każdy za kołnierz zatknąwszy pistolety a ładownicę uwiązawszy u szyi. Skoro przypłynął na środek, stanął, i kazał każdéj chorągwi odpocząć, a potem daléj. Konie już były do pływania probowane; który źle pływał, to go między dwóch dobrych mieszano, nie dając mu tonąć. Dzień na szczęście był cichy, ciepły i bez mrozu; już była trochę odwilż poczęła następować, ale zaś potem zima tęga ujęła. Żadna tedy chorągiew nie była jeszcze u lądu, kiedy Szwedzi przypadli i strzelać poczęli; chorągiew téż każda, która wyszła z wody, zaraz na nieprzyjaciela skoczyła. Szwedzi widząc, że choć dopiero z wody, a przecie strzelba nie zamokła, ale strzela i zabija, w nogi. Owych téż co przybywali na pomoc, przerznęli nasi końmi, a dopiero w nich jako w dym! Powiadali zaś więźniowie: „rozumieliśmy na was, żeście diabli, nie ludzie!“ O komendanta tamecznego, przysłał król duński z prośbą, żeby mu go żywcem dostawić, bo miał do niego wielką jakąś pretensyą; niewiem, jak go tam przywitano.

Po owéj robocie, jak się wojsko dorwało do ciepłéj izby, kto mógł złapać chłopa, to zaraz odarł z koszuli, żeby się przewlec. Przetrząsnąwszy tedy ową wyspę, bo to nie wielka, jeno jéj siedm mil, miast kilka a wsi kilkadziesiąt, osadził tam Wojewoda na komendzie grzecznego kapitana, szlachcica duńskiego, z ludźmi nowozaciężnymi. Bo taki był rozkaz, że zaraz za nami, gdzieśmy weszli z wojskiem, oficerowie króla duńskiego werbowali, i tymi ludźmi osadzano fortece, które się dostawały. Wziął jednak Wojewoda sobie sto Szwedów dobrych i pomieszał ich między dragonią, w nagrodę tych, co przecie tu i owdzie musiało ich ubywać, jak to zwyczajnie: gdzie drwa rąbią tam wiory padają! — Potem wróciło wojsko do swoich kwater, już się nazad w statkach przewożąc. Jak tedy ten rok pięknie się skończył wzięciem *Koldynga* z dobrą sławą, tak i ten nowy dosyć się fortunnie zaczął, wzięciem tak chwalebnie téj wyspy *Alsen!* —

II.

PROZA

ROZUMUJĄCA I NAUKOWA

CZYLI

DYDAKTYCZNA.

STOPIEŃ II.

A.

Charakterystyki rozumowe.

Burza.

Charakterystyka odwagi niewieściéj.

Przez Gabryelę Żmichowską.

(Str. 337.)

Burza dziś będzie, rzekł spokojnie kapitan okrętu, wskazując stojącéj obok siebie kobiecie zachmurzony w oddali widnokrąg.

Kobieta z równą spokojnością odrzekła: — Jeszczem nigdy nie widziała morskiéj nawałnicy.

— Dzisiejsza zdaje się obiecywać najpiękniejszy widok, mówił dalej kapitan: wicher, grzmoty, pioruny i te długie błyskawice, w których całe obłoki się palą, niczego jéj brakować nie będzie, może nawet rozbicia okrętu!

— Doprawdy, kapitanie? Czy już zwątpiłeś o swojéj „Syrenie“, lekkiéj jak skrzydło jaskółki, szybkiéj jak lot orła?

— Moja „Syrena“ zwycięzko wyszła z wielu zapasów; lecz to miejsce w czasie nawet spokojnym jest jedno z najtrudniejszych do przebycia....

Kobieta pochyliła głowę smutnie.

— Widzę, że odwaga niewieściego serca przed niebezpieczeństwem, jako śnieg wiosenny przed południowem słońcem, topnieje, dodał jeszcze kapitan.

— Czy żal życia jest słabą lękliwością? kapitanie. Jeźli tak, to ja lękliwą jestem; żal mi tylu troskliwie uzbieranych wyobrażeń, które żadnego przystósowania w rzeczywistości nie znalazły jeszcze; żal mi tego, co mam w sercu i w głowie, a co się z sercem i z głową o podwodne skały rozbije! —

Nastąpiła chwila milczenia. Kobieta znowu z skronią pochyloną zatonęła w głębokich marzeniach; kapitan dał kilka rozkazów, a wiatr coraz silniejszy grał po linach, kłócił się z rozpuszczonemi żaglami.

— Bądź pani spokojna! rzekł kapitan wracając się do zamyślonéj; na co moc ludzka starczy, tego użyjemy w obronie.

Kobieta podniosła głowę, a rysy jéj twarzy były tak pogodne jak przed chwilą, kiedy mówiła: jeszczem nie widziała nigdy nawałnicy. — Już ja jestem zupełnie spo-

kojna, odpowiedziała pewnym głosem, zupełnie, wierz mi kapitanie! Chwila minęła, już nic siebie nie żałuję. Zgłębiłam lepiéj tę wielką myśl śmierci. I cóż świat w ogóle straci na jedném indywidualnem pojęciu, które zgaśnie przed czasem? Ludzie pójdą daléj, chociaż człowiek ubędzie, człowiek, cudowna machina ręką Boską ulepiona, szlachetny najemnik do wydobywania z łona wieczności skarbów prawdy i wiedzy. Choć machina zepsuciu ulegnie, najemnika ręce zmartwieją, zostanie myśl mistrza, zostaną skarby w kopalni, światłość w naturze! Kto je da? mniejsza o to; byle były. A ja mogę umierać.

— Umierać, rzekł kapitan, to i ja o życie nie dbam. My żeglarze szczęśliwsi od lądowych mieszkańców: nam prawie zawsze ostatnia godzina bije piorunem burzy, kulą nieprzyjaciela; niema nawet czasu spojrzeć za siebie lub przed siebie; żałować, bać się, lub oczekiwać. Tu wszystko prędkie, niespodziane, przypadkowe: ten zostanie, ten padnie; tu śmierć dokoła, a nikt o śmierci nie myśli. Daj mi tylko Boże taki piorun, co od razu czaszkę zgruchoce, taką kulę, co od razu serce rozbije! O nic więcéj nie stoję. A kiedy zdarza mi się przesłać list do matki, która święta i dobra kobieta gdzieś daleko w mojéj kochanéj Szkocyi za syna żeglarza się modli, to jéj zawsze proszę, żeby w swoich pacierzach dodała! „Nagłą i niespodzianą śmiercią obdarz go Panie!“

Uśmiechnęła się kobieta. — Kapitanie, rzekła, więcéj niż lat w życiu masz wspomnień pięknych i śmiałych czynów; podwładni słuchają cię równie przez uwielbienie i miłość, jak przez karność wojskową; tobie samemu się zdaje, żeś odważny, że w twéj duszy prawdziwe męztwo spoczywa. O mój bitny żołnierzu! Mój nieustraszony żeglarzu! Zabij wzrokiem gniewu słabą kobietę, która temu przeczy zuchwale. — Nie, nie, mój kapitanie! Jesteś tylko lekkomyślnem, próżnem dziecięciem, które śmiało idzie przez kładkę nad wielką przepaścią: bo mu się zdaje, że w nią nie wpadnie, bo patrzy gdzieindziéj, a nigdy na dół nie pojrzy. Widzowie przyklaskują u brzegu, lecz ja milczę; ja nie tak rozumiem odwagę i męztwo. Spuść wzrok na dół, pomnij co czynisz, a potem wznosząc głowę, powiedz mi, że zawrotu nie czujesz i przejdź śmiało! To klasnę w ręce i powiem, że odważnym jesteś.

Kapitan zmarszczył brwi na szerokiem czole, uśmiechnął się na pół szyderczo, na pół wesoło, zwyczajnie jak wojak na czcze słowa kobiety, i szepnął z cicha: „zobaczymy.“

Tymczasem burza się zbliżyła, niebo ogniem się zajęło, jak gdyby miało roztopionym spiżem do morza wpłynąć.

Bałwany biły w górę srodze zapienione; okręt raz ciskał się pod obłoki, drugi raz spadał w przepaść tak głęboką, że kto z będących na nim wierzył w piekło, to myślał, że się przed nim piekło roztworzyło. Kapitan skrzyżował ręce na piersiach i rozkazy jego spieszne, niemylne, brzmiały po wszystkich bokach okrętu, głośniejsze od wichru, prędsze od piorunu. Majtkowie wypełniali je w porządku, z milczeniem, tylko od czasu do czasu usta ich cicha poruszała modlitwa. Podróżni patrzyli na oczy dowódzcy, jak chory na relikwie. Kobiety głośne mówiły pacierze, płakały. A jedna silnie o pokładową galeryą się sparła i patrzyła to w niebo, to w morze: i chociaż stokrotnie o jéj piersi rozbił się szklannym pyłem niejeden wytrysk śródziemnéj wody, chociaż wicher stargał jéj włosów zawiązkę, ona stała nieporuszona, cicha, i myślała o śmierci. — Śmierć owo uroczyste pozdrowienie Boga, któż ją zna tu na ziemi? Ludzie widząc cierpienia i męki zgonu, nazywają go śmiercią, śmierć boleścią. Ludzie się mylą. Gruba powłoka martwoty zaległa bujne życia przestworza; każde wydobycie się szlachetniéjszych pierwiastków ze zmysłowego świata, jest walką i wysileniem, jest zmysłowości uśmierceniem! Śmierć jest najdoskonalszém połączeniem naszego ducha z Bogiem, naszéj cząstki wiedzy z doskonałą wszechwiedzą. Leć, leć, aniele śmierci! Dmuchniéj na obłudne i mamiące twory: niechaj runą, a przyszłości zostawią żywotną część swoję — naukę prawdy! Leć, leć, aniele śmierci! A kiedy śnieżne pióra twoje dotkną czoła mojego, nie cofnę kroku, nie przymknę olśnionéj źrenicy: bo ja wiem tajemnicę twoję, ja wiem, że ty szczęściem, wiedzą prawdy, że ty życiem jesteś! Ach, szczęśliwy, kto może spokojnym umysłem patrzeć na zgon swój — umierać i myśleć o śmierci; szczęśliwy, kto może z głęboką rozwagą przyjmować tę chwilę objawienia, to spełnienie najwyższego cudu!

— Rafa, rafa! krzyknęło kilka głosów.

— Zginęliśmy, odpowiedzieli echem podróżni, a najśmielsi majtkowie z trwogą opuścili ręce, i blade ich twarze zwróciły się ku dowódzcy.

Rozkaz nowy był prędki. Lecący ku zgubie okręt zatrzymał się, jakby mocą czarnoksięzką. Przez chwil kilka drżał ogromny statek na wzburzonéj otchłani. Ustały płacze, nawet modlitwa ucichła; wszyscy milczeli, i gdyby nie ryk burzy, możnaby było zliczyć przyspieszone każdéj piersi odetchnienia. Loten. błyskawicy padło na dumającą kobietę spojrzenie dowódzcy, i ona téż rzuciła na niego spokojnym wzrokiem braterskiego pożegnania: bo w téj stanowczéj chwili posiostrzyły się ich dusze, same jedne spokojne wśród za-

kłóconych żywiołów i przelękłych ludzi! — On zaś z uśmiechem, jakby na ostatnie pogodzenie, rzekł tylko: — „Żadnego zawrotu nie czuję“ — i wzrok obojga pogrążył się w niezmiernéj przestrzeni. Wiatr zadął z innéj strony; wirowemi koły skręcił się okręt ku niemu i w nowym kierunku biedz zaczął szalonym, piekielnym biegiem. Nakoniec kapitan odezwał się głosem nadziei: — „Minęło niebezpieczeństwo!“ — I te słowa odbiły się promieniem radości na wszystkich twarzach. Tylko jedno kobiety oblicze, jak z przerażenia nie zbladło przed chwilą, tak i wtedy nie zajaśniało uśmiechem wesela!

Kapitan zbliżył się do niéj z uszanowaniem prawie, z tą szczerą i czystą przyjaźnią, lepszą od uszanowania, która z męzkiego serca ku niewieście idąc, jest najwznioślejszą pochwałą, najprawdziwszém jéj godności uznaniem!

— „My tylko prawdziwie odważni jesteśmy, rzekł do niéj, nasze dłonie mogą się uścisnąć bratersko! — Ależ powiedz mi, niepojęta istoto, powiedz mi, kto tchnął w ciebie to spokojne męztwo, kto cię nauczył śmierci i burzy pogodne stawiać czoło?“ Mnie ojciec dzieckiem maleńkiem woził w małéj łódce po spienionym jeziorze; mnie nadmorski wicher zahartował ciało, morskie powietrze członki umocniło; mnie do śmiałości wychował dzień każdy. Lecz zkąd ty idziesz, co od razu stanęłaś przy kresie męzkiéj odwagi?

— Idę z dalekich krain, kapitanie! Jestem słabą kobietą, dłoń moja nie mogłaby dźwignąć miecza twojego; a ten ciężar, z którym igrałeś wesoło, pochyliłby ku ziemi barki moje. Słabą, słabą jestem kobietą! Nie brał mnie ojciec na fale wzburzonego jeziora, ani mroźna zimy naszéj zawieja nie zaprawiła ciała do trudów i niewygód. Pod skrzydłem rodzicielskiéj opieki wzrosłam cichą, nieśmiałą gołębicą; wychowałam się pieśnią matki i myślą o Bogu. Lecz kiedy pieśń zagrała w duszy objawieniem poczyi, a myśl o Bogu rozwinęła się we wzniosłe pojęcia, w czystą wiarę, gołębica nie zadrżała przed piorunem, a słaba kobieta w równi z najodważniejszym mężem! Tak, kapitanie, wszystko wyrównywa się i harmonizuje w świecie naszym: co wam daje siła i przywyknienie, nam daje Myśl i Wiara! —

Sen w Podhorcach.

Charakterystyka kierunku w Poezyi nowszéj.
Przez X. Stanisława Chołoniewskiego. Wilno 1847.

Roku osiemnastego wracałem z Galicyi na Wołyń i przybyłem na nocleg do Podhorzec. — Ilekroć trafiło mi się przejeżdżać przez tę majętność Rzewuskich, zawsze mnie skorciło odwiedzić piękną kaplicę architektury włoskiéj i stary zamek. — Znany ci on dobrze ze swoich wielkich, niewygodnych, zimnych pokojów, wspaniale marmurami ozdobnych, z sufitów obyczajem włoskim urządzonych i z rozmaitéj swéj staroświeczczyzny. Była to późniejsza jesień, dzień przykry, dżdżysty, prawdziwie listopadowy; lecz że dość wcześnie przybyłem na nocleg, udałem się do kaplicy. Ta była zamknięta. — Przykro było patrzeć na jéj piękną facyatę już dość blizką upadku. Daléj poszedłem do zamku; lecz i ten był ciągle nie zamieszkały. Zastałem na dziedzińcu tegoż samego burgrabiego, który mnie przed kilką laty wszędzie oprowadzał. Skoro mię postrzegł, dobył z kieszeni pęk kluczów i otworzył drzwi od głównego wchodu. Luboć nie raz jeden oglądałem osobliwości pałacu tego, przecież nie miałem serca odrzucić uprzejméj posługi, o którąm nie prosił; więc udałem się za nim do zamku.

Przeszliśmy wolnym krokiem, nigdzie się nie zatrzymując, wszystkie większe i mniejsze komnaty, aż do sali, w któréj, niewiem, czy przypominasz sobie, znajduje się ów sławny okrągły stół z Oleska, na którym, zaraz po narodzeniu się swojem król Jan III. był położony. Zachodzące za krwawy obłok słońce, przykry rzucało blask przez okopcone okna na ściany czarnego marmuru. Przewodnik mój i ja nic nie mieliśmy sobie do powiedzenia: bo on już kilka razy wyspowiadał mi się był wszystkiego o tym zamku, a ja wcale nie byłem w humorze rozumowania, tak mi się smutne myśli snuły po głowie. Nie dawno bowiem ojciec mi drogi przeniósł się do wieczności, a te marmury czarne, przywiodły mi na myśl moją ciężką stratę. Tylkom raz zapytał burgrabiego: Dawno tu już panowie nie byli? — Dawno panie! odpowiedział. — Nieboszczyka pana hetmana nie znałeś kochanku? Nie panie. — Ani pani hetmanowéj? Nie znam jéj panie. — A pana Wacława? I tego nie znam: bo ich noga tu nie postała, od kiedy mnie tu na burgrabiego przysłano, to jest od lat dwunastu. — Więc już go daléj nie pytałem, i jakeśmy przyszli, takeśmy w dwóch wyszli z pałacu milczkiem, jak ludzie idący processyą na eksportacyi jakiéj. Okazawszy potem wdzięczność moją staruszkowi, wróciłem spiesznie do kwatery mojéj w gospodzie.

Mocno zimnym wiatrem przejęty, po krótkim pacierzu udałem się na spoczynek. Ale daremnie; sen od powieki coraz daléj ulatywał a mnie się po głowie poczęli snuć wszyscy mi znajomi Rzewuscy, z których niektórzy pomarli, a drudzy nie są w stanie ten zamek od ruiny zachować.

Spojrzałem przez sen, a powieki były zamknięte.

Miły Boże! cóżem zobaczył?

Wielki, wysoki pokój sypialny, cały adamaszkiem karmazynowym wybity. Po prawéj stronie dwa staroświeckie ogromne okna szczelnie okiennicami zaparte, nad któremi firanki tegoż koloru były zapuszczone. — Po lewéj wysoki z czarnego marmuru komin, z zegarem kształtu antyków. Nad nim z niewielkich tafel układane zwierciadło weneckie, w ramy srebrne misternéj filigranowéj roboty oprawne. Z jednéj strony komina bliżéj mego łóżka dwa ogromne obrazy od sufitu do podłogi ścianę zakrywały, z drugiéj strony dwa drugie téjże saméj wielkości ukazywały się. — Odźwierki okien, drzwi i podłoga były czarnym marmurem wykładane. — Sufit z tafli snycerskiéj roboty, mocno pozłocony. — Przy ścianie poprzecznéj, naprzeciw miejsca, w którém się znajdowałem, stało łóżko staroświeckie z baldachinem i firankami jedwabnemi karmazynowemi, które podniesione były. — Na łożu na wpół siedział na wpół leżał młodzieniec jakiś w stroju niedbałym. — Przed nim stolik, na którym lampa słabe rzucająca światło i kilka leżało ksiąg rozwartych i papieru kilka arkuszy porozrzucanych. Zdawało się, że pisaniem był zajęty. — Wszystko to mi się dość niewyraźnie ukazało dla braku żywszego światła. W tém na zegarze wybiła dziesiąta. Głownia na kominie z trzaskiem wielkim prysnęła, przeraźliwym długim piskiem jęknęła, i tak się dzielnie zajął ogień, że cała komnata nagle, jakby pochodniami oświecona została. — A mnie taka opanowała ciekawość, żem już nie myślał o przewróceniu się na drugi bok, tylko lepiéj jeszcze przez sen oczy otworzyłem, a powieki były zamknięte! —

Chciałem przedewszystkiem młodzieńcowi się przypatrzyć na łożu spoczywającemu; ale nim tam doleciał wzrok mój, pomimowolnie zatrzymały go najbliższe dwa obrazy obok komina umieszczone. — Pojrzę na pierwszy.

Boże mój! cóż to za prześliczny Polak!! Był to pan wysokiego wzrostu, wspaniała figura od stóp do głowy. Oczy miał ciemnobłękitne, i niewypowiedzianie szlachetnym sposobem wesołe. Wszystko w nich było, co tylko wielka dusza pozazdrościćby mogła. Uprzejmość, wyrozumiałość, bystrość dowcipu, bez najmniejszego cienia obłudy, rozsądek, stateczność bez uporu, jakieś spokojne męztwo z głębokich źródeł serca płynące, wszystkie te promienie duszy na przemiany odbijały się w jego wzroku, jak w czystém zwierciadle, i wielki rzucały blask na wypogodzone czoło, a żaden z nich zbytnie nie raził. Całe też oblicze zdawało się powleczone cichością serca, jakby jaką srebrzystą zasłoną. —

Inne rysy twarzy były także bardzo piękne. Czupryna podgolona trochę, włosa ciemnego; wąs takiż, broda niezbyt długa i nieco kędziorem wijąca się; cera świeża, nieco ogorzała, lekki rumieniec, okazywały jeszcze wielką czerstwość wieku, lubo gdzie niegdzie srebrzył się włosek na głowie i koło ust wielce powabnych. — Co się zaś tyczy sztuki malarskiéj, ten obraz był najdoskonalszym ze wszystkich w tym pokoju będących. Strój zaś był taki: (równie bogatego w życiu mojém nie trafiło mi się widzieć ani na obrazach, ani w istocie). Krój kontusza był z czasów zygmuntowskich. (Podobnie się nosił stary wojewoda Kicki, któregom pierwszy raz widział roku ośmnastego na pokojach u cesarza Aleksandra.) — Kontusz zaś sam na obrazie był koloru jak śnieg białego, w kwiateczki także białe, wyrabiany z misternéj jakiejś materyi mnie nie znanéj, wiem tylko, że nie bławatnéj; poły miał z przodu dobrze rozchodzące się, wyloty w tył zarzucone. Żupan karmazynowy z przecudownego bławatu perskiego, rozlicznemi wzory i barwy mienił się; pas po żupanie tegoż samego koloru z tyftyku perskiego wielkiéj ceny; bóty skórzane ponsowe tak przychodzące do nogi i stopy, iż rzekłbyś pończoszki jedwabne; podkówki złote. — Lecz nadewszystko ozdoby z drogich kamieni biły w oczy i prawie raziły swym blaskiem. Wielki soliter, jak orzech włoski, błyszczał w spince u szyi. Z jednego boku kontusza wszystkie haftki były brylantowe, a z drugiego każdy guz była jedna perła urjańska między dwa brylanty osadzona. Guzy zaś żupana wszystkie, były także wielkie dyamenty. Równéj zaś wielkości kamienie, jak klejnot w spince, okrywały rękojeść karabeli i część pochwy; reszty bowiem nie można było dostrzedz pod zapuszczoną połą. Dziwnie pięknie blask tych wszystkich brylantów odbijał się na czerwieni spodniéj szaty. Na piersiach miał gwiazdę także z ogromnych soliterów. Zrazu nie mogłem dostrzedz, jaki to był order, tak mi klejnoty wzrok ćmiły; kształt przytém gwiazdy nie był podobien do tych, które mi były znane. Potem, przypatrzywszy się lepiéj, ujrzałem na krzyżu gwiazdy te słowa, także brylantami wysadzone, „*Vicisti, vince*“, i przypomniałem sobie, że Władysław IV. ustanowił order na cześć Niepokalanego poczęcia Maryi Panny, który nie pamiętam już dla jakich powodów nie przyszedł do skutku; bo dopiero król Sas utworzył order orła białego z godłem: Pro fide, lege, et rege. — Piękny ten pan na obrazie miał jednę rękę wspartą na pasie a w drugiéj trzymał lekką czapkę z drobniutkim barankiem; piękne pióro czaple w kokardzie dyamentowéj osadzone było.

Któż to być może ten Sarmata wspaniały? — Ot sen i mara, nic więcéj, lepiéj więc przewrócić się na drugi bok i porządnie zasnąć!!... Tylko com miał to uczynić, głośne, głębokie westchnienie pomimowolnie zmusiło mię patrzeć przed sobą i pojrzałem, lubo powieki były zamknięte.

Młodzieniec zerwał się z łoża i począł niespokojnym krokiem przechadzać się po pokoju; mógłem mu więc z blizka dobrze się przypatrzyć. Mógł mieć lat około 23. Rysy twarzy były piękne, delikatne, lecz zniewieściałe. Włos jasnożółtawy, rozczochrany, czoło zupełnie odkryte, brwi bardzo ciemne i skupione nad oczyma blado niebieskiemi. I ta sprzeczność nadawała jego twarzy jakąś cechę dziwactwa: był to, iż tak powiem, wybitny rys kaprysu. W rannéj odzieży, z piersią i szyją odkrytą, niepewne stawiał kroki i zatrzymywał się często zamyślony; widać było zaraz, że to on tak głęboko przed chwilą westchnął. Porwał potem nagle lampę ze stolika, szybko postąpił do portretu, który po drugiéj stronie komina, trzeci po panu Koniecpolskim, znajdował się i zapalił lampę, przymocowaną do jego ramy, urządzoną w celu malarskim, żeby obraz w przyzwoitém sobie ukazywał się świetle. Jest to scena z poematu Götego, w któréj Mefistofil z Pentogrammatu czarnoksięskiego siłą, mocą, zaklęciem dobyty, ukazuje się w postaci znakomitego męża przed Faustem!

W tém turkot powozu zajeżdżającego przed dom dał się słyszeć, a ja pomyślałem sobie: „Chwała Bogu! ktoś do tego panicza przybył z wizytą; przerwie mu jego niedorzeczne monologi, które gniewają pp. hetmanów, a mnie wielka opada trwoga, ilekroć oni się odezwą.

Jakoż w istocie w kilka minut potem pokryte drzwi adamaszkiem i zupełnie dotąd przezemnie nie postrzeżone, z trzaskiem się rozwarły, i wszedł do pokoju raźnym krokiem dziwacznie przybrany młodzieniec. Był on twarzy wesołéj i dość przyjemnéj, lecz wiekiem zdawał się być starszym nieco od tamtego panicza; w ręku trzymał maskę. Strój jego także był maskowy i najdokładniéj naśladujący ubiór Mefistofila na obrazie, tak, że nawet o klamerce płaszczyka hiszpańskiego nie zapomniano. Włosy, wąsy i bródka, były równie jak u Szafrańca.

— Wszak to Miecielski? (zapytał młodzieniec wahającym się idąc naprzeciw niemu krokiem).

Miecielski: Czyś mnie nie poznał od razu Zygmuncie? Przecież nie włożyłem jeszcze maski na twarz. — A to przednia rzecz!

Zygmunt: Nie kładź jéj wcale Stasiu, tak będziesz lepiéj mógł oddać charakter twarzy Mefistofila.

Miecielski: Dziękuję za łaskę, nie czuję w sobie najmniejszego powołania do zręcznego małpowania tego arcyłotra, i przejęcia się jego, (jak ty mówisz) geniuszem. Przyznam ci się nawet, żem ci niemały dał dowód przyjaźni, kiedym się zgodził na ten kostium tego obmierzłego szatana.

Zygmunt (śmiejąc się): O cóż ci idzie, wszakże i u nas w Polsce nie inaczéj tylko tak musi być ubranym.

Miecielski: Właśnie to téż wielkiem głupstwem znajduję. Dla czegoż my to nie możemy mieć naszego narodowego diabła? Wy, literaci, ciągle rozprawiacie i piszecie o Narodowości, a jeszcze nie zgodziliście się na kostium diabła polskiego. Powtarzam więc, że wasza erudycya, panowie literaci, funta kłaków nie warta, kiedy nie umiecie się zgodzić na kostium diabła polskiego! — Stryj mój, pan kasztelan Sandecki, wielki znawca i miłośnik starych gminnych powieści, zapewniał mnie, że wyobrażenia o diabłach w sukniach hiszpańskich, czy niemieckich, zjawiło się dopiero w Polsce wtedy, kiedy za Zygmuntów nasza szlachta zaczęła wysyłać dzieci do Witembergu i innych akademii luterskich, z których potem oni niemieckie nowinki do kraju przywozili z sobą; lecz że przedtém diabeł polski inaczéj zupełnie wyglądał w oczach ludu!

Zygmunt: Jakże naprzykład?

Miecielski: Oto był cały czarny, jak murzyn; rogi miał na głowie, twarz najochydniejszą, oczy jak dwa żarzące się węgle, pół łokcia języka czerwonego z pyska mu wisiało, kozie kopyta miasto stóp ludzkich, potężne pazury u palców, nakoniec długi sążnisty ogon. I na to są niezaprzeczone dowody po starożytnych obrazach w naszych starych cerkwiach i kościołach. Drwij sobie, drwij! To był prawdziwie diabeł narodowy! — Sto tysięcy razy charakterystyczniejszy, zabawniejszy i tęższego ducha, od tego waszego luterskiego, szwabskiego, wymokłego bakałarza Mefistofila, (potem spojrzawszy na siebie dodał): Cierpieć tego kostiumu nie mogę, i wolałbym już pójść na bal w stroju starego diabła z rogami i językiem karmazynowym.

Zygmunt: Dobrze, dobrze, drwij sobie! — Ty wiesz, że poeci są jasnowidzący, jak lunatycy; widzą, chodzą, działają, żyją życiem wzniosłem, duchownem wśród najciemniejszéj nocy waszego prozaizmu.

Miecielski: I jak puszczyki poczciwym ludziom spać nie dają. — Gniewaj się, nic to nie szkodzi, bo ja choć raz muszę ci Verba veritatis dobrze wyrecytować. — Co mi tam po waszém poetyckiem życiu, kiedy w niem zdrowego rozumu niema; co mnie tam po waszéj wyobraźni, co jak

szalona dziewka po domie biega, gotowa nawet z trzeciego piętra skakać dla tego, że gospodarz domu, rozsądek, bezwładny leży, jakby paraliżem ruszony. Ja wiem, że to wy się niby tém szczycicie, iż się nie poddajecie zimnym rachubom rozumu i rozsądek kładziecie w rzędzie jałowéj prozy. — A jabym się niewiedzieć o co założył, że Homer wasz protoplasta, że Dante, Milton, Wirgili, Szekspir, i wielu ich tam liczycie ojców poezyi, byli w swéj sztuce pisania najrozsądniejsi ludzie! — Wszakże sami ich pod niebiosa wynosicie z głębokiéj ich znajomości serca ludzkiego i stosunków świata, który nam przed oczy stawią. Jakżeby ją posiadać mogli bez rozsądku i rozwagi? Prawdziwy, nieszteczny zapał poetyczny nielęka się rozumu, owszem bierze go za mocną podstawę wszystkich swoich utworów. Tylko chwilowy szał rozhukanéj fantazyi nadrabia chałasem, żeby pokryć niedostatek siły duchownéj i zrywa skwapliwie więzy przyzwoitości i odwieczne prawa umysłu; zupełnie w tém podobny do ckliwego szampana, którego pianka wysadza z trzaskiem korek butelki, lecz trochę podniebienie, lecz w słabości sił nie podźwignie! A mnie się zdaje, że *geniusz* jest jak stare wino węgierskie, od którego naczynie nie pęka; lecz kto go w miarę umie zażyć, wzrasta na siłach i trzeźwy jest, nie doświadcza bolu głowy.

Teraz pozwalam ci Zygmuntku do woli się dąsać, bo co tylkom miał na sercu przeciw tobie, wyszło jak oliwa na wierzch.

Potem Miecielski przechadzając się po pokoju z Zygmuntem zatrzymał się przed obrazem magnata, bogato w klejnoty przystrojonego, a przypatrując mu się długo z upodobaniem, tak się odezwał:

To mi ale pan i piękna postać! Pan kanclerz wielki koronny. Jakże to ja kocham twego Antecessora linii macierzyńskiéj, pana *Jerzego Ossolińskiego*. Jakiż to był piękny, ukształcony umysł przy najszlachetniejszych przymiotach serca! — Któż wspanialéj potrafił Rzymowi ukazać w swéj osobie zacność wielkiego narodu, jak ten wielce przyjemny i uczony pan? Mniejsza o to, że przy jego tam paradnym wjeździe na poselstwo powodowe bachmaty jego, srebrne, czyli złote podkowy gubiły: bo przepychem i Turek rad się nadstawia; ale kiedy on z posłami europejskich dworów, wówczas w Rzymie bawiącymi, z każdym jak najpłynniéj własnym jego językiem począł rozmawiać, i wszystkich swoją nauką i miłem obejściem się w zachwycenie wprawił, jak niegdyś sławny Jan Zamojski, o! wtedy, to każdemu przytomnemu Polakowi miło musiało być przyznać się do rodu takiego człowieka! — Zygmunt pojrzawszy na obraz i na

Miecielskiego uśmiechnął się. Miecielski rzekł: Cóż cię tak rozwesela?

Zygmunt: I ty Stasiu śmiać się będziesz, jak ci się do jednéj rzeczy przyznam; możeby lepiéj było milczeć, ale nie, w takiś mnie dobry humor wprawił, że ci się z tego dziwactwa wyspowiadam. — Bydź może, że mi na to znajdziesz lekarstwo jakie, bo mnie samego ta rzecz czasem trapi!

Miecielski: Mów, mów! — Cóż takiego?

Zygmunt: Wiedz tedy, że kiedy z wieczora zasnąć nie mogę i smutne mam myśli, albo nadedniem, w łóżku z zamkniętą powieką marzę o dawnych dziejach, w fantazyi mojéj staje zupełnie, jak go tu widzisz, pan kanclerz Ossoliński, we wszystkich tych drogich kamieniach, tylko że one wówczas daleko mocniéj błyszczą, niżeli na obrazie, luboć on jest niepospolitego włoskiego pędzla. — Powiesz mnie: „nic dziwnego, dla tego, że to malowidło mam zawsze przed oczyma.“ Prawda, lecz w tém jest rzecz osobliwa, że ja w tym stanie dobrze poznając, iż to jest mój pan kanclerz z portretu, przecież mam jakieś niczem nie przezwyciężone wewnętrzne uczucie, że ten sam pan Ossoliński jest także.... (zatrzymuje się).

Miecielski: Cóż jest? co? powiedz!

Zygmunt: Jest moje własne *sumienie!* —

Miecielski: Jakto sumienie twoje? Niewiedzieć co!

Zygmunt: Tak, *sumienie* moje! Albowiem ilekroć trafi mi się błąd jaki popełnić i niespokojność mnie ogarnie, ten pan kanclerz staje przedemną i wymawia mi głośno! — Najskrytsze myśli moje, które chciałbym ledwie nie przed samym sobą zataić, na jaw mi dobywa. Czasem grozi, czasem upomina tylko; niekiedy bardzo słodkim głosem przemawia do mnie, jak najczulszy ojciec, i głęboko nademną wzdycha. Bywają dni, w których bliżéj do mnie przystępuje. N. p. w rocznicę śmierci matki mojéj, w którym dniu mam zwyczaj spowiadać się, niezawodnie widzę go zrana, a on po prostu napędza mię do kościoła. Także kiedy jestem zajęty jakiemś nowem przedsięwzięciem, albo rozmyślam o jakiemś nowem dziele, lub też z kim mam zabrać znajomość.

Miecielski: Proszę cię mów daléj, bo to mnie wielce zajmuje.

Zygmunt: Owoż tak, jak ten pan kanclerz, w roli *sumienia* mego, ukazuje się także w *myśli* mojéj, w stroju zupełnie takim, jak dziś twój.....

Miecielski: (Przerywając mu) Mefistofil! Zaraz domyślałem się tego. Piękne towarzystwo, niema co mówić! — I jakim ci się okazuje?

Zygmunt: Zupełnie takim, jakim go geniusz Göthego na świat wydał. Wysokim, śmiałym duchem, pełnym nowych oryginalnych myśli! — Jest on najlepszego tonu, przytem grzeczny niezmiernie, lecz trochę pochlebca, a nadewszystko w najwyższym sposobie drwiarz dowcipny i z tego względu rozmowa jego jest czasem przykra.

Miecielski: Jakto, ty się wdajesz z nim w rozmowy?

Zygmunt: Dziecko jesteś, Stasiu! Wszakże to są czcze płody fantazyi, której twórcza siła swobodniejsza jest w tym półcieniu myśli przy na wpół uśpionych zmysłach. — Ilekroć Mefistofil mi się więc zjawia, zaraz pan kanclerz dąsa się i poczynają sobie się sprzeczać: bo się nie cierpią od dawna. Mefistofil jest zwykle grzeczniejszy i dowcipniejszy w swych odpowiedziach; ale pan kanclerz ma za to więcéj Logiki i Powagi! Z tém wszystkiem widzę, że to zakrawa coś bardzo na chorowity stan jasnowidzących, albowiem od niejakiego czasu nadto mi się naprzykrzają te somnambuliczne mary. Muszę pomówić z moim doktorem, żeby mi dał coś chłodzącego. — No Stasiu, śmiéj się! — Co się tobie stało?

Miecielski: (Pokrywając smutek). Śmiać się nie mogę. (zdejmując z szyi medalik Matki Boskiéj na jedwabnym sznureczku i podając go Zygmuntowi mówi): Mnie ten medalik dała ciotka, Karmelitanka bosa w Krakowie, zapewniając, że kto go nosić będzie z wiarą na sobie, wolny będzie od wszelkiéj trwogi i niepokoju dniem i nocą. — Ja mam drugi taki i sam doświadczyłem, że jéj słowa są prawdziwe. Proszę cię, włóż go na siebie, a zobaczysz, że będziesz lepszy miał sen! — Wszakże ty nie Wolterzysta, bo to już nie w modzie u was. Zresztą, dobra noc, Zygmuntku!

Zygmunt: Dobra noc — Stasiu! — Kłaniaj się pięknie odemnie wojewodzinie i oświadcz proszę mój żal, że mi zdrowie nie dozwala być na jéj balu! —

I zasnął młodzieniec i była cisza grobowa. W tém od portretów uderzyła jasność i dym. Struchlałem. Kanclerz, *Sumienie*, wystąpił na pokój a równocześnie prawie ruszył się *Mefistofil*.

Sumienie poszło wprost do okien i otworzyło okiennice. Dzień był już wielki i jasny, niebo pogodne, i cała ta część pokoju dobrze oświeconą została.

Mefistofil wnet począł szukać najciemniejszego kątka, żeby się w nim ukryć. — Sumienie tymczasem tak się odezwało: „Kryj się, jak chcesz, znam cię ptaszku nocny, nic ci to nie pomoże!“ Potem przystąpiwszy do łoża młodzieńca śmiało, z surową twarzą, tak doń przemówiło: „Wstawaj, już pora, panie Zygmuncie, Aleksandrze, Napoleonie, czy jak ci tam

imię: bo waćpana z niepotrzebnéj dworszczyzny coraz inaczéj w dzieciństwie przezywano. Wstawaj, czy to się godzi tak długo leżeć? Wstydź się. — Przeżegnaj się. — Pomodlimy się nie długo, ale szczerze, a potem pogadamy o ważnych waćpana interesach. Człowiek na to przyszedł na ziemię, aby pracował, i to poczciwie!“

Zygmunt: Ach! Szanowne Sumienie! prawdę mówisz, ale zawsze jedno a jedno; czy nie masz, drogi panie, co nowego?

Sumienie: Nic nie mam nowego dla ciebie, panie Zygmuncie, Aleksandrze, czy jak ci tam imię! Póki się waść sam na nowego człowieka nie przerobisz, nic nowego, jakem sumienie! Wszystko stare, ale pożyteczne dla waćpana. Porzuć waść legatorstwo; porzuć to nieustanne przy sygarze polowanie za nowemi jakiemiś myślami, to niedobre literackie próżniactwo! Czyś waćpan zapomniał o starem przysłowiu Salomonowem: Nihil sub sole novum? (Eccles. C. I. v. 10). Nie nadymajże się z téj odrobiny talentu, coć Bóg udzielił w miłosierdziu swojem! — Nie ufaj ślepo każdéj myśli, coć przez głowę przeleci, jak nietoperz przez stary, otwarty lamus; lecz wprzód ją dobrze waż na szali rozsądku, inaczéj narazisz się na największe brednie, i na szwank wystawisz twe uczciwe serce, jak to się wczoraj już stało, kiedyś waść zamyślał na bohatera forsztelować tego watażkę Chmiela! — Co za srom i hańba! Mój Boże! mógłżem się ja tego spodziewać po waści, panie Zygmuncie, potomku tak wielkich miłośników wiary i ojczyzny? — A wiesz waćpan zkąd to pochodzi? Po części z niegodziwych książek, więcéj może jeszcze z nieukostwa w rzeczach religii, a nadewszystko z najgorszego towarzystwa, w którem waćpan zostaje! (Tu pojrzał groźnie na Mefistofila). Nic dziw, że z takim doradzcą różne nieprzyzwoite zamiary snują się waści po głowie!

Mefistofil: Ja od początku świata, dniem i nocą nad niczem innem nie pracuję, jeno nad konkordancyą rozdwojonego ducha ludzkiego, żeby się on pozbył owéj szkodliwéj tęsknoty za rzeczami niewidzialnemi, za jakiemś szczęściem urojonem, nadziemskiem, (prawdziwe gruszki na wierzbie!), co odrywa go tylko od rzeczywistéj, dotykalnéj pomyślności, którą ma pod ręką. Pracuję, żeby w człowieku i sumienie się uspokoiło i ludziom było wesoło na świecie. Wszakże to dzieło jest godne prawdziwych przyjaciół i dobroczyńców ludzkości. A przecież, wieleż ja tu już wycierpiałem prześladowań za tę moją krwawą pracę, za tę walkę zaciętą ze zgubnemi przesądami? — Ale taki był i będzie zawsze los poświęcających się dla narodów; zawsze płytka zawiść gminu

powstaje z zawziętością przeciw wspaniałym przedsięwzięciom, bluźni to, czego pojąć nie jest w stanie! Wszakże cechą prawdziwéj cnoty jest statek, a wielkie przeciwności podwajają siły wielkich serc. Z tém wszystkiem nie przeczę, że pragnąłbym pomocy, czynnego współdziałania w pięknym zawodzie, (tu obrócił mowę do Sumienia i rzekł sentymentalnym głosem) Szanowny mężu! połączmy nasze usiłowania....

Sumienie: (Ze świętym gniewem powstawszy, krzyknęło). Bodajeś na wieki przepadł, czyli raczéj wrócił tam, zkądeś na zgubę tego młodzieńca wyleciał! Vade post me Satana! Mnie się z tobą godzić? i łącznie z tobą działać? Jest to samo, co samobójstwo popełnić! Ale ty wiesz dobrze, duchu nieczysty! że ja umrzeć nie mogę: bo Chrystus położył na mnie cechę wieczności, zapalił w mem sercu pochodnię światła swego boskiego..... Tu Mefistofil zniknął.

Między Zygmuntem a sumieniem jego, czyli panem kanclerzem, taka się nakoniec wszczęła rozmowa:

Sumienie: Jak się czujesz na zdrowiu Zygmuncie?..... uspokój się.

Zygmunt cały drżący i blady zdawał się nie słyszeć tych słów, z trwogą się przytulał do ramienia pana kanclerza niespokojnie patrząc obok siebie, jakby się obawiał czyjejś bytności; nakoniec słabym odezwał się głosem:

— Ach! Gdzież to ja byłem?..... Jakaś przepaść... nie wiem gdzie byłem. Mój Boże!... co to za okropna twarz, jeszcze w blasku słońca i obok ciebie panie!.... Ach żebym tylko mógł wygluzować z pamięci tę szkaradną poczwarę piekła!.... Ona mnie oczy i mózg wypali.... ona mi zaczerni i zabrudzi wszystkie myśli.... wyssie wszystką krew serca mego!.... Ach! nieopuszczaj mnie kochany, szanowny mój dobroczyńco! Nie opuszczaj mię, ojcze, królu méj duszy! Przebacz memu niewypowiedzianemu głupstwu i szaleństwu! Bez ciebie ja żyć nie mogę!... I tak mówiąc, to składał swoją głowę na ramię pana kanclerza, to przyciskał oczy do piersi jego, jakby chciał o wszystkiem zapomnieć; to znowu wiodąc na wszystkie strony wzrok obłąkany, kilka razy się odezwał, jak nieprzytomny sobie: Gdzież on jest?.... gdzie?... Ach jakaż to okropna twarz w blasku słońca i twego oblicza, Panie!.... Pan kanclerz widząc stan jego tak litości godzien, cieszył go i uspokajał gruntownemi wywodami z pisma Bożego. Nakoniec począł młodzieniec szlochać i płakać jak dziecko. Zdawało się, że cały we łzach się rozpłynie. A płacz to był tak serdeczny, żem sobie we śnie pomyślał: kto takiego płaczu nie słyszał, ten nie może mieć wyobrażenia, do jakiego stopnia serce ludzkie może

cierpieć, a przecie nie pęknąć. Nakoniec Sumienie uroczystym głosem rzekło: Pax tecum! Pytasz mię Zygmuncie, gdzie wróg Boga i ludzi podział się? Wiedz tedy, że skoro jasność Boska błysnęła nad nim z gromem a obiwszy się o klejnoty moje twarz mu oblała, on nawet w krwawym ogniu spłonął i w powietrzu zniknął!

Tu Zygmunt począł z wielkim płaczem całować ręce panu kanclerzowi; potem rzekł: Wszakże nigdy mię już nie opuścisz, nie prawda?

Sumienie: Nigdy, to nie jest w mojéj mocy.

Zygmunt: I zawsze będziesz mnie tak otwarcie, mocno, po ojcowsku upominał?

Sumienie: Będę, jeźli mnie szanować będziesz.

Zygmunt: O! wiecznie! wiecznie!

Sumienie: Zygmuncie! Dziś rocznica śmierci twojéj świętobliwéj matki. Dziś trzeba, żebyś szedł do spowiedzi. — Wiedz, że to za jéj gorącą modłą jam od Chrystusa moc pozyskał z Nieba do otrzymania w twém sercu zwycięstwa nad duchem ciemności! — Pamiętaj, żeby dzisiejsze moje i twoje cierpienia nie były bez owocu. Nie podawaj się ślepo wszelkiego rodzaju *myślom*, jakkolwiekby ci się pięknemi wydawały, lecz waż je wprzód na szali *wiary* i *rozsądku:* bo w krainie myśli, prócz twego własnego, inne jeszcze możesz posłyszeć głosy, a nie wszystkie od Boga pochodzą. Strzeż się samotności bez Boga.

Idźmy gotować się do spowiedzi i rachować się ściśle z sobą.

Zygmunt: Idźmy!.... W twojéj wierny przyjacielu pomocy całą mą nadzieję po Bogu pokładam.

Sumienie: Pax hominibus bonae voluntatis! (Łuk. II. 14.)

W tém liczne harfy z wielkiéj wysokości odezwały się. Zygmunt zdumiony zapytał: „Zkąd te dźwięki i nadludzkie głosy?“ A pan kanclerz rzekł: „To chór aniołów radujących się z opamiętania się serca ludzkiego.“

Tum i ja się ocknął. —

Polacy.

Charakterystyka skłonności umysłu polskiego.

Przez Michała Wiszniewskiego. Kraków 1842.

(Str. 341.)

„Polacy ludzie są bardzo dowcipu ostrego (mówi Gwagnin tłum. Paszkowskiego na karcie 267 o Polakach XVI. w.) i rozlicznych narodów języki umieją, a osobliwie łacińskim

językiem tak dobrze mówią, iżby drugi rzekł, że się z nim urodzili, a to jest pospolita bogatemu i ubogiemu.“ Skłonni do uniesień; przekonanie rozumu słabiéj działa na ich wolą, jak zapał który prędko ostyga. Nie wytrwali w pracach rozumu, do długiego namysłu, do zimnéj rozumu rachuby, wstręt jakiś czują. Naród to poetyczny: — w dymnéj chacie i złoconych komnatach jednakie w poezyi upodobanie. Żaden naród nie wydał tylu poetów, nawet w umarłym języku Rzymian szczęśliwie rymujących, ani tak znakomitych, jak: Krzycki, Dantyszek, Janicki, Sarbiewski i tylu innych. Nawet za Sasów, mimo zagęszczonéj po kraju pijatyki, mimo upadku literatury, i powszechnego rozumów przyćmienia, po gęstych kielichach i polowaniu, nie było dla Polaków milszéj nad poezyę zabawy. W XVIII. wieku wiersze zastępowały miejsce pism politycznych, a nawet historycznych. Ks. Wścisłowski teologią wierszem napisał, a wypadki drugiéj połowy XVIII. wieku, nie znalazłszy w Polsce dziejopisa, w tysiącznych wierszach odbiły się. A kiedy uczeni tępili ostrze rozumu i dowcipu, kiedy ostudzali imaginacyą, rymując mową niepoetycznych Rzymian, kiedy akademicy krakowscy powstając w prozie na Hussa i Lutra Marcina, w rymach bogi pogańskie wzywali, tymczasem lud wiejski językiem macierzystym, wprost z duszy wyśpiewywał piosnki malujące jego uczucia, tęsknicę i niedolę.

Prócz téj wspólnéj wszystkim do poezyi skłonności, wreszcie nie małe różnice i odcienia w skłonnościach umysłu, i zdolnościach rozumu postrzegać się dają. Litwini mają zimniejszą rozwagę, i duszę bardziéj w sobie zamkniętą. Ruś Czerwona, a mianowicie Lwów i Samborz obfitowały niegdyś w ludzi górujących dowcipem i rozumem. Marcin Radymiński, dziejopis akademii krakowskiéj, naliczył jednym tchem pięćdziesięciu Samborzanów, wielką pojętnością, dowcipem, i rozległą nauką w kraju i akademii krakowskiéj słynnych. Mazur a podobno i Wielkopolanin ma najmniéj do poezyi skłonności. Krakowiaków naturalne i zwięzłe porządkowanie myśli chwali panna Tańska. Lud wołyński bywa mniéj dowcipny od Ukraińców dumki śpiewających głosem rozciągłym, stepowym i podobnym do echa. „Chłop póki młody (mówi o ukraińskich Michał Grabowski), pracuje rękami, czuje sercem, niewie nawet, że nosi głowę na karku; ale jak włos mu pobieleje, nogi osłabną, patrz! w głowie mu się coś budzi, myśli z niéj jak roje pszczół zaczynają wychodzić, brzęczą koło niego, rozmawiają z nim w dzień próżny i noc niespaną.“ „Prosty rozum tych ludzi, (mówi o Poliszukach nasz genialny Kraszewski), wcale nie jest do pogardzenia; niekiedy pod pozornem głupstwem ukrywa się przebiegłość niepospolita. Małorossyanie słyną przebiegłością rozumu. Podhalanie (tak siebie nazywają nasi górale) mają wrodzony dowcip, otwarte głowy, i przetarty wędrówkami rozum.

Młodość i przesilenie rozumu.

Przez Michała Wiszniewskiego.

Charakterystyka rozumów ludzkich. Kraków 1842.

(Str. 342.)

Dla duszy świeżéj, serca nietkniętego boleścią, rozumu jeszcze żadną niezrażonego ni znękanego wątpliwością, wszystko na świecie w złotéj okazuje się barwie. Młody rozum wszystko wiedzieć pragnie i spodziewa się; wierzy w cnoty, otwiera się z zaufaniem, wylewa na nadzieję. Niemasz tak wysokiéj doskonałości, którejby dostąpić nie pragnął i nie spodziewał się. Przegląda się chciwie w świecie, gdzie wszystko dla niego nowe, świeże i wesołe, jak jego serce. Zachwyca się wszystkiém, dziwuje i unosi, jak podróżny na górze Rygi, kiedy nagle z za skał alpejskich wyskakujące słońce pokryje różowym rąbkiem lody i siedm błyszczących jezior wśród rozkosznéj okolicy odsłoni! — Młodość duszy, młodość rozumu! Szczęśliwy, kto w tym raju niewinności, po tych złocistych niwach długo bujać może! — Z czasem naukami kształcony rozum, coraz prędzéj kroczyć poczyna, coraz więcéj wyobrażeń ogólnych nabywa, i coraz większego w siłach swoich nabiera zaufania. — Jeszcze i temu wzrostowi i zbliżaniu się ku dojrzałości złota młodego wieku towarzyszy nadzieja. Młodzian nie wie i nie domyśla się nawet, iż są pewne wiedzenia granice, gdzie dwie rozstajne zaczynają się drogi. Póki do téj nie dobiegnie mety, postępuje z wesołem sercem i mimo wielkich trudności, nie ostyga w zapale. Prowadzony za rękę, idzie zawsze ubitą i wskazaną przez innych drogą; tylko utartéj dobrze trzyma się ścieszki, cudze tylko myśli rozumieć się uczy, i zawsze od wyrazów do wyobrażeń, a od tych dopiero idzie do rzeczy. Po gotowych już rozumowaniach do pewnych prawd przychodzi. Zastanawia się nad tém, co mu wskazano, co bliżéj niego leżało. Lecz w pewnéj epoce umysłowego życia, poczuwszy w sobie pełnoletność umysłową, zaczyna o własnych siłach rozbierać i sprawdzać zdania, które dotychczas na wiarę od innych przyjął; z tego rodzi się w jego umyśle niespodziana wątpliwość, czyli *przesilenie się rozumu*, które cały umysł wstrząsa, silnie wpływa na przyszły jego cha-

rakter umysłowy, i stawia go na drodze rozstajnéj, z których jedna prowadzi do granic rozumu, druga do ciągłego powątpiewania.

Szczęśliwy, kto przebywszy tę ospę rozumu, pozna nieprzebytą możności wiedzenia granicę! O jednych rzeczach upewnia się dowodami, w drugie, ile żadném dowodzeniem obalić się i wyrozumować się niemogące, wierzy; resztę kładzie w rzędzie prawdo-podobieństw i domysłów. A po wytrzymanéj nawałności, zawinąwszy szczęśliwie do portu, w rzeczach rozumowi niedostępnych ucieka się do religii. Spokojnym odtąd umysłem pogląda na granicę, któréj rozum przekroczyć nie może i żadnéj już sprzeczności między sumieniem swojém, a rozumem nie czuje.

Lecz nie wszyscy ludzie tak szczęśliwie te niebezpieczne przebywają porohy. Jedni przylegają ślepo do wszystkiego, cokolwiek trafem do nich przypłynęło; drudzy na widok tak rozmaitych, sprzecznych i wzajemnie znoszących się zdań ludzkich, rozpaczają o rozumie i względem rzeczy najbliżéj człowieka dotykających, w wiecznéj zostają wątpliwości. Jest to nader mądre rozrządzenie Opatrzności, że ludzie głupi i ograniczeni, o tych wątpliwościach wcale nie wiedzą i na takie niebezpieczeństwo narazić się nie mogą.

Geniusz.

(Str. 344.)

Wielka rozłożystość, moc i dzielność wszystkich władz umysłu, głęboki i silny rozum, nowe sobie torować i wyrąbywać lubiący drogi, i tworzyć nowe pomysły, który z powszednich, dawno znanych myśli, całe familie nowych prawd wyprowadzić umie, dusza ognista, bujna i rozłożysta imaginacya, i nieunoszona czułość serca, jest cechą, przyznaką, znamieniem geniuszu. Geniusz więc nie jest władzą umysłu, lecz najwyższą jego i najbujniejszą doskonałością, przymiotem osobistym, wrodzonym niebios darem.

Doskonała kultura umysłu i sprzyjające okoliczności, pomagają geniuszowi do rozwinięcia sił swoich, i poczucia się, lecz braku téj siły, tego zbioru wszystkich doskonałości umysłowych zastąpić nie mogą. Dobre wychowanie umysłowe kształci ludzi światłych, geniusze same się rodzą. Zewnętrzne okoliczności wpływają na prędsze lub późniejsze rozwinięcie geniuszu, lecz nie są jego źródłem. I tak np. niemasz piękniejszego kraju, jak Szwajcarya, a jednak widok tak rozmaitych i wzniosłych piękności natury, nie wzbudził w Szwajcarach poetyckiego geniuszu.

Geniusz wszystkie roboty umysłowe szybko odbywa; między najodleglejszemi rzeczami dostrzega podobieństwa, a wielkie podobieństwa łatwiéj, niż drobne różnice. W rozumowaniu przeskakuje ogniwa prawd wiążących się, i spiesznie leci do wypadku; żadne wszelako pokrewieństwo między myślami, żaden między prawdami związek, przed orlim wzrokiem jego ukryć się nie zdoła, lecz go w krokach długo nie zatrzymuje. W myśli powszedniéj upatruje nowe prawdy, których w niéj nikt jeszcze nie dostrzegł, i całą jéj rozległość ogarnąwszy, wyprowadza z niéj liczne pokolenie prawd dotąd nieznanych. Tak Newton widząc upadające jabłko z drzewa, z tego małoważnego postrzeżenia wyprowadził prawo, któremu świat podsłoneczny ulega.

Człowiek z geniuszem ma mocniejsze od innych czucie, które za każdą myślą szybkością błyskawicy aż do głębi serca dochodzi; ma rozleglejsze od rozumnego objęcie, i właściwy sobie sposób pojmowania rzeczy. Wszystko co go otacza, mocniejsze na nim czyni wrażenie; każda większa myśl zapala go i unosi. Najmniejsze słówko pochwycone przeobraża się w nim szybko na myśl i uczucie, sięga aż do dna duszy, krąży z szybkością błyskawicy, wszystkie tajniki umysłu i serca przebiega, obudza roje myśli, i rozliczne uczucia, wprawia w ruch wszystkie siły umysłu; i jak wetknięty kij w wielkie mrowisko, długie i nieprzewidziane w całéj duszy jego sprawia wzburzenie.

Geniusz nie ulega wpływowi panujących uprzedzeń, po cudzych śladach chodzić nie lubi; woli przepaść, niż koléj! — W łamaniu trudności wielkie ma upodobanie; pomysły jego, przechodząc za granicę rozsądku, rażą i zawsze mają w sobie coś zuchwałego. Roztoczywszy wszystkie skrzydła, lubi bujać po nieskończonym przestworzu i nowe dla siebie krainy mysli odkrywa. Z wszystkiego, czego doświadczył, co na około siebie lub w sobie poznał, pewne ogólne prawdy rzucające wielkie światło lub pewne prawidła wyprowadzać umie. W opisach jego podoba się i zastanawia dobitność wyrażeń, moc myśli i gwałtowne zwroty. Malując namiętności, zapuszcza się daléj w głąb serca ludzkiego. Opisując rzeczy świata otaczającego, okazuje rysy i kształty, które przed okiem naszém zawsze wymykały się: odsłania przymioty, okoliczności i stósunki, około których tysiąc razy krążyliśmy, a nigdy ich nie dostrzegli. W zwierciedle jego duszy wszystko innych nabiera wymiarów, zdumiewa, zachwyca i porywa! — Wszystko sam dla siebie tworzy: pomysły, myśli, obrazy, prawidła, język, sposoby wyrażania się i obroty mowy. Nad językiem panuje, wyobrażeń swoich i myśli łamać, ścieśniać i obcinać mu nie dając; wyrazy języka nie służą mu za narzędzie myślenia, lecz ich tylko do oznaczenia nowych pomysłów swoich używa;

są to jakby nacięcia drzew, któremi Amerykanin drogi swoje znaczy, jak na stepach ukraińskich kurhany. Ztąd ludzie z geniuszem bywają twórcami i prawodawcami języka; tak Dante, Petrarka, Bokkaczio, dając pierwszeństwo florenckiemu dyalektowi, z miejscowéj mowy, zrobili go językiem Włoch całych.

We wszystkich geniuszu utworach widać wielkie bogactwo pamięci, ognistą imaginacyą, która obficie farb do malowania myśli dostarcza, i w ogólności, bujność umysłu, która przestrogami roztropności, jak małością jaką pogardza.

Miernemu nawet rozumowi zabłyśnie czasem myśl szczęśliwa, mignie tylko, i znika na wieki. Myśl ta ujęta, pielęgnowana długo, i wychowywana w umyśle, póki nie dojrzeje, mogła była stać się zawiązkiem nader wielkiéj prawdy, lub wielkiego wynalazku. Wszakże geniusz tylko umie natchnienia od pospolicie nawijających się myśli rozeznać, pochwycić i tę iskierkę w szeroko oświecający rozdmuchnąć płomień! W dzieciństwie albowiem swojém myśli są tak małe, znikome, iż nie zwracają uwagi ludzi w biografii myśli ludzkich niebiegłych; a jednak dzieciństwo wielkich myśli, równie jak wielkich ludzi, godne jest naszéj ciekawości. Natchnienie jest to nagłe rozbłyśnienie światła prawdy, pewném chwilowém uczuciem wsparte, którego na duszy wymusić nie można, a które, jak błyskawica na niebie, samo z siebie nagle i niespodzianie się zjawia, i równie szybko znika. Jeźli to nagłe objawienie się prawdy. To mignienie się szczęśliwéj myśli, rozum pochwyci; wszystko z tego zawiązku, jakby z kłębka z największą rodzi się i wywija łatwością. Tego prędkiego przypływu trafnych, wiele ogarniających myśli, mamy przykład w sławnym mówcy Mirabeau. Rozum jego obecnością przeciwników rozogniony, wydawał zrazu zwikłane myśli, które w przerywanych wymykały się słowach. Nagle zabłysło mu światło: wówczas chwila jedna odsłoniała mu więcéj, jak najdłuższe rozumu mozoły. Wówczas ogłaszał z mownicy owe prawdy, myśli niespodziane, około których każdy krążył, lecz zbliżyć się i opanować ich nie umiał, a które z duszy jego leciały bystro w treściwe słowa i malownicze wyrażenia. Rozjątrzony na nowo oporem, w okamgnieniu, jeszcze większem prawdę otaczał światłem, jeszcze mocniéj w przekonanie wszczepiał, tak iż wszystko lgnęło do woli jego, i do zdania z uniesieniem przychylało się.

Człowiek rozumny potrafi sobie wystawić grzmoty, pioruny, przeraźliwy świst wichrów, okropne pustynie, niebotyczne góry, czułe śpiewy pasterzy, rozhukane i spienione morze, gwałtowność namiętności, zapalczywy gniew, wielką

radość, żal nieukojony, rozpacz ostatnią i t. p. lecz sam tylko geniusz czuje te obrazy, te utwory imaginacyi, aż w głębi serca swojego i z całéj duszy, raduje się niemi serdecznie, lub zasmuca, unosi i zachwyca. Takie pomysły i uczucia nie wciela w słowa ogólne, ale maluje w śmiałych rysach, pokazuje na oko w obrazach, którym świeży koloryt i życie nadaje. Obfitość myśli, rozogniona czułość tak go unosi i porywa, tak mocno nim włada, iż natchnieniom swojego geniuszu oprzeć się nie może. Nie jest panem swoich uczuć i myśli; ani ich miarkować, ani ich pohamować może, póki nie zaspokoi gwałtownéj potrzeby wcielenia w słowa, w marmur, lub przeniesienia na płótno myśli, która wre, burzy się; całą duszę jego wypełnia i aż do dna wzruszyła.

Uszczypliwy dowcip, który chciwie sposobności wyszydzenia szuka, sprawuje na nim wrażenie, jakiego doznają dzieci bujające na usłanéj kwiatami łące, gdy nagle wijącego się postrzegą węża. Przywykły żyć w rajskiéj krainie myśli, i karmić się rozkoszą wielkich pomysłów, i wzniosłych poczyi obrazów, niechętnie zstępuje do powszednich rozumu zatrudnień. Nie lubi i unika wszystkiego, cokolwiek zapał jego ostudzić, myśli zwęzić, i w krainę drobnostek sprowadzić może.

Człowiek rozumny błędów geniuszu popełnić nie może. Przemysł jest zaletą rozumu, geniuszu przymiotem wynalezienie. Rozum oświeca, geniusz podnosi duszę i zdumiewa. Rozum nadaje utworom swoim postać, wymiar i farby; geniusz okazuje się w całości. Rozum może tylko skreślić obraz trafny, wierny i przyjemny; geniusz wszystkiemu wielkości własnéj udziela. Utwory geniuszu to mają do siebie, iż w nich zawsze coraz nowe piękności dostrzegać się dają: bo wynikają z głębi duszy, są objawieniem się wewnętrznego natchnienia, mocnego czucia i przekonania. Różnią się zaś od dzieł rozumu, jak kwiat naturalny od kunsztownego. Człowiek przemyślnego rozumu zbiera zewsząd ozdoby i piękności do swojego dzieła, lecz mu duszy i życia nadać nie zdoła. Wieniec z najpiękniejszych uwity kwiatów, prędko zwiędnie; na łąkę usłaną rodzinnemi kwiatami, zawsze z nową patrzymy rozkoszą: bo te są życiem z téj ziemi, w któréj tkwią i rosną.

Człowiek z geniuszem prędzéj od innych myśli, ma w pamięci niewyczerpane skarby wyobrażeń, pomysłów, dowodów i obrazów. Zatopiony zwykle we własnych myślach, które tłumami się cisną, w nich najmilsze znajdując zajęcie, cudzemi zajmować się nie lubi, a nawet częstokroć drugich nie rozumie, jak np. Kant dzieł Monteskiego, a w młodości niewiele od drugich nauczyć się może. Najczęściéj pierw-

sza młodość geniuszu, ukrywa się skromnie w cieniu, jak barwinek i dopiero raptem, niespodzianie w całym blasku się rozwija. Dla miernych zdolności, pochwały i oklaski bywają zachęceniem do wytrwania i pilności; prace geniuszu, jak działania natury, lubią odosobnienie, cichość borów pierwotnych i tajemnicę. Człowiek z geniuszem wyższy nad próżność, nie ubiega się za oklaskami, najsłodszą nagrodę w sobie znajduje; zwykle do jednego rzędu myśli, do jednéj jakiéj rzeczy, miewa wyłączny pociąg; rzadko się zdarzają tacy, jak Leonard de Vinci, albo Michał Anioł Bounarotti, który był wielkim snycerzem i wielkim malarzem, albo Leibnic, który był równie wielkim filozofem, jak matematykiem.

Geniusz jest wyższością, która dziwi, lecz nie wznieca miłości. Nierozciągając tu nici cierpień, którym ludzie z geniuszem podlegać zwykli, cierpień w Tassie Getego pięknie opisanych, wymienimy tylko niektóre. Człowiek z geniuszem, póki nie pójdzie drogą wskazaną mu od natury, jest posępny, niczém nie zadowolony, dziwaczny, niespokojny, często stan i miejsce odmienia. Siły duszy i umysłu pasujące się wewnątrz, nie dają duszy jego spoczynku. Zniewolony niekiedy do chwycenia się zatrudnień wprost naturze i skłonnościom geniuszu swego przeciwnych, długo znosi ten ciężki dla duszy swéj przymus, w końcu atoli kruszy wszelkie zawady i jak wezbrane nurty Wisły, z podwójnym zapałem rzuca się w zawód sobie właściwy, i do geniuszu swego stósowny. Geniusz albowiem nie daje się, jak talent, do wszystkiego przygłaskać, nagiąć; lecz zaraz w pierwszéj jutrzence umysłowego życia, o swoich lubi kroczyć siłach i w tém tylko mocne upodobanie znajduje, do czego go wrodzona porywa skłonność.

Ludzie z geniuszem przebijając się przez rozliczne zawady do właściwego sobie w społeczeństwie miejsca, zwykle doznają nieszczęść, które tém mniej znosić umieją, iż u nich wszelkie myśli i uczucia większych nabywają wymiarów; iż co dla innych jest przykrością tylko, dla nich jest nieszczęściem. W niedoli dumni, w pomyślności skromnymi okazują się. Oburza ich pycha, dziwi powodzenie mierności. Na wyższości swojéj jedynie polegając, nie umiejąc uledz okolicznościom, łagodne obchodzenie się z ułomnościami ludzi poczytując za niegodne siebie pochlebstwo, z trudnością kierują się na świecie. Ztąd wielkie ich dla całéj ludzkości przysługi, chwałę którą narodowi przynieśli, późna dopiero potomność ocenia, i najczęściéj wieńcem na grobie złożonym nagradza! —

Charakterystyka oświaty teraźniejszéj.

Z dzieła: „O Literaturze.“ 1845. Przez M. Mochnackiego.

(Str. 348.)

Chcącemu teraz w dostatkach piśmiennych jakiegokolwiek narodu rozeznać jego myśl własną, toż charakter, postać moralną i kształt cywilizacyi, trudném staje się to przedsięwzięcie, jeżeli nie niepodobném ku wykonaniu. Za dawnych czasów, — nie mówię w zapadłéj starożytności, ale w Europie chrześciańskiéj, — umiejętność szła innym strychem. W ciaśniejszych mieściła się szrankach niżeli teraz; kładziono ją pod pewną linię i modłę, żeby nie chybiała ani na tę, ani na ową stronę. To prawda! Lecz wtenczas duch ludzki zawodził na głębią; w głębi przenikał do jasności i szukał gruntu. Dzisiaj we wszystkiem więcéj postawy, niż wątku. Być może, że teraz więcéj umiemy od poprzedników naszych, ale zapewne przechodzą oni nas treścią i mocą swych pojęć. Umiejętność teraźniejsza nie zna żadnego wędzidła; nieukrócona żadną przeszkodą, żadną wątpliwością, jako potok wezbrany z granic występuje. Płynie szeroko, rwistym pędem, na wszystkie rozlewając się strony; ale na swojém nie jest tak umocniona i tak daleko, jak pierwéj, nie zachodzi. Dzisiaj, że tak powiem, wszerz i podług rozmiaru na długość moc pojęć naszych się roznosi; przedtém umysł ludzki, albo bujał w przepaścistych otchłaniach, albo śmiałym lotem wzbijał się w przeciwległą stronę, do wysokości już dla nas niedościgłéj, i ledwo nie ku wyżynom zawrotu. Tam szukał prawdziwéj chwały!

A przecież z tego tylko wyrozumieć można człowieka, w tém jedynie przeniknąć do jego ducha, co on sam głęboko pojął, zrozumiał, uczuł. Któż bowiem zgadnie istotę nic niepojmującą? Toż samo z narodem się dzieje. Dzielność jego poznawań na jaśnią się wyrywa w wiedzy rozpostartéj, w *umiejętności;* a siła jego fantazyi w *sztuce.* Uczucie w pieśni się maluje.

Rzućmy okiem na dzisiejszą statystykę nauk. Co za ogromne drzewo wyrosło z pierwotnego szczepu! Jak wybujało, jak się rozgałęziło! Jak szeroko teraz ziemię zalega cieniem swojém! I coraz to nowe puszcza odrośle. Ledwo nie codziennie, w porządku wiadomości naszych, mnoży się liczba działów, i mnożyć się nie przestaje. A za lat sto, za lat dwieście, któż wie, czy potomkowie nasi przez całe życie swoje do szkół, jako żaki, chodzić nie będą musieli dla nauczenia się, przynajmniéj z rejestru abecadłowego, nazwisk tylu umiejętności, tylą rozmaitemi pochrzczonych

tytułami?! — Każdą rzecz radzibyśmy obrócić w umiejętność; z lada fraszka stworzyć naukę. Cóż z tego, kiedy w tém wszystko się z szczeréj istoty wytrawia, wszystko na wierzch wychodzi!... Jakże wyrozumieć naturę umysłu publicznego, gdzie nic niema ani gruntu pod sobą, ani wewnątrz ujęcia? Cóż wreszcie wyrozumieć z blichtrów w mowie i pisaniu?... Przedtém ktożby był pomyślił, że naprzykład o saméj sztuce kucia koni, albo o zaprawie mularskiéj, o cementach, będziemy mieli liczne pisma, uczone wywody, i ledwo nie całą literaturę? — Inaczéj to kiedyś bywało. Ludzie nie tak wiele pisali o budowlach i cementach, a trwalsze, ozdobniejsze stawiali gmachy.

Zkądże to pochodzi? Dla czego pamiątki stare taką okazałością jaśnieją? Czemu tak zdrożały w naszém własném mniemaniu? Rzecz naturalna. Bo zmaleliśmy w rozerwaniu naszém; bo pierwéj myśl ludzka nie była jako warsztat rękodzielniany, gdzie w miarę podziału pracy na coraz drobniejsze zatrudnienia, otrzymujemy coraz doskonalsze wyrobki. Ten mechanizm tak pożyteczny w ręcznych robotach, wielkie szkody zrządził w nauce. Moc ducha na jedności zależy; w podziałach słabnie, rozprasza się. Umiejętność szerząca się mechanicznemi środkami poniża rozum ludzki. W téj mierze mam na względzie nietylko nas samych w Polszcze, ale całą Europę. Wszyscy teraz, jak widać, z jednego źródła czerpiemy: tak samo wszyscy czujemy, myślimy, piszemy. Czyż to nie jest widoczny skutek powszechnego mechanizmu pojęć, mechanizmu myślenia? W téj jednostajnéj cywilizacyi, zacierającéj właściwość indiwidualną i wszystkie pierwotne cechy, jakże trudno odkryć i wyłączyć istotę naszego narodu w rodzinnéj jego osiadłości? Téż same wszędy formy zewnętrzne i rzecz ta sama; te same widoki, wyobrażenia. Rodzicielstwa znamię na dziełach uczonych, w utworach sztuki, w poezyi, we wszelakiem misterstwie dowcipu, niegdyś tak wydatne, tak raźne, tak bijące w oczy, coraz wątpliwsze staje się. Przyjdzie ku temu, że go i znać nie będzie. Przenoszą się mniemania z jednego kraju do drugiego; jednego trzymają się porządku; w jednych klubach zawarte. Mają tę samę moc i niemoc, tę samę prawdę i nieprawdę. A jeżeli gdzie jaką różnicę postrzeżesz, to tylko w zewnętrznym kroju, na zwierzchniéj szacie myśli; w gruncie żadnéj prawie odmiany. Niżeli o kosztowne perły i dyamenty trudniéj teraz o nowość w myślach. Nie jestże to znakiem, żeśmy upadli na sile?

Ustała światłość pierwotnéj anielskiéj natury człowieka! Ustała owa dzielność poznawań. Zdrobniały pojęcia; osłabła usilność do wielkich rzeczy w zamęcie potocznych spraw społeczeńskiego życia, w nieprzebraném mnóstwie wiadomostek, a najbardziéj rozstrzeleniem się nauk i umiejętności na niezliczone działy. Jakież mniemanie zaweźmie o nas daleka potomność? Powie-li, żeśmy wszyscy jeden naród bratni, jedną rodzinę, spólnym rządzącą się rozumem składali w Europie? Czy téż przypisze niemocy, albo lenistwu, że tak różne plemiona, różne mową, postawą, językiem, obyczajem, w różnych zamieszkałe siedliskach, miały przecież jakby jedną głowę, jedną moc ducha, jednę imaginacyą i jedną siłę natchnienia?!... Zaiste, obróciwszy myśl ku upłynionym czasom, łatwiéj rozwikłalibyśmy charakter idealny któregokolwiek ludu, bądź w starożytności, bądź w wiekach pośrednich, z ułamków, z spleśniałych resztek jego cywilizacyi, jak dzisiaj z ogromnego stosu ksiąg drukowanych i przechowujących się w całości! —

Obraz umysłowéj sfery czasów.

Przez Zygmunta Krasińskiego. 1843.

Za dni Cezara, poprzedzających wielki dzień Chrystusa, świat starożytny był doszedł do ostatnich wyników historyi swojéj: w Religii do zupełnego zwątpienia, — w Filozofii do zupełnego obalenia zasad Politeizmu. Augur śmiał się z Augura — a grecki sofista z samego siebie. Krytyka rozumu zniszczyła wszelką wiarę dawną, wszelkie życie żywiące śród ludów, a nic równie żywotnego lub żywotniejszego na to miejsce nie postawiła. Gdzie tylko spojrzeć w świecie ducha, ruiny, swawola, rozstrój — quot capita tot sensus! — Epikureizm, Stoicyzm, Platonizm, przechadzały się, jak mary, po owdowiałych piersiach ludzkości. Z tylu wojen, proskrypcyi, rewolucyi, wielkie znużenie było się zostało w sercach; — wszystkie wiary polityczne spełzły na niczem, i plebejanin Mariusz i patryciusz Sylla nie zdołali urzeczywistnić myśli swoich, — choć niesłychanym krwi ludzkiéj rozlewem, gwałtami, niesprawiedliwością, terroryzmem starali się dawnego i znikającego porządku kształty raz jeszcze z przeszłości wywołać i żywą teraźniejszością uczynić! — *Śmierć* tylko śmiercią wprowadzić można; — jedno *życie* tylko nie broni się rzezią, — nie wtłacza się na karki ludzkie jarzmem, — ale żywotnie wstępuje w serce ludzkości, stawiając a nie niszcząc, kochając a nie każąc zabijać!

Wszyscy ci wielcy czy *zatraciciele*, czy *odnowiciele* z ostatnich czasów Rzymu, jedną cechę na sobie noszą: — pra-

gną nieznośną postać rzeczy odmienić, ale nie wiedzą ku czemu dąży historya świata. Jedni trzymają się podania Grakków, i chcą demokracyi — drudzy wierzą jeszcze w *Bogi Many* Appiuszów i marzą o arystokratycznéj Rzeczypospolitéj. — Takiém marzeniem obłąkany Brutus, ojca własnego, największego ze śmiertelnych przed Napoleonem, zamorduje i nazwie to cnotą, a konając zwątpi o sobie, o ojczyznie i bogach, i krzyknie: „Cnota jest także złudzeniem! — Dusza zabijającego się Brutusa, to najprawdziwszy obraz duszy świata całego naonczas. Słabość, niepewność, gorączkowa żądza czegoś lepszego i gorączkowe przerażenie po każdym czynie dokonanym, który do pożądanéj przemiany nie doprowadził, — oto są duszy takiéj piętna i z tych znamion łatwo rozpoznać, że świat ten blizki dnia sądu i przeobrażenia swego!

A nietylko umysłowy stan ten bez wiary i daremnych tęsknot lub żalów świadczy o tém. Inna jeszcze tu występuje cecha — nad wszystkie ważna, dowodna — niechybna, — choć z wręcz przeciwnego stanowiska zarwana, choć tycząca się tylko materyalnéj strony ówczesnego człowieczeństwa. Kiedy albowiem wszystko na polu Ducha się rozprasza, zkądinąd wszystko na polu Materyalnych spraw i celów coraz bardziéj się kupi, zrasta, ześrodkowywa. Rzym choć rozdarty sam w sobie i już własnéj nie mający idei, zwycięża, gromi, podbija wciąż — i staje się wreszcie człowiekiem jednym tylko, któremu na imię: *Juliusz Cezar.* — A człowiek ten ziemię nauczy jedności i wspólności. Na pozór wojnami ją skaleczy, na pozór bratu przeciw bratu, synowi przeciw ojcu krótki miecz do rąk włoży; — przejdzie Rubikon bezbożnik, powie *jacta alea est*, cywilnéj wojny ohydę śmiało weźmie na czoło swoje, — Gallią o Egipt uderzy — Germanom pokaże błękit niebios greckich pod Farsalą — Greków za sobą porwie do Afryki — wszystko pomięsza, rozkrwawi, napełni świat szczękiem broni, krzykiem boju, nienawiści krzykiem — a jednak wszystko mimowoli, mimowiedzy połączy, pobrata! Granit plemion nieznających siebie zetrze na piasek jeden, tensam, gładki i równy, jednego, uniwersalnego państwa! I o nim żydzi myśleć będą, że on jéj Bogiem! — Lecz wiecie, że on był tylko poprzednikiem jéj Boga. Na polu historycznego czynu, on tym aniołem, któremu przykazano usuwać zapory z przed stóp idącego Pana! — On, świat przywiódł do materyalnéj jedności, bez któréj żadne słowo życia, rozejść się nie może; — on ziemię znaną podówczas zamienił w jeden wielki i szeroki *gościniec!*

A lat niewiele późniéj, któż zaczął stąpać po téj bitéj drodze? Kto kazać i oznajmiać, że nowe życie już zesłane — i że zmarli nie umrą — i że Bóg, nieznany w Atenach, objawion w Hierozolimie? — Czy nie Piotr — czy nie Paweł — czy nie Jan Święty? — Szaleli następcy wielkiego Juliusza — prześladowali wiarę nową — żartowali śród biesiad ze słowa opowiadanego — chrześcian przybijali do krzyżów — a nie wiedzieli, że trzeba było zniszczyć dzieło pierwszego z Cezarów, by zaszkodzić rozprzestrzenieniu się nowéj religii, — że to samo co ich na *krótko-* i *krotochwilnych* Bogów ziemskich wynosiło, torowało téż drogę ruchowi poczętemu z Nieba — i że jedność materyalna państwa, które w sobie resztę świata pod nazwą prowincyi podbitych zamknęło, była podścieliskiem, warunkiem, zakładem, środkiem koniecznym, postępu dla Chrześciaństwa! — Dbali o tę jedność, pielęgnowali ją, bronili jéj o ile sił zniewieściałych im stało — a tém samem ślepo i bezwiednie opiekowali się coraz wyższym chrześciaństwa wzrostem! W ręku Optarzności narzędziami byli; — prawa historyi dopełniali, wiedzeni własnym pożytkiem, tak jak handlerze i kupcy za czasów naszych — i tak z tylu szatanów widomych na ziemi, każden był sługą bożych myśli — każden jedną cegłą więcéj rzuconą do budowy kościoła. — Jako *Imperatory* przeszli oni obarczeni przekleństwami ludzi, — jako *cegły* zostali się — i dotąd potomni ludzie po nich deptają w Historyi!

Discite historiam exemplo moniti! — Lat dwa tysiące upływa a te same znaki rozciągnęły się po falach czasu; ostatnie podrzuty Rzeczypospolitéj rzymskiéj odbiły się w strasznem, epileptycznem zadrgnieniu Rewolucyi francuzkiéj. — Zerwały się cienie Maryusza, Sylli, Katyliny pod krwawą postacią Dantona, St. Justa, Robespiera; — wreszcie dni Cezara przelały się w dni Napoleona! — A chrześciański Cezar, wyższy całą ubiegłą epoką od poprzednika, przepełniony wiedzą siebie samego i celem któremu kwoli Duch Boży, kierujący dziejami, go zesłał, rzekł umierając na skale wygnania: „*odemnie liczyć się będzie nowéj Ery początek!*“ Wtém słowie zawarta prawda i jego i całéj przyszłości. — Lecz nim ta prawda się rozwinie i dopełni, nim ze stanowiska Napoleońskiego przejdzie świat do innego, całkowitszego i świętszego przeobrażenia się, musi się sam wyczerpywać, jak wyczerpywał się starożytny; musi sam się zaprzeczać, jak zaprzeczał się starożytny. — Nie od dzisiaj, nie od wczoraj ruch ten postępowy w *niszczeniu*, zawrót ten głęboki w zastanawianiu się nad sobą samym poczęty! — Od Grakków świat pogański nie spoczął, aż usłyszał obietnicę Chrystusa; od Lutra nowożytny nie miał pokoju. — Cywilną ogromną wojną i myśli i miecza rozłamuje się co-

raz bardziéj — i on téż nie spocznie, aż dojdzie nie już do usłyszenia, ale do zrozumienia i dopełnienia obietnicy Chrystusa! — W okręgach religijnych wszędzie rozbrat: — Kościół katolicki, jakby snem od wieków trzech, od ostatniego Soboru, ujęty; — Schizma grecka w dziecinnym kształcie pierwotnego chrześciaństwa, na tysiąc kacerstw rozerwana; Protestantyzm sam sobie zagadki rozwiązujący i mówiący *consumatum est!* W okręgach filozoficznéj wiedzy pewność — ale *braku* tylko; — dowód, ale krytyczny tylko, że przeszłość niezdolna potrzebom ludzkości zadosyć uczynić. *Wściekło-flegmatyczne*, że tak powiem, zaprzeczenie filozofii do najwyższego bezkształtu doszło. Jednostronność *myśli* tknięta tą samą niemocą postawienia czegoś żywotnego, jak wprzódy jednostronność *materyi*, któréj się trzymał ród Encyklopedystów francuzkich. Ztąd mniemań, teoryi, przypuszczeń, systematów zgmatwany rój, brzęczący nad Europą!

Wszystkich wieków, co przeszły nad ludzkością, marzenia, nadzieje, szlachetne wiary i straszne bluźnierstwa; herezye chrześciańskie wszystkie, panteizm Indyjski cały, Dualizm perski, Monoteizm hebrajski, Idealność wyłączna i Zmysłowość wyłączna, wskrzeszone razem i w téj mieszaninie wykształcone, ogładzone, jedne na drugie się zsuwające tak, iż trudne do rozpoznania — a wszystkie wołające do nieba o dzień sądu, o chwilę rozstrzygnienia, same proszące się o śmierć, by się prędzéj przemieniły, i nową iskrą życia pojednane zmartwychwstały młodemi napowrot! — Oto obraz umysłowéj sfery czasów naszych!

B.

Dyssertacye

czyli

Rozprawy naukowe.

O Języku Polskim.

Listy Brata i Siostry, przez Klementynę z Tańskich Hofmanową.

Wyjątek z „Rozmaitości“ Tom X. Wrocław 1833.

List Pierwszy.

Zdzisław do Wandy.

(Str. 353.)

Z Krzemieńca.

Pierwszy raz w życiu odbieram list od Ciebie, kochana Wando, i przyznaję, że mi wielką radość sprawił. Piszesz, że tułając się długo po obcych domach, osiadłaś nareszcie na zawsze u naszéj ciotki, która już za córkę Cię uważa. Zaczęła swoję opiekę od przedstawienia Ci twoich obecnych powinności, i ona pierwsza Cię nauczyła, że nie mając rodziców, w starszym bracie powinnaś widzieć opiekuna i ojca. Rozrzewnił mnie Twój list, i słodką ku ciotce przejął wdzięcznością. W saméj rzeczy rodzeństwo osierocone, więcéj kochać się powinno, a wzajemném przywiązaniem łagodzić wspólną i niepowetowaną stratę rodziców!... Ale dla czegoż, kochana siostro, te uczucia po francuzku wyrażasz? Wszakeśmy oboje Polacy? Wszak w krajach Polskich mieszkamy? Po polsku więc pisuj do brata! Mowa ojczysta najmilsza i najprzyzwoitsza każdemu Polakowi; wyrazy przywiązania w niéj kreślone, jeszcze snadniéj do serca jego trafiają, bo sam dźwięk narodowego języka słodko to serce porusza... Pamiętam, żeś od dzieciństwa wielką wróżyła do wszystkiego zdatność; wiem, że gdziekolwiek byłaś, wszędzie twoję pilność chwalono; z odebranego świeżo listu widzę, że te nadzieje i te pochwały mylnemi nie były. W dwunastu leciech trudno tłomaczyć się gładziéj i jasniéj, a jeszcze w obcéj mowie; wyglądam zatém z prawdziwą niecierpliwością listu od Ciebie po polsku napisanego. Wierzaj mi, podwoi się tym sposobem wdzięk listów naszych, bo gdzież szukać milszéj mowy nad mowę naddziadów? I w jakiéjżeby uczucia i myśli łatwiéj wydać można, jak w téj, którą najpierwéj usta nasze przemówiły?

List Drugi.

Wanda do Brata.

(Str. 354.) Z ***

Biorąc pióro, żeby do Ciebie pisać dzisiaj, mój kochany bracie, doświadczam daleko *bardziéj* większego kłopotu, jak kiedym do Ciebie *pisywała* po pierwszy raz. To jest wielka szkoda, że *niema*, *tylko listy* pisane po polsku, które Ci są przyjemne, bo Ty mi odbierasz *tędy* całą *możność rozmawiać* z Tobą w języku, *co* ja posiadam daleko lepiéj, *jak* mój; i *co umiałby* daleko lepiéj malować moje uczucia. *Może bydź*, *jest* to źle; *ale to jest*, *jak* mnie wychowano. Czuję sama, że *ja* Ci prawię tutaj głupstwa. Ale chciałabym tak mocno Ci dowieść *całe* moje przywiązanie, i mieć z *Twoich nowin*, że wolę lepiéj Ci posłać te śmieszne wyrażenia, jak *chować milczenie*, i bydź pozbawioną, z *Twoich listów*... Ale *Ty* mi darujesz krótkość *tego;* trzeba żebym się ćwiczyła, nim będę mogła *Ci zrobić jeden bardziéj długi*; a potém, nie *umiałbyś uwierzyć*, jak to mi jest trudne związać co w tym natłoku słów i wyrażeń z jednego języka i z drugiego, które się przedstawiają mojéj myśli. Zaledwie ja mogę znaleść wyrazy, żeby Tobie powiedzieć, że Ciebie kocham i Ciebie szacuję z całego mego serca... Jestem doprawdy tak zakłopotana, i ten list *wziął tyle czasu*, że *ja* Cię błagam, żebyś raczył mnie uwolnić od ciężkiego *obowiązku pisać* do Ciebie po polsku!... Ale jeżeli ty masz się gniewać, wolę lepiéj być *odmówioną*. Będę się ćwiczyć *tyle i tyle*, że nakoniec rzecz się zrobi łatwa. Czyż nie prawda? mój kochany bracie, Ty za to pokochasz *lepiéj* Twoją małą i posłuszną siostrę? *Wandę* ***

List Trzeci.

Zdzisław do Siostry.

(Str. 354.) Z Krzemieńca.

Wiesz com zrobił z Twoim polskim listem? Niedoczytawszy go rozdarłem. Wybacz, Wando, ale w pierwszym momencie nie mogłem się wstrzymać! Wiesz com jeszcze zrobił? Oto na nieszczęście wpadł mi zaraz potém pierwszy Twój list w rękę, i ten podarłem: bom się szczerze na Ciebie rozgniewał. Tak dobrze na wiek swój obcym pisząc językiem, jak możesz w ojczystym takie brednie prawić? Wstyd mnie za Ciebie; a gdy sobie przypomnę, żeś gotowa do uznania tego błędu, szczerze Cię żałuję. Nazwałaś mnie sama swoim opiekunem i ojcem; mam niejako prawo do użyczania Ci rad dobrych. Nie dziwuj się więc, jeźli do Ciebie po ojcowsku napiszę; pochlebiam sobie, że i ciotka

gniewać się na mnie nie będzie; ona dobrocią swoją tę śmiałość mi nadała.

Na miłość, którą masz ku mnie, zaklinam Cię, siostro, wejdź w siebie; zastanów się, i uznaj, jaką to jest niedorzecznością zatapiać się w obcéj mowie, w niéj jedynie mówić, czytać, pisać, mając własną, piękną i bogatą! W tém, niestety, że ten przesąd jest niemal powszechnym u płci Twojéj; że pomimo pozornéj jakowejś odmiany, ciągle u nas obcy język nad ojczystym przewodzi. Wiem, że gdybym w téj chwili mógł przejrzeć cudem jakim wszystkie dziewczynek twego wieku i stanu, Dzienniki, Listy, Zeszyty, Imienniki, Modlitwy nawet, znalazłbym wszędzie francuzki język w robocie, a zaledwie okazałoby się dziesięć na stu, które ojczystą zamiłowały mowę! Lecz ta ślepota im powszechniejsza, tém więcéj szkodliwa, i bardziéj bolesna. Język polski drogą jest po ojcach naszych spuścizną; za jego jedyną pomocą możemy podnieść literaturę krajową. Jakżeby gardzić tym skarbem?... Przekonany jestem, Wando, że lubo nie umiesz ani mówić ani pisać po polsku, serce twoje *polskie* ma uczucia; wiem, że wszystko, co się tycze wielkości i sławy kraju, unosi twą duszę, a każda niedola jego ją rani; wiem o tém z pewnością, i gdyby było inaczéj, nie chciałbym Cię siostrą nazywać..... Wiem także, żeby szczęściem było dla Ciebie, przyczynić się do wzrostu chwały imienia polskiego. A wiesz, ten czyn w Twojéj, w równiennie twoich jest mocy. Doprawdy, ja nie żartuję, czytaj tylko daléj.

Twój list rozgniewał mnie, ale gdym się nad nim zastanowił, boleść miejsce gniewu zajęła, i nie do Ciebie jednéj ale do wszystkich równiennie Twoich głęboki żal powziąłem. Ach! pomyślałem sobie, gdybym miał z dziesięć lat więcéj, gdybym już pisał dobrze, uczyniłbym odezwę do wzrastających dziewcząt za mową ojczystą! Możeby moje słowa do ich serc trafiły! Ale tak, cóż uczynić mogę? Oto myśli, które mi się po głowie snują, jakkolwiek ułożę, i przeszlę je siostrze, niech choć ją poruszą. Posyłam Ci więc tę odezwę; napisz mi szczerze, jakie na Tobie wrażenie uczyni. A jeźli mnie kochasz, proś kogo, żeby Ci Twoję polszczyznę poprawił, bo inaczéj znowu list podrę.

Odezwa do wzrastających dziewcząt za mową ojczystą.

(Str. 355.)

Serce miłością kraju przejęte, serce zagrzane chęcią rozszerzenia narodowéj sławy, odzywa się do was słabym i niewymownym głosem. Obym mógł wlać w dusze wasze szla-

chetny ku narodowości zapał; obym mógł napoić młodociany umysł wasz tém przekonaniem, że wy podnieść język polski możecie. Tak! — lubo teraz małe i nic prawie nie znaczące, — w was przecie spoczywa ta słodka nadzieja, wy za lat kilkanaście chlubą narodu zostać możecie. Już bowiem dla niewiast, które od pieluch obcym mówią językiem, które nawykły w nim wszystkie myśli i uczucia wyrażać, już dla nich trudno nabyć pożądaną w mowie ojczystéj biegłość. Polki w sercu, uznają błąd ten swojéj edukacyi, boleją nad nim, poprawićby się rade, ale już zapóźno! Lecz dla was, dziewczęta; które dopiero wstępujecie w zawód życia, któreście jeszcze czasu nie miały nawyknąć na zawsze do złego, dla was wszystko jest łatwém, wszystko jest podobném. Umysł wasz giętki, jak młode drzewko, na każdą stronę nachylić jeszcze można. Korzystajcie z tak pomyślnéj pory, ćwiczcie się w mowie ojczystéj, przełóżcie ją nad inne! Ten wasz postępek, wielkie skutki za sobą pociągnie. Wy za lat kilkanaście wpoicie w córki własne uczucia i zdania, i zgubny przesąd przetnie się na was, zakończy się na dzisiejszém pokoleniu. Od was się ustali prawdziwych Polek pasmo, od was powstanie epoka nowego mowy ojczystéj odrodzenia! — Ach! dajcież téj drogiéj ziemi, na któréj każda z was się rodziła, która was żywi i nosi, dajcież jéj ten dowód przywiązania. Łatwo wam przyjdzie na całe życie zabezpieczyć sobie słodką pociechę i chlubę. Proście usilnie rodziców, opiekunów waszych, niech was każą uczyć gruntownie po polsku. Modlitwy, wypisy, treści, dzienniki, listy, piosnki, niechaj będą w ojczystéj mowie pisane! Z ojcem, z braćmi, z przyjaciółkami waszemi, mówcie po polsku; strzeżcie się pilnie mieszania słów i wyrażeń francuzkich. Nie wierzcie tym, którzy utrzymują, że w języku naszym wydać nie można drobnych i trafnych postrzeżeń, uczuć delikatnych, że nikt z niego języka towarzystwa, języka serca uczynić nie potrafi! Teraz kiedy jeszcze dla młodości waszéj w żadnéj mowie wysłowić się dokładnie nie umiecie, wprawiajcie się w ojczystą, a za lat kilka i ustnie i na piśmie czysto i gładko tłómaczyć się w niéj będziecie. Bo miałożby niebo dać Polkom tkliwość i dowcip, a nie użyczyć im mowy, w którejby te dary wyrazić mogły? Nie! tak niesprawiedliwém nie było! Pięknym, bogatym, słodkim jest nasz język; lecz ktokolwiek nim w młodości wzgardzi, przed tym on na zawsze skarby swoje zamyka; gdyż według słów mędrca: „*W jaką drogę młodzieniec się puści, takiéj choćby się starał, opuścić nie zdoła.*“

List Czwarty.

Wanda do Brata.

(Str. 356.)

O mój kochany bracie! jakiemże szczególnem uczuciem Twój list i Twoja odezwa mnie przejęły! Strapiona żem Tobie przykrość sprawiła, żem Cię rozgniewała, zawstydzona wymówkami Twemi przekonana uwagami, zaczęłam od tego, żem się rozpłakała. Przyszła na to ciocia z wujaszkiem, i oboje zupełną słuszność Twoim słowom przyznali; moje zaś łzy pochwalili, zachęcając do jak najprędszéj poprawy. „Tak — mówił wujaszek — bardzo słusznie Zdzisław pisze; zostawione to jest wzrastającym dziewczętom upiększyć język polski i więcéj go upowszechniać. Ty Wando — dodał obracając się ku mnie — czytaj ten list i tę odezwę brata wszystkim młodym przyjaciołkom twoim, a co więcéj usłuchaj go sama! Zobaczysz, że twój przykład, wiele ich za sobą pociągnie; bo mylne jest zdanie tych dziewcząt, które mówią: Cóż z tego, że ja będę mówić, czytać i pisać po polsku? Cóż ja jedna pomogę, kiedy prawie wszystkie panienki mego wieku inaczéj czynią? Powtarzam, jeden dobry przykład czasem wiele sprawi; a wreszcie dająca go już ma to przekonanie, że się w niczém nie przyczynia do rozszerzenia złego. Słuchaj więc brata!“ powiedział jeszcze wujaszek. — Dobrze, odpowiedziałam, ale proszę mnie nauczyć, jak się mam wziąść do spełnienia jego woli. Jaćbym bardzo chciała umieć dobrze po polsku, ale niewiem jak zrobić? — „Zapytaj się Zdzisława — ja mu nie chcę odbierać chluby jemu należnéj; niech on tobą kieruje, jemu samemu bądź winna twoje nawrócenie; ja podejmuję się tylko poprawiać listy do niego; bo pocóż go martwić tą francuzką polszczyzną? i pocóż ty masz się wprawiać w tak nieznośny sposób pisania?“ Tak uczynił dobry wujaszek; ja napisałam ten list do Ciebie moim sposobem. Wujaszek czytając go i śmiał się i gniewał. Jak go zaczął poprawiać, tak wszystko prawie przemazał, ledwie kilka słów moich zostało. Ale to mnie wcale nie zniechęca, chcę szczerze nauczyć się dobrze po polsku, chcę jak mówisz przyczynić się do chwały kraju mojego. Ta myśl napełnia mnie nawet słodką i szlachetną dumą i podnosi mnie w własnych oczach! Chcę także godną Ciebie okazać się siostrą... Ty, bracie, nie opuszczaj mnie, dokończ tego coś zaczął; napisz mi dokładnie, jak sobie mam teraz postępować. Już na chęci nie zbywa, ale jeszcze sposobności niema. Jakże szczęśliwą będę, gdy późniéj sama bez niczyjéj pomocy list do Ciebie prawdziwie po polsku napiszę! Bo i ten dodatek wujaszek poprawiał.

List Piąty.

Zdzisław do Siostry.

(Str. 357.)

Luba Wando! Otóż teraz Cię kocham, otóż teraz się szczycę, żeś jest siostrą moją. Radbym Cię uściskał, za ten dowód przywiązania do narodowości i do brata. Żałuję żem się mógł gniewać na Ciebie, żem był łez Twoich przyczyną... Pocieszam się jedynie myślą, że ten gniew i te łzy na dobre Ci wyjdą. — I Ty i wujaszek chcecie oboje, bym dokonał zaczętego dzieła i wskazał Ci sposoby poprawienia się z szkodliwego nałogu. Pochlebia mi ta chęć wasza; ale podobnobym jéj sam zadosyć uczynić nie potrafił; młodym będąc, mało mam nauki, mniéj jeszcze doświadczenia. Ale właśnie jak gdyby na szczęście zrobiłem przed kilkoma miesiącami znajomość, która nam teraz wielce się przyda. Poznałem osobę dwudziestokilkoletnią, posiadającą język francuzki prawie tak dobrze, jak wszystkie lepiéj wychowane Polki, a przytém mówiącą i piszącą po polsku, jak niewiele kobiet w naszym kraju. Ten jéj przymiot ponętą był dla mnie; starałem się widywać ją często, rozmawiać z nią, bywać w jéj domu, i doszło do tego, że mnie uważa jak brata. Gdym więc odebrał list Twój ostatni, przyszło mi na myśl zasięgnąć jéj rady nim Ci odpiszę; i zapytać się jéj, jakim sposobem wśród powszechnéj prawie zarazy, potrafiła jéj uniknąć? Chcąc ufnością na jéj zaufanie zasłużyć, poniosłem jéj listy Twoje. Wysłuchała mnie z uwagą. Gdym skończył: „Szczęśliwa siostra twoja — zawołała — że w tak młodym wieku do téj poprawy się bierze; nierównie jéj łatwiéj przyjdzie, aniżeli mnie. Ja siedmnaście lat już miałam, a jeszcze mowa ojczysta była mi prawie obcą; uwiedziona niemal powszechnym przykładem, przyzwyczajona od dzieciństwa uczyć się wszystkiego w francuzkim języku, wzrosłam w tém przekonaniu, że niepodobną jest rzeczą dla kobiety napisać list, lub cokolwiek bądź innego po polsku. Do tych lat więc francuzka mowa była jakby rodowitą dla mnie, nie umiałam w ojczystéj kilku słów gładko skleić, a jednak dziś uleczona z tego przesądu, jeźli zupełnie dobrze nie mówię i nie piszę, nie mam przynajmniéj powodu do wstydzenia się za moję polszczyznę.“ Gdym to usłyszał, błagałem jéj usilnie, żeby mi raczyła powiedzieć, jakim sposobem ta cudowna przemiana w niéj się stała? jak nabyła téj potrzebnéj znajomości? — Odpowiedź jéj dosłownie tu wypiszę. — „W *Pamiętniku Warszawskim*, nie pamiętam dobrze z którego roku, (mówiła) była piękna za językiem polskim przemowa; tak do mojéj duszy trafiła, żem nagłe w sobie uczuła wzruszenie, a razem wstyd i żal niezmierny, iż dotąd tak mało dbałam o ojczystą mowę. Natychmiast umyśliłam się poprawić, nie zrażać się bynajmniéj trudnościami, i niezmęczoną pracą czas stracony odzyskać, błąd popełniony nagrodzić. Naprzód zastanawiałam się nad sposobami poprawy, i taki był owoc uwag moich. Mając głowę napełnioną francuszczyzną, uznałam, że wypadało koniecznie zaniechać zupełnie na czas jakiś czytania francuzkich ksiąg i zająć się jedynie polskiemi, ażeby zapomnieć cokolwiek trybu obcéj mowy, i przejąć się prawdziwym narodowéj tokiem. Czytałam więc pilnie klasycznych pisarzy naszych. Chcąc potem wziąść się do pióra (boć i pisać dobrze każdéj lepiéj wychowanéj kobiecie przystoi) wyrzekłam się wszelkich tłomaczeń, gdyż się przekonałam, że przekładać z francuzkiego na polskie tym jedynie wypada, którzy są w mowie ojczystéj ugruntowani; inaczéj przejmują nieznacznie składnią słów francuzką, a ta jest zupełnie naszéj przeciwna. Dla nabycia niejakiéj w pisaniu wprawy, tego użyłam sposobu. Wzięłam Krasickiego tak śliczne i moralne dzieła prozą pisane. Zaczęłam od powieści jego; wybrałam krótką; oto jak dziś pamiętam, tę, która *Powieści Arabskiéj* tytuł nosi; przeczytałam ją kilka razy z uwagą, a potem zamknąwszy książkę, napisałam całą z pamięci. Tak uczyniłam z innemi Krasickiego Powieściami, z Uwagami jego, i gdym prawie wszystkie przeszła, znacznéj biegłości w pisaniu polskiém nabyłam. Wtedy smakując codzień więcéj w rzeczach ojczystych, zapragnęłam nauczyć się dokładnie dziejów kraju mojego. Wyszły też właśnie wtenczas szacowne *Śpiewy historyczne*. Ich czytanie podwoiło tę chęć we mnie; wzięłam Albertrandego, Bandtkiego, Naruszewicza, póki go starczyło; czytałam w każdym z tych opis jednego panowania, lub pewnéj epoki; a potem zebrawszy w jedno te rozrzucone tu i owdzie wiadomości, pisałam treść ich z pamięci. Było pracy i gryzmołów dosyć, ale to ćwiczenie wyuczyło mnie dobrze dziejów Polskich, i wprawiło w styl czystszy. — Wtedy wzięłam się do tłómaczeń, ale więcéj tłómaczyłam z niemieckiego, niżeli z francuzkiego języka. Wszystkie te zaś piśmidła poprawiała mi osoba znająca doskonale grammatykę Kopczyńskiego. Nie wyszło trzech lat, kiedym tyle nabyła biegłości w mowie ojczystéj, ile jéj mieć koniecznie każdéj prawdziwéj Polce należy. Odtąd język francuzki jest tylko u mnie posiłkowym językiem; czytam w nim piękniejsze dzieła, mówię i piszę kiedy do tego przymuszoną jestem, ale mowa ojczysta jest główną, zwyczajną i ulubioną mową moją! I to jéj zamiłowanie tyle mi przyjemności sprawia, tak nawet zaspokaja sumienie, że wszystkim znajomym

tę poprawę zalecam, i prawdziwie szczęśliwą jestem, gdy mi się którą nawrócić uda. Do siostry twojéj — dodała uprzejmie — już wielką skłonność czuję, i zawczasu proszę, ażebyś mnie o jéj postępach uwiadomił.“ —

Jakież bym Ci mógł, droga Wando, lepsze rady przesłać nad te słowa przykładem stwierdzone? Zapewne i wujaszkowi się spodobają. Słuchaj ich więc; weź się do czytania polskich książek; przez te kilka lat zwiększyła się znacznie ich liczba; weź się do pisania; zacznij także od *Powieści Arabskiéj* Krasickiego; jest w tomie szóstym na karcie 88, wydania Dmochowskiego. Zgromadź polskich dziejopisów; będziesz mogła łatwo mieć zbiór nierównie znaczniejszy: gdyż w tych czasach co rok pomnażają się skarby nasze historyczne. A nadewszystko pracuj usilnie; nie myśl po francuzku chcąc po polsku pisać; proś kochanego wujaszka, żeby Ci poprawiał prace Twoje, a nie wątpię, że jeszcze i pomyślniejszy skutek Twoje usiłowania uwieńczy: bo wszyscy mówią, że im kto młodszy, tém mu łatwiejsze każde przeistoczenie. Pracuj więc luba siostro, naucz się dobrze pisać po polsku, a uradujesz Twojego

Brata.

List Ostatni.

Wanda do Brata.

(Str. 360.)

Twój list ostatni kochany bracie, czytałam już trzy razy, a zawsze z nową radością. Już teraz ani wątpię, że i ja kiedyś nauczę się dobrze po polsku. Kiedyć w siedmnastu leciech, można nabyć téj wiadomości, w dwunastu jeszcze łatwiéj do niéj się wprawić. Słuchać będę ślepo i z największą przyjemnością Twojéj i téj osoby rady. Tak mam głowę tą przemianą zajętą, że mi się aż dzisiaj coś o niéj śniło. Zaraz jutro wezmę się do żądanéj pracy, a przez cały dzień dzisiejszy same przygotowania robię. Już mam zeszyt na powieści Krasickiego, już tom szósty pism jego wyjęty z biblioteki,. *Powieść Arabska* papierkiem naznaczona; już mam Niemcewicza, Faleńskiego, Miklaszewskiego, Wagę, z dodatkami Lelewela, całą librę papieru na gryzmoły, i śliczną książkę ponsową od cioci do przepisywania treści na czysto. Może ja kiedy tę historyą do druku podam? Bo to będzie moja własna robota, i zupełnie nowa! Wujaszek obiecał mi dostarczyć jeszcze więcéj historyków polskich; obiecał także święcie poprawiać, cokolwiek napiszę; a jak jego nie będzie w domu, to poproszę nauczyciela moich kuzynów. Nie uwierzysz, kochany bracie, jak jestem szczęśliwa, jak się cieszę z tych nauk! Szkoda, że Krzemieniec tak daleko, posyłałabym Ci kopie tego wszystkiego, co pisać będę. Ale nie, nie poślę żadnéj, prędzéj do nas przyjedziesz. A wtenczas z jakąż dumą stanę przed Tobą! — Jaka to będzie radość popisywać się z tak potrzebną i chwalebną umiejętnością przed tym, któremu ja winna będę. Bywaj zdrów, kochany, jedyny, drogi bracie! Kłaniaj się odemnie téj osobie, i podziękuj, że się mną interesować raczy. Może to będzie nie pięknie, ale mnie się zdaje, że ją prześcignę; i prędzéj jak we trzech leciech lepiéj od niéj pisać i mówić będę po polsku. Już w tym liście wujaszek cokolwiek mniéj błędów znalazł: bo téż w tym czasie przeczytałam kilka książek polskich. Bywaj zdrów, i pewny o przywiązaniu i wdzięczności Twojéj

Siostry.

O Języku Polskim.

Przez Jana Śniadeckiego. Wilno 1818.

(Str. 360.)

Język polski godziż się dziś uważać w swém niemowlęctwie, i w tym stanie nieokrzesania i dziczyzny, jakby w nim ani rzeczy oddawna znane, dobrze nazwane nie były, ani nazwiska i wyrazy wymawiane i pisane właściwie? Oto pierwsze zapytanie, którem sobie zrobił biorąc się do pisania w tym języku. Kiedy naród cały, rozciągający się niegdyś od Elby aż za Dniepr, od gór karpackich aż ku brzegom morza baltyckiego, mówił od swego początku tym językiem, kiedy przez kilka wieków odbywał w nim swoje obrady publiczne, roztrząsał najzawilsze rządowe rzeczy i sprawy, ważył stósunki z krajami zagranicznemi, stanowił i pisał w nim prawa; kiedy w tym języku ma przełożoną biblią i najszacowniejsze dzieła starożytnych i dzisiejszych narodów europejskich; kiedy tyle posiada rozlicznych wiadomości i nauk w tym języku ogłoszonych; kiedy wydał tylu prawdziwych i wielkich poetów, a w prozie po Reju z Nagłowic, Stanisławie Orzechowskim, Łukaszu Górnickim, Piotrze Skardze, Kazimierzu Kojałowiczu, miał jeszcze znakomitych pisarzy: w Ignacym Krasickim, Adamie Naruszewiczu, Franciszku Dmochowskim, Hugonie Kołłątaju, Grzegorzu Piramowiczu, Onufrym Kopczyńskim, nie wspominając tylu innych dotąd żyjących: język tylu pracami od trzech wieków zbogacony, tylu pięknościami i zaszczytami świetniejący, nie może się uważać w stanie dzieciństwa i niedojrzałości! — Wszystko więc, co było dawno znane, musi mieć swoje nazwisko, które potrzeba tylko w tym języku wyszukiwać i wydobywać z zamieszania a na rzeczy dawno wiadome nowych słów i nazwisk stwarzać się nie godzi.

Nie godzi się też słów i wyrazów znanych i powszechnie przyjętych wykrzywiać, przerabiać i odmieniać. Bo jeżeli chlubimy się z tego, czego inne europejskie narody za sobą nie mają, że rozumiemy wszyscy język wieku Zygmuntów, starać się powinniśmy, aby ci ojcowie mowy naszéj, gdyby wyszli z swych grobów, w rzeczach sobie znanych mogli nas wzajemnie rozumieć.

I na tém zdaje mi się polega stałość, ocalenie i zachowanie narodowego języka. Język nie jest strojem kobiecym wystawionym na dziwactwa mody i wymysły przymilenia; któryby wolno było giąć, wykręcać i przerabiać, żeby go potém porzucić i zaniechać. Jest to owszém ustawa, wskazana przez towarzyską potrzebę, wyrabiana wiekami ze skłonności, obyczajów i charakteru narodu, doskonalona postrzeżeniami i talentem znakomitych ludzi, a utwierdzona zgodném przyjęciem i powszechnem całego ludu używaniem. Tak ustanowiony język jest znamieniem rozróżniającém od siebie narody i ich pokolenia tak, jak imiona, nazwiska, herby i przydomki rozróżniają osoby i familie w towarzystwie. Jeżeli więc każdy obraża się i oburza, kiedy kto jego nazwisko przekręca i kaleczy, albo co w jego znakach i herbie odmienia: z równą słusznością urażać się powinien naród, kiedy kto ośmiela się przerabiać i odmieniać jego język i wyrazy od dawna i powszechnie przyjęte. Dla tego taki krok nieuwagi, niewiem czy źle, czy dobrze, brałem zawsze za winę obrażonego narodu. Wszystkie oświecone Europy kraje tkliwe są na podobne wykroczenia, i przebaczać im nie zwykły. Wiemy na jak skrzętne szpiegowania, na jak uszczypliwe wyrzuty i szyderstwa wystawiona była akademia francuzka w Paryżu trudniąca się doskonaleniem języka, ilekolwiek razy chciała się odważyć na jaką w języku lub jego wyrazie odmianę! — Naród, który wydał tylu wielkich pisarzy, uważał swój język, jak ową Arkę Świętą, któréj nie godziło się dotykać, tylko uprzywilejowanym, to jest nadzwyczajnym talentem udarowanym ludziom. Wszystkich fabrykantów nowych słów i odmian, okrywano obelgą i szyderstwem, i ogłaszano jako nieumiejących języka. I lubo w tym narodzie do przesady skłonnym, często zbyt daleko posuwano tę żarliwość, wszelako ostrość ta i surowość miała swoje pobudki w miłości własnéj, i w dumie narodowéj.

Język jest skazówką stopnia, do którego przyszedł naród w cywilizacyi i oświeceniu. Jeżeli język jest ciemny, nieokrzesany, ubogi w wyrazy na znaczenie rzeczy, myśli, i namiętności w rozmaitych ich cieniach, przemianach i stopniach; jeżeli prawidła jego nazywania, wymawiania i pisania nie

są ustanowione i dobrze oznaczone, naród nie wyszedł jeszcze z dziczyzny, ani do rzędu oświeconych i ucywilizowanych ludów nie ma prawa należeć. My Polacy na cóż się chlubimy wiekami Zygmuntów i Stanisława Augusta? Na co stawiamy na naszę chwałę tyle dzieł wzorowych w różnym rodzaju nauk i wiadomości? Na co w tych dziełach wychwalamy tyle zaszczytów dowcipu i umiejętności; na co uwielbiamy języka naszego jasność, bogactwo i dzielność, jeżeli w XIX. wieku pozwalamy twierdzić i drukiem ogłaszać potrzebę przerabiania nazwisk, sposobu ich inaczéj wymawiania i pisania, w rzeczach i myślach potocznych? Cóż nam po prawidłach grammatycznych przez *Kopczyńskiego* tak pracowicie wyszukanych, tak umiejętnie i gruntownie dowiedzionych, jeżeli ich nie mamy słuchać i zachowywać w pisaniu? Na co się zda ogrom tak potrzebnych, tak nieocenionych mozołów *Lindego* w jego słowniku na to sporządzonym, aby nas obeznać z rzetelném znaczeniem, i wdrożyć we właściwe użycie słów i wyrazów? Na co się, mówię, zda tak ważna robota, jeżeli się otworzyła nowa i bogata mina geniuszów, reformatorów, i fabrykantów słów, którzy depcząc wszystkę powagę wielkich pisarzy podają się i ogłaszają za doktorów narodu?

Takiem sobie w boleśnem wzruszeniu porobił pytania, kiedy mi wpadły w ręce książki i pisma, w których, jak gdyby w szpitalu chromych i kalek, znalazłem wyrazy prawdziwie polskie i czyste, zmienione, powykręcane, i jak na łożu tyrańskiem *Prokusta*, obcięte i podręczone; inne znowu bez żadnéj potrzeby niezgrabnie potworzone i polepione! Miły Boże! rzekłem sobie w gorzkiém westchnieniu; trzebaż było jeszcze téj ostatniéj klęski na nieszczęśliwy i tylą dolegliwościami trapiony naród, żeby nawet mowę ojczystą, ten jedyny zabytek jego chwały, grzebać i niszczyć? Trzeba, żeby w stolicy przemawiano i pisano językiem, którego już szczery Polak zaczyna nie rozumieć? W innych krajach ludzie bardzo długo są uczniami wielkich pisarzy, pracowitego ćwiczenia i głębokiego rozmyślania; u nas każdy zaraz chce bydź nauczycielem, reformatorem i prawodawcą! Zginęliśmy anarchią polityczną; mamyż się jeszcze gubić na języku, smaku i rozsądku, anarchią literacką? Geniusz polski jestże to twór złożony z pierwiastków nieładu i dziwactwa: kiedy czego się tylko dotknie, wszystko miesza, burzy i wywraca, własnéj nawet mowie nie przepuszczając?! —

O Tłomaczeniach.

Z „Wieczorów Pielgrzyma.“ Przez S. Wittwickiego. Tom II.

(Str. 370.)

Są ludzie albo tak nieszczęśliwi, albo tak o sobie niedbali, iż zaciągnąwszy się w nałóg ustawicznéj pożyczki i jałmużny, żyją ciągle o cudzém, i ani myślą wyjść z tego położenia mimo wszelkich do niego przywiązanych przykrości. Między takimi biedakami, a naszą literaturą było przez długi czas podobieństwo; dziś nawet niezupełnie zniknęło.

Od końca mianowicie przeszłego wieku pisarze polscy rozchorowali się powszechnie na tłomaczenia, a te na nieszczęście tak nam przypadły do gustu i weszły, że tak powiem, w krew naszych autorów, że nawet teraz, kiedy literatura krajowa coraz widoczniéj podnosi się i o swojéj własnéj sile chodzić zaczyna, jeszcze się od tłomaczeń, od téj, mówię, pożyczki i jałmużny cudzoziemca nie odrażamy.

Gdy się zastanawiam nad tą manią tłomaczeń, dwie jéj główne upatruję przyczyny: słabość, stary grzech niestety, dla wszystkiego, co z zagranicy, i chęć jak największego ułatwiania sobie wszelkiéj roboty, czyli, mówiąc bez ogródki, lenistwo. Łatwiéj jest książkę gotową przetłomaczyć, niż książkę nową samemu napisać; więc też tłomaczymy wszystko, zacząwszy od dzieł filozoficznych i politycznych aż do lada powiastki, lada sztuki teatralnéj, lada bajki o motylu, o kurze, o zającu, wreszcie aż do sposobu kwaszenia ogórków, bo i o tém ogłosił ktoś broszurę niedawno.

Nie przypisywać sobie rozumu w tém, w czém go kto niema, ani zdolności, jakich komu Pan Bóg nie dał, a szukać chętnie światła u drugich, jestto zapewnie bardzo chwalebnie; ależ dobrowolnie czynić z siebie niedołęgę, i gdzie można iść, nawet biegnąć samemu, — wyciągać ręce, żeby koniecznie drudzy prowadzili, byłoby niegodnie i niebacznie. Nikt tego we mnie nie wmówi, żeby polski rozum nie wystarczył n. p. na ukwaszenie jakiéj jarzyny, na upieczenie dobrego chleba i t. d., a jednak polscy autorowie, o takich rzeczach piszący, zamiast pójść na naukę do naszych folwarczych bab, udają się raczéj do bibliotek cudzoziemskich i znoszą nam jakieś tłomaczenia. Od świata jarzyn i zboża przechodząc do świata myśli i uczuć, przecież także możem sobie bez pochlebstwa powiedzieć, że i tu bylibyśmy w stanie coś sami przez się, bez łaski Francuza, Niemca lub innego cudzoziemca napisać; boć (za pozwoleniem panów tłomaczy) Polak także, dzięki Opatrzności, ma nietylko ręce i nogi, ale też głowę i serce.

Gdyby jeszcze tłomaczono same dzieła niepospolite, płody rzadkiego talentu, nadzwyczajnéj nauki! Ale przeciwnie: z niemieckiéj naprzykład literatury, co stanowi sam jéj kwiat, samą koronę, ledwo dotychczas tknięte od tłomaczy, a mnóstwo rzeczy najmierniejszych codzień przekładają. Weźmy do ręki jakikolwiek katalog dzieł polskich, — można się założyć, że przynajmniéj w trzeciéj części będą to tłomaczenia.

I ztąd wielkie ponosim szkody.

Naród podobnie jak pojedyńczy człowiek, żeby mógł sprawić co większego, czy to w literaturze, czy w jakimkolwiek zawodzie, musi uczuć się na siłach, spróbować ich, i mieć w sobie samym pewną ufność. Kładąc we wszystkiém głowę pod książkę cudzoziemca, głuszymy w sobie koniecznie myśl własną, nie dopuszczamy jéj działać, rosnąć, rozwijać się. Cały u nas piśmienny umysłowy ruch stałby się niezawodnie żywszy, dzielniejszy, powszechniejszy, gdybyśmy przez ten ze wszech stron nacisk cudzoziemczyzny sami go ustawicznie nie hamowali, gdybyśmy z tego jarzma tłomaczeń raz się wyprzęgli.

Lecz tłomaczenia nietylko że samą myśl w nas tłumią, w stanie ją ciągłéj niewoli trzymając; psują także najwalniejszy jéj instrument: Język. Nigdy w Polsce nie tłomaczono tyle, co w przeciągu ostatnich lat czterdziestu; nigdy też język polski tak nie znikczemniał; nigdy mówię, gdyż w epoce makaronizmów umiano jeszcze po polsku, chociaż dla szalonéj mody pisano pół po polsku, pół po łacinie. Rzecz bardzo naturalna. Język nasz, jeden z najdziwniejszych i najpotężniejszych na świecie, nie jest wcale, jak prawie wszystkie europejskie, skończony w sobie, raz na zawsze na miejscu stojący, i że tak rzekę, zmiartwiały. Nie zamknął się w bezwarunkowe, nieuchronne formy, i zdaje mi się, nigdy się zamknąć nie da; jest bowiem z natury ducha swobodnego, bujającego, nieujętego; jest ruchów szerokich, rozmaitych, ustawicznych, w mgnieniu óka w inne kształty wpadających. Inszy jakikolwiek n. p. francuzki, tak już został we wszystkiém zbadany, skreślony i w kluby wzięty, że możnaby mówić, że nie składa się z pojedyńczych wyrazów, ale z gotowych frazesów. Nasz w całym swoim składzie rusza się wszystek jak liście lasu ogromnego. Jest przytém tak pełen natchnienia, w najcieńszy promień myśli i czucia dostający, szybki, nieprzewidziany, że pisząc nim, można czasem przez dobranie jednego tylko słówka, jednego przymiotnika zdziwić i talentu dowieść; kiedy we francuzkiem przeciwnie każdy prawie rzeczownik ma koniecznego przymiotnika, przed którym stoi jakby przed urzę-

dowym przystawem,*) ledwie gdzie na moment schować się może. Ta osobliwa ruchawość i żywość naszéj mowy, nadając jéj wielki urok i stylowi domowych i talentem obdarzonych pisarzy przynosząc zawsze świeże piękności, sprawia właśnie, że wszelkie tłomaczenia, oprócz może z łacińskiego, muszą być dla niéj niebezpieczne. W istocie tłomacz, n. p. francuzki, mierny nawet, skrępowany formami i nałogami swojego stylu, i mając zawsze pod ręką, gotowe całe frazesy, całe niemal peryody, łatwo prawda będzie niewierny, lecz łatwo téż może być gładki i poprawny. Tłomacz polski, nawet bieglejszy, da się wnet porwać textowi, który przekłada: a mogąc za nim, przez naturę swego języka iść krok w krok, i ten język ruchomy jak żywe srebro mogąc zwracać i puszczać, jest prawie niepodobieństwem, żeby go gdziekolwiek nie zwichnął, na bok nie przegiął, i w toki cudzoziemstwa nie skręcił!

Prócz tego wszystkiego w Polsce znajomość języków jest powszechniejszą niż gdziekolwiek. We Francyi wcale ich, można powiedzieć, nie umieją, w Niemczech i drugich krajach umieją tylko uczeni; między polskimi czytelnikami rzadko, aby który nie umiał po francuzku lub po niemiecku. Tymczasem tak się właśnie dzieje, że z tych dwóch języków najwięcéj miewamy tłomaczeń. Pytam się, komuż te tłomaczenia mogą być potrzebne? Kto będzie czytał złe, a nawet niezłe tłomaczenie téj saméj książki, którą może czytać w oryginale?

Wszakże nie wypowiadam wojny wszystkim bez wyjątku tłomaczom. Wyłączam najprzód pracujących nad łaciną. Tych dla natury naszego języka, dla jego powinowactwa z łacińskim nie się prawie można nie lękać. Wyłączam, powtóre, wszystkich mających trafność w wyborze roboty, talent w jéj wykonaniu. Dobry przekład każdego dzieła wielkiego, czyli jak mówimy arcydzieła, dawniejszéj lub nowéj literatury, jakiegokolwiek narodu będzie zawsze pięknym nabytkiem. Ale nałóg powszechnego, niebrakowego, ustawicznego tłomaczenia, to nieszlachetne puszczanie się na otwartą u najpospolitszych Francuzów i Niemców jałmużnę, jakobyśmy sami nie mogli wcale znaleść sposobu do życia, i żadnych ku temu zdolności, żadnych sił nie czuli, ta, mówię, powszechna choroba, z lenistwa i zamiłowania obczyzny pochodząca, a od lat już tak wielu piśmiennictwo nasze trapiąca, powinny nas zawstydzać i oburzać. Gdybyśmy dłużéj tak pozostali, pokazalibyśmy się osobliwszymi samych siebie nieprzyjaciołmi. Niemasz dla narodu straszliwszego samobójstwa jak ustawicznie tłumić w sobie myśl, oddać ją w niewolę obcemu i nie dawać jéj rodzić, ba nawet rozwijać się i ruszać się. Wiecznie tłomacząc drugich, możem wprawdzie mieć książki prozą i wierszem, ale literatury mieć nie możemy. — Wiecznie tłomacząc drugich, sami nigdy tłomaczeni nie będziem, i całe piśmiennictwo nasze byłoby rzeczą martwą, nieżywotną, w gruncie nic nie znaczącą. Jest téż i to niezawodna, że polski język podźwignie się tylko w pisaniu rodzonem, domowem, pod myślą polską narodową!

*) Dawny wyraz, tyle co przybocznik umyślnie nadany.

O przyzwoitości zachowania się przy stole.

Przez Królikowskiego.

(Str. 373.)

Nie powinno nas to obchodzić, gdzie siedzim; o to starać się należy, abyśmy tym, z którymi siedzimy, przykrymi nie byli... Pokazać zaś, iż nas nizkie miejsce nie obchodzi, jest to dać poznać towarzyszom rozsądek, gospodarzowi powolność i grzeczność. *Krasicki.*

Dobry gust gospodarza, uprzejmość jego i wyraz twarzy okazujący, iż mu jest przyjemnie widzieć nas u siebie, najwyborniejszą jest potraw przyprawą. Ale przy stole niejedna wydarzy się sposobność okazania, jakim kto jest w istocie. Jeżeli zatém w każdém innem posiedzeniu na mnóstwo rzeczy uważać należy, tym potrzebniejsza jest baczność, gdy siedzimy u stołu; tu albowiem wszystkich zebranych oczy na nas są obrócone.

Zaproszone na obiad osoby, powinny przybyć na czas i niezawodnie, a ktoby miał jaką przyczynę odmówienia, obyczajność wymaga, aby tłomaczenia swego na przyszłość nie odkładał, ale je owszem jak najwcześniéj uskutecznił, przepraszając osobę, która nas wzywa. Kiedy nas ktoś znakomity zaprosił na obiad, a odmówić mu dla ważnych przyczyn znagleni jesteśmy, będzie to znakiem dobrego wychowania, kiedy zaproszony pójdzie osobiście natychmiast z podziękowaniem i wytłumaczeniem się.

Sprzeciwia się dobremu wychowaniu, kiedy kto względem wskazanego sobie u stołu miejsca zbyt wiele czyni tak nazwanych ceremonii, i upornie szuka najniższego; ale z drugiéj strony zabierać miejsce najwyższe, w chęci różnienia się od niższych, oznacza próżność, dumę i nierozum. Spieszyć się z zasiadaniem do stołu najpierwéj, gdy inni jeszcze stoją, jest grubiaństwem i nieokrzesaném prostactwem. Osobom wysokiego znaczenia i damom pierwszeństwo dawać należy.

Jak przy zajmowaniu miejsca u stołu, równie i w przyj-

mowaniu potraw podawanych, wielkie ceremoniowanie się, jest niewczesne, a nawet nieznośne: kto raz przyjął obiad i usiadł do stołu, nie powinien wymagać nowych przy każdéj potrawie zaprosin.

Kiedy jesteśmy u stołu, gdzie potraw nie obnoszą, ale na stole stawiają, nieobyczajnie jest szukać po półmisku, i wybierać dla siebie najlepsze kąski. Niektórzy mają tę wadę, iż wybrawszy sobie najlepszy kąsek, przechwalają się ze swojéj umiejętności jedzenia; to trąci egoizmem.

Bywają na stole potrawy, które pierwszy raz w życiu widzimy: kto z niemi obejść się nie umie, niechaj uważa jak inni jedzą i niechaj ich naśladuje, aby się nie wydał ze swoją niezgrabnością.

Niektórzy mają ten zwyczaj, iż wziętą na talerz potrawę, całkowicie naprzód pokrają, a potém położywszy nóż, widelcem kawałek po kawałku zjadają: zwyczaj to niewygodny, bo tym sposobem pokrajane cząsteczki prędko stygną i dobroć swoję tracą. Zresztą pospiech w pokrajaniu potrawy nie jest potrzebny tam, gdzie niema obawy, aby komu z przytomnych noża nie zabrakło.

Jest jeszcze inny rodzaj jedzących u stołu: ci nie krają razem, ale za to po każdym ukrojonym kawałku kładą nóż i widelec z lewéj do prawéj ręki przerzucając, a podawszy sobie do ust kawałek, znowu biorą widelec w lewą, a nóż w prawą rękę i to czynią dopóty, dopóki z talerza nie sprzątnęli; takowy zwyczaj jest nieprzyzwoity. Niechaj nóż będzie w prawéj, a widelec w lewéj ręce, którym każdy ukrojony kawałek wygodnie do ust sobie podać można.

Gdyby się komu zdarzyło być w towarzystwie takiem, gdzie zbyt częste obchodzenie kielichów miarę przebiera, natenczas lepiéj jest wymawianiem się ściągnąć na siebie niechęć biesiadników, aniżeli stósować się do obyczaju, który się rozumowi i dobremu wychowaniu tak mocno sprzeciwia. A jeżeli powiemy z Krasickim:

Dobrego sąsiada
Nie źle czasem podpoić.

to z drugiéj strony kończmy z Krasickim:

Jeźli niebios zdarzenie wino ludziom dało
Na to, aby użyciem swojem orzeźwiało:
Użycie darów bożych powinno być w mierze.
Zawstydza pijanicę nierozumne zwierzę:
Potępiają bydlęta niewstrzymałość naszę,
Trunkiem, według potrzeby, gdy pragnienie gaszą,
Nie biorą nad potrzebę.

Uprzejmość umysłu towarzyszyć nam w czasie obiadu powinna; można być wesołym, żartobliwym i rozmownym, jednak nie trzpiotem, ani zbytecznie gadatliwym. Jeżeli

każdemu z siedzących u stołu uwaga jest przyzwoitą, tedy najpotrzebniejszą jest gospodarzowi. Baczne oko jego wszędzie być powinno, on ma być duszą całego towarzystwa, a gdyby zachodzić miało jakie milczenie, albo uciszenie, on rozmowę wszczynać powinien. Gospodarz pilnować powinien, aby nikomu na niczem nie zbywało, a jeżeli który z usługujących popełni jakie uchybienie, gospodarz nie powinien wpadać w gniew, ani też ludzi głośno karcić.

Wstawać od stołu nie należy, dopóki się obiad nie zakończy, i dopóki najznaczniejsza osoba w towarzystwie, albo gospodyni domu nie oświadczy w téj mierze chęci swojéj.

O prowadzeniu rozmowy w towarzystwie.

Przez tegoż.

(Str. 376.)

Zawsze rozsądkiem tchnąca rozmowa,
Zawsze czynienia szlachetne.
Trembecki.

Używanie sztuki podobania się przez rozmowę jest panującym i niezmiennym obyczajem. Wielkich tajemnic téj sztuki szukaćby może wypadało w Filozofii; ale kto nie ma siły zachować się zupełnie wedle jéj zasad, powinienby przynajmniéj starać się o to, aby się z niemi obeznał. Są one prawdziwą ozdobą rozmowy, równie jak pierwszymi przewodnikami rozumu. Stósowność jest matką wszystkiego, a co się nie na niéj zasadza, zawsze będzie nietrafnem.

Najgruntowniejszą uprzejmość obcowaniu towarzyskiemu nadaje to wszystko, cokolwiek z prawości serca, z jego dobrocią z oświeceniem i wykształceniem, połączonéj wypływa.

Najświetniejszy dowcip bez innych zalet zasługuje na czcze tylko podziwienie, któremu częstokroć zazdrość i tajemna niechęć towarzyszyć zwykły; gdy tymczasem przymioty serca odnoszą w nagrodę przyjaźń i szacunek. Żart jakkolwiek bujną imaginacyą spłodzony, w powtórzeniu traci swój pierwotny skutek; ale pewny rodzaj wzniesienia się, prawość i szlachetność są zawsze rzeczą nową i zajmującą. Z osobami dowcipem tylko obdarzonemi przyjemna jest znajomość na dni kilka lub kilkanaście; lecz kto ma serce po temu, zawiera najdroższe związki na całe życie.

Sposób, jakim się rzecz opowiada jest prawie tak ważny, jak rzecz sama. Za jednego, który umie ocenić istotną wartość myśli, znajdziesz dwudziestu innych, którzy więcéj uważają na tok mowy i ton, jakim się rzecz obwieszcza. Układ ciała, ruch, spojrzenie, dźwięk głosu niemało przy-

czyniają się do przekonania, a przeto nie należy ich zaniedbywać. Nie każdy może mieć wdzięki, ale je częstokroć zastępuje powierzchowność dobrze zastósowana, ton słodki, pewny i spokojny. Z tym należy połączyć baczność naszę na wszystko, co drudzy mówią i czynią. Ten rodzaj poważania innych, głaszcząc ich miłość własną, uprzedza ich na naszę stronę. Patrząc w oczy osobie, z którą się mówi, dajemy poznać, ile nas jéj mowa zajmuje.

Rozmowa równie jak działania nasze, powinny sobie towarzyszyć w sposobie wolnym, nieprzymuszonym, prostym i szczerym; potrzeba, aby każde poruszenie okazywało, iż z serca pochodzi, ale nie, że ciało rządzi duszą naszą. Starać się należy połączyć z tém pewny powab i takt przystojności, czego tylko w obcowaniu z ludźmi wykształconymi nabyć można.

Jedną, z najpowszechniejszych przywar w obcowaniu towarzyskiem, jest chęć przodkowania. Dla uniknienia téj przywary powinienby każdy mieć w myśli owe słowa Bakona: „Kto odchodzi z twojego towarzystwa ukontentowany, niezawodnie jest kontent i z ciebie. Ludzie nie lubią dziwić się tobie, wolą raczéj, abyś się ty nad nimi zastanawiał.“

Wielka zatém liczba posiedzeń prywatnych, przyjemnéj zabawy szukających powinnaby obrać za godło ów niegdyś wyrok w Efezie wydany: Nie pozwalajmy, aby ktokolwiek z pomiędzy nas szukał wyższości nad bracią; a ktokolwiek dąży do tego, niech sobie idzie do innego miasta i niech żyje wedle jego obyczajów!

Nader trudną jest rzeczą zastósować rozmowy swoje do tonu różnych posiedzeń. Co w jedném uchodzi za pustotę, w drugiem nazwą może pedanteryą; co tu ożywia, tam nudzi. A lekkie dotknięcie rzeczy nieznanych, wyższych nad pospolite, kiedy obcujemy z ludźmi, którzy nas albo nie rozumieją, albo rzecz, o któréj mówimy ironicznie, za prawdę rzetelną poczytają, ujdzie tylko za coś ciemnego, za nierozum i nudy.

Wielką zdrożnością obrażającą towarzystwo jest, gdy się rzeczy nieodpowiednie tym, z którymi przestawamy, obwieszczają. Wada takowa, mówi Krasicki, najczęściéj w ludziach uczonych postrzegać się daje, gdy rozumieją, że to będzie towarzystwu najmilszém, jeżeli przytaczając autorów greckich i łacińskich, potoczną rozmowę upstrzą technicznemi wyrazami, właśnie jak gdyby posiedzenie całe nauki ich słuchać było obowiązane. Sposób taki mówienia nudzi i gniewa; nudzi, bo dla nieświadomych rzeczy jest tylko czczym brzękiem; gniewa, bo okazuje wyższość w mówiącym. Należy się wystrzegać tonu stanowczego i przerzynającego.

Oburza albowiem dumę drugich i wielkiéj niegrzeczności dopuszcza się ten, kto wyrazów ostatecznie wyrokujących używa, np.: jestem pewny, że się mylisz, — to nie prawda — moje zdanie jest niezawodne i t. p. Taki ton mówienia okazuje zupełny brak lepszego wychowania. Podający zdania swoje, jak proste tylko domysły, pewnym być może, iż jeżeli dobre, prędzéj w nich towarzysze smakować będą; jeżeli złe, łatwiéj przebaczą.

Każdy ma własny sposób widzenia; największy nieuk przekonany jest o nieomylności swojego i zwyczajnie taki dąży najwięcéj do samowładztwa, i pragnie podbijać mniemania obce, pod urojoną pewność swoich własnych. Uwaga ta licznem stwierdzona doświadczeniem wstrzymywaćby nas do sprzeczek powinna i sprawić, abyśmy byli cierpliwszymi; bo jakiemże prawem wymagać możemy szacunku dla zdań naszych, jeżeli go zdaniom innych odmawiamy.

Jakkolwiek słusznemi wydawać nam się mogą mniemania nasze, nie brońmy ich nigdy z twardością oburzającą; a stwierdzanie każdéj rzeczy przysięgami i zaklinaniem się dowodzi, jak mało sami siebie cenimy, kiedy już naprzód wewnętrznie przekonani jesteśmy, że nam bez przysiąg i zaklęcia wiara dana nie będzie. Cokolwiek wstrzymałości w téj mierze zjednać nam potrafi szacunek, który uporem naszym koniecznie oddalić musimy.

Ustąpić błędnie mniemającemu, dowodem jest wyższości naszéj w rozumie; nie ustąpić słuszności okazuje słabość. To wszakże tyczy się rzeczy mniejszéj wagi: często uczciwość wymaga, abyśmy się sprzecznie stawili; a wtenczas podwoić należy baczność na słowa nasze, i przez delikatność, w tym razie koniecznie potrzebną, nadawać głosowi naszemu ton niższy i powolniejszy.

Mówić mało o sobie, zgadza się z roztropnością, ale ta sama roztropność nakazuje nam, nie ufać takiemu, co nigdy o sobie nie mówi. Jestto cechą człowieka, który się lęka być poznanym, albo który nas mało szacuje. Skrytość nie zawsze jest skutkiem roztropności. Prawość, niewinność i dobroć bywa otwarta względem spraw swoich i nadewszystko ma upodobanie w przyjaźni i ufności. Zbyteczna skrytość bywa częstokroć cechą największego tchórzostwa i oszustwa.

W zgromadzeniu liczniejszém rzadko mówić należy o rzeczach tyczących się religii. Jestto przedmiot tak ważny, tak wzniosły, że rozprawiać o nim dla zabawy towarzystwa byłoby niedogodnością, a poruszać go lekko i na prędce, nierozum oznacza. Również należy wystrzegać się wszelkich sprzeczek z osobami różnego od nas wyznania; bo to ściąga

nienawiść; a dręczyć lub prześladować kogo tém, że zasady jego zbyt może przesadzone nie są godne naśladowania, częstokroć nada nam nazwisko niegodziwego niedowiarka. Zresztą zbijać szydersko zdanie czyje, które mu szczęśliwość wewnętrzną sprawuje, jest okrucieństwem.

O stósownem użyciu mowy.

Przez tegoż.

(Str. 378.)

Twarz piękna i powabna, miłe spojrzenie, kształtna kibić i zgrabne ułożenie całéj postawy, podoba się niezawodnie każdemu; a widząc taką osobę w posiedzeniu, obiecujemy sobie prawdziwą słodycz w jéj towarzystwie. Ale jak zawodne bywa częstokroć oczekiwanie nasze, ileż to razy oszukujemy się, kiedy uwielbiana od nas osoba, któréj wyobraźnia nasza słodki, dźwięczny głos i przyjemną przypisywała wymowę, na jeden raz otworzy usta, z których tylko surowy brzęk, najpospolitsze słowa i płaska, nikczemna, nicznośna gadanina wychodzi?!

Mowa jest niejako ubiorem myśli: więcéj nam się podoba przystojny człowiek, kiedy go w stósownym i przyzwoitym ubiorze widzimy, niż tenże sam w jakiéj podłéj, poszarpanéj łachmanie; toż samo dzieje się i z myślami naszemi: najpiękniejsza z nich koniecznie tracić musi na wartości, kiedy ją niestósownemi, źle dobranemi wyrazami nastrzępimy.

Nie każdemu dany jest dar żywego, wymownego opowiadania, nie każdy może uderzającym, śmiącym dowcipem bawić posiedzenie, i byłoby niesłusznością chcieć, aby każdy w opisywaniu żałosnych rzeczy miał tkliwość trenów Kochanowskiego, w żartobliwych wesołość i dowcip satyr Krasickiego, w poważnych jędrność i moc stylu Górnickiego, Naruszewicza: bo to potrzebuje wyższego wykształcenia, talentu. Ale od każdego wymagać mamy prawo, aby język swój znał gruntownie, używał go stósownie i nie popełniał co chwila błędów mowy nie do przebaczenia.

Niektórzy mogąc mówić gładko i porządnie, mniemają, iż dobrze uczynią, jeżeli mowę swoję upstrzą wyszukanemi sposobami mówienia, tokiem niezwykłym i szumnobrzmiącemi wyrazy; ale gdyby zastanowić się chcieli, iż tym sposobem grzeszą przeciw dobremu smakowi i słuchaczów nudzą, zapewneby nie nadużywali daru mówienia naturalnie. Z tém wszystkiem znajdują się tacy, którzy lekceważąc

wszystko, co proste i naturalne, rozumieją, że wyższość myśli od nastrzępionych, albo niezwykle dobranych wyrazów zależy. Często zdarza się słyszeć mówiących: „Jak ten pan strasznie dobry, okrutnie przyjacielski i t. p.“ Ślicznać to dobroć, kiedy straszna, i przyjaźń, kiedy okrutna! —

Prawdziwa *wzniosłość* i wspaniałość nie potrzebuje otaczać się ozdobami, które są na to przeznaczone, aby rzecz, z saméj siebie nie dość doskonałą, podnosiły; z drugiéj strony równie i to, co jest *naturalne*, żadnéj okrasy nie potrzebuje.

Inna znowu jest wada, kiedy kto mowę swoję, chcąc uprzyjemnić, modniejszą uczynić i do tonu tak nazwanego wielkiego świata zastósować, napycha słowami z obcego języka wziętemi, bez których nasz własny obejść się może. „Pożycz mi na miesiąc sto czerwonych złotych,“ możnaby mówić do przyjaciela; ale modniéj będzie: „Byłbym anszantowany, gdybyś chciał mi awansować tę małą bagatelkę.“ Narzekając na wielką ciżbę, mówią modnie: „ach patrz jak wielka fula (*foule*)! —

„Miłość mowy własnéj, mówi *Jean Paul*, od miłości ojczyzny nie więcéj jest oddalona, jak w człowieku język od serca.“ I w saméj rzeczy, niegodnym staje się ziemi, którą zowie ojczyzną, ktokolwiek niedoskonale i fałszywie przemawia językiem narodowym.

Ucz się ojców twych języka,
On myśl każdą wydać zdolny,
Gnie się, dźwięczy, grzmi, przenika,
Jasny, śmiały: bo jest wolny.
Okaż wzgardę próżnéj dumie,
Co się obcym chełpić umie,
A własnego zwroty, cienie,
Miewać zwykła w małéj cenie.

Tak mówi *J. N. Kamiński* w przedmowie do tłomaczeń pieśni Szyllera i mówi wielką prawdę; bo gdybyśmy narzekających na język polski, na ścisłą wzięli próbę, pokazałoby się może, iż najwięcéj ci narzekają, którzy go najmniéj rozumieją, albo którzy nie byli zdolni zastanawiać się nad nim, albo nakoniec, którzy nie raczyli uznać téj prawdy, iż język ten zasługuje, aby się nad nim zastanowić!

Nie na tém zależy miłość języka własnego, aby obstawać przy tém, i upornie utrzymywać, że Adam z Ewą w raju po polsku rozmawiali z sobą*), albo dowodzić, że język słowiański pierwotnym na całéj ziemi jest językiem**).

*) Adam i Ewa podług niektórych Jadam, Jewa; Jadam od jadać; Jewa numerus dualis od jeść: my jewa zamiast jemy.

**) Podług uwag *Wojciecha Dębołęckiego* pierwotnym na świecie językiem jest słowiański. I tak Azya nazywała się Ożyja, przeto, że w niéj stworzono było wszystko, co żyje.

Takowe dziwactwa są tylko marzeniami, które niczego dowieść nie zdołają.

Ale nie dość jest kochać swój język, nie dość jest mówić wyrazami czysto polskiemi, można jeszcze i przy tém wszystkiem mówić źle, niestósownie i nieprzyjemnie. Niektórzy mniemają, że dla nadania mowie swojéj niejakiego uroku i dla odjęcia jéj jednostajności, potrzeba głos to wznosić to spuszczać. Wszystko to dobre kiedy stósownie, w miejscu, w miarę czucia, w miarę poruszenia serca użyte; ale kto nie czuje tego co mówi, każda zmiana głosu jego, ton, głos, pospiech, przewleczenie itp. będzie tylko śmiechu godném dziwactwem i znudzi towarzystwo.

Przykrą jest wadą i nieprzyjemną dla towarzystwa, kiedy kto z nałogu i bez żadnej przyczyny raz wraz powtarza wyrazy, które do opowiedzenia rzeczy nie są bynajmniéj potrzebne. Są, którzy trzech wierszy powiedzieć nie umieją, ażeby w nich pięć lub sześć wyrazów: *Mości dobrodzieju, mospanie* itp. nie powtórzyli. Jak odrażająca jest takowa mowa, każdy nieuprzedzony z łatwością osądzi.

Szpetniejszą jeszcze przywarą jest używanie gminnych i brudnych wyrazów. Wada takowa okazuje niskie i gminne wychowanie, obraża smak dobry, i nie zasługuje na dalszą rozprawę.

Na zakończenie tego rozdziału moglibyśmy przytoczyć mnóstwo używanych uchybień grammatycznych, prowincyalizmów itp. jakiemi są: *jachać*, za jechać, *ućknę*, za ucieknę, *jademy*, za jedziemy itd.

Ale gdy nie jest zamiarem naszym uczyć języka samego i jego grammatyki i w tém miejscu mówić postanowiliśmy tylko o jego stósownėm w posiedzeniach użyciu, przeto potrzebujących początkowéj nauki, do książek w tym celu pisanych odsełamy.

Religia innych nauk podstawą być winna.

Przez Klementynę z Tańskich Hofmanową.

(Str. 414.)

Czy może być co godniejszego i więcéj zgadzającego się z wolą Stwórcy i z wielkością człowieka, jak rozszerzać coraz daléj granice pojęcia umysłu i coraz więcéj światła zgromadzać? Im kto lepiéj widzi, tém pewniejszym krokiem w drodze prawdy postępować winien; i oświecenie, ten szczyt doskonałości rozumu ludzkiego, stałoby się niezawodnie źródłem szczęścia; gdyby go na gruntownych wiadomościach

zakładano, gdyby pierwszy promień jego, pochodnią religii zapałał. Wtedy dopiero prawdziwie byłoby zbawiennėm, prawdziwie użyteczném. Wszystkie nauki służyłyby ku rozkrzewianiu chwały Boga, bo wszystkie zaszczyt czyniąc człowiekowi, wykonywają wielkości Stwórcy i dzieł jego. Same nawet rękodzieła ten by cel miały; gdyż w nich człowiek naśladuje rzeczy stworzone, lub zgadując ich użytek, hołd cudom natury i sprawcy jéj oddaje. — Lecz nie wszyscy ludzie okiem prawdy na nauki i rękodzieła patrzą. — Często astronom zmierzywszy niebo, nie pomyślał o jego Stwórcy! żeglarz objechał morza; a nie uznał ręki, która je w oznaczonych granicach wstrzymuje! filozof prawa ludziom kreślił, nie dostrzegłszy prawdziwego prawodawcy, i widoków jego! Rękodzielnik naśladował cuda natury, a w niewdzięczności swojéj zaprzeczył prawicę, która te jego wzory złożyła! Mędrzec świecki wszystkie przeczytał księgi, wybladł nad niemi, a nad księgą żywota się nie zastanowił. Przecież, wszystkie nauki prócz nauki wiary i moralności, (które we dwie, religię składają) choćby do najdoskonalszego posunięte stopnia, błache są i nietrwałe. Najuczeńszy człowiek złożony z ziemi, wróci do ziemi, zarówno z nieoświeconym kmiotkiem; z ciała obudwóch garstka prochu zostanie! a jeżeli wieśniak z niewiadomości swojéj Boga mocniéj kochał, powinności swoje lepiéj pełnił, mędrszą dusza jego stanie w oczach Pana! i „zaiste gdy dzień sądu nadejdzie, nie o to się nas pytać będą, cośmy czytali, lecz cośmy czynili.“

Widok usiłowań ludzkich do nabycia przemijającego światła staćby się powinien dla każdego bodźcem do zbogacenia się w nieśmiertelne. Wszyscy wiemy, że to życie z pędem wiatru ulata; że człowiek na ziemi wątłym jest kwiatem. Poranek widzi go świeżym, a nim noc zapadnie, już zwiędłym leży. W drugiém dopiero życiu, żyć będziemy na wieki. Kiedy więc dla uprzyjemnienia tych kilku chwil, dla pozyskania imienia, które tchnienie czasu zmuchnie i pył wieków zatrze, tyle trudów i starań łożemy, nie żałujmyż zachodów na pozyskanie wiecznego szczęścia. Pielgrzym ledwie spojrzy na izbę, w któréj noc jednę ma spędzić: ale stanąwszy w lubéj Ojczyznie, u tego końca podróży swojéj; objąwszy dom gdzie już dni wszystkie przepędzać zamierza, pilnie go ogląda i opatruje, i zna doskonale każdy zakątek jego. Jeźli więc ludzie wyższego wychowania winni oddawać się świeckim naukom; tém większy ztąd obowiązek poznania religii powstaje. Ludzkiém światłem wsparty człowiek poznaje lepiéj Boga i cuda jego, obejmuje łatwiéj naukę wiary, rozumie lepiéj moralność. Wreszcie w wieku w którym rozum ludzki prawie ubóstwiony, w którym tak

niesłychane uczynił postępy, małoby stronników miała religia gdyby oświecenia broniła. Sprzyja mu też owszém; sama będąc światłem, światła się nie boi; stworzona dla udoskonalenia człowieka niszczyć nie może, jednego z najpiękniejszych jego przymiotów. Chwała jéj nawet nie byłaby zupełną, gdyby ją sami prości i nieoświeceni ludzie wyznawali. Piękności jéj ciemną i grubą powłoką okryte, nie takby jaśniały, nie tyleby cenione i pojęte były. Nakoniec, któżby zarzutom niedowiarków odpowiadał, gdyby oni sami wszystkie świeckie zagarnęli umiejętności? Mędrcom świata poważniejszą światłym chrześcianom milszą staje się religia, którą Paweł nauczał, Augustyn wykładał, Hieronim tłomaczył, nasz zaś Hozyusz bronił, Skarga opowiadał.

Obmowa.

Przez Krasickiego.

(Str. 385.)

W życiu świętego Jana Kantego, doktora Akademii Krakowskiéj, jest położono, iż na ścianie izby, w któréj przebywał, i sobie i przechodzącym do siebie, takowe wypisał napomnienie:

Conturbare cave, non est placare svave;
Diffamare cave, nam revocare grave.
Strzeż się obrazić, bo trudno ubłagać;
Strzeż się obmawiać, bo trudno odwołać.

Nie dla wyboru wiersza, ale dla wielkiéj prawdy, którą w sobie zawiera, powinienby się ten napis znajdować w każdym domu, tak w mieście, jako i na wsi; tam zaś najszczególniéj, gdzie czernic cudzą sławę, ustawiczną jest posiedzenia zabawą.

Gdyby się kto nad tém chciał zastanowić, zkąd wszystkie, albo przynajmniéj zkąd większa część przygód i trafunków zwala się na ludzki naród, znalazłby, iż to wszystko czynią zjadliwe powieści, któremi się wzajemnie czerniemy.

Rzadki jest taki człowiek, któremuby obmowy zarzucić nie można, a przecię wszyscy na obmówców powstają, i nie inaczéj, tylko jak o najgorszym i najniebezpieczniejszym złego rodzaju o obmowie mówią. Można więc w powszechności powiedzieć, iż ta zaraźliwa choroba pochodzi z nienawiści ku całemu rodzajowi ludzkiemu; z chęci, aby nas poważano: z ambicyi, żebyśmy za oświeceńszych nad innych uszli; z powodu przypodobania się słuchaczom; z zazdrości wiodącéj na poniżenie tych, których dosięgnąć nie możemy;

z osobliwości nakoniec, która odkrycie rzeczy tajnych za sobą wiedzie.

Ten który rzeczy gorszące objawia; z powodów, które go do objawienia wiodą, mniéj lub więcéj wykracza. Skoro szkodzi, nic go usprawiedliwić nie może.

Łaskawi jesteśmy, i względni dla siebie; nikt się choć winny, do błędu nie przyznaje, osobliwie w obmawianiu. Żeby więc ustanowić pewne w téj mierze prawidła, któreby zabiegały fałszywym wyrokom, życzyłbym, iżby każdy, który się sędzią cudzéj sławy obiera, nad tém się zastanowić raczył:

1) Jeżeli go to nie bawi i nie cieszy, kiedy słyszy, iż źle o kim mówią.

2) Czy nie jest lekkowiernym, gdy go złe wieści o drugich dochodzą, i czy naówczas niema skłonności, raczéj źle sądzić, niż dobrze.

3) Czyli sam nie jest porywczym do rozsiewania takowych wieści.

Wróćmy się do pierwszego wyżéj położonego zastanowienia, a poznamy, iż ten, który rad źle mówiących o innych słucha, obwieszcza, iż mu się zgorszenie podoba, a więc daje znać, iż sam ma do tego skłonność. Jeżeli go słuchanie obmowy cieszy i bawi, równie będzie bawić, cieszyć, gdy to, co usłyszał, innym opowiadać będzie; ucz ni to zaś, skoro postrzeże, iż się słuchającym podoba. Potrzeba więc, ile możności, uskramiać w sobie ciekawość wiedzenia czynności postronnych, i szperania w zakątach cudzych domów. To albowiem i innym szkodzić może, a nam choćby i pomogło niekiedy, złemi jednak sposobami nie godzi się korzyści szukać.

Na fundamencie drugiego zastanowienia się, wnijść wewnątrz siebie ścisłą uwagą każdy powinien, i bez uprzedzenia roztrząsnąć: czy nie zbyt łatwo nadstawia ucha, gdy źle o innych w przytomności jego mówią; i jeżeli wówczas, nie jest mu milsze słuchanie skargi, niż usprawiedliwienia. Lekkowierność takowa pochodzi z wewnętrznego przekonania, iż sami nie jesteśmy bez winy; a więc byłoby i nam, a może więcéj niż innym, do wymówienia. Powiedział Teofrast, iż kłamca tak jest dalekim od prawdy, jak ucho od oka, a w tym wyrazie dał poznać, jak nie trzeba łatwo wierzyć temu, czego kto nie widział.

Trzebaby się potrzecie i nad tém zastanowić: czy nie mamy skłonności obwieszczać tego sami, cośmy z krzywdą cudzą słyszeli. Kiedy się umysłu i serca choroba takowym sposobem obwieszcza, nieuleczeniem grozi. Jak największego więc przykładać trzeba starania, iżby złe wkorzenione o zgubę

nie przywiodło. Ale też im większe w zabieżeniu okaże się męztwo, tém większego przezwyciężający siebie, szacunku będzie godzien a w skutkach pożądanego uleczenia, znajdzie nagrodę cnotliwéj usilności swojéj.

Występek obmowy wielce jest niebezpieczny, a łatwo weń wpaść można; co dowodzi przykład z ludzi, po których-by spodziewać się tego nie należało. Mówię o pobożnych albo raczéj pobożność udawających, bo prawdziwa pobożność, gdy się na miłości bliźniego zasadza, tego co się jéj sprzeciwia, nie zna. Odstręczeni, czy stanem, czy przekonaniem, czy zwyczajem od innych przywar, jakby nagrodzić sobie chcieli tę ujmę, wylewają się częstokroć ludzie nieprawie pobożni, na obmowę. A wtenczas, żeby i siebie samych, i drugich zwiedli i omamili, też samę miłość bliźniego, któréj uwłóczą, czynią narzędziem zjadliwości swojéj. Chęć nibyto poprawienia innych ostrzy ich usta, jakbyto drażniąc przestępnego, poprawić go można. Mniemana, bo z granic przyzwoitych wychodząca, żarliwość, nie daje im znieść tego, co widzą lub słyszą: a częstokroć przywidują im się rzeczy takowe, których w istocie nie masz; a choć i są niekiedy, zwiększa wzrok ich zjadliwy postać onych, i zamiast gojenia, jątrzy bliznę, któraby się roztropném staraniem i obchodzeniem zawarła.

Jeszcze i to na uwagę wziąść nie zawadzi, iż największa liczba obmówisk, o uszy się tajemnie obija. Delikatność niby to roztropna obmawiacza, oszczędza na pozór spotwarzonego, niektórym tylko wieść krzywdzącą powierzając, i już prawie pewna sekretu, usprawiedliwia się sama w oczach swoich. Ale czy usprawiedliwienie jest słuszne, niech każdy raczy bez uprzedzenia osądzić: po większéj części albowiem piętno tajemnicy wzbudza gadatliwość, i sprawia chęć objawienia. Wielom powierzony sekret, już nie jest tajemnicą, a osoby którym się powierza, osobliwie zaś płci niewieściéj, za powinność to prawie mają, iżby oddać co wzięły, i tak powtórzone szeptanie na okrzyk głośny wychodzi.

Wielebym jeszcze miał rzeczy do przytoczenia, ściągających się ku ohydzeniu najszkaradniejszéj, a przeto najszkodliwszéj towarzystwu ludzkiemu przywary; zamykam jednak treść wszystkiego w krótkich tych, które tu przełożyłem, wyrazach.

Szyderstwo.

Przez Krasickiego.

Czynią niektórzy różnicę, i jest zaiste między obmową a szyderstwem; i wycieńczają, gdy znieść zupełnie nie mogą

zdrożności ostatniego. Usprawiedliwić jednak onego niepodobna tém bardziéj, im dotkliwiéj razi grot śmiechu i urągania, niż najzjadliwsza obmowa: a to z téj przyczyny, iż bardziéj i łatwiéj się wpaja w umysły słuchających to co bawi i rozwesela, niżeli to, co zwyczajnem opowiadaniem do wiadomości przychodzi. W obmowie złość się pasie miłym sobie cudzéj krzywdy przysmakiem; w urąganiu rzecz sama pomimo osoby do któréj się ściąga, daje przyczynę do rozweselenia, a zatém naigrawającemu się dodaje ku dalszym naigrawaniom ochoty, a w słuchających coraz większą wzbudza ciekawość ku dalszemu słuchaniu.

Rozmaite bywają przyczyny szyderstwa, pochodzą zaś z celu, ku któremu zamierzają. Natrząsać się, a pokryjomu (bo i to wdzięku dodaje) ze starszych, czylito w wieku, czylito w przełożeństwie, niepośledniem jest dowcipu żartobliwego rzemiosłem. Wiek dojrzały, a tém bardziéj gdy się już ku zgrzybiałości zbliża, pospolicie odwołuje się na dawne czasy, teraźniejsze gani, młodości nie przebacza; tak wiek młody, jak może, mści się, szydząc ze starych poza oczy. Czyniła to młodzież niegdyś, ale już teraz odważniejsza, jawnie się z poważnéj starości naśmiewa. Ma wprawdzie ona przywary swoje, (bo któryż wiek i stan bez nich obejść się może), ale na wzór owych prawych Noego synów, odwrócić oczy, a zakryć co odraża, poczciwéj młodzieży jest obowiązkiem. Miećby powinna pilne baczenie i na to: iż kiedy im do tejże pory wieku nieba przeznaczenie dojść pozwoli, tymże słabościom będą podległemi, z których teraz niewczesne czynią sobie igrzysko.

Naśmiewać się z wyższych niebezpieczno; jeżeli się bowiem rzecz przed niemi utai, straci koncept swój zamysł: jeżeli się dowiedzą, albo wzgardzą, co uniża, albo się zemszczą, co boli.

Nie masz przykrzejszéj w życiu sytuacyi, nad tę, gdy nieznajomy a nieprzyzwyczajony do tonu posiedzenia wzniosłego, pierwszy raz wśród niego wejść musi: nieprzyzwyczajenie, a ztąd bojaźń nadaje mu niezgrabność. Skacze ona do oczu, jak to mówią, a przeto daje wstęp do śmiechu i naigrawania: ale jak takowy postępek nieludzkim jest, niech to i sami wyśmiewacze, choćby najmodniejszymi byli, osądzą. Lekkomyślnemu dobra jest pora do śmiechu; ale czuli powinniby wnijść w stan cierpiącego, łagodnem przyjęciem, otwartą mową, spojrzeniem miłem ośmielając przychodnia, który częstokroć oświeceńszy od szydzących, mógłby sprawiedliwiéj czynić z nich igrzysko. Lecz prawdziwa znakomitość skromną będąc, kładzie wstyd na cnotliwem licu;

płocha zaś nierozmyślność, sądząc go bydź głupstwem, waży się śmiać z tego, na czem się nie zna.

Nie dość jest zwać się grzecznym, trzeba wiedzieć, co to jest grzeczność. Jestto wzgląd należyty, udzielający się każdemu w miarę tego, co mu się należy. Gdy się więc do wszystkich rozciąga, nie ma się zacieśniać w towarzystwie tém, do któregośmy przywykli, ale się rozpościerać powinien względem wszystkich, z któremi obcujemy: jest w téj liczbie i nowo przybywający. Są nietylko wyżsi i równi, ale i ci których stan naszemu nie wyrównywa; każdemu więc z nich według słuszności wzgląd się należy, nie wzgarda, śmiech i urąganie, które nam bardziéj krzywdę czynią, gdy wykraczamy przeciw prawidłom posiedzenia, niżeli temu, albo tym, z któremi nie umiejąc się obchodzić, oznaczamy lekkomyślność naszą.

Zdaje się, iż każde państwo umieszcza w sobie dwa wcale przeciwne i niepodobne do siebie narody, a te są obywatele miast znaczniejszych, i ci którzy na wsiach mieszkają. Pierwsi polorem dumni, drugiemi gardzą, a ci jak mogą, oddają im za swoje: kończy się na tem, iż jedni drugich wyszydzają, a może i jedni i drudzy mają sprawiedliwe do tego przyczyny. Nie wchodzę ja w nie, żebym nie zdał się to czynić, co naganiam, ale obie strony radbym do tego nakłonić, iżby porzuciwszy wzajemne przesądy, zniosły i zagładziły niewczesne, które same zdziałały, między sobą różnice.

Trudno się czasem nie rozśmiać, słysząc głupich, gdy mędrców udają, a na nieszczęście rzecz ta się w posiedzeniach zbyt często zdarza, ale i natenczas wstrzymać się należy, przynajmniéj od zbyt widocznego urągania; a jeżeli przeprzeć i poprawić nie można, żałować trwającego w nierozmyślności swojéj.

Szyderstwo, którego cudza niedołężność jest celem, oznacza serce nieczułe i umysł skażony. Ułomność, kalectwo wrodzone lub z czasem przypadłe, postać odrażająca, gdy nie są winą tego, który je znosi, politowania raczéj od nas niż śmiechu wyciągają. Małość wzrostu lub szpetność twarzy, są to rzeczy zwierzchnie, a zatém płochych tylko zająć mogą. Ukrywa częstokroć szpetna postać wzniosły umysł, i naówczas zdaje się, iż przyrodzenie sowicie nagradza to, w czém się zdało ukrzywdzić. Szpetny był Sokrat, Alcybiad przeniósł wszystkich w urodzie: z tém wszystkiem uwielbia potomność Sokratesa, a występki Alcybiadowe sprawiedliwą odbierają naganę.

Najgorszy rodzaj szyderstwa, śmiać się z cnoty. Mniéj odważna w téj mierze była starożytność: jeżeli nasz wiek

bierze ku chlubie swojéj takową śmiałość, zasłużył na pierwszeństwo. Wypada pióro z rąk na widok tego, co widzimy, co się słyszeć daje i czém płodne w niegodziwość drukarnie, zarzucają nas, aż do ostatniego stopnia skażenia. Przyjdzie czas jednak, gdy się złe samo przez się wysili, a naówczas i cnota i religia dzielniéj może, niżeli przedtém, rozpoczną i ustanowią słodkie panowanie swoje.

O Przyjaźni.

Przez Klem. z Tańskich Hofmanową.

Kto ma tego, co kocha, wszystkiego nie stracił,
Tysiąc frasunków nie raz rzut oka zapłacił.
Niemcewicz.

(Str. 387.)

Prawie od początku świata, przyjaźń za najdroższy dar niebios po cnocie i zdrowiu uważaną była; trwa to zdanie dotąd, bo ktokolwiek kochać umie, żąda jéj, i łatwo się przekona, że przyjaźń jedną jest ze znaczniejszych podstaw budowli szczęścia człowieka. Nie mam zamiaru opiewać jéj powabów; słaby głos mój nie dodałby jéj ani wdzięku, ani ceny. Znało ją jednak serce moje, nie wzgardziła niém przyjaźń. Jéj winnam tysiąc chwil przyjemnych, ona pełnemi rękami sypała kwiaty po drodze życia mojego; w szczęściu szczęśliwszą mnie czyniła, w umartwieniu słodziła kielich goryczy! Teraz, kiedy już śmierć coraz bardziéj zabójczą kosę do głowy mojéj przysuwa, ona wraz z uczuciami córki, żony, matki, zasłania ją przedemną, a obiecując mi życie w swém sercu, mniéj okropnym zbliżający się zgon czyni.

Sądząc po dawnych przykładach, mniemać można, że mężczyzni tylko zdolni są do prawdziwéj przyjaźni; w licznych wzorach przyjaciół starożytności, kobiet nie widzimy. Zdaje mi się przecież, iż i sercu niewiasty nie może być obcą, i w niem godną siebie znajduje świątynię. Prawda, że próżność często bywa kobietom zagrodą do przyjaźni; lecz i między niemi są takie, które umieją być przyjaciółkami. Liczba ich nie wielka, bo też nic rzadszego, nic świętszego, jak czysta i prawdziwa przyjaźń.

Gdyby niebo było ci zachowało siostrę; nigdybym ci innéj nie dozwoliła mieć przyjaciółki: nigdybyś wierniejszéj i lepszéj znaleść nie mogła. Złączone podwójnemi węzłami serca i natury, przyjaźń wasza, śmierciąby tylko zerwaną być mogła. Lecz kiedy takie były najwyższego wyroki, uledz im trzeba z uszanowaniem, i u obcych szukać odebranego ci dobra. Szczęśliwe zdarzenie ułatwiło to staranie.

Już od dziesięciu lat pani R., przyjaciółka moja najdroższa, i prawdziwy wzór kobiet, nie daleko nas mieszka; jéj córka Aniela, dwoma tylko laty od ciebie starsza. Z radością widzimy, że te same skłonności, te same uczucia i zdania, które matki złączyły na wieki, dzieci coraz bardziéj wiążą. Znam twoje serce, Amelio! wiem, że nic zerwać nie zdoła przyjaźni prawie od pieluch zaczętéj i ugruntowanéj na cnocie. Nie zalecam ci więc, abyś zawsze i jednakowo kochała Anielę, uczynisz to bez moich napomnień; chcę tylko wskazać ci niektóre obowiązki przyjaźni, i skłonić cię, abyś już nieszukała więcéj przyjaciółek; aż nadto szczęśliwa, żeś jednę prawdziwą znalazła!

Gdyby ludzie byli doskonałemi, przyjaźń żadnychby nie miała obowiązków: wolna od ulegania i wymagania, kochaćby jéj tylko zostawało; to uczucie wszystkoby objęło, wszystkiemu zadosyć uczyniło. Ale że człowiek każdy błądzi i upada, że słabość i niedoskonałość jego wielkich wymagają względów, przeto w najszczerszéj przyjaźni są powinności do dopełnienia. Kładę w ich rzędzie, może być niesłusznie, starania wzajemne, pobłażanie i zupełną ufność.

Zazwyczaj człowiek, żeby był przekonanym o przywiązaniu, jakie wzbudził, potrzebuje dowodów. Szczęściem dla niego pora czynienia wielkich ofiar, dawania w wielkich rzeczach oznaków przyjaźni ledwie raz w życiu się trafi, a codziennie mamy możność czynienia małych przysług, okazania w drobnych rzeczach naszéj życzliwości. Nie zaniedbaj téj sposobności, Amelio! nie opuszczaj żadnéj pory, w którejbyś mogła okazać Anieli, ile ją kochasz. Nie podobna abyście wyłączając się od wszystkich ludzi, żadnych nie miały słabości; nie tając ich przed sobą, wybaczajcie sobie wzajemnie, szukając wspólnych do poprawy środków. Z mniejszą boleścią spełniamy przykrą ofiarę, łatwiejszy do dopełnienia najtrudniejszy obowiązek się staje, kiedy wiemy, że serce nas kochające ocenić go potrafi. — Świadectwo własnego sumienia, przekonanie, że Bóg otwarte ma oczy na postępki nasze, powinnyby zadosyć czynić żądaniom człowieka; ale słabość i czułość póty mu zupełnie zaspokojonym być nie dozwolą, póki istota równie jak on czuła, nie podzieli tego uczucia. Znał ułomność człowieka Ten, co go stworzył; a we wszystkiem hojny i wspaniały, dał mu szlachetne sposoby uczynienia im zadosyć. Jednym z nich jest przyjaźń, w niéj bowiem człowiek znajduje zawsze ulgę w cierpieniach, zachętę w przeciwnościach; drugie sumienie, które lepiéj niż kto inny, cnoty nasze oceniać umie, i najdelikatniejszéj miłości własnéj pochlebiać potrafi. — Bez zupełnéj i wzajemnéj ufności nie ma przyjaźni. Jednę duszę, jedno serce dwie powinny mieć przyjaciółki; i ten obowiązek nic z obu stron nie kosztuje, bo z osobami ukochanemi dusza jest w ustach, i trudniéj byłoby ukryć uczucie jakie, niżli je wyjawić. W szczególnych tylko zdarzeniach, jedynie z rozkazu ojca twojego, a później męża lub rozsądku, możesz wstrzymać powierzanie się Anieli. Po mojéj śmierci wiele sobie korzyści z czułéj waszéj przyjaźni obiecuję. Aniela dwoma laty od ciebie starsza, ułożenia powolniejszego, a nadewszystko doskonałéj matki córka, więcéj ma daleko od ciebie rozsądku i doświadczenia, znasz to sama, Amelio! i przyjaźń twoja zwiększa się jeszcze szacunkiem; mam więc nadzieję, że pójdziesz zawsze za jéj przykładem i radami.

Kochając tyle Anielę ile ją kochasz, znając jéj cnoty, jéj przywiązanie do ciebie, osądź sama, córko moja! czy masz jaką potrzebę szukania więcéj związków; wierz mi, przestań na tym jednym. Ile prawdziwa przyjaciółka dobrego, tyle zmyślona złego sprawić może. Kochając wiele, trudno dobrze kochać. — Mnie aż nadto wielką czułością obdarzyło niebo, a jednak w powzięciu przyjaźni, nigdy łatwą nie byłam, i prawdziwie jednę tylko panią R. kochałam i kocham.

Skoro tylko powoli potrafię przyzwyczaić męża mego do téj myśli, iż rozłączę się z nim wkrótce, przedstawię mu, ile do dokończenia twojéj edukacyi, do zapewnienia nawet szczęścia twojego nadal, ile mówię, jest potrzebnem, abyś świat i ludzi więcéj poznała. Młoda osoba, która nigdy nie wyszła z rodzicielskiego domu, zawsze spokojne i jednostajne dni pędziła, jeden tylko zna ułamek wielkiego obrazu życia ludzkiego, jest jeszcze bez doświadczenia, i tysiączne grożą jéj przygody. Brat nasz pułkownik ma jak wiesz, najsłuszniejszą kobietę za żonę, mieszka z nią w Warszawie, pragnę, ażeby mąż mój do niego pojechał, i ciebie pod pieczą stryjenki, jak już będziesz miała lat ośmnaście, w świat wprowadził. — Przestrogi moje i zdania, jakim sposobem wtedy postępować powinnaś, zatrzymają mnie jeszcze na chwilę. Już codzień sił mi ubywa, spieszyć się trzeba!... Teraz mówiąc o przyjaźni, niechce przepomnąć płochéj i zdradliwéj. - - Powszechnie kobiety na większym świecie żyjące, chcąc przybrać na siebie pozór czułości, bez końca przyjaciółek liczą, a mając ich tyle, żadnéj nie mają prawdziwéj. Skoro i ty między ludzi wejdziesz i w dalszym biegu życia twego znajdziesz wiele niewiast mających ochotę łączenia się z tobą. Odstręczać ich, i niegrzecznością przychylność odpłacać, byłoby niedelikatnie; ale można słuszną zachować miarę: przyjmować ich grzeczności, oddawać po-

dobne na wzajem, ale nie przypuszczać ich nigdy do poufałości, ani nadto ufności w nich pokładać. Nie bądź niczyją powiernicą, i nikomu prócz Ojcu i Anieli, skrytości serca twego nie otwieraj! Wystawić sobie jeszcze nie możesz, jak smutne ciągną za sobą skutki te nagłe zabierania przyjaźni między młodemi osobami. Parę dopiero niedziel jak się znają, a już wzajemnie najskrytsze sobie tajemnice powierzyły; krewnym, znajomym nie przepuściły; słowem: nic przed sobą nie tają. Podobna przyjaźń jak skojarzona prędko, rozrywa się także z równym pospiechem; przyjaciółka nieprzyjaciółką się staje, znając najskrytsze mysli téj, którą dopiero kochała, a teraz prawie nienawidzi, niema sobie za złe, wyjawiać sekreta złożone w dobréj wierze na jéj łonie. Ileż to ztąd powstało nieporozumień, swarów między rodzinami? i liczne intrygi, czernienia, nieufność, z jakiegoż innego jeźli nie z tego poszły źródła? — Choć nie wszystkie płoche związki tak smutny mają koniec, każdy jednak jest niebezpieczny. Łącząc się bez zastanowienia i z prędkością z osobami mało znanemi, jakże można w nich odkryć jednakowość zasad, podobieństwo zdań, skłonności, koniecznie w przyjaźni prawdziwéj potrzebne? Przyjaźń do wzrostu długiego potrzebuje czasu. Ilem ja widziała, dwoma sposobami ludzi wiąże. Jeden jest ten, kiedy serca, które za swoje obrała siedlisko, od dzieciństwa połączy, a z równego wieku, jednakowego wychowania, składa ogniwa tkliwego łańcucha: takim jest związek twój z Anielą! Drugi zaś jest ten, kiedy okoliczności podadzą nam sposobność w wieku już dojrzałym poznać osobę z sercem naszemu podobném. Wtedy obie strony ku sobie czują ponętę wzajemną, długo siebie uważają: serce zawsze prędkie odda się wkrótce, ale rozsądek nie dozwala tak nagłego uczuć wyjawienia; doświadczenie i przekonanie czekać każe. W miarę jak ich nabywamy, okazujemy przywiązanie, a w przeciągu roku, dwóch lat, czasem i dłuższego czasu, wzrośnie dopiero prawdziwa przyjaźń, równie trwała jak pierwsza. Takim jest węzeł nieprzerwany łączący mnie z panią R. Porównaj z niemi inne związki raptowne, a przekonasz się: iż dwie muszą być boginie przyjaźni: jedna córka *czasu* i *cnoty*, druga dziecię *dziwactwa* i *płochości*. Niech serce twoje a bardziej głowa, nigdy téj drugiéj nie zna! Nie prędzéj zgubić młodéj osoby nie może. Choćby jéj wreszcie nie zdradziła świeżo nabyta przyjaciółka, choćby i lat kilka wierną jéj była, gorsze jeszcze czasem stałości jak niewczesności skutki. Słyszałam mówiących wielu światłych i rozsądnych ludzi, że na wielkim świecie nierównie niebezpieczniejszemi są kobiety, niż mężczyzni dla kobiet. Mężczyzna nigdy tak wolnego przystępu, nigdy takiéj nie ma poufałości. Najświatlejsza, najcnotliwsza niewiasta, kiedy bez zastanowienia związki zawiera z osobami płci swojéj, nie uniknie spisku, i wkrótce albo rozstać się z przyjaciółką będzie musiała, albo też przyjmie jéj wady i sposób myślenia.

Przez cały bieg życia twego, Amelio! bądź z uszanowaniem dla niewiast sędziwych, z szacunkiem dla zasługujących na powszechną wziętość i uwielbienie, z grzecznością dla wszystkich; ale przyjaźń, poufałość, ufność, dla jednéj tylko zachowaj Anieli! Bo powtarzam, dosyć jest mieć jednę przyjaciółkę. Gdybyś jéj jeszcze nie miała, radziłabym ci czekać równie szczęśliwego związku jak ten, który mnie z panią R. skojarzył. A jeźliby cię takie szczęście nie spotkało, wolałabym, żebyś wcale przyjaciółki od serca nie miała, jak żebyś zły uczyniła wybór.

Przyjaźń.

Przez Krasickiego.

Było nas kilkunastu przyjaciół razem, i ucieszyliśmy się wyśmienicie, mówił mi niedawno w posiedzeniu jeden z moich sąsiadów. Powinszowałem i zazdrościłem tak miłéj zabawy, a rozważając rzecz u siebie, położyłem to w osobliwości naszego wieku, iż się społem *tylu* przyjaciół, a dobrych przyjaciół zeszło.

Zle to podobno, iż o przyjaźni pisano księgi, bo uczyniono ją nakoniec niepodobną. Dziełem ona serca, nie pióra jest, i ten, który się nad jéj zbyt przesadzonemi obowiązkami rozciągnął, nie pisał z doświadczenia.

Trzeba więc, zdaje mi się, wziąść środek, i między tym, który ją *tylko* w Orestach i Piladach stanowi, i między sąsiadem moim, który się z *kilkunastu* dobrymi przyjaciołmi wyśmienicie ucieszył.

Uczone, a przeto zbyt dosadne wyrazy tych, którzy pisali o przyjaźni i mianowali ją ostatniem czułości wysileniem, najściślejszem złączeniem umysłu i serca, jedną duszą w dwóch ciałach. Nie można przeczyć wyborowi dzielnych wyrazów, jednakże w pospolitym rzeczy obrocie zbyt wiele znaczą, a zamiast wzbudzenia ku niéj, odstręczają od jéj szacownych i przyjemnych obowiązków. Nie z książek więc, ale i z czucia i doświadczenia niech mi się powiedzieć godzi, iż nie jest przyjaźń tak ciężka ku nabyciu i utrzymaniu, jak ją być mienią.

Pierwszą jéj zasadą powinien być *wzajemny szacunek*,

a natychmiast zwać ją ciężką do nabycia, byłoby to uwłoczyć rodzajowi ludzkiemu. Czernimy go, iż się nam niektórzy podobać nie mogli, a nie wchodzimy w to, iż od niektórych do wszystkich zły wniosek. Nie dosyć jest siebie szacować, iżby godnym być szacunku; ten wprawdzie cnotą i przymiotami się nabywa, ale choćbyśmy to wszystko posiadali, trzeba jeszcze do pozyskania serc *łagodnéj uprzejmości*, która i wzywać i odpowiedzieć na wezwanie umie. Czynimy więc przyjaźń dla tego trudną, żeśmy jéj nie doszli: niepodobną, żeśmy jéj niegodni.

Jak więc zbyt uczone wyobrażenia rzeczy, ćmią raczéj rzecz, niżeli ją wyłuszczają; tak się też dzieje w opisach przyjaźni. Chcemy ją poznać? Nie taką ją wystawiajmy, jaka się zbyt wzniosłym umysłom marzy, ale jakiéj doznaliśmy, jeżeliśmy albo byli szczęśliwi, albo godni dostać przyjaciela.

Tezeusz z Pirytousem, Orest z Piladem, a jeżeli i bóstwa ściągać mamy, Kastor z Poluxem podali starożytności wstęp i pole ku wybornym wprawdzie, ale tak jak te bohatery, na bajki zarywającym przepisom. Serc prawych działania nie potrzebują przysady, i jak niedawno wydano komedyą filozofa, który iż był nim nie wiedział, znajdują się tacy, którzy nie mają honoru umieć reguł, a posiadają korzyść, i znać, i czuć i doświadczać, co jest przyjaźń.

Nie z miast, ani dworów w téj mierze dowodów i przykładów zasięgać należy: nieznająca przymusu czułość w zdradnych się tych siedliskach nie mieści. Tam jéj więc szukać potrzeba, gdzie ją *cnotliwa zażyłość*, którą *prostotą* zowiem, posiada. Nie dziwują się tam, iż przyjaciel gotów łożyć dla przyjaciela najusilniejszą staranność, majątek, a gdy trzeba i życie. Czyniący takowe ofiary, nie wie, co to jest heroizm, i pełniąc go sam się sobie nie dziwi, pewien, iż tego samego, co czyni, doznałby w potrzebie od tegoż samego, dla którego zapamiętałością (że tak rzekę) poczciwego uczucia, na wszystko się waży. Powtarzam to, i śmiało powtarzać mam słodycz, iż jeszcze zapał cnoty, a zatem przyjaźni nie wygasł: ale z żalem i wstydem mówić mi przychodzi, iż jéj przykłady rzednieją, i już się nieprawość miast z zaraźliwym przykładem swoim do lepianek zakradła.

Są rzeczy, które się lepiéj czują niż określają, i taka jest przyjaźń. Jeżeli ją więc określić należy, jestto *serc poczciwych skłonność*, jestto potrzeba znajdująca wzajemne dogodzenia, jestto rozkosz cnoty. Rzadka więc, ale i być może i jest, nie tam jednakże znajduje się, gdzie chęć zabawy, lub zysku pierwsze miejsce trzyma. Złączenie przyjacielskie ścisłość swoję wzajemnemu jedynie szacunkowi jest winno,

i jak od niego się poczyna, tak też jemu samemu tylko trwałość swoję przypisywać powinno.

Nie są albowiem prawdziwemi, albo przynajmniéj dostatecznemi takowe związki, które czas, albo okoliczność zrywa.

Już się namieniło, iż błądzą w oznaczeniu przyjaźni, którzy przesadzają w jéj obowiązkach: jedynie albowiem doskonałym byłaby przyzwoitą, a tego stopnia w ludzkości niemasz.

Że więc podległy zdrożnościom, z równie podległym zabiera stowarzyszenie, na to zawsze mając baczność, lada fraszką nie zrazi się. Częstokroć w téj mierze trzeba, jak mówił Horacyusz, i przebaczać i prosić o przebaczenie, tę jednakże zachowując ostrożność, iżby się jak najrzadziéj zdarzało. Jeżeli wspólne dźwignienie umniejsza ciężar, źle go nosi, kto się oszczędza.

Tak, jak wszystkie rzeczy na świecie, ma i przyjaźń gorycz swoję, ale ją *cierpliwość* i *baczne uleganie* zmniejszać i słodzić powinno, a w tém najdzielniéj wydaje się roztropna czułość, gdy się nie daje uznać temu, dla którego się takowe cierpienie podejmuje.

Czynią to bez przepisów i przymuszenia w szacownéj prostocie uprzejme serca, i w takowych związkach i skojarzeniach śmiem twierdzić, iż jest jeszcze, a może i nie tak rzadka, jak mniemamy, prawdziwa i stała przyjaźń; ale upodlać jéj nazwisko w tém, na co pospolicie po dworach i miastach patrzym, jestto błąd tém grubszy, im szkodliwsze za sobą przynosi skutki, potwierdzając w złém i oszukanych, i oszukujących.

Trafiło mi się niedawnemi czasy napaść na księgę sławnego pisarza francuzkiego Montaigne. Miał on rzadko zdarzające się szczęście, znaleźć i pozyskać prawdziwego przyjaciela, a razem zbyt czułą boleść nie długo się nim cieszyć. Jak zatém przy żalu, z niewczesnéj śmierci przyjaciela, przyjaźni szacowne związki określa, wiernie myśl jego i wyrazy obwieszczam.

„Jedyna (mówi on) i uroczysta przyjaźń rozpara wszystkie inne obowiązki. Sekret który względem innych przyobiecałem zachować, powierzyć przyjacielowi mogę, bo nie jest on innym; ale jest mną. Cud to jest podwoić się, ale go nie znają, a dopiero zdziałać nie potrafią ci, którzy mówią, iż troić się można.“

Czyniąc daléj wzmiankę o przyjacielu, którego stracił, tak mówi: „Jeszcześmy się nie byli obaczyli, a jużeśmy się szukali, nazwiska nasze miały się ku sobie. Za pierwszém wejrzeniem, takeśmy się znaleźli, ujęci, znajomi,

względni, iż już odtąd nic ściślejszego między nami być nie mogło.“

„Nie szczególna to zdziałała uwaga; ani ich dwie, ani trzy, ani tysiąc to w nas zdziałało: byłato treść wszystkich, zmięszanych razem, która wziąwszy jego i moję wolą, pogrążyła je wzajem, nadała im jakowyś głód ku sobie, i przeistoczyła w jedno.“

„Jeden był wpływ dusz naszych i jednym szły biegiem, tak się na sobie wzajemnie znały, żem nietylko tak jego znał, jak on mnie, alebym się był nawet bezpieczniéj na niego spuścił, niż na mnie samego.“

„Jeżeli przyrównywam zeszłe życia mojego momenta, lubo były spokojne, i oprócz straty mego przyjaciela, żadnéj innéj przygody nie doznałem, jeżeli mówię: ten cały przeciąg kładę obok ze czterema laty, które w słodkiem jego towarzystwie przepędziłem, wszystko to, co zostało, jest czczością i próżnym dymem, nocą ponurą i nudną.“

Nec fas est alio, nec voluptas frui.

„Takem się był przyzwyczaił być dwojgiem, iż mi się teraz zdaje, żem jest tylko połową.“

O misero, frater! adempte mihi!
Omnia tecum una perierunt gaudia nostra!
Quae tuus in vita dulcis alebat amor.

Dodać do zwyż położonych wyrazów rzecz ciężka, że jednak szacowne przyjaźni związki, sławnym w dziejach naszych przykładem, a zwłaszcza, iż między monarchą a poddanym są uwielbione, słowa kroniki Bielskiego, szacownéj wdzięczną prostotą, kładę: „Po śmierci Mieczysławowéj, wszyscy jednostajnie na Leszka Białego monarchią dzierżeli, mówiąc: iż Bóg jawnie pokazuje, że ma na nie sprawiedliwość Leszek, którą Bóg dawno jemu naznaczył. Tylko wojewoda Krakowski Mikołaj, z biskupem Fulkiem przeciw temu byli, a na syna Mieczysławowego Władysława dzierżeli, bo się zgniewali na Helenę, iż wojewodę chciała wywołać kwoli Mieczysławowi. Wysławiał tedy wojewoda ród wielki Mieczysławów, dzieci jego dobre, dostatek wielki mające, a też nie słusznoby było dziedziców własnych tego oddalać. Jednak nie mógł nic z bratem przewieść, bo co żywo, po Leszku było. Co widząc pozwolili i oni na Leszka tym obyczajem, jeźli Goworka od siebie wypędzi. I z tém posłali do Leszka powiadając, że jeźli chce być monarchą, musi Goworka wygnać od siebie.“

„Rozmyślał się Leszko, i powiedział tak sobie: i miałby dla mnie, dobry a zasłużony człowiek być wygnan, i zelżon niewinnie? Boże tego nie daj, abym ja to miał uczynić. W tém przystąpiwszy Goworek przed Leszka, mówił: dla mnie jednego mój panie, nie opuszczaj królestwa, bo masz do niego sprawiedliwość nad inne. Mnieć Pan Bóg pożywi; zjechawszy do cudzéj ziemi, będę się wszędzie miał dobrze: a zaż mnie wiele trzeba zwłaszcza staremu, który już lada kiedy umrę? A tak źleć radzą ci, co dla mnie każą monarchią opuścić.“

„Ta życzliwość jego wzruszyła jeszcze bardziéj Leszka, iż nie chciał odstąpić Goworka, starego sługi swojego. Przeto odesłał z tém do rycerstwa, oznajmując, iż nie jest od tego, aby nie miał woli królestwa przyjąć, którem go czczą; ale bez kondycyi, któréj jeźli nie odstąpią, tedy i królestwa nie chce.“

Zbyteczne o sobie rozumienie.

Przez tegoż.

Między najszkodliwszemi, a razem nieznośnemi w ludzkiem towarzystwie przywarami, kładę zbyteczne o sobie rozumienie, a rozciągam je, nietylko do osobistych, ale i do ojczystych własności naszych. Lubo ze wszech miar ta przywara godna nagany, i obraża innych dotkliwie; tak jest jednak powszechną, iż zacząwszy od nas samych, śmiele mówić można, iż rzadko jéj kto uszedł: ci zaś, którzy ją mają, tak nią są zajęci, iż bardziéj o zmniejszeniu onéj, niż o wykorzenieniu myślić należy.

Mimo najdzielniejsze uwagi, przestrogi i napomnienia, mimo własną każdego w szczególności usilność, dzielniejsza nad to wszystko miłość własna, przekonanemu do ucha szepce, iżby temu, i co od innych powziął i czego sam doświadczył, nie wierzył. Zdobywamy się na odpowiedź, i na postać jakiegoś niby odporu: na tém się po większéj części rzecz kończy, iż słuchamy, czegośmy niby słyszeć nie radzi byli, i wierzymy temu, czemuśmy niby wierzyć nie chcieli. Uśmiecha się szpetny do zwierciadła, a głupi z mądrego szydzi.

Matką dobrego, a raczéj zbytniego o sobie rozumienia, jest miłość nasza własna, i licznym się jeszcze innym płodem zaszczyca; gdybyśmy się albowiem chcieli nad jéj skutkami zastanowić, znalazłoby się ich tyle, iż przekonanemi zostalibyśmy, że ona jest początkiem i źródłem wszystkich przywar, którym podlegamy. Już się o niéj w szczególności dość namieniło, a zatém nad tém zbytecznem rozumieniem zastanowić się nie zawadzi, które się do naszych własności ściąga.

Sprowadzeni w cieplejsze kraje, znajdujący się wśród wygód, tego wszystkiego, na co tylko zbytek wysilić się może, Laponowie, płakali do Laponii; i dla tego, iż nie było śniegów i lodów, wszystko im się zdawało niezgrabne. Dziwujemy się grubemu przesądowi, a jednakże jesteśmy w nim sami, i czy jest przyczyna wynosić się nad innych, czyli nie; każdy naród przywłaszcza sobie pierwszeństwo. Nie ze wszystkiém, zwłaszcza gdy w mierze o sobie trzymamy, nagannym jest ten przesąd; jak bowiem i z jadowitego częstokroć ziela lekarstwo, tak ztąd użyteczność wyniknąć może; gdyż jest świętéj miłosci ojczyzny powodem i skutkiem. Dym przykry z istoty, a jak pospolite przysłowie niesie, słodki, gdy swój: *dulcis famus patriae.*

Najlepsze byłyby kroniki każdego kraju, gdyby ich krajowi nie pisali: mimo najuroczystsze takowych pisarzów przyrzeczenia, choć nieznaczne, przecież pochlebne gniazda swojego uwielbienia, co złego, choć się zaprzeć nie może, wycieńcza i drobni, a co dobre, tak mnoży i olbrzymowaci, iż i krajowym, gdy się przesądem nie uwodzą, fałsz jak to mówią, skacze do oczu. Grecy do takowego stopnia miłość własną krajową przywiedli, iż jakby u nich tylko mogła być osadzoną doskonałość, resztę rodzaju ludzkiego zwali *dziczyzną.* Najskromniejszym między niemi zdaje się być Plutarch. W opisie ludzi zacnych, stawia zawsze Greka z Rzymianinem; że zwycięzców (jak byli naówczas Rzymianie względem Greków) narażać sobie rzecz niebezpieczną, tak w następném postawionych obok przyrównywaniu, nieznacznie rzecz na swoją stronę naciąga, iż ledwo nie za każdym (lubo jawnie wyroku swojego nie obwieszcza) daje do wyrozumienia czytelnikom, iż lepszym był Grek od Rzymianina.

Ale po co nam się w dawniejsze wieki zaciekać do szukania, poznania i dowodzenia tego, co się w naszych codziennie dzieje? Najlepsza pora, zbyt na nieszczęście nasze rozpleniona, wojenne zdarzenia. Gdybyśmy wówczas obojéj strony gazeciarzom chcieli dać wiarę, każda przegrana bitwa jednéj strony, jest drugiéj zwycięztwem; wódz, który po prostu mówiąc uciekł, przewyborną uczynił retyradę; półki które nie dotrzymały placu, drogo przedały cofnienie swoje; a obie strony przy hucznem z armat biciu i odgłosie dzwonów, na podziękowanie Panu Bogu śpiewają zwycięzkie *Te Deum laudamus.* Co się w publicznych wieściach dzieje, toż samo w posiedzeniach i powieściach szczególnych, daje się słyszeć. Komu sprzyjamy, przysądzamy nierównie więcéj, niżeli posiada. Niechże na niełaskę naszę zasłuży, choćby i Arystotelesa w nauce przeszedł, głupim on

będzie po staremu, a głupszym jeszcze ten, kto po nim w większą naszę niełaskę wpadnie.

Kiedy Alcybiad dla zuchwałości i zbrodni swoich wygnanym będąc z Aten, udał się do Sparty, spodziewać się tego nie można było, iżby rozpieszczony biesiadnik, mógł się podobać surowym w sądzeniu, wstrzemięźliwym w życiu, Lacedemończykom; jednakże zyskał u nich wziętość. Zadziwićby takowy postępek powinien; ale dodaje pisarz życia jego, iż chwalił i jadł smacznie ich czarną polewkę, a dopiero wówczas po guście poznali, iż się znał na rzeczach; ta albowiem czarna polewka, która według zdania wszystkich, nietylko smaczną nie była, ale przykrą, nudną i odrażającą; dla tego, że swoja, zdawała się im miłą i smaczną.

Każdy naród ma swoję czarną polewkę; przekładać się więc i wynosić jedni nad drugich nie powinniśmy. Są, prawda, niektóre właściwe, każdéj cząstce rodzaju ludzkiego przymioty: ale nie idzie zatem, iżby, kto w jedném przewyższa, miał zewsząd zyskać pierwszeństwo. Tak jak powietrze, przeto, iż gdy ciepłe, miłe; nie koniecznie gdy zimne szkodliwe, ale każda chwila ma swoję zdatność; równie i przymioty narodów; lubo sobie przeciwne, w rodzaju jednak swoim każde z nich godne szacunku; wzgarda jednych ku drugim niesprawiedliwa, skutkiem jest wyniosłości i nierozsądku.

Czułe a dokładne w przedziwnych rozmiarach swoich przyrodzenie, taki wydział rzeczy nadarza, iż niemasz takowéj części w okręgu świata, któraby swojéj osobliwéj zdatności nie miała; na czém więc jednéj braknie, znajduje się u drugiéj. Nie dla innéj przyczyny działacz najwyższy tak rzeczy sporządził, tylko dla téj jedynie, iżby przez to mieli się ku sobie mieszkańcy ziemi, i kojarzyli się w towarzystwo. Taż sama Opatrzność dzielniéj się jeszcze wydaje w ludziach: możnaż sądzić tak nieuważnie, iżby co względem ziół, roślin i kruszców czyni, tegoż samego wymiaru względem ludzi nie zachowała? Gdy więc nie brak sposobności, ale onéj nieużycie, lub złe używanie, różnicę między narodami czynią, — niech oświeceńsze względnemi będą na mniéj oświecone, a tém samém lepiéj nierównie i dzielniéj, niż urąganiem i wzgardą, pierwszeństwo swoje okażą.

Zarozumiałość.

Przez K. Brodzińskiego.

Zarozumiały jest tém samém pod względem umysłowym, co zapamiętały pod względem moralnym; oba działają na oślep. Ale zapamiętały ochłonie i upamiętać się może, zarozumiały wiecznie duszony jest dymem miłości własnéj, i zdaje mu się, że to jest obłok, z którego, jak Jowisz, gromy i wyroki wyrzucać może. Nieznośna to wada w społeczeństwie, a najszkodliwsza temu, kto nią jest zarażony.

Smutno jest razem i pociesznie słyszeć w gronie ludzi mających doświadczenie i zasługi, zarozumialca stanowiącego o wszystkiém; tém więcéj zuchwałego, im więcéj rodzi około siebie skromności, im mniéj zdolny jest domyślać się milczącego politowania. Wyrokuje o pracach i charakterze ludzi tém śmieléj, że sam nic jeszcze nie pracował i charakteru swojego na żadne stanowcze doświadczenie nie miał sposobności wystawić. Gdy niegdyś wiek i zasługi minione, dostateczne były do poszanowania, a przynajmniéj jednały względność młodych, teraz same przez się wystarczą, do lekceważenia w zarozumiałych. Jeżeli im się uda wadę lub myłkę jakową w kim postrzedz, a tylko na to polują, wtenczas sądzą, iż są we wszystkiém nad niego wyższymi; i dla skazy, choćby tylko uwidzianéj, ze wszystkiém go potępią. Najjaśniejsze dowody oślizgną się o nich jak o głazy, bo sobą tylko zajęci, nigdy w cudzy charakter, sposób myślenia i w położenie nie wchodzili, i na nikogo nie zważając, obrażonymi się sądzą, gdy kto mało ich pretensje uważa.

Różne są przyczyny i stopnie zarozumiałości. Człowiek oddany wyłącznie jednéj jakowéj nauce, łatwo ulegnie téj wadzie: bo w saméj rzeczy, daleko postąpić w niéj może, i naturalnie widzi w niéj bardzo wielu niższymi od siebie; chociaż nie ogląda się na ich inne zalety, których dostrzegać i cenić nie umie. Ta zarozumiałość najłatwiejszą jest do wybaczenia: bo kto swojego zawodu najwyżéj nie ceni, ten w nim nie postąpi daleko. Dodać atoli wypada, iż to dobre rozumienie mieć można o swojéj nauce, lecz nie o sobie samym. Jednakże zwykle zarozumiałość i pedantyzm czepiają się tych, którzy oddają się przedmiotom szczegółowym i mało ważnym dla ludzkości; nic tak nie uczy być skromnym, jak głębokie badanie nauk wszelkiego rodzaju, bo im kto daléj w nich dojdzie, tém pewniéj trafi na granice, gdzie rozum ludzki koniecznie zatrzymać i ukorzyć się musi. Salomon i Sokrates, dwaj najwięksi mędrcy starożytności, jawnie to wyznanie uczynili, a Chrystus Pan, uważa skromność za obowiązek i szczęście chrześcianina. Z nią można daleko w naukach postąpić, ale zarozumiałość jakby zlodowaciała, zawsze na jedném miejscu zostaje.

Zarozumiałość pospolitą jest także w ludziach w odosobnieniu żyjących, którzy powziąwszy, lub utworzywszy sobie zdanie jakowe, nie mieli sposobności porównać go z innemi, a przeto, z swojem tylko rozumieniem obcując, tak nawykli do niego, iż w niém żadnéj mylności nie widzą, i wszelkiem mniemaniem przeciwném pogardzają. Bliższe obeznanie się w towarzystwie, wyleczy ich z téj wady, którą zresztą każdy rozsądny wybaczy.

Daléj ulegają téj wadzie ludzie, którym szczęśliwa zkąd inąd fortuna, nigdy nie dozwoliła szczeréj prawdy usłyszeć, w których owszem zarozumiałość, ciągłe pochlebstwo rozwinęło. Lepiéj jest dla człowieka być w zaletach swoich niepoznanym aniżeli nad zasługi chwalonym, bo w pierwszym razie, ma bodziec do dalszego jeszcze postępu, a w drugim tylko tamę, którą już za cel osiągnięty uważa.

Najwięcéj i najnaturalniéj skłonny jest człowiek do niéj w młodości, bo wszystkie pojęcia są mu nowe, a zatem silnie na niego działając zdają mu się być jedyne, nieomylne, za któremi przeto z wszelką żywością obstaje. Na to jedynem lekarstwem jest czas i roztropne a wczesne prostowanie przez doświadczonych, bo ta wada łatwo się zakorzenia; a nic przykrzejszego, jako gdy od niéj, własne zawstydzające szkody i obcy ludzie, odzwyczajać nas będą. Ale u młodych niezepsutych, bywa to raczéj żywe czucie, przyrodzoną otwartością niż zarozumieniem, która przy względnych osobach, łatwo na korzyść wyjść może. Przeciwnie najnieznośniejszym i politowania godnym jest młody zarozumiały pedant, który wychodząc z pięknéj sfery swojego wieku, zimnym i poważnym tonem *wszystkowiedza* i *wszystkouma* udaje. On właściwie mniéj jest zarozumiały, niżeli chce tę nieszczęśliwą rolę udawać. On dobrze rachuje się z sobą, aby się w oczach ludzi nie okazał mniejszym, niż jest przed sobą samym; dla tego najwięcéj z góry daje wyroki. Pierwszego naprowadzać potrzeba; dla drugiego niema sposobu, również z góry go karcić wypada.

O Duchu poetyckim w narodzie polskim.

Przez St. Witwickiego.

(Str. 393.)

Powiedział jeden ze sławnych naszego wieku ludzi*): iż najwięksi na téj ziemi poeci są właśnie ci, o których ona niewie, i którzy nigdy tém nazwiskiem nie są mianowani. Jakkolwiek w takiém twierdzeniu jest więcéj może śmiałości niżeli precyzyi, niewątpliwa wszakże, że *poezya*, nie jest to samo, co *wiersze;* że nie mierzy się średniówką, rymem, albo strofą; że można być poetą nie ułożywszy w całém życiu ani dwóch wierszy, jak znowu można nim nie być narobiwszy ich i nadrukowawszy bardzo wiele, a nawet dobrych. Nie jeden n. p. podróżny, który patrząc na wschód słońca, albo na inne podobne widowisko przyrodzenia, zapomniał się**), rozpłakał, i blaskiem zachwyconego czoła odstrzelił ku niebu; nie jeden człowiek wielkich i gwałtownych uczuć, który mając pomścić się na swym okrutnym nieprzyjacielu, podawa mu rękę, i wzniosłszy się nad błędy ziemi, przyciska go do piersi jako brata: taki, lub jemu podobny, ma zapewne więcéj w sobie poezyi, niżeli dziesięciu jakichś uczonych jakichś rymotwórców, którzy dzień i noc czytają i piszą wiersze. A jako w ludziach pojedyńczych rozróżniamy poetów od wierszopisów, tak również, mówiąc o narodach w ogólności, nie należy sądzić o ich poetyckim duchu z większéj lub mniejszéj liczby autorów rymujących, albo tomów rymowanych. Dowodzi tego samże naród polski. Może żaden inny nie napisał tak mało wierszy; a może żaden z nowoczesnych nie był całym ciągiem swojego życia narodem więcéj poetyckim. Trudno to o tém mówić bardzo oczywiście i wyraźnie. Aby poezyę widzieć, potrzeba śmieć na nią patrzeć. Nie ujrzy tęczowych kolorów słońca, kto patrzy zwyczajnym wszystkich ludzi wzrokiem. Myśl ma także swój pryzmat. Dopiero przez nie przechodząc widoki tego światła malują się na duszy w kolorach poezyi. Gdybyśmy przez taki pryzmat poety mogli pojrzeć na dawną Polskę i objąć na raz całe koło jéj dziwnych dziejów, jakież to obrazy, kształty i malowidła wystąpiłyby przed naszém okiem z jéj podań i przygód, z jéj układu i życia, z jéj błędów i nieszczęść!

Ci zaraz aniołowie, nawiedzający progi ubogiéj chatki kołodzieja, łączą nas widomie ze światem innym, nadziemskim, przebijają od razu myśl naszę do nieba, i będą godłem naszéj wiary. Owa jeszcze dziewica-rycerka, poświęcająca własne szczęście dla dobra wszystkich, i ginąca w falach Wisły, czyliż nie dobrze wyobraża Polskę, zawsze pełną młodzieńczego uczucia, przenoszącą zgon nad obcą wiarę? W dalszém rozwijaniu się życia narodowego, publicznego, jakieżto osobliwsze, jak poetyckie wejrzenie téj dziwnie w sobie zaplątanéj szlacheckiéj Rzeczypospolitéj, gdzie poważna szlachta zgromadza się w krzykliwych zjazdach szukać między sobą *króla*, jak niegdyś on sławny dziwak pierwotnéj Grecyi szukał między ludźmi *człowieka*. Czemże był ów znaleziony, ów, jak go zwano, *pierwszy między równymi?* Nie przypominałyż się tam nigdy igrzyska młodzi swobodnéj i żyjącéj w świecie urojonym, która nieraz w zabawach i marzeniach swoich mianuje między sobą rozmaite urzędy i dostojeństwa, jakie w istocie są tylko zmyśleniem, fikcyą, formą malowniczą? A przecież co za pomieszanie sprzeczności! Do ręki króla, co największemu zuchwalcy ledwie pogrozić zdołała, sędziwi senatorowie przystępują z ucałowaniem; po zgonie jego, naród sierota okrywa głowę żałobnym kapturem, i wszelkie swe sprawy zawiesza na obchód klęski powszechnéj.

I kogoż nie uderzy ta żadną koleją wypadków nieukrócona żądza bojów i chwały; przeniesienie domostwa w obóz; i obok tego niepojęte, dobrowolne marnotrawienie najpomyślniejszych wydarzeń? — owa obojętność na wszelkiego rodzaju korzyści; odstąpienie domowych pożytków cudzoziemcom i przychodniom; wstręt od zatrudnień cierpliwych, łatwych i pospolitych; gotowość na śmierć, tu dla obrony zagrożonego sąsiada, tam na głos naczelnika wiary? — To pełne namiętności, romansu, wypadków i zawikłania ogromne drama obrad sejmowych; nieporównana odwaga, jéj powodzenia i tryumfy, i zawsze prawie dziecinna nieumiejętność obrócenia czegokolwiek na własne dobro i bezpieczeństwo i ta rozpusta szalonéj wolności, gdy każdy był wyższy nad wszystkich razem i jedném swém słowem wszystkich zabijał; owe hałasy i bitwy gawiedzi sejmikujących po całym kraju od morza do morza, co zalegając nawet świątynie Pańskie przed żadną siłą ludzką nie chciały się uciszać, i dopiero na widok hostyi czołem padały; ów znany chleb *dobrze zasłużonych;* ta bez granic gościnność; żadną przygodą nieskłócony humor dobréj myśli i wystawności, trawiący najogromniejsze fortuny; powszechne, jednomyślne zaufanie w jutrze; ślepe spuszczenie się na Opatrzność! Zaiste, nie bardzo tu potrzeba pryzmatu, o którym się wspomniało, aby z tego zagmatwanego kłębka tylu osobliwości, aby z téj nabitéj mieszaniny rzeczy najsprzeczniej-

*) Byron.

**) W tém słowie niemasz tu precyzyi, i należałoby raczéj powiedzieć: przypomniał się.

szych, Bóg wie jakich, i nigdzie indziéj niesłyszanych wysnowała się taśma jak najrozmaitszéj poezyi! Cóż powiedzieć o życiu powszedniem, rodzinnem téj staréj, rozkołatanéj Polski? O zajazdach i burdach szlachecczyzny, o dworach magnatów, o ich partyach zbrojnych, ich weselach, pogrzebach, ich przejazdach z dóbr jednych do drugich, gdzie ciągnąca karawana nieraz na przestrzeni mil kilkudziesięciu rozwlekała się po kraju hucznie i zbrojno, jakby najście nieprzyjaciela, i kiedy jeszcze przed pół wiekiem jeden z takich prywatnych królów używał do swych przenosin z rezydencyi jednéj do drugiéj, około czterysta koni i piętnastu wielbłądów?*) Prawda że nas to wszystko na końcu zgubiło; to jednak nie przeszkadza widzieć rzeczy jak były w istocie.

Ten duch poetycki polskiego narodu postrzegać się daje na każdéj niemal karcie jego dziejów dawnych i nowych. On to np. przyprawiał niegdyś skrzydła do ramion husarzów, i rycerzy przedzierzgiwał w ptaki; on jeszcze za dni naszych stanął widomie na mogile *Kościuszki*, i nowa góra wyrosła na Wisły wybrzeżu. Naród który tak wojowników swoich ubiera do boju, który poległym takie nagrobki stawia, zaprawdę jest świetnym, wzniosłym poetą.

Co się tyczy saméj dawnéj Polski, jakażto się pokaże dziwna, jak poetycka i fantastyczna figura, gdy kiedyś pod ręką sztukmistrzów wystąpi na widnię w zupełnéj swéj postaci, we wszystkich swoich rysach, kształtach i cieniach! Ogólnie mówiąc, i mierząc rzeczy na wielką skalę, jeszcze ona nie znalazła sobie malarzy, muzyków, poetów piśmiennych. Ukończyła już i zamknęła życie codzienne, rzeczywiste, dla historyi; jeszcze go nie wyraziła, nie odbyła życiem sztuki dla sztuki.

Nowa nasza literatura poczęła wyprowadzać ją nieco na światło. Jakaż to w niéj n. p. porywająca osoba ów Miecznik nieodżałowanego autora *Maryi!* Twórczy dowcip *Mickiewicza* zwrócił się także w tę stronę w ostatniem swem dziele: wykonał je z zachwycającą okrasą i blaskiem. Tylko że w *panu Tadeuszu* dawna Polska jest pokazana, że tak powiem, z szarego końca, i w tarataice folwarcznéj, zaściankowéj; wreszcie już upstrzona i rozrobiana cudzoziemszczyzną, co pójść naturalnie musiało za osadzeniem treści poematu w czasach ostatnich.

Polska między rozmaitemi osobliwościami, co na nią niegdyś kładły piętno tak wyraźne i odrębne, miała także pewien wyłączny rodzaj poetów ustnych, tradycyjnych, dziwnie jéj przypadający do twarzy, który nigdzie indziéj nie był tak obyczajom narodowym właściwy, i nigdzie téż tak nie kwitnął. Tu jest miejsce o nim wspomnieć.

*) Książe Adam Czartoryski, jenerał ziem Podolskich.

Życie narodowe dawnéj szlacheckiej Rzeczypospolitéj kiedy bywało wywrzeje na placach bitew, wyszumi w hałasach sejmikowych i trybunalskich, nie znajdowało już dla siebie żadnego pola publicznego. Wiadomo, że polska szlachta, jedyna w świecie do szabli i sejmowania, nie lubiła okropnie pracy cichéj i mozolnéj kunsztów, rzemiosł i handlu. Odstąpiwszy w tym względzie cudzoziemcom wszelkich zysków i chluby, niecierpliwa i porywcza potrzebowała koniecznie ciągłego ruchu i gwaru. Gospodarstwo rólne nie było dla niéj nauką, umiejętnością, ale raczéj zabawą i prostem lubownictwem przyrodzenia. Widok łanów, puszcz, stawów, zajmował ją spokojniéj wprawdzie, lecz nie mniéj żywo i łatwo jak w innéj chwili zgiełk bitwy, jak spory i kłótnie obradowe. Szlachcic wróciwszy z wojny lub sejmiku, nie miał w domu co robić; więc objeżdżał krewnych, powinowatych, przyjaciół, albo spraszał gości do siebie, ucztował, bawił się i gadał. Przy takiém życiu talent opowiadania musiał oczywiście niezmiernie popłacać; powszechnemi wyścigi musiał się rozwijać i kształcić. Goła prawda, zwyczajna rzeczywistość nie mogły dość silnie chwytać uwagi ucztujących słuchaczów; biegła w pomoc wyobraźnia; rosły dziwne powieści: a ich twórcy i układacze tak robili mimo wiedzy najprawdziwszą poezyę, jak owa znana osoba *Moliera* mimo swéj wiedzy gadała prozą. Nie byli to młodzi, sentymentalni minstrele, nucący tkliwe, a najczęściéj cudze piosnki przy dźwięku lutni czy gitary o jakimś oddalonym rycerzu lub tajemniczéj księżniczce, i obchodzący dla zarobku zamki baronów; ale byli to rubaszni, wąsaci i podeszli w lata szlachcice, w towarzystwie równych sobie panów — braci i kandydatów do korony, błyszczący tokajem i serdeczną wesołością, opowiadający głośno i poważnie własne zmyślenia, ucinki i historye o rzeczach domowych, o wypadkach miejscowych, o osobach znajomych i obecnych, zagłuszane wrzawą szlachty braci pijącéj i zanoszącéj się od śmiechu, przy zgiełku i uwijaniu się mnóstwa służby i dworskich, przy odgłosie nieskończonych tytułów i wielmożeństw, malowniczych postawach i zamaszystych ruchach biesiadników, poprawiających wyloty i lite pasy, iskrzących spinkami, wygoloną czupryną, i bogatą materyą różnokolorowych kontuszów i żupanów; podczas gdy tuż za oknami i pod ich okiem dziarska i krzepka młodzież na obszernym dziedzińcu ujeżdżała dzianety, toczyła do pierścienia, i tratowała wyrobione z papieru albo drewna łby Turków i Tatarów. Dla

tych szczęśliwych ludzi, śród takiéj pełności życia powszedniego, tłumu kompanii, hałasu i uciech nieustannych, i dla których cały pobyt na ziemi był, można powiedzieć, jedną ucztą huczną, dla tych, mówię, ludzi dawnych, najkrótsze dumanie przemieniało się w nudy; świat książkowy, piśmienny, był martwy, ciasny i ckliwy! — W rzeczy saméj, nie lepiejże być i czuć się szczęśliwym, jak o szczęściu myśleć i rozprawiać? Nie milej-że żyć poczyą, jak powietrzem, niżeli układać wiersze? Spytajmy się ludzi, o których jeden z ich starszych powiada, iż mają zawsze wolne wejście do nieba, spytajmy się poetów, kiedy to zachwycenie daléj ich tam zanosi, kiedy są najbardziéj poetami? Czy gdy n. p. w towarzystwie natury i zapominając wszelkich względów ludzkich, kąpią się, jak kwiaty w rosach poranku; nucą w duszy pieśń niewydaną; jak szelest liści ginący pod skrzydłem wiatru, i żyją życiem orła, co z więzów wyrwany, powraca górą, samotny, w gniazdo swe odległe; — czy téż gdy uchyleni nad kawałkiem papieru, łapią rymy, i przemazują raz wraz inne wyrazy, które jak sługi nieczułe i bezduszne nigdy im dogodzić nie mogą? Życie poetyckie naszych przodków było nadto bujne i obfite, aby się miało wyłożyć na papier. To téż o ich duchu poetyckim nie można brać miary z tego co napisali. Tylko improwizacya była im właściwa; a ta znajdowała pole w opowiadaniach owych poetów ustnych, domowych, nieznanych samym sobie, o których wyżéj się wspomniało, gdzie téż zamknęła się i została cała poezya przeszłych naszych wieków. Przechodziła ona z pokoleniami razem z ich życiem rzeczywistem, którego była nierozłączną towarzyszką. Imiona szczęśliwych opowiadaczy, znane i lubione w kołach rodzinnych i przyjacielskich, jeszcze czas pewny po ich zgonie przechowywały się na miejscu. Zachodząc dopiero ze śmiercią ich niegdyś słuchaczów i spółbraci, powieści ich i tworzenia ledwo kiedy niekiedy odbijały się dalszą tradycyą w cienkich, słabych i coraz gasnących odbłyskach. Cóż tym ludziom znaczyło, że o nich potomność nic miała wiedzieć, że przemijali jako blask dnia jednego, że o ich gościnie na téj ziemi ani się domyśleć miały późniejsze jakieś zasępione pismaki?... *Sobie śpiewali nie komu; swe nie cudze rzeczy**). A w tém samem tak szczerem niedbaniu o najjaskrawsze cacko ziemskie, które przezwano nam *sławą*, w tém zupełnem wylaniu się i zamknięciu w chwilę obecną, ileż było siły i świeżości ducha, ile poezyi! Tak bez żadnéj rachuby ptak buja po powietrzu; tak kwiat wydaje woń lotną, i upadnie nie zostawując jéj po sobie! —

*) Zimorowicz.

Na czém narodowość zależy.

Przez K. Brodzińskiego.

Kiedy słowo *narodowość* więcéj niżeli potrzeba powtarzane słyszymy, kiedy nadużycie onego, do wielu, choćby i słusznych, ale zawsze szkodliwych ucinków stało się powodem, nie będzie od rzeczy, nieco się nad tem zastanowić.

Wypadnie nam rozróżnić najprzód miłość kraju, od zamiłowania narodowości, mimo że te dwa uczucia, prawie są nie rozdzielne.

Miłość kraju, według przyjętego zdania uczonych, oznacza przywiązanie albo do ziemi, albo do osób z któremi żyjemy, albo do rządu, pod którego tarczą swobód i opieki używamy. Miłość narodowości jest przywiązaniem do zwyczajów i obyczajów, jakieśmy od ojców naszych w młodości powzięli. Nie każdy przecież kto kocha swe przywileje i wysokie piastuje urzędy, jest dla tego kochającym krainę, tak jak nie każdy, kto trwa w nagannych przesądach i nałogach, rozsądnym jest miłośnikiem narodowości. W literaturze nie każdy, kto szumnemi sentencyami o miłości krainy zapełnia swe karty i wszystko bez braku wychwala, rozsądnym jest patryotą, tak jak nie każdy pisze po narodowemu, kto fraczek cudzoziemski, na polską kurtkę przykroi.

Zimne określenie miłości kraju przez filozofów, mało zgadza się z doświadczeniem u nas. Nie do miejsca tylko byli przywiązani ci, którzy nad Tybrem i na piaskach Murzyńskich krew w sprawie ojczyzny przelali, nie do osób tylko ci, którzy w szlachetnych sporach o dobro narodu, syna po synu, domownika po domowniku na jéj słali ratunek, nie w samych przywilejach kochali się ci, którzy pod *Stanisławem Augustem* obok dobrowolnych danin, przywileje drogo cenionych swobód, na ołtarzu prawdziwego poświęcenia się, składali.

Miłość kraju wyższą jest nad wszelkie dowcipne definicye, ani to święte uczucie rozbierane być może; jest to prawdziwie religijne poświęcenie się, które dla serca jedynie przez powszechnie na pamięć umianą apostrofę *Krasickiego* określone być może*).

Razem z możnością wpływu na dobro krainy zwiększa się przywiązanie do niéj. Wszystko dla narodu obywatel poświęci kiedy się czuje że czynnym jego jest członkiem. To cechowało Greków i Rzymian. Tam miłość swobody i krainy, jedną jest rzeczą. Jeżeli, niestety! wpływ na do-

*) *Święta miłości* ..... i t. d.

bro ojczyzny w wolnych narodach własnemu często służył interesowi, policzmy w nich poświęcenia się obywatelskie obok czynów heroicznych wieków despotyzmu.

W krajach ciemnych i źle rządzonych, trudno jest o miłość ojczyzny; tam tylko zastępuje ją miłość narodowości, a nawet jak u Żydów, narodowość zastępuje miłość ojczyzny.

Przywiązanie do narodowości, ożywia i utrzymuje w oświeconych narodach miłość krainy, wszelkie burze nie gaszą jéj ale owszem podsycają. Pod popiołami nawet zniszczenia zostają się iskry narodowości.

Gdzie narodowość pierwéj od kraju upadła, tam wiecznie zginęła. Grecy i Rzymianie w poniżeniu i zbytkach zgubieni, zmienili narodowość, stracili pamięć o przodkach swoich. Na ziemi Peryklesów zasypia Muzułmanin, nie wiedząc nawet o dawném nazwisku ruin, których widok łzy podróżnym Europejczykom wyciska; Katonów potomek nuci zniewieściałym głosem tam, gdzie wodzowie Rzymscy w tryumfie wjeżdżali.

Wyobrażenia o miłości ojczyzny i zwyczajach narodowych, zmieniają się i zmieniać się muszą z postępem oświaty. Kto umie łączyć miłość krainy z miłością całego społeczeństwa ludzkiego, ten jest dziś doskonałym patryotą; kto w przywiązaniu do narodowości stosuje się do powszechnéj oświaty, ten umie rozsądnie narodowość oceniać.

Jako każdy członek narodu wpływać powinien na jego dobro, tak każdy naród czynną i znakomitą jest częścią dążącą do ogólnego dobra rodu ludzkiego. Małéj nader liczbie geniuszów dozwoliło przeznaczenie działać bezpośrednio dla użytku całéj ludzkości, każdemu zostawiono działanie w mniejszym obrębie na dobro ojczyzny, a tém samém na dobro ziemi. Im więcéj członek narodu dostrzega, że kraina jego wpływała i wpływać może na całą społeczność, tém więcéj ma powodów i obowiązku do jéj się dobra przykładać, aby ją w téj świętéj możności utrzymać. Narody nie są już nieporządnym lasem, w którym każde drzewo szeroko się rozpościerając, przytłumia gałęzie innych, ale są to drzewa, z których każde w właściwym obrębie do góry się wznosi, aby ogół był zdrowym i czerstwym.

Tak zrozumiana troskliwość o chwałę swojego narodu jest najpiękniejszym hołdem dla ludzkości. Jako każdy, ile może w swojem powołaniu dąży do chwały i dobra narodu, tak każdy naród w swojem położeniu, charakterze i zdolnościach wzmacnia ogół pomyślności społecznéj. Ztąd wypływa konieczna cześć dla dobrze zrozumianéj narodowości.

Szczęśliwy naród, gdzie z poprawą rządu i oświaty, zmienia się narodowość, wtenczas ona nie ginie, ale raczéj

rozkwita i dojrzewa; gdzie się przy naśladownictwie, albo zbytkach i poniżeniu, odmienia (jak u Rzymianów), tam niknie na wieki. Niezepsuta narodowość jest to krzew, który, chociaż w czasie nieprzyjaznego powietrza, utraci liście i owoc, zakwitnie przecież, jeżeli czyste ma soki; obdarty, jeszcze stoi w czerstwości.

Zamieniła się dzikość Gallów, zniknęły turnieje i grabieże Franków, zniżyła się duma możnych, przecież ciągle Francuzów cechuje właściwa narodowość, którą doświadczenie i oświata, zmieniając udoskonala.

Niemcy zwracając pamięć ku Hermanom, nie pragną przeto do narodowości średnich wieków powrócić, nikt im równie jak Słowianom nie odmówi miłości pokoju, spokojnego handlu i rólnictwa, które tak dalekie były niegdyś od Niemców; przecież pamięć przodków, rzut oka na stopnie przez jakie naród oświaty dochodził, zapala serce do chwały i dobra narodu.

I my przez narodowość nie chcemy rozumieć, ażebyśmy mieli według wyrazu sławnego poety:

„Ująwszy się, na dzidach wsparci, końskiéj grzywy
I sucharem opędzać żywot przemorzony
I niedźwiedzią pokrywać skórą grzbiet strudzony.“

Ale mamy w dziejach naszych świetniejsze epoki nad wiele spółczesnych narodów; wieczorną zorzą już było dla nas to, co dla innych jest ledwo jutrzenką. Przeszli Polacy własną i trudną szkołę doświadczenia, napatrzyli się obcych wzorów w postępie światła, a bogaci charakterem narodowym, własném i cudzém doświadczeniem, stoją na drodze świetnéj rzeczywistości.

Doskonalić narodowość, ale jéj nie zmieniać, odżywiać piękne uczucia ojców, wznosić to, czego pożyteczna krainie oświata wymaga, pozbywać się dawnych błędów i nałogów, nowo przyjętych nie dopuszczając, pielęgnować język, sztuki i literaturę w narodzie, aby nietylko ozdobne ale korzystne były, a najwięcéj, nie unosić się ślepo, ani pogardzać ojczystą literaturą jaka jest, *ale kochać ją tak, jak być może i powinna*, otóż łatwa odpowiedź na pytanie, co chcemy rozumieć przez narodowość.

O uduchownieniu żywota.

Z „Studyów literackich“ przez J. I. Kraszewskiego. Wilno 1842.

(Str. 403.)

Spytajcie tych tłumów ludzi, które mimo was idą, dokąd i do czego dążą? Większa część odpowiedzieć nie po-

trafi. Ten sobie życie wytłumaczył nieustanném trawieniem i smakowaniem pokarmów; inny bez wyrozumowania, bez celu widomego, poświęcił się zbieraniu grosza i zamykaniu go; drugi szuka ludzi i nie umie żyć inaczéj tylko w tłumie i wrzawie. Większość najfałszywiéj pojmuje życie. Mówię pojmuje; chociaż raczéj rzec by wypadało, że większość nie zastanawia się nad życiem i praktycznie tylko, wedle panującéj swéj namiętności, jedną czasem najlichszą życia stronę, bierze za wyraz ostateczny całego żywota. Tak było, tak jest, i kto wie, na nieszczęście, czy tak i zawsze nie będzie.

Jednakże przyszliśmy przecie do tego przynajmniéj postępu, że dozwalamy mówić i tolerujem rozprawy o uduchownieniu żywota.

Wprawdzie nic mniéj nad to, w praktyczném życiu, skutku nie robi. Wszyscy dozwalają mówić, potakują poważnie, dodają nawet słówko dowcipne na poparcie prawdy: że ten tylko żyje prawdziwie, kto żyje więcéj umysłem niż ciałem i ciało podbił sobie; ale nagadawszy się dowoli, postępowaniem swem dowodzą przeciw słowom swoim.

A jednak trzeba nie być chyba w umysłowym świecie, trzeba go nieznać, trzeba niepojmować rozkoszy duszných, aby się ich zapierać, aby wzgardzać niemi! — Człowiek nie jest i nie może być swobodnym i szczęśliwym, póki nie podniesie się duszą w świat drugi. Stan czysto-zwierzęcy jest nieznośny już dzisiaj, gdyśmy skosztowali innego i pojęli inny. Wprawdzie musimy coś dozwolić ciału i tolerować je, niemogąc się go pozbyć zupełnie; ale im mniéj kto żyje ciałem, a więcéj duszą, tém szczęśliwszy. Exystencya człowieka cielesna mijam to, że daje mu tyle, ile zwierzęciu; ale jakimże go niewolnikiem czyni! Ciało podlega tysiącom wypadków większych i mniejszych, najczęściéj w sposób dla niego przykry, nań działających. Człowiek, który nic duszą żyć nie umie, jest niewolnikiem wszystkich ciała udręczeń. On je czuje w dwujnasób gdy tymczasem umiejący panować nad sobą duchownie, potrafi łatwo nie czuć tego zupełnie. Wysokie uduchownienie człowieka, przeniesienie ogniska żywota w duszę, czyni ludzi (jak tego mamy przykłady na tylu świętych i męczennikach) prawie obcemi żywotowi cielesnemu.

Ale czyż do życia umysłowego zachęcać mamy, tylko doczesne jego korzyści wystawując, tylko je ceniąc, jako tarczę od cierpień? Nie, życie umysłowe jest prawdziwym celem człowieka i gdyby je miał okupywać ofiarami największemi, winienby się nie wahać, wiedząc, że się niem podnosi, uszlachetnia i usposabia, do innego zupełnie, do życia przyszłości. W istocie, człowiek im tu jest duchowniejszy, im doskonalszy, im mniéj cielesny, tém więcéj się usposobia do życia przyszłego, które jak wiemy z objawienia wiary naszéj, stopniowanem będzie, wedle zasługi i wedle sił duchownych człowieka.

Ale gdzież są ludzie, pracujący nad sobą, aby się ludźmi stali i o tyle o ile mogą ze zwierzęcia wyzuli? Mało kto chce pojąć, że stan zwany stanem natury, jest stanem zwierzęcości i błędu; że Rousseau w pewien sposób miał słuszność gdy człowieka nazwał zwierzęciem zepsutém *(animal depravé)*. — Tak jest, im bardziéj człowiek, jako zwierzę, będzie zepsutym, tém doskonalszym będzie, jako człowiek. Tymczasem spojrzmy na społeczność naszą; na jaki ona użytek duszę obraca? Duszę czyni niewolnicą ciała, posługaczem namiętności, mięsza ją do brudnych rozkoszy, do nasyceń nierozumnych, topi ją w błotnistéj kałuży. Mała garstka wybranych, pojąwszy przeznaczenie duszy, doskonałość jéj natury, wyższość nieskończoną rozkoszy duszných, święci jéj ciało swoje.

Pierwszym zapewne warunkiem życia umysłowego, jest moralność życia, czystość obyczajów, bez tego, najwyższe wzniesienie się na skrzydłach wyobraźni, najśmielszy polot w naukowych pomysłach, najgłębsza spekulacya filozoficzna, nie czynią człowieka zupełnie duchownym. Obyczaje powinny być zastósowaniem ścisłém teoryi i pojęć do życia; inaczéj albo się teorya krzywić musi, albo w ciągłéj walce z praktyką, ulegnie zupełnie w końcu pod siłą nałogu i zbestwi jeniusz nawet. Nie wierzmy więc w ludzi, którzy dając się za poetów, filozofów, moralistów, głęboko uczonych, postępują w życiu jak najostatniejsi głupcy! Napróżno mówić nam będą na wytłumaczenie swoje, że nie mają czasu spojrzeć w życie własne, tak są czémś wyższém zajęci; napróżno; ci ludzie są to szalbierze, którzy handlują duchownością dla oczu ludzkich, a w istocie są tylko zwierzęty małpującemi bez czucia, ruchy i myśli lepszych od siebie.

Urządzenie życia własnego maluje człowieka zdolności, daje jego miarę niezawodną. Ci poeci, którzy sobie dali przywilej mocy i gwałtowności swych uczuć nie są poetami, w całém znaczeniu tego wyrazu. Ci filozofowie i spekulatorowie, którzy prawiąc o życiu duchownem, o monadach, o władzach duszy i t. p. wszystkie władze jakie mają, używają na pojęcie smaku trufli i myszki starego wina; nie są to filozofowie! — Żadna na świecie talentu wyższość, nie daje wolności brojeniąj; nie rozwiązuje z obowiązków powszechnych. — Człowiek szczycący się mianem uczonego, duchownego, poety, filozofa, winien być naprzód lepszym prak-

tycznie od innych, winien być o tyle bez plamy, o ile człowiek być może.

Po tym pierwszym warunku, drugi warunek życia umysłowego: — *praca*. Ludzie wielkich zdolności, jeźli je mają prawdziwie, pracują. Próżniacy, którym zawsze coś przeszkadza do tworzenia, do zajęcia się bodaj cudzemi twory i przetrawiania ich, którzy budują tylko projekta i osnowują plany, nigdy ich nie urzeczywiszczając, ci ludzie w istocie mają talenta niekompletne: — brak im nerwu, coby dał znaczenie zdolnościom, brak woli. Gdy więc ujrzycie ludzi, których palcem wskazują, powiadając: — „Co za szkoda! tyle zdolności, a nie chce pracować!“ Pomyślcie wówczas, że ten talent tak wielki pozornie, jest ułomny. Talent ich jest tylko obrazem talentu, pozorem jego, nie talentem. Gdy mu tylko brak *woli*, nadającéj ruch, już jest ułomny!

Życie więc umysłowe i usposobienie do niego, zależy na zaparciu się ciała w pewnym stopniu, na rozwinieniu w sobie duszy, usamowolnieniu jéj, wykształceniu, na zastósowaniu swych obyczajów do teoryi duchownéj życia, na pracy. *Praca umysłowa* jest najsłodszém na ziemi zajęciem. Ona wyrywa człowieka z objęć wszystkich żelaznych udręczeń świata, które tak silnie uciskają, żyjących tylko ciałem, tylko najmizerniejszą częścią samych siebie. Praca umysłowa dając najżywszą rozkosz (po rozkoszy pełnienia cnoty) jest tą jeszcze nieocenioną własnością, że człowieka wynosi nad stan ludzki, że go oswobadza od ciała, że mu daje zapomnieć, wszystko coby go dręczyć mogło. Praca także udoskonala go, uszlachetnia, usposabia do żywota lepszego.

Praca umysłowa, nie zależy jedynie, jakby to sądzić można, na tworzeniu. Bynajmniéj! Przyswajanie sobie uczuciem i pojęciem obcych tworów; rozważanie świata zmysłowego, stanowią życie umysłowe i pracę. Nie ten tylko nazwać się może pracownikiem kto pisze, kto tworzy, ale każdy kto czyta, kto rozważa, zastanawiać się i myśleć lubi, kto jest artystą, lub lubownikiem sztuk, tych pośredniczek między dwoma światy, w których dusza niebieska a ziemska powłoka. Ten zaś nadewszystko, kto przykładem, kto namową, nauką ustną, ulepsza drugich i zwraca na prawą drogę, na drogę żywota duchownego.

Życia umysłowego jednym z warunków, więc jest *praca*. Jednym z rodzajów pracy umysłowéj najłatwiejszych, najprzystępniejszych, a najkorzystniejszych, jest *czytanie*.

Czytajmy więc wszyscy, czytajmy wiele, zamiłujmy czytanie, myślenie, rozważanie. Ono nas oderwie od życia nieraz gorzkiego (bo takiém najczęściéj życie cielesne); ono nam da zapomnienie smutnéj nieraz przeszłości; ono nas wyniesie wyżéj, gdzie nie dojdą udręczenia cisnące ludzi przykutych łańcuchem namiętności do ziemi!

O Piśmie.

Przez Krasickiego.

Powiedział Horacyusz, iż niemaczéj pismo na świat podawać trzeba, tylko aż się pierwéj przez lat dziewięć przeleży. A że takowych płodów po większéj części nie widzimy, i bardzo się rzadko nadarzają; nie inną takowéj rzadkości kładźmy przyczynę, nad tę, iż piszący nie pamiętają na to, co Horacyusz powiedział. Nie zawadziłoby więc tę wielką prawdę na drzwiach każdego porywczego pisarza napisać, i prosić wszech w obec i każdego z osobna, iżby wprzód, niż zasiędą do pisania, na drzwi rzucili okiem.

Wielkie jest podobieństwo, iż Horacyusz własném wsparty doświadczeniem, tę ważną prawdę obwieścił: inaczéj nie byłby śmiał powiedzieć o swoich pismach, iż zostawił pamięć trwalszą nad kruszcowe posągi. Możnaby zbytkowi miłości własnéj przysądzić takowe samochwalstwo: ale gdy ciąg wieków szacunku dzieł jego nie zatarł, przyznać mu to należy, co o sobie powiedział.

Samegoż Augusta cesarza świadectwem wsparta jest wieść o Wirgiliuszu, iż obawiając się przyszłego Eneidy losu, a czując dzieło niedość jeszcze uwagą i ścisłem roztrząśnieniem wydoskonalone, umierając spalić je rozkazał. Jak zaś, gdy je pisał, czułym był na to, iżby żadnéj zdróżności nie podpadało, przyświadcza Makrobiusz, zachowawszy ułomek z listu, w którym Wirgiliusz Augustowi, żądającemu mieć jego Eneidę, odpisał. „Częstokroć listy twoje odbieram o moim Eneaszu; gdybym w nim widział, coby uszu twoich było godne, z ochotą byłbym ci go przysłał. Ale tak wielkiéj wagi rzecz się zaczęła, iż mniemam, że nierozmyślnie to uczyniłem, gdym się rzeczy takowéj podjął, zwłaszcza, iż tak ci jest wiadomo, tyle innych istotnych wiadomości do dzieła takowego potrzeba.“ Co się więc i z Horacyusza i Wirgiliusza, tak wielkiego szacunku pisarzów położyło, daje to poznać, jakiego starania, jakiéj czułości i pracy używać powinien każdy, który dzieło na widok puszcza, a z nim sławy swojéj przyszłość pod sąd wieków następnych.

Co się nam podoba, nie jest przeto dość umocowane na to, iżby się innym podobać mogło. Sąd w sprawie własnéj podlega wątpliwości, zwłaszcza w takowéj, gdzie idzie o zysk

najpożądańszy. Jeżeli dobre mienie lub stopień wysoki wzbudza cudzą zazdrość, bardziéj sława z dowcipu, lub wiadomości rzeczy nabyta. A to z téj przyczyny, iż zaszczyt takowy nam samym przez się, a nie okolicznościom, które się nam zdarzyć mogą, przypisywać należy. Niema więc zazdrosny téj pociechy zjadliwéj, iżby wynaleść mógł pozór, którymby zmniejszył to, co go w nas obraża, a przeto tém się srożéj i tkliwiéj sam w sobie gryzie i martwi.

Zapał pierwszy natężonéj myśli, jeżeli jest zawsze najżywszy, i z tworu rzeczy wydaje; tenże sam zapał, płód, który wydał, zbyt w oczach naszych czyni szacownym. Stygnąć zdaje się po zakończonéj pracy, ale się pospolicie za każdym na nie zwrotem odnawia. Strzedz się go ile możności, a jeźli nie stłumić, zmniejszyć i przygaszać należy, abyśmy chcąc drugich ująć, sami się nie oszukali; i zamiast zyskania nowych zaszczytów, dawniéj nabytych, winą naszą nie utracili. Człowiek prawdziwie, istotnie, wiadomość rzeczy posiadający zna, jak ciężko być doskonałym, a raczéj, jak jest rzecz siłom ludzkim niepodobna. Zbliżyć się więc, ile możności, ku niéj usiłuje, a im więcéj uszedł, widzi jak wiele jeszcze iść trzeba: czuje, co zdziałał, ale poznaje, iż wiele jeszcze działać należy; i w tém tylko naganny, jeżeli przestraszony trudnością, podda się rozpaczy, i dzieła zaniecha. Każde w rodzaju nauk dzieło, nader jest trudne, bo w każdym doskonałym być należy, a doskonałym być tak trudno, iż ledwo nie jest niepodobieństwem.

Niedość więc opłonąć na czas; żeby następnie nie zagorzeć trzeba trwaléj, a więc dzielnéj umysłu mocy, iżby nas stawiła obojętnemi czytelnikami własnego dzieła, a dopiero sprawiedliwy wyrok na siebie dać możemy. Zdać się to może rzeczą osobliwą, i niepodobną ku uwierzeniu, co powiem, ma jednak w sobie prawdę: najlepszą rękojmią dobrego dzieła, jest to, gdy pisarz mimo usilność, mimo pracę, mimo poprawę, z dzieła swojego niekontent. Takim był Wirgiliusz, gdy Eneidę spalić rozkazał; ale oznaczył, jak raczéj wolał ująć wzrostu sławie przyszłéj, niż téj, któréj już był nabył, przydać uszczerbku.

Nie jest myśl moja oznaczać ścisłe czasów rozmiary. I Horacyusz gdy mówił, *nonumque prematur in annum*, przeciąg wprawdzie dziewięcioletni kładąc, do tego jedynie zmierzał, iżby dał uczuć, że z dziełem dokonaném spieszyć się nie należy, ale czekać póty, póki pierwsze wzruszenie działacza nie uśmierzy się i nie przejdzie, a dopiero użyczać drugim własności swojéj. Molier, sławny komedyi pisarz nie wprzód rzecz stawiał ku widowisku, aż ją pierwéj kucharce swojéj przeczytał; jeźli tę rozśmieszył, pewnym

był, iż się rzecz uda, i nigdy go w téj mierze doświadczenie nie zawiodło. Co on czynił w rzeczach krotofilnych to we wszelkiego rodzaju pismach, czyli prozą czyli wierszem, wydawać się mających, czynić należy, radząc się, i pod sąd cudzy poddając dzieła. Do rady i sądu roztropność nie innych brać każe, jak ludzi uczonych, a co największa, nieuwiedzionych żadnym pozorem. Takich prawemi Arystarchami zowie Horacyusz mówiąc: Mąż prawy a roztropny wiersz błahy odrzuci, co odmiany potrzebuje, przemieni, stanie się Arystarchem.

Wielkiéj na to odwagi, a raczéj nierozmyślności potrzeba, tak własnym siłom zaufać, iżby bez żadnego wstrętu ośmielić się na wyrok, który powszechność daje wówczas, gdy wartość rzeczy oznacza. Szczególne zdania mylić się mogą, bo niemi przesądy i żądze władają: ale czas ich niema, a podając następnym pokoleniom rzecz oznacza, czyli pamięci i chwały, czyli wstydu i zapomnienia godna.

Nauka jestto chleb wyborny i tuczny, ale mąka, z któréj się ten chleb robi, iżby go wytwornym uczyniła, czystą i subtelną być mając przez wielokrotne (że tak rzekę) pytle i sita przechodzić musi. Nim więc cudze zdanie w niedogodnym może wyroku nastąpi, niechże wprzód własna surowość w ścisłéj krytyce trzymając, roztrząsa, zważa, przyrównywa, okrzesuje; to zaś, iżby się dogodnie stać mogło, tyle na to czasu potrzeba, iż ktoby się nad tém zastanowił, kto wie, czyby jeszcze Horacyusza zbyt skorym w zamiarze owym lat dziewięciu nie nazwał.

Gdy się tu mówi o pisarzach, tacy się rozumieją, którzy zdają się mieć prawo do potomności, czyniąc, albo przynajmniéj uczynić pragnąc powszechności, dla któréj piszą, przysługę. Niemożna więc w tę liczbę kłaść próżnych papieru mazaczów, którzy, albo dla dogodzenia swojéj wyniosłości, albo (co się téż niekiedy nadarza) dla głodu piszą. Z takowych kuźnic fałszywa moneta wychodzi. Dzieła, któremi teraz zarzuceni jesteśmy, są zbiory niepotrzebne rzeczy już wiadomych, dziejów obojętnych, powieści błahych, prawidła gospodarstwa przez nieznających się na roli; maxymy statystyczne przez rólników, przesadzanie dowcipu, tam gdzie rozum niema nic do czynienia: zgoła to wszystko, co nudzi, a cóż dopiero, gdy szkodzi i gorszy? Dwojakiego rodzaju pism, to jest, Satyr uszczypliwych i nieobyczajnych maxym, na nieszczęście wieku naszego zbyt rozmnożonych, nie w tę liczbę kłaść trzeba, z któremi się spieszyć nie należy: takowe lekkomyślności, rozpusty, jadu i bezbożności płody, nie przechowywania, ale zatracenia są godne.

O romansie nowoczesnym.

Przez Augusta Cieszkowskiego.

(Str. 411.)

Poezya była od wieków i na wieki będzie mistrzynią ludów. Jest ona wyrazem ich własnych postępów, ale wyrazem czynnym, wywięzującym z siebie coraz wyższe wyrazy, i wywołującym coraz dalsze postępy.

W miarę tych postępów, w miarę odmian czasu, odmieniały się też postaci poezyi, odmieniały się tryby jéj działania; odmieniały się też właściwe organa, któremi przemawiała.

Był czas, w którym wyobraźnia młodocianych ludów karmiła się niemal wyłącznie liryczną poezyą. Był także czas, w którym *epopeja* stanowiła skarbnicę czucia i wiedzy dla nieco już wyrosłych społeczeństw. Nadejdzie znowu czas, w którym poezya dramatyczna rozwinie całą potęgę jakiéj ledwo zadatki nam udzieliła. Atoli w obecnéj chwili, ani liryczna, ani epiczna, ani dramatyczna poezya nie panują w swiecie. One formy już zaszły, inne jeszcze nie zeszły. Byłżeby wiek nasz z poezyi obrany? — Trudno przypuścić, trudniéjby jeszcze wytłomaczyć.

W epokach *stanowczych*, duch zwykł się odzywać w formach czystych i równie stanowczych. W epokach zaś *przechodnich*, kiedy mieszają się wyobrażenia i krzyżują z sobą żywioły społeczne, duch ulega także różnorodnym wpływom czasu, i wyradza *mieszańce!*

Jest pewien rodzaj tworów literackich, który w obecnéj chwili wzbił się nad wszelkie inne, rodzaj z natury *mieszany*, a więc dziwnie odpowiedni charakterowi naszego czasu. Rodzaj ten stał się dzisiaj właściwym organem myśli niemal ludów wszystkich, on dziś największy wpływ na massy wywiera, — on dziś rej wodzi w literaturze. — Jest to *Romans*.

Bez wątpienia na takowe twierdzenie zżymać się będzie naukowy pedantyzm, i zapyta czyliż być może, aby tak świeży przybysz, którego nieledwie prawo obywatelstwa w dziedzinach literatury jeszcze wątpliwém się zdaje, wzbił się tak nagle do najwyższéj godności i berło literackie w téj chwili piastować miał? A przecież tak jest.

Już dzisiaj nie rodzą się: ani pieśni gminne, ani żadne mity, podania, legendy; ale za to rodzą się romanse. Inny czas, inny jego objaw. I to minie, jak wiele minęło, a inna forma sztuki zajmie opuszczoną dziedzinę; ale dziś po wielu kolejach przyszła kolej na Romans, — i Romans stał się chlebem powszednim naszego społeczeństwa.

Któż dziś nie czyta romansów? Chyba tylko wyrobnik, który czytać nie umie, albo też minister, który czasu na to niema.

Ztąd jawny wniosek co do ważności powołania powieściopisarzy. Niech przeto sami siebie lekce nie ważą, ani nie frymarczą własnym talentem, ani rozpuście pióra nie hołdują: bo im większy jest ich wpływ, tém większa odpowiedzialność.

Jeżeli się nie mylę, to dla tego płody ich są częstokroć, mimo znakomitych zdolności, nikczemne lub potworne, że nie zdają sobie dokładnéj sprawy z posłannictwa swego, — a tém samém rzadko się przejmują owém zamiłowaniem i szacunkiem dla własnego dzieła, bez którego to uczucia, nic wielkiego ani trwałego sprawić nie podobna.

We Francyi np. większa część powieściopisarzy pisze na wyścigi a nawet na zabój, a to bynajmniéj nie dla tego, że pierś ich miotana jest natchnieniem wyrywającém się na zewnątrz i łaknącém udziału, ale dla tego tylko, że zobowiązali się za dobrą zapłatą dostawiać do owych rękodzielni zwanych dziennikami, po jednym feuilletonie na dzień, przeznaczonym na śniadanie codzienne kilkukroć stu tysięcy prenumeratorów. I czemże ich częstują? — Oto podają im dużo wody, — dużo pieprzu, — zwykle mało soli, zwłaszcza attyckiéj, — a zawsze trochę spirytusu zaprawionego jakim bądź narkotykiem. Wszak smaczne?

A jednak, taka jest potrzeba konsumcyi, taka sztuka przyprawiaczy, że nawet *podobne* płody ogromny odbyt znajdują.

Czegoż to dowodzi? — Oto znowu potęgi Romansu i potrzeby jego.

Ale może ta potrzeba jest fałszywa? — może ta potęga jest tylko urojona? — może to właśnie zepsucie smaku publiczności podobnemi przyprawami, sprawiło w końcu ową chorobliwą chętkę, któréj teraz coraz trudniéj dogadzać?

Pytań tych inaczéj rozwiązać niepodobna, jedno zapatrując się na samą istotę Romansu.

Romans nie jest bynajmniéj chorobliwym płodem literatury, nie jest potworną formą poezyi. Jest on wprawdzie rodzajem przechodnim i mieszanym, ale pomimo tego normalnym i samożywotnym. Pytasz się zkąd on pochodzi? Odpowiemy, z rodu Epopei, on jest rozplemienioném jéj potomstwem; co więcéj, on jest nią samą, ale *zmienioną na drobne*.

Właściwéj epopei dziś niema. Wszelako nic na tém nie traci poezya; epopeję zastępuje zdawkowa jéj moneta Romans. Czego dziś epopeja zbiorowo dokonać nie zdoła, tego

rozbiorowo dokonywa Romans. Równie jak ona niegdyś, jest on dzisiaj zwierciadłem żywiołów swojego czasu; równie jak ona niegdyś, jest on dzisiaj encyklopedyą wszystkich uczuć i skłonności, wszystkich wyobrażeń i zdań, wszystkich doświadczeń i domysłów, wszystkich namiętności i cnót, wszystkich postępków i występków społeczności. Jest on powiernikiem biernym i czynnym wszelkich tajemnic wieku. Biegłe oko i ucho jego ku przyjmowaniu wrażeń, biegłe usta jego ku udzielaniu takowych. Romans zstępuje i wstępuje na wszystkie szczeble życia społecznego, Romans wytrapia wszelkie manowce towarzyskiego błędnika. Do wszystkich okien zagląda dla zebrania swych plonów; do wszystkich drzwi puka dla złożenia zebranych.

Powiernik ten zaiste nie zawsze jest wiernym; ale przez to samo tém bardziéj przypada do swojego wieku. Wszak i temuż nie obcą jest ułuda, — a czasem i obłuda. Skoro świat czasami majaczy, jakżeby Romans nie miał iść za jego przykładem? — I w saméj rzeczy, gdy na świat patrzy, nieraz mu się w oczach dwoi; — gdy podsłuchuje, nieraz mu w uszach dzwoni; — kiedy zaś z fałszywem odezwie się świadectwem, gdyby mu za każdym razem przyszło oczyszczać usta rozżarzonym węglem, zaiste już dawno byłby je sobie do szczętu wypalił. A jednak szkodaby owych ust wymownych! Obok kłamstw, ile one téż prawd po świecie rozsiały, ileż wyobrażeń za ich pośrednictwem przedarło się do zakątków społeczeństwa? Ileż stron serca ludzkiego nastroiły?! A mianowicie jakże one są dzielne i biegłe w przemawianiu do téj połowy rodu ludzkiego, która wedle świadectwa Warmińskiego wieszcza, nie rządzi wprawdzie światem ale rządzi *nami!*

Nie pogardzajmy więc Romansem, bo on jest wielkim mistrzem; ani go lekceważmy, albowiem dziś jest potęgą.

Gdyby dziś żył Szyller i ujrzał wzrost Romansu, jakżeby go wysoko położył pomiędzy środkami estetycznego wychowania ludzkości!!

Romans przeczytać, a z nim massę różnorodnych wyobrażeń przejąć, niemal każdy jest w stanie; pod jednym atoli warunkiem, jeżeli ów Romans *nudnym* nie będzie.

Od talentu więc, i nie waham się dodać, od poczciwości autora zależy, ogromny wpływ na współczesnych. Bo przy talencie wszystko udać można oprócz jednéj poczciwości, bez niéj zaś wstrząsać można, ale porywać — nigdy! Ona jedna do owych niepozornych tajników serca zaglądać umie, które téż ona jedna poruszać jest zdolną. Talentu więc i poczciwości potrzeba do pisania Romansów. Nielada to warunki, ale téż i skutek nielada.

O sztuce dziejopisarskiéj.

Przez Michała Wiszniewskiego.

(Str. 406.)

... Aby zdarzenia historyczne powiązać w jeden ciągły łańcuch przyczyn i skutków, aby dociec jak naród, w danym czasie, sam siebie pojmował, i utworzyć sobie obraz jego prawdziwy i z płynącym przekształcający się czasem — potrzeba na to bystrego pojęcia, szerokiéj imaginacyi, i rozumu do głębszéj rozwagi skłonnego. Żeby obraz przeszłości przenieść i wcielić w słowa, skreślić powieść, podobną do zwierciadła, które wiernie oddawa, co w siebie przyjęło, jeszcze większéj (pracą tylko nabyć się mogącéj) nauki potrzeba. Zdolności poety, obok zimnéj rozwagi, wymowa, obok ścisłości w rozumowaniu, doskonała znajomość i biegłość w języku, są zalety dobrego dziejopisa. I ztąd to pochodzi, iż każdy naród mało liczy dziejopisów, choć książek historycznych niezmierna jest liczba. W Grecyi tak żyznéj w dowcipy, tylko Herodot, Tukidydes i Xenofont się zjawili; u Rzymian: Cezar, Sallustyusz i Tacyt; u Włochów Makiawelli, Gwiczardyni i Paruta; u Anglików Hium, Robertson i Gibbon, do liczby prawdziwie wielkich historyków należą. Niemcy mieli Jana Müllera i Raumera. U nas ani świetne Bolesława W. czasy, ani szczęśliwe Zygmuntów, wielkiego dziejopisa nie miały. Jeden *Orzechowski* mógł na coś lepszego zakroić, lecz zmienne tego człeka chęci i namiętności w inną go stronę uniosły.

Dwa są rodzaje historyków: jedni opisują, co na własne widzieli oczy, do czego sami wpływali, lub co im wielu naocznych świadków opowiadało; drudzy zgromadziwszy przed sobą współczesne pomniki historyczne, kroniki, dzienniki, dyplomata, dawane posłom nauki, zdawane przez nich sprawy, dzienniki obrad sejmowych lub komory królewskiéj i t. p. znosząc z sobą i porównywając te różnorodne świadectwa, wczytawszy się w nie długo i pilnie, oblicze i podobieństwo czasu z nich usiłują wydobyć. Pisząc więc historyą czasów odległych, z których już żadnego żyjącego nie widzieli świadka, przy świetle swojego czasu na dawne poglądając dzieje, najczęściéj blade i nikłe jego obrazki i wizerunki malują; w ich historyi znamiona czasu albo bardzo niewyraźnie przebijają się, albo już całkiem zatarły się: i dla tego nie czytając współczesnych dziejopisów, nigdy z nich historyi nauczyć się nie można. Bezstronniejsi w sądach: bo obojętni; w rozdzielaniu fałszów, przesądów, pozorów i złudzeń szczęśliwsi, większém światłem krytyki

otoczeni: bo się na rzeczy spełnione już zapatrują, wszelako tylko dobremi przewodnikami do czytania współczesnych dziejopisów być mogą, lecz ich całkiem nigdy nie zastąpią. Przeciwnie współcześni nudni są częstokroć, nie tak wygładzeni, lecz oddychają życiem owego czasu; uderzają w nich i duch czasu i namiętności, które sercem ludzkiém wówczas najmocniéj poruszały; oni w samym opisie wydarzeń, panujące wówczas przesądy i panujący sposób myślenia wykazują. Nawet i milczenie jest dla nas nauką. Dzieła niewspółczesnych dziejopisów, choć mają więcéj wymierności, choć potoczystsze w nich opowiadanie, choć więcéj zaostrzają, karmią i lepiéj zaspokojają ciekawość, wszelako cienie tylko czasu swego, nie jego oblicze nam pokazują. Dla tego choćby najlepsze, współczesnych dziejopisów zastąpić nie mogą. Ani z *Długosza*, ani z *Naruszewicza* czasów piastowych nauczyć się nie można. Chcąc tę pięciowiekową epokę dziejów naszych poznać, trzeba koniecznie wczytać się w *Nestora*, *Gallusa*, *Mateusza* herbu cholewa, *Kadłubka*, *Boguchwała i Baszkona*, *Janka* archidyakona gnieźnieńskiego i tych z Długoszem porównać. Naruszewicz do ich zrozumienia uściele drogę. A rozprawy ks. *Prażmowskiego*, *Czackiego*, *Ossolińskiego*, *Gołębiowskiego*, a szczególniéj *Lelewela* uwagi nad Mateuszem herbu cholewa nauczą, jak je czytać i z krytyką cenić. Treściwe *wykłady historyi polskiéj*, na których częstokroć światli nawet ludzie przestawać zwykli, które już w XVI. wieku w literaturze naszéj zjawiać się poczęły, pożyteczne są do uczenia młodzieży, lecz wszystkich potrzeb dojrzalszego rozumu zaspokoić nie mogą, a powzięte w nich historyczne wiadomości prędko nader zacierają się w pamięci, i jak nikłe sny nocne szczezają na zawsze. Nawet najlepsze krótkie *zbiory*, jakiemi są n. p. *Kromera* i *J. S. Bandtkiego*, tylko jako wyborne do czytania współczesnych dziejopisów przewodniki używać się mogą. Lecz chcąc głębiéj jeszcze przeszłość naszę zbadać, chcąc przy pochodni dzisiejszego światła owym wiekom przypatrzyć się, jeszcze na kronikach i dziejopisach współczesnych poprzestać nie można. Dla uczonego i głębokiego badacza dziejów, nieocenionym skarbem są wszystkie owych czasów pomniki, w które mu pilnie wpatrywać się należy. Każdy głos współczesny, każdy z onych czasów zabytek, jest dla niego świadkiem, którego na ostre wypytanie brać musi. Najmniejszy pomnik piśmienny, może czasem nader ważnych dostarczyć wiadomostek, wiele opacznych wyobrażeń sprostować, zmyśleń i dodatków późniejszego czasu odkryć i wątpliwości rozwiązać. W naszéj historyi koniecznie od tych źródeł historycznych cofnąć się należy; bo wszystkie kroniki przed Długoszowe często bywały przekształcane, przerabiane lub przerzucone ręką niewiadomych pismaków (jak n. p. kronika Boguchwała) a autografy wszystkich zaginęły. I dla tychto przyczyn, dyplomata i inne piśmienne historyi pomniki, każdy z tém większą rozczytuje chciwością, im się bardziéj ze współczesnemi dziejopisami oswoił, a im więcéj mu wątpliwości historycznych się narodziło. Nie czerpając z tych pierwotnych, niezmąconych źródeł, nie można zostać dziejopisem. U nas takowe dokumenta, mimo Szwedzkich grabieży, jeszcze w wielkiéj znajdują się ilości; lecz rozrzucone, są własnością osób prywatnych. I dla téj to właśnie przyczyny u nas *kunszt historyczny* nie podniósł się, bo do pierwotnych historyi źródeł nie każdy miał przystęp. Zaczynając od końca, podzielono się epokami, a o upowszechnienie drukiem źródeł historycznych, po śmierci Czackiego, nikt się nie postarał. Ztąd poszło iż (z małym wyjątkiem) wszystko na obietnicy i pięknych nadziejach skończyło się, a za rylec historyczny nie zawsze biegła chwytała ręka. Po Naruszewiczu, Czacki miał skreślić dzieje pozostałych świetnych wieków. Po zgonie jego przedwczesnym, kilkunastu do téj roboty oburącz się jęło, i nic nie zrobiło. Rzekłbyś, że jakieś karłowate plemie po tych dwóch olbrzymach historyi się narodziło! Ze skrzętnością mrówki zbierane materyały strzeżone zazdrośnie, jak nauki kapłanów egipskich, które téż niedawno temu samemu losowi uległy. Kryjąc dla siebie tylko rękopisma, nie wiedziano znać, że rękopisma, historyczne źródła, są tak dla rozumu niewyczerpane, jak natura nas otaczająca: są jak ta tęcza, na którą tyle wieków patrzano, a którą Newton dopiero wytłumaczyć umiał. Już od lat tylu nad historyą rzymską pracowano; wszyscy czytali Liwiusza, a przecież za dni naszych Niebuhr, początkowe dzieje Rzymu na nowo przebudował i inszą nadał im postać.

Kunszt historyczny tak wielkim uległ odmianom, iż dziś w najoświeceńszych narodach zakurzone dyplomata na nowo wydobywać z zapomnienia i rozwijać poczęto. Wszystkie narody około przerobienia dziejów swoich teraz krzątają się. We Francyi po Vellym, Anketylu, Mablim i Turecie, wystąpił Sismondy, Guizot, Thierry, a teraz Capefique i Michelet. Historya Angielska po Hiumie pod piórem Palgrawego i Lingarda, do niepoznania zmieniła się. Dziś zapleśniałe wieków średnich postacie, przy żywszém świetle, daleko inaczéj na tle historyi rysują się. Teraz dziejopis nie zawsze w złoconych trzyma nas komnatach; lecz oprowadza po ulicach, stawia wśród zgiełku, przemawia grubym językiem gminu, prowadzi do izby sejmowéj, lub na posie-

dzenia synodów, ztamtąd na sądy, lub tajemne spiskowych schadzki. Otwiera przed nami i sale gotyckie z malowanemi oknami, i poziome chaty, przybytek nędzy i ciemnoty. Potępionym od wieków późną oddaje sprawiedliwość, i nieraz długowieczne uwielbienia w naganę zamienia. Nic zatrzymują go mury, baszty i mosty zwodzone stolicy, lecz do wszystkich zakątów królestwa czytelnika przenosi. Słowem, ludzie w dawnych pomnikach historyi, teraz coś więcéj szukają i znajdują, coś więcéj wyczytywać umieją; a w malowanych teraz obrazach nie profil, ale całe oblicze czasu, całe życie narodu na jaw występuje. Lecz do takiego pojęcia minionych czasów, późniejsi historycy nie wystarczają. Trzeba czytać współczesnych, a mianowicie kroniki i dyplomata; co już samo dowodnie okazuje: iż historya jest łatwą dla tych tylko, którzy jéj nie umieją. Kroniki bywają niezgrabne i niepozorne, jak brakteaty; prostoduszne i szczere, jak malowidła Czymabuego i Perudżyna; mają właściwy sobie urok, lecz znudzą tylko i niczego nie nauczą tego, kto do nich z próżną przystępuje głową. Prócz niezbędnie potrzebnéj znajomości łaciny wieków średnich, daleko od cycerońskiéj trudniejszéj; znajomości prawa i ekonomii politycznéj, którą sławny Müller, okiem historyi nazwał, — znajomość duszy i serca ludzkiego koniecznie jest dziejopisowi potrzebną; bo historya narodów tylko równoodległe z historyą duszy i namiętności ludzkich poznać, objaśnić i wytłumaczyć się daje.

Użycie kronik ma właściwe sobie trudności; kroniki albowiem nieoświecają rozumu mgłą niewiadomości otoczonego; lecz są podobne do owych ciekawych malowideł w egipskich grobach, do których już z zapaloną pochodnią zapuszczać się trzeba. Kto nie poznał natury społeczeństw ludzkich, niewie na jakie elementa dojrzałe społeczeństwa koniecznie się rozkładają, jakie z tego podziału nowe potrzeby, życzenia i nadzieje się rodzą, kto się nigdy nie zastanawiał nad chorobami społeczeństw, możeż się dziwić że dla niego kroniki są nieme jak hieroglify? Aby lubić kroniki, pierwéj zmysł historyczny z uśpienia obudzić, pierwéj poświęcić się i wyostrzyć sobie rozum do historyi należy; przetrzeć oczy czytaniem dziejopisów, albo nauczających jak Heeren i Raumer, albo podnoszących duszę do wysokości historyi, jak Gibbon, Fergusson, Tukidydes, Sallustyusz i t. p. Na takich to tylko dziełach rozum do kronik zaprawić się może, a kogo mimowolna ciekawość do kronik ciągnie, może być pewnym, że już daleko w historyi zaszedł. Dyplomata jeszcze są pewniejszém źródłem historyi niż kroniki. Historya wieków średnich nieoparta na dyplomatach, jest romansem z samych prawdo-podobieństw uwitym, który żadnego nie wznieca przekonania i nie zasługuje na wiarę. Już w XVI. wieku Lorenco Galindez de Caravajal i Ambrosio Morales w Hiszpanii, Kanclerz Huitfelds w Danii, a u nas *Długosz* w XV., historyą na dyplomatach opierać zaczęli. Lecz jeźli niełatwo jest czytać i rozumieć kroniki, przystęp do dyplomatów większemi jeszcze założony jest cierniami. Jak dyplomata wyczytywać, wyczytane rozumieć, poznać czyli są prawdziwe, niepodrobione, odgadnąć ich dawność i jakie z nich dla nauk ciągnąć korzyści, uczy *dyplomatyka*. Wszelkie oryginalne przywileje cesarzów, papieżów, królów, książąt, biskupów, opatów i t. d. wszelkie dokumenta, pisma urzędowe zowią się w ogólności dyplomatami, od słowa *diploo* składam: bo dyplomata zwykle na pargaminie pisane dla wygodniejszego przechowywania w kilkoro składano. Z czasem dyplomatów u wszystkich narodów nadzwyczaj wiele się namnożyło. Polskie dyplomata z pierwszéj połowy XI. wieku, zaginęły w czasie wielkiego rokoszu pogańskiéj czerni po śmierci Mieczysława II. i podczas małoletności Kazimierza I.

Od podziału Polski między synów Krzywoustego i zawikłania się stosunków wewnątrz Polski, najwięcéj dyplomatów się namnożyło. Wszystkie prawie dyplomata książąt w swoich dzielnicach panujących, poczęły nosić przydatki, *de consensu et consilio*, albo *consentientibus militibus baronibus nostris*. Wszystkie dyplomata Piastów pisane są językiem łacińskim; nawet Kazimierz W. mimo sąsiednich przykładów Karola IV. czeskiego, przyjaciela słowiańskiéj narodowości, nie opiekował się językiem polskim i przywilejów w języku ojczystym nie pisał. Dopiero w r. 1543 postanowiono uchwałą sejmową pisać wyroki sądowe po polsku i po łacinie, a za Zygmunta Augusta wszystkie prawa i ustawy pisano po polsku. W Litwie przed Jagiełłem, dyplomata pisane były po niemiecku, w umowach z Krzyżakami zawieranych; po łacinie z Polską i Anglią; a po rusku z książętami ruskimi i wołoskim wojewodą, tudzież w jednym traktacie z Kazimierzem W. r. 1366. U nas dyplomata już w XV. wieku, w sprawie z Krzyżakami, jako świadectwa sądowi składano. W Niemczech dopiero w połowie XVI. wieku, zaczęto z niemi popisywać się w procesach dyplomatycznych, których pierwszy przykład dał elektor trewirski roku 1633. Lecz z rozkładanych przed sądem i ogłaszanych drukiem dyplomatów, niektóre w podejrzenie popadły, inne podrobionemi okazały się*). Starano

*) U nas od 1645 do 1652, *Janikowski*, obywatel pomorski, dobrawszy

się więc wynaleść pewne prawidła rozróżniania prawdziwych dyplomatów od podrobionych, i takim sposobem ze zwikłanych stosunków feudalizmu, powstał powoli nowy rodzaj krytyki, która od swego przedmiotu, *dyplomatyki* wzięła nazwisko.....

Lecz nie na tém misterne dziejopisa roboty się kończą; największy jego przemysł ukrywa się przed okiem nieznawcy. Niedość wywoływać cienie umarłych, niedość malować żywy obraz minionych czasów; potrzeba aby to malowidło spoczywało na tle przez rozum przygotowanym, żeby w nim tkwiła myśl duszą jego będąca, aby różne ogniwa w jeden spojone wątek, jedna myśl panująca, jak iskra elektryczna od końca do końca przebiegała i zapaliła wielką pochodnię prawdy historycznéj, bez któréj historya byłaby tylko powieścią, nie zawsze zajmującą. Gdy więc dziejopis musi *i odsłonić przeszłość i odnalować ją, i z mętnych baśni, przeistoczeń pozorów, fałszów mimowolnych i umyślnych, czystą wydobywać prawdę*, któraby w życiu naszém przyświecać nam mogła, możnaż się dziwić iż wśród tak wielkiéj ksiąg historycznych liczby, tak mało dobrych dziejopisów widzimy? że trudny ten kunszt wielkich zdolności i rozległéj wymaga nauki? Kto ma zmysł wrodzony do pochwycenia prawdy historycznéj w plątaninie fałszów ukrytéj; kto już ma w sobie żyjący i odrysowany na dnie wzór, ideał skreślić się mającego obrazu; kto się w cudzą osobę łatwo przemienić, w różnorodne umie wchodzić uczucia, pojąć n. p. dzikiego Tatarzyna, którym zwierzęce miotają chuci, dumnego Turka zaufałość i ślepotę, obłudę dwuznacznych Krzyżaków, owych Kortezów i Pizarrów XIII. wieku; kto pozłocone pozory od rzeczywistości rozróżnić umie; kto uzbrojony cierpliwą wytrwałością, łącząc żelazną pracowitość z nabytą już nauką, łatwowiernością, nadętością stylu, ciemną i dziką kronikarzy łaciną, mikroskopicznym ich rozumem, nie razi się; ten tylko grzebiąc w ciemności wieków minionych, szczerą

sobie wspólników Krzysztofa Ungera, kupnika, Korneliusza Wright, miecznika i obywatela gdańskiego, robił w tém mieście nadania i przywileje jakoby klasztorom i osobom prywatnym służące. *Janikowski* wszystkiem kierował, *Wright* wyrzynał pieczęci; dla nadania postaci starożytnej, pargaminom, papierowi, pieczęciom, sznurkom, użyto do nacierania jakiejsiś mieszaniny, wędzono je w dymie. *Unger* udawał starożytne głosek postaci. Inni rozgłaszali jakoby Janikowski znalazł w zwaliskach zamku Mitterschein skrzynię z samemi dyplomatami, którą książęta Pomorscy dawniéj do Szczecina unieść mieli, a którą późniéj kilku szlachty do tego zamku sprowadziło. Janikowski robił i drogo sprzedawał zamówione u siebie dyplomata, które u nieświadomych dyplomatyki sędziów znajdowały wiarę. Roczniki Towarz. Warszaw. P. N. t. IX. str. 118.

prawdę wyniesie z głębi, i nawiedzione ręką niewiadomości lub pochlebstwa farby z oblicza historyi zetrzeć potrafi!

O sposobie mówienia i pisania po polsku.

Przez Łuk. Górnickiego.

(Z „Dworzanina". Kraków 1639. str. 45 do 58.)

Dworzanin będzie miał we wszystkim gracyą, a zwłaszcza w mowie, jeśli się strzedz będzie wydwarzania: któréj wady pełno wszędzie; podobno u nas w Polszcze więcéj niż gdzie indziéj: abowiem nasz Polak, by jedno kęs z domu wyjechał, wnet niechce inaczéj mówić, jedno tym językiem, gdzie troszkę zmieszkał: jeśli był we Włoszech, to za każdym słowem Signor: jeśli we Francyi, to, Par ma foi: jeśli w Hiszpanii, to, Nos otros cauaglieros: a czasem drugi, chociaż nie będzie w Czechach, jedno iż granice Szląską przejedzie, to już inaczéj nie będzie chciał mówić, jedno po Czesku: a Czeszczyzna, wie to Bóg jaka będzie. A jeśli mu rzeczesz, żeby swym językiem mówił: to powiada, iż zapomniał; abo że mu się przyrodzony język prawdziwie gruby widzi: czego dowodząc, wyrwie jakie staropolskie z Bogarodzice słowo, a z Czeskim jakim gładkim słówkiem na sztych je wysadzi, aby swego języka grubość, a obcego piękność pokazał: nakoniec i z tym na plac wyjedzie, że niemal każdy w Polskim języku wymowca, Czeskich słów, miasto Polskich używa, jakoby to było nazchwał dobrze.

Nie ma się co podobać, kiedy kto mając własne Polskie słowo, zarzuciwszy ono, pożycza na jego miejsce z cudzego języka, a miasto *Stanów* Koronnych, mówi *Stawy* Koronne, bo to jest nie inaczéj, jedno jako kiedyby kto Polaki wyganiał z ziemie, a Czechy do niéj przyjmował: w czym jakiby był rozum, widzi to każdy. Prawda to jest, gdzieby słowa Polskiego nie było na tę rzecz, którąby Polak ochrzcić miał, abo w przetłumaczaniu z jednego języka na drugi, potrzebowałby cudzego słowa: nie tylko tego nie ganię, kiedy z tak podobnego mowie naszéj języka, jak jest Czeski, weźmie słowo, ale téż i z Łacińskiego, zwłaszcza jeśliby łatwie ku wyrozumieniu, abo już nieco utarte słowo było, wziąć mu dozwalam. Takżeć podobno naszy wymowce Polscy sławni czynili. Czego nie rozumiejąc dzisiejszy, z onegoż wydwarzania, które tak bardzo człowiekowi nie przystoi, przyszło im to, że jęli niewstydliwie, w swój język kłaść dziwne słowa cudzoziemskie, a miasto słów wybornych Polskich, stawiać Czeskie, dobrze niż nasze podlejsze. Za-

tym to idzie, iż tych nowych Cyceronów mało rozumiemy; a tego, prosto nic, co nam kiedy na piśmie podadzą.

Niewiem czemuby inaksze pisanie bydź miało niż mowa; gdyż pisanie nie innego nie jest, jedno jakiś kształt, a wyobrażenie mowy, które zostaje, chociaż już człowiek wypowiedział, jakoby wizerunkiem tego, co się rzekło: a prosto jest pisanie ta rzecz, która daje żywot słowom. Otoż ona trudność, która z słów cudzoziemskich roście, rychlejby się jeszcze zeszła w mowie, niż w pisaniu: bo gdy mówiemy, ci którzy nas słuchają, mogą spytać, jako się co rozumieć ma; ale kiedy ja cudze pisanie czytam, tam gdyż nie masz tego co pisał, trudno mam wiedzieć, co to jest, czego wyrozumieć nie mogę. A przeto jeśli mowa nie ma bydź trudna ku wyrozumieniu, pogotowiu pisanie. Zwłaszcza iż uczeni ludzie tak powiadają: że to najcudniejsza mowa, która jest podobna pięknemu pisaniu. Co jeśli tak jest, to pewnie, pismu się to nie zejdzie, aby trudne bydź miało, mali bydź mowa każdemu ku wyrozumieniu łatwia.

Nasz język nie jest sam w sobie stary, chociaż nim dawno Polacy mówią: ale urodził się nie bardzo dawno z Słowiańskiego. Abowiem wszystkie te języki: Polski, Czeski, Ruski, Charwacki, Bosneński, Serbski, Racki, Bulgarski i inne, był pierwéj jeden język; jako i naród jeden Słowiański. Acz są drudzy, którzy powiadają, że i naród i język *Ruski* miałby bydź najstarszy; a od Rusi dopiero Słowacy, od sławy, iż przez nię, mężnie sobie poczynali, mieliby wziąć początek swój; ale to, prze dawność, nie może przyjść do naszéj pewnéj wiadomości; ani mi się widzi rzecz potrzebna, teraz to rozbierać. Dosyć na tym, że się więcéj Kronikarzów na to zgadza, iż Słowiański naród, między tymi którém wymienił, jest najpierwszy. Z tego tedy narodu, kiedy jedni tam, drudzy sam, siedliska swe przenieśli; przyszło i to, iż z jednego języka, wiele się ich urodziło różnych: gdzie na ten czas, iż ani pisma, ani nauk nie znali, wielka grubość, jako w samych ludziech, tak i w językach była. Aż wżdy, kiedy Bulgarowie pożyczywszy buxthabów od Greków, i przyczyniwszy ich nieco, a drugie przedziaławszy, poczęli pisać jako tako: jednak przecie pilnością swoją przyszli ktemu za czasem, iż wiele pisma Bożego, z Łacińskiego i z Greckiego, na swój język przełożyli. Tu już ten język dobrze obfitszy, niż nasz, bydź musi; a to ztąd, iż dawniéj w nim pisano, niż w naszym. Od Bulgarów potym Racowie, Serbowie, Ruś i inni, pismo wzięli. Nastało zasię pismo Czeskie z Łacińskich liter, już coś polerowniejszego: ztąd podobno, iż Czechowie są w sąsiedztwie z narody niesprosnemi: ci wnet kształtowniéj, ochędożniéj, ozdobniéj, zachowując jakieś przewłaczanie w słowiech, podobne Łacińskiemu accentowi, mówić poczęli. I ztąd urosła im ta sława od nasze samych, iż ich język miałby bydź dobrze, niż nasz, cudniejszy! Jakoż podobno obfitszy niż nasz, bydź może, a to ztąd, iż pierwéj do nich i pismo i nauki przyszły: ale o piękność, jeszcze to niechaj wisi na wyroku. A tak przystępując do rzeczy, kiedy Dworzaninowi Polskich słów nie stanie, dobrze uczyni, iż pożyczy z Czeskiego języka, rychléj niż z drugich: a to dla tego, że już ten sam u nas jest wzięty, i policzony za najcudniejszy: albowiem to pospolite mniemanie, (ku któremu wżdy człowiek stosować się musi) przyda nieco powagi Polskiéj rzeczy. Ale gdzieby się słowo jakie trafiło w Czeskim, któreby było przytrudniejszym, a na to miejsce byłoby albo Ruskie, albo Charwackie, albo Serbskie, łatwe Polakowi ku wyrozumieniu: tam w téj mierze będzie lepiéj Dworzaninowi, wedle swego zdania obrać z tych drugich, łatwiejsze i pozorniejsze słowo; a zaniechać Czeskiego. Wszakoż to wszystko należy na jego własnym rozsądku, aby uważył, które słowo barziéj służy uszom Polskim, które znaczniejsze, które rzetelniejsze, które właśniéj rzecz opisuje. A co się tycze Polskich słów starych, jeźli je odżywiać mamy, tak powiadam: iż ktoby tymi słowy, których teraz używamy, zamiatać, a starodawnych na to miejsce chwytać się chciał; nie inaczejby czynił, jedno jako ów, ktoby chciał, wzgardziwszy chlebem, żołądź jeść, jako starego wieku ludzie jadali. Słów używać mamy jako monice; bo któréj ludzie nie znają, téj nie biorą: także i słów nie rozumieją innych, jedno te, które są w zwyczaju pospolitym. Lecz gdzieby dzisiejszego słowa nie było na tę rzecz, którąby Dworzanin opisać chciał; nietylko mię nie obrazi starożytne słowo, ale je wolę, niż cudzoziemskie. Nakoniec, Pruskim, i Kaszubskim słowem, z których się więc śmiejemy, chce, aby się Dworzanin nie hydził: abowiem najdzie tam drugie, iż tak właśnie rzecz opisuje, że właśnie i bydź nie może. I to mi się też nie źle podoba, kiedy stworzy sobie nowe słowo: ale na Polskim gruncie, abo ze dwu Polskich jedno uczyni. A com mowę Łacińską wspomniał, widzę bydź ten obyczaj, iż niektórzy naszy, chcąc pokazać iż wiele umieją, co trzecie słowo, to po Łacinie mówią: a może je przyrównać do owéj kuffy, w któréj troszkę wina; abo do pęcherza, w których jedno kilka ziarn grochu: abowiem gdy zakołacesz w próżną kuffę, wielki dźwięk daje, a pełna nic; jako i pęcherz pełen grochu. Także i ci, iż kilka tylko słów umieją, więc z nimi coraz na plac: a w tym i ono głupie swoje wydwarzanie pokazują, i drudzy ich nie rozumieją. —

A przeto, gdzie jest dobre Polskie słowo, tam źle czyni, kto Łacińskie miasto niego kładzie: chyba kiedy się trafi słowo już tak zwyczajne, tak utarte, że je niemal wszyscy rozumieją: abo też, iż właśnie z Łacińskiego na Polskie przełożone bydź nie może; bo wtenczas wolę Łacińskie, niż Polskie: jako to, wolę iż kto rzecze *Philozoph*, niż Mędrzec, bo to już każdy rozumie, a ktemu nie właśnie to z Greckiego, *Philozophia*, Mądrość. I Łacinnicy, to słowo *Philozophia*, uczynili je swoim, a niechcieli go z Greckiego przetłumaczać. Owa, jako wiele słów Niemieckich mamy w języku naszym, których już nie mamy za Niemieckie, ale za Polskie: tak też i Łacińskie niektóre, miejmy za swe własne. Ręczniki szerokie, iż do nas ze Włoch przyniesiono, zaraz też i przezwisko ich z nimi przyszło, bo je Towagliami zowiemy. Towaglia, Włoskie słowo, już u nas za Polskie ujdzie. Wszystko to zwyczaj czyni, który jest mistrzem każdéj mowy. Raczysz mię pytać, któryby mi się z tych języków, które z Słowieńskiego poszły, najcudniejszy widział? Niewiem jako na to odpowiedzieć, bo w téj mierze nie czynię dosyć sam sobie. Czeski język jest piękny, ale jakoby troszkę pieszczący, a mężczyznie mało przystojny. Ruski zasię surowy: Racki, Serbski, Charwacki, Bulgarski, już mają coś Pogańskiego, bo się od Turków spachali. Nasz też Polski zda się trudny, a jakoby człowiek całą gębą, a gwałtem mówił. Owa, ja w tym niewiem co powiedzieć.

Smak, który uszy czują, jest z zwyczaju: bo kiedyby nie z zwyczaju rósł, ale z prawdziwego rozsądku, wszytkie narody zgadzałyby się na jedno, iż te dwie mowie, Grecka, a Łacińska najcudniejsze ale iż tego Turek, Arab, Ormianin nie pozwala, ztąd znać, iż to zawisło na upodobaniu ludzkim, które z zwyczaju roście; a zwyczaj dziwne zdania ludzkie czyni.

Za Królów Rzymskich, nie była w takiéj wadze Rzymska mowa, ani tak obfita: czemu: iż i ubogie było jeszcze Państwo, i nie uczynili go byli jeszcze Rzymianie, pisaniem poważnych rzeczy, obfitym. Aż potym gdy męztwo, a sprawiedliwość Rzymska, świat posiadła; a oni uczeni Rzymianie, poczęli to, czego się u Greków nauczyli, Łacińskim językiem pisać: toż się dopiero ten język podniósł, i przyszedł ku téj doskonałości, którą teraz widziemy. I nasz język Polski rychłoby urosł, gdybyśmy się go rozmiłowali: ale niewiem czemu tak podle rozumiemy o swoim języku, jakoby Łacińskich nauk w się wziąć nie mógł; co się mnie wielkie głupstwo widzi.

Niewiem by czego więcéj Dworzaninowi trzeba, jako wymowy, i przyrodzonéj, i nabytéj. Przyrodzonéj, téj od Boga żądać trzeba: a nabytéj, uczyć się musi z ksiąg, i z zwyczaju. A tak ja mego Dworzanina do Rhetoryki odsyłam. Acz i tam nie wszytkiego wziąć może, musi wiele umieć, zaczym przyjdzie wymowa: bo kto niema pierwéj w umyśle swym, gotowych, i nie lada jakich rzeczy, temu słowa nie popłyną. — Toż też rozumiem i o pisaniu, bo jednakiéj nauki do obojga trzeba: w tym jednoróżność jest, iż wymowa potrzebuje głosu, ani wrzaskliwego, ani grubego; ale głośnego, znacznego, wdzięcznego, wspaniałego, i dobrze usadzonego. Ktemu, w ciele niema bydź gnuśność, aby się nie zdało iż pień mówi; ale ma bydź jakaś żywość we wszytkich członkach, nie bystra, nie szalona, ale stateczna, a poważna; iżby to znać jaśnie było, że człowiek, to co mówi, mówi z chęci. Lecz mówiąc o obojgu zaraz, i o mowie, i o pisaniu: wszytko to co się do tych czasów powiedziało, nic nie jest, jeśli w każdym związku słów nie będzie znać bystrego rozumu, trefnego wynalazku, powagi wedle potrzeby, i wszytkiego na wybór.

Ani ja też chcę, aby zawżdy poważnie mówił; ale o rzeczach żartownych, z kunsztem: a wszakże, aby się przedsięmiał na pieczy, żeby czego dziecinnego po nim znać nie było. A gdy trafi na co trudnego, aby słowy ktemu sposobnemi, rzecz onę tak wywiódł, żeby ją każdy pojąć, a wyrozumieć mógł. Zasię gdy o rzeczach wielkich mówić przyjdzie, aby poważnie, rzeźwie, i potężnie mówił, obierając słowa własne, jasne, łatwie, dobrze złożone, a te którychby pospolicie używano: abowiem też pospolite słowa, uczynią rzecz ozdobną, i poważną, jeśli je Dworzanin przerobić, a usadzić dobrze, będzie umiał. Tu się niechaj stara, aby rzecz jego, każdego ruszyła; aby mógł przywieść ku żalu, ku gniewu, ku miłosierdziu; i umiał zapalić, podwieść, zmiękczyć, zwyciężyć, przełamać, wedle potrzeby swéj, serca ludzkie: abowiem to jest cel, do którego wszyscy wymowce strzelają.

O Sprawie Rycerskiéj.

Przez Marcina Bielskiego. Kraków 1569.

(Str. 400.)

Nauka Rycerska jest potrzebna każdemu królestwu i rzeczypospolitéj. Sprawuje się trojem obyczajem, to jest: rozumem, nauką i ćwiczeniem; gdzie jedno przez drugiego nie może być, bo aczby było, ale doskonałości nie będzie. Gdy na placu postawisz pachołka niezwyczajnego, jakobyś

niewiastę postawił. Przeto młodym ludziom trzeba na to zwyczaju i ćwiczenia, od starych mężów świadomych sprawy rycerskiéj, bo ci zwyczajem swoim lepszą śmiałość i naukę młodym podawają. Kto chce tedy dobrym mężem być, musi te rzeczy w sobie mieć: rozumem się sprawować; nauką nieprzyjaciela przechodzić; doświadczeniem radzić: bo się żadny z tymi dary z matki nie urodzi, ani też doświadczenia żadnego mieć będzie, bez pracy osobnéj swojéj i chuci. Trzeba aby się innego nauka podparła; gdzieby tego zaniedbał za słusznego czasu, próżnoby miał na szczęście albo na mdłe przyrodzenie narzekać, gdyż te rzeczy na woli są każdego; a kto tym źle szafuje, szczęście mu nic nie krzywo, iż go opuściło, bo też szczęście za rozumem pochodzi. Jako jest ludzkie przyrodzenie złożone od Boga z ciała a z ducha, także je też i my na dwoje obracamy: jedno na *zmysł*, drugie na *pracę*. Z pracy miewamy dobre mienie, dobre życie i bogactwa; ale z tymi człowiek pospołu umiera; jako się urodzą, tak się starzeją, jaki ich początek, takie dokonanie. Ale zmysł jest sprawą ludzkiego przyrodzenia, jest też wieczny i nieśmiertelny: bo jego pamięć wiecznie zostawa na świecie. Z płaczem tedy możem żałować niektórych ludzi patrząc, jako swą młodością źle szafują, podawając ją w zbyteczne obyczaje, to jest w chciwości, lenistwie, opilstwie, zapijaniu i w inne naruszone obyczaje, któremi swój wiek młody i zdrowie marnie utracają, a rozum swój i nauki, nad które niema nic lepszego przyrodzenie ludzkie, mimo się puszczają. Gdyż jest wiele nauk rozmaitych pożytecznych, któremi człowiek mógłby sobie narządzić wieczną pamięć, sławę i poczciwą żywność przez rozmaite postępki w dzielności jakiéjkolwiek potrzebnéj, bądź to przez nauki pisma, bądź przez rycerskie rzeczy, przez urzędy, rzemiosła i inne wszelkie, które się w poczciwéj sławie zamykają. Tego sobie nizacz mają, żywiąc, jako dobytek, co tylko brzuchowi hołduje. Ztądże i z wielu innych przyczyn pochodzi skaza pospolitéj rzeczy, iż leży jako na poły umarła; tak w radach, sprawach, jako i w rycerskich rzeczach, tuszęcy sobie źle, mniemając, aby to zasie nie było naprawiane przez mądre a opatrzne ludzi, których jeszcze najdzie dosyć. Jako się tego wiele na świecie przygadzało, zwłaszcza naonczas u Rzymian i Greków. U Rzymian, gdy Scypio upadłą rzecz rzymską zasie swą opatrznością naprawił. Temistokles w Grecyi takież Atenianom; o czem pisałem szerzéj w kronice. Ci obadwa te dary wyżéj mianowane w sobie mieli, rozum, naukę i ćwiczenie, któremi rzecz-pospolitą upadłą naprawili; nie tylko to sami chcieli umieć, ale i drugie ku temu przywodzili; zwłaszcza Scipio, po niewoli przypędzał, aby się rzucili do zbroi, a ćwiczyli rzeczom rycerskim, potym nieprzyjacielom odparli, i przymusili pod swe posłuszeństwo!

Mając tedy i my, natenczas będące przed oczyma zacne dzieje starych waleczników, którzy swoją opatrznością zachowali swe żywoty, statki, żony, dzieci i wszystkie majętności w całości; rozumiejąc, iż takowe rzeczy nie przychodzą z rozkoszy, ani z próżnowania, przeto sobie taką radę obierali, która je do tego zawzdy miała i przywodziła sprawą swą: aby ustawicznie w pracy będąc, żadnéj rozkoszy mieć nie mogli, by snadź przez to potem nie upadli (jako jest natura ludzka ktemu skłonna), przeto byli strachem nieprzyjacielowi zawzdy. Za słuszną tedy przyczyną zdałoby mi się też tu na tém miejscu nieco napisać o naszych sprawach niniejszego czasu, stósując je ku starym, zwłaszcza w rycerskich rzeczach, (gdyż każdy przykład pobożny jest rzeczypospolitéj potrzebny), aby nam ci, którym ten powód należy, do tego pomogli, jakobyśmy też takie ćwiczenie tu u siebie mieli, zwłaszcza młodych ludzi. A gdzieby to miało słuszniéj być, jedno u braciszków zakonnych w klasztorzech, których wiele jest na to nadanych, jednak przez niedbałość starszych nie przychodzi to, ani Bogu, ani nam ku pożytku; bo ci braciszkowie nie pobożnie żyjąc w próżnowaniu nikczemnieją, mając na to dwoje conpatibilia, nabożeństwo w sercu, a miecze w ręku, to jest, aby i śpiewał i nieprzyjaciele bił kościoła świętego; pobożniejsze by to były *preces*, niźli nalewać *feces*, widząc naszę Polskę często złego sąsiada grać, a oni leżą próżnując, tyjąc jak wieprze w klasztorach; lepiéj aby brali przykład z tych cnotliwych rycerzów bratów swoich, które zowiemy Bożego grobu. Ci to niedawnego czasu wielką posługę uczynili, i uczynić nie przestają, potrzebną wszemu chrześcijaństwu na wyspie Mellicie, broniąc się przez długi czas wielkiéj mocy tureckiéj, jako o tym będzie spisek osobny odemnie wydany; tak żeby mieli i drudzy braciszkowie przykładni tę sprawę u siebie w klasztorzech zachować, pamiętając na niniejsze i na przyszłe czasy, jako wszystkie rzeczy zawichrzone są, iż z tego odmętu nie możem nigdy wypłynąć, jeśli do wiosła mocy nie przyłożymy wszyscy. Ale iż te rzeczy, trudne się nam zdadzą być, dla starego obyczaju; przeto jeszcze za to będziem w tym odmęcie pływać, aż się Pan Bóg nad nami zlituje.

Już natenczas tym rzeczom tu koniec pokładam, acz się było jeszcze więcéj mogło co ktemu przypisać. Ale przypatrując się ludziom niniejszego czasu, jako są rozmaitych rozsądków, affektów i zawiści, jeden ku drugiemu, jako je

też myśli wysokie sprawują, widzimy, iż z swoich opinii a nie z pisma, ani z nauki *judicja* swoje różne dawają; tak w świętym jak w świeckim, tak *privatim* jako *publice* niewiem, jako to będą przyjmować zwłaszcza ludzie młodzi, którym się zda wszystko umieć, nie mając jeszcze doświadczenia żadnego, ani nauki. Przyszłym czasom nie rozumieją: bo ich jeszcze nic nie dolega takiego, skądby się obaczyć mieli, jako mędrzec powiedział: „Błogosławione królestwo, które czasu pokoju stanowi sobie obronę na przyszłe czasy.“ Także i nam tego potrzeba, abyśmy o sobie czuli, a zabiegali w czas swemu złemu, lepiéj niż po czasie: bo temu każdy może rozumieć, iż my w tych krainach będąc prawie w pośrodku wielkich monarchiów świata, w pokoju być długo nie możem: bo ci mocarze na tém zawzdy są, aby przyczyniali swoich dzierzaw, a nigdy nie umniejszali. Uchodziszli jednego, rozgniewasz drugiego, uchodziszli wszystkich, znajdzie lada przyczynę złamania przymierza. Patrzcież jeśli się tu wyśpimy. Ono jadą od granic jeden za drugim z nowinami rzadko z dobremi. Jeśliby kto tak mówił: siedzieli naszy przodkowie w pokoju i my będziemy. Odpowiedź na to, iż nigdy, albo rzadko w pokoju bywali. Walczyli najpierwéj z Niemcy, o ty miejsca czyniąc, gdzie dziś siedzimy, o saską ziemię, o myszeńską. Czynili też długo z Prusy pogany. Czynili z Rusią, z Czechy, z Litwą, z Prusy krzyżowniki, dziś z Tatary, z Moskwą, z Wałachy, wie Bóg kiedy koniec temu będzie: bo się z czasy wszystko mieni. Cóż tedy innego mamy czynić, wybierając ze złego jedno lepsze? Opuściwszy wczesności domowe i gospodarstwa zbytnie, i swary o wiarę niepotrzebne, obronę taką stanowić, którąby była pożyteczna rzeczypospolitéj; pamiętając na to, iż lepiéj jest poczciwie umrzeć broniący gardła swego, żon, dzieci, i wszystkiéj majętności, niżliby miał doma czekać haniebnéj a mizernéj śmierci, z boleścią wrzodu, albo przez niedbałość swoję. Kto się czuje, obaczy to lepiéj; ten bicz Boży rozciąga się po wszystkich narodziech, dla ludzkich występków, a końca mu nie będzie aż do skończenia świata, a to najgorzéj iż nie wiemy czasu ani godziny, kiedy ta plaga Boska przychodzi na ludzi. Trzeba tedy nam wszystkim uciekać się z prośbami ku Panu Bogu pokornie, a wzywać go sobie na pomoc we dnie i w nocy, a on będzie raczył być szczytem naszym i wieżą mocną, przeciw każdemu nieprzyjacielowi naszemu każdéj godziny. Amen!

III.

PROZA

POWODUJĄCA

CZYLI

ORATORSKA.

A.

Mowy obrzędowe,

(akademiczne i panegiryczne).

Mowa miana przy otwarciu Liceum Warszawskiego

na dniu 2. Stycznia 1805. roku.

Przez Stanisława hr. Potockiego, ministra oświecenia.

(Str. 421.)

Z rozmaitych dobrodziejstw, które rząd światły wylewa na poddanych swoich, za najpierwsze liczyć należy staranność jego, o dobre wychowanie młodzieży; gdyż na niem właściwie gruntuje się kraju pomyślność. Dobre wychowanie rozwija i kształci te zawiązki cnót, przymiotów i talentów, co z czasem stają się pożytkiem, podporą i ozdobą domowego i publicznego obywatelów życia, z których się składa dobro ogólne narodu. Więcéj powiem: jest ono mocne sprostować ukryte zdrożności natury, owe moralne w ludziach niedołęstwa, nie mniéj rzetelne i częste, jak te, co w fizycznych jéj tworach dostrzegamy naocznie. Jako więc rólnik przez użyteczne prace, najpłonniejszą ziemię w żyzną mieni rolą, tak dobre wychowanie krzewi tam palmy cnoty i nauki, gdzie rosnąć miały osty niewiadomości i ciernie występków.

Będęż się odwoływał na zatwierdzenie téj jasnéj prawdy do przykładów najsławniejszych prawodawców starożytności, uświęconych pomyślnością ludów, którym za najpierwsze i najpożyteczniejsze prawo, a raczéj za warownią praw i rządu, dobre wychowanie nadali? Nie! Pocóż szukać w oddalonych wiekach przykładu, który mamy pod oczyma? Patrzmy, do jakiego stopnia pomyślności i sławy wzniosła rząd, pod którym dziś żyjemy, odżywiona przez niego starożytnych prawodawców mądrość! Ta, mówię, staranność o dobre wychowanie młodzieży, któréj rozszerzenie światła, nauk i nieuprzedzonego niczém w ludziach rozsądku, są szlachetnemi i chwalebnemi skutkami, wzrost wzięła wśród najokazalszych zwycięztw państwa pruskiego! Czuł dobrze Fryderyk, ten wielki wojownik, ten wielki ludzi znawca, że w tém jego pieczołowitość nie będzie jedną z ozdób mniéj pięknych, i mniéj użytecznych panowania jego. Wzniósł się geniusz króla tego nad trwożliwe względy, któremi przesąd słabość

otacza: śmiał panować nad *ludźmi*, a wnet światło i nieuprzedzenie stały się prawie pospolitym udziałem poddanych jego. Widział on pomyślne skutki tak szlachetnych starań, zbierał wielorakie ich korzyści, kiedy oświecenie i pomyślność poddanych przydały nową podporę sławie i potędze jego. Ile razy ręka przesądów ciężyć zacznie nad światłem i nieuprzedzeniem, bodajby ręka prawdy wskazywała wielki ten i użyteczny przykład, dany nietylko od najświetlejszego, ale i od najdzielniejszego monarchy wieku swego!

Lecz nie same tylko rządy winny czuwać nad dobrém wychowaniem młodzieży: winni wszyscy obywatele przykładać się do tak powszechnego sobie z rządem dobra, którego starania w tym względzie stałyby się po większéj części próżnemi, gdyby ich publiczna nie wspierała gorliwosc. Może rząd dobre wprowadzić nauki, lecz nie może utworzyć ku nim zapału, przez który wzrost biorą, jeźli im powszechne nie sprzyja mniemanie. Może rząd ustanowić ogniska świateł, z którychby się rozchodziły po kraju: lecz nie może rozkrzewić rozsądku i dobrych obyczajów, jeźli domowe przykłady szczepić ich w ludziach od lat niemowlęcych nie będą. Te są jednakże dobrego wychowania zasady: bez nich niemasz rzetelnego światła, bez nich nauka jest nieużyteczną, a niebezpieczną stać się może. Nikt więc nie jest wyłączonym od tego tak istotnego ku społeczności obowiązku: każdy winien tę konieczną ojczyznie przysługę, iżby się przykładał do wychowania obywatelów, coby ją składać godni byli.

Ty zas co jesteś celem tylu połączonych starań, celem troskliwości i nadziei ojczyzny, zdolna do wszystkiego młodzieży! chciéj się przekonać, iż nie korzystając z dobrodziejstw starownego wychowania, stajesz się nietylko niewdzięczną, lecz sobie samej szkodliwą. I tu się prawdziwie znajduje nieoddzielna od występku kara. Kiedy ci bowiem dobre wychowanie otwiera drogę do wszystkiego, co tylko ludzie cenią, ty nie korzystając z niego, sama ją sobie zamykasz. Albo cię los postawił w rzędzie tych, na których wylewa swe dary, albo cię w nich upośledził: w pierwszém zdarzeniu zważ, jak jest wstydliwém dla człowieka, stać się niegodnym imienia i losu swego; w drugiém, jak jest nierozsądnem dla niego upodleniem, nie starać się nabyć cnotą i nauką, i uczynić sobie własném dobro, którego mu los odmówił! —

Nauka, jeźli rzetelna, nie jest tylko życia ozdobą, jest ona wierną jego w każdéj doli towarzyszką. Ona go wyższym czyni nad wszelkie losu igrzyska i wyłącza z pod jarzma, które najokrutniéj cięży nad ludźmi. Ona życie jego spokojném i użytecznem sprawuje, ona ostatnią osładza godzinę, ona imię jego nieśmiertelności podaje. Kiedy zapomniane nazwiska wielu Mocarzy, przed któremi klękały narody, przywalił ogrom czasu, — żyją nieśmiertelnych Geniuszów wieczne twory, rośnie i szerzy się ich sława, wraz z światłem, które rzucili na ludzi.

Wiem, iż ten zaszczyt większy, niż potęgi, trwalszy niż zwycięztwa, jest rzadkim *geniuszu* udziałem; dowodzi on atoli, jak w liczbie dróg, które do sławy prowadzą, droga umiejętności wznosi się i góruje nad inne, tak dalece, iż w niższych nawet stopniach, do których mniéj wygórowana zdolność każdego prawie doprowadzić może, nie jest ona bez użytku i ozdoby; bo się zawsze do własnego i społeczności wydoskonalenia przykłada.

Takie są zaszczyty, takie nagrody nauki. Jednoczą one w sobie dwie najmocniejsze ludzkich usiłowań pobudki: miłości własnéj, złączonéj z miłością sławy najszlachetniejszym węzłem. Żywe ich uczucie, miéj, o młodzieży! za chwalebne natchnienie, które ludzi niepospolitymi czyni, a brak za pewną nikczemności cechę! —

Zagajenie sessyi publicznéj Uniwersytetu Wileńskiego

dnia 15. Września roku 1810. v. s.

w rocznicę koronacyi Najjaśniejszego Imperatora Aleksandra I. przy rozpoczęciu roku szkólnego nauk.

Przez Jana Śniadeckiego.

(Str. 424.)

Dobrodziejstwo szerzonego w kraju oświecenia urządzone z rozwagą, a kierowane z trafnością, kształcąc i doskonaląc człowieka, czyniąc go zamożniejszym w siły i sposoby, łagodząc i kierując jego czucia, jest prawie siłą twórczą, i razem żywiołem porządnéj społeczności krajowéj, a zatém źródłem szczęśliwości domowéj i publicznéj. Uważać więc to oświecenie należy, jako będące dopełnieniem dzieła stworzenia, a przez wydobyte siły i talenta uzacnieniem natury ludzkiéj. Wszakże cywilizacya ludzi nic innego nie jest, tylko rozwinienie i wydoskonalenie wszystkich władz przyrodzonych człowieka: do czego nauki, jeżeli nie jedyną, to zapewne są najdzielniejszą pomocą. Człowiek okryty niewiadomością siebie i rzeczy, jestto istota błąkająca się w cie-

mnościach, którą dopiero światło nauk prowadzi na drogę porządnego i przyjemnego życia. Mówiono dotąd wiele o pożytkach nauk wyciągając je z przysług poczynionych rólnictwu, handlowi, rękodziełom, zgoła dostatkom i bogactwu narodów: ale te wszystkie materyalne korzyści ulepszające byt człowieka fizyczny, nie są to zupełną chwałą i zaletą nauk. Prawdziwa godność nauki wyciągać się i cenić powinna z wpływu, jaki wywiera na wydoskonalenie władz ludzkich, na wyrobienie prawdziwej dostojności człowieka, na polepszenie nietylko fizycznego, ale i moralnego bytu ludzi i narodów. Któż wie czy przywary i występki przypisywane towarzyskiemu życiu, nie są wypadkiem nieporządnego i niedobrze skierowanego w postępku cywilizacyi biegu? To zapytanie warte jest zastanowić surową i głęboką prawodawcy uwagę. Doskonalić w massie społeczności jednę władzę człowieka z zaniedbaniem innych, dać nad to wybujać pierwszéj z przytłumieniem ostatnich, jestto zostawić zarodek przyszłego barbarzyństwa. Gdyby mi czas pozwolił rozwodzić się nad tém zdaniem, dzieje narodów dawnych i teraźniejszych dostarczyłyby mi licznych na to dowodów: że jeden rodzaj nauk i wiadomości uprawiany i doskonalony z zaniedbaniem innych, podnosząc i zalecając kraj i ludzi z jednéj, zostawił w nich z drugiéj strony okropne i rażące skutki dzikości. Przesąd uczonych wynoszących jednę naukę z pogardą drugiéj, jest to samolubstwo chcące się przecenić lekceważeniem rzeczy sobie nie znanych; jest to uczone barbarzyństwo wynikające z krótkiego i fałszywego rzeczy widzenia.

Bieg i doskonałość cywilizacyi idzie za biegiem i za wzrostem dobrze urządzonym oświecenia. Ale że człowiek nic prawie nie odkrył, czegoby na złe nie użył: mają i nauki swoje zarazy, jako skutki i blizny chorób umysłowych, od których młode głowy bronić i zabezpieczać należy. To zachowawszy, cokolwiek jest prawdą, cokolwiek rozwija i doskonali siły człowieka, daje im kierunek prosty i porządny, jest w instrukcyi krajowéj pożytecznem i szanownem. Dla tego nie można ganić i potępiać przyjętego planu instrukcyi szkólnéj: że on zawiera tak liczne i wielorakie rodzaje nauk. Są to zatrudnienia rozmaitych władz wzrastającego człowieka. Nauka języków ćwiczy jego pamięć. Nauki matematyczne przyzwyczajają go do rozwagi, do porządnego wywodzenia myśli, uprawują i wzmacniają rozum i prowadzą refleksyą do rozleglejszego rzeczy widzenia. Nauki fizyczne obeznawając człowieka z dziełami przyrodzenia, zaostrzają i rozprzestrzeniają w nim pojęcie. Nauki moralne i historya podnoszą i prostują jego czucia, a oswajając go z porządkiem moralnym świata, skazują drogę prawdziwéj zacności. Wymowa, poezya, historya kunsztów, rozszerzają, doskonalą, i prostują imaginacyą: okazują mu potęgę i czarujące wdzięki mowy ludzkiéj podniecónéj talentem. Zgoła rozmaite te wiadomości wydobywają, kierują i zasilają rozmaite władze umysłu i czucia; wszystkie zaś te pierwiastkowe, ale czyste i porządne każdéj nauki obrazy i wrażenia, składają magazyn myśli, prawd i postrzeżeń potrzebny do trafnego o rzeczach sądzenia. Natura obdarzywszy tak rozmaitemi siłami człowieka, skazuje sama potrzebę rozmaitych pomocy każdéj sile właściwych. I dla tego zarzuty i wrzaski tak niewiadomego jak uczonego pospólstwa, jakoby ta wielość przedmiotów była zbytniém młodego obciążeniem, nie zgadzają się ani z doświadczeniem, ani z rozumem. Człowiek porządnie uczony, powinien wprzód wiele wiedzieć, ażeby mógł potém jeden przynajmniéj objekt gruntownie objąć i umieć. Trzeba, żeby każda jego siła miała swoje zapasy, aby mogła skutecznie i dzielnie posiłkować drugą. Ten skryty łańcuch, który łączy władze ludzkiego umysłu, zachodzi między naukami, które są jego twory! I dzieła zadziwiające pojęcia i talentu, są najczęściéj owocem tego związku i wzajemnego władz i nauk na siebie wpływu.

Instrukcya początkowych szkół zaczyna sposobienie i uprawę człowieka, doskonali ją uniwersytet, a kończy świat, to jest: powołanie, trudy i przypadki towarzyskiego życia. Opatrzonemu w rozliczne i porządne zapasy wiadomości młodzieńcowi, otwiera uniwersytet przybytek rozleglejszych i głębszych świateł w naukach, umiejętnościach i kunsztach. Otwiera mu jeszcze szkołę szczególnego jakiego w życiu powołania, potrzebującego pewnego rodzaju nauk, wyrobienia talentu i zdatności, przez długie, rozważne i pracowite onych zgłębianie. A że ten rodzaj instrukcyi wyższéj, dzielniéj mówić powinien do zmysłów i przekonania: stawiać przed oczy przedmioty nauki, jéj stósunki i odmiany, środki, których rozum ludzki użył w jéj dociekaniach, trudności, które spotkał, pokonał, lub niezwyciężone zostawił; zgoła doprowadzić uczących się do stopnia, którego dosięgła każda nauka; podobne jéj z pożytkiem opowiadanie wyciąga rozlicznych zbiorów, kosztownych sprzętów i zakładów, które w dzisiejszym stanie nauk, sama tylko szczodrobliwość rządu i panujących o wzrost oświecenia troskliwych, może przez ogromne koszta i wydatki dostarczyć i opatrzyć.

Zgromadzona młodzi szkolna! Oglądając i przebiegając w ciągu uczenia się tyle gmachów i zakładów szkolnych, tyle znacznym kosztem i staraniem zgromadzonych zbiorów, narzędzi i sprzętów, powinnaś zawsze pomnieć i rozważać,

że to są dobroczynne upominki ojcowskiéj troskliwości panującego monarchy: które jego hojna opieka albo utrzymała, albo zgromadziła dla waszego dobra i pożytku. Rozmyślajcie sobie codzień, ile to wyciąga starań, wydatków i zabiegów ta wspaniała panującego piecza, aby was usposobić na ludzi pożytecznych sobie i krajowi, aby wam otworzyć źródła przyszłych dla was zarobków, wziętości i sławy! Korzystając z téj opatrzności Aleksandra, zaciągacie dla niego na całe życie dług i obowiązki wdzięczności, z których wam się wypłacać należy przywiązaniem, wiernością, podległością prawu i *przysługami dla kraju!*

Droga pewna, która was jedynie do tego wielkiego celu może doprowadzić, jest droga pracy, głębokiéj rozwagi i czystéj moralności. Gnuśnością nikczemnieją ludzie, upadają i giną narody: pracą wszystkie się utrzymują, kwitną i bogacą. Człowiek jestto jestestwo opatrzone siłami potrzebującemi ciągłego ćwiczenia; jego więc pierwsza powinność być pracowitym. Nie wdrożony w młodości w pracę i refleksyą, nieopatrzony w światła nauk, potępia się dobrowolnie na nudy dalszego życia, które są jego udręczeniem. Przeciwko tym się zapomogłszy, błogosławić będziecie w całém życiu pożytki dobrze przepędzonéj młodości. Jéj zarobki będą jeszcze starości waszéj słodkiém zasileniem i pociechą. Zebranych w szkole wiadomości, nie zostawiajcie w saméj pamięci; ale starajcie się je ciągłą rozwagą zgłębiać, trawić, i obracać na wasz osobisty pożytek: to jest, żebyście z nich wyciągali albo prawidła *rozsądku*, albo przepisy chwalebnego *życia*. Rodziliście się niektórzy wtenczas, kiedy rozgorzałych głów przesadzone i zapałem popchnięte zdania zaraziwszy całą massę łagodnego narodu, otworzyły gwałtowny wulkan wywracający wszystko, i miotający okropne klęski, nieszczęścia i pożogi, z których dotąd odetchnąć nie może Europa. Jestto straszna ale wielka dla wszystkich nauka, jak daleko namiętnością wysadzone myśli obłąkać mogą człowieka i społeczność. Każda więc prawda nabyta przez naukę, albo wyciągniona z uwagi, być powinna pod ścisłą strażą mądrości, żeby nie przeszła swych granic, za któremi stanie się błędem, a częstokroć źródłem domowego i publicznego nieszczęścia.

Ubiegając się za nauką, okażcie ją szanowną w waszych obyczajach; wyrządzajcie jéj cześć religijną w waszych sprawach i postępkach kierowanych prawidłami sprawiedliwości, cnoty i honoru. Nauka bez obyczajów jest hańbą człowieka, a klęską dla społeczności: bo wywraca porządek moralny towarzystwa, który powinna ocalać i utwierdzać. Kto się odważa na czyny uczciwości przeciwne, kto tłumi w sobie

poruszenia delikatne i szlachetne, wyzuwa się z szacunku dla samego siebie i jest potwarcą natury ludzkiéj. Unikajcie od takich ludzi; a spotkawszy ich nie gorszcie się; bo gorszenie się jest skutkiem słabości, a kto się rządzi przekonaniem i początkami prawemi życia, nie jest naśladowcą cudzych zdrożności! Szanujcie religią i jéj zbawienne obowiązki, jako najbezpieczniejszą warownią towarzyskiego porządku, pociechę nieszczęśliwych, i skład głębokiego hołdu dla twórcy tylu rozlicznych i zadziwiających dzieł świata, które się staracie w naukach pojąć i zrozumieć! —

Jesteście kwiatem nadziei waszych rodziców, krewnych, nauczycielów, kraju, rządu i społeczności: niechże ten kwiat upłodniony korzyściami nauki wywiedzie dojrzały owoc zaszczytu i chwały dla tutejszéj szkoły. Rozweselajcie wszystkich tym chlubnym i pocieszającym widokiem: że jesteście młodzieńcami, w których opatrzony nauką rozum jest stróżem honoru, uczciwości i cnoty! —

Mowa

przy złożeniu w grobie Wilanowskim przewiezionych z Wiednia zwłok Ignacego hr. Potockiego M. W. X. L. w roku 1810.

Przez Stanisława hr. Potockiego.

(Str. 436.)

Kiedym cię oczekiwał bracie kochany w tém królów naszych siedlisku, powracającego z chwalebnéj podróży, którą ci nowa dla ojczyzny przysługa przedsięwziąść kazała, mógłżem się spodziewać, że cię nie w ich świetném mieszkaniu, lecz u drzwi grobowych przyjmować będę, i otwierać ci nie domu mego, lecz śmierci podwoje? Witać się z tobą spodziewałem, żegnać mi się z tobą na wieki przychodzi! Lecz nie bracie kochany! Jeźli litość Boga dozwoli, jeźli zdołam iść w ślady twoje, ujrzę cię jeszcze w tém chwały i szczęścia siedlisku, gdzie zamieszkujesz w nagrodę cnót twoich! Otóż jedyna, która mi pozostaje nadzieja; otóż w dzisiejszéj żałobie mojéj jedyna dla mnie pociecha.

O smutny grobowcu, o ostatni pobożności, przywiązania i wdzięczności braterskiéj podarze! Przyjm te drogie zwłoki, obok których wnet i moje spoczywać mają; bądź ich wiernym stróżem, broń je od zniszczenia czasu, a nadewszystko od ludzkiéj wściekłości. Wy zaś przytomni temu obchodowi chrześcianie, ubolewając nad tak niewczesną stratą Ignacego Potockiego, pomnijcie, że nic więcéj z dóbr świata tego śmierć najznakomitszym ludziom nie zostawia, jak tę trochę ziemi, co ich popioły okrywa, i że szczupła trumna, co ich

zwłoki w sobie zamyka, staje się prawdziwą miarą przeszłéj ich wielkości.

Wszyscy, bracia moi! dla śmierci rodzimy się; życie nasze jest tylko przejściem, które nas od kolebki do grobu prowadzi. Umieramy co chwila, bo nam każda coś z życia unosi; tak idąc tak co krok niszczejąc, stajemy nakoniec u drzwi grobowych, gdzie nas śmierć czeka i obnaża z tego wszystkiego, co światowém, co nie naszém było! Cnoty nam tylko zostają: bo te z nieba użyczone, z nami do źródła swego wracają. Tak, wszystko pod kosą śmierci upada, prócz cnoty. Więc jest ona oczywiście najwyższém dobrém i zaszczytém człowieka, najświetniejszym jego tryumfem: bo pogromicielką wszystko niszczącéj śmierci.

Mając mówić o człowieku, co ją w wysokim posiadał stopniu, i chcąc wam rys jego zakreślić, użyję słów Salomona: „Wzniosła go mądrość i chwałą okryła“; nie tą chwałą znikomą, co chwilę zajaśniawszy wiecznie gaśnie; lecz tą, co do lepszego wiedzie nas życia, i w niém wiecznie trwa z nami. Jest to ta mądrość, która podług Salomona z góry na nas spływa, i co ludzi prowadzi w drogach sprawiedliwości, w drogach jedynie zdolnych okryć nas wieczną chwałą i wieczne zjednać nam życie. Jakoż duch boski uczy nas w piśmie, że mąż roztropny wyższym jest nad odważnego, że mądrość przechodzi waleczność, że przed nią milknie szczęk broni; że umiarkowanie i cierpliwość zasługują nieraz na większy szacunek, niż zdobycia miast i szczęśliwe boje!

O szalone człowieka przesądy! co krwawą waleczność kładziecie w pierwszym rzędzie ludzkich zaszczytów, i na najwyższym stopniu mieścicie sławy! Z téj przecież ona wysokości, z tego szczytu ludzkiéj wielkości, wali na świat klęski i okropności wojny. Jest to potok, co wszystko obala, jest to burza, co wszystko niszczy, jest to wicher, co wszystko porywa, jest to pożar, co wszystko trawi, jest to przepaść, co wszystko pochłania! — Rzućcie tylko okiem około siebie, a wnet się o téj przekonacie prawdzie, któréj nędze i zwaliska wszędy smutne oddają świadectwo. Przeciwnie, dobroczynna mądrości i umiarkowania ręka goi głębokie ludzkości blizny, które jéj wojna zadaje. Przyjemnemi są ku temu jéj środki, jest to ojcowska opieka, jest to słodka spokojność, jest to zniewalająca cisza, jest to chwila roku pogodna. Płynie ona zwolna i okazale, jak dobroczynna rzeka, co skrapia, zażyznia, zbogaca i obfitością okrywa brzegi swoje, kiedy niszczący potok wojny wszystko porywa, kiedy jéj piorun wszystko obala!

Lecz więcéj uderzają burzliwy umysł człowieka, świata

gwałtowne wstrząśnienia, klęski jego, a nawet własne, niż rzadka i szczęśliwa chwila, co mu po nich oddychać pozwala. Ztąd większym jest w jego oczach ten, co łzy wyciska, aniżeli ten, co je ociera, ten co obala, aniżeli ten co dźwiga, ten, co niszczy, aniżeli ten co odradza! Otoż w co przesądy nasze obracają rozum człowieka, ten dar którym on się chełpi nad inne. Nie czyniąż go podobnym do cielców tych srogich bałwanów, które pogańska zababonność krwią ludzką karmiła?

Mówię to o dumnych zdobywcach narodów, tak znakomitych w dziejach, tak wielkich w oczach naszych; nie zaś o tych cnotliwych rycerzach, którzy krew swoję poświęcają dla obrony kraju. Równym oni siebie okrywają zaszczytém, jak ci niemniéj od nich mężni obywatele, co w dopełnieniu cnót domowych, co w usłudze publicznéj nie znają żadnych względów, gardzą wszystkiemi niebezpieczeństwami.

Takim był Ignacy Potocki, taką miłość jego do kraju: w tak on wysokiem miejscu położył całe serce swoje, że nieprzystępném nawet obawie śmierci było. Dowiedzie tego krótki rys życia jego, w którym nie waham się w miłości kraju najdostojniejszą jego widzieć zaletę, i głosić ją w tém nawet miejscu świętem: bo słyszeć w niem zdaje mi się głos Zbawiciela, mówiącego do ukochanego ucznia: „Umieram za naród.“ Sam tedy chciał nas Zbawiciel nauczyć własnym przykładem, jak wielką jest cnotą miłość narodu, któréj wszystkie inne towarzyszyć zwykły.

Stargały, bracie kochany! poniesione przez ciebie dla ojczyzny trudy, długie i podwojone więzy, zdrowie twoje! Żyłeś boleśnie, lecz zwyciężała stałość duszy ciała cierpienia, a nic nam obawiać się nie kazało tak prędkiéj utraty twojéj! Kiedyś się z nami żegnał w tém właśnie miejscu, przedsiębiorąc podróż, do któréj obywatelstwo dodawało ci sił, odmówionych od natury, mówiłeś: „Bóg mnie wesprze i w tym razie, on co mi dozwolił znieść tyle cierpień i wśród nich ocalił.“ Jakoż nie omyliło się zaufanie twoje, a choć do dłuższéj przymuszony drogi, wśród szczęku broni i srogiéj wojny, dopiąłeś zamierzonego celu podróży twojéj. Lecz, niestety! zaledwieś dokonał w Wiedniu poleceń, zaledwieś dał czas poznania i szanowania siebie, umiejącemu znać i cenić ludzi dworowi, uderza cię grot śmierci panującą w tém mieście zarazą. Osłabione od dawna zdrowie twoje, oprzeć mu się nie zdoływa, i wnet, jak żyłeś z słodyczą i z zaufaniem w Bogu, spokojnie na łonie przyjaźni umierasz, jakbyś tylko ciężar życia złożył, a uwolniony z ziemnych ciała więzów duch czysty do niebieskiéj wracał

ojczyzny. Taka jest śmierć sprawiedliwego, a w niéj tryumf prawości: taką twoja była!

Powiedzcie przyjaciele! powiedzcie nawet słudzy! jaką była ku wam jego uprzejmość, jaką słodycz, jak zawsze gotowa chęć przysługi! Powiedzcie wy wszyscy, coście z nim żyli, jak pewném, jak przyjemném, jak wesołém było obcowanie jego, często wśród ciężarów spraw publicznych, tęsknych polityki zabiegów, wśród prac człowieka stanu, wśród tysiącznych przykrości, a nawet wśród nieszczęść jego! Bracia moi, nikt lepiéj nie dowiódł, jakim są skarbem niewinność sumienia, czystość widoków i czynów prawego człowieka, co sobie nic do wymówienia nie ma, któremu czyn każdy jego chwalebne oddaje świadectwo! Jeźli nad nim ciąży niesłuszność fortuny i ludzi, spoczywa w przyszłości z zaufaniem na zapewnionéj Boga opiece, a przemijające życia tego niedole, ma tylko za przykrą podróż, co go do lepszego prowadzi bytu, do tego szczęśliwego siedliska, gdzie Bóg wynagradza nietylko cnoty, ale za nie na tym świecie cierpienia. I tak dusza prawych raduje się, kiedy ciało jest strapione.

Mamże mówić, bracie, o twojem ku żonie, ku córce, ku rodzinie przywiązaniu? Gdybym temu słowa wyrównywające znaleść zdołał, jeszczeby na to samo wspomnienie głos mój żal przytłumił. O ojcze, o mężu, o bracie jedyny! O ty! co z sobą do grobu unosisz ciężką żałość tych wszystkich, co cię znali, kiedyś za życia utracił najdroższe sercu twojemu przedmioty, kiedy cię los ukochanéj żony i córki pozbawił, kiedy z licznéj rodziny, dwóch ci tylko pozostało braci, złałeś na nich wszystkie kochającéj duszy twojéj uczucia, i tym, którym w młodości służyłeś za ojca, w ostatnich latach twoich, ojcowskie ze wszystkiém oddałeś serce. Przenieśliśmy wśród nas szczątki twoje z oddalonéj krainy, by duch twój opiekuńczy czuwał nad nami; pozazdrościliśmy ich obcéj ziemi: bo ojczysta, co się szczyci cnotami twemi, jedynie godną była je posiadać. Składamy je w skromnym grobowcu; wyrównywać wszakże on będzie królewskiéj okazałości, którą jaśnieje to miejsce: bo cóż jest wspanialszem, cóż może być okazalszem w oczach Polaka, jak grobowiec jednego z najlepszych obywateli, obok tylu pomników, pomnik jednego z najwaleczniejszych rycerzów naszych? Szczęśliwém jest to zbliżenie i równie dla obu zaszczytném! —

Dźwigamy aż do grobu ciężar pychy i próżności naszéj. Przywalając marmurami i miedzią popioły nasze; mniemamyż módz ukryć pod niemi tajnik nicości naszéj? Nie, im te pomniki są okazalszemi, tym jawniéj dowodzą nędzę naszą. Te dumne napisy, co głoszą wielkość ludzi, nie opiewają głośniéj jeszcze ich nikczemność, i nie mówią: „Ten co się tak wielkim mniemał, jest dzisiaj niczem.“ Ale groby znakomitych ludzi wzbudzają w nas tkliwe poszanowanie; nie trzeba ku ich ozdobie marmuru ni miedzi; ozdobą ich jest wspomnienie tego, co w nich spoczywa. Więcéj one sprawują wrażenia proste niż okazałe, skromne niż bogate; więcéj nieszczęściem niż pomyślnością, więcéj oznakami cnoty niż potęgi pamiętne, mianowicie w wiejskiéj, jak ta ustroni, ich wrażenia mocniéj się czuć dają. Częściéj łzy wyciska prosty kamień grobowy, przy którym podróżny spoczywa, niż wspaniałe po kościołach pomniki: tu przepych tylko uderza, tam żałość nabiera z przyrodzenia szczytności! Otóż wrażenie, którego sprawiać nie przestanie skromny pomnik Ignacego Potockiego. Wznosząc go, bracie, mało na pozór, lecz dość w rzeczy ku uczczeniu ciebie wdzięczność uczyniła twéj rodziny, któréj ulubionym byłeś zaszczytem.

Lecz czas koniec uczynić tak sprawiedliwym pochwałom i tak słusznéj żałości, pomnąc na to, iż śmierć sprawiedliwego jest wyższym nad wszystkie tryumfem cnoty, a przygodą dla tych tylko, których osierociałych po sobie zostawia! Chrześcianie! rzucając okiem na tak piękne życie, pamiętną w niém dla siebie czerpajmy naukę. Sprzyja od młodości los Potockiemu, wszystko dla niego jest pomyślném: urodzenie, rozum, fortuna, zaszczyty, postać przyjemna, wszystko w nim zadosyć czyni życzeniom, nawet próżności, któréj nie znał. Lecz brak mu swobody i ta gorycz wszystko truje; nie umie on być szczęśliwym wśród kraju niedoli! Ale i w tém późniéj choć na chwilę, los go pociesza: czuje się szczęśliwym, że go własnemi rękami dźwigać może, i ta jest chwila najwyższego stopnia szczęścia jego. Tu nagła następuje zmiana, a los jego okropną odtąd bierze postać. Stracił żonę, traci ojczyznę, traci córkę, traci majątek długie i powtórzone więzy jego odejmują mu resztę skołatanego tylu przygodami zdrowia! Nakoniec stałość duszy jego przewyższa te wszystkie nieszczęścia; pociesza go znowu nadzieja wskrzeszenia kraju, a Bóg mu umrzeć w jego usłudze pozwala. Bracia moi! takie losu zmiany, nie sąż doświadczeniem, które Bóg w tém życiu na sprawiedliwych zsyła, by się jeszcze godniejszymi stali przyszłego? i żeby ich przykładem nas nauczył, z jakiem poszanowaniem ulegać winniśmy Jego najwyższym wyrokom i w Nim całą naszą pokładać nadzieję, widząc rzeczy ludzkich tak wielką znikomość! -- Patrzcie na nią; zstępując do grobu cóż z sobą unosi ten mąż, któremu niebo użyczyło za życia tyle darów swoich? Na cóż mu się przydały? Oto ku niedoli i prze-

śladowaniu jego. Przecież ta niedola, to prześladowanie jest jedynie pozostałém dobrém jego, co mu od Boga policzoném będzie, który światowe utrapienia ludzi prawych, jakby dobrodziejstwo od siebie, wieczném nagradza szczęściem.

Złóżmy więc ze smutkiem, lecz z winném w litości i sprawiedliwości Boga zaufaniem, zwłoki Jego w tym grobie, na widok którego niech każdy Polak w najpóźniejszych pomni wiekach: że w nim spoczywa obywatel, co żył i umarł dla kraju.

Przy pogrzebie brata rzecz.

Przez Jana Kochanowskiego.

Siła sobie ludzie mądrzy dawnego wieku, moi łaskawi Panowie, głowy utroskali, chcąc to światu wywieść, że przygody, nieszczęście i smętki wszelakie mogą człowiekowi nie bydź ciężkie, ani silne: ale temu wszystkiemu rozum dobrze zdołać i wytrzymać może. I mieli po sobie wywody wielkie i ważne, jako się onym zdało: ale, jako sama rzecz okazuje, nie bardzo potężne. Bo nietylko tego w ludzi wmówić nie mogli, ale i między samemi, rzadki, któryby to był na sobie przełomił, żeby był w téj mierze według nauki swéj się zachował. Tak podobno wszystko łatwiéj słowy wyrzec, niżli rzeczą samą wypełnić. — I nie masz się zaprawdę czemu dziwować, że mądre i szerokie wywody smętku i żałości ludzkiéj pohamować nie mogą: bo trudno jest z przyrodzeniem walczyć a serce człowiecze nie jest kamienne, ani żelazne, jakiego żadna troska i żaden żal nie ruszy, ale z téjże krwi co sam człowiek, i tegoż ciała stworzone, które, jako radość i pociechę swoję czuje, tak z nieszczęścia i z przygody frasować się musi. Doświadczamy tego sami na sobie, daj Boże, aby nie tak często; ale, zaiste doświadczamy! — A my więc teraz za tym niefortunnym teraźniéjszym przypadkiem naszym czujemy, co to jest żałość. Abowiem straciliśmy w domu swoim tego, jakiego drugiego (prawda się znać musi) nie mamy. A straciliśmy nie tak brata, jako właśniéj ojca. Bo po zejściu rodziców naszych, mając on nietylko laty, ale i rozumem przed inszą bracią, — wszystkie trudności nasze spólne, które więc po zmarłym ojcu na dzieci pospolicie przypadają, wziął był na swoję pieczą; — i tak się z nimi sprawował, żeśmy za pilnością jego żadnego uszczerbku w sprawiedliwości swéj nie wzięli. A za cośmy mu i dziś wielce powinni, nietylko nam chudobę naszę wcale zachował, ale i przyjaźń sąsiedzką: bośmy do téj

doby, z czego Panu Bogu bądź chwała, ani przysięgi żadnéj, ani zajścia żadnego z nikiem nie mieli. Co wszystko Bogu naprzód, a potym jego obmyślawaniu i przestrodze przypisać musimy.

A nietylko w młodszych leciech i w niebytności drugich nam był radzien i pomocen: ale przez wszystek wiek swój, jakoby brat prawdziwy, trudności naszych wszelakich przestrzegał i bronił. A ta więc jego godność, którą go był Bóg opatrzyć raczył, nie była tak określona abo wązka, żeby się tylko w domu jego samym zawierać miała —, ale siła obcych ludzi, siła wdów i sierot ubogich rady jego używało. Któréj on nie funtem iście, że tak mam rzec, ani łokciem przedawał, ale i darmo i hojnie wszystkim potrzebnym użyczał i tak wiernie, że na radzie jego żaden się nigdy nie omylił. Słusznie tedy przez śmierć jego dziś na sobie ten ubiór nosimy, i na sercu żal wielki mamy, z którego śmy i obronę doma, i między ludźmi dobrą sławę mieli. Ale nam podobno teraz więcéj trzeba na taką rzecz się zdobywać, którąby żałość naszę rychléj leczyć, jeźliby to można rzecz była, niżli jątrzyć i szerzyć mogła. Jakoż nie pomału się ztąd cieszymy, że przy téj ostatniéj posłudze brata naszego, Wasz Mościów tak wiele, i tak zacnych osób widzimy. Bo nie lada to znak jest łaski W. M. przeciwko niemu. Kiedybyście W. M. komu żywemu tę uczciwość czynili, mogłoby się jakokolwiek zdać, że to w nadzieje przypodobania jakiego, abo więc i oddania czynicie. Ale czyniąc to umarłemu kwoli, który tego oddać już nie może, żadnéj wątpliwości w tym nie mamy, że to W. M. z uprzejméj i prawéj chęci przeciwko niemu czynicie: dając to nietylko nam braciéj, powinowatym jego znać, ale wszystkim ludziom w obec, że uczciwe zachowanie brata naszego nie umarło z nim pospołu, ale żywie w sercach W. M. cnotliwych ludzi. A toć jest on owoc wiary, cnoty i godności jego, z którego my powinowaci cieszyć się nie pomału mamy, a potomstwo jego i przykład brać może, aby ojcowskim strychem się sprawując, do tegoż zachowania, i do téjże dobréj sławy przyjść kiedy mogli. Za tak wielką tedy łaskę którą W. M. temu zmarłemu ciału okazać raczyli, W. M. Panom swym wielce dziękujemy, prosząc Pana Boga, aby on sam za nas, którzy tego tak dalece odsłużyć nie możem, W. M. to hojnie płacić i nagradzać raczył. Tego zaprawdę i sobie i tym ubogim sierotom, także i téj uczciwéj a stroskanéj małżonce jego życzymy i prosiemy, aby oni téj łaski W. M., któréj ojciec ich po W. M. nietylko za żywota, ale i po śmierci doznał, mogli być téż uczestniki. A oni za powodem nas téż starszych starać się pospołu z nami

będą, jakobysmy łaskę W. M. sobie zasługowali; Panie Boże! daj tylko, aby w potrzebach pocieszniejszych niżli ta jest! —

Mowa

na obchód pamiątki Ignacego Krasickiego Arcybiskupa Gnieźnieńskiego, miana na posiedzeniu publiczném Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk, d. 12. Grudnia 1801. r.

Przez Franciszka Dmochowskiego.

Jeżeli z rzeczy ludzkich może co sobie rościć prawo do nieśmiertelności, to zapewne geniusz. Inne zalety, bądź władzy, bądź bogactw, bądź urodzenia, przemijającą mają trwałość. Rażą niekiedy pozornym blaskiem mniéj uważne oczy: ale zgon wraca je do nikczemności, z któréj się niesłusznie wydobyć usiłowały. Sama nawet cnota, najpierwsze i największe między ludźmi dobro, wkrótce nieznana gaśnie, jeżli pióro geniuszu nie wydrze jéj zapomnieniu, i nie zapisze w księgę nieśmiertelności. Sam tylko geniusz żyje z siebie: on jest i przedmiotem i sprawcą swojéj chwały: on sam tworzy dzieła godne wieków; a te same dzieła stają się dla niego niezatartą pamiątką.

Któż z współczesnych nad Krasickiego może bydź pewniejszym tego gatunku chwały? Kto nad niego może sobie dłuższe obiecywać życie w pamięci potomności? Póki się utrzyma język polski, ta znakomita i najkształtniéj okrzesana gałąź słowiańskiego języka, póty jego imie wspominane będzie z tém uczuciem, jakie jego dzieła w każdym z czytających wzbudzają. Co mówię! dzieła jego przyłożą się do utrzymania tego języka. Najodleglejsi potomkowie, chciwi tych samych kosztować słodyczy, które w czytaniu Krasickiego ich pradziadowie czerpali, uczyć się będą ich mowy i prześlą ją swoim następcom.

Zaiste mąż tak wysokich talentów, wyższy jest nad wszystkie pochwały. Żyje on i żyć będzie z siebie: i ten wieniec, który sam swoją ręką uplótł, nie potrzebuje żadnéj ozdoby z przydanych obcą ręką kwiatów! — Ale posłuszny być winienem rozkazom Zgromadzenia, które uiszczając się ze swoich obowiązków, aby pamięć uczonych ludzi winny hołd w gronie jego odbierała, mnie do téj posługi, tak dla mnie pochlebnéj, wezwać raczyło. Należy się od tego Zgromadzenia najżywsza wdzięczność zmarłemu książęciu, że imie swoje w rejestr jego najskwapliwiéj zapisał; że w początkach zaraz, największą gorliwość, względem jego ustanowienia,

utwierdzenia i skutków okazał. Niestety! jeźli nie wcześnie dla siebie, zanadto prędko umarł dla Towarzystwa, którego i najcelniejszą był ozdobą, i byłby najużyteczniejszym członkiem. Do tego, nie może być rzeczą obojętną dla światłéj publiczności, posiedzenia nasze tak liczną przytomnością zaszczycającéj, słyszeć rzecz o mężu, którego dzieła z takiém czyta ukontentowaniem: a ja największy ztąd pochop, największą śmiałość biorę, że o Krasickim mówić będę.

Żyjemy w tym wieku, kiedy opinia do prawideł natury i rozumu zwrócona, ceni ludzi podług osobistéj ich wartości. Wyschło dziś źródło owych pysznych pochwał, tak obficie szafowanych, a z takiém unudzeniem słuchanych. Nie pytają się teraz, jak długi szereg przodków liczyć kto może, ale jakim był i co uczynił. Szczęśliwa zaiste zmiana, która obaliwszy słabe podstawy, na jakich oparte dawniéj dumne bałwany, przywłaszczały sobie prawo do czci świata, każe szukać rzetelnéj chwały w talentach, zasługach i cnocie. Taką sobie zapewnił Krasicki. Miał on wszystkie zaszczyty panującéj dawnéj opinii: lecz tak je zaćmił osobistą wartością, iż samo ich wspomnienie zdawałoby się ujmą jego chwały. Dowcip jego, talenta, przymioty, stawią go w rzędzie najznakomitszych ludzi, jakiemi się ta ziemia w oczach Europy i potomności zaszczycać będzie.

Urodził się Krasicki roku 1734. W dziecinnym zaraz wieku okazywał bystrość w pojęciu, dowcip w zapytaniach, żywość i trafność w odpowiedziach. Troskliwi rodzice, widząc w dziecięciu szczęśliwy zaród talentów, starali się, przez najlepszą, jaka natenczas bydź mogła, edukacyą, zasilać je i rozwijać.

We Lwowie odbył bieg nauk szkólnych. Już wtedy wyrywał się gwałtem jego przedziwny talent. W szkólnych igraszkach widać było dowcip, który w czasie miał bydź rozkoszą narodu.

Przeznaczony do stanu duchownego, posłany był do Włoch, dla doskonalenia się w naukach stósownych do swego powołania.

Powróciwszy do ojczyzny, wszedł zaraz na wysokie swojego stanu stopnie; przeznaczony, aby wnet stanął na najwyższych. Pomagało do tego zacne pokrewieństwo, lecz nadewszystko jego własne talenta. Obrany z arcykapituły Lwowskiéj na trybunał małopolski, prezydował téj magistraturze, i tam miał sposobność poznać wszystkie obroty prawnicze, które potém tak dowcipnie i trefnie w Doświadczyńskim opisał.

Gdy się pokazał w stolicy, zadziwiał wszystkich swoim dowcipem, który jaśniejący w pięknéj ciała postaci, stał się

duszą i rozkoszą najświetniéjszych towarzystw, jakie wtenczas liczyła Warszawa. Wszystkie posiedzenia brzmiały jego pochwałami.

Tak świetne Krasickiego talenta ściągnęły uwagę króla. Stanisław August umiał je czuć i szacować. Poznał on w Krasickim człowieka, który swoim dowcipem był w stanie przyłożyć się wiele do chwały jego panowania. Starał się więc pozyskać go dla siebie, a razem zachęcić. Wyrobił mu indygienat w prowincyi Prus zachodnich, dał kanonią Warmińską, a wkrótce otrzymał koadiutoryą Warmińskiego biskupstwa. Jemu był winien Krasicki swoje prędkie wyniesienie na dostojeństwa kościelne, i sam to nieraz z uczuciem powtarzał. Jakoż w rytmach swoich nieśmiertelną pamiątkę swojéj wdzięczności zostawił.

Śmierć Grabowskiego w roku 1766, przyśpieszyła Krasickiemu objęcie Warmińskiego biskupstwa.

Zawód życia publicznego, ten zawód, w którym obywatel ze wszystkiemi talentami najświetniéj się okazuje; gdzie rozum, cnota, moc duszy, miłość ojczyzny, otwarte ma pole; gdzie staje na widoku to wszystko, co serce ludzkie najszlachetniejszego, co umysł najwynioślejszego mieć może; ten, mówię, zawód nadto był krótki dla Krasickiego. Na jednym tylko znajdował się sejmie 1768 roku. Smutna epoka upodlenia narodu w zgwałceniu jego reprezentacyi! Przejęty sprawiedliwém uczuciem oburzenia na taką obrazę majestatu narodowego, radził, aby póty zawiesić posiedzenia sejmowe, póki wzięte członki zgromadzeniu powrócone nie będą. Był to najlepszy, najskuteczniéjszy, i pełen godności środek do wstrzymania gwałtu w pierwszych jego zapędach.

Przez podział kraju 1773, z Prusami zachodniemi przeszło księstwo biskupstwo Warmińskie, pod panowanie królów Pruskich. Siedział wtenczas na tronie ów wielki monarcha, rządca, filozof, bohatyr i literat; okryty laurami zwycięztwa, głosem całéj Europy postawiony obok najsławniéjszych wodzów, który nie przestając na wysokości tronu, szukał téj, do któréj dowcip i nauki wynoszą. Utrzymywał ścisłe związki z najpierwszemi ośmnastego wieku geniuszami. Wolter, Dalembert, Diderot, Helwecyusz, byli jego przyjaciołmi. Podobnéj przyjaźni godnym osądził Krasickiego: poznał jego dowcip, powziął wysoki dla niego szacunek, i szczególnemi względami zaszczycał. Wiadome wszystkim ścisłe i poufałe obcowanie Krasickiego z Fryderykiem.

Stawszy się obcym swojéj ojczyznie, i niemogąc należeć więcéj do pełnienia obowiązków senatora, Krasicki zatopił się cały w naukach. Zaczął wydawać jedne po drugich pisma, które obróciły na niego oczy powszechności, zjednały mu chwałę szczęśliwego dowcipu, i stały się najpiękniéjszą literatury polskiéj ozdobą.

Rzućmy okiem na liczne dzieła Krasickiego: są one najdroższym upominkiem zostawionym powszechności, i składają najznaczniéjszą część historyi jego życia. Zapomni potomność, że był biskupem, arcybiskupem, książęciem, ale czytać i wielbić będzie szczęśliwego pisarza, i wielkiego poetę.

We wszystkich prawie rodzajach literatury doświadczał sił swoich Krasicki. Jeżeli nie we wszystkich jednako wygórował, wszędzie atoli dowcip niepospolity pokazał. Najwyższe jego zasługi są w poezyi.

Najpowszechniéj znane i szacowane są *Bajki* i *Przypowieści* Krasickiego. Jakie wdzięki są w jego bajkach rozlane! jak myśl szczęśliwa! jak trafne obroty! jak wyraz jego tchnie szczerością i niewinną prostotą! Trudno jest w rozbieraniu okazywać to, czego samo uczucie jest jedynym sędzią.

Nie mniejszéj są godne chwały *Satyry* Krasickiego. Naruszewicz jeden mógłby walczyć o palmę satyrycznéj poezyi z Krasickim. Pisze mocno, łaje, gromi: lecz w tym tylko celuje gatunku satyry: niema nic z téj szczypiącéj żartobliwie złośliwości, która jest tak przyjemną zaprawą satyr Horacyusza. Sam Krasicki posiadał ten rzadki przymiot, i można powiedzieć, że Satyry jego nie ustępują niczemu, co najlepszego w tym rodzaju dawna i teraźniéjsza literatura mieć może.

Gdyby Krasicki nic więcéj nie zrobił nad Satyry i Bajki, jużby stanął na czele poetów polskich. Ale co większą jeszcze, a jemu tylko właściwą stanowi chwałę, on sam ubogacił ją poematami, w ściślejszém znaczeniu wziętemi, których dotąd wcale poezya nasza nie miała: bo Wojna kozacka Twardowskiego, jest tylko historyą rozwlekłym wierszem pisaną. Ten rodzaj poezyi większéj w imaginacyi objętości, większéj rozległości geniuszu, śmielszego pędzla, wynioślejszego stylu wyciąga, a zatém większe autorowi daje prawa do chwały.

Pierwsze poema Krasickiego, i najpierwéj w porządku dzieł jego wydane, jest *Myszeis*. W *Myszeidzie* widoczne są stósunki do przywar narodowych. Spór szczurów i myszy o pierwszeństwo, wystawia kłótnie między naszym senatem i stanem rycerskim. Rada ministrów na dworze Popiela, osobliwie jéj konkluzum, wyraża pospolite obrady polskie przed sejmem 1788. W charakterach myszy różnych krain, odrysowane są charaktery różnych narodów. Biblioteka zamieniona w spiżarnią, jest szczęśliwą i stósowną fikcyą. W ca-

łém poemacie myśl trefna i zabawna. Wstępy na wzór Aryosta, z myśli moralnych. Rzucone uwagi wysokie z zastanowienia się nad rzeczami drobnemi, czynią skutek przedziwny. Obraz Filusia kotka, faworyta księżniczki Duchny, bardzo piękny: niemniéj dobrze zrobiony opis lichwiarza. Apostrofe o miłości ojczyzny stała się niejako wyrazem świętym. Niektórzy mniemali, że Myszeis jest poematem zupełnie allegoryczném: że pod imionami Gryzomira, Gryzandra, Rominagrobisa, Mruczysława, Filusia, Syrowinda, ukryte były pewne osoby. Ale próżne ich były usiłowania w znalezieniu klucza do téj allegoryi. Atoli podobna do prawdy, że poema to było w początku pisane w celu satyrycznym. Ktokolwiek wczyta się dobrze w to poema, znajdzie niejakie podobieństwa, kogo autor przez Popiela, kogo przez myszy i szczury, kogo przez koty i naczelnika ich Mruczysława, kogo przez dyzgracyowanego ministra, chciał oznaczyć.

Monachomachia, czyli Wojna mnichów, od tych nawet dzisiaj z uśmiechem czytana, których przed dwudziestą laty dotykać zdawała się. Przytoczenie jakiego miejsca z tego dzieła, nieraz w najbardziéj zasępioném towarzystwie odżywiło wesołość, i do przyjemnego śmiechu wzbudziło. Autor chcąc uspokoić rozjątrzone umysły poematem, którego niewinne żarty tylko rozśmieszyć były powinny, napisał *Antymonachomachią*. W tém drugiem poemacie, nieustępującém co do tonu i sposobu pierwszemu, (mniéj tylko akcyi mającém), opisał konfederacyą osób rozjątrzonych. W niém już głaszcząc urażonych, już wystawując nieprzyzwoitość ich zapędów, przydusił szemrania, i swoje pierwsze dzieło usprawiedliwił.

Okazawszy w Myszeidzie i Monachomachii talent do poematów komicznych, chciał go autor pokazać w materyi poważnéj, zbogacić język polski epopeją, któréj on nie miał, i napisał *Wojnę Chocimską*. Nie przeczę, iż dzieło to wspaniałego epopei nazwiska nosić nie może. Zgadzam się na liczne w nim uchybienia. Ale możnaż odmówić sprawiedliwéj chwały autorowi, że się na epopeję odważył? Ci którzy z pogardą o tém dziele mówią, nie znają, że i upadek w wielkim zamiarze, nie jest bez chwały. Jeżeli Wojna Chocimska nie jest dobrą epopeją, jest zawsze dziełem szacownem. Znajdują się w niéj miejsca przedziwne, obrazy wielkie, uczucia wysokie. Taki jest opis wojny, sejmu, śmierć Zawiszy, apostrofe do wolności, mowa Chodkiewicza. Wyraz zaś o pysze Osmana, nadętego widokiem wojsk nieprzeliczonych:

„A dumny mocą swego majestatu,
Wzniósł się nad człeka i pogroził światu "

godzien jest bydź umieszczony w liczbie tych, które Longin za przykład najwyższego wygórowania wystawia.

Prócz tych licznych dzieł oryginalnych, winniśmy Krasickiemu przełożenie znaczniejszéj części *Pieśni Ossyana*, Szkockiego Barda.

Pióro Krasickiego obfite w wierszu, niemniéj było obfite w prozie. W roku 1776 wydał *Przypadki Mikołaja Doświadczyńskiego*. W tém dziele autor wytyka pospolite wady dawnéj edukacyi: naprzód srogość w obchodzeniu się z młodym. Drugą wadę wystawia autor w braniu nieznanych cudzoziemców do prowadzenia młodzieży. JP. Damon, kamerdyner w swoim kraju, u nas udający się i uważany za hrabiego, niemający żadnéj nauki, przepisuje prawidła edukacyi, daje ton całéj okolicy, kończy swoję rolę haniebném oszukaństwem. Kabały trybunalskie, przekupstwa, wymowa mecenasów, przedziwnie wydana: jestto miejsce najlepsze w Doświadczyńskim. Dalsze jego przypadki są nadto romansowe, osobliwie rozbicie się na morzu i zapłynienie na wyspę Nipuanów. Reszta powieści Doświadczyńskiego jest w tymże samym sposobie, co jéj początek. Roboty sejmikowe, wymowa JP. Podkomorzego, kabały sejmowe wybornie opisane.

W *panu Podstolim* zamierzył sobie autor wystawić dobrego gospodarza, cnotliwego i rozsądnego człowieka, a razem wytknąć wady i przywary naszemu narodowi właściwe. We wszystkiém, co mówi i czyni pan Podstoli, widać znajomość gospodarstwa, zdania zdrowe, sentymenta obywatelskie. Osobliwie ton, tak zręcznie jest uchwycony, tak doskonale do obyczajów narodowych przystósowany, że trudno jest lepiéj Polaka wystawić. Druga część pana Podstolego, późniéj od autora wydana, nienaturalnie związana z pierwszą, ale co do tonu i stylu te same ma zalety.

W powieści pod tytułem *Historya*, dowcipna zamyka się krytyka na tego gatunku pisma. Wystawia w niéj człowieka, który niemogąc umrzeć, znalazł sposób odmłodzania się za pomocą pewnego balsamu. Ten człowiek, jako przytomny świadek, opisuje dzieje, wytyka błędy historyków, czyni uwagi nad charakterami ludzi. Myśl bardzo szczęśliwa, ale razem niezmiernéj wiadomości historyi i głębokiéj krytyki wymagająca. Powieść, o któréj tu mowa, nie była przyjęta w publiczności, jak inne dzieła autora. Znać, że mało się jeszcze znajdowało umysłów, do czytania takiego dzieła usposobionych.

Opuszczam *Zbiór potrzebnych wiadomości*. Jest to Dykcyonarz na kształt Encyklopedyi. Trudno wyciągać, aby dzieło tak obszerne mogło bydź dziełem jednego człowieka.

Zdaje się, iż po tylu i tak chwalebnych pracach uczonych, powinienby był sobie spocząć Krasicki. Nie: żywość jego dowcipu, nie mogła bydź na moment bezczynną. Zostawił on nam jeszcze rozmaite dzieła w manuskryptach, które tu wymienić powinienem, znając, jak pisma tego rzadkiego męża; są szacowne w oczach przyjaciół nauk. 1. *Bajki nowe* pisane w sposobie La Fontena, z których już kilka udzielonych było publiczności. 2. *O rymotworstwie i rymotworcach.* W tém piśmie daje krótką teoryą o poezyi w ogólności: potém w szczegółach traktuje o różnych jéj rodzajach, i przebiega poetów, którzy w różnych wiekach, narodach i językach wsławili się: przyłącza z nich wypisy, już przez siebie, już przez drugich przełożone. 3. *Życia sławnych ludzi z Plutarcha.* Nie tłumaczył autor słownie Plutarcha: wyrzucił gienealogie i inne rzeczy, które Greków tylko i Rzymian interessować mogły, ale zachował to, co charakteryzuje wielkich ludzi, to jest ich mowy i czyny. 4. *Życia sławnych ludzi na wzór Plutarcha.* W dziele tém opisywał Krasicki dzieła sławnych ludzi, nietylko swego narodu, ale i innych, tak ich dobierając, żeby jedni z drugiemi porównani bydź mogli. Nakoniec: *Rozmowy sławnych ludzi.* Wziął autor do naśladowania Lucyana, Fontenella, Monteskiusza.

Tak ten żywy i płodny dowcip, pracował do ostatniego kresu życia. Naukami słodził swoję starość, i umarł na łonie nauk, a można powiedzieć z piórem w ręku, bo na kilka dni przed śmiercią ukończył *Listy o Ogrodach*, w których jego dowcip, a szczególniéj w ostatnim, miłym blaskiem jaśnieje. Tak słońce, które cały dzień dobroczynném ciepłem ogrzewa ziemię, jeszcze i zachodząc miłym ją promykiem obdarza.

Bez nadwerężenia prawdy i poniżenia kogożkolwiek bądź, można powiedzieć, że Krasicki był najdowcipniéjszym człowiekiem, jakiego Polska za dni naszych wydała. Styl jego jasny, płynny, naturalny. Inni z pracą dokazali, że zostali autorami pięknych wierszy, Krasicki urodził się poetą. Imaginacya w nim żywa, dowcip obfity, zwroty szczęśliwe. A lubo rzadko poeci mają styl dobry w prozie, Krasickiego dzieła zapewniają mu znakomite miejsce i między temi, którzy mową niewiązaną pisali.

Ale przyjemność, ten wyraz słodki i lekki, który zdobi zdając się ukrywać, który tyle dziełom daje zalety, jest największą zaletą dzieł Krasickiego. Sama piękność zadziwia, przyjemność pociąga i obowięzuje: na tamtę lubiemy się zapatrywać, z tą obcować i żyć pragniemy. Tamta nas surowemi zostawia sędziami, ta zniewala do pobłażania: zamykamy oczy na wady, kryjemy je przed sobą. Czytając Krasickiego, widziemy w nim wiele, czegobyśmy widzieć nie chcieli; postrzegamy, że w rymowaniu czasem jest zanadto wolny, że polszczyzna nie zawsze w nim dość czysta, że w niektórych miejscach widać pośpiech i niepoprawę; tylą jednak i tak świetnemi przymiotami, a osobliwie czarującą przyjemnością te wady nagradza, że prawie czytelnikowi odbiera sposobność ich dostrzeżenia: a najsurowszy krytyk, ujęty jego słodyczą, zapomina o wadach, dziwi się dowcipowi, i pismami jego nasycić się nie może.

Tać to słodycz, ten dowcip, ta sztuka podobania się, dała mu wpływ największy na opinią swojego wieku. Niemasz w kraju tak usunionego zakąta, do któregoby jego dzieła nie doszły: niemasz człowieka, któryby umiał czytać, a nie czytał Krasickiego. On bawiąc i rozśmieszając, był najlepszym nauczycielem. Każdy stan, każdy wiek znajduje w nim oświecenie i rozrywkę.

Miała razem dwóch ludzi Polska, których dzieła lubiła czytać i porównywać, a na których, jak na dwie celne literatury swojéj ozdoby, patrzyła: Naruszewicza i Krasickiego. Pierwszy wychowany w surowéj szkole uczonego Zgromadzenia, drugi wykształcony w polerownéj szkole świata, wzięli odmienne na umysłach piętna, które na swoich pismach wycisnęli. Ztąd Naruszewicz poważny, a w samych żartach ciężki: ztąd Krasicki miły, zabawny, ujmujący. Obadwa obdarzeni świetnemi od natury talentami; lecz Naruszewicz więcéj sobie zadawał pracy, Krasicki więcéj szedł za swoim dowcipem. Naruszewicz miał więcéj głębokości, więcéj świetności Krasicki. Tamten się zapuszczał w nieprzebrnione morze erudycyi, ten biegał po uśmiechających się imaginacyi przestrzeniach. Krasicki w pierwszéj zaraz młodości nabrał dobrego smaku: Naruszewicz w początkowéj edukacyi wyczerpnął coś z szumnego stylu, który nie dawno panował w Polszcze, i nigdy się zupełnie z téj wady otrząsnąć nie mógł. Dla tego Krasicki zawsze gładki, naturalny: Naruszewicz często szumny, a czasem nadęty. Naruszewicza niezmierna z początku chwała wierszopiska, coraz zmniejszała się, a natomiast wzrastała sława jego dzieł pisanych prozą: Krasicki mimo pięknych i dowcipnych dzieł, niewiązaną mową wydanych, utrzymał celniejszy zaszczyt z poezyi. Obadwa ludzie rzadcy, wzajemnie siebie szacujący, byli ozdobą narodu, i światłem nauk polskich. Lecz Naruszewicz pójdzie do potomności, jak tłumacz Tacyta i dziejopis, Krasicki, jak poeta. Naruszewicz będzie w ręku uczonych, Krasicki w ręku wszystkich.

Oderwany od ojczyzny, chował zawsze do niéj najtkliw-

sze przywiązanie. Dla niéj pracował, dla niéj w pismach swoich chciał najlepszych usposobić obywatelów. Kochający familią i od niéj kochany, z bratem ściślejszym jeszcze od krwi węzłem, przyjaźnią złączony, dla synów jego z ojcowskiém był przywiązaniem. Nic w nim tak miłego nie wzbudzało uczucia, jak gdy widział ich z zapałem biegnących do usług ojczyzny, jak gdy słyszał piękne o nich wspomnienia. Wyniesiony na najwyższe stopnie, świetnemi ozdobiony tytuły, zaszczycony względami, a można powiedzieć, przyjaźnią i poufałością królów, daleki był od dumy, którą pospolicie w małych duszach pomyślność rodzi. Znał on się bydź wyższym nad to wszystko, i dlatego dla najniższych był grzeczny i przystępny.

Do cnót wysokich łączył Krasicki najmilsze przymioty obcowania. Trudno bydź zabawniéjszym od niego w towarzystwach: wesołość malowała się na jego twarzy, a uśmiech w jego ustach osiadł. Pełen anekdotów, obfity w dowcipne wyrazy, był rozkoszą wszystkich, którzy mieli szczęście z nim obcować. Mimo częstych słabości, którym w podeszłym wieku podlegał, wesołość humoru zachował do śmierci.

Takiemu mężowi, członkowi swemu, Towarzystwo Przyjaciół Nauk, w obecności kochających nauki współziomków, winny hołd uwielbienia oddaje.

Szanowny cieniu! przyjmij ten słaby głos, jako wyraz winnego uszanowania dla ciebie i powszechnéj wdzięczności: lecz daruj, jeżeli w obliczu oświeconych i kochających twoje dzieła spółziomków, okazując ich zalety, śmiałem oraz zastanowić się nad tém, co w zdaniu mojém względem nich powiedzieć można. Nie ustępuję nikomu w podziwieniu dla twego dowcipu, w szacunku dla pism twoich, w przywiązaniu do twojéj pamięci; ale chciałem, aby głos mój, przy jéj uczczeniu, był godny ciebie, będąc głosem prawdy. Miernych ludzi pochwały wyciągają téj ostrożności, aby mówiąc o ich zaletach, zamilczeć o wadach; bo wspomnienie tych, możeby nadwerężyło, lub zepsuło całe wrażenie, któreby na ich stronę uczynić chciano. Prawdziwy geniusz nie lęka się, aby wytknięcie plam lekkich, blask jego przyćmiło. Tego prawdziwie ugruntowana chwała, ten pewny jest nieśmiertelności, który, mimo wszystkiego, co szczerość o nim powiedzieć może, jeszcze jest wielkim.

Mowa Jana Zamojskiego

przy otwarciu założonéj przez niego akademii w Krakowie roku 1595.*)

Jestem kanclerzem, jestem najwyższym wodzem wojsk polskich; dzierżę te znakomite dostojeństwa za pomocą Najwyższego, z szczodrobliwości królów i z woli rzeczypospolitéj. Jakiemi kroki dostąpiłem godności tych, pamięć następcom zostawić należy.

Skorom się przekonał, iż nic w życiu bardziéj pożytecznem, bardziéj upragnionem nie jest, jak nauka i cnota; gdym się przeświadczył, że ni cnoty, ni sławy, bez umiejętności i nauki dostąpić nie można, cały poświęciłem się nauce. Bez nauk bowiem, acz mogą być *niektórzy* cnotliwi i światli, — gdy *lud* w ciemnocie, walą się królestwa, upadają mocarstwa, same dostojeństwa ciężarem się stają. Bez nauki, każda podjęta wyprawa, puszczona na los szczęścia, w samym popędzie zdarzeń kres swój i zgubę znajduje; bez niéj szkodliwe rady w senacie, mylne wszystkie kroki w rządzeniu; w ciemnościach pogrążone społeczeństwo oddala się od godności ludzkiéj i do trzody bydlęcéj zbliża się. To ja zważywszy, cały poświęciłem się naukom; one to w młodości były żywiołem moim, w starości słodyczą, w przeciwnościach pociechą, w toczeniu bojów, w krześle senatorskiem przewodnikiem i mistrzem, w domowem życiu zabawą, nigdy zawadą; one we dniach, w nocach, podróżach, towarzyszem najmilszym. Jeżeli więc, idąc za powabem nauk, wszelkiemi siłami dążyłem do zdrowych prawideł; jeżeli ukochanéj ojczyzny mojéj rozszerzałem sławę, wam wszystkim przynosiłem pożytki i sobie niejaką chwałę; jeżeli to czém jestem, winienem nauce, słuszna jest, abym i was zachęcał do postępowania tym torem, którym sam postępowałem.

Gdybym posiadał skarb tak bogaty, którymbym wszystkich was mógł ubogacić, ubogaciłbym; lecz gdy dobre dzieci wychowanie pożądańszem, trwalszem jest nad bogactwa, błogosławieństwa tego otwieram wam źródło w téjto założonéj akademii, w któréj synowie wasi mądrości naukę czerpać będą. Bodajby wychodzili z niéj pożyteczni Polsce obywatele!

Zważywszy co jest krajowi naszemu najbardziéj potrzebnego, ja sam oznaczę wybór nauk, pisarzy, tryb i sposób uczenia. Nienawidzę tych nauczycieli, co nieużytecznemi, spekulacyjnemi naukami młódź zaprzątają, którzy zamiast

*) Z Niemcewicza Pamiętników o staroż. Polsce. T. IV., str. 111.

prawdziwego oświecenia, zapędzają się w niezgłębione rozumem ludzkim przepaści; nie rozszerzają, ale tłumią oświatę i prawdę. Przez nich to trwoni się napróżno młody wiek uczniów, zawodzą się oczekiwania rodziców, ojczyzny.

Jak rólnik starowny nie bez wyboru rzuca w ziemię nasienie, lecz i owszém wybiera je co lepsze i najwięcéj obiecujące plonu, — tak baczny nauczyciel powierzonéj sobie młodzieży te wykłada nauki, które nie powierzchowną okrasę, lecz prawdziwą mądrość, cnotliwe prawidła, powinność szukania w pomyślności tylko rzeczypospolitéj dobra własnego, w młodych umysłach na resztę życia zaszczepia.

Ty zaś, akademio zamojska, córo moja luba, ty równo dzielisz miłość mą z synem moim Tomaszem; z równém staraniem jego i twoje początki pielęgnować ja będę. Ciebie postanowiłem młodości jego przewodnikiem; tobie pieczę nad plemieniem mojém powierzam. Znane mi są twoja nauka, twoje cnoty; nie opuszczaj miejsca tego i owszem trzymaj się bogów sprzyjających miejscu temu; tu, nic odstępując moich następców, używać będziesz tego, com ci przeznaczył z nabytego uczciwie majątku. Przykazałem im bowiem i najświętszą zobowiązałem przysięgą, aby ci zawsze przychylnymi byli. Lubo zwykle bywa, iż późniejsze czasy trudniejszemi są od zeszłych, ty jednak nie doznasz ubóstwa: bo jeźli kiedy w potrzebie znajdować się będziesz, idź do skarbu mego, i bierz co twego. Rozkazałem wnukom moim i tym, co się z nich rodzić będą, abyś zawsze zostawała w używaniu tego, co ci raz przezemnie danem było. Prosiłem ich, aby z własnych dochodów tobie nie żałowali, aby cię w potrzebie nie opuszczali. Znałem ja, jak zgromadzenia uczone w żądaniach swoich, często z własną swą szkodą, są skromne; przeto tyle, ile mi możność dozwoliła, stałem ci się ojcem. Bądź ty ukochanéj méj ojczyzny podporą!

Wezwany od Salomona Hiram, rodem z Tyru, jak pismo ś. świadczy, postawił w przysionku kościoła jerozolimskiego dwie spiżowe kolumny, z których prawą *Jachin**), a lewą *Booz***) nazwał, i obie podobną do Silgi†) ozdobą uwieńczył. Pierwszą (Jachin) jest w królestwie naszem akademia krakowska, podpora kościoła i rzeczypospolitéj; jéj bowiem upadek (czego niech nieba strzegą) przyniósłby praw i wolności naszych zgubę. Drugą podporą (czyli *Booz*) chcę, abyś ty była, akademio moja! Gdy obiedwie cnotą

*) Jachin, utwierdzenie (umocnił ją Bóg).

**) Booz, moc, siła. (w Bogu jest moc).

†) Silgi, kapitelarz na słupach, kształtu *białéj* lilii, z ozdobami; dla wyrażenia: trwałéj czystości i woni.

skojarzone będziecie, któż przeciwko wam odważy się powstać? Któż się odważy targać wasze zaszczyty? Obiedwie was, od wschodu do zachodu, wieńce chwały zdobić będą. Obiedwie wydając obywateli znakomitych nauką i cnotą, ileż przyczynicie się do dobra, do chwały wspólnéj nam i miłéj ojczyzny! Obyście w najdalsze pokolenia na zawsze słynęły!

B.

Mowy sądowe.

Mowa Ludwika Osińskiego.

Miana na obronę Pułkownika Siemianowskiego, który nieszczęśliwym przypadkiem, dnia 3. Grudnia 1809 roku dowodząc z konia pułkowi swemu, w czasie parady na Krakowskiém przedmieściu w Warszawie, śmiertelnie ugodził szpadą żołnierza, Pawła Orczykowskiego.

(Str. 452.)

Sędziowie!

Tak są liczne i prawie codzienne w życiu człowieka nieprzewidziane zdarzenia, ślepym kierowane losem, iż mnie samemu, żadnym obowiązkiem do urzędowych sądowniczych rozpraw nie powołanemu, w krótkim czasu przeciągu, powtórnie już stawać przychodzi w obronie takiego czynu, do którego wola i rozmyślność działającego ani wpływała, a wpływać mogła.

Chlubne jest dla mnie zaufanie przytomnego tu pułkownika Siemianowskiego, oddającego mi swojéj niewinności obronę: bo śmiem sobie pochlebiać, że ani on chciałby rzeczy niesłusznych żądać odemnie; ani ja, bez wewnętrznego przeświadczenia, odważyłbym się stanąć przed wami.

Nie zastrasza bynajmniéj ani obrońcy, ani bronionego, ta księga praw, w ręku waszych, dostojni sędziowie, złożona. Karze ona zbrodnie, lecz nie przypadkowe nieszczęścia. I kiedy los dziwaczny rzuca na nieszczęśliwego smutne pozory winy, kiedy częstokroć spokojne sumienie cierpieć musi od prześladującéj opinii, ta jeszcze pozostaje ucieczka; ta nieprzełomna tarcza, aby w téj świątyni sprawiedliwości, nietylko obawę kary oddalić, ale całą pociechę nieskażonego honoru, w głośném usprawiedliwieniu odzyskać.

Słyszeliście dopiero, najszanowniéjsi sędziowie, czytane przez Kapitana raportera wszystkie wywody słowne, wszystkie śledzenia ze strony rządu i prawa, całą relacyą sprawy, cały stan rzeczy. Jest to jedyny akt oskarzenia w imieniu sprawiedliwości, przeciw W. pułkownikowi Siemianowskiemu. Obrońca jego żądać będzie cierpliwości wysokiego sądu, gdy z obowiązku swego, cały ten nieszczęśliwy przypadek, we wszystkich szczegółach opowiedzieć musi. Szczególną to jest cechą, niewinności właściwą, że broniący się, ani potrzebuje, ani chce w opowiedzeniu czynu, różnić się od

tego, co przed nim rzecz sama, akta, prawo i prawda powiadały.

Dnia 3. Grudnia roku zeszłego 1809, pułk drugi piechoty francuzko-galicyjskiéj, pod dowództwem swego pułkownika W. Euzebiego Siemianowskiego, wykomenderowany został dla uczczenia miłéj sercu Polaka uroczystości, koronacyi cesarza Francuzów. Wtenże sam dzień, około południa (czas bowiem i miejsce nie jest w żadnym z wywodów słownych z należytą dokładnością oznaczone) na Krakowskiem przedmieściu, gdy dla przedłużenia linii z trzech szeregów dwa formowano, — żołnierz z tegoż pułku, z batalionu drugiego kompanii pierwszéj fizylierów nazwiskiem Paweł Orczykowski, nie znający dobrze mustry, zamiast z trzeciego szeregu wstąpić w drugi, wyszedł przed front, i od nadjeżdżającego na niespokojnym koniu pułkownika, przypadkiem szpadą ugodzony został. — Po zadanym razie rychła śmierć nastąpiła.

Oto jest wszystko, co żadnym nie podpada sporom, na co się wszystkie zeznania świadków zgadzają; co W. pułkownik Siemianowski, pierwszy samego siebie oskarzyciel, nazajutrz w raporcie swoim doniósł JW. jenerałowi brygady Krasińskiemu.

Szczupłe to pismo świadectwem jest takiego postąpienia, jakie z sercem człowieka uczciwego jest zgodne. Sam się oskarza Siemianowski; jest to krok honoru: wspomina przypadkowe zdarzenie; jest to głos prawdy, gdy następne badania nic innego okazać nie mogły. Mówi, iż *śmiertelnie szpadą ugodził;* jest to wyraz tkliwości ulegającéj najprzykrzejszemu losowi, chętnie siebie obwiniającéj, i ówczesny skutek, ówczesnéj przyczynie przypisującéj. Zobaczymy jednak, idąc krok w krok za światłem prawdy, czy to wyznanie pułkownika popartém będzie potrzebnemi dowodami, czy skutek przez tę a nie inną przyczynę zdziałany został.

Przytoczywszy mówca z księgi praw przepisy wskazujące koléj postępowania sądowego, daléj tak mówi:

Sędziowie! na tych ja niewzruszonych prawach opierać będę obronę moję, do tych się najuroczyściéj odwołuję; bo na tych zasadach gruntować się powinno przekonanie sądzących i sądzonego: a gdy ze wszystkich śladów mądrości waszéj podanych okażę, iż śmierć Orczykowskiego była skutkiem samego przypadku, — okażę jeszcze, jak wiele uszkodzić mogły niewinność pułkownika Siemianowskiego, opuszczone istotne praw dopiero rzeczonych przepisy.

Rzecz się stała wśród dnia, nie w ciemnościach; na miejscu publiczném, nie w ustroniu: w czasie parady, nie między dwoma; w stolicy, nie na jakiém ubocznem stanowisku;

patrzeć mógł na to zdarzenie cały pułk, cała Warszawa: godzina nie upłynęła, a już o tém po tylu domach wiedziano! — przecież, rzecz dziwna! w trzydzieści prawie godzin dopiero pierwsze śledztwo rozpoczętém zostało.

Idąc tą samą drogą, jaką postępowano w téj sprawie, zacznijmy od świadectw. Wezwani do nich zostali oficerowie, podoficerowie i żołnierze najbliżsi zdarzenia. Nic przeciw nim nie zarzuca obwiniający się pułkownik: śmiało oddaje się prawdzie, która w czynie tak jawnym, nie może celu swego uchybić.

Chęć popełnienia rozmyślnie tak publicznego zabójstwa poprzedziłby musiała ważna jaka przyczyna, obraza ze strony zabitego, gwałtowne uniesienie, nadzwyczajna zapalczywość ze strony zabójcy. Znani zapewne są W. pułkownikowi Siemianowskiemu, jako dobremu dowódzcy, wszyscy jego pułku żołnierze; lecz zmarły Orczykowski, niedawno z lazaretu wyszły, zaledwie mógł bydź od niego przed tém nieszczęśliwém zdarzeniem widziany. Jeżeliby można (pomijając wszelkie podobieństwo do prawdy), przypuścić jaki rodzaj zemsty pułkownika przeciw żołnierzowi, — do spełnienia jéj, nie ten był zapewne czas, nie to miejsce, nie śmierć nareszcie..... Lecz niemasz i bydź nie może żadnego poprzedniczego powodu, w stosunkach dwóch osób, na które w owym dniu padł los tak nieszczęsny.

Jedna omyłka żołnierza miałażby do takiego kroku przywieść dowódzcę!.... Przeglądam ściśle wszystkie zeznania świadków: gdyby téż jedno słowo w gniewie wyrzeczone, gdyby najmniejszy ślad zapału, a dopieroż tak wyuzdanéj srogości! „*Gdzie ty idziesz?*“ mówił do Orczykowskiego tonem zwyczajnym komendantowi przywykłemu kierować obrotami swego regimentu, ale nie tonem mającym poprzedzić morderstwo.

Gdyby omyłka żołnierza mogła w czyjejkolwiek myśli bydź dostatecznym powodem do przebicia szpadą, czemuż to nie nastąpiło natychmiast? Zeznali przecież świadkowie, że pułkownik naprzód powszechnym zwyczajem dotknął kaszkietu żołnierza, wskazywał mu miejsce, w które miał wstąpić; Orczykowski w zmieszaniu, może w przestrachu, a niewątpliwie w osłabieniu sił fizycznych, wpadł ustami na tę samę szpadę, bynajmniéj na zabicie jego nie wymierzoną. A tu, komu nie staną na uwadze tysiączne przypadki, które ludzkość tak często opłakuje, któremi napełnione są dzieje ledwie nie każdéj familii, których poniewolni sprawcy, naznaczeni jakiemsiś piętném nieszczęścia, tém godniejszemi się stają naszéj litości; naszéj, co na podobne zdarzenia codziennie wystawieni jesteśmy!

Jaśnie Wielmożni Panowie! Żaden z najbliższych widzów nie zeznał, iżby raz przez W. pułkownika Siemianowskiego zadany, był skutkiem woli jego; żaden z świadczących nie zeznał, iżby pułkownik w owém trafem uderzeniu, bądź wprzód, bądź w saméj akcyi, bądź po niéj, twarzą, słowem, ręką, przyskoczeniem, wyciągnieniem się, popchnięciem, okazał jakikolwiek cień przynajmniéj rozmyślnego ciosu; wszyscy owszem, ci nawet, których świadectwa na pierwszy rzut oka mogłyby się zdawać szkodliwemi, wszyscy mówię, bez wyjątku, na to się jednomyślnie zgadzają, iż cała ta smutna przygoda, trafem jedynie zrządzona została, trafem, równie dla żołnierza, jak dla pułkownika fatalnym.

Następują zeznania świadków, które okazawszy mówca fałszywe, szuka prawdy w zeznaniu obwinionego.

Szukajmy z najsurowszą bacznością śladów prawdy w samychże słowach W. Siemianowskiego: *gdzie ty idziesz!* oto wszystko co wyrzekł przed fatalném zdarzeniem; *ha źle! niech leży! podłożcie mu kaszkiet pod głowę; nie trzeba go ruszać!* oto wszystko, co pułkownikowi po zdarzeniu, tkliwość, wspólność nieszczęścia, przerażenie podyktowało... co mu niepewność jeszcze tak okropnego skutku podyktować mogła. Gdzież owe słowa z powietrza chwytane, iż do któregoś z oficerów wymówił: *i tobie tak będzie?* gdzie mordercze przechwalanie się z popełnionego zabójstwa? Nie znali Siemianowskiego ci, którzy urojone powieści roznosić mogli; co mówię? nie znali Siemianowskiego!... nie znali narodowego żołnierza, nie znali charakteru Polaka.

Nie sądowi, którego mądrość wszystkie te okoliczności zważyła przedemną, lecz publicznemu rzeczy wyjaśnieniu, nieskażonemu honorowi pułkownika, winien byłem to wyłuszczenie najdrobniéjszych szczegółów, które okazują dowodnie, iż śmierć Pawła Orczykowskiego była dziełem przypadku. Przybywają tu na poparcie prawdy wszystkie inne względy, na które tylko zwrócić mogę uwagę moję. Jednomyślnie są zeznania: *iż koń pułkownika już w poprzedzającym plutonie unosił go, że był niespokojny, rzucał się i wspinał w czasie samego zdarzenia.* Koń ten nie był jego własnym, a sam właściciel konia W. major Skalski, zaświadcza jego naturalną, doświadczoną niespokojność i narowność.

Pułkownik Siemianowski jechał wzdłuż frontu, *od lewego ku prawemu skrzydłu.* W tym kierunku, szpada jego prawą ręką trzymana musiała bydź naturalnie blizką żołnierzy; a zatém wszelkie nadzwyczajne wysunięcie się któregokolwiek z szeregu, mogło bydź powodem smutnego przypadku. Pułkownik musiał mieć dobytą szpadę w ręku, tą musiał swoich podkomendnych kierować, tą wskazywać obroty wojskowe.

Któż w takim razie, zajęty chwalebną gorliwością, oddany zupełnie najdokładniéjszemu skutkowi parady, w obrocie nagłym, kto mówię miałby o tém raczéj pamiętać, że jego szpada skaleczy kogo? Kto mógł przewidywać, że jeden z żołnierzy, *z trzeciego szeregu*, straciwszy zupełnie porządek, *zamiast wstąpienia w drugi szereg*, wysunie się na front i samochcąc prawie rzuci się na ostrze żelaza? W czyjéj mocy jest przewidzieć zdarzenie, lub ustrzedz się nieprzewidzianego? Jeżeli nieprzytomność przyłożyć się mogła jakożkolwiek do tego trafu; ta nieprzytomność jest na stronie zmarłego. Pułkownik wykonywał swoję powinność. Gdyby chciał był przebić Orczykowskiego, szukałby miejsca w piersiach jego, nie w ustach. Ręka wprawiona uderzać nieprzyjaciół ojczyzny, wie gdzie sięgać po życie człowieka.

Ale takie właśnie konieczne było zrządzenie. Szpada osoby siedzącéj na koniu horyzontalnie trzymana, przypada zwyczajnie w prost twarzy człowieka stojącego na ziemi. Orczykowski w zmieszaniu, zwracając się tu i owdzie, wpadł właśnie ustami na raz, który był śmierci jego i téj całéj sprawy przyczyną. Przydajmy do tego nagłość obrotu, przydajmy niespokojność rzucającego się konia a zdarzenie to przestanie nawet bydź dziwném; policzone będzie między tysiączne i nieuchronne przypadki towarzyszące dość zwykle obrotom wojennym. Gdzie szpady, bagnety, strzelby w ustawiczném a koniecznem są działaniu, tam częstokroć równie przypadkowi przypisać należy złe, które się stanie, jak to, że się nie stało.

Gdy zaś to nieszczęśliwe zdarzenie żadnemu już, co do mimowolności zaprzeczeniu nie podpada, dozwolcie najszanowniejsi sędziowie! zapytać się, jakie doświadczenie, jaka nauka, naznaczyć mogą granice; dopóki, do jakiego stopnia los jest losem, przypadek przypadkiem? O smutna ciemności! która przed najbystrzejszém okiem badacza tak troskliwie ukrywasz dziwne trafu zrządzenia! Jakże wątpliwym jest jeden połysk słabego światła, gdy idzie o docieczenie prawdy, która ma bydź tak jasną jak słońce!

Następują dowody wyciągnione z obdukcyi, a gdy i te mówca okazał niedostatecznemi, w dalszéj mowie tak broni oskarżonego.

Najwyższy sądzie! kiedy nic przeciw obwinionemu nie jest bez tak ważnych zarzutów, kiedy całe przekonanie jest za nim; wtenczas dzieło przypadku ma prawo domagać się głośnego oczyszczenia, aby na mężu cnotliwym, na żołnierzu godnym zawsze swego chlubnego powołania, żaden cień nie pozostał.

Wszelkie śledzenia nic tu więcéj dowieść nie mogły, jak to, co W. pułkownik Siemianowski pierwszy oznajmił wła-

dzy swojéj zwierzchniczéj. Jest już w tém pewny rodzaj dla niego pociechy i chluby, gdy słowa jego przeciwnemi dowodami nie zostały zniszczone.

Rozkaz dzienny JW. jenerała Dywizyi Dąbrowskiego, oddając szalę sprawiedliwości w ręce wysokiego sądu, nie odmówił publicznego świadectwa nieskażonéj sławie i znanym w całém wojsku zasługom Siemianowskiego, a czyniąc co był powinien dla prawa, oddał razem sprawiedliwość obwiniającemu się, tkliwém wspomnieniem mimowolnego przypadku.

Głos swiadków w ostatecznem ich sprawdzeniu, nie był wcale różnym od tegoż przekonania.

Głos całego pułku uczcił w nieszczęściu swego dowódzcę, składając u najwyższéj władzy pełne czułości prośby, o jak najspieszniejsze przywrócenie wodza żołnierzom, ojca dzieciom. Podania te wszystkich kompanii całéj publiczności wiadome, złożone są zapewne przed sprawiedliwym sądem; świadczą one, czy W. pułkownik tyranem był swoich żołnierzy, czy ojcem?

Głos publiczności!... gdy o tém mówić zaczynam, stawa mi żywéj pamięci najdotkliwsza czułość bronionego przezemnie żołnierza, obywatela, Polaka. Ileż razy mówił on do mnie z tą mocą z gruntu cnotliwéj duszy pochodzącą: „Obrona moja jest w sumieniu, Bogu i sądzie. Niewinny w oczach własnych nie lękałbym się śmierci; żołnierz jest z nią oswojony; ale cięższéj nad śmierć lękam się utraty, którąby honorowi mojemu uwłaczać mogła... Głosy ludzi! zdania niewiadomych! opinia publiczna!“ — Łzy nie uniżające charakteru żołnierza przerywały słowa jego.

Opinia publiczna! jeżeli głos pewnéj liczby tak nazwać można. Te same akta zeznań ludzi prostych i otwartych, noszą na sobie prawdziwe oznaczenie téj opinii publicznéj. Gdy jeden z świadków w drugiem zeznaniu odwołał to, co wprzód mylnie powiedział, przytoczył najważniejszą i z natury ludzkiéj wynikającą swego odwołania przyczynę. „*Opowiadałem*, mówi, *com słyszał, nie com widział; słyszałem zaś to, co ludzie różni różnie mówili, wszyscy przejęci smutnym losem bliźniego.*“ Tak jest zapewne, prędszą odbiera litość ten, co wspólnym przypadku ulega, niż ten, co pozostaje. Śmierć zwraca na siebie całą uwagę, i w tém uczuciu często wstręt staje się udziałem niewinnego, na którego łatwo rzucić można pozory; lecz po momentalném uniesieniu, przychodzi koléj na sprawiedliwość, a ta błędne mniemania umie zwracać na tór słuszności i prawdy.

Zdania publiczne tego jedynie dnia oczekiwały, któryby rzecz całą wyjaśniając, utwierdził niewinność, zniósł mniemane przestępstwo, ustalił opinią. Do was to należy, wielowładni sędziowie! Jak straszném jest to urzędowanie w karaniu zbrodni, tak słodkiem w podźwignieniu niewinności.

Były głosy..... pozwól prześwietny sądzie! abym w mowie mojéj objął i to co przed twój szanowny trybunał przychodzićby nie powinno; lecz gdzież śmieléj do publiczności odezwać się mogę, jak w tém miejscu prawdy, pod zasłoną twojéj powagi? Były głosy: „już to niepierwsze zabójstwo, już to wielu z téjże ręki podobną padło ofiarą“ ależ to były głosy tylko; czynów nie było.

Twierdzenie to ostatnie udowodnia mówca historyą życia oskarzonego, i tak kończy obronę.

Sądzie prześwietny! głośnego oczyszczenie żądamy! Nie dla czego innego oskarżał się pułkownik Siemianowski, jak tylko dla tego, aby wszelki pozór winy oddalił od siebie.

Ten sam sąd najwyższy, dał już dowód, jak nie umie zważać na stopnie i rangi. Z ręki żołnierza prostego zginął oficer; gdy rozmyślność nie mogła się okazać, gdy owszem wszystko przekonywało o przypadkowém zdarzeniu, żołnierz został wolnym. Siemianowski chętnieby tu oddał życie swoje, jeżeli przykładów potrzeba, lecz oddałby je wtenczas, gdyby honor jego mógł bydź ocalonym. —

Cóż mi pozostaje? Czy szukać jeszcze sprężyn słabéj wymowy? Tu prawda mówi, a ta jest zawsze wymowną! — Czy zwracać uwagę na stan nieszczęśliwego? któż go nie czuje? Cóż dobitniéj mówić zdoła, jak ten sam wiek w stanie wojskowym zestarzały, te chwalebne blizny, te znaki honoru, świadki, że Siemianowski honoru tylko szedł drogą, honoru żąda;... i otrzyma go wyrokiem waszym, otrzyma pod zasłoną tych praw, których mądrości los swój oddaje. A ja? uczyniłżem zadosyć świętéj powinności mojéj? Wydołałemże oddać całą moc przekonania, które głęboko w duszy mojéj jest utwierdzone?..... Panowie! sądzcie! krótka już tylko chwila pozostaje, do usprawiedliwienia Siemianowskiego.

Mowa Stanisława Czarnkowskiego.

W sprawie księżny Ostrogskiéj Biety z książęciem Dymitrem Sieńguszkiem, i Wasilem książęciem Ostrogskim o najechanie Ostroga i wzięcie księżny Ostrogskiéj, miana w sądach zadwornych JKMości w Knyszynie naówczas odprawujących się.

Przez Łukasza Górnickiego.

(Str. 443.)

Nie tuszę, Najjaśniejszy a Miłościwy Królu, iżbyś WKMość, Pan sprawiedliwości przychylny, dziwować się temu miał, iż

ja, nie będąc biegłym w prawie, a nietylko nie fołdrując nigdy na nikogo, ale ani u sądu słowa należnego ku prawu mówiąc, w tym żalu, który potkał księżnę JMość Ostrogską, przy niéj stoję, i na księcia Dymitra Sienguszka skargę kładę. Wszakoż jeśliby tu kto był, komuby to w podziw było, ten gdy obaczy, co się księżnie JMości od księcia Dymitra, abo nie księżnie JMości tylko, ale wszystkiéj w obec Koronie, Prawu pospolitemu, Zwierzchności WKMości stało, nietylko dziwować się przestanie, ale zemną pospołu stanie ku obżałowaniu tak szkaradnego Sieńguszkowego uczynku. A zwłaszcza, iż krzywda księżny JMości nie potrzebuje mądrych wywodów, wymownych ludzi, subtelnych ku okazaniu prawdy słów: (rzeczy są jasne, rozgłoszone, niewątpliwe) ale potrzebuje, iżby ludzie w cudzém nieszczęściu, na swe nieszczęście pomnieli, a radniéj się poczuli w bliźniego swego przygodzie, niżby się swojéj doczekać mieli. Ja wolałbym, zaprawdę, Najjaśniejszy a Miłościwy Królu, pierwszy początek mowy méj u prawa, od obrony człowieka, jakiego niewinnego począć: bo to nie jest przyrodzenie moje, pragnąć czyjego obelżenia, szkody, abo kłopotu; ale iż mię ciśnie do tego powinność człowieka poczciwego, sumienie, Bóg, abym przy sprawiedliwości stał, a onéj i najnędzniéjszemu człowiekowi pomagał, wziąciem na się musiał ten ciężar, przeciwko księciu Dymitrowi mówić, i księżnie JMości wszem ludziom zacnością domu, i uczciwém życiem zaleconéj pani, sprawiedliwości dopomagać. A w tém przedsięwzięciu mojém, to mi dobrą myśl czyni, iż ta, która się zda być skarga, rychléj obroną, niż skargą zwana być może. Abowiem mówiąc ja za księżną JMością, bronię prawa pospolitego, bronię pokoju, bronię cnoty, bronię poczciwości i wstydu białychgłów poczciwych. A kto mi kolwiek tego pomagać zechce, ten pospołu zemną na jednego skargę kłaść, a wszystkich bronić będzie, co bez wielkiéj odpłaty od Boga, chwały od ludzi poczciwych, być nie może.

I nie jest dziw żaden, Miłościwy Królu, iż książe Dymitr tu przed WKMością do prawa nie stanął. Abowiem: a jakoby on mógł podnieść bezpiecznie oczy swe na majestat WKMości, który tak lekko poważył? Jakoby mógł tu u tego prawa stanąć, przeciwko któremu tak zuchwale i szkaradnie wystąpił? To u mnie dziw będzie, jeźli się kto w tym orszaku uczciwych ludzi najdzie, któryby go bronić chciał. Co jeźli za złością ludzką przyjdzie, tedy takowy człowiek nie to pokaże ludziom po sobie, iż Dymitra miłuje, ale to pokaże, iż jest nieprzyjacielem cnocie, uczciwości, wolności, prawu, swobodzie, Bogu i ludziom! Wtenczas, gdy się kto taki obierze, kto za Dymitrem mówić, i jego nieprzystojnego uczynku bronić będzie, ja doznam, iż to prawda jest, co zdawna o Polsce powiadają, jako niemasz tak szkaradnego na świecie grzechu, na któryby w niéj obrońcy nie dostał.

Ale ja nie tuszę, Najjaśniejszy a Miłościwy Królu, iżbyś WKMość obostrzony, nie gniewem, ale nieprawością księcia Dymitra, miał dać miejsce wywodom jakim wykrętnym, któreby Dymitra czyniły prawym, a niewinnym. Więcéj u WKMości będzie ważyła prawda, niż chytre słowa; więcéj prawo, sprawiedliwość, niż miłosierdzie. Które, by téż Waszą KM. najbardziéj ruszyło, a jako go WKMość nad tym użyć masz, który okrucieństwa użył nad tymi, którzy miłosierdzia byli godni? Jako WKM. baczenie masz mieć na tego, który baczenia nie miał na sprawiedliwość, na prawo pospolite, na zwierzchność WKMości, na uczciwość powinną żeńskiéj płci, na Boga i srogi sąd jego? Pewni są tego ludzie, iż WKMość Dymitra skarzesz: lecz tego nie wiedzą, najdzieli się kaźń taka nań, jaką uczynek jego niezwykły, szkaradny, a nieprzystojny zadziałał? Najdzie się podobno człowiek jaki, (gdyż złości wszędy pełno) który WKMości miękczyć będzie: którego człowieka nie będziesz WKMość słuchał, ani skłonisz ucha swego na słowa jego, pomniąc na sąd sprawiedliwy Boży, na którym WKMość z temi, które teraz sądzisz, stanąć masz: a przed którym nie wymówisz się WKMość, że książe Dymitr był godny żołnierz, wiódł za sobą silny tłum ludzi, godzien był łaski. Nie kazał Bóg braku mieć w téj mierze, ani go téż WKMość, pewienem tego, patrzyć będziesz; ale to, co się powiedziało, rzekło się dla tego, aby nikt WKMości za złe nie miał, gdy, WKMość ostréj sprawiedliwości, pomniąc na sąd Boży, przeciwko księciu Dymitrowi użyjesz. O którym, jeźli ja nie wszystkiego WKMości wypowiedzieć będę mógł, proszę, iżbyś WKMość za złe mieć nie raczył. — Abowiem są drugie rzeczy o księciu Dymitrze, które uczciwie powiedziane być nie mogą, a mnie nietylko świętym uszom WKMości, ale poczciwym ustom moim folgować przystoi. Niechajże to książe Dymitr ma odemnie za jeden wielki dar, iż niewstydliwych jego uczynków nie wspomnę, i to tylko powiem, co mnie zlecono i mojéj wierze.

Książe *Ilia*, Najjaśniejszy a Miłościwy Królu, miał za to, iż i nań, i na potomstwo jego, nietylko WKMość, któremu on całą wiarą i sercem służył, ale i wszyscy poddani WKMości, dla których on wiele krwie swéj rozlał, mieli mieć baczenie. Rozumiał to, iż jeźli nie dla innych, dawnych przodków jego pożytecznych usług téj rzeczypospolitéj, tedy dla samego ojca, onego sławnego Konstantego, który 30 bi-

tew wygrał przodkom WKMości, miał to wżdy odzierżeć u narodu swego, iżby i majętność jego cała od nieprzyjaciół, i potomstwo jego, przy swobodzie, przy wolności, przy bezpieczeństwie po nim zostało. Dla któréj nadziei swéj utwierdzenia, z dworu ś. p. ojca WKMości pannę, księżnę JMość zacnego Kościeleckiego córkę, wziął sobie za żonę, z którego małżeństwa, za łaską i miłosierdziem Bożym, jedyną tylko tę pociechę córkę odniósł, i podobno gdzieby to był wiedział, iż ona w tak okrutne ręce, z hańbą i z lekkością dostać się miała, wolałby jéj był nigdy nie mieć. Książe Ilia mając jedyną córkę, ozdobioną temi przymioty, które chwalą ludzie, miłując onę znać bardziéj niż zdrowie swoje, dał jéj takie wychowanie, jakie książęcego wysokiego stanu pannie dać przystało; nie litując w tym ani kosztu, ani starania największego swego, iżby ona podobną matce swojéj, zostawszy, tę pociechę ojcu przyniosła, któraby największa z jedynéj córki a ostatniéj nadziei urość mogła. Dla któréj saméj przyczyny, chociaż wiele zacnych książąt, siła wysokiego stanu ludzi możnych, wziętych, bogatych, starało się o księżnę JMość w małżeństwo sobie, jeszcze przedtém, niż zupełnych lat dorosła, przecie książe JMość leniwie w tém a nie skorze, postąpić chciał: przypatrując się wszystkiemu, aby między wielą rzeczy dobrych, to samo dobre obrał, nad któreby już nic nie było lepszego, jako on rozumiał za najlepszy i najkosztowniejszy skarb, jedyne dziecię swoje. Hej niestetyż! Książe Ilia, nie dobrześ umiał uznać, co tobie, i co twojéj córce było lepszego! *Ale przeszłych rzeczy żałować możem, poprawić nie możem.* Miłość wielka ojcowska, ta nie dopuściła, iżby był za żywota książę JMość obrał towarzysza córce swojéj. W czém, iż (jako teraz padło) nie dobrze się baczył, naprawić to chciał opiekunem takim, który się wszystkiemi sierotami opiekać powinien, to jest WKMością naszym MPanem, któremu w moc i władzą córkę swoję ze wszystką majętnością poruczył. I to były ostatnie słowa jego umierając: „miła córko, miasto mnie własnego ojca, danego od Boga, ojca króla JMości będziesz miała. To rzekłszy i zapłakawszy umarł.

Po śmierci książęcia Ilii, miała księżna JMość od wielu zacnych książąt niejedno z państw WKMości, ale téż i postronnych narodów, listy, poselstwa, obietnice hojne; pokazywały się księżnie JMości takie kondycye, najdowały się takie stanowienia, iż księżna JMość i sobie, i córce swéj lepiéj już żądać i pragnąć nie mogła. Ale pomniąc na to, iżeś WKMość pierwszym, abo rzekę lepiéj, samym jednym opiekunem jest córki jéj, o któréj rozumiała, iż nikt lepiéj nad WKMość radzić nie mógł, puszczała wszystko księżna

JMość mimo się, a na WKMość ze wszystkiém się odzywała. Co gdy przez czas nie mały trwało, gdy ci, którzy w téj rzeczy do księżny JMości słali, ludzie wielcy, możni, zacni, bogaci, przyjąwszy za wdzięczne prawdziwą i przystojną umowę księżny JMości, przedsięwzięcia swego zaniechali, — nalazł się poddany WKMości daleko tamtym, którzy prosili, nierówny, który zwyczaju pospolitego nie zachowawszy, prawo pospolite podeptawszy, Boga zapomniawszy, zwierzchność WKMości z siebie zrzuciwszy, córkę księżny JMości, poddaną WKMości, sierotę w opiekę WKM. podaną, wziął gwałtem, i takie nad nią uczynił okrucieństwo, jakiego nie uczyniłby poganin, gdyby ją wziął w niewolę! — Co jako się stało, proszę, iżbyś WKMość słuchać raczył.

Przed rokiem pisał książe Dymitr do księżny JMości szerokiemi słowy, prosząc o córkę, dom swój wywyższając, pokazując się jéj dobrze godnym, powoleństwo swoje obiecując, a jedwabnemi słowy chęć księżnéj JMości (jako w téj mierze bywa) do siebie garnąc. Księżna JMość krótkiemi słowy podziękowawszy, i tę chwałę, którą on sam sobie przywłaszczał, jemu przyznawszy (jako natenczas inaczéj się nie godziło) tę odpowiedź naostatku dała, którą innym dawać była zwykła: to jest, iż ona córką swoją nie władnie, ale WKMość pan jéj, opiekun i ojciec. Jako potém księżnie JMości zdano sprawę, niewdzięcznie przyjął odpowiedzi téj książe Dymitr. Rychło potém do księżny JMości wskazał, jako u niéj chciał być gościem, i dzień pewny naznaczył. Księżna JMość, mając za to, iż to, co inni cnotliwi ludzie uczynili, książe Dymitr téż uczynić miał, puściwszy mimo się za taką odpowiedzią ono o pannę staranie, wskazała, iż księciu Dymitrowi w domu swym chciała być rada. Kiedy z ochotą wielką księżna JMość w dzień naznaczony czekała gościa, obaczono z zamku, ano wielki orszak ludzi, nakształt wojska, pędem idzie; i wnet tak blisko podbieżał, iż osobę księcia JMości Wasila Ostrogskiego poznano. Księżna JMość po postępkach takich, i po gościu tym wtórym, nad nadzieję swoję, obaczywszy co innego niż przyjaźń, kazała wnet zamykać zamek. Ale niż się temu rozkazaniu dosyć stało (jako pospolicie u wdów sługy, ani posłuszni, ani pospieszni) wpadli ludzie księcia Dymitra w zamek, z ludźmi księcia Wasila, i z trzaskiem kilka osób w bramie ubiwszy, wszystkiemu wojsku wolne i przestronne wejście sprawili. Które to wojsko weszło w zamek, nie jako w ten, który jest pod zwierzchnością WKMości, nie jako w ten, który jest uprzywilejowany, mimo inne sposoby, i wolności szlacheckie; nie jako w ten, który z tegoż się prawa

weselił, które nas bezpieczne czyni w domach naszych; ale jako w największego nieprzyjaciela Korony téj, a morderza krwie polskiéj wjechali hurmem, z krzykiem, z strzelbą, nie żywiąc nikogo tego, kogo potkali, abo zgonić mogli: prosto jako gdy szturmem trzecim, abo czwartym zamek kto weźmie, gdzie się więc każdy brata, towarzysza, przyjaciela swego krwie, sierdzistém sercem pomścić, a zmarłéj duszy tę posługę ostatnią uczynić chce. Takie tam było wejście w zamek; taki początek księcia Dymitra do przyjaźni księżny JMości! A gdy już na krwi niewinnych ludzi stępili kozacy szable swoje; gdy nienasyceni okrucieństwem, ale zmordowani pracą, daléj rąbać, ani strzelać nie mogli: rozkazał książe Wasil z księciem Dymitrem, aby im klucze oddane od bram, i od innych wszystkich gmachów były! — Co kiedy się stało, tenże obyczaj kozacy zachowali w plondrowaniu, który i w morderstwie. A nie dziw; abowiem jaka wstrzymałość, jaka miara w tych ludziech być mogła, którzy dla rozchełznanéj woli swojéj, dla chciwości, dla rozpusty w kozactwo się udali, a u których łup lepszy, niż cnota, a rozpusta smaczniejsza, niż wstyd, i przystojność jest zawżdy? Wypowiedzieć ja nie umiem, Najjaśniejszy a Miłościwy Królu, jakie tam pastwienie nad ludźmi, jakie łupiestwo, jaka rozpusta była! — On godny wiecznéj pamięci człowiek, książe Konstantyn, gdy nieprzyjacielskich zamków dostawał, nigdy takiego okrucieństwa, jakie to było na zamku jego Ostrogu, żołnierzom swoim nie dozwalał. Przyszli potém ci oba panowie do księżnéj JMości żalem tak ciężkim zdjętéj, iż kilkakroć oblewać ją musiano. Tam naprzód książe Wasil rzeczą długą, przypominając opiekę przyrodzoną swoję, chęć w obmyślaniu wszego dobrego domowi ostrogskiemu, opowiedział wolą swą, a jakoby ta z woli bożéj iść miała, iż księżnę JMość młodszą obiecał, i słowy dał księciu Dymitrowi za małżonkę własną, dla wykonania czego, przyjechał z nim pospołu, aby to już inaczéj być nie mogło. Po nim książe Dymitr, począł rzecz od domu swego starożytnego, wnet zatém wspomniał posługi swoje, które czynił rzeczypospolitéj; nie zaniechał bogactwa, możności, przyjaciół, urody, męztwa, lat, czém wszystkiém u księżny JMości miałby być drogim. A naostatek zamknął tę prośbę swoję tak: iż przyzwolisz WMość abo nie przyzwolisz, to inaczéj być nie może! Księżna Jmość wyrzekłszy to: „aza tak do przyjaciół, abo po przyjaźń jeżdżą?“ omdlała. Gdy się jéj nierychło dotarto, dolano, przyszedłszy ksobie, powiedziała to, co przystało, iż bez WKMości opiekuna jedynego uczynić żadnéj rzeczy nie może. Powiedzieli panowie zatem: a my ciebie (prawi) prosić o to więcéj nie będziemy. I przystąpiwszy bliżéj do księżny, książe Wasil porwał księżnę młodszą za rękę, a księżna JMość matka uboga za drugą, tamże księżnę pchniono, iż o ziemię padła i omdlała. A książe Wasil targnąwszy za rękę księżnę młodszą, dał ją księciu Dymitrowi mówiąc: ato ja onę tobie daję; bo to jest w mojéj mocy, jako stryja.

Co ja tu pierwszy obżałować, Miłościwy Królu mam? Abo co za słowa na to naleźć? Gwałt-li ten, moc, razy, ból księżny JMości starszéj: czy gwałt, który się dział księżnie młodszéj, czyli zuchwalstwo, okrucieństwo tych obu panów? Księżna młodsza stoi płacząc sama na się, że jéj kiedy Bóg, abo majętność, abo urodę dał. Księżna za się starsza, już nie tak siebie, lekkości swéj i targania, bicia, płaczu: jako tego, iż córkę w niewolę biorą: a jeszcze ci, którzy od gwałtu onéj bronićby, a z niewoli wyrwać, wylaniem siła krwie swojéj mieli. To jest zysk, a ostatnia zapłata poczciwych posług książęcia Iliego, i małżonka jego poczciwa, i jedyna córka, białegłowy, którym i okrutny tyran, dobywszy miasta, zwykł przepuszczać, wysiedzieć się w pokoju, w zawarciu swym, przy poczciwéj zabawie, nie na tańcach, nie na biesiadach, pod obroną praw i swobód pospolitych, pod zwierzchnością WKMości nie mogły! Nie chcę wspominać, jaki tam płacz sług, którzy nie pobici zostali; jaki krzyk białychgłów, jaki lament wszystkiego domu księżny był, gdy widzieli, co się z pany ich działo. Naostatek służebnicy ich samych baczniejsi niektórzy poruszeni żalem, wspomniawszy, iż toż téż kiedy na nie, abo na potomstwo ich przyjśćby mogło: napominali pany swe, hamowali, miękczyli, i od okrucieństwa onego, wspominaniem praw i zwierzchności WKMości odwodzili.

Nic to nie pomogło. Kazano przyjść kapłanowi, i wiązać stułą, co i bez wyznania jasnego jednéj, i drugiéj strony nie bywa. Gdy kapłan pytał, podług zwyczaju, a panna nie być to wolą swą, iść za księcia Dymitra, odpowiedziała, kapłan strwożony, wiedząc, iż ten sakrament, ta świątość poniewolna być nie może, prosił, aby ta rzecz do rana dnia wtórego odłożona była, a tymczasem, (prawi) znać serce księżny starszéj uspokoić się od żalu, a księżny młodszéj skłonniejsze ku małżeństwu naleść się może, gdy czas siła twardych rzeczy zmiękczyć umie. Odpowiedziano kapłanowi: nie do rady cię tu, (prawi) księże wezwano, ale iżbyś czynił, coć każą, a nie będziesz chciał, tedy (prawi) oto ta buława przypędzić wolą! — Kapłan nieborak widząc, niejedno na księżnę, ale i na się gwałt. Jął mówić znowu słowa do małżeństwa należne, a miasto panny, stryj książe Wasil, prosto jak przy chrzcie bywa, odpowiadał. Po skończe-

niu słów gwałtem pannie rękę wzięto i stułą związano, przez który wszystek czas księżna młodsza, Bogu i ludziom się oświadczając, wołała, że się jéj bezprawie, a wielki gwałt dzieje. Nic to nie pomogło; matka, którą odepchnąwszy od córki, zawarto, ratować nie mogła; słudzy, których trochę zostało, z zapłakanemi oczyma chodząc, i słowa przemówić nie śmieli: ale kogo Bóg, poczciwość, wstyd nie hamuje a czuje się mieć władzę, mieć moc, mieć siłę, trudno tam hamować.

Każdy z WM. wiem pewnie, córki swéj, synowice, siestrzenice, i najdalszéj powinnéj, nie radby po śmierci swéj w takiém niebezpieczeństwie zostawił, żeby jéj majętność łupem, jéj łzy pociechą, jéj poczciwość pośmiewiskiem marnotrawcom wszetecznym być miała. Ani my to, da Pan Bóg, od sądu WKMości odniesiemy, żeby miało być wolno pod płaszczem powinowactwa, ku końcu rzkomo małżeńskiéj świętości, zuchwalcom niewstydliwym najeżdżać szlacheckie domy, szturmem jako w nieprzyjacielskiéj ziemi brać zamki, plondrować gmachy, mordować ludzi, i wszystkie prawa i swobody nasze podeptać, a w niwecz obrócić jako się stało na ostrogskim zamku, który to zamek książe Wasil synowicę w niewolą oddawszy, księżnę starszą wygnawszy, wziął w moc swoję, wziął go za zapłatę szkaradnego a nieprzystojnego uczynku swego, o którą wszystkę krzywdę inny czas będzie księżnie JMości mówienia z księciem Wasilem u prawa.

Ubogi książe Ilia, jeźli w niebieskiéj rozkoszy pamięć ziemskich rzeczy mieć, a na małżonkę i dziecię twe okiem umysłu wejrzeć możesz, prawda, iż tak sobie mówisz: „lepiéj mnie było nigdy téj córki nie mieć, abo lepiéj było, wnet po urodzeniu pogrzeb jéj sprawić, niż wychowawszy ją z wielką pracą, z wielkiém staraniem, siła kroć w chorobach, lekarstwy, pilnością, niespaniem, prośbą a płaczem ku Bogu, od śmierci ją wróciwszy, stracić ją tak marnie z zamkiem, i ze wszystką majętnością, ktemu z obelżeniem i z wiekuistą hańbą ostrogskiego domu.“

I dla tego Dymitr służebne brał pieniądze, dla tego rzkomo obrońcą był pogranicznych ludzi od Tatarów, aby sam większe niż poganin nad temi, których był bronić powinien, okrucieństwo czynił? I takoweż będą pochoci Dymitrowe, tak zapalone będzie miał chciwości, iż im miasta, zamki, Wołyń, Korona Polska nakoniec wszystka dosyć nie uczyni? I także to ma być, co usłyszy Dymitr, co ujrzy, czego zechce, na co pomyśli, jeźli to na rozkazanie jego wnet nie będzie, jeźli lubości jego nie dosyć się stanie, zbierze wojsko, dobędzie zamku, ludzi pomorduje, majętność

pobieże, popsuje, rozrzuci i wszystko z ziemią porówna? By tu był, spytałbym go, pomniał-li to natenczas, gdy tak wielkie bezprawie w uczciwym domu ludziom czynił, iż w Polsce *król* jest? Pytałbym i o to, pomniał-li, iż w Polsce są *prawa?* Podobno miał nadzieję w tém, iż mu dla męztwa jego, dla dzielności, dla sprawy, jako tych czasów o hetmany trudno, odpuścić miano. Rozumiał, iż jego posługi, które czynił czasów niebezpiecznych rzeczypospolitéj, poratować go w uczynku tym, a od kaźni wyprosić miały. Jakoż jest się na co obejrzeć; nigdy Polska mniéj godnych ludzi w rycerskiém rzemieśle nie miała!

Ale by też i godność rycerska osobliwa w księciu Dymitrze była: więcby to już powinna rzecz miała być, poddanym WKMości poczciwym ludziom cierpieć od rycerskich ludzi hańbę, lekkość, szkodę, zniszczenie, iż kiedy który rzeczypospolitéj dobrze posłużył! Prze Pana Boga! Miłościwy Królu, mali tak być, niechaj żaden nigdy mężnym nie będzie! —

Piszą historykowie, iż syn *Manlii* Rzymianina, wielką kiedyś uczynił rzeczypospolitéj swojéj posługę; ale iż uczynił przeciw ojca swego rozkazaniu, hetmana naonczas, ważył się przestąpić kres, który mu był ojciec zamierzył, chociaż był synem, ku któremu miłość ojcowska pomierna być nie może, przecię Manlius ojciec gardło mu wziąść rozkazał. Wolał mądry hetman uczynić gwałt przyrodzeniu swemu, wolał płacz zostawić w domu swoim, niż nierząd (który z nieposłuszeństwa roście) w wojsku państwa rzymskiego; który uczynek Manliuszów dłużéj wspominan, i wyżéj od każdego mądrego wyniesion zawżdy będzie, niż wszystkie tryumfy. Abowiem zwycięztwo to jest największe, kto siebie sam zwyciężyć umie.

Aby tedy takowy jad nie zarażał poddanych WKMości, aby do takiego bezeceństwa nie otwierała się ludziom droga, aby ten ogień, który Dymitr wzniecił, zatłumić się co najrychléj mógł, prosi WKMość księżna JMość z nami przyjacioły swemi, przez tego Boga, który WKMość na tak wysokiéj stolicy dla tego posadził i olejem swym pomazać kazał, iżbyś dobre umiłował a złe karał, prosi tak dla siebie, ukrzywdzoną niezmiernie będąc, jako też dla wszystkiéj Korony: gdyż uczynek księcia Dymitra haniebny a niesłychany, pełny jest zuchwalstwa, zdrady, wszeteczeństwa, łakomstwa, okrucieństwa, gdyż niezwykła to jest zbrodnia w Polsce, — aby też on niezwykłą, srogą, haniebną a godną za taki grzech zapłatą skarany był. Niechaj to znają ludzie, iż się WKMość złością ludzką brzydzisz; niechaj widzą poddani, iż krzywda ich, z boleścią dotknęła serce

WKMości. Wszystko to Miłościwy Królu dolega, co książę Dymitr zbroił; księżna JMość *już* cierpi, a drudzy są w bojaźni, żeby kiedy tymże sposobem nie cierpieli. Żaden z nas nie wie, jako mu długo na świecie Pan Bóg żyć dopuści, a krewnych naszych, powinowatych, nie daj Boże, odumrzeć w téj swywoli. W sprawiedliwości tedy WKM. nasza nadzieja wszystka; dla tego wszyscy Pana Boga za WKMość prosimy, iżbyśmy i z tymi, którzy nas krwią dotknęli, bezpieczniéj od gwałtów, od mordów, w pokoju, w swobodzie, pod prawem a obroną WKMości siedzieli. Abowiem, a kto bronić ma, jeźli nie WKMość krwie naszéj? Czy ja córkę swą poruczę w opiekę stryjowi? Pięknie bronił stryj księżny JMości córki, która podobnoby była nie zginęła, by była stryja nie miała. Czy ja sąsiadowi siostry méj zlecę w opiekę? A ten nieborak i własnéj córki swéj czyby mógł obronić, wątpię.

Teraz ludzie, Miłościwy Królu, tak źli, jako i dobrzy, pilnie patrząc, czekają, na co Dymitrowi ta jego zbrodnia wynidzie. Wynidzie-li mu na dobre (czemu ja wierzyć nie mogę) tysiąc tysięcy Dymitrów nastanie, a ludzie cnotliwi serce stracą, powieszą głowę, rozumiejąc już gotowy upadek, blizką skazę i śmierć téj Korony. Abowiem, coby nam już było po prawiech, co po sądzie, co po sędziach, co po zwierzchności WKMości Pana naszego? Jużby lepiéj w puszczy między zwierzęty mieszkać.

Nie będziesz tedy WKMość czekał, iżby książe Ilia zmartwychstawszy, upominał się u WKMości szafunku téj opieki, którą umierając WKMość zlecił, nadgrody za poczciwe służby swoje obrony królewskiéj, która nie tarczą, ale murem nam wszystkim poddanym WKMość być ma. Sam WKM. jako Pan sprawiedliwy poczuć się, i w swéj, i w księżny JMości krzywdzie będziesz raczył, aby ludzie znali WKM. prawym od Boga danym pasterzem, a który chcesz dać dostateczną liczbę Panu Bogu z tych owiec, które wierze WKMości są zwierzone. Lepiéj jest Miłościwy Królu, iż WKMość tysiąc złych a niepobożnych ludzi surową sprawiedliwością poruszysz, a obostrzysz przeciwko sobie, niżby jeden uciśniony o nieuczynienie sprawiedliwości skarzyć się miał. Sprawiedliwością Miłościwy Królu, sprawiedliwością stolica się Królewska utwierdza, a przez niesprawiedliwość, królestwa giną! Dosyć już książe Dymitr nacieszył się zuchwalstwem, a księżny obiedwie łez wylały. Czasby już Miłościwy Królu, iżby książe Dymitr przestał wesela, a księżna JMość płaczu. Niechaj téż wżdy kiedy zna książe Dymitr, iż na świecie nie wszystko jednym strychem idzie, ani fortuna na jednym miejscu przebywa. Co wtenczas

książe Dymitr uczuje, gdy WKMość dekretem sprawiedliwym swym przystojnym, jego złym uczynkom kaźń należć będziesz raczył; jakoż nie wątpi księżna JMość, iż WKM. Pana Boga przed oczyma mając, który dobre uczynki i dziesiątemu pokoleniu dobrze zwykł nadgradzać, tak to osądzisz, iż teraźniéjszy i przyszły wiek o sądzie WKMości źle sądzić nie będzie umiał.

C.

Mowy kościelne.

Przemowa kościelna

na otworzenie roku szkolnego 1851. w gimnazyum poznańskiém.

Przez Ks. Regensa Wojciechowskiego.

(Str. 431.)

„Synu mój, bądź pełen mądrości mojéj, a ku roztropności mojéj nakłoń ucha twego.“ Temi słowy, kochana młodzieży, rozpoczął niegdyś ś. Efraim nauki ze swoim uczniem. Kiedy i my dzisiaj, nowy rok szkolny zaczynając, do tego samego zabieramy się dzieła, myślę, że najmocniéjszy położymy fundament, gdy, naśladując męża świętego, słowy Proroka zawołamy: „Synu mój, bądź pełen mądrości mojéj, a ku roztropności mojéj nakłoń ucha twego.“

W iloraki sposób niebem i ziemią nieogarniony Stwórca swą doskonałość w stworzeniu objawił; ile wytknął w tym świecie dróg i ścieszek, na których doskonałość jego poznać i sami doskonalszymi i szczęśliwszymi stawać się możemy: na tyle gałęzi nauk rozchodzi się drzewo wychowania, które w was ma być wypielęgnowane. Drzewo to, aby było zdrowe, silne; aby obfite owoce wydawać mogło, musi mieć korzeń w żyznéj roli zapuszczony. Inaczéj będzie mdłe i do wydania owoców niezdolne, nawet zniszczeje; a na jego miejscu wyrosną chwasty i ciernie, które truć będą i kaleczyć przechodniów. Wszystkie nauki, jakkolwiek najrozmaitsze w swych rodzajach, mając jednę całość ukształcić w człowieku, i do jednego najwyższego wznieść go celu, muszą z jednego wypływać ducha, który, jeżeli nie będzie tém dla nich, czém jest sprawna rola dla drzewa, albo zatruje wszystkie umiejętności i przerodzi je w robaczywy owoc, albo téż żadnego nie dozwoli im wzrostu. Wszakże, kochani młodzieńcy, siedząc w upłynionym roku na jednych ławach, jednych i tych samych słuchaliście nauk. Czemuż to jednak jedni uzyskaniem promocyi rozweselili siebie, ucieszyli rodziców, sprawili radość wszystkim, których dobro ich obchodzi; drudzy zaś na wstyd i hańbę swoję, a na smutek rodziców i dobrodziejów, te same ławki Bóg wie jak długo jeszcze zajmować będą? Brak zdolności rzadko jest tego przyczyną. Duch raczéj mdły, duch zepsuty, skierowany ku wszystkiemu,

tylko nie ku temu, co jest dobre, niweczy najpiękniejsze zdolności, najzdrowsze nauki i największe nakłady. I jakżeż zapobiedz temu złemu? Jakiegoż trzeba ducha, aby z nauk dobre zebrać owoce? Bóg jest istotą najdoskonalszą. Duch więc też religijny, który nas łączy z Bogiem, jest najlepszy. Czém przeto jest ziemia żyzna i sprawna, tém jest *duch religijny* dla nauk. A że tylko Chrystusa namaszczone nauki mogą przynieść człowiekowi prawdziwe szczęście, nad tém zastanowimy się w obecnéj chwili. Przebrzmią jednak słowa moje, jak tysiące innych, bez śladu i korzyści, jeżeli ty o Panie Niebieski nie użyznisz ich rosą łaski swojéj. Spuść nam przeto pomoc z nieba: mnie, bym prawdę wyjaśnić zdołał, słuchającym, by ją do serca przyjęli.

Po odpadnięciu od Boga człowiek, opuściwszy religią objawioną, rozumu własnego jako przewodnika w wychowaniu, życiu i urządzaniu stosunków społecznych się chwycił. Dalekoż zaszedł na téj drodze, mimo to, iż Najwyższa Opatrzność nigdy go bez Objawienia nie zostawiła? Oprócz *siebie* widział człowiek podobne sobie istoty w *bliźnich*, a wrodzone uczucie skłaniało go do uznania nadprzyrodzonéj istoty, t. j. *bóstwa*. We wszystkich tych trzech kierunkach, t. j. w poznaniu *siebie*, otaczającego *świata* i *bóstwa*, jakież zdołał rozum dać mu wyjaśnienie? Wszystko z dziejów pogańskich przytaczać na wykazanie, jak źle pojmował człowiek bez Objawienia siebie, bliźnich i Boga, byłoby za wiele. Ważniéjsze rzeczy alboście już poznali, albo przy dalszym postępie w naukach poznacie. Tu dosyć będzie przytoczyć, iż nie wiedziano: czy człowiek z ziemi wyrosł, jak grzyby, czy się w swéj naturze różni od „oskubanego koguta“, czy w zmysłowych rozpustach nie powinien przesadzać bezrozumnych stworzeń. Były prawda także światełka, wyświecające w podobnych przypuszczeniach oczywistą niedorzeczność; prawdy jednak czystéj rozum wykazać nie zdołał. Nie pojmując człowiek bez Objawienia siebie, nie pojmował też i obowiązków względem bliźniego. Świadczy o tém niewola. Jak okropne było to jarzmo, sam poganin Seneka (de ira 3) ze zgrozą wspomina: iż los zwierzęcia lżejszy był, niż los niewolnika. A iluż to temu losowi ulegało? Otwórzmy księgi Tacyta, a wyczytamy, iż w Atenach pomiędzy 60,000 mieszkańcami znajdowało się 40,000 niewolników; w Rzymie zaś podług świadectwa Cicerona przy końcu Rzeczypospolitéj pomiędzy 1,200,000 mieszkańcami posiadało własność 20,000, a reszta w jarzmie niewoli jęczeć musiała. Takie przez się rozum ludzki, odrzuciwszy Objawienie, potrafił zrodzić szczęście w społeczeństwie! Tak się i dziś dzieje, gdzie chrześciaństwo uchylone jest z życia. A o pojęciach, jakie miano o bóstwach, cóż mówić? Zgroza przeraziłaby nawet piekło, gdybym powtórzył słowa Pindara, któremi opisuje cześć Babilończyków okazywaną bogini Mylicie i innym; jakże je tu w świątyni chrześciańskiéj przytaczać? Bogowie, jakich sobie człowiek, odrzuciwszy Objawienie, wymyślił, były to tak okropnemi występkami skażone potwory, iż co oni broili, o tém zwyczajny człowiek według św. Augustyna (de Civit. Dei Lib. II. c. 7.) wyrzec musiał: „Ego homuncio non facerem.“ Ztąd też Plato wyraźnie zakazywał dawać historyi bogów w ręce młodzieży, aby ta do najokropniejszych nie była poduszczaną występków. Złe ztąd ostatecznie tak się rozlało w świecie, iż prawdziwy Bóg i Stwórca żali się z nieba przez Proroka: „Nie ma, ktoby dobrze czynił, aż do jednego.“ A ziemia iście przestała być wstępem do nieba, a zamieniła się na przedsionek do piekła.

W takiem rozprzężeniu i zwątpieniu świata, kiedy mędrzec pogański wyznaje: „Sam Bóg musi nas w prawdzie oświecić,“ a Prorok znów woła: „Spuście rosę niebiosa z góry, otwórz się ziemio i zródź nam Zbawiciela;“ przychodzi Zbawiciel, Jezus Chrystus, i tę wesołą zwiastuje nowinę: „Jam jest droga, żywot i prawda.“ Według bowiem nauki Jego, w Bogu w Trójcy św. jedynym, człowiek ma swój początek, swe życie i swój cel wieczny. Któż więc dziś może nie wiedzieć: zkąd się wziął? czego się w życiu ma trzymać? i dokąd dążyć? A jeżeli każdy z bliźnich ten sam ma początek i to samo przeznaczenie, któż w nim równego sobie nie uzna obrazu i podobieństwa Boga? Prawdy te przekazane są rodzajowi ludzkiemu nie jako płód tego rozumu, który dziś potępia, co wczoraj ubóstwiał, dziś ubóstwia, co jutro potępi: ale jako mądrość tego, który najprzód cudami dowiódł, nim powiedział: „Ja i Ojciec jedno jesteśmy,“ który panując nad światy i nad wieki, sam tylko mógł wyrzec: „Niebo i ziemia przeminą, ale słowa moje nie przeminą. A kościół, przez który Chrystus Pan te prawdy nam podaje, czyż mniéj jest pewny i stały? Kościół, o którym sam jego Założyciel mówi: „Bramy piekielne nie przemogą go.

Te silne prawdy, jeżeli zapewniają człowiekowi w przyszłości szczęście tak wielkie, iż podobnego „ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, ani w sercu człowieka nie postało,“ jeżeli zarazem podają środki, złożone w kościele, do osiągnienia szczęścia tegoż: czyż nie zdołają człowieka napełniać słodką nadzieją, bez któréj życie nasze raczéj śmiercią nie życiem nazywaćby się musiało? Poganin tylko mógł bez nadziei odezwać się:

„Aliudque cupido,
Mens aliud suadet: video meliora, proboque,
Deteriora sequor“: (Ovid. Metam. L. 7. 26.)

Chrześcianin, mając w Sakramentach ŚŚ. pomoc samego Boga, nie zwątpi nigdy o osiągnieniu swego najwyższego celu, ale wśród i największych przeszkód zawoła z apostołem: „Wszystko uczynić mogę przez Tego, który mię mocnym czyni.“

A nauka Chrystusa jest prawdą, która na tém polega, by poznanie było zgodne z rzeczywistością. Któryż chrześcianin nie zdoła tego okazać? Miłość, wypływająca z wiary i nadziei, wynosząc go nad powszednie zjawiska tego świata, łączy go z Bogiem, którego wiarą poznał, a do którego przez nadzieję wzdychał. Jeszcze na ziemi, już przez religią Chrystusa duszą przebywa w niebie; jeszcze padoł płaczu napełnia go łzami, już szczęście niebieskie radość mu zwiastuje; jeszcze proch i grzesznik, już religia Chrystusa przez wiarę, nadzieję i miłość wznosi go tam, gdzie jest Alfa i Omega jego istnienia, gdzie chwała i szczęście, „jakiego oko ludzkie nie widziało, ucho nie słyszało, i jakie w sercu człowieka nie postało.“

Gdy więc chodzi, kochana młodzieży, o upłodnienie twego serca do przyjmowania nauk, cóż im może więcéj życia, więcéj woni nadać, co je w piękniejszy połączyć bukiet, jeźli nie religia Chrystusa? Nie dosyć, iż w niéj tylko wszczepione nauki prawdziwą mają wartość, jako do prawdziwego prowadzące celu, ale nadto w Religii tylko Chrystusa najsilniejszy znajdziesz bodziec do nauk. Bóg, którego jesteś obrazem i podobieństwem, powiada ci religia, jest najmędrszą i najdoskonalszą istotą. Możesz więc jako obraz tego Boga nie postępować w mądrości? Z każdéj chwili życia twego, powiada ci religia, rachunek Bogu zdawać będziesz. Możesz więc jako chrześcianin czas przeznaczony do nauki na czém inném, jak na nauce, przepędzać? — Ale Religia Chrystusa udzielając nietylko oświatę, lecz zarazem i siłę, w maga, aby i z téj siły w życiu korzystać. Nie dosyć zatém oświecać się religijnemi prawdami, ale trzeba zarazem i żyć religijnie. Wiara dopiero w połączeniu z życiem religijném jest ową rolą płodną, na któréj nauki obfite i pożyteczne wydają owoce.

Spojrzyjcie pomiędzy siebie — prawdziwie religijny młodzieniec czyż będzie leniwy? Prawda, że i mniéj religijni pilnością odznaczać się mogą — ale kiedy pomiędzy niereligijnymi w wyjątkach tylko pilnych widywać można, religijni z reguły pilnymi będą. Kiedy niereligijnym nauki posłużą za to, czém są drapieżnym zwierzętom kły i pazury:

aby, nie mając nic świętego, z wszystkiego się natrząsać, i na podobieństwo niereligijnego czarta, wszystko święte niszczyć, — religijnemu posłużą nauki do tego, by się w doskonałości zbliżać do Boga, i z podobnéj miłości, jaką Chrystus Pan gorzał, poświęcać się chwale Boga i szczęściu bliźnich, choćby i na krzyżu. Ztąd też pobożny Tomasz Morus do nauczyciela swych dzieci mówi: „Pomiędzy wiadomościami tę najwyżéj stawiać należy, która uczy, jak być pobożnym przed Bogiem.“ A św. Chryzostom do wszystkich rodziców odzywa się: „Przyzwyczajcie dzieci wasze od młodości wznosić wzrok do Ojca niebieskiego; wpajajcie głęboko wszechobecność Boga.“ Gdyby wszyscy rodzice dziś i opiekunowie szli za radą tego uczonego i świętego męża, i nauczycielom oszczędziliby zgryzot i sobie smutku a nawet i łez. Wychowanie domowe ma być podstawą tego, co szkoła wpaja, i stróżem, aby dziecku, gdy wyjdzie ze szkoły, złodziéj nie skradł tego, co słyszało, ale by z tego korzyść w życiu odniosło. Bo i Augustyn św. porównywając wychowanie domowe z kościołem, powiada: „Rodzicy są niejako biskupami, gdyż z taką powagą i troskliwością czuwać powinni nad swém rodzeństwem, z jaką biskupi w ich dyecezyach.“ Dopełniaż przecie domowe wychowanie zawsze tego obowiązku? Z goryczą serca przychodzi mi z tego miejsca prawdy wyznać, iż nie czyją, jak rodziców i wychowawców domowych najczęściéj jest winą, jeżeli Ojciec w niebie i ojciec na ziemi skarzyć się musi: „Wyżywiłem dzieci i wychowałem a one odwróciły się odemnie!“

Przeto, ojcowie i matki, opiekunowie, dobrodzieje i wszyscy, którzy tę młodź otaczacie! Chrystus Pan woła: „Kto zgorszy jedno z tych małych, lepiejby mu było, by młyński kamień sobie u szyi uwiązał i w przepaści morskie skoczył!“ A choćbyście téż nie zgorszyli, skoro tylko złemu zapobiegać a dobrego wpajać nie będziecie, oto wiedzcie, iż już w starym testamencie Bóg ukarał śmiercią Helego za to, iż zgorszeniu swych synów nie zapobiegł, a Paweł św. (Tym. V. 8.) woła: „Jeźli kto o swych, a najwięcéj o domowych pieczy niema, zaprzał się wiary, i jest gorszym, niźli niewierny.“ Albowiem, mówi mędrzec (Agezylausz): „Gdzie rodzice dobrze wychowują i nauczyciele rozumnie kształcą, tam jest szczęście teraźniéjszości i przyszłości zapewnione.“

Szczęście to przecież nie mniéj zależy także od was, kochana młodzieży! Ten Bóg, który wam dał rozum i wszystkie władze do ukształcenia się w mądrości i cnocie, patrzy na was z nieba, jak dobrodziejstw tych użyjecie. Ten kościół, który was odrodził na synów Bożych, patrzy na was,

czy też prawdziwie na synów Bożych się kształcicie! Ta ojczyzna, która ciało wasze karmi piersiami swemi, patrzy na was ze łzami, czy jéj też pociechą się staniecie! Ci rodzice, którzy ostatni może kawałek chleba krwawo zapracowanego odjęli sobie od ust, by was utrzymać w szkole, patrzą na was, azali im się też odwdzięczacie. Kochane dzieci, zdradzicież oczekiwanie to: Ojca waszego w niebie, ojca na ziemi i matki, matki kościoła i matki ojczyzny? Jestli tu taki zdrajca, taki syn marnotrawny? O wychódź, wychódź czemprędzéj z tego grona, nie trwoń czasu, nie trwoń majątku: bo tam bracia i siostry twoje, bo tam ojciec i matka obumierają może z głodu, a ty niszczysz tu krwawą ich pracę na to, by potém zatruć im starość, by ciężarem, by zgorszeniem i klęską być dla ludzi, a obrazą dla Boga! — Tak okropnego serca trudno się spodziewać pomiędzy wami, nadziejo przyszłości! Ożywmy się więc wszyscy tym duchem Chrystusowym, z którego wszelka wypływa nadzieja i pociecha! Postanówmy w obliczu Boga rok ten przepędzić w takiéj pracy, którąby nas i bliźnich radosnemi ucieszyć mogła żniwami, a ponieważ wszystko dobre od Boga pochodzi, prośmy gorąco dziś, prośmy go codziennie, prośmy go szczególniéj teraz przez tę bezkrwawą ofiarę, która nas tu oczekuje. Amen.

Na gruzach Krakowa.

Przez X. Karola Antoniewicza.

Jakiż to widok bolesny i smutny przedstawia się oczom naszym? Ściany okopciałe, walące się mury, gruzy, proch i popiół! Przez otwory wypalonych okien wyziera zgroza, spustoszenie i śmierć, jakby mówiąc: patrzcie, co to są dzieła ludzkie — pod ręką gniewu Bożego! Padła jedna iskra, gniew Boży ją rozdmuchał, i w morzu płomieni stopiły się kruszcze i kamienie, — a każdy przechodzący potrząsa głową, palcem wytyka i milcząc patrzy a patrzy — że ledwie łzawego oka niewypatrzy! A jeźli ma wiarę zawoła: o Boże! jakże wielkim jesteś w miłosierdziu Twojém, ale jak straszny w sprawiedliwości Swojéj! Wejdźmy, wejdźmy — w środek téj świątyni! — O nie; — niewchódźmy! — Po cóż? Tam głucho, tam straszno, tam pusto, tam grób, a stróżami tego grobu to te cztéry Kaplice, których płomień nieśmiał tknąć — to te posągi, które zakamieniałém okiem i sercem zdają się przemawiać i pytać: cóż to się w około nas stało? A to grobowe milczenie przerywa tylko

ta cegiełka, co oderwana pada od sklepienia — jak łoskot łzy Kamiennéj! Jak widmo grobowe stoi ta wieża przed nami! Ale wieżo gdzie dzwony twoje? „Dzwony moje milczą! Długo dzwoniły jęcząc groźbą i prośbą do ludu całego, aby się nawrócił: bo gniew Boży nad głowami naszémi, nad miastem naszém! Ale na próżno! nikt jęku ich nie usłuchał, nikt jęku ich nie rozumiał — a te dzwony stopiły się w upale ognia, jak dusze wasze w upale cierpienia; — pękło ich serce, jak serce narodu!“ — Ściany świątyni, gdzież ołtarz, gdzie ofiara? „O! ileż razy ten ołtarz, ta ofiara zelżoną była! a dziś ołtarz to garść popiołu — ofiara to łza! — O niedawno, niedawno temu, dzwoniły te dzwony, po raz ostatni — tak dźwięcznie i silnie, jakby całą Polskę tu zwołać chciały, może niejednemu dzwoni jeszcze w sercu echo tego dźwięku. Po raz ostatni huczały te organy na chwałę Bożą i może jeszcze nie przeschła ta łza, którą wywołały z duszy!“ Po raz ostatni?... O nie! któż się odważy to wyrzec! Czyż ten Bóg, który świat z niczego wyprowadził, nie podoła wznieść obaloną świątynię swoją?... Patrzcie, oto na téj przepalonéj ścianie świeci krzyż! — Wszystko runęło, krzyż nie runął; — wszystko ogniem spłonęło, krzyż nie spłonął!... Gdzie krzyż stoi tam stoi nadzieja — gdzie krzyż tam zwycięztwo! Myśmy krzyż Chrystusa nogami zdeptali i padł na nas i zgruchotał nas siłą swoją —; padnijmy pod krzyż, a on nas wydźwignie!... Zagasła lampa przed Najświętszym Sakramentem, bo zagasła lampa wiary w sercach naszych. — O! zapalmy ją na nowo, a Bóg zapali lampę swoją. Wiara polska wybudowała ten kościół, wiara polska odbudować go potrafi! Jeszcze ogień tleje w popiele, jeszcze gruzy nie wywiezione, a już ochoczo biorą się do pracy ręce. Nie, nie ręce, ale serca: bo kościoły, to nie ręce, ale serca budują!... Sercem i groszem, ręką i modlitwą zacznijmy ten kościół budować, ale zarazem weźmy się szczerze do odbudowania kościoła wewnętrznego w duszy naszéj: bo i ten kościół ogień namiętności wypalił; bo i tam tylko popioły i gruzy. Miłość niechaj będzie architektem tych kościołów, — wiara kamieniem węgielnym, a wkrótce zabłyśnie krzyż na wieżach tego domu i na sercach naszych nadzieja zmartwychwstania na czas i na wieczność! — —

Mowa żałobna

na nabożeństwie za duszę Zygmunta Krasińskiego.

Przez X. A. Prusinowskiego.

„Szedł przed ludem na okazanie drogi we dnie w słupie obłoku a w nocy w słupie ognistym, żeby był wodzem na drodze obojego czasu." *Exod.:* 13.; 21. —

Żałobni słuchacze!

Gdziekolwiek na szerokim świecie własna nas zapędzi pokusa, lub wygna dopuszczenie Boże, tam pomiędzy gromadą narodów niemasz dla nas miejsca i miru, nikt nas nie powita, nikt nam ręki nie poda: bośmy obcy dla wszystkich. — Pozłociste pany odwrócą oblicze i powiedzą: „umarli;" — przekupnie złota i pychy wołają: „upiory"; — matki zasłaniają przed nami oczy swym dzieciom i przerażone powtarzają blademi usty: „wywołani wygnańcy"; — mędrcy z litością chwieją głowami i mówią: „szaleni!" — Więc nam w świecie nie gościć! Pomiędzy nimi Bóg nam nie kazał rozbijać namiotów; — ale tam gdzie mogiły i krzyże, na cmentarzach uwieńczonych cierni zagajem, porosłych piołunu murawą, tam mieszkania nasze: bośmy narodzeni po zgonie matki, bo z jéj śmierci dźwignęło się życie nasze, — więc tam nasze uroczystości i święta, tam się zbiegają kapłani i wierni, panowie z ludu czeladką, sędziwi starcy i pacholęta i na grobach obchodzą biesiady duchów, święta uroczyste, wiece narodowe. — Na groby, bracia, na groby! Do pogrzebów! To sejmy, to biesiady, to wesoła nasze!

Nie żałujcie tego świata, który po za sobą zostawiacie, idąc na ucztę grobową; nie żałujcie życia, żeście je w tym świecie poświęcili umarłéj! Alboż nie wiecie, że jest zmartwychwstanie? — Nie żałujcie: bo to co matka miała najświętszego z nieba, co miała na ziemi najbliższego nieba, to nam zostawiła na mogiłach, to nam dała na grobie jako zmartwychwstania zadatek: krzyż i pieśń! — Póki nam więc krzyża i pieśni starczy, póty nie damy się zwieść duchowi z bezpiórnemi skrzydłami i pójdziem za głosem drżącym pieśni naszéj drogą krzyża, gdzie ona pójdzie, i usiądziem, gdzie ona spocznie, choćby tam zniknąć, gdzie ona zniknie! — Bo przecież na końcu dni tych ujrzym krawędź nowo wschodzącego słońca i uczujem z wieszczem, żeśmy nieśmiertelni: bośmy nieśmiertelną ukochali. —

Ale kiedy ci, co harfy dzierzą, i którym Bóg wlał źródło tajemnicze pieśni do serca, wysnują do końca swych myśli pasmo i wyplotą swych uczuć kwiaty w wieńce żałobne na grób matki, aby się z nią razem do grobu położyć, wtedy

słusznie, narodzie, że się skwapliwie gromadzisz w modlitwach, aby oni niezostali bez anielskiéj pieśni tam w niebie, a my bez ich pieśni tutaj na ziemi. — Więc was witam na tych grobach, na pogrzebną uroczystość zwołanych, po śmierci męża, co nam był więcéj jak ziomkiem, więcéj jak towarzyszem niedoli, więcéj jak dźwięcznym naszéj boleści tłumaczem, co nam był wieszczem i aniołem stróżem myśli narodowéj! A mężem tym był Zygmunt Krasiński! —

Zrodzony w chwilach, kiedy garstka rozbitego narodu szła wolnym krokiem, jakoby ostatnie walczące pokolenie wielkiego rycerskiego plemienia, na spoczynek pod kamień zasuwający się nad sklepieniem grobu, już nie widział, na co ojcowie jego własnemi patrzyli oczyma, nie widział nad czém własnemi pracowali rękami. — Jaka to boleść, pocóż wam powiadać. Ale straszniejszém cierpieniem jest pokusa grzeszna przystępująca do dzieci narodzonych po zmarłéj matce, w obliczu panów życia i śmierci! —

„Pocóż tęsknić i po co płakać za tém co było, co może nigdy nie wróci, kiedy pogodne dzisiaj nęci i woła, a dzisiaj tak rozkoszne, pogodne, wesołe? Opuść tę, która nie ożyje nigdy; — piękność jej tylko przeszłości wspomnieniem — rozsiądź się do stołu! Na okół tyle wdzięków się śmieje do ciebie, jako woń rozwitych róż i wysmukłych lilii upajająca rozkoszą! Patrz! jak rozrzutnie miotają przed cię gwiazdy brylantowe zaszczytów i zawiodą cię w braterstwie pod ramię na pałace pełne bogactw: to wszystko dla ciebie, dla ciebie, byleś matki zapomniał i pokłonił się światu: *„to wszystko dam tobie, jeżeli upadłszy uczynisz mi pokłon."* *) — A jeżeli odpowiesz: *„pójdź precz szatanie"* i nie pozwolisz wycisnąć sobie hańby na czole, czy jużeś wolny od pokusy i cierpień? — Czekasz całą dobę wołając: czyli słońce zagasło i już nie wznijdzie? Kiedy coraz ciemniéj i coraz podléj na okół ciebie, kiedy już mija młodość świeżych i świetnych nadziei, kiedy czujesz ramię potężne dojrzewającego męża a widzisz, że gruzy coraz gęściéj się sypią, jakoby łzy kamienne od stropów pękających, i coraz nową ruiną wiekowa pogrzebuje się świetność — ach jak blizko wtedy nadziei zamieszka zwątpienie i rozpacz! *„Czemuż się stała rana moja wieczna a rana moja zwątpiona nie dała się zagoić?"* **) —

Bóg nie pozwolił, aby duch Zygmunta upadł pod szarpaniem takowych pokus piekła: bo u niego przy powołaniu Bożém na dnie duszy złożoném, była dobra wola czystego ducha, tęsknota do prawdy, upragnienie cnoty, gorąco mi-

*) Math. 4.; 9.
**) Jerem. 15.; 18.

łości; to też dopuścił mu Bóg przejść przez czyściec bolesnego zwątpienia a ciężkich walk serca i umysłu. Ach, żył on w téj przepaści długo miotany rozpaczą, ale i tam wybrańcowi swemu nie dał Bóg zginąć. Patrz nań, młodzieży narodu, i sposób się oglądaniem cnoty sama do walki, od któréj nikt uchylić się nie może! —

Kiedy wszystkie siły otaczających go pokus, pokusy majątku, zaszczytów, miękkiego zbytku, nawyknienia, zdroźnéj nawet tradycyi nie zdołały wywrócić młodzieńca, wtedy sam pan życia i śmierci nachylił się ku niemu łaskawie i rzekł: „czas abyś mnie przysiągł a wyrzekł się starożytnego imienia.“ Młodzieniec zatulił oburącz oczy, aby nie widział, co się dzieje, i nie słyszał odezwy strasznéj i wołał raczéj spojrzeć w głąb grobów starożytnéj rodziny, aby tam otrzeźwić się oglądaniem poważnych rysów senatorów, biskupów, wojewodów, hetmanów, co doń z drugiego świata wołali: „nam bądź wiernym i kochaj matkę i nie wstydź się zmarłéj i kochaj cnotę!“

Ale kogo Bóg do głoszenia prawd swoich powoła, ten przez wszystkie stopnie pokusy przejść musi zwycięzko. Więc i jemu na drodze posłannictwa nowa zastąpiła pokusa. I stanęły przed nim tłumy nędznych ze znojem na czole, z dłoniami pomarszczonemi od trudu, z twarzami spiekłemi od skwaru i słoty, na ich włosach kurzawa bitéj drogi, na ich łonach poszarpane odzieże a na ich przedzie mówcy zapalone i wołali doń: „synu smutnéj ziemi, oto w nas zbawienie: bo nasza liczba i nasza moc; wyrzecz się ojców twoich, zdepcz popioły tych co pod krzyżem, wywróć sklepienia grobowe twoich dziadów, strzaskaj ich tarczę i rozsyp prochy ich, przeklnij przeszłość, a idź z nami naprzód, naprzód: bo jutro jest nasze!“ — Ale młodzieniec nie zaparł się jasnych postaci dziadów, a kiedy spojrzał do grobów i spostrzegł zbrojne cnotą przodki a w nich nietylko krwi szlachectwo ale i życia szlachetność, nietylko dygnitarstwa duchowne ale i godność duchową, nietylko zaszczyty świetne ale i szczytność świętą, wtedy zamiast kląć im, jak tłumy chciały, klął przed nimi, jak kazał duch; — win się wyrzekł ale pokutę przyrzekł; przejął zasługi ale i tradycyą obowiązków, aby nie inny, wymarzony naród, ale ten sam przemieniony tylko a świętszy i szlachetniejszy wybielił się na dzień zmartwychwstania. —

Usłuchał młodzieniec głosu umarłych, wyrwał się z grzesznego objęcia, rzucił pokusę i poszedł z dala od złego ducha płakać, kochać i być wiernym cnocie. A po drodze gdy płakał, łzy padały od oczu jako perły splatające się w wieniec i jako lilie białe, niewinne, pełne woni i wdzięku;

serce krwawiło się a krew kapała po jego ścieżce, jako drogie kamienie, jako róże pełne miłości; tak Bóg nagrodził walkę, zwycięztwo i wierność dla cnoty. Wywiódł go aniół z ciemnicy od Boga mu zesłan, aby mu był stróżem, odpędzał odeń wszystko złe i stał się zarazem opiekunem dla tych wszystkich, co nań patrzeć będą i za nim pójdą po drogach cnoty. — Aniołem tym było powołanie do poezyi. Zbiegł mu w pomoc z nieba do otchłani ten aniół, którego się wzroku czarne duchy boją, doskonale piękny z wyrazem smutku wiecznego na czole, a szaty jego lekkie jak myśli tęskne biało naokół niego płynęły, wzrok w przestrzeń nieba wzbity wspaniały a łzawy, czoło mężne a obarczone cierpieniem, postać uroczysta choć do snu nikłego podobna. — Nie jest to powiewny utwór wyobraźni do duszy wieszcza marzeniem nawiany, ale jestto natchnienie z nieba idące, powołanie od Boga; a piastun tego natchnienia podał się w dobréj swego ducha woli za chętne łaski Bożéj narzędzie, stał się godnym powołania głosicielem i nie odepchnął, ani porzucił anioła, ale szedł z nim, pokochał go i został mu wiernym do końca. — Tak przyjął dar Boży poeta i po przepłynieniu zamglonych wątpliwością i zwątpieniem sfer czyśćcowych poezya jego coraz czystsza, coraz wyższa, wstąpiwszy w dziedzinę prawdy bożéj, stała się duchową, niebiańską, anielską, jako objawienie płynące przed taborem narodu przez pustynią życia, niewoli. — A aniół *„szedł przed ludem na okazanie drogi, we dnie w słupie obłoku a w nocy w słupie ognistym, żeby był wodzem na drodze obojego czasu.“**)

Pełen niebieskiego natchnienia słuchał anielskiego głosu, co słowiczą pieśnią wiódł go za sobą przez miasta pobielone i przez pałace złociste, przez gruzy wywróconéj przeszłości i po krwawém bagnie ziemi, przez rozpaczy wypaloną pustynią i przez wężowate podłéj zemsty nory, przez nienawiści tłuszcze i przez noże siepiaczy a on szedł za głosem coraz daléj i coraz wyżéj do przedświtu, do jutrzenki, do słońca, do zmartwychwstania, gdzie krzyż i prawda, gdzie miłość i cnota — i wołał naród do siebie, by nie zginął, by nie omdlał, by się nie zbłąkał po drodze, ale wytrwał aż do końca w Imie Jezusa Chrystusa Zmartwychwstałego. — Tak zabrzmiała pieśń jego, jako głos, co ma nietylko dźwięk ale i moc pomiędzy narodem, kiedy w upadku żywo obudzonych nadziei rozpacz złamała dusze po płonném oczekiwaniu zbawienia. Upadł ostatni cień samo-istnienia, oręż zgruchotany przemocą, przodownicy rozpędzeni na wygnaniu, wszystkie rodzaje więzień

*) Exod. 13.; 12.

przepełnione, miasta i wioski wyludnione; zdawało się, że już zmrok dnia ostatniego: bo najpotężniejsi nawet w niemém zwątpieniu nie mieli słowa pociechy; aż wśród głuchego milczenia tajemniczy i nieznany głos tak silnie w strunę dźwięczną serc wszystkich uderzył, żeśmy wszyscy wytężyli ducha, by nie uronić i jednéj nóty w téj pieśni; a chociaż tajemniczy musiał to być głos razem z naszą duszą idący od nieba, bośmy go wszyscy zrozumieli od razu.

I cóż ten wieszczy śpiew głosił? Oto zapowiadał, że chociaż się światu ma już niby pod koniec, chociaż wszystko, co w nim żyje, jakoby się psuło rozprzęgało i szalało, że chociaż wśród zbytków materialnych i nędzy moralnéj, wśród wielkiego milczenia ducha, życie zwierzęce stoi na najwyższym szczeblu swoim, że chociaż w rozpuście i swywoli ducha upadać się nawet zdaje i moralny na świecie porządek, pognębieniem prawdy i cnoty a tryumfem fałszu i występku, że chociaż w letargu myśl ładu bożego, — przecież, przecież prawda nie umarła, słońce nie zagasło, bo Bóg żyje na niebie, Chrystus zbawił rodzaj ludzki a prawdzie i prawu zwycięztwo należy. — A to zwycięztwo nie w imię ślepéj nienawiści pogańskiego Greka, nie w imię podléj zemsty hordy afrykańskiéj, nie w imię krwi i trucizny — ale w imię Chrystusa: „idź na północ w imię Chrystusa w katakumbach opowiadanego — idź i nie zatrzymaj się, aż staniesz na ziemi mogił i krzyżów, idź i zamieszkaj wśród braci; idź i ufaj imieniowi mojemu; bądź spokojny na dumę i ucisk i natrząsanie się ze sprawiedliwych, a po długiém męczeństwie zorzę rozwiodę nad wami."

Po takiem w gęsl uderzeniu uczuliśmy wszyscy, że tam głos wyższy zamieszkał: niewidziany, niesłyszany a zrozumiany od wszystkich. Bo tak nas uczył Chrystus: *„jeźli wy trwać będziecie przy mowie mojéj, — prawdziwie uczniami moimi będziecie. I poznacie prawdę, a prawda was wyswobodzi."*) A ten z czyjich ust głos wyniknął odtąd jakoby gwiazdę nosił pomiędzy nami na czole, a słowo jego nie oddzieliło się od miłości naszéj.

Jeżeli utrzymanie nadziei, otrzeźwienie ducha wśród letargicznego zwątpienia powinno się nazywać zasługą narodową, któréj się dług wdzięczności należy, wtedy wieniec téj zasługi należy się wieszczowi a to tém sprawiedliwiéj, że nadzieja, którą on w narodzie swém słowem obudził, polega na najgłębszych prawa Bożego zasadach, na wierze w rządy Opatrznego Boga, na wierze w Odkupienie Chrystusa, na wierze w ostateczne zwycięztwo cnoty nad występkiem a prawdy nad fałszem. — Nietylko że świętość wytkniętego celu zapisana na chorągwi wieszcza cały naród za sobą porwała, ale nadto on całemu życiu narodowemu święty i uczciwy dał kierunek, że miłości narodowéj cnotliwą wskazał zasadę, święte wytknął drogi i uczciwe wskazał środki. *Wiara w Boga* to zasada narodowéj cnoty, a *świętość duszy* to zasługa narodowéj pracy, święta droga do świętego celu. — W takiém budzeniu nadziei niemasz demonicznego drażnienia namiętności, zemsty, chciwości, pychy, zazdrości, samolubstwa: bo pokutnikom nie namiętności, ale cnoty potrzeba, jeżeli zasługą wewnętrznego odrodzenia mają uczynić zadosyć odwiecznéj sprawiedliwości i przechylić szalę wyroków na stronę zlitowania: *„bo gdzie Duch Pański, tam wolność!"*) — Nie opiera się taka nadzieja na wyżebranéj jałmużnie obłudnych doradzców, czy oni siedzą pomiędzy obcymi panami, albo pomiędzy krwawą tłuszczą sprzysiężnych cudzoziemców, ale polega na własnéj w piersi naszéj poczętéj cnocie, na nieśmiertelnéj miłości tak żywéj jako oto my sami, jeżeli tylko w nas żyje, a tak niespożytéj, jak nieśmiertelny Chrystus.

O! zapewne taką miłością nieśmiertelną nieśmiertelni będziemy, choćbyśmy o całym świecie rozpaczać mieli, póki o Chrystusie nie zwątpim, przeżyje miłość nasza marnych, świetnych i szczęśliwych i zmartwychwstanie z pracy wieków. Ale właśnie dla tego, że zbawienie opiera się na świętych prawach Ducha Bożego, że nie nadużywamy wiary dla naszych nadziei, ale że używamy nadziei dla tego, że wiarę mamy, właśnie dla tego wieszcz to nowe życie wskazuje nam jako świętą świętego żywota tajemnicę, jako zmartwychwstanie Chrystusowe. — Takiéj on wiary i takiéj nadziei sztandar trzymał na przedzie, wiodąc lud, jakoby przez pustynią wygnania; a że mu jako onemu wodzowi Izraela blask bił od oblicza i powołania gwiazda jaśniała na czole, szliśmy za nim w krainę duchowéj, szlachetnéj, wysokiéj miłości.

Usłysz więc i wiedz o tém, świecie, że ta święta miłość, która nam serce grzeje i ducha podnosi, nie jest podła nienawiść, nie zemsta krwi chciwa, nie dzikość jadowitego w człowieku zwierzęcia, ale że to cnota od Boga dana, boskim potwierdzona zakonem. Jeżeli siły w królestwie ducha już widome i świadome łączą ludzi serdeczną, słodką, gorącą miłością w stadła rodzinne i tam zapalają ognisko życia domowego niebieską iskrą miłości rodzicielskiej, bratniéj i małżeńskiej; jeżeli tam w rodzinie zachowują świętą po-

*) Jan 8.; 32.

*) II. do Kor. 3.; 17.

wagę Bożego pochodzenia i zakonu; czyżby ta siła miłości na jeszcze wznioślejszym szczeblu życia duchowego, w dziedzinie narodu, miała utracić charakter niebieski i albo stać się występkiem i zbrodnią, albo nagle stać się z miłości nienawiścią, zemstą, chciwością, pychą, zawiścią, samolubstwem? Nie, nigdy! Miłość narodu nie przestanie być cnotą, ale tam tylko gdzie pozostanie miłością! — Czuł to naród uznojony, łzami zalany, krwią ofiar na świadectwo téj cnocie zbroczony; ale jasne téj niepokalanéj miłości objawienie odbyło się w anielskoczystym duchu Zygmunta. — I dla tego śpiew jego jako drżenie głosu od nieba płynącego był dla narodu całego objawieniem istném: bo on tę prawdę pierwszy wygłosił wieszczém swém słowem, że miłość narodu jest cnotą, a że ten największe dla niego położy zasługi, kto najcnotliwszym będzie. — A gdy nas wszystkich taką świętą miłością chciał mieć doskonałymi, o to się modlił pieśnią przedświtu do nowego życia, aby umiłowany naród stał się całéj ludzkości arcytworem, aby pogodzić świata dzieje z wolą Pana nad Pany, aby wszystkie ludy wzięły się pod ramiona a pojednane, połączone, rozkochane, zachwycone pochyliły czoła przed doskonałą pięknością odrodzonéj, zmartwychwstałéj, przemienionéj! — A w tém widzeniu błogosławionem prosił nie o chwałę swoję, nie o chwałę człowieka, nie o chwałę stworzenia, ale pragnął w dziejach ziemi odzwierciedlić wszechprzytomny kształt Bożéj chwały bez końca.

O jakżeż musiało to serce cierpieć patrząc po takich zachwyceniach na tę smutną ziemię!? Ach! patrzcie, kiedy wieszcz z tak anielskiém oczekiwaniem zatapia oko widzeniem upojone w ziemię ukochaną i przedświtu jasnego bliską się cieszy nadzieją, oto nad głowami tych, co się mieli krwią, choćby winną brzydzić, łuna rozwiesza się krwawa, jakoby wstyd nieba lub znamię gniewu bożego! Ach! wieszczu! Uderz w strunę, śpiewaj z nieba pieśń natchnioną i anielską, by zachwyceniem słowa twego rozpędzić chmury czerwone i zdradę rozbroić, śpiewaj, śpiewaj, proś i błagaj, póki dzień i póki czas! — I dobył z głębi czystego serca głosu w uroczystych psalmach, aby go usłyszeli wszyscy, co płaczą i walczą na ziemi boleści i pokusy, a pieśń jego z powietrzem przenikła wszystkie zakątki ziemi naszéj. — Wiał w tych psalmach duch mądrości i proroctwa tchnieniem wiary, nadziei i miłości; ale odezwał się zarazem wykrzyk zgrozy i przerażenia, wyrok potępienia dla zdrady i zbrodni, która już, już się sposobiła do bratobójczego grzechu kaimów, wymierzając w szaleństwie szatańskiego rozumu drogę do obiecanéj ziemi przez brody czerwonego morza. — Z oburzeniem anioła podniósł głos zaklęcia i rzucił się w drogę występnym piekła wysłańcom, by zbrodnię odepchnąć od łona braci nieszczęśliwych ofiarą a nieszczęśliwszych daleko występkiem. — Oby byli prorokowi uwierzyli, oby byli poszli za głosem, co wśród wzburzonych namiętności, już prawie pośród zbrodni wołał, że grzech nie jest zmartwychwstania czynem, że tylko prawda i miłość przemienieniem być może.

Zapóźno, wieszczu, zapóźno; — spełniło się krwawo, łzawo i boleśnie! Cóż pozostało po takiém cierpieniu wieszczowi rozbolałemu jak jęknąć: Miserere i psalmem gorzkich żalów wołać miłosierdzia dla występnych. — Zapłakał i rozżalił się i pozostało mu na ziemi jeszcze jedno tylko słowo, słowo modlitwy do Boga, modlitwy łagodnéj a gorącéj, rozżalonéj a pogodnéj, dziękczynnéj a żebrającéj, zaniesionéj przed oblicze Boga, a za nim serc miliony w prośbie o ducha dobréj woli powtarzały: „daj nam, o Panie, świętemi czynami, śród sądu tego samych wskrzesić siebie!“

Z tém modlitewném pieniem rozlała się harmonia jego śpiewu po całéj ziemi i wzbiła się od grobów i krzyży aż do nieba, zkąd jéj już nie było powracać. W ofiarniczém całopaleniu cierpień ciała i duszy, siejąc woń rozmiłowanego serca po wszystkich strapionych, smutnych, uciśnionych i bolejących, ocierając łzy, gdziekolwiek się dotknął miękką miłości bratniéj dłonią, przeszedł po téj ziemi aniół tajemniczy a objawiony, nikomu nieznany a kochany od wszystkich; — dogorywał, a na słabém promieniu światła gasnącego zawisła obawa nasza; — przebrzmiewał jako dźwięk anielskiego pienia, a dusza całego narodu wytężona słuchała ostatniego drzenia niebieskiéj harmonii, że aż Ojciec Chrześcijaństwa rozrzewniony przywiązaniem bolejących do żegnającego nas psalmisty trzy dni przed skonaniem wieszcza bezkrwawą złożył ofiarę na ołtarzu z modlitwą o skuteczną pociechę dla niego i dla nas. — Ojcze Święty! — Pocieszyłeś syna w ostatnich życia chwilach i pocieszonego Bogu oddałeś: bo otrzeźwiony twą miłością, rozgrzeszony, jeżeli było co rozgrzeszać, poszedł oglądać śliczności niebios, o których sam objawieniem natchnienia olśniony tyle nam naśpiewał, napowiadał na ziemi! — Zostawił w dole wszystko co zwodzi i wszystko co boli: i niewoli szataństwo i kłamstwa opętanie i tajemnic zawiłości a wziąwszy duchowe poznanie i wieczną, nieskończoną miłość, wzbił się w okręgi przedwiecznego światła.

A my jeszcze nie przemienieni, jeszcze w czyśćcu, jeszcze na grobach i mogiłach, jeszcze nieskończenie tęskni zaledwie przez łez zasłonę widzieć możem postać jego, jak

lekko na białe powietrze pióra anielskie i ramiona duchowe położywszy waży się do wniebowzięcia chwały. — Nam grubsza tylko została żałoba i łzy rzęsistsze: bośmy na nowo po jego natchnieniu — sieroty!

Weźcie, anieli, łzy nasze, modły i westchnienia i pościelcie mu tą żałobną ofiarą drogę do Bożego tronu! — A, Ty, Wielki Boże, Ojcze Miłosierdzia, daj mu pokój niebieski, weź go do chwały tryumfu, a nad nami zlituj się, ach, zlituj się Panie! — Amen.

Mowa

podczas nabożeństwa żałobnego za duszę ś. p. doktora Karóla Marcinkowskiego, miana w kościele Ś. Maryi Magdaleny w Poznaniu, d. 19. Listopada 1846. r.

Przez X. Jana Chryzostoma Janiszewskiego.

„Zostań z nami (Panie) boć się ma ku wieczorowi i dzień się już nachylił.“ (Łuk. 24, 29.)

Bracia Kochani!

Gwiazda po gwiaździe zapada, filar po filarze się łamie, cegła po cegle się kruszy, a my stojąc i spoglądając na te ruiny i straty, czyż nie możemy razem z strwożonymi uczniami Chrystusa Pana z serca przejętego żalem i trwogą zawołać w chwili żalu i boleści po stracie ś. p. Karóla Marcinkowskiego, stracie, która nam tyle innych przypomina: *Panie! zostań z nami, boć się ma ku wieczorowi i dzień się już nachylił*? Tak *ma* nam się *ku wieczorowi*, bo chmura na chmurę zaciąga, grom po gromie uderza i światło po świetle gaśnie; wszystkim nam się *dzień pochylił*, bo wszystkich przyjaciel ludzkości smutek ogarnął, a pochylił się szczególnie nędzy i biedzie, która na to serce, co się nad nią litowało, i na tę rękę szczodrą, co łaknących karmiła i nagich przyodziewała, już garść ziemi rzuciła. -- Ale, im więcéj tracimy w mężach, w którycheśmy nadzieje nasze pokładali, w mężach, o których serce rozpalone miłością ogrzewaliśmy nasze, na których woli żelaznéj, na których charakterze niezłomnym hartowaliśmy naszę słabość, których odwaga dodawała nam otuchy, a wytrwałość żadną zaporą niepochamowana wspierała nas upadających na przykréj drodze cnoty — im więcéj, mówię, w takich mężach tracimy, z tém większém zaufaniem, z tém większém natężeniem ducha naszego powinniśmy się wznosić ku Temu, który jest źródłem nigdy nie wyczerpniętém téj siły i mocy,

który wszechmocnością swoją i tych mężów tą siłą na drogę żywota zaopatrzył. U Niego tylko u Niego możemy znaleźć powetowanie straty, którąśmy ponieśli. Bo czém tacy mężowie byli i co mieli, przez Boga tylko byli i od Boga mieli; Bóg sprawcą i dawcą tych darów; co przez nich uczynił, uczynić może i przez innych, bo wszechmocność i miłosierdzie Jego nie od wczoraj ani nie od dzisiaj, ale od *pokolenia do pokolenia nad tymi, którzy go się boją. Zostań* tedy *z nami*, Panie, i racz nam dać drugą ręką to, coś nam pierwszą odebrał.

Ś. p. Karól Marcinkowski urodził się 23 Czerwca 1800 r. w Poznaniu. Czterdzieści i sześć lat był tylko na téj wędrówce. Krótki wątek życia, ale długi i prawie nieprzejrzany szereg uczynków miłosierdzia i poświęcenia. Od chwili, w któréj wstąpił w zawód życia, napiętnował kroki swoje miłością ojczyzny, miłością bliźniego w ogóle. Gdy go zawołała wspólna nasza matka w potrzebie do broni, stanął w szeregach wiernych jéj synów. Złożywszy oręż jął się znowu pracy; tułactwa nawet samego użył na zbogacenie swego umysłu, z którém powrócił do rodzinnego miejsca i oddał się zawodowi swemu. Sztuka lekarska przeszedłszy przez ogień miłości jego serca, straciła odrażającą barwę rzemiosła i stała się przewodniczką miłości, która go prowadzała nikomu nieznanemi ścieszkami w ciemne zakątki nędzy i biedy. O jakże wzniosłą i szlachetną wydaje nam się ta sztuka lekarska przyodziana w niebieską szatę miłości bliźniego! Lecz w cóż się zapuszczam? Czyż chcecie, co mówię, czyż zdołam wyliczyć i wymienić Wam wszystkie uczynki jego miłości bliźniego? Czyż mogę i jestem w stanie pójść i prowadzić Was po wszystkich ścieszkach, któremi chodził i roznosił po najuboższych strzechach i chatkach ulgę i pociechę nieszczęśliwym i strapionym? Czyż mogę i jestem w stanie zedrzeć zasłonę tajemnicy, która tysiące uczynków zakryła przed okiem świata tak, iż lewica nie wiedziała, co czyniła prawica; — czyż mówię, jestem w stanie tam Was zaprowadzić i pokazać Wam najdroższe perły szlachetnego serca, najpiękniejsze kwiaty miłości, które się zapłonią na widok świata i jego pochwał? Bóg to zapisał w księdze wieczności, a któż z nas śmiertelnem okiem w nię zajrzy? — Ale chociażbym mógł całe bogactwo jego serca i uczynków rozwinąć i rozłożyć przed oczyma Waszemi, chociażbym je jak gdyby na stali wyrąbał, iżaliż z tych słów słabych i z powiewem wiatru ulatujących zdołamy mu zbudować pomnik, pomnik godny miłości i jéj owoców? Iżaliż z tych kwiatów mdłych i słabych możemy

mu upleść wieniec, któryby był godny zdobić skronie jego? Albo, możeż słowo z tą siłą i mocą serca Wasze poruszyć, aby uderzyły w dźwięk miłości, a dźwięk ten się odbił w tysiącu serc innych, z jaką siłą i mocą uderzały jego czyny? Nie tylkoście na nie patrzeli i znali je lepiéj odemnie, aleście ich doznawali i doświadczali na samych sobie; jakżeż teraz słowo wyrazić to może, jakże liść potrafi owoc zastąpić?

Nie na to tak czyny wynoszę, abym serca nasze pogrążone w smutku głębiéj chciał jeszcze potrącać; nie na to owoce miłości, uczynki miłosierdzia tak wielbię, abym przez wielkość straty żal nasz chciał jeszcze powiększać lub niewieścią tkliwość w sercach naszych budzić. Nie chcę tego. Nie *zwątpienia*, ale *wiary*, nie *rozpaczy*, lecz *nadziei*, nie *słów próżnych*, lecz *miłości*. Niech łzy płyną nad tym grobem, niechaj płyną potokiem; lecz niech płynie z niemi miłość, niechaj zmiękczy twarde dusze, a ożywi martwe serca i pokrzepi zwiędłe czucia. A wtenczas, kiedy to ziarnko przezeń rzucone padnie na rolę serc naszych poruszoną wdzięcznością a spulchnioną żalem i łzami; kiedy wznijdzie, wzrośnie i wyda owoce w uczynkach miłości, to będzie dla niego pomnikiem trwałym i nieśmiertelnym, to ofiarą, którąśmy za to dobrodziejstwo Bogu przynieść winni. Dla tego *zostań z nami* Panie, *gdy nam się ma ku wieczorowi*, gdy się siły nasze pochylają, zostań i racz nas wspierać Twą łaską, aby cześć i chwała, którą Ci składać mamy, nie była czczém wołaniem: *Panie, Panie!* ale *pełnieniem woli Twojéj świętéj*.

Tegośmy chcieć, tegośmy pragnąć powinni; to jest jedyną wdzięcznością, którą się Bogu i ludziom wypłacić możemy, to jest godnym żalem, pożytecznym żalem naśladować uczynki miłosierdzia tego, którego stratę opłakujemy. O gdybym mógł w téj chwili wydobyć z zimnego już serca Twego, Karólu, choć jednę iskrę téj prawdziwéj i pełnéj czynu miłości, gdybym mógł tym ogniem słowa moje zapalić i ciskać niemi w serca Wasze, paliłbym i niszczyłbym najpierw te pęta i okowy pychy i próżności często nawet dziecinnéj, któremi znaczna część serc skrępowana; paliłbym i niszczyłbym te drobiazgowe względy i uprzedzenia ludzkie, które chcą być pierwéj odważone na szali zasługi, nim przystąpią do czynu; paliłbym i niszczyłbym te języki uzbrojone jadem i te sądy na wskroś żółcią przesiąkłe, które lubią kalać to, co jest bez skazy; paliłbym i niszczyłbym tę złość szatańską, co zrywa najświętsze węzły braterstwa; paliłbym i niszczyłbym tę pajęczynę hałasu i wrzasku o poświęceniu dla dobra ogółu, gdzie gardło pełne krzyku, a ręce próżne dobrych uczynków. Tak, bo wtenczas dopiero, kiedy serca nasze przepuścimy przez ogień czyścowy miłości, kiedy się na jéj ołtarzu spali i w proch i popiół zamieni to, co niewarto być czemś więcéj jak popiołem i prochem, a szczere i prawdziwe złoto zostanie, wtenczas, kiedy się wszystkie serc promienie w jedno zbiją ognisko, wtenczas dopiero będzie moc i siła, która potrafi wydać owoce miłości. Bo jeźli ogień wulkański, co ryje w wnętrznościach ziemi, rozsadza góry i skały, czemuż ogień miłości, który ziemię z niebem połączył, niema rozsadzić przedziałów złości i uprzedzeń, niema serca z sercem pojednać, czemuż niema swoją siłą poruszyć otrętwiałą bryłę świata?

Niechajże tedy ten dzień żałoby dzisiejszéj, jak nas sprowadził na to miejsce święte, tak nas kojarzy i łączy; niechaj pochowa w grobie na wieki wszystkie zatargi, rozjątrzenia i swary pomiędzy bracią; pokażmy, że z głębi duszy i serca miłujemy tę cnotę, któréj dzisiaj cześć publicznie składamy. Dla tego *zostań z nami* Panie, zostań i trzymaj ręką wszechmocności Twojéj tę jedność, która tym ciosem obecnym tak gwałtownego wstrząśnienia doznała; bo jedność, to moc i siła, a rozerwanie to słabość i niedołężność: *zostań z nami*, gdy się *dzień pochyla*, i ratuj, by się nie rozpadło, co się już zbudowało.

Nie dość bowiem, bracia kochani, na tém, nie dość dać się chwilowo uczuciom szlachetnym poruszyć, nie dość płynąć z potokiem, który nas gwałtem z sobą porywa i bez trudu niesie; nie, nie tak to łatwo zdobyć palmę zwycięstwa. Do tego trzeba walki i boju, trzeba trudu i znoju, trzeba *znosić skwar i upał dnia całego*, aby można znaleźć spoczynek na łonie wieczności; jednem słowem, trzeba wytrwać aż do końca: bo *ten* tylko *zbawion będzie*, *kto wytrwa aż do końca*. Nie ten wart czci i chwały, w którego sercu od czasu do czasu zajaśniał promyk miłości pędem błyskawicy i znowu przeminął, ale ten, który wytrwał w cnocie, a wytrwał aż do ostatniego tchu życia. I ta to cnota *wytrwałości*, ta ozdoba męzkiego wieku, zdaje mi się w ś. p. Karólu Marcinkowskim na tém większą zasługiwać pochwałę, im rzadszą jest w charakterze naszym, im trudniejszą wśród nas do wykonania. Stał on jako dąb rozłożysty, który wśród burz i nawałności swojemi konary inne zasłaniał drzewa, a chociaż się pod przemocą musiał często ugiąć, nie dał się jednak z miejsca wysadzić, i podniósł się na nowo. Tak, wielbię tę cnotę w tym mężu, bo na grzech przeciwny chorujemy nieoledwie wszyscy, wielbię w nim tę cnotę, bo bez niéj żaden dobry zamiar, żadne chęci, żadne uniesienie ani poświęcenie nie przyniesie owoców. O ile potępiam szatań-

ski upór w złości, o tyle wielbię wytrwałość w dobrem. Myśli wzniosłe, uczucia szlachetne, zamiary dobre, przyjmują się w nas szybko, dodają nam skrzydeł, wzbijamy się w górę, ale wzbijamy się na Ikara skrzydłach, bo gdy *skwar i upał dnia* przyjdzie, roztopi siłę, i spadamy szybciéj, niżeśmy się wznieśli. — Nie łudźmy się, bracia, pozornym blaskiem. Nie to jest poświęceniem jedynie prawdziwém rzucić się w otchłań przepaści i zginąć; nie to jest poświęceniem prawdziwém, puścić się na burzliwe morze bez steru i żagli, aby śmierć w niém znaleźć; nie to jest poświęceniem jedynie prawdziwém spaść jak potok z łoskotem i hukiem, i prędzéj jeszcze jak potok zniknąć. Trudniéjszą i droższą nierównie jest cnotą wytrwałość w dobrem. Bo czyż nie łatwiéj umrzeć gwałtownie, aniżeli przez długi czas konać? Czyż nie łatwiéj być uwolnionym jedną chwilą od ciężaru, który mamy dźwigać, aniżeli ciągnąć wiernie i stale w jarzmie obowiązków najświętszych? Czyż nie łatwiéj od jednego ciosu zginąć, aniżeli przez kilkanaście lat pierś i serce na razy nieprzyjacielskie wystawiać? — Wytrwać bracia, a wytrwać aż do tchu ostatka w miłości ojczyzny i bliźnich, oto jest cnota; okuć sobie w tę cnotę pierś i serce, jak gdyby w pancerz ze stali i rznąć się w imieniu Boga przez wszystkie szeregi samolubstwa i nikczemności, a jednak przynieść w końcu aż na próg wieczności czyste serce i nieskalane brudem pospolitego życia; oto jest, czego Bóg po nas wymaga, kiedy mówi: *kto wytrwa aż do końca, zbawion będzie;* oto jest, co nam się tak w życiu ś. p. Karóla Marcinkowskiego podoba, co jest dla nas wzorem, a wzorem najpotrzebniéjszym. Oby ten przykład nie przeminął marnie; oby ten żal, którego dajemy dowody, nie był czczym i próżnym; oby przyniósł owoce wytrwałości w cnocie! Dla tego *zostań z nami* Panie, *kiedy nam się ma ku wieczorowi, zostań z nami*, jedyna siło i podporo nasza: bo bez Ciebie nic nie zdołamy! —

Wy szczególnie przyjaciele i powiernicy nieboszczyka; Wy, coście głębiéj w tajniki duszy jego zajrzeć mogli, Wy, coście z nim wszystkie prace i trudy dzielili w boju i pokoju, Wy, coście z nim i czynem i radą wznosili ową budowę miłości, *Towarzystwo naukowéj pomocy*, ozdobę i pociechę ziemi naszéj, Wy wszyscy razem, coście zbierali i znosili najdobniejsze cegiełki i kamyczki do niéj, powiedzcie, czyż możecie teraz zapomnieć o téj sierocie, któréj ojciec teraz odumarł? Czyż podobną jest rzeczą, abyście mogli opuścić najdroższe dziecię, jedyne potomstwo Waszego przyjaciela i pocieszyciela? Nie, bracia kochani, niepodobną jest rzeczą, abyście przez brak wytrwałości mieli

dać dowód całemu światu, żeście tylko ślepemi w tém dziele narzędziami byli; żeście się haniebnie dali tylko zaprządz w jarzmo opinii publicznéj; nie, niepodobną jest rzeczą, aby serca Wasze połączone węzłem miłości z sercem nieboszczyka mogły znieść łzy i narzekania rodziców i dziatek teraz opuszczonych! Nadzieja tedy, nadzieja, że choć ciało legło w grobie, duch miłości i wytrwałości pozostanie.

A Wy młodzieńcy, jeźli do którego z Was głos mój doleci, Wy, którzyście w sercu nieboszczyka znaleźli przytułek nędzy i niedoli Waszéj, patrzcie! — oto ofiara, którą okupione wychowanie Wasze! Pamiętajcie, że za uczynek miłości czynem się tylko odwdzięczyć możecie; coście wzięli, wzięliście od Boga, chociaż przez ludzi; coście wzięli, wzięliście z ółtarza miłości ojczyzny, na jéj ółtarz więc złożyć znowu te długi winniście. Nie skalajcież pamięci opiekuna Waszego! Nie na to poświęcił się dla Was!

Wy wszyscy, coście w chorobach i dolegliwościach doznawali jego opieki i troskliwości, Wy wszyscy — my wszyscy razem, czém, czemże w téj chwili wdzięczność naszę ku niemu okazać zdołamy? Cóż nam za duszę nieboszczyka Karóla czynić pozostaje? Oto rzucić się do stóp Zbawiciela i złożyć modły na łono miłosierdzia Jego.

Panie Jezu Chryste, prosimy Cię przez mękę i śmierć Twoję, racz spuścić kroplę łaski i miłosierdzia na duszę tego, który wedle woli Twojej ś. czynił najmniejszym braciom dobrze. Racz także spojrzeć okiem miłosierdzia na te dzieci osierocone, co teraz łakną i pragną, co ich zima nędzy i biedy siecze, a niemasz ktoby je nakarmił i przyodział, i *zostań z nami Panie, zostań z nami, kiedy się dzień pochylił.* Amen.

Mowa

na podziękowanie za zwycięztwo Inflantskie.

Przez X. Piotra Skargę.

Zasiadłszy Pan, Bóg zastępów, stolicę trybunału swego, puścił wyrok straszliwy na człowieka krwią niewinnych oblanego, pokój miastu potrzebny i miły psującego, na burzyciela katolickiéj wiary, na wydzieracza królewstwa i państw cudzych, na hardość, która mocy swéj dufała a na Boga i sprawiedliwość i prawa jego nie patrzyła. Przyszedł zuchwalec z mocnym i uzbrojonym w czternaście tysięcach wojskiem, cudzą ziemię posiadać i miasta i zamki brać, ażno

mały poczet ludzi, to jest trzy tysiące i czterysta, starł moc wszystkę jego. Książęta z Niemiec od niego najęte z swoim ludem polegli, Hetman jego najwyższy zabity, dziesięć tysięcy trupów jako trawy na pokosie na samym boisku padło, drudzy w Dźwinie rzece, uciekając, potopieni, a którzy przebyli od oraczów pozabijani są, albo pojmani w błociech i w chróściech wiele pobitych albo umarłych zostało, pojmanych przednich ludzi nie mała liczba, chorągwi sześćdziesiąt nazbierano, dział polnych jedenaście i z obozem wszystkim pobrano. Sam wódz okrutny z raną w ciele swoim, z kilku tylko chorągwiami uciekł. Za co dziś Panu Bogu dzięki oddając mówim z Dawidem: „Sławim Cię Panie z całego serca naszego, opowiadamy dziwy Twoje i uweselamy się i kochamy w Tobie.“

O téj radości wszystkiéj Korony naszéj chcąc się szerzéj na uciechę waszą rozmieść, pierwéj się do zmiłowania nad ludzką nędzą pobudzim a potém się do przyczyn radości i do przestróg naszych za pomocą Ducha świętego udamy.

Acz w każde wesele ludzkie nieco się zawsze smutku nabiera i niema ten świat pełnéj a niezrównanéj radości ale najwięcéj wojenne wygranie i tryumf zmącony jest z płaczem i żałością.

Jako nie żałować, iż ludzi tak wielu w kilku godzinach ginie, iżali inni tak prędko urosną, iżali ziemia, która ludźmi z błogosławieństwa napełniona, być ma pustą i samym bestiom do mieszkania zostawać ma. Jako nie płakać, iż człowiek zabija człowieka téjże natury jako i sam, krew swoję i brata swego morduje, a walki najwięcéj ludzi potracą i mienia tak jadowitéj plagi na człowieka, jako człowiek, który rozumem i dowcipem dziwne do zabijania bliźnich sposoby wymyśla: żelaza, strzelby, prochy, działa, kule, mosty, okręty i inne sidła i doły na krew i ciało natury jednéj przyprawuje. — Ani morowe powietrze, ani ognie, ani wody, ani bestie, ani głody tak wielkiéj ludziom zguby nie przynoszą jako wojny, co się i na téj teraźniejszéj pokazuje.

A kto łzy zatrzymać może, myśląc jako prędko tak wiele ludzi poległo, a to ciężéj, iż chrześcianie od chrześcian giną, iż ci, którzy się tém imieniem pokrywają, chrzest św. na sobie mając, choć są heretycy, mandatu Chrystusowego odstępując, miłość i zgodę braterską targają. A nadewszystko najsmutniéjsza myśl nas trapi, iż ci wszyscy teraz porażeni do piekła na wieczne potępienie poszli, bo byli heretycy niewierni, albo tacy, którzy nie pytali się gdzie wojna sprawiedliwa, ale one przeklęte słowa w uściech mieli: „By nam i diabeł pieniądze dawał, pójdziem na krew niewinną ludzką.“ Pokuta téż w onéj wojennéj godzinie i prędkiéj

śmierci trudna i mało podobna, i nie możem o nich nadzieję mieć, a z potępienia je wiecznego wymawiać. O jaki to nasz smutek, wiedząc — co to za przeklęstwo wieczne piekielne, z którego już nigdy wyniść nędzny człowiek nie może.

Tym się cieszym, iż oni na zgubę naszę przyszli, nie my na nie; oni naszli nas a myśmy się bronili, co się każdemu i domowemu godzi. Oni majętności nasze i ziemię posiadać i ojczyznę naszę brać i bracią nasze żony ich i dzieci zabijać, wiązać i łupić chcieli, a myśmy zguby swéj uchodzili. Gdzieżeśmy o swoje ciężkości i krzywdy pozywać je mieli? Kogoż słuchają i czyjemu prawu podlegli? Do kogośmy apelować mieli, pan z panem niemu niepodległym? Niema drogi innéj do nabywania miłego pokoju, jedno żelazo a wojnę; na któréj sam Pan Bóg sądzi, wyroki swe daje, i karze niespokojne i niesprawiedliwe i z paszczęki ich niewinne wybawia. Przed którym my teraz stojąc pokornie z onemi i Panu mówim: „Krwie ich na nas nie kładź Panie, sami się zgubili niewinne najeżdżając, a tyś uczynił jakoś chciał. Nie nasza je ręka biła, ale twoje prawo i twoja z nieba sprawiedliwość, i nie weselim się z ich upadku, ale z Twego nad nami ojcowskiego obmyślania i obrony Twojéj, z którą niewiernym nie omieszkiwasz!“

Mamy wielkie przyczyny wesela i tryumfu dzisiéjszego, iż heretyctwo pohańbione jest, iż co do szczepienia wiary znowu w Inflanciech droga otwarta, iż obroniona jest państwa tegoż kraina, i litewskie strony z niebezpieczeństwa wyrwane są, iż sprawiedliwość króla JMości i rzeczypospolitéj górę wzięła, iż sława rycerska narodu obojga polskiego i litewskiego podwyższona jest.

Obległ tyran przednie miasto Rygę, pisał i namawiał oblężenie mówiąc: „otwórzcie mi; idę z dobrem waszem, wybawie was i ziemię Inflantską od papieztwa: Jezuity, jakom już raz uczynił, powyganiam i powiążę albo pozabijam, dobra ich na kościół nadane miastu daruję, augsburską wiarę utwierdzę i na nie kolegium w mieście tém założę. Nie macie czemu dufać, sejm ich w niwecz poszedł, obrony nie dali, trochę wojska królewskiego pobite wnet będzie.“

Odpowiedziano mu jako przystało dobrym i wiernym poddanym króla JM. wiary i przysięgi królowi dotrzymamy, naśladować twego krzywoprzysięstwa nie będziem. Jezuitowie nam nie wadzą, wiarą nie kupczym, bronić się będziem, na niczym nam z łaski Bożéj do odporu nie schodzi.

W tym, o drobnym wojsku króla JM. w dwu milach usłyszał, porwał się z wszystką mocą, i pogardzając małością ich, obrócił się i uczuł Boską rękę; poznał co to z Bogiem walczyć i religią katolicką z cudzego państwa wyganiać. —

Nikanor tak się na kościół Boży przegrażał, i skoroby bitwę wygrał, obalić go obiecował, lecz w owéj bitwie sam zginął, i ręka, którą się przegrażał, od trupa jego odcięta, u kościoła zawieszoną była.

Trocheś mniejszą drugi Nikanorze pomstę odniósł, ale jeszcze większéj czekaj, jeżeli w tym zuchwalstwie potrwasz.

Ukazałeś jad swój na wiarę powszednią, nie tyleś ją w wydartym królewstwie wycisnął, aleś do obcych i cudzych krain miecz swój na nie rozciągnąć chcesz.

Bierzże odprawę z mocnéj ręki Boga, któryś wiarę świętą z Inflant wygnać chciał; sam z Inflant uciekaj, moc twoja jako trawa, chwała twoja gnoj i trupy, uciekaj, a tu się nie wracaj, a patrz abyś od téj rany nie zdychał.

Uciekaj, katolicka wiara cię goni, pycha twoja pod nogami zostaje. Uciekaj heretyku, polegli już wszyscy pomocnicy kacerstwa i niedowiarstwa twego. — Pogróżki twoje na cię się obróciły. Uciekaj na morze, bo ziemia niezbożności twéj nie zniesie, a pokutuj, aby cię wody pomsty Bożéj nie pożarły.

Śpiewaj wiaro katolicka, zaczynaj pieśni i psalmy mówiąc: „Podwyższać Cię Panie będę, boś mię podjął i nie ucieszyłeś nieprzyjaciela mego. Ci, którzy mię unikać i wymiatać chcieli, sami osłabieli i upadli. Poniżyłeś hardego raną z którą uciekł, i potarłeś moc jego.“

Biblioteka Wojewódzka Poznań

52473

600
18/44/27483

Biblioteka Pedagogiczna w Radomiu
nr inw.: K - 52473
BGZs 52473